R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

DANES-PICTA.COM

Kosmografia : Jędrzejewicz

Errata

Magnetyzm i zorza polarna (atmosfera).
Inklinacya (Deklinacya).
Intensywność mag. ziem.
Zorza polarna — (pierwiastek helium)

(Fluorescencya)

geografia fizyczna

Astrofizyka

Meteorologia
Klimatologia } o atmosferze.

(do 70 km wznosi się
granica — 300 km

№ 404

Tlen, azot. — (ozon, argon)
(para wodna)

Insolacja —

Własność krakowskiego
TOWARZYSTWA OŚWIATY LUDOWEJ.

Wiatry

Dział zw. „Klimatyzacja"

Sieńkowski Ryszard.
6/. VI. 47.

№ 404

Własność krakowskiego
TOWARZYSTWA OŚWIATY LUDOWEJ.

DZIEJE POLSKI ZA PIASTÓW

- WYDAWNICTWO KRAKOWSKIEGO -
TOWARZYSTWA OŚWIATY LUDOWEJ

DZIEJE POLSKI ZA PIASTÓW

Własność krakowskiego
TOWARZYSTWA OŚWIATY LUDOWEJ.

NAPISAŁ

DR. FELIKS KONECZNY

№ 404

KRAKÓW
NAKŁADEM KRAK. TOWARZYSTWA OŚWIATY LUDOWEJ

GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1902

93(438)3 ; 93(438)4

29432/2

W KRAKOWIE, CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
POD ZARZĄDEM A. SZYJEWSKIEGO

SPIS TREŚCI.

Str.

Wstęp 1

CZĘŚĆ I. PAŃSTWO SPOŁECZEŃSTWU NARZUCONE.

Rozdział I. Polska w pogaństwie 7

Ślady przedhistoryczne. Aryjczycy. Cesarstwo rzymskie. Germanie i Słowianie. Państwo Sama. Nawracanie Europy. Nowe cesarstwo rzymskie. Królestwo niemieckie. Państwo wielkomorawskie. Święci Cyryl i Metody. Madziarzy. Początki chrześcijaństwa w Polsce. Margrabia Geron. Pierwotne urządzenia w Polsce. Państwo Popielów. Dynastya piastowska. Pierwsza wojna polsko-niemiecka. Dubrawka.

Rozdział II. Mieszko I. (960—992). 31

Państwo chrześcijańskie. Napaści Margrafów. Uczciwość Ottona Wielkiego. Przyłączenie Wiślan i Lachów. Nawrócenie Madziarów. Zwycięstwo nad Cydyną, 972. Przyjaźń z Niemcami. Utrata grodów czerwieńskich, 981. Sprawy ruskie. Waregowie. Rurykowicze. Chrzest Rusi, 988. Pomorzanie. Wikingowie. Trzy związki małżeńskie. Wojna o prawa sieroty. Wojna czesko-polska. Hołd papieżowi.

Rozdział III. Bolesław Wielki (992—1025). 61

Zdobycie Pomorza. Wyprawa pruska. Święty Wojciech. Narady w Rzymie, 996 r. Apostolstwo i męczeństwo, 997 r. Cesarskie odwiedziny, 1000 r. Zajęcie marchij, 1002 r. Zajęcie Czech i Słowaczyzny, 1003 r. Wojna z Henrykiem II., 1004—1013 r. Wojna ruska. Pokój budziszyński, 1018 r. Zdobycie Kijowa, 1018 r. Koronacya, 1024 r.

Rozdział IV. Upadek i odnowienie państwa 87

Mieszko II., 1025—1034 r. Organizacya rodowa. Narocznicy. Urządzenia wojskowe. Ujazdy. Opola. Samorząd i absolutyzm.

Str.

„Goście". Żydzi. Cudzoziemskie duchowieństwo. Upadek Dynastyi. Najazd Brzetysława czeskiego, 1038 r. Rewolucya niewolników. Kazimierz Odnowiciel, 1038 – 1058 r. Utrata godności królewskiej. Wojna z Masławem. Odzyskanie Ślązka. Wznowienie organizacyi kościelnej.

CZĘŚĆ II. WALKA SPOŁECZEŃSTWA O WPŁYW NA RZĄDY PAŃSTWEM.

Rozdział I. Złamanie jedynowładztwa. 123

Immunit. Seniorat, Bolesław Śmiały, 1058 – 1080. Wyprawa Czeska i Węgierska. Schyzma i Bizantynizm. Wyprawa Kijowska. 1069 r. Papież Grzegorz VII. Koronacya 1076 r. Zabicie św. Stanisława 1079 r. Władysław Herman 1080 – 1102 r. Wojewoda Sieciech. Bolesław Krzywousty. 1102 – 1138 r. Zdobycie Pomorza. Knowania Zbigniewa. Wojna Niemiecka i czeska, 1109 – 1115 r. Zdobycie Zaodrza, 1118 – 1130 r. Estrytydzi Duńscy. Sprawy Ruskie i Węgierskie. Podział Państwa. Władysław II., 1138 – 1146 r. Wojna z Braćmi, 1145 – 1148 r.

Rozdział II. Tron elekcyjny. 162

Bolesław Kędzierzawy. Mieszko stary. Własność ziemska osobista. Niewolnicy prywatni. Licha moneta. Żydzi. Kasztelanie Biskupie. Rządy urzędników. Kazimierz Sprawiedliwy, 1177 – 1194 r. Oświata kościelna. Klasztory. Synod Łęczycki. Knowania Mieszka Starego, 1180 – 1191 r. Ruś nowa, czyli Suzdalska. Madziarzy na Rusi.

Rozdział III. Przesilenie. 196

Leszek Biały, 1194 – 1227 r. Królestwo Halickie. Niemcy na Ślązku. Pańszczyzna w Niemczech. Wsie czynszowe. Prawo Magdeburskie. Wojna Wielkopolska. Przewaga Linii Ślązkiej. Zakony rycerskie. Krzyżacy. Najazd Tatarski. Zawiązki miast. Łazęgowie. Przestarzała Administracya. Państwo w Państwie. Właściciele i Dzierżawcy. Gbury i szlachta. Miasta niemieckie. Nowe zakony. Święci Polscy Patronowie. Niemieckie duchowieństwo. Upadek polityczny.

CZĘŚĆ III. PAŃSTWO PRZEZ SPOŁECZEŃSTWO WYTWORZONE.

Rozdział I. Nowe państwa ościenne. 256

Król ruski Daniel. Potęga Węgier i Czech. Inflanty. Prusy. Król Litewski Mendog. Biskupstwo łukowskie i litewskie. Bolesław Rogatka. Bolesław Wstydliwy, 1243 – 1279 r. Upadek królewstwa litewskiego. Król Czeski Otokar II. Leszek Czarny, 1280 – 1288. Stronnictwo narodowe.

Rozdział II. Przewaga Wielkopolski. 289

Zabiegi o Pomorze. Walka o Kraków. Testament Henryka Probusa. Czesi w Krakowie. Koronacya Przemysława. Koronacya Wacława.

Str.

Papież Bonifacy VIII. Zwycięstwo Stronnictwa Narodowego. Wrogowie Łokietka. Utrata Pomorza i bunt miast. Król Władysław Niezłomny. Proces przeciw Krzyżakom. Gedymin. Pierwsza wojna z Krzyżakami. Brak sił wojennych.

Rozdział III. Kazimierz Wielki 1333—1370 r. 344

Pokój z Luksemburczykami, 1335 r. Wyrok wyszehradzki. Następstwo tronu. Sprawy ruskie. Zajęcie Rusi Czerwonej. Stosunki ekonomiczne. Pokój Kaliski. Sprawy Ślązkie. Lenno Mazowieckie. Wojna z Litwą o Ruś. Kongres krakowski i podróż do Malborga. Organizacya społeczna. Rycerstwo. Kmiecie. Mieszczaństwo. Nowa Administracya. Państwo Stanowe. Uniwersytet. Małżeństwa Kazimierza W. Testament Kazimierza W. Zakończenie.

№ 404 Własność krakowskiego
TOWARZYSTWA OŚWIATY LUDOWEJ.

W czasach starożytnego pogaństwa, przed przyjściem na świat Zbawiciela, utarło się zapatrywanie, że świat i ludzkość psują się coraz bardziej. Pisarze Greków i Rzymian, narodów wówczas najbardziej wykształconych, twierdzili, że na początku był „wiek złoty“, w którym ludzie nie znali ani zawiści, ani zemsty, nie potrzebowali sędziów, ni praw, bo każdy sam z siebie, bez żadnego przymusu, postępował według sprawiedliwości; potem dopiero powstały różne ludzkie wady i wiek złoty zamienił się na srebrny, a ten następnie na gorszy spiżowy, aż nadszedł w końcu pełen ułomności, niedostatków, żalu i nędzy: wiek żelazny. (Zapatrywanie to na koleje dziejowe ludzkości wygłosił najpierw poeta grecki Hezyod, żyjący na 770 lat przed Chrystusem). My, chrześcijanie, musimy upatrywać wiek złoty nie za sobą, lecz przed sobą. Wiedząc, że dana nam jest możność doskonalenia się, mamy obowiązek poprawiać, ulepszać coraz bardziej stosunki życia. Dążeniem naszem: postęp, pojęcie nieznane zgoła dawnemu pogańskiemu światu. Mylą się atoli ci, którzy mniemają, że postęp wytwarza się z biegiem czasów, jakby sam od siebie, z konieczności nieuchronnej, i że dzięki temu wszystko, co nowsze, jest i lepsze zarazem. Mylą się, gdy im się zdaje, że istnieje jakieś prawo, które zmusza ludzkość do ustawicznego doskonalenia się, i że czy chcemy, czy nie chcemy, czy świadomie, czy nieświadomie, dochodzimy jednak do coraz lepszych urządzeń w życiu prywatnem i publicznem. Mamy daną z góry do postępu zdolność, ale czy tej zdolności użyjemy, to zależy od naszej woli. Postęp zdobywać trzeba w ciężkiej pracy, a do tego nie każde pokolenie ma ochotę. Z pokolenia w pokolenie rozmaicie bywa: czasem się idzie naprzód, a czasem wstecz; toteż postęp zawsze

być może, ale nigdy nie można orzec na pewno, że być musi. Jedno próżniackie lub nierządne pokolenie może zmarnować dorobek kilku pokoleń sumiennych i rozumnych.

To pewna, że praca około poprawy stosunków ludzkich jest obowiązkiem. Pracujmy, aby się zbliżyć choć cokolwiek do wymarzonego „wieku złotego“, pracujmy, żeby naszym następcom było łatwiej i lepiej. Ale jak pracować, co czynić, której się jąć drogi, żeby nie sprowadzić cofnięcia się, zamiast upragnionego postępu? Życie ludzkie takie krótkie, że nawet nie starczy na należyte obeznanie się z temi wszystkiemi drogami, po których można kroczyć. Na każdej towarzyszy człowiekowi nadzieja, ale ileżto razy ona zawodzi!

Nie my pierwsi wybraliśmy się na to poszukiwanie drogi do lepszych czasów, do lepszej doli. Ojcowie nasi, dziadowie i, dalej wstecz, pradziadów naszych pradziadowie już się nad tem mozolili. Trzeba być bardzo dziecinnym, żeby dopiero od siebie i swoich czasów rozpoczynać dążenie do postępu, a nie zastanowić się, jak też radzili sobie przodkowie. Tyle rzeczy im zawdzięczamy! Nie osiągnęli oni wszystkiego, ale osiągnęli niejedno i nam w spadku przekazali, ułatwiając nam przez to życie. Prawdą też smutną jest, że z drugiej strony nie byłoby dziś niejednego złego, gdyby przodkowie nasi byli baczniejsi. I dobre i złe w znacznej części od nich pochodzi. Korzystajmy przeto z ich doświadczenia! Życie ludzkie jest krótkie, ale życie naszego narodu, odkąd je jako tako znamy, trwa już przeszło tysiąc lat. Poznajmy je, przypatrzmy mu się, a łatwiej nam będzie ustrzedz się niejednego błędu.

Praca około przyszłości nie może wydać dobrych skutków bez znajomości przeszłości.

Nauka o przeszłości zowie się historyą. Nie jestto bynajmniej tylko sam zbiór opowiadań o królach i wojnach dla zaspokojenia prostej ciekawości. Szkoda byłoby zaiste życia, żeby je poświęcić takiej nauce, a takiego uczonego historyka możnaby zbyć prostemi słowami rozsądku: co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. — Historya jestto po prostu wytłumaczenie i wykazanie, dlaczego dziś jesteśmy takimi, jakimi jesteśmy, a czemu nie jesteśmy inni. Nasze zwyczaje i obyczaje, życie rodzinne, urządzenia życia publicznego, prawa, nasz język, ubiór, nasze upodobania, nasze sposoby do życia, warstwy społeczne, różne stany i t. d., to wszystko,

nie od wczoraj dopiero pochodzi, ani też nie powstało gotowe jednego dnia, ale wyrobiło się historycznie, t. j. przez długie czasy i przez różne zmiany z pokolenia w pokolenie. Teraźniejszość jest dla myślącego człowieka zagadką, bo na każdym kroku nasuwa mu się pytanie, dlaczego tak jest, a nie inaczej? Tę zagadkę rozwiązuje historya. Kto ją pozna, ten dopiero zrozumie dobrze swoje czasy, w których mu żyć i działać wypadło, a przez to też łatwiej mu będzie ocenić, co dla przyszłości lepsze. Nauka o przeszłości jest tedy środkiem i narzędziem do pracy około przyszłości; jest potrzebna dla postępu. Treścią jej nadzieje i zawody całych pokoleń; wysnuć z nich naukę dla siebie jest rzeczą współczesnych.

Życie się zmienia i czasy się zmieniają. Niejedno z tego, co jest dzisiaj, jest dla historyi także jedną tylko zmianą, boć jutro może być inaczej. Nie o to też chodzi w historyi, żeby opowiedzieć tysiące zdarzeń, ale o to, żeby opowiedzieć, przez jakie zmiany przechodziły ludzkie sprawy, aż się ułożyły tak, jak są dzisiaj. Historya bowiem jest nauką o zmianach, każdej zmiany muszą być wytłumaczone przyczyny i skutki, i wykazać się musi, która zmiana wyszła na dobre, a która na złe. Nie poprzestaje historya na opowiadaniu tylko tego, co w przeszłości piękne i miłe. Z jednaką sumiennością trzeba opisać i to wszystko, co złego było w przeszłości. Nie godzi się ani oczerniać, ani pochlebiać. Historya musi być rachunkiem narodowego sumienia, a więc musi być pisana sprawiedliwie i trzymać się jednej tylko rzeczy: prawdy, a sprawiedliwość najdojrzalszym prawdy owocem. Uczciwemu człowiekowi i uczciwemu narodowi nie potrzeba niczego poza sprawiedliwością i ponad sprawiedliwość.

CZĘŚĆ I.

Państwo społeczeństwu narzucone.

ROZDZIAŁ I.

POLSKA W POGAŃSTWIE.

ŚLADY PRZEDHISTORYCZNE.

O najdawniejszych mieszkańcach Polski wiemy bardzo mało, bo nie pozostało po nich niemal nic, prócz ich grobów. Odkrywa się coraz więcej cmentarzysk z prastarych czasów, a w grobach rozmaite narzędzia, naczynia i ozdoby. Dużo grobów zawiera tylko popioły trupa, schowane w naczyniach zwanych urnami; był zatem zwyczaj palenia ciał zmarłych. Nie brak też jednak grobów z kościotrupami i to układanemi rozmaicie. Niektóre leżą, jak to u nas dziś w zwyczaju, niektóre układane są siedząco, a inne znowu w postawie skurczonej. Wnosić z tego można, że różne te cmentarzyska pochodzą z różnych czasów i od różnych ludów. Znaleziono ślady ludzkich mieszkań w jaskiniach, np. pod Krakowem w Mnikowie, w Ojcowie, w Kwaczale; ale znaleziono też ślady mieszkań zgoła innych, np. w Czeszewie w Wielkopolsce, na palach wbijanych w bagna. Temi najstarszemi zabytkami przeszłości zajmuje się osobna nauka, zwana archeologią [1]) i stara się z takich wykopalisk z pod ziemi dociec, co to mogły być za ludy, skąd przybyły, jak daleko sięgały ich osady i jakie było ich życie. Daleko jeszcze do tego, żeby można było powiedzieć cośkolwiek pewnego w tej mierze. Historya polska nie zajmuje się tem zupełnie, bo bardzo trudno przypuścić, żeby wśród tych „przedhistorycznych“ ludzi udało się wskazać naszych

[1]) Wyraz grecki, jak prawie wszystkie zresztą nazwy nauk, znaczy dosłownie: nauka starożytności, t. j. o rzeczach najstarszych.

przodków; raczej mniemać można, że były to ludy zupełnie obce nietylko nam, ale wszystkim wogóle dzisiejszym narodom europejskim, że była to jakaś nieznana bliżej pierwotna ludność europejska, o której nie wiemy ani, skąd się wzięła, ani gdzie się podziała. Czasy to takie dawne, takie zamierzchłe, że już nie mają żadnego związku z najdawniejszą nawet naszą historyą. Nigdy też nie dowiemy się może tego, coby nas najbardziej ciekawiło i co najważniejsze, a mianowicie: jakim językiem mówili ci ludzie?

ARYJCZYCY.

Pokrewieństwo narodów poznaje się bowiem po podobieństwie języków. Nauka zajmująca się badaniem języków, zwana lingwistyką (z łacińska), lub filologią (z grecka), poznawszy ich dotychczas około tysiąca w różnych częściach świata, dzieli je na ośm wielkich działów, ten zaś dział, do którego należy język polski i jemu podobne, nazywa aryjskim. Ludzkość dzieli się na rasy, które różnią się między sobą rozmaitemi oznakami, między innemi także barwą skóry. Rasa biała dzieli się na dwa odłamy: Semitów i Aryjczyków. Aryjczycy dzielą się na azyatyckich i europejskich. Europejscy Aryjczycy dzielą się na szczepy, z których każdy mieści w sobie po kilka narodów i języków. Obecnie najważniejsze szczepy są: romański, germański i słowiański. Słowiańskie języki są: bułgarski, czeski, łużycki, polski, rezyjski (w Alpach włoskich), rosyjski, ruski, serbsko-chorwacki, słowacki i słowieński; te wszystkie narody są nam pobratymcze, a ich języki podobne do polskiego. Do romańskich narodów należą: Francuzi, Hiszpanie, Włosi i Wołosi czyli Rumunowie. Germańskie narody są: Anglicy, Duńczycy, Holendrzy, Niemcy, Norwegowie, Szwedzi. W starożytności był jeszcze szczep celtycki, którego ostatek stanowi naród irlandzki. Inne narody zamieszkałe w Europie nie należą już do Aryjczyków; obcy zupełnie są Finowie, Madziarzy i Żydzi, ich języki nie są też w niczem do naszych podobne.

Nie wiadomo na pewno, gdzie była pierwotna kolebka Aryjczyków, czy w Europie, czy w Azyi; wiemy tylko, że już na dwa tysiące lat przed Chrystusem byli w Europie, że znali uprawę jęczmienia i pszenicy, oswoili zwierzęta domowe, znali sztukę topienia kruszców, a urządzenia ich polegały na uznawaniu władzy ojcowskiej.

CESARSTWO RZYMSKIE.

Najwcześniej i najświetniej rozwinęła się ta część europejskich Aryjczyków, która posunęła się dalej na południe, szczep greko-italski, który zamieszkał nad morzem Śródziemnem, w klimacie ciepłym i łagodnym. Ci korzystając z pomyślnych warunków przyrody i otoczenia, a zbliżywszy się też do prastarych cywilizacyj Egipcyan i Fenicyan, sami poczynili szybkie i wielkie w cywilizacyi postępy; mieli państwowe urządzenia, nauki i sztuki wtenczas, kiedy pozostali w północnej Europie Aryjczycy nie ulegali ważniejszym zmianom i pozostali nadal nieukształceni. Główne narody starożytnej południowej Europy, Grecy i Rzymianie, wzniosły się wysoko. Grecy celowali w filozofii, w poezyi, rzeźbie; Rzymianie w prawie i administracyi i w porządkach państwowych, odznaczali się też bitnością i zaborczością. Nietylko Greków zagarnęli pod swe panowanie, ale państwo swe rozszerzyli na trzy części świata; panowali w Europie, w Azyi i Afryce. Z początku mieli królów, potem urządzili sobie rzeczpospolitą, a wkońcu zamienili swe państwo na cesarstwo, które obejmowało prawie cały znany im świat. Pod ich przewodem wyrobiła się cywilizacya wspólna grecko-rzymska, którą zowiemy klasyczną, a z której do dziś dnia wiele czerpiemy. Uczą w naszych szkołach, gimnazyach, języków klasycznych, t. j. greckiego i łacińskiego; łacina jest językiem kościelnym, prawnicy uczyć się muszą prawa rzymskiego, filozofia opiera się w znacznej części na greckiej, poeci kształcą się na poezyi greckiej i rzymskiej, rzeźbiarze uczą się na starych greckich rzeźbach, a nawet stawiamy budowle naśladujące klasyczne starożytne gmachy.

Światowładne cesarstwo rzymskie sięgało w Europie zachodniej po Ren i Dunaj, ku wschodowi zaś jeszcze poza Dunaj, obejmując na północ tej rzeki znaczną część dzisiejszych Węgier i Rumunię czyli Wołoszę.

GERMANIE I SŁOWIANIE.

Co było na północ od rzymskiej granicy pomiędzy Renem a Wisłą, nazywano Germanią. Mieszkały tam ludy celtyckie, niemieckie i słowiańskie, a więc różnego pochodzenia. Tego Rzymianie nie odróżniali; dla nich była Germanią cała północna część

środkowej Europy, nie należąca do ich cesarstwa, bez względu na pochodzenie jej mieszkańców. Wyraz *Germania* oznaczał tylko kraj, miał więc znaczenie geograficzne: *kraju*, a nie etnograficzne: *rodu*.

Wschodnią część tej Germanii, na wschód od Łaby, zamieszkiwały ludy słowiańskie. Ze wszystkich wielkich szczepów europejskich jedni tylko Słowianie posiadali we własnym języku nazwę na oznaczenie swego szczepu. „Słowo" znaczy tyle, co *mowa*, bo mowa ze słów się składa. Podobne do siebie słowiańskie mowy były dla naszych przodków ich wspólnem *słowem*, a wszystkich, z którymi można się było tem słowem rozmówić, nazywano tedy Słowianami. Obcych zaś sąsiadów, z którymi nie można było rozmówić się na słowa, nazwano Niemcami, jakoby niemych. Takiego wyrazu na oznaczenie całego szczepu nie miały ludy niemieckie i im pokrewne. Uczeni ich użyli do tego celu wyrazu łacińskiego „Germania", z powodu, że część ich przodków mieszkała w kraju tak przez Rzymian nazywanym, i dlatego szczep, do którego należą Niemcy i narody, mówiące podobnemi językami, nazywamy germańskim. Ale z tego nie wynika, żeby cała starożytna Germania miała być krajem niemieckim! Są wprawdzie pomiędzy Niemcami pisarze, którzy twierdzą, że z początku aż po Wisłę wszystko było niemieckie, opierając swe twierdzenie na tem, że Rzymianie tak daleko oznaczali Germanię; ale zapominają oni, że wyraz ten po łacinie nie znaczył tego, co dziś znaczy, i że dawni rzymscy pisarze sami nie mogli wiedzieć, co niemieckie, a co słowiańskie, skoro nie rozumieli języków tych ludów i sami zresztą osobiście tam nie byli. Nawzajem nie brak też uczonych słowiańskich, którzy wywodzą, że pierwotnie niemiecką była tylko mała kraina w kącie pomiędzy rzekami Wezerą, Renem i Menem, a całe zresztą Niemcy są krajem, zdobytym na Słowianach. To tylko pewna, że wszystko, co na wschód Łaby, było z początku słowiańskie.

Prawdopodobnie Niemcy i Słowianie p i e r w o t n i e nie sąsiadowali ze sobą, oddzieleni rozległą krainą całkiem nie zaludnioną; dopiero przez ciągłe osadnictwo rozszerzali coraz bardziej swe dzierżawy, pierwsi w kierunku wschodnim, drudzy w zachodnim, aż się wkońcu musieli spotkać i stać sąsiadami. W piątym wieku powiększa się znacznie napór Niemiec ku wschodowi i w niejednej ziemi słowiańskiej rozpoczyna się niemieckie osa-

dnictwo; już wtenczas na zachodnich Słowiańszczyzny kresach ludność obydwóch szczepów była z sobą pomięszana i jedno osiedlenie wchodziło klinem w drugie. Z końcem V-go wieku zaczęli Niemcy zdobywać przemocą ziemie już przez Słowian poprzednio zajęte, czasem zupełnie ich z nich wypierając, czasem w niewolników swych obracając. Nie było to trudne; mieli więcej siły, umieli wojnę prowadzić bez porównania lepiej niż Słowianie, robiąc to umiejętnie, sprawnie. Germanie bowiem już przez dwa wieki przedtem najmowali się do służby wojennej Rzymianom, od nich sztukę wojenną przejęli i sami też nieraz z nimi walcząc, w niej się wyćwiczyli, podczas gdy Słowianie należycie wojować jeszcze nie umieli. Pierwszym takim zaborem, który dokładnie oznaczyć możemy, jest zajęcie Rakuz przez lud niemiecki Alamanów w roku 488. Rakuzy, to dzisiejsze arcyksięstwa austryackie, zamieszkane pierwotnie przez słowiański lud Rakuszanów. Po Alamanach weszli tam Frankowie, w końcu Bawarzy, którzy też tam już pozostali (Niemcy austryaccy należą przeważnie do ludu bawarskiego). Dalsze rozprzestrzenianie się żywiołu germańskiego w kierunku wschodnim, na południu Karpat, powstrzymane było przez to, że tu byli już inni najeźdźcy, rozporządzający jeszcze większą potęgą wojenną.

PAŃSTWO SAMA.

W piątym wieku po Chr. doznała cała środkowa Europa, tudzież Włochy, straszliwego najazdu Hunów, ludu koczowniczego z Azyi. Po 70 latach Hunowie wycofali się z zachodnich krajów, ale pozostali nad Cisą, w dzisiejszych Węgrzech. Tam dokonał życia w roku 453 wódz ich Attyla, osławiony ze srogości, zwany przez chrześcijańskich kronikarzy biczem bożym. Po śmierci Attyli wprawdzie rozpadło się państwo Hunów, w następnym jednak wieku nastąpił nowy najazd: Awarów, którzy podbili wszystkie ludy słowiańskie od gór czeskich i Karpat aż po dolny bieg Dunaju i morze Adryatyckie. Nie było tu tedy pola dla niemieckich zdobyczy. Przeciw Awarom wybuchło około roku 620 wielkie powstanie Słowian, które powiodło się częściowo, bo odzyskały niepodległość ludy słowiańskie, osiedlone w Czechach, Morawach i wschodnich krajach alpejskich. Naczelnik powstania, dzielny Sam, utworzył natenczas z tych krajów najpierwsze sło-

wiańskie państwo. Było to po roku 600 po Chr., kiedy dawne cesarstwo rzymskie już przeszło od stu lat nie istniało.

NAWRACANIE EUROPY.

Cesarstwo rzymskie było założone w pogaństwie. Za czasów pierwszego właśnie z cesarzy, Oktawiana Augusta, przyszedł Zbawiciel na świat. Św. Piotr, pierwszy papież, osiadł w Rzymie i już za apostolskich czasów była tam gmina chrześcijańska, a choć było potém kilka srogich prześladowań, jednakże wiara szerzyła się coraz bardziej. Nawracali się nietylko ubodzy i niewolnicy, ale już od samego początku także uczeni i senatorowie rzymscy. Światło rozpraszało ciemności coraz bardziej z każdem pokoleniem, aż się skończyło na nawróceniu samego władcy olbrzymiego państwa, a potem pogaństwo straciło już znaczenie i od r. 312 stało się chrześcijaństwo nawet urzędową religią państwa; w końcu nie było już całkiem pogan między obywatelami rzymskimi. Cesarstwo rzymskie było tedy w dalszym ciągu swego istnienia nie pogańskiem państwem, ale chrześcijańskiem. Upadło i runęło ochrzczone, spełniwszy wyznaczone mu przez Opatrzność zadanie. Odtąd próbowano kilkakrotnie założyć na nowo takie państwo powszechne, ale zawsze bezskutecznie. Już takie państwo niepotrzebne do postępu ludzkości, odkąd na miejsce pogańskiej powszechności państwowej nastała powszechność innego rodzaju, wyższa, duchowa, w powszechnym katolickim Kościele. Zmienił się duch świata, a przez to zmieniły się także świeckie jego potrzeby i po nawróceniu ludów żyjących w starożytnem cesarstwie rzymskiem, niepotrzebne są już państwa sprzęgające przymusowo różne narody w jedno jarzmo.

Cesarstwo rzymskie podzieliło się na dwie połowy: wschodnią i zachodnią. Wschodnią ze stolicą Konstantynopolem czyli Bizancyum, nazywa się zwykle greckiem cesarstwem czyli bizantyńskiem. Potomkowie Greków tak się pomięszali z rozmaitą inną ludnością, a potem nawet poznikali nieznacznie wśród różnych przybyszów, między którymi nie brakło też Słowian, że przez to pomięszanie zmienił się zupełnie i naród i język. W średnich wiekach nie mówi się też potem o narodzie greckim, ale nazywa się to całe nowe społeczeństwo bizantyńskiem. Cesarstwo to trwało w tak zmienionych zupełnie stosunkach, przechodząc najrozmait-

sze koleje, jeszcze całe tysiąclecie, bo aż do roku 1453, zdobyte i ujarzmione w końcu przez Turków, którzy do dziś dnia panują jeszcze w Konstantynopolu.

Zachodnie rzymskie cesarstwo przestało istnieć w roku 476 po Chrystusie, a z jego krajów popowstawał szereg nowożytnych państw chrześcijańskich. Ludy germańskie, które te kraje pozdobywały, mięszały się z dawniejszą ludnością i nawracały się na chrześcijaństwo, ale nie wszystkie i nie zaraz na katolicyzm. Herezya aryańska ogarnęła Germanów panujących we Włoszech, w Hiszpanii, w południowej Francyi i w części dzisiejszych południowych Niemiec. Były to państwa Ostrogotów, Wizygotów i Burgundów. Dopiero w roku 496 nawrócił się na katolicyzm pierwszy z pomiędzy władców tych nowych państw, mianowicie Klodwik, król Franków; dostał za to od papieża tytuł króla arcychrześcijańskiego, który przeszedł następnie na królów francuskich; a dopiero około roku 600 przyjęły chrześcijaństwo wszystkie te kraje, które niegdyś należały były do cesarstwa rzymskiego. Nie należał zaś do nich żaden kraj słowiański.

Państwo Franków obejmowało za czasów Klodwika dzisiejszą północną Francyę i sąsiednie, dzisiejsze niemieckie kraje aż poza rzekę Men na północ, wkrótce zaś rozszerzyło się aż po góry Pirenejskie na południe, do Alp i średniego biegu Dunaju na wschód. Panowanie frankońskie doszło do granic słowiańskiego państwa Sama. Napadli nań Frankowie, lecz Sam pokonał ich w bitwie pod Wogatisburgiem, około roku 630. Po jego śmierci jednak, w r. 658, rozpadło się to pierwsze słowiańskie państwo. W następnem stóleciu podbili niemieccy Bawarowie około r. 740 słowiański lud Korutanów (dzisiejsza Karyntya), a wkrótce potem zawrzała wojna także na granicach północnych.

NOWE CESARSTWO RZYMSKIE.

Królestwo frankońskie powiększało się coraz bardziej. Najsłynniejszy z jego władców, Karol Wielki, zajął część Hiszpanii, północne i środkowe Włochy, posunął swe panowanie aż na dzisiejsze Węgry i przyłączył też do swego państwa kilka plemion niemieckich. W Niemczech szerzył był już chrześcijaństwo św. Bonifacy, mnich z Irlandyi, który zginął u Niemców męczeńską śmiercią w r. 754. Szczególniejszą nienawiścią do Krzyża odzna-

czał się niemiecki lud Sasów, zajmujący wschodnią połowę północnych Niemiec. Karol Wielki zdobył ich kraj po siedmiu srogich wojnach i zmusił do przyjęcia chrztu. Pierwsze to było przekroczenie Chrystusowego przykazania, zakazującego nawracania mieczem. Sasi, mieczem nawróceni, nie byli prawdziwymi chrześcijanami, a choć król Karol pozakładał w ich kraju biskupstwa, na nic się to nie zdało, gdy pastorałowi towarzyszyła wojenna groza i pożoga! Podbiwszy ziemie Sasów i Bawarów, dotarł Karol Wielki do granic słowiańskich i kilka razy starły się jego wojska ze słowiańskim ludem Wilców nad dolną Łabą i z Czechami. Wojna ta zaczęła się w r. 789, w cztery lata po przymusowem nawróceniu Sasów.

Karol Wielki był najpotężniejszym w Europie monarchą i panował nad rozmaitymi narodami. Szybki wzrost i potęga frankońskiego państwa przypominały dawne rzymskie cesarstwo. Król Karol postanowił wskrzesić to państwo powszechne i rzeczywiście w r. 800 papież Leon III-ci ukoronował go w samym Rzymie na rzymskiego cesarza. Nowe cesarstwo obejmowało kilka królestw, bo Karol W. był już królem frankońskim, longobardzkim, burgundzkim i szereg mniejszych państw i państewek nie posiadających królewskiego tytułu, a złączonych pod jednem berłem wspólnego monarchy, miało zaś objąć na przyszłość wszystkie państwa chrześcijańskie. Papież zakreślił władzy cesarskiej cel wielki i wzniosły. Chodziło o to, ażeby wszystkie nawrócone narody i państwa połączyć w jedną rodzinę chrześcijańskich ludów pod najwyższem świeckiem zwierzchnictwem cesarza, a duchowem papieża. Nie było wcale prawa, że cesarzem ma być zawsze król frankoński, ani też nie myślano o tem, że cała Europa musi tworzyć jedno państwo i należeć do frankońskiego królestwa. Jedna sprawa była oddzielona od drugiej. Czyby państwo frankońskie w przyszłości się rozszerzało jeszcze bardziej, czy też uszczuplało, czy osobnych państw byłoby w Europie coraz mniej, czy coraz więcej, nie miało to wpływać na sprawę wznowionego cesarstwa. Ilukolwiek byłoby monarchów chrześcijańskich w Europie, wszyscy mieli uznawać w cesarzu swego zwierzchnika; gdyby papież koronował na cesarza nie frankońskiego króla, lecz innego władcę, natenczas ten inny byłby zwierzchnikiem króla Franków. We wznowieniu cesarskiej godności nie było tedy zamachu na samo-

dzielność narodów czy państw, nie było zamiaru oddania Europy w niewolę następców Karola Wielkiego. Był to wielki plan zamienienia Europy w jeden wielki związek państw chrześcijańskich, ażeby uniknąć przez to wojny między chrześcijanami, a zyskać więcej sił do cywilizacyjnej pracy pod przewodnictwem Kościoła, zwłaszcza zaś do dalszego rozszerzania chrześcijaństwa.

Skoro nowe cesarstwo rzymskie miało być związkiem monarchów chrześcijańskich, zatem nie mogły do niego należeć, jako członkowie, państwa pogańskie. Głównym obowiązkiem cesarstwa było nawrócenie ich. Granicą chrześcijaństwa i pogaństwa w Europie była wtenczas granica niemiecko-słowiańska.

KRÓLESTWO NIEMIECKIE.

Wielkie państwo Karola Wielkiego rozpadło się następnie w r. 843 na trzy części; z części wschodniej powstało królestwo niemieckie. Niemieccy nasi sąsiedzi, sami mieczem nawróceni i ducha chrześcijańskiego w sobie nie mający, zabrali się pod pozorem nawracania do dalszego podboju ziem słowiańskich. Zaczęto potem nawet wywodzić, że skoro władza pogańskich książąt nie jest uświęcona przez Kościół, zatem ziemie pogańskie pana nie mają, są bezpańskie, niczyje i wolno je zabrać sobie; kto je pierwszy zdobędzie, ten będzie prawym ich władcą. Znaczyło to ni mniej, ni więcej, jak tylko, że poganie nie są bliźnimi, że wolno każdemu na nich się targnąć i ujarzmiać ich, bo ziemie ich są łupem, który wolno zabrać każdemu, kto ma do tego ochotę i siły. Tak tedy Krzyż, chrześcijańskie godło pokoju i miłości bliźniego, symbol błogosławieństw Bożych, był dla Słowian przez długie czasy znakiem wojny i pożogi, ciągłej trwogi i wszelkich okropności, gdy Go nad słowiańską granicę niosła niemiecka dłoń. Przodkowie nasi padli ofiarą strasznego, o h y d n e g o p r z e k r ę c e n i a c h r z e ś c i j a ń s t w a p r z e z N i e m c ó w.

Całą naszych przodków winą było, że w Europie oni najdalej mieszkali od Rzymu, skąd szło chrześcijaństwo i urządzenia państwowe, rozszerzające się stopniowo po Europie. Potężne frankońskie państwo powstało przez zetknięcie się z resztkami rzymskiej cywilizacyi; założyciel tego państwa, król Klodwik, walczył jeszcze z rzymskim namiestnikiem w dzisiejszej Francyi, a znowu Sasi i Bawarowie doszli wcześniej do urządzeń państwowych przez

zetknięcie się z Frankami. Podobnież w dalszym ciągu ci Słowianie, o których oparła się granica frankońskiego panowania, pierwsi urządzili się jako państwo i to samodzielnie. Tak powstało państwo Sama, a około roku 830 drugie w tej samej części Słowiańszczyzny, mianowicie państwo Wielkomorawskie. Zowie się tak, ponieważ powstało na Morawach, skąd rozszerzało się na wschód i zachód, obejmując z jednej strony Czechy, z drugiej sięgnąwszy aż do ziemi krakowskiej.

PAŃSTWO WIELKOMORAWSKIE.

Założyciel tego państwa, książę Mojmir, przyjął chrzest i uznał swe państwo częścią bawarskiego biskupstwa w Passawie, a przez to samo przyłączył do niemieckiej prowincyi kościelnej moguncckiej, bo biskup passawski należał pod arcybiskupa moguncckiego [1]). Niemcy żądali jednak, żeby uznał także ich świeckie zwierzchnicwo, choć król niemiecki nie był cesarzem, nie był świeckim naczelnikiem chrześcijaństwa! Z potomków Karola Wielkiego dwóch tylko królów niemieckich było zarazem cesarzami; zazwyczaj zaś bywali nimi inni potomkowie Karola Wielkiego, dalsi krewni królów niemieckich, panujący nie w Niemczech, ale we Francyi, w Burgundyi, w Lotaryngii, we Włoszech. Od roku 840 do 881 była korona cesarska właśnie od Niemiec oddzielona; nie chodziło tedy o uznanie zwierzchnictwa wspólnego wszystkim książętom chrześcijańskim, ale o poddanie Słowian Niemcom.

Król niemiecki Ludwik wyprawił się w r. 846 na Mojmira i strącił go z tronu, a osadził na nim jego synowca Rastyca, który udawał wobec Niemców potulnego. Wracając z tej wyprawy przez

[1]) Obszar Kościoła katolickiego dzieli się na patryarchaty, te zaś na tak zwane prowincye kościelne, na których czele stoją metropolici lub arcybiskupi. Prowincya arcybiskupia dzieli się na dyecezye, z których każda ma osobnego biskupa. Biskup dyecezalny może mieć przydanego do pomocy drugiego, który nazywa się sufraganem. Wobec arcybiskupa jest każdy biskup tej prowincyi jego sufraganem. — Najważniejszy patryarchat był od samego początku w Konstantynopolu, czyli Bizancyum, zwanem po słowiańsku Carogrodem, bo tam była stolica cesarstwa rzymskiego wschodniego, czyli bizantyńskiego. W zachodniej Europie sam papież jest patryarchą i arcybiskupi podlegają wprost Ojcu św. — Niemcy tworzyły już wtenczas dwie prowincye kościelne, mając dwóch arcybiskupów: w Moguncyi i w Trewirze.

Czechy do domu, zażądał Ludwik od czeskich wielmożów i drobnych książątek, żeby mu się zobowiązali do posłuszeństwa; jemu, a nie Rastycowi! A właśnie rok przedtem, w r. 845, ochrzciło się w Ratyzbonie w Bawaryi czternastu czeskich wielmożów. Od pogańskich żądał tedy król niemiecki poddaństwa, bo poganie, a od owych czternastu ochrzczonych chyba za to, że Słowianie! Czesi jednak, tak chrześcijanie jakoteż poganie, chwycili za broń i przez cztery lata wojowali pomyślnie z królem Ludwikiem. Dzięki temu zapewnił też sobie książę Rastyc zupełną niepodległość. Ale to niemieckie postępowanie wzbudziło obawę, że ludy Wielkomorawskiego państwa znienawidzą chrześcijaństwo. Rastyc pragnął szczerze chrześcijaństwo utrwalić. Obmyślił sposób, żeby przekonać lud, że chrześcijaństwo nie koniecznie jest niemiecką wiarą i nie musi się łączyć z niemiecką niewolą. Postarał się o apostołów słowiańskich.

ŚWIĘCI CYRYL I METODY.

Nie wszyscy Słowianie byli tak oddaleni od źródła wiary świętej, t. j. od Rzymu, jak Połabianie lub Morawianie, a cóż dopiero Polacy. Słowianie Bałkańskiego półwyspu, Bułgarowie i południowi Serbowie, mieli blizko do patryarchy w Konstantynopolu, toteż wcześniej się nawracali. Stamtąd sprowadził książę Rastyc dwóch katolickich kapłanów, Cyryla i Metodego, słynnych z nauki i gorliwości. Cyryl wynalazł nawet około 855 r. pismo słowiańskie, zwane głagolicą [1]) i przełożył księgi liturgiczne, żeby można było odprawiać nabożeństwo po słowiańsku. Było to w języku staro-bułgarskim, który w ten sposób stał się ze wszystkich słowiańskich najpierw piśmiennym. Dzisiaj nikt już tym językiem nie mówi, jest tedy językiem martwym, podobnie jak łacina, nie będąc nikomu mową ojczystą, znaną od dzieciństwa. Ale też podobnie, jak łacina w zachodnim Kościele, pozostała staro-bułgar-

[1]) Pismo to utrzymało się w księgach cerkiewnych niektórych okręgów Chorwacyi i Dalmacyi. Inne pismo słowiańskie, zwane cyrylicą i stąd mylnie temu apostołowi Cyrylowi przypisywane, rozpowszechniło się głównie na Rusi; od niego znowu pochodzi dzisiejszy kształt abecadła rosyjskiego, zwanego grażdanką. Wszystkie zaś te pisma wywodzą się z abecadła bizantyńskiego, t. j. średniowiecznego greckiego. Nasze zaś abecadło z łacińskiego się wywodzi.

szczyzna językiem ksiąg kościelnych i nabożeństw we wschodnim Kościele, w obrządku słowiańskim. Zowie się językiem cerkiewnym od wyrazu „cerkiew“ (w staropolskim języku „cerekiew“), znaczącego w wielu słowiańskich językach to samo, co „kościół“.

Bracia rodzeni Cyryl i Metody, pochodzili z miasta Solunia (czyli Saloniki) w cesarstwie bizantyńskiem. Cyryl był bibliotekarzem u patryarchy w Carogrodzie i profesorem filozofii, podczas gdy Metody był cesarskim namiestnikiem w jednej ze słowiańskich krain bizantyńskich. Obydwaj rzucili następnie świat i zostali mnichami w klasztorze na górze Olimpie. Czując w sobie powołanie misyonarskie, udali się na daleki Wschód, pomiędzy Chazarów, naród nie-aryjski, mieszkający wówczas między rzekami Wołgą a Donem i tam nawracali z wielkiem powodzeniem. Podróż na Morawy w r. 863 była tedy już drugą ich wyprawą apostolską. Przez nich zrozumiał lud, że chrześcijaństwo nie jest niemieckie, ale powszechne! Powstał też przez nich nowy obrządek w łonie katolickiego Kościoła, mianowicie rzymsko-słowiański. W Bułgaryi odprawiano nabożeństwa w języku cerkiewnym według ceremoniału carogrodzkiego. Na Morawach znany jednak już był i zaprowadzony ceremoniał rzymski; tego oni nie zmieniali, tylko liturgię na język cerkiewny przetłumaczyli. Nie było to więc to samo, co dzisiejsze (katolickie także) nabożeństwo unickie ruskie, to jest obrządek grecko-słowiański. W państwie Rastyca był obrządek rzymsko-słowiański. Grecko-słowiański, katolicki, można dziś oglądać na Rusi, a rzymsko-słowiański, również katolicki, w Chorwacyi, gdzie go wskrzesił na nowo wielki papież Leon XIII.

Apostolstwo św. Cyryla i Metodego, kapłanów carogrodzkiego patryarchatu, nie było na rękę Niemcom, bo przez to zrywał się związek kościelny Wielkomorawskiego państwa z Niemcami. Obaj ówcześni arcybiskupi niemieccy, moguncki i trewirski, byli wielkiem zgorszeniem całemu Kościołowi, bo nie chcieli papieżowi ulegać, a w oporze tym popierał ich król niemiecki Ludwik; ale choć sami w duchu zwierzchności papieskiej nie uznawali, zaskarżyli świętych braci w Rzymie, jakoby nie nauczali w duchu rzymskiego Kościoła. Pomagały im pozory, bo właśnie patryarcha carogrodzki Focyusz, zwierzchnik duchowny słowiańskich apostołów, zerwał w roku 867-ym z Rzymem, popadł więc

w schyzmę. Biskup passawski skarżył się, że w jego dyecezyi sprawują kapłańskie czynności bez jego upoważnienia, a skargę tę poparł arcybiskup mogunckí. Liczono na to, że Bracia nie staną przed papieżem i popadną w podejrzenie. Oni jednak wybrali się do Rzymu w r. 867 wraz ze swymi uczniami, dobranymi z krajowców Morawian, żeby ich tam na kapłanów dać wyświęcić. Papież Hadryan II. nietylko żadnej w nich nie znalazł winy, ale ich samych wyświęcił na biskupów, ustanawiając osobne morawskie biskupstwo i to z tym przywilejem, żeby było zależne wprost od Rzymu, nie należąc do żadnej metropolii. Usunął przez to samo papież wszelkie uroszczenia passawskie i mogunckie.

Król Ludwik trzykrotnie już wojował z Rastycem, w latach 855, 864 i 869, a zawsze bezskutecznie. Jednak w czasie czwartej wojny, w r. 870, uległ Rastyc wskutek zdrady własnego synowca Swatopluka. Pojmanemu wyłupili Niemcy oczy i zamknęli go w dalekim niemieckim klasztorze. Rządy zaś na Morawach oddali dwom królewskim niemieckim dostojnikom, zwanym grafami. Zniesiono więc państwo Wielkomorawskie i wcielono je do królestwa niemieckiego. Lud atoli powstał przeciw temu, i sam Swatopluk, spostrzegłszy swój błąd i winę, stanął na czele powstania, wypędził grafów, poczem obwołany był w r. 871 księciem Wielkomorawskim.

Na rządy niemieckich grafów natrafił w sam raz św. Metody, który sam wracał na Morawy, bo św. Cyryl zmarł w Rzymie (dnia 14 lutego 869 r., mając lat zaledwie 42). Niemieccy grafowie nawet nie dopuścili go do sprawowania biskupiego urzędu. Wkrótce był pojmany i przez półtora roku więziony przez passawskiego biskupa. Dopiero surowe upomnienia papieża Jana VIII., przywróciły wolność apostołowi. Natenczas ochrzcił Metody czeskiego księcia Borzywoja I. i odtąd Czechy z Morawą trzymały się razem, uznając zwierzchność Swatopluka. Niemieccy biskupi, obawiając się, że teraz utracą i Czechy ze związku swej metropolii, znowu oskarżyli św. Metodego o herezyę. Nowa tedy podróż do Rzymu w r. 879 i znowu powrót z jeszcze większym tryumfem. Papież wyniósł biskupstwo morawskie do godności metropolii, rozszerzając jej granice na północy Karpat aż po rzeki Bug i Styr, a na południu na Panonię, t. j. dzisiejsze Węgry i mianował pierwszym arcybiskupem morawsko-panońskim samego Metodego. Pod tym

arcybiskupem miało być trzech słowiańskich biskupów: w Czechach, na Morawach i w Nitrze na Słowaczyźnie. Sam św. Metody zamieszkał w Welehradzie na Morawach i tam dokonał świątobliwego żywota w r. 885. Mianował następcą ucznia swego Horazda; ale nieroztropny książę Swatopluk sam oddał biskupstwo Niemcowi Wikinowi. Ten wygnał słowiańskich kapłanów, sprowadził niemieckich i usunął obrządek rzymsko-słowiański. Papież Jan IX. zaprowadził go wprawdzie około roku 900 na nowo, ale trwał on zaledwie kilka lat, ciągle prześladowany. Tylko w Pradze Czeskiej utrzymał się jeden klasztor słowiański.

MADZIARZY.

I samo państwo Wielkomorawskie nie długo już trwać miało. Król niemiecki Arnulf sprowadził na jego pogromienie Madziarów. Był to lud mongolski, pokrewny Hunom i ich następca w szerzeniu spustoszeń. Przybywszy z Azyi osiedlili się nad morzem Czarnem, skąd zapuszczali swe zagony nad dolny Dunaj; stamtąd to przyzwał ich Arnulf, woląc mieć Azyatów, dzikich pogan, sąsiadami, niż chrześcijan, lecz Słowian! Takimi byli Niemcy chrześcijanami, że ich królowie sprowadzali zbójców na wytępienie sąsiedniego narodu! Swatopluk odparł wprawdzie najazd i niemiecki i madziarski w latach 892 i 893, ale gdy umarł w następnym roku 894, zaczęło państwo Wielkomorawskie szybko upadać. Synowie jego żyli w niezgodzie i przez to nie zdołali oprzeć się wrogom. Madziarowie nękali kraj ustawicznymi najazdami, aż w końcu w r. 907 zupełnie rozbili to słowiańskie państwo, poczem zaczęli napadać na Niemcy, i srodze dawali się im we znaki, aż dopiero pokonani w roku 955 zaprzestali łupieżczych wypraw.

POCZĄTKI CHRZEŚCIJAŃSTWA W POLSCE.

Dzieło św. Cyryla i Metodego ważnem jest i dla Polski. Był zwyczaj, że dyecezyom graniczącym z pogaństwem wyznaczano bardzo rozległe granice w stronę pogan, tak, że każde takie biskupstwo było zarazem missyjnem, z obowiązkiem czynienia starań o nawracanie pogan. Dlategoto granice morawskiej dyecezyi oznaczono aż po rzeki Bug i Styr, a więc daleko już na polskich ziemiach, jeszcze pogańskich (aż do wschodnich granic dzisiejszej Galicyi!) Jest nawet wielkie prawdopodobieństwo, że

znaczna część ziemi krakowskiej należała była do państwa Wielkomorawskiego. Nieco na wschód od Krakowa był główny gród plemienia Wiślan, Wiślica, na lewym brzegu Wisły. Jeden z wysłanników i uczniów św. Metodego, ochrzcił księcia Wiślan i to jest początkiem chrześcijaństwa w ziemiach polskich. Podobnież posyłał św. Metody swych kapłanów na Ślązk i również nie bezowocnie; jest nawet podanie, że aż do stolicy ludu Polan, do Kruszwicy nad jeziorem Gopłem, dotarli jego misyonarze. Zatem św. Metody jest także polskim apostołem i już w drugiej połowie IX. wieku zaczęło się chrześcijaństwo zwolna przyjmować w Polsce, a to bardziej w południowej Polsce, czyli Małopolsce, niż w północnej Wielkopolsce.

MARGRABIA GERON.

Po upadku państwa Wielkomorawskiego zaczęli Niemcy jeszcze bardziej nękać Połabian. Nad Łabą mieszkały liczne wielkie słowiańskie ludy Serbów północnych, Wilców i Obotrytów. Serbowie mieli swe siedziby bliżej Czech, a dzielili się na plemiona Łużyczan i Milżan. Na północ od nich mieszkali Obotryci między Łabą a Odrą; ci dzielili się na kilka plemion, z których najważniejsze Połabców i Wagrów. Na zachód od Obotrytów byli Wilcy czyli Lutycy, których siedziby sięgały aż do morza, a najważniejsze ich plemiona: Hawelanie i Stoderanie. Dziś z tych wszystkich Słowian została już tylko garstka Łużyczan; jest ich zaledwie 180.000. Z języka ich poznajemy, że ci Słowianie połabscy byli naszymi najbliższymi pobratymcami, bo język łużycki jest do polskiego jeszcze podobniejszy, niż czeski.

Gdy po wymarciu potomków Karola Wielkiego, wstąpiła na tron niemiecki dynastya Saska, pierwszy król z tego rodu, Henryk I., ażeby ułatwić sobie zabór ziem połabskich, ustanowił na słowiańskiej granicy umyślnych do tego dostojników, zwanych margrafami [1]). Ci mieli sobie wyznaczoną marchię, t. j. krainę graniczną, urządzoną zupełnie po wojskowemu i wolno im było na własną rękę z sąsiadem wojować lub zawierać pokój. W roku

[1]) „Graf“ znaczyło pierwotnie po niemiecku: „królewski urzędnik“, a granica nazywa się „marck“, więc „marckgraf“, uproszczone: „margraf“, a spolszczone: „margrabia“.

930 urządzono w ten sposób marchię północną (Nordmarck) przeciw Wilcom i Obotrytom. Tam był najokrutniejszy z margrafów, niecnej pamięci margrabia Gero, który raz w r. 940 (za panowania króla niemieckiego Ottona I.) zaprosił na ucztę trzydziestu książąt połabskich i wszystkich tych swoich gości kazał podstępnie wymordować! Powstała z tego powodu krwawa i straszna wojna, prowadzona po zbójecku! Niemcy nie poprzestawali na opanowaniu kraju, ale mordowali kobiety i dzieci całymi tysiącami, żeby się Słowianie nie mnożyli. Po kilku takich nawiedzinach tych chrześcijańskich sąsiadów, była pogańska ludność słowiańska zdziesiątkowana, a po latach kilkudziesięciu... zabrakło już pogan do „nawracania", bo byli wytępieni! W tento sposób posuwali się Niemcy ciągle naprzód, posuwali swe zabory od Łaby do Odry i założyli nowe dwie marchie na słowiańskich ziemiach: miśnieńską i łużycką. Około roku 960 upadł dzielny książę Stoigniew, obrońca niepodległości Obotrytów, a margrabia Gero postanowił podbijać jeszcze dalej na wschód i przekroczył Odrę.

Podczas tych walk nie zapomnieli też Niemcy o Czechach. Książę ich, Bolesław I. musiał się w r. 950 poddać królowi niemieckiemu Ottonowi I. Król ten był bardzo potężny; onto w pięć lat potem, w roku 955, tak pobił Madziarów, że odtąd zaprzestali już swych napadów; on też wznowił godność cesarską. Ostatnim przed nim cesarzem był książę włoski, Berengar, po którego śmierci, w roku 923, nie koronował papież nikogo na cesarza, aż dopiero Ottona I. w roku 962. Odtąd dbali królowie niemieccy coraz bardziej o to, żeby już kto inny nie dostał cesarskiej godności. Dla Słowian była to rzecz obojętna, bo królowie niemieccy i bez cesarskiej korony jednako ich tępili; ale gdy Słowianie nie chcieli się poddać, można już było teraz powiedzieć, że opierają się zwierzchnikowi całego chrześcijaństwa! Zaznały tego dosyć polskie dzieje!

Gdy margrabia Gero przekroczył Odrę, spotkał się zabór niemiecki z innym słowiańskim narodem na północy: z Polakami, a mianowicie z polskim ludem Polan. Po Połabianach miała przyjść kolej na Polaków; mieli oni służyć również na dalszy żer Niemcom.

Zanim opowiemy o pierwszem starciu się Polaków z Niemcami, zanim się wdamy w historyę tej niedokończonej jeszcze do dziś dnia wojny, która jest największem urą-

gowiskiem z chrześcijaństwa, przyjrzyjmy się w krótkości, jak ówczesne społeczeństwo było zorganizowane, czyli, jakie w niem były urządzenia, jaki był ustrój naszych przodków za czasów jeszcze pogańskich.

PIERWOTNE URZĄDZENIA W POLSCE.

Kraj cały był po większej części jeszcze pusty, w niewielu tylko okolicach było nieco więcej ludności, mieszkającej gromadnie. Na pewno wiemy zaledwie o czterech takich prastarych gniazdach zaludnienia: koło Krakowa pomiędzy wsiami Ojcowem a Mnikowem, — około jezior Gopła i Lednicy w Wielkopolsce, — nad Wisłą powyżej Warszawy i przy ujściu Wisły. Te cztery okolice zaludnione były gromadnie już w czasach należących tylko do archeologii, a nie do historyi i bezludne nigdy już potem nie były. W miarę przyrostu ludności rozchodziło się z tych gniazd osadnictwo na dalsze okolice. Sposobów do życia dostarczało łowiectwo, bartnictwo leśne, rybołostwo i hodowla bydła; rolnictwo było znane, ale należało raczej do wyjątków. Tamte zajęcia, łatwiejsze i mniej krępujące, wymagały znacznych przestrzeni. Ta sama ilość ziemi, która starczy na wyżywienie pewnej ilości osób z rolnictwa, nie wystarczy, żeby ich wyżywić z łowów lub z pasterstwa; toteż szybko następowało przeludnienie. Natenczas młodzież posuwała się dalej, zajmując okoliczną pustą ziemię, która niczyją jeszcze nie była. Osadnictwo posuwało się przeważnie wzdłuż biegu rzek, które też były głównemi drogami, a w wielu okolicach jedynemi. W ten sposób dokonywało się zaludnienie okolic nad rzekami wpadającemi do Wisły, w ten sposób Polanie z okolic Gopła zajęli okolice nad Baryczem i Orlą i z biegiem tych rzek dotarli do Odry, nad Widawą i z drugiej strony Odry nad Ślęzą i dali początek nowemu plemieniu Ślęzan czyli Ślązaków, którzy byli emigracyą Polan. Taki stopniowy, powolny, lecz stały ruch ludności trwał aż do XIII. wieku, dopóki cały kraj się nie zaludnił.

Podstawą organizacyi polskiej ludności, t. j. podstawą urządzenia wspólnego pożycia był od samego początku *ród*. Władza ojcowska jest władzą najstarszą i pierwotnie innej ani nie znano, ani nie potrzebowano. Władza ta była nieograniczona; póki żył ojciec, synowie nie mogli być samowładni, a ich potomstwo pod-

legało również władzy głowy rodu. Potomstwo zajmowało ziemię w najbliższem sąsiedztwie, ale nie na swoją osobistą własność, tylko w imieniu głowy rodu, na wspólną własność całego rodu. Zajmowali ziemię sąsiednią dopóty, póki nie natrafili na ziemię już przez inny jaki ród zajętą. Natenczas nie mogąc się dalej rozszerzać, karczowali część lasów, jeżeli okolica była do rolnictwa sposobna a ludzie mieli do sochy ochotę, albo też przenosili się gdzieś dalej, w pograniczną pustą jeszcze okolicę i tam nowy ród zakładali. W okolicy uposażonej obficiej w dary przyrody i oddalonej od innych osadnictw mogło nawet bardzo wiele rodzin, od tego samego przodka się wywodzących, pozostać w sąsiedztwie; pozostawały też pod władzą swego naczelnika rodu. Wyznaczał on sam następcę po sobie, swego brata lub syna, i to nie koniecznie najstarszego, lecz którego uważał za najzdatniejszego.

Pokrewne rody tworzyły większe całości, które zowiemy *plemionami*. Każde plemię uważało się za oddzielny związek t. j. oddzielną organizacyę. Gdy osadnictwo postąpiło na tyle, że zbliżyły się do siebie końcowe osady różnych plemion, dalsze przenoszenie się i przesiedlanie było już niemożliwe. Przyrastająca ludność musiała szukać wyżywienia na miejscach nawet mniej od przyrody uposażonych, niedostępniejszych i niedogodniejszych, które dotychczas omijano, tudzież zabierać się coraz bardziej do rolnictwa, co nazywamy wewnętrznem osadnictwem (kolonizacyą). Nastały „gorsze czasy“, jak sobie owoczesni ludzie pewnie mówili. Trzeba było robić niejedno, bez czego przedtem doskonale się obeszło, i poddać się trudniejszym, jak mniemali, warunkom walki o byt. Inaczej jedna tylko była rada: rzucić się na posiadłości sąsiedniego plemienia i przemocą zająć ziemię cudzą, gdy już nie było niczyjej! Toteż plemię od plemienia zabezpieczało się i odgraniczało się wielkim zasiekiem i broną, t. j. że całemi milami zrębywano szeroki pas boru, a tysiące leżących na sobie drzew, obrośniętych trawami i krzewami, tamowało przystęp; zostawiano tylko swobodniejsze przejście, jeżeli szła którędy droga, bez której nie można się było obejść. Tych zasieków i bron trzeba było pilnować, stać przy nich na „stróży“ i do tego ludzi kolejno wyznaczać. W razie walki trzeba było mieć do niej naczelnika, a dać mu władzę silną, bo na wojnie trzeba surowego rozkazu i ślepego posłuszeństwa; czem większa karność i posłuszeństwo, tem większa

rękojmia powodzenia. Wojenny naczelnik plemienia, to książę i taki jest początek książęcej władzy. Czem wcześniej które plemię tę władzę u siebie ustanowiło, tem większą miało przewagę nad sąsiadami.

W takiem „księstwie“ trzeba było mieć warownię, z której możnaby się bronić nieprzyjacielowi, a na czas niebezpieczeństwa przechować dobytek i mienie. Powstawały więc t. zw. *grody;* drewniane one były, bo kamiennego budownictwa jeszcze u nas nie znano. Na grodzie mieszkał książę ze swoją drużyną wojenną, t. j. z zastępem zbrojnych, tworzących pogotowie wojenne. Przez to stawał się gród stolicą plemienia; stąd rozchodziły się rozkazy, tu przychodzono rozstrzygać spory i tu najchętniej zatrzymywali się podróżujący cudzoziemscy kupcy. Koło grodu powstawało podegrodzie z mieszkaniami dla drużyny, a ze stosunków handlowych powstawały targi, przez które u stóp niejednego grodu wyrosło z czasem miasto. Do utrzymania grodu musieli się wszyscy przyczyniać i to jest najstarszy podatek. Opłacało go się nie pieniądzmi, bo obrót pieniężny jeszcze nie istniał, ale w naturze, t. j. własną pracą i dorobkiem. Trzeba było złożyć na grodzie przepisaną ilość futer, bydła, ryb, miodu, żeby drużyna miała się w co przyodziać i czem żywić; trzeba było zwieść i ociosać drzewo, gdy gród naprawiano i t. p. Później porozdzielano szczegółowo te powinności.

Dawne związki rodowe pozostały i nadal. Książę nie miał z początku innej władzy, prócz wojennej, która też dotyczyła wogóle tego wszystkiego, co się odnosiło do obrony ziemi. Rody pozostały organizacyą społeczną, a z władzy książęcej, z drużyny wojennej, z pelnienia powinności grodowych powstała organizacya państwowa.

Były to dopiero zaledwie słabe zawiązki państwowych urządzeń i minęło kilka pokoleń, nim ta nowa organizacya przyjęła się ogólnie, nie wszędzie równocześnie i nie wszędzie jednako. Ile było w Polsce pogańskiej takich organizacyj grodowych i kiedy która z nich powstała, tego już nie dobadamy się nigdy. To pewna, że zrazu były te „księstwa“ niewielkie, czasem nawet bardzo małe, ledwie najbliższą okolicę obejmujące; potem dopiero łączyły się ze sobą sąsiednie, ale czy dobrowolnie, czy też może nieraz przez przemoc księcia silniejszego?

WIŚLICA, TYNIEC I KRAKÓW.

Wiemy o trzech grodach, istniejących w południowej Polsce, czyli w Małopolsce, jeszcze za czasów pogańskich. Była już mowa o grodzie Wiślicy i księciu Wiślan, ochrzczonym przez wysłannika św. Metodego. Zdaje się, że był to już książę możniejszy, panujący nad znaczniejszym obszarem ziemi. W górę Wisły, na prawym brzegu, wznosił się prastary gród Tyniec, stolica niewielkiego plemienia i księstewka. O dwie mile w dół, na lewym brzegu Wisły, powstało nowe księstwo z grodem na Wawelu, gdzie pierwszym księciem był Krak, założyciel Krakowa [1]). Widocznie Wisła była tu granicą osiedlenia dwóch plemion, a w każdym razie inne było plemię koło Wawelu i pewno nie uznawało nad sobą władzy tynieckiego księcia.

Kiedy powstał Kraków, to się nie da oznaczyć ani w przybliżeniu i musimy poprzestać na odpowiedzi bardzo ogólnikowej: za czasów pogańskich. Ochrzczony książę Wiślan uznawał zapewne zwierzchność władcy Wielkomorawskiego państwa; sam Kraków należał wprost do tego państwa, a po jego upadku powstała tu zdaje się większa organizacya państwowa, do której należała i Wiślica, i Tyniec, a Kraków był stolicą. W drugiej połowie X. wieku dostał się Kraków pod panowanie czeskie. Kiedy mianowicie król niemiecki Otto I. zajęty był w r. 961 i 962 we Włoszech wojną z tamtejszymi książętami i staraniami o cesarską koronę, rozszerzył przez ten czas swe państwo książę czeski Bolesław, a mając już Morawy, posunął się dalej i zajął Kraków. Książę czeski był chrześcijaninem i panowanie jego sprzyjało rozwojowi wiary. Biskupi morawscy zaczęli znowu dojeżdżać do Krakowa, który należał zresztą do ich dyecezyi, a gdy zniszczony Welehrad opustoszał, biskup morawski Prohor osiadł na stałe w Krakowie; pozostał też w Krakowie jego następca, imieniem Prokulf, ostatni biskup dyecezyi „morawską“ zwanej. W ten sposób Kraków najpierwej w całej Polsce stał się siedzibą biskupią, chociaż nie było jeszcze „krakowskiego“ biskupstwa, ani też kraj nie był jeszcze

[1]) Podanie o smoku i Wandzie jest tworem wyobraźni i należy do t. zw. dziejów bajecznych, czyli raczej bajek dziejowych. Jakie było znaczenie i przeznaczenie kopców, zwanych mogiłami Krakusa i Wandy, niewiadomo.

zupełnie nawrócony. Było to już za czasów, kiedy na północy Polski miano się po raz pierwszy zmierzyć z Niemcami, a mianowicie z margrafem Geronem.

PAŃSTWO POPIELÓW.

Najważniejsze organizacye państwowe na północy były nad jeziorami Lednicą i Gopłem, a zwłaszcza nad Gopłem. Jezioro to ma dziś jeszcze 37 km., czyli 5 mil długości, a 4 km. t. j. przeszło pół mili szerokości, wówczas zaś było znacznie, może trzy razy większe. Wielkopolska bowiem osusza się coraz bardziej; dziś jeszcze jest z całej Polski najbardziej wodnista, pierwotnie była krajem przeważnie moczarowatym, pozbawionym borów, porosłym tylko gdzieniegdzie gajami liściastych drzew. Bagnistość utrudniała osadnictwo, ziemi zdatnej do uprawy było pierwotnie niewiele, toteż często stąd się przesiedlano, emigrowano. Ale za to nie było nigdzie tak dogodnej, na owe czasy, i łatwej komunikacyi, dzięki właśnie obfitosci dróg wodnych, poprzez setki jezior. Największe z nich, Gopło, było jakby środkiem tych wszystkich dróg, które się stąd rozchodzą na wszystkie strony, rzekami z jeziora wypływającemi i do niego wpadającemi. Z Gopła wypływa ważna rzeka Noteć, zwana z początku Mątwą; stanowiła ona zawsze najważniejszą w tych stronach drogę, przepływając liczne jeziora i łącząc się przez nie z Wartą, a następnie z Odrą. Tędy była główna droga od Polan do Wilców i Obotrytów, i nad morze Bałtyckie, tak do Wisły, jakoteż do Odry; gdzie tylko były suchsze wzdłuż niej miejsca, wszędzie powstawały osady. Na północnym końcu jeziora, gdzie wypływa Noteć, stanął na ostrowie, t. j. wyspie jeziornej, gród, zwany Kruszwicą, a naprzeciw grodu nad brzegiem jeziora osada handlowa, rozwijająca się szybko.

Kruszwica była stolicą księstwa, w którem panował ród Popielów. Było z tego rodu książąt kilku, rozszerzali oni panowanie swe coraz bardziej. Tu organizacya państwowa rozwinęła się najlepiej, największa była drużyna wojenna i władza książęca najsilniejsza, i to nietylko na wojnie. Tu z drużyny wojennej wyrobiła się osobna warstwa społeczna, z części jej powstał dwór książęcy, a na nim dostojeństwa, połączone z pewną władzą. Państwo Popielów było już zbyt rozległe, żeby jeden człowiek mógł w zupełności rządom podołać; więc zaczął książę udzielać

części swej władzy osobom, któremi się wyręczał i tak powstały w państwie Polan urzędy i urzędnicy. Najwyższym dostojnikiem był t. zw. piast, który był dozorcą, stróżem i opiekunem następcy tronu, i za osobę młodego księcia odpowiedzialnym. Urząd ten malał potem i tracił na znaczeniu, ale przetrwał w Polsce aż do XIII. wieku, a pochodzi on z Frankonii i jest dowodem dalekich frankońskich wpływów na dawne nasze państwowe urządzenia.

DYNASTYA PIASTOWSKA.

Za czasów ostatniego księcia z rodu Popielów były jakieś zaburzenia, wskutek których władza przeszła do nowej dynastyi. Książęcy tron otrzymał piast ostatniego Popiela, imieniem Chościszko (Chościsław), założyciel dynastyi Piastowskiej, która panowała na polskim tronie do r. 1370, a jedna jej gałąź miała udziały na Ślązku aż do roku 1675. Chościszka czasy przypadają na rok mniej więcej 850, a zatem trwał ród Piastów przeszło 800 lat. O Chościszku jest podanie, że kiedy jeszcze był piastem, użyczył u siebie gościny dwom wysłannikom św. Metodego, których nie chciał przyjąć ostatni z Popielów [1]). Po Chościszku nastąpili kolejno jego potomkowie: Ziemowit (to znaczy: pan ziemi), Leszek, Ziemomysł i Mieszko. Któryś z pierwszych Piastów przeniósł stolicę na gród na ostrowie jeziora Lednicy, skąd przeniesiono ją potem jeszcze nieco dalej, do nowego grodu Gniezna. Książę Mieszko miał stolicę już w Gnieznie, a panował nad wielkim obszarem, który zasługiwał już prawdziwie na nazwę państwa.

Imię „Mieszko“ znaczy w prastarej polszczyźnie: niedźwiedź. Nazwisk urobionych od nazw zwierząt pełno i dzisiaj; niedźwiedź jest królem naszych zwierząt, wyraża siłę, potęgę; o lwie nie wiele jeszcze słyszano, boć nie słyszano o tych dalekich częściach świata, w których on żyje. Chrześcijańscy książęta przydawali sobie często do swych chrzestnych imion przydomki króla zwierząt. Żyjący w sto pięćdziesiąt lat po naszym Mieszku margrabia brandenburski, Albrecht I., nazwał się też Niedźwiedziem (zmarł w r. 1170); współczesny mu zaś książę bawarski Henryk miał przydomek

[1]) Do bajek dziejowych należy podanie o Lechu, o znalezieniu gniazda białych orłów, o tem, jakoby księciem został rolnik lub kołodziej imieniem Piast, o jego żonie Rzepisze, o myszach, które zjadły Popiela, itd.

Lwa. Niema tedy nic szczególnego w nazwie naszego księcia; potem z Mieszka urobiło się imię Mieczysław.

PIERWSZA WOJNA POLSKO-NIEMIECKA.

Państwo piastowskie obejmowało okolice jezior Gopła i Lednicy aż po Odrę i osadnictwo wyszłe z tej krainy na południe, a więc Kujawy, właściwą Wielkopolskę i Ślązk. Te prowincye otrzymał Mieszko po swym ojcu, Ziemomyśle. Wielkopolska graniczyła z posiadłościami Obotrytów, ujarzmionych przez Niemców w r. 960 i Wilców, czyli Lutyków. Margrabia Gero trzymał się polityki, żeby Słowian najpierw osłabiać, podniecając ich do wojen między sobą, a potem żeby być tym trzecim, który zawsze z kłótni dwóch skorzystać może. W wojnie Mieszka z Lutykami stanął po ich stronie w ten sposób, że graf Wichman, podwładny Gerona, stanął na czele jakiegoś plemienia lutyckiego; dopiero gdy siły Mieszka osłabiły się już walką z Lutykami, wyruszył w pole sam Geron z drużyną wojenną niemiecką i zażądał, żeby książę Polan uznał jego zwierzchnictwo. Margrabia stracił w tej wojnie własnego syna, ale Mieszko musiał uledz; siły wrogów były zbyt przeważające wobec tego, że pobratymcy Lutycy stali po stronie niemieckiej. Nie chcąc próbować losu Obotrytów, ukorzył się Mieszko i przyjął zwierzchność niemiecką nad sobą. Było to według powszechnego zwyczaju połączone z ceremoniałem; przyklękało się przed zwierzchnikiem, składając niejako w jego ręce swą władzę i swe posiadłości, poczem zwierzchnik od siebie dopiero na nowo je nadawał, wręczając oznaki godności. Ceremonia ta nazywała się hołdem. Mieszko złożył hołd margrabiemu Geronowi w r. 963, t. j. uznał, że najwyższym władcą nad państwem Polan jest Gero, a on sprawuje rządy tylko za jego pozwoleniem i pod jego zwierzchnictwem.

DUBRAWKA.

Mieszko był dobrym politykiem. Zaraz zaczął szukać sprzymierzeńców, żeby rozporządzać większemi siłami. Najprostszym sposobem na Niemców byłoby, żeby sąsiednie północne słowiańskie ludy uznały wszystkie władzę Mieszka nad sobą; powstałoby wielkie państwo, któreby się Niemcom nie dało. Ale te ludy pełne swarów same między sobą, nie umiejąc się tak w związki łączyć,

jak Polanie i nie rozumiejąc, o co chodzi, dały się Niemcom wodzić przeciw Polanom. Zwrócił się przeto Mieszko ze swymi zamysłami w inną stronę, na południe, do Czechów, gdzie od dawna już był wytworzył się związek czyli organizacya państwowa. Posłał do czeskiego księcia z prośbą o przymierze i o córkę na żonę na znak przymierza. Książę czeski, z rodu Przemyślidów, Bolesław I., sam przez 14 lat wojował z Niemcami, a nie mogąc podołać przemocy, też w r. 950 hołd złożył; miał potem przynajmniej spokój i mógł wzmacniać swe państwo, które obejmowało nietylko Czechy i Morawy, ale też krainę nad górnym biegiem Wisły wraz z Krakowem. Gdyby te dwa państwa, Przemyślidów i Piastów, podały sobie ręce, mogłaby Słowiańszczyzna stawić opór Niemcom. Zrozumiał to dobrze Bolesław i dał Mieszkowi w małżeństwo swą córkę Dubrawkę, zwaną potem Dąbrówką.

Mieszko był poganinem, a rodzina jego narzeczonej już od czterech pokoleń chrześcijańską! Od roku 870 książęta czescy byli chrześcijanami; nie można było dać córki za poganina inaczej, jak tylko pod warunkiem, że chrzest przyjmie. Dubrawka przybyła do Polski w r. 965 otoczona dworem, złożonym oczywiście z samych chrześcijan i z nadwornym swym kapelanem. Książę oddalił od siebie pogańskie żony (jest podanie, że ich miał siedm), i stał się katechumenem, t. j. objawiwszy kapłanowi zamiar nawrócenia się, począł się obznajamiać z prawdami wiary chrześcijańskiej, przygotowywać do przyjęcia chrztu św. Następnego roku, 966, Mieszko się ochrzcił i zabrał się do zaprowadzenia nowej wiary w całem swem państwie, w czem wielką pomocą była mu małżonka. Z pewnością byli już wśród Polan i Ślęzan chrześcijanie, potomkowie tych, których nawrócili wysłannicy św. Metodego, a którzy sami niejednego też nawrócili. Przez ośmdziesiąt lat od śmierci wielkiego apostoła Słowian krzewiło się gorczyczne ziarno wiary, o czem książę oczywiście wiedział. Gdy w r. 966 wraz ze swym dworem i drużyną wojenną chrzest przyjmował, gdy potem wszystkich swych poddanych do chrztu wzywał, nie natrafił na żaden opór, co jest szczególnym w historyi wypadkiem. Polacy są jedynym na całym świecie narodem, którego nawrócenie obeszło się bez męczenników.

ROZDZIAŁ II.

MIESZKO I. (960—992).

PAŃSTWO CHRZEŚCIJAŃSKIE.

Książę ochrzczony brał na siebie obowiązki względem chrześcijaństwa; nie mógł mieć pogan na swym dworze, nie mógł poganinowi dać urzędu, ani używać go do posług książęcych, a więc ani przyjąć do swej drużyny wojennej. Obowiązkiem jego było skłaniać całą ludność do przyjęcia chrztu św., a tembardziej osoby wprost od siebie zależne i pozostające w najbliższem z nim zetknięciu. Byli już przedtem chrześcijanie wśród Polan, ale nieliczni i bez znaczenia; teraz zaś tracił wszelkie znaczenie, kto się przy pogaństwie upierał. Nawrócenia całego ludu nie dokona się w ciągu roku; skoro byli pod panowaniem Mieszka poganie z początkiem 966 roku, nie brakło ich oczywiście i z końcem tego roku i przez długi jeszcze szereg lat następnych. Trzeba było na to czasu, żeby ewangielia doszła do każdego zakątka kraju, ale była już rękojmia, że ona tam dojdzie bez przeszkody, skoro władza była w chrześcijańskiej ręce. Przez nawrócenie się księcia dokonała się w roku 966 sprawa najdonioślejsza: oto Polska wchodzi do społeczności chrześcijańskich narodów i do związku chrześcijańskich państw. Państwo polskie ma być odtąd nowym sługą Krzyża, ma się przyczyniać do ziszczenia królestwa Bożego na ziemi. Wartość jego zależeć będzie odtąd od tego, o ile przyczyni się do spełniania celów chrześcijaństwa, o ile odda swe siły na usługi chrześcijańskiego postępu, który tak łatwo rozeznać; bo czy w drobnej okazyi prywatnego życia, czy w najtrudniejszych zawikłaniach dziejowych, jednako do tego wystarcza prosty katechizm. Niech sobie inne

narody szukają chluby w samych wojnach i zaborach, niech mierzą wartość swych dziejów ilością pokonanych sąsiadów i niech się chełpią tem, że są postrachem dla innych: my wprowadzajmy do dziejów przykazania Chrystusa.

Przez chrzest powstała nienawiść ku nam pobratymców z nad Łaby. Woda chrztu św. stała się pomiędzy Polanami a Połabianami granicą silniejszą od gór lub obcej mowy. Tu chrześcijanie a tam poganie i rozumiał to każdy, że odtąd nie może już być mowy o żadnym politycznym związku z pogaństwem. I tak w roku 966-tym Piastowskie państwo na jeden raz odwraca się od pobratymców, a zbliża do Niemiec, ponieważ były chrześcijańskie. A jednak Połabianie nie powinni być pod niemieckiem panowaniem i raczejby należało sprządz ich z Polską przeciw niemieckiemu naporowi. Sprytną nadzwyczaj polityką umiał Mieszko wybrnąć z tych trudności; ani na jeden dzień nie łączył się z poganami, a jednak przygotował połączenie Połabian z Polską pomimo to, że oni nienawidzili Polski z całych sił, odkąd chrzest przyjęła.

NAPAŚCI MARGRAFÓW.

Zachowanie się Mieszka wobec Niemiec miało zależeć od tego, czy się zmieni ich zachowanie się wobec Polski już ochrzczonej. Początek nie zapowiadał żadnej zmiany. Wichman napadł znowu na ziemie Mieszka i poległ sam w walce z Polanami w roku 967. Po margrabi Geronie nastąpił Hodo, również srogi i wyniosły; nie pozwalał Mieszkowi stawić się przed sobą we futrze, ani usiąść, gdy on stał. Mieszko złożył hołd Geronowi i korzył się przed Hodonem, żeby się nie narażać na wojny, których wynik mógł być bardzo wątpliwy wobec nieprzyjaźni Wilców, Obotrytów i Pomorzan. Bronił się, gdy go napadnięto, ale nie chciał sam wojny wszczynać, pókiby nie powiększył swego państwa. Ród Piastowski dążył z największą wytrwałością do połączenia wszystkich polskich plemion. Miał już Mieszko pod swą władzą cały lud Polan wraz z wyszłemi z tego ludu plemionami Łęczycan, Sieradzan, Kujawian, Ślązaków. Ale były jeszcze cztery inne polskie ludy: Wiślanie, Lachy, Mazowszanie i Pomorzanie, których ziemie nie należały do Piastowskiego państwa. Połączenie ich w jeden związek państwowy ważniejsze było od walki z Niemcami na ślepo. Zależało mu nawet wielce na pokoju z Niemcami,

żeby mógł działać swobodnie w innej stronie i budować państwo wielkie, obszerne, potężne.

UCZCIWOŚĆ OTTONA WIELKIEGO.

Mieszko będąc chrześcijaninem, miał obowiązek uznawać nad sobą zwierzchność cesarską, ale też miał prawo domagać się cesarskiej opieki. I zaczął się jej domagać przeciw nadużyciom margrafa! Cesarzem był w sam raz król niemiecki. Jeżeliby cesarz postąpił nieuczciwie i trzymał się zasady, że Słowianie są tylko na to, żeby ich tępić, w takim razie miałby książę polski ręce rozwiązane i wszelka słuszność byłaby po jego stronie, gdyby kiedyś zwrócił swój oręż przeciw Niemcom.

Królem niemieckim był od r. 936 Otto I. z dynastyi Saskiej, który w roku 962 pozyskał i cesarską koronę. Data ta ważną jest w jego życiu i pod moralnym względem. Odtąd zmienia się Otto i rozpoczyna wielką europejską politykę. Celem jego było nawiązać stosunki i utrwalić związek z cesarstwem bizantyńskiem, ażeby natchnąć jednym kierunkiem całą Europę. Słusznie nadała mu historya przydomek Wielkiego, bo służył wielkiej sprawie utworzenia związku chrześcijańskich państw, zbratania chrześcijańskich narodów. Patrzał on daleko w przyszłość i prowadził politykę większą od niemieckiej, bo chrześcijańską. Zajęty we Włoszech w latach 966 i 967, w latach chrztu Mieszka i najazdu Wichmana, powrócił na północ w r. 968. Natchniony w wiecznem mieście, u grobu Apostołów, lepszem zrozumieniem monarszych obowiązków i odpowiedzialności, zrywa z dotychczasową polityką niemiecką względem Słowian. Panując nad dużym obszarem Słowiańszczyzny, przypomina sobie obowiązek krzewienia wśród tych ludów wiary, ale nie mieczem, lecz misyami i zakłada w r. 968 w podległych sobie ziemiach słowiańskich naraz pięć biskupstw: w Hawelbergu, Braniborze[1]) i Merseburgu nad Łabą, tudzież w Mysznach (Miśnia) i w Życzy w Górnych Łużycach. I nie przyłączył cesarz tych biskupstw do żadnej z niemieckich prowincyj kościelnych; utworzono z nich nową prowincyę z założonem

[1]) Branibor, po niemiecku Brandenburg, stolica prowincyi Brandenburskiej, uważanej za serce Niemiec! Kraj to pierwotnie zupełnie słowiański. Stolica Niemiec, Berlin, stoi na ziemi niegdyś słowiańskiej.

umyślnie arcybiskupstwem w Magdeburgu, pod niemieckiem panowaniem, ale na słowiańskiej ziemi. W Magdeburgu utworzono ognisko, z którego miały się rozchodzić w pokoju i sprawiedliwości promienie wiary św. na Połabian. To wszystko było jak najbardziej na rękę Mieszkowi; i dla niego byłoby lepiej, żeby się Połabianie nawrócili. I tak interes chrześcijaństwa, podjęty szczerze, pogodził sprzeczne interesy niemieckie i polskie. I Mieszko obowiązany był do krzewienia wiary, do założenia biskupstwa w Polsce. W tym samym też roku 968 powstaje pierwsze biskupstwo polskie w Poznaniu, jako szóste w nowej słowiańskiej, magdeburskiej, prowincyi kościelnej. Zarazem przeniósł też Mieszko i swoją stolicę z Gniezna do Poznania. Związek kościelny znaczył w owych czasach i pod praktycznym względem więcej od państwowego, bo był i bardziej cywilizacyjny i o dużo lepiej, ściślej, zorganizowany. Nawracanie Połabian, będących w jednym związku metropolitalnym z Polską, było też zacieśnianiem pobratymczych węzłów na przyszłość, skoroby tylko nad Łabą zniknęła nienawiść do chrześcijaństwa; skoroby zaś przestano nawracania mieczem, zniknąćby z czasem musiała.

PRZYŁĄCZENIE WIŚLAN I LACHÓW.

Dobre stosunki z Ottonem I. tem większą miały wartość dla Mieszka, że byłby bez sojuszników, gdyby wypadło walczyć nie z jedną marchią, lecz z całem królestwem niemieckiem. Nadzieje przywiązywane do sojuszu czeskiego zawiodły. Ojciec Dubrawki żył krótko, zmarł już w dwa lata po wyprawieniu córki nad Gopło, właśnie podczas najazdu Wichmana; skończył się więc sojusz. Z jego synem i następcą stosunki nie były serdeczne; dwaj dziewierzowie (szwagrzy) nie byli do siebie wcale podobni, a Bolesław II. czeski słabym był politykiem. Nie potrzebował też już Mieszko tego sojuszu, odkąd był pewny opieki cesarskiej przeciw margrabiemu i użył teraz czasu do wykonania upatrzonego i dobrze przygotowanego planu. Wpadł ze swą drużyną do Krakowa, który do czeskiego państwa Przemyślidów należał, odebrał go i do swego państwa przyłączył. Nie poprzestał na tem, ruszył dalej na wschód i zajął całą ziemię Lachów. Nie tworzyli oni jednolitego państwa; na każdym grodzie siedział osobny książę. Grody dalej na wschód wysunięte zwano Czerwieńskiemi, należały one do ple-

mion osiadłych nad Sanem, wpadającym do Wisły i nad górnym biegiem Dniestru, który płynie w stronę przeciwną, niż Wisła i wpada do morza Czarnego. I te grody Czerwieńskie wcielił Mieszko do swego państwa; zapanował tak daleko, jak daleko sięgały granice dyecezyi biskupa „morawskiego“, rezydującego w Krakowie. Znaczne już rozszerzenie się chrześcijaństwa wśród Wiślan i Lachów ułatwiało przyłączenie ich do chrześcijańskich Polan. Pozostały do przyłączenia jeszcze dwa polskie pogańskie ludy: Mazowszanie i Pomorzanie. Trzeba było rzucić tam pierwej ziarna chrześcijaństwa.

NAWRÓCENIE MADZIARÓW.

Zachwiany sojusz z Przemyślidami wynagradzało poniekąd nawiązanie bliższych stosunków z madziarską dynastyą Arpadów. Odkąd Otto I. pokonał ich w bitwie na błoniach nad rzeką Lech w roku 955, zaprzestali najazdów, a ograniczywszy się do nizinnej części dzisiejszych Węgier, zaczęli się tam urządzać w porządne państwo. Mieszko wydał swą siostrę Adelajdę, zwaną Biała Kniahini (t. j. piękna księżna), za pogańskiego madziarskiego księcia Gejzę. Adelajda była dla Madziarów tem, czem Dubrawka dla Polan; pozyskała męża dla prawdziwej wiary i nowy Kościołowi przysporzyła naród. Ona to jest matką węgierskiego króla św. Szczepana, siostrzeńca Mieszka I. Zabrała z sobą do nowej ojczyzny Wolfganga, mnicha z Einsiedeln w Saksonii, i on to ochrzcił Gejzę w roku 972. Następnego roku wybrał się tam na misyonarską wyprawę biskup Bruno, Niemiec rodem. Szczere bowiem zajęcie się Kościołem przez cesarza Ottona poczęło szybko wydawać owoce; zakwitnęły w Saksonii klasztory, pełne uczonych a żarliwych zakonników, poświęconych nawracaniu. I Polska i Czechy i Węgry wiele im zawdzięczają, a zwłaszcza benedyktyńskiemu opactwu w Korwei nad daleką niemiecką rzeką Wezerą, na zachód od Łaby.

ZWYCIĘSTWO NAD CYDYNĄ, 972.

Pokojowa polityka cesarza Ottona nie podobała się jednak margrabiemu Hodonowi. Podczas, gdy Otto bawił znowu we Włoszech, żeby tam jeszcze za swego życia zapewnić synowi cesarską koronę, wyprawił się Hodo na Mieszka. Ale polskiemu księciu,

który podwoił swe państwo, starczyło już sił na pokonanie margrabiego. W bitwie nad rzeczką Cydyną, wpadającą do Odry, odniosła drużyna piastowska świetne zwycięstwo dnia 24-go czerwca 972 roku; dowodził w tej walce nie sam Mieszko, lecz brat jego, Czcibór. Wieść o porażce niemieckiego wojska doszła do cesarza; zaraz po koronacyi swego syna wrócił na północ, przekonany zapewne, że to książę polski napadł na margrafa. Wróciwszy, dowiedział się, że przeciwnie i użył swej zwierzchniczej powagi w najlepszy sposób, bo zakazując dalszej wojny. Margraf musiał usłuchać, a Mieszko nie miał żadnej przyczyny wojować dalej, skoro już najazd odparł i kraj obronił. Cesarz zawezwał obydwóch przeciwników przed swój sąd do niemieckiego miasta Kwedlinburga.

PRZYJAŹŃ Z NIEMCAMI.

Monarchowie ówcześni i przez całe jeszcze średnie wieki nie wiele przesiadywali na jednem miejscu, lecz byli ciągle w podróżach po swoim kraju, boby inaczej nie wiedzieli, co się w państwie dzieje, a i ludy niewidzące przez dłuższy czas swego władcy tężby o nim zapomniały. Królowie niemieccy wprowadzili roztropny zwyczaj, że w czasie Wielkanocnym przepędzali jednak kilka tygodni na jednem miejscu i to w miejscu zawczasu na to obranem, żeby można było w całym kraju ogłosić, gdzie król spędzi tegoroczną Wielkanoc. Tam urządzano dwór monarszy, a dostojnicy królewscy z całych Niemiec zjeżdżali się, żeby się co roku wspólnie z królem naradzić, zdać sprawę ze swych urzędów i odebrać zlecenia; tam król rozsądzał spory, odbywał przegląd wojska i wydawał prawa. Od czasów Ottona I-go odbywało się to z wielką uroczystością, bo monarcha ten pragnął w tem naśladować cesarzów bizantyńskich, u których wszystko odbywało się z niesłychaną pompą. Królestwo niemieckie składało się z księstw, któremi zarządzali w imieniu króla książęta, zwani Herzog'ami. Sam cesarz Otto pochodził z rodu książąt saskich. Oprócz tego były cztery księstwa: frankońskie, bawarskie, alemańskie czyli szwabskie i lotaryńskie. Czterech tych książąt zamienił Otto w swoich urzędników dworskich, nadawszy im po raz pierwszy owe dostojeństwa nadworne do posług monarszych, które potem weszły w zwyczaj powszechny i wszędzie do dziś dnia istnieją; ustanowił marszałka,

podczaszego, miecznika i koniuszego; książęta ci usługiwali mu podczas wielkich uroczystości. Zjeżdżali na te królewskie święta nieraz i zagraniczni książęta; musieli nabierać niemałego wyobrażenia o potędze cesarskiej, gdy widzieli, jak taki np. książę bawarski, sam pan potężny, spełnia posługę nadworną. Margraf był niższy od księcia. Jeżeli więc na dworze znalazł się książę słowiański, który drżał przed margrafem, jakiegoż tu musiał nabrać wyobrażenia o potędze tego króla, który prócz tych książąt miał jeszcze pod sobą innych we Włoszech i był cesarzem!

Do Kwedlinburga na Wielkanoc 973-go roku zaprosił cesarz książąt polskiego i czeskiego. Jechało też tam poselstwo węgierskie, ażeby świeckiej głowie katolickiego świata donieść urzędowo, że dynastya Arpadów już nawrócona, że do społeczności książąt chrześcijańskich nowy przybywa członek i nowe państwo do związku narodów chrześcijańskich. Książę polski spotkał się tu po raz pierwszy z samym cesarzem. Dotychczas był Mieszko hołdownikiem królestwa niemieckiego, składając hołd tylko przedstawicielom niemieckiego państwa, margrafom. Tu w kwedlinburskiem, benedyktyńskiem opactwie, gdzie cesarz miał dwór, zmieniło się położenie. Cesarz stanął w sporze księcia z margrafem po stronie Mieszka i ogłosił go swym „przyjacielem“, naśladując dawny zwyczaj z czasów jeszcze pogańskich dawnego rzymskiego państwa. Znaczyło to, że cesarz uznaje w zupełności władzę Mieszka w jego państwie, uznaje, że księstwo Piastowskie nie należy do państwa niemieckiego, lecz jest osobnem państwem na równi z tamtem, a hołd oddaje nie niemieckiej, lecz tylko cesarskiej koronie, której zwierzchność uznawać winien każdy chrześcijański władca. Zakazał cesarz margrafom dalszych najazdów na Mieszkowe państwo. Margrafowie starali się osłabić stanowisko Mieszka na dworze cesarskim, bronili swojej wojennej polityki i podawali w podejrzenie księcia polskiego, utrzymując, że skoro tylko nie będzie się miał czego od Niemiec obawiać, sam się im dobrze da we znaki. Otton pragnąc się upewnić, że Mieszko pozostawi w spokoju margrabstwa, czyli marchie, t. j. pograniczne hrabstwa niemieckie, zażądał odeń rękojmi zwyczajnym ówczesnym sposobem, t. j. zakładnika. Dawało się w owych wiekach żywy zastaw na poręczenie, że się dotrzyma jakiego zobowiązania; osoba dana w zastaw zowie się zakładnikiem. Czasem dawało się po kilkudziesięciu zakładników, a zawsze takie osoby,

na których zależało stronie zobowiązanej. Było bowiem prawo, że biorący zakładnika mógł wtrącić go do więzienia, a nawet na śmierć skazać, jeżeli mu nie dotrzymano przyrzeczeń. Własnem tedy życiem dawał zakładnik poręczenie. Cesarz wziął od Mieszka jednego tylko zakładnika, ale też takiego, na którym księciu najbardziej zależało, bo pierworodnego i wówczas jeszcze jedynego syna: sześcioletniego Bolesława. Imię to, otrzymane po dziadku, a ojcu Dubrawki, znaczyło tyle, co mający piękną sławę.

W marcu 973 roku przywiózł Mieszko syna na dwór Ottona Wielkiego, zapewne w tej myśli, że się wychowa na cesarskim dworze, pozna wyższą cywilizacyę i nauczy niejednej rzeczy, która mu się potem przyda, gdy sam na tronie zasiądzie. Ale w dwa miesiące potem nie żył już Otton Wielki i młody Bolesław powrócił do Poznania. Z nowym królem niemieckim i cesarzem, Ottonem II-gim, pozostawał Mieszko w dobrych stosunkach. O sprawy północnej Europy nie wiele się zresztą troszczył Otton II.; całe niemal dziesięcioletnie jego panowanie (973–983) poświęcone było sprawom krajów południowych; chodziło mu o panowanie nad Włochami. Margrabiowie pozostawili też Polskę w spokoju, dzięki polityce polskiego księcia, który przez zręcznie obmyślane powinowactwa ich samych nawet do swojej polityki wciągnął. Owdowiawszy ożenił się z margrabianką z marchii północnej, a synowi kazał się ożenić z margrabianką miśnijską. Do tych spraw na zachodniej granicy swego państwa przywiązywał największe znaczenie, bo tu chodziło o Pomorzan i Połabian, i tak niemi był zajęty, że mniej zwracał uwagi na sprawy na wschodnich granicach swego państwa.

UTRATA GRODÓW CZERWIEŃSKICH, 981.

W roku 981 utracił grody Czerwieńskie. Zabrał mu je ruski książę kijowski z rodu Rurykowiczów. Mieszko dał za wygraną i nie kusił się o odzyskanie straconej ziemi, wytężając całą uwagę i skupiając wszystkie siły w zachodnim kierunku. Uważał tę stratę za coś podrzędnego wobec wielkiego swego planu, żeby ludy polskie skupić w jedno państwo z połabskiemi i czeskiemi, do czego przygotowywał wszystko z największą bacznością. Zanim jednak opiszemy tę działalność Mieszka, przyjrzyjmy się stosunkom ruskim przy sposobności tej pierwszej wzmianki o Rusi.

O Rusi będzie mowa przez całą historyę Polski; żyjemy też z Rusinami na jednej ziemi, jak niegdyś tworzyliśmy razem z nimi wielkie i potężne państwo. Mieszko myślał o wytężeniu sił polskich na zachód; historya jednak skierowała je w przeciwnym kierunku, właśnie na wschód. Wszystko, co Rusi dotyczy, jest więc bardzo ważne dla historyi polskiej, a wcale nie podrzędne, jak się to wydawało Mieszkowi i jego wojennej drużynie.

SPRAWY RUSKIE.

Na wschód od Polski jest Ruś, największy kraj ze wszystkich słowiańskich, zamieszkały przez kilkanaście plemion, które nigdy nie zdołały wytworzyć porządnego państwa, wśród których narodowe poczucie nigdy silnem nie było i jest za naszych jeszcze czasów słabsze, niż gdziekolwiek indziej w Słowiańszczyźnie. Ludność była tu zawsze rzadsza, niż u Słowian zachodnich, ale pomimo to miasta wcześniej się u nich rozwinęły. Przez Ruś bowiem wiodły jeszcze za starożytnych czasów ważne drogi handlowe, znane potem kupcom bizantyńskim. Handel rozwijał się coraz bardziej, zwłaszcza wzdłuż dwóch rzek: Dniepru, który wpada do morza Czarnego, a ma źródła daleko na północy na wyżynie Waldajskiej, i wzdłuż Dźwiny, której źródła są blisko źródeł Dniepru, ale płynie ona w innym kierunku i do Bałtyckiego morza wpada. W okolicy Orszy przewłóczono towary z Dniepru na Dźwinę lub odwrotnie, tak, że ta droga handlowa łączyła morze Bałtyckie z Czarnem, przerzynając całą Europę od północy na południe. Jeszcze w piątym wieku przed Chrystusem wyprawiali się w te kraje kupcy greccy z miasta Olbii (Olbiopolis) nad morzem Czarnem. Ustalona następnie droga wiodła od ujścia Dniepru w górę aż ku tak zwanym porohom. Skaliste dno Dniepru podnosi się miejscami tak wysoko, że tworzy jakby kamienne progi, ciągnące się w poprzek przez całe koryto rzeki, poczem nagle się obniża, wskutek czego na owym skalistym progu jest mielizna, a tam gdzie on się kończy, wodospad. Takich progów (po rusku porohy) jest trzynaście. Zaczynają się one w pobliżu ujścia rzeki Samary do Dniepru i rozciągają na przestrzeni dziesięciu mil ku południowi. Na tej przestrzeni żegluga na Dnieprze jest niemożliwa; musiano ją przerywać zaraz przy pierwszym porochu, podróżując dalej lądem. Dopiero minąwszy porochy można

było płynąć dalej. Nie zawsze dążyli kupcy ciągle w górę Dniepru. Czasem opuszczano Dniepr przy ujściu Prypeci; tu dzieliły się drogi. Prypecią płynęli w górę do ujścia Jasiołdy, potem Jasiołdą w górę aż do miejsca, gdzie blisko jest rzeka Szczara; tu przewłóczono towary na Szczarę i w dół rzeki płynęło się do Niemna, do którego Szczara wpada, a z Niemnem aż do morza Bałtyckiego. Niemal w środku między ujściami Niemna a Wisły jest kraina Sambia, kraj bursztynowy, skąd sprowadzono ten najcenniejszy w starożytności klejnot. Niektórzy kupcy docierali jeszcze dalej na północ.

Prócz Dźwiny i Dniepru jest jeszcze trzecia wielka na Rusi rzeka, a mianowicie Dniestr, który ma źródła w dzisiejszej Galicyi, blisko źródeł Sanu, do Wisły wpadającego. Pomiędzy źródłami Sanu a Dniestru są góry, dzielące je tak, że każda z tych rzek musi płynąć w innym kierunku. Dniestr płynie ku południowemu wschodowi, oddala się zupełnie od ziem zajętych przez Wisłę i jej rzeki poboczne, płynie do morza Czarnego. Pierwotnie nie było nad Dniestrem Rusinów. Górny bieg Dniestru, tak bliski dorzecza Wisły, miał osadnictwo polskie, z ludu Lachów, którzy posuwali się coraz dalej w dół rzeki, zajmując też część średniego jej biegu. Wiemy na pewno, że pierwotnie było zupełnie to samo osadnictwo nad Dniestrem, jak nad Sanem; grody, zwane czerwieńskiemi, i tu i tam były w ręku tego samego plemienia. Dalszy ciąg średniego i cały dolny bieg Dniestru znajdował się w krajach zupełnie pustych; żadnego tu nie było osadnictwa. Podobnież bezludnym był dolny bieg Dniepru, nad którym zaczynało się osadnictwo dopiero od Kijowa na północ. Pustą też była cała obszerna kraina nad górną i średnią Prypecią, bo była jednym wielkim moczarem.

Plemiona polskie nie stykały się pierwotnie nigdzie bezpośrednio z plemionami ruskiemi. Na północy bowiem oddzielało je osadnictwo innych ludów, o których później będzie mowa, Jadźwingów i Litwinów; na południu zaś wielkie zupełnie puste przestrzenie. Aż do końca X. wieku nie było żadnej styczności między tymi dwoma narodami słowiańskimi, dzieje ich rozwijały się zupełnie oddzielnie, bez jakiegokolwiek wzajemnego na się wpływu. Ruskie plemiona ulegały przemocy azyatyckich ludów ze Wschodu: Połowców, Pieczyngów i Chazarów. Co było na wschód

Dniepru, to już do Azyi się liczyło; potem jeszcze aż do XVII. wieku uważano za granicę Europy i Azyi rzekę Don, wpadającą na wschód od Dniepru też do morza Czarnego, a mianowicie do zatoki jego zwanej morzem Azowskiem. Były tedy ruskie plemiona ostatniem na wschodzie osadnictwem europejskiem i nie mogły mieć od wschodu żadnych cywilizacyjnych wpływów, sąsiadując tam z ludami na pół dzikimi. Od zachodu oddzielone od polskich plemion dziką również Jaćwieżą, odcięte były od wpływów zachodniej cywilizacyi. Ruś pierwotna mogła się była stykać z Europą tylko drogą północną i południową, od dwóch mórz: Bałtyckiego i Czarnego.

WAREGOWIE.

Na północy było blizko do Bałtyku, do którego wpada Dźwina. Rzeka też Wołchow, nad którą jest Wielki Nowogród, płynąc jeszcze dalej na północ, wpada do największego w całej Europie jeziora zwanego Ładoga, od którego zaledwie kilka mil do Bałtyckiego morza. Bałtyk jest wąski, zamarza w zimie, tak, że można to morze w tamtych stronach przebyć sankami. Ułatwiało to stosunki z krajem po drugiej stronie tego morza położonym, t. j. z półwyspem Skandynawskim. Kraj ten w części północnej jeszcze zupełnie pusty, zamieszkany był w południowej przez plemiona germańskie, z których wyrobiły się potem narody szwedzki i norwegski. Skandynawia była wówczas najuboższym krajem w Europie; ziemia uboga i klimat mroźny nie sprzyjały rozwojowi osadnictwa. Częściej, niż gdzieindziej, bywały tu złe lata, ziemia nie mogła wyżywić liczniejszej ludności; tu najłatwiej było o przeludnienie, toteż emigracya ludności była koniecznością i nie ustawała przez długie wieki. Była jednak zupełnie inną, niż w środkowej Europie. Skandynawcy na północ nie mieli po co wysyłać nadmiaru ludności, bo przy ówczesnym stanie cywilizacyi nie umiano opanować wrogiej tam człowiekowi przyrody, wśród ustawicznego mrozu i śniegu. Nie było innego sposobu, jak puszczać się na południe, a więc na morze. Skandynawcy są też najstarszymi żeglarzami ze wszystkich dzisiejszych narodów europejskich i nie bali się dalekich wypraw morskich w zamierzchłej jeszcze przeszłości. Wytworzył się wśród nich z czasem osobny stan, który utrzymywał się z wypraw morskich rozbójniczych. W kilkanaście statków przeprawiali się

na południową stronę Bałtyku, złupili jakie miasto, a nabrawszy zdobyczy wracali z nią do domu. Najchętniej wyprawiali się na wyspę Brytanię (Anglia), bo tam wskutek długoletniego pokoju był kraj doskonale zagospodarowany. Czasem nie wysiadali wcale na ląd w obcym kraju; spotkawszy w drodze obce statki rabowali je i znajdowali w ten sposób zdobycz na morzu. Czasem zaś dopływali do ujścia jakiej znaczniejszej rzeki i płynęli nią w górę, aż natrafili na zdobycz, poczem wracali z łupami. Te rozbójnicze wyprawy pozwalały znacznej części ludności pozostać w kraju i uwalniały od przymusu emigracyi; były to tylko czasowe wyprawy, jakby za zarobkiem. Poganami byli i uważali korsarstwo tj. rozboje na morzu i zbójnictwo poprostu za sposób do życia. Z czasem jednak było ich za dużo na to, żeby się wszyscy z korsarstwa na morzach północnych mogli utrzymać. Zaczęły się więc wyprawy dalsze i coraz dalsze. Za czasów Karola Wielkiego nawiedzili po raz pierwszy dzisiejsze francuskie wybrzeża, zapędzali się rzekami daleko w głąb kraju, łupili miasta i wsie. Za czasów Karola Łysego (około r. 850) urządzili sobie stałe stacye wojenne przy ujściach dwóch głównych rzek francuskich, Sekwany i Ligiery (Loary); zostawili tam załogi, żeby zawsze mieć te ujścia w swem ręku. Ale nie było to początkiem stałego osadnictwa Skandynawców, gdyż załogi te zmieniały się co roku, za każdą nową wyprawą. Wkrótce posunęli się jeszcze dalej na południe, na rzekę Garonnę, a w r. 859 byli już na rzece Rodanie. Trzy razy zdobyli Paryż w IX. wieku. I Niemcom dawali się we znaki. Nad rzeką Mazą wystawili gród, z którego przedsiębrali dalekie wyprawy w głąb lądu, aż do Moguncyi i Trewiru. Król niemiecki Arnulf zadał im ciężką klęskę, ale we Francyi powodziło im się coraz lepiej. Tymczasem zaś coraz większe przeludnienie Skandynawii parło do tego, żeby się w obcych krajach osiedlali, żeby na zimę całkiem do domu nie wracali, wskutek czego z napastników stali się zdobywcami. Zaczęli od pięknych, urodzajnych i bardzo już cywilizowanych i zagospodarowanych okolic francuskich. W roku 912 był król francuski zmuszony wejść z nimi w ugodę i odstąpić im część kraju, żeby resztę państwa uchronić od najazdów; żeby zaś mieć z nich dobrych sąsiadów, dał nawet swą córkę za żonę ich książęciu, żądając tylko, żeby chrzest przyjął (książę Rollo, przy chrzcie Robertem nazwany). Ponieważ skandy-

nawskich najeźdźców zwano we Francyi Normanami, zaczęto też odstąpioną im krainę nazywać Normandyą. Nazwa Normanów przeszła od Francuzów do innych języków europejskich, tak, że nazywa się ich powszechnie Normanami i w polskich książkach. Około roku 840 osiedlili się też w dwóch okolicach Anglii; nowe osadnictwo napływało tak licznie ze Skandynawii, aż wkońcu w r. 1016 stali się nawet panami kraju, a od r. 1066 zasiedli na tronie angielskim książęta z rodu władców Normandyi. Książę Wilhelm normandzki przeprawił do Anglii niemniej, jak 60.000 wojowników! Tak się rozwijała ich potęga. I na Pirenejskim półwyspie znano ich już w IX. wieku, a morzem Śródziemnem zapędzali się aż na bizantyńskie wybrzeża, a nawet do Azyi Mniejszej. W r. 1027 założyli sobie pod hrabią Rajnulfem własne państwo w południowych Włoszech, w połowie XI. wieku mieli już całą Apulię pod swoją władzą i zdobyli Sycylię; z tych zdobyczy powstało potem królestwo Obojej Sycylii. We wszystkich jednak tych krajach zlali się Normanowie z czasem z miejscową ludnością; stali się z biegiem czasu sami Anglikami, Francuzami, Włochami, przyjąwszy wszędzie chrześcijaństwo i cywilizacyę narodów, wśród których przebywali, choć władcami nad nimi byli; nie uważano ich też potem za obcych.

Część Skandynawców nawiedzała też Ruś Nowogrodzką, o tyle bliższą od dalekich południowych krain. Lud Swijów kierował w te strony swą zbrojną emigracyę, a zwłaszcza plemię zwące się „Rus“ wybrało sobie do swych wypraw rzekę Newę, jeziora Ładogę, Ilmen i rzekę Dźwinę. Zwano ich tu Waregami. Zamieszkałe tu plemiona fińskie i słowiańskie musiały im opłacać daninę, aż po pewnym czasie stało się tu to samo, co później miało nastąpić we Francyi i pozwolono się im osiedlać. W roku 862 stali się panami Nowogrodu. Nie stawiano im żadnego oporu. Stanął układ pomiędzy Rusami a Słowianami. Rusowie mieli się zachowywać spokojnie, zapewnić bezpieczeństwo handlu, nie robić wypraw zbójeckich, a za to Słowianie pozwalali im panować. Daninę i tak musiano im dawać, a nie było nigdy pewności, czy pomimo to nie wyprawią się nad Wołchow. Tamtejsza ludność rozumowała przeto w ten sposób: skoro już musimy utrzymywać Waregów swoim kosztem, lepiej, niech mieszkają między nami, a wyzyskamy przynajmniej na swoją korzyść ich wojenną

sprawność; gdy między nami osiądą, nie tylko skończą się ich najazdy, ale będą nas musieli bronić przeciw innym wrogom w swoim własnym interesie. Niech sobie będą panami kraju, byle go bronili i byle można spokojnie oddawać się handlowi. Szczególny brak jakiegokolwiek poczucia państwowego! Gdyby wśród Słowian nad Ilmeńskiem jeziorem była jakakolwiek organizacya państwowa, byliby sobie Waregów najęli, byliby ich wzięli na swój żołd, a już co najwięcej, byliby im odstąpili jaką krainę na osadnictwo. Zrobili ich panami nad sobą, bo nie mieli pojęcia, co znaczy organizacya państwowa i jaką ma wartość, gdy może być własna. Waregowie byli pod tym względem o wiele bardziej cywilizowani od owych Słowian, i przybywszy, jęli się zaraz zakładać państwo. Nie było ich tu tylu, co w Anglii i Francyi; te krainy nie były takie nęcące, jak tamte, i nie przybywały tu raz w raz nowe tłumy Waregów. Na tę stronę Bałtyku emigrowali przeważnie z jednego tylko plemienia Rusów i byli stosunkowo nieliczni, a jednak utrzymali panowanie nad rozległym krajem i nadali nawet swoją nazwę krajowi i narodowi. „Ruś“ nie jest wcale słowiańską nazwą, ale pochodzi od skandynawskich Rusów. A te plemiona słowiańskie o tyle tylko czuły jakąś między sobą wspólność, o ile były pod panowaniem Rusów i tak powstała nazwa narodu r u s k i e g o, nie posiadającego ani nawet nazwy rodzimej. Jak w zachodniej Europie, tak i tutaj zlali się Normanowie z miejscową ludnością; przyjęli słowiański język i obyczaj i po kilku pokoleniach przestali być obcymi.

RURYKOWICZE.

Przywódca drużyny Rusów, który owładnął Nowogrodem, imieniem Ruryk, stał się założycielem dynastyi, która panowała na Rusi przez siedmset lat. Waregowie, wojownicy dzielni i w sposobach wojowania bardzo wykształceni, obronili rzeczywiście kraj od ościennych wrogów. Wyprawili się na Chazarów, pokonali ich, uwolnili Ruś południową od tej zależności, a poddając ją swemu panowaniu, złączyli w ten sposób z północną. W roku 865 zajęli Kijów, skąd dalszych próbowali wypraw, zapuszczając się na swych czółnach aż pod Bizancyum, czyli Konstantynopol, przepływając tedy Czarne morze. Ale tam natrafili na starą organizacyę państwową: cesarze bizantyńscy wzięli ich na swój żołd i zamienili

w ten sposób z wrogów w obrońców wschodniego cesarstwa, ale w obrońców zależnych, którzy nie panami byli, lecz przeciwnie, władzę bizantyńskiego cesarza nad sobą uznawali.

Po Ruryku nastąpił najstarzy z rodu Oleg, a po nim syn Ruryka, Igor, zamordowany przez plemię Drewlan, które powstało przeciw jego panowaniu. Wdowa po Igorze, Olga, zdołała jednak utrzymać rządy nad Rusami dla swego małoletniego syna Światosława. Ten panował następnie do r. 972, a umierając, podzielił państwo pomiędzy trzech synów. Między braćmi wybuchła wojna, aż jeden poległ, drugi zamordowany i jedynym władcą nad Rusami i podległą im Rusią został książę Włodzimierz, zwany Wielkim, który zaprowadził chrześcijaństwo. Włodzimierz panował od roku 980 do roku 1015. Był bardzo zaborczy. Zaraz w drugim roku swego panowania, w roku 981 wyprawił się na zachód, na państwo Piastowskie i zabrał Mieszkowi grody czerwieńskie.

Rusini (zamieszkali w dzisiejszej wschodniej Galicyi) twierdzą, że ten kraj był ruskim od samego początku, a polska ludność z przybyszów się składa; nazywają nas nawet złośliwie „cudzymi ludźmi“. Dlatego przytacza się tu dosłownie, co napisał kronikarz ruski, Nestor, żyjący około roku 1100 w Kijowie, którego kronika jest najdawniejszem źródłem do historyi ruskiej:

Ide Wołodimer k Lacham i zają hrady ich, Priemyszl, Czerweń i iny hrady.

A zatem Nestor uważał te grody za polskie, bo ruskie „Lach“ znaczy: Polak.

CHRZEST RUSI, 988.

W siedm lat po zabraniu Czerwieńskich grodów przyjął książę Włodzimierz wiarę chrześcijańską w obrządku grecko-słowiańskim, to znaczy, że nabożeństwa odprawiać się miały w języku cerkiewnym według ceremoniału bizantyńskiego. Było to w roku 988. Patryarcha carogrodzki uczynił z Włodzimierzowego państwa osobną prowincyę kościelną, której stolicą, czyli metropolią, został Kijów, wskutek czego miasto to stało się ogniskiem cywilizacyjnem całej Rusi, która odtąd ulega wpływom bizantyńskim. W roku 988 istniała jedność Kościoła wschodniego z rzymskim; a zatem Włodzimierz chrzcił się w kościele katolickim, uznając papieża za głowę Kościoła.

POMORZANIE.

Miał Mieszko do czynienia ze Skandynawcami nietylko na południowym wschodzie, ale i na północnym zachodzie swego państwa. Tam chodziło tylko o część osadnictwa ludu Lachów, na północy zaś o cały lud Pomorzan, których trzeba było pozyskać dla polskiego państwa i chrześcijaństwa. Plemiona te mieszkały na północ od siedzib Polan i Kujawian, a ziemia ich Pomorzem się zowie, bo leży nad morzem, i zajmowała południowe wybrzeża Bałtyckiego morza, od ujścia Łaby aż poza ujścia Wisły na wschód. Na zachodzie byli już wyparci przez Niemców, którzy na prawym brzegu dolnej Łaby utworzyli marchię, zwaną „Billungsche Mark“. Na wschód od tej marchii mieszkało pomorskie plemię Rujan, których część przeniosła się na sąsiednią wyspę, nazwaną od nich Rujaną (Rugia, po niemiecku: Rügen). Tu była główna świątynia bożka Światowita. Rujanie mieli na stałym lądzie niewielki pas ziemi, ale przy ujściu Odry posiadłości Pomorzan rozszerzały się znacznie na południe, oddzielone od państwa Piastów szeroką przestrzenią mokradeł nad Notecią. Błota te stanowiły granicę szczelniejszą od gór; tylko w zimie można się było przez nie przeprawić w niektórych miejscach. Błotnistym też był kraj nad dolną Wisłą, a same już ujścia obejmowały jeden nieprzebyty moczar, tak, że o przedostaniu się z lewego brzegu delty Wisły [1]) na prawy nie mogło być mowy. Sąsiadowali Pomorzanie od zachodu, a plemię Rujańskie też od południa, z Wilcami czyli Lutykami i do tych mogli się łatwo przedostać; z Polanami jednak lub Kujawiakami nie mogli mieć większej styczności, nie mając do nich drogi przez nieprzebyte bagniska. Toteż związek Pomorzan z pobratymcami był nader słaby, jak najluźniejszy. I w samym kraju trudno się było przedostać z jednej okolicy do drugiej. U Pomorzan było przynajmniej dwa razy więcej jezior, niż ziemi, a ziemia po większej części bagnista. Kujawianom i Polanom pomagały jeziora do komunikacyi, można było na nich urządzać żeglugę; tutaj jezioro było często raczej rozrzedzonem błotem. To-

[1]) Niektóre rzeki rozdzielają się przed ujściem i kilkoma ramionami wpadają do morza. Kraina objęta takiemi ramionami zowie się d e l t ą od greckiej litery, mającej kształt trójkątny.

też komunikacya odbywała się tu morzem; płynąc wzdłuż wybrzeża, podróżowało się z jednej okolicy do drugiej. Więcej też ludności było nad morzem, niż w głębi kraju. Odcięci od południa, mieli za to Pomorzanie otwartą przed sobą drogę morską, na Bałtyk.

WIKINGOWIE.

Na Bałtyku nie byli jednak sami, tu trzeba się było dzielić panowaniem z sąsiadami z drugiej strony morza, ze Skandynawcami, a nieraz im uledz i podlegać ich władzy. Część Skandynawców zajęła gromadę pięknych wysp na północny wschód od Rujany, a nawet przeniosła się na ląd stały, na półwysep Jutlandzkim zwany, sterczący w morze daleko na północ, a oddzielający morze Bałtyckie od Niemieckiego. Byli to Dunowie, zwani także potem z łacińska Danami, przodkowie dzisiejszych Duńczyków. Sąsiadowali z Pomorzanami, dopóki ich nie rozdzieliły dwie marchie niemieckie: Szlezwicka i Billungów. Znali się dobrze od prastarych czasów i wiedzieli, czego się nawzajem od siebie spodziewać. Pomorzanie też chętnie zajmowali się korsarstwem i próbowali nieraz odebrać Normanom bogate łupy, wiezione z południowych krain. Ostatecznie jednak Dunowie byli górą, po ich stronie była przewaga. Jak Normanowie przy ujściu Sekwany i Ligiery we Francyi, tak też pobratymcy ich Dunowie mieli przy ujściu Odry swą stacyę wojenną i to znaczniejszą, która urosła już na sporą osadę i miała ludność stałą, nie zmieniającą się tylko ustawicznie załogę. Osada nazywała się po duńsku Jumna, po słowiańsku Wolinia. Założona była w miejscu bardzo sprytnie obranem, bo na morze nie można się było wydostać inaczej, i z morza w górę rzeki nie było też innej drogi, jak koło ich grodu. Zaraz zaś za ujściem Odry są dwie wyspy (Usedom i Wolinia) bardzo siebie blizkie, a tak położone, że zamykają niemal całkiem dostęp do morza, podczas gdy pomiędzy niemi a ujściem Odry tworzy się wygodna, obszerna i bezpieczna zatoka. Z zatoki można się na morze wydostać tylko wąskiemi cieśninami, a nad niemi panowała od wschodu potężna Wolinia, od zachodu mniejszy gródek Holgast. Odkąd te grody powstały, nie mogli już Pomorzanie uważać się za wyłącznych panów swego wybrzeża; w samym środku kraju, główną drogę opanowali Dunowie. Wolinia

urządzoną była zupełnie po wojskowemu. Opowiadają kronikarze, że niebyło tam całkiem kobiet, a nikomu nie było wolno wydalić się z grodu na dłużej, jak na trzy dni. To pewna, że korsarze z Wolini odznaczali się szczególnem zuchwalstwem i nadzwyczajną pogardą śmierci, właściwą ludziom nie krępującym się związkami rodzinnemi. W sześćset lat później spotkamy się z czemś podobnem, jak Wolinia i Holgast, w zupełnie innej stronie Słowiańszczyzny, nad porohami Dniepru; można więc wierzyć podaniom kronikarzy o urządzeniach w Wolini. Pomorzanie pogodzili się z tym układem rzeczy; za czasów Mieszka nie wojowali już z Dunami, a może i długo przedtem już żyli z nimi w pokoju. Niejeden Pomorczyk sam przystał do duńskich „wikingów“, t. j. korsarzy. Skandynawczycy wywarli wogóle znaczny wpływ na Pomorzan. Z całej Słowiańszczyzny tu były najsurowsze obyczaje; tylko tu składano bogom krwawe ofiary z ludzi, z jeńców wojennych, a kobiety nigdzie nie były w takiem poniżeniu, jak na Pomorzu. Pomorzanie ciągle obcowali z Dunami; chociaż na lądzie oddzielały ich niemieckie marchie, nie ustało ważniejsze sąsiedztwo na morzu; żeglując spotykali się nieustannie, codziennie. Niemcy nie znali zaś wówczas jeszcze całkiem żeglugi. Na morzu Niemca nie było.

TRZY ZWIĄZKI MAŁŻEŃSKIE.

Dbał Mieszko wielce o pokój; choć nie bał się i nie wahał dobyć oręża, gdy tego trzeba było. Ale nie był chciwy wojny, był władcą rozumnym, pojmującym stanowisko naczelnika państwa, jako obowiązek względem poddanych; pracował więc nad urządzeniem państwa, nad wzmożeniem jego sił, ażeby ich użyć można było skutecznie wtenczas, gdy będzie tego wymagać dobro rządzonego przezeń społeczeństwa i gdy będzie chwila sposobna do osiągnięcia tego dobra. Dobro naszych przodków wymagało, żeby założyć wielkie słowiańskie państwo, żeby połączyć Czechów, Połabian i Polaków ku wspólnej cywilizacyjnej pracy pod osłoną wielkiej państwowej potęgi. Myślał o tem Mieszko i syna swego w tej myśli wychowywał, ale obliczał rozważnie, co i jak przedsiębrać w tym celu i kiedy przedsiębrać. Połabianie byli pod niemieckiem panowaniem, pod margrabiami, ale pracowano teraz szczerze nad ich nawróceniem, pozakładano dla nich

biskupstwa, czegoby Mieszko nie był mógł uczynić; na razie tedy korzystniej nawet było dla ich przyszłości, że pozostawali pod zwierzchnością niemiecką, skoro była uczciwą. Gdyby byli niepodlegli, zwróciliby się zaraz przeciw Piastom! Interes polski wymagał tedy na razie tylko zgody z pogranicznemi połabskiemi marchiami. Najbliższe też lata swego panowania poświęcił Mieszko utwierdzeniu sojuszów wzdłuż całej zachodniej granicy państwa. Dlatego wstąpił w związki powinowactwa z margrabiami marchii Północnej i Miśnieńskiej. Próbował zapewnić sobie przez to wpływ na politykę margrabiów, zapewniał się, że nie wystąpią przeciw niemu, nawiązywał stosunki trwałe, które miały oddać potem nieocenione przysługi jego synowi i następcy.

W roku 977 zmarła Dubrawka, ta matka chrzestna Polski. Owdowiały książę nie szukał z razu nowej żony, ale w dwa lata potem powziął ów plan polityczny, żeby sobie utrwalić spokój od zachodniej ściany i postanowił pojąć za żonę Odę, córkę margrabi marchii Północnej, Dytryka. Trudno dziś dojść szczegółowo, jakie się z tem wiązały polityczne myśli, ale to pewna, że nietylko Mieszkowi samemu zależało wielce na tem małżeństwie, ale także księciu czeskiemu Bolesławowi II., skoro Mieszkowi do tego pomagał. Była zaś jedna trudność. Oda była nowicyuszką w klasztorze żeńskim przy kościele św. Wawrzyńca w Kalbe nad Salą, rzeką wpadającą do Łaby z lewego brzegu, także jeszcze na ziemiach słowiańskich. To Mieszka nie zrażało i postanowił przemocą postawić na swojem. Przepisów kościelnych dobrze nie znał, a biskupa do rady nie brał; sam jednak ostrożny, swojej ręki do tego nie przyłożył, tylko się czeskim dziewierzem wyręczył. Bolesław II-gi czeski wyprawił do Kalbe zbrojny hufiec, kazał Odę porwać i Mieszkowi odwieść! Jako nowicyuszka, mogła jeszcze wejść w związki małżeńskie; niema też najmniejszego śladu, żeby Kościół wystąpił był przeciw temu małżeństwu, a potomstwo z tego stadła, trzech synów, uważane było zawsze za prawe. Ojciec porwanej nie skarżył się i prawdopodobnie sam był w zmowie.

W cztery lata później, w r. 984, gdy syn Bolesław miał już lat siedmnaście, kazał mu się ożenić z margrabianką (niewiadomego imienia) miśnijską, córką margrabi Rygdaga.

Najważniejsze jednak małżeństwo, przez Mieszka obmyślane, miało się dokonać w następnym roku. Młodocianą córkę, córkę

Dubrawki, liczącą czternaście do piętnastu lat, dał w małżeństwo księciu skandynawskiemu Erykowi, w r. 985. Eryk panował nad ludem Swijów, który był największą organizacyą państwową we wschodniej części półwyspu skandynawskiego (w dzisiejszej Szwecyi). Stamtąd to ruszali Waregowie na drugą stronę Bałtyku, na Ruś, podczas gdy duńscy Wikingowie sadowili się na Pomorzu. Swijowie byli w ciągłej nieprzyjaźni z Dunami i to właśnie o Pomorze, na które także mieli ochotę. Nieprzyjaźń ta zaczęła się, zanim jeszcze Swijowie znaleźli na Rusi pole do pozyskania dobrobytu i władzy, a przez szereg długi ustawicznych walk i wzajemnych krzywd wzrastała ciągle z pokolenia w pokolenie, chociaż nie mieli już sobie czego wzajemnie zazdrościć, boć interesy ich już się nie wikłały, już każdy miał swoje w innej stronie Słowiańszczyzny. Dla dynastyi piastowskiej Dunowie byli niebezpieczni, bo dążyli do opanowania Pomorza, które Mieszko pragnął do swojego państwa przyłączyć. Jest nawet prawdopodobieństwo, że Mieszko walczył z Wolinią; nie mamy atoli bliższych wiadomości o tem. Zawarłszy sojusz z Erykiem, miał Mieszko zapewnioną na sposobną chwilę pomoc przeciw Dunom. Sojusz ten pozostawił swemu synowi i następcy Bolesławowi. Przedsiębiorcza Mieszkówna, nazwana przez Swijów Sygrydą z przydomkiem Storrada (wyniosła, wielkomyślna), wywierała stanowczy wpływ na Eryka; rządziła mężem starszym od siebie o trzydzieści lat i doprowadziła go do tego, że podczas dorocznej obrzędowej uczty na cześć bogów — Swijowie byli jeszcze poganami — ślubował podbić duńskie państwo. Jak żeby Mieszkówna po to umyślnie wyszła za niego! Eryk rzeczywiście ruszył na Dunów. Powiodło mu się. Króla duńskiego Sweina wygnał, a państwo jego do swego przyłączył.

WOJNA O PRAWA SIEROTY.

Mieszko, ubezpieczywszy sobie sojuszami całą granicę zachodnią, bezpieczny od margrabiów, mógł był zwrócić się teraz przeciw Włodzimierzowi i pokusić się o odzyskanie grodów Czerwieńskich, gdy wtem niespodzianie zaczął wojnę z Niemcami, do której dał się wciągnąć księciu czeskiemu. W grudniu roku 983 umarł cesarz Otton II., pozostawiwszy syna Ottona III., dziecię zaledwie trzyletnie. Książę bawarski, Henryk Kłótnik, pragnął zagar-

nąć tron dla siebie i wszczął wojnę domową w Niemczech. Pozyskał przeciw dynastyi saskiej pomoc Bolesława II., księcia czeskiego, poczyniwszy mu jakieś obietnice, a ten wciągnął do tej sprawy Mieszka. Równocześnie wybuchnęło powstanie Obotrytów i Lutyków przeciw niemieckiemu panowaniu, pod wodzą księcia Mestwina; wkrótce potem ruszyli się też południowi Połabianie. Marchia miśnijska, z którą Mieszko pozostawał w dobrych stosunkach, stanęła w płomieniach wojny. Bolesław czeski obiecywał sobie wiele po tej wojnie; sądził, że uda się zabrać marchie i że panowaniem nad Połabianami podzielą się słowiańskie dynastye Przemyślidów i Piastów. Cóż mogło być dla Mieszka bardziej pożądane, jak przyłączenie do swego państwa choć części Połabian? Dał się namówić. Względem Niemiec mógł się wytłómaczyć, że nie występuje wcale przeciw niemieckiemu królestwu, ale bierze tylko udział w starciu się dwóch niemieckich stronnictw i wojuje za sprawę tego, kogo za niemieckiego króla uważa, t. j. Henryka bawarskiego, od którego byłby potem wziął w lenno kraj połabski. Wszystko zdawało się dokładnie obliczone, toteż Mieszko zaniechał całkiem sprawy grodów Czerwieńskich, a zajął się tą wojną na zachodzie.

Pomylił się Mieszko najzupełniej w swych rachubach. Liczył na to, że książę bawarski wygra. Książęta czeski i polski uważali za rzecz pewną, że walka z trzechletniem dzieckiem musi się skończyć wygraną. Nie oni tę wojnę wywołali; skoro saska dynastya i tak runie, czemuż na tem nie zyskać, gdy Henryk bawarski gotów do targów za dostarczenie pomocy? Nie przypuszczali, że w obronie dziecięcia stanie wszystko, co tylko w Niemczech było lepszego i szlachetniejszego. Według prawa zwyczajowego słowiańskiego niemógłby nieletni Otton panować, aż chyba dopiero po dojściu do lat, a więc dopiero mógłby być następcą po Henryku. Sprawowania rządów przez opiekunów nie znało prawo zwyczajowe. To było nowym pomysłem, wypływającym z prawa kościelnego czyli kanonicznego. Kościół, stający zawsze w obronie słabszego, bronił z całych sił praw sierót; Kościół głosił, że przez małoletność nie może sierota nic tracić, a zatem i trzechletni Otton królem nietylko być może, lecz nawet być musi w imię słuszności; a rządy mogą tymczasem sprawować opiekunowie w jego imieniu. Koronacya dziecka byłaby czemś niesłychanem wśród niedawno

dopiero nawróconych, ale dała się uskutecznić tam, gdzie chrześcijaństwo było już od przeszło dwóchset lat, gdzie tyle było klasztorów, uczonych, czterech arcybiskupów (moguncki, trewirski, salcburski, magdeburski), szereg biskupów i liczny poczet kapłanów. A od czasów Ottona I. były w Niemczech górą chrześcijańskie zapatrywania; na dworze monarszym panowała uczciwość a duchowieństwo spełniało dobrze swe zadania, nie doznając w tem przeszkód od władzy świeckiej. Tego nie rozumiał jeszcze Mieszko, że Kościół przemienia duszę narodów, że cywilizuje, a kierując umysłami, wywiera przez to wpływ nawet na politykę. Na tem polegała jego pomyłka, że nie rozumiał jeszcze, jaką potęgą jest Kościół, że choć miecza sam nie używa, stanowić może o zwycięstwie.

Pomyłka Mieszka była tem dotkliwsza, że książę czeski sprawił mu wielki i bolesny zawód. Ażeby pozyskać sobie Połabian, stał się w ich kraju sam jakoby poganinem. Zajął Bolesław II-gi marchię miśnijską, zajął gród Myszny i uzyskał wpływ nad ludnością, gotową uznać jego panowanie, ale jak? Oto wygnał biskupa, pozwalał burzyć kościoły i tak wojna Słowian z Niemcami stała się walką pogaństwa z chrześcijaństwem. Mieszko nie przypuszczał, żeby książę czeski mógł się posunąć do tego, a gdy to się stało, musiał się z tej wojny wycofać jak najprędzej. Pogaństwa popierać nie mógł żadną miarą! Zerwał więc stosunki z Przemyślidami, opuścił nawet sprawę Henryka bawarskiego, która służyła za pozór do tej wojny, a uznał zaraz prawa Ottona III. i przyłączył się do jego stronnictwa. I dobrze się stało. W drugim roku wojny widoczne już było, że książę bawarski przegra, a w trzecim roku pięcioletnie dziecię zasiadło na tronie.

Na Wielkanoc 985 roku stanął dwór niemiecki znowu w Kwedlinburgu. Stawił się tam Mieszko wraz z Bolesławem czeskim i Mestwinem. Wszyscy gotowi byli hołd złożyć królewskiemu dziecku, które miało nad sobą opiekę biskupów i dwóch sławnych niewiast: słynnej z mądrości babki swej, cesarzowej Adelajdy i matki swej Teofanii, bizantyńskiej księżniczki, która przeniosła na dwór saski wielki ceremoniał, do którego przywykła w Konstantynopolu. Bolesław i Mestwin stali w pokorze, jako pokonani wrogowie. Mieszko, wycofawszy się wcześnie ze sprawy, stawił się jako sąsiedni władca chrześcijański, powitać i uznać zwierzchność

dziedzica cesarskiej korony. Tamtych nie przyjęto do łaski; od Mieszka przyjęto hołd i przyznano mu godność książęcą. Uznano więc jego rządy nad Polską, uznano państwo polskie. Spokój od Niemiec znowu był zabezpieczony. Zażądano jednak od Mieszka, żeby, jako hołdownik, dostarczył posiłków na dalszą wojnę z Czechami i Połabianami. Nie można się było wahać; trzeba było dać posiłki, albo samemu narazić się na wojnę ze zwycięską dynastyą saską i popaść powtórnie w wojnę pogan przeciw Krzyżowi. Dostarczył więc drużyny przeciw Połabianom. Złączył się z nimi powtórnie czeski książę, a gdy Mieszko był po przeciwnej stronie, więc i przeciw niemu zwrócił swój oręż. I tak z popierania Henryka Kłótnika, ze źle obliczonego politycznego planu zajęcia ziem połabskich, wyłoniła się ostatecznie wojna czesko-polska.

WOJNA CZESKO-POLSKA.

Nie można tej wojny uważać za walkę narodu polskiego z czeskim. Narodów jeszcze nie było, tylko ludy i plemiona, które zaborem, podbojem dokonywanym przez Piastów i Przemyślidów, sprzęgały się zwolna we dwa państwa. Gdyby jednej z tych dynastyj udało się drugą pokonać i państwo jej zagarnąć, byłby się z Polaków i Czechów wytworzył pod względem politycznym jeden tylko naród. Tak pokonani przez Franków Sasi stali się potem częścią narodu niemieckiego, chociaż różnica między nimi a Frankami lub Bawarami , różnica rodowa tj. pochodzenia i językowa nie jest wcale mniejsza, niż między Polakami a Czechami; potem dopiero wyrobili w sobie poczucie narodowej wspólności i przyjęli wspólny język piśmienny. Ile się narodów wyrobi z ludów słowiańskich od Bałtyku do Karpat, od Łaby do Bugu, to nietylko jeszcze zakryte było ludzkim oczom, ale nikt o tem jeszcze wówczas nie rozumował. Za tych czasów nie można mówić o polskim narodzie. Były tylko osobne ludy Pomorzan, Polan, Mazowszan, Wiślan i Lachów, dzielące się na plemiona i nie poczuwające się do żadnej jeszcze wspólności. Cała ich wspólność polegała na tem, że Piastowie zagarniali kolejno ich ziemie pod wspólne panowanie. Ta państwowa wspólność nie od nich jednak wyszła, lecz była im narzucona przymusem przez piastowską drużynę wojenną. Zupełnie tak samo było w Czechach. Książęcy ród panujący nad jednem plemieniem Czechów, w okolicy Pragi, rozszerzał

swe panowanie na plemiona sąsiednie, a że czescy nad niemi panowali książęta, zaczęto więc zwać cały kraj Czechami, a potem, gdy poczuli się do narodowej jedności, nazwę czeskiego plemienia uznali za nazwę całego narodu. Piastowskie państwo zaczęło się od ludu Polan, których po łacinie w aktach i dokumentach zwano: Poloni, a kraj Polonia. Był więc Chościszko księciem polańskim, tj. nad Polanami. Mieszko panował już o wiele dalej, ale nie miał tytułu innego, jak księcia Polan i tak samo jego następcy. Nazwa „Poloni“ udzielała się stopniowo wszystkim tym ludom, bo były pod władzą księcia polańskiego, czyli polskiego. Poczuwszy się potem do wspólności, zaczęli się sami nazywać Polakami. Znaczyło to z początku tyle, co poddany Piastowskiego państwa, a dopiero znacznie później znaczyło członka narodu, uważającego pięć polskich ludów za jednę nierozerwalną narodową całość. Tak czeski, jakoteż polski naród, wytwarzały się dopiero przez cywilizacyę, wspólność w kościelnej prowincyi i w jednem państwie. Gdzie zaś będzie granica przyszła pomiędzy czeskim a polskim narodem, o tem mogła była jeszcze stanowić polityka. Gdyby ziemia Wiślan należała przez długi czas do Przemyślidów, byłoby się wśród Wiślan wyrabiało poczucie wspólności z ludami mającymi wytworzyć naród czeski; gdyby Morawy pozostały przez długi czas pod Piastami, byliby Morawianie Polakami, oczywiście pod warunkiem, żeby te rządy były dobre, żeby się stały im miłe, bo inaczej powstałaby nie wspólność, lecz tem większe przeciwieństwo. Zdarza się to, że jakiś lud poczuwa się nie do tej narodowości, do której należy etnograficznie tj. z pochodzenia, lecz do sąsiedniej. Tak np. do narodu niemieckiego należą ludy, które z rodu i z mowy swojej są właściwie holenderskie; ale nie są Holendrami, lecz Niemcami. O narodowości stanowi bowiem nietylko ród i mowa, ale też rozwój historyczny. A trzeba do tego wyższej cywilizacyi, żeby było poczucie narodowe. Nie były jeszcze na tyle cywilizowane ani nawet Niemcy, a cóż dopiero mieszkańcy Czech, którzy razem z Lutykami burzyli jeszcze kościoły, lub ta drużyna Mieszkowa, ochrzczona dopiero przed dwudziestu laty.

Nie było więc żadnych narodowych niechęci pomiędzy ludami czeskimi a polskimi, ale tylko wojna Piastów z Przemyślidami. Mieszko dostarczył opiekunom Ottona III. posiłków przeciw Połabianom, gdy ci zajęli Branibor, a złączony z nimi sojuszem książę

czeski zaczepił za to Mieszka i najechał pograniczny Ślązk. Zajął warowny i bardzo ważny gród ślązki Niemcze i trzymał go w swej mocy przez cztery lata.

Mieszko zajęty wojną z Połabianami, nie mógł jej jednocześnie prowadzić na Ślązku tak, jakby należało. Zachodziła obawa, żeby się Przemyślidzi nie posunęli dalej na wschód i nie zabrali znowu Krakowa. Dlatego zawarł Mieszko ponownie sojusz z madziarską dynastyą Arpadów i powtórnie się z nimi spowinowacił. Była do tego sposobność, ponieważ podczas wojny przeciw Ottonowi III. rozerwało się małżeństwo Bolesława, Mieszkowego syna, z córką margrabi miśnijskiego Rygdaga. Wszak Mieszko wojował z Rygdagiem, będąc w sojuszu z księciem czeskim, który zajął chwilowo Miśnię. Nie wiadomo, czy Mieszko odesłał wtenczas synowę Rygdagowi, czy sama opuściła Poznań niezatrzymywana, dość, że małżeństwo rozeszło się po dwóch zaledwie latach pożycia. W r. 986 młody książę Bolesław uważany był za wdowca; ojciec kazał mu się ożenić z księżniczką węgierską, córką Gejzy. Książę czeski nie wyprawił się dalej na wschód, ale nie byłby się mógł i tak wyprawić na Kraków, choćby nawet nie było sojuszu Piastów z Arpadami, bo mu Niemcy pustoszyli tymczasem całe Czechy. Dynastya saska odnosiła ciągle zwycięstwa, a przyjaźń opiekunów Ottona III. wystarczała Mieszkowi zupełnie i więcej była warta od jakichkolwiek innych sojuszów. To siedmioletnie dziecię na niemieckim tronie miało we wszystkiem szczęście, na zawstydzenie wszelkich rachub ludzkich! Mieszko żałował, że niepotrzebnie syna ożenił z madziarską księżniczką, bo była sposobność ożenku lepszego, mogącego zapewnić Piastom wpływ na Pomorzu. Mieszko miał jeszcze bardzo pogańskie pojęcia o małżeństwie i nie widział w nim wcale sakramentu. Wszak sam żeniąc się nie uszanował nawet klasztoru. Obecnie zaś odprawił madziarską księżniczkę, jako już do niczego mu nie potrzebną, a synowi kazał pojąć nową żonę, choć z tamtą miał już syna imieniem Bezpryma. I tak dwudziestoletni książę Bolesław żenił się w r. 987 po raz trzeci, tym razem z córką księcia pomorskiego Dobromira, która musiała przyjąć chrzest i otrzymała imię Emnildy.

W r. 988 poddał się Bolesław czeski, do Miśnii wrócił biskup i margrabia, a Mieszkowi przyznano posiadanie Ślązka. Przemyślida nie chciał jednak ustąpić Piastowi. Pogodził się już z Niem-

cami, ale Mieszkowi nie mógł darować, że go w boju z nimi opuścił. W dwa lata potem, w r. 990 jeszcze raz złączył się z Lutykami, tym razem umyślnie już tylko przeciw polskiemu księciu. Mieszko w szybkim pochodzie zajmuje niespodzianie Morawy i posyła po posiłki do cesarzowej Teofanii, bawiącej w Magdeburgu. Przybywa hufiec niemiecki nad Odrę, gdzie stały przeciw sobie wojska słowiańskich dynastów, ale Czech fortelem przeszkodził połączeniu się drużyny niemieckiej z polską. Posyła potem do Mieszka, twierdząc, że już ma Niemców w swem ręku, a będzie mieć wnet i jego; niech odda Morawy, bo inaczej Niemców nie puści. Mieszko odpowiada na to, że Otton pomści się za swoich, a on Moraw nie odda. I zostały Morawy pod piastowskiem panowaniem aż do r. 1029.

W r. 992 wybuchnęło nowe powstanie pogańskich pobratymców przeciw niemieckim biskupom i margrabiom. Wezwany na pomoc nie odmówił Mieszko i wyprawił się na wojnę wraz z najstarszym synem, Bolesławem. W obozie pod Braniborem przypadł mu kres sędziwego żywota. Umarł dnia 25 maja 992 r.

Prawdziwy to założyciel polskiego królestwa. Dostał po ojcu państwo narażone na zagładę od Niemców, jednak swym rozumem tak utrwalił jego fundamenty, że mogło potem przetrwać najsilniejsze burze. Jak mądrze postępował, okazało się po jego śmierci, za panowania jego syna i wnuka. Nie poprzestał Mieszko na ułożeniu dobrych stosunków z Niemcami, ale pamiętając, że te zmienić się mogą, gdy od niemieckiego tronu inny wiatr zawieje, postarał się o opiekę duchownej głowy chrześcijaństwa, trafił tam, gdzie w razie potrzeby można się było poskarżyć choćby na samego cesarza.

HOŁD PAPIEŻOWI.

W r. 974 oddał Mieszko swoje państwo pod papieską opiekę. Uczynił to przy takiej sposobności i z takim ceremoniałem, który wymaga objaśnienia.

U ludów aryjskiego szczepu dokonywano uroczyście ceremonii przyjmowania chłopca do rodu, gdy ukończył siódmy rok życia. Wielka śmiertelność dzieci w pierwszych latach życia mogła być powodem, że na niemowlęta i całkiem małe dzieci prawo rodowe nie zważało. Siedmioletni chłopiec przechodził z macie-

rzyńskiej opieki pod kierunek ojca, zaczynał się zaliczać do mężczyzn; ojciec musiał go więc wprowadzić urzędowo niejako do rodu, uznać go swym synem przed starszyzną rodową, ogłosić, że przybywa rodowi nowy członek, a nawzajem stryjcowie i starszyzna oświadczali, że go przyjmują do swego rodu i praw nowego krewniaka w razie potrzeby będą strzegli. Towarzyszył temu ceremoniał postrzyżyn, gdyż włosy miały u nich tajemnicze znaczenie; kto dokonał postrzyżyn, wchodził z chłopcem w bliższy stosunek, przyjmował względem niego obowiązek opieki; strzygli mu więc włosy najbliżsi krewniacy i starszyzna. Zwyczaj ten ustawał w miarę pogłębiania się chrześcijaństwa, które wprowadzało uznawanie dziecięcia przez ojca zaraz po urodzeniu przy chrzcie św. i dodawało mu za opiekunów rodziców chrzestnych, a stosunek kumostwa postawiło na równi z pokrewieństwem. Postrzyżyny traciły przez to na znaczeniu i wartości, pozostały jeszcze jakiś czas jako zwyczaj nie mający już mocy prawnej, a potem zostały z niego tylko drobne ślady, pewne znaczenia przywiązane do podarowania włosów lub obcięcia ich komu przymusem itp., czego pozostałości istnieją zresztą jeszcze do dziś dnia. Na piastowskim dworze, chrześcijańskim zaledwie dopiero od ośmiu lat, miało to jeszcze najzupełniejsze znaczenie poważnego, doniosłego aktu prawnego. Urządził więc Mieszko uroczyste postrzyżyny, gdy pierworodny syn doszedł lat siedmiu [1]); bez tego mogłoby się wydawać jego poddanym, że nie uznaje Bolesława za syna, że się go wyrzeka a nawet go wydziedzicza. Postanowił zaprosić samego Ojca św. do tego obrzędu; było to tosamo, jak gdyby dziś np. jaki monarcha poprosił papieża na ojca chrzestnego. Nie myślał oczywiście Mieszko, że papież przyjedzie do Poznania. Zaprosiny odbyły się w ten sposób, że książę wyprawił do Rzymu poselstwo, które u stóp papieskiego tronu złożyło pukiel włosów młodego Bolesława. Znaczyło to, że ojciec poleca tego swego syna opiece stolicy apostolskiej, prosi, żeby papież uznał jego rodowe prawa, a zatem prawo do następstwa tronu po Mieszku, a więc mieściła się w tem prośba o uznanie samoistności pia-

[1]) O postrzyżynach samego Mieszka powstała potem legenda, że był do lat siedmiu ciemny i dopiero przy postrzyżynach przejrzał, co miało być wróżbą, że z ciemności pogańskich przejrzy światłem prawdziwej wiary.

stowskiego państwa; z drugiej zaś strony znaczyło to, że ten Bolesław pragnie być sługą stolicy apostolskiej.

Poselstwo z puklem włosów nie było w Rzymie nowiną, bo robili to już przedtem inni, i na dworze papieskim wiedziano dobrze, co to znaczy [1]). Przyjął więc papież ten dar, jako oznakę szacunku dla Głowy Kościoła, jako dowód szczerego nawrócenia się piastowskiej dynastyi. Poselstwo, w którem była oczywiście przynajmniej jedna duchowna osoba, udzieliło w Rzymie objaśnień co do polskich stosunków i obudziło na dworze papieskim zajęcie sprawami dalekiej północy i na tem polegała jego doniosłość.

Z drugiego małżeństwa, z Odą, miał Mieszko trzech synów. Średni z nich Świętopełk zmarł rychło; pozostali przy życiu starszy Mieszko i młodszy Lambert. I tych oddał ojciec również pod opiekę papieża i wyprawił z tem poselstwo do Rzymu pomiędzy rokiem 985 a 989. Pozostał ślad tego w aktach papieskich. W rejestrach kancelaryi papieskiej wpisano mianowicie darowiznę piastowskiego państwa stolicy apostolskiej i są tam opisane granice tego państwa. Zastrzegał się Mieszko przez to, że tylko samemu papieżowi chce podlegać, a nie królom niemieckim. Syn jego miał tę myśl wykonać.

Przedstawił Mieszko wszystkich swych synów w Rzymie, jako swych następców, boć nie można było przewidzieć, który z nich będzie tego potrzebować; wszak śmierć wszystkim zawsze grozi. Ale to poselstwo wyprawione imieniem młodszych synów, nie oznaczało wcale, jakoby najstarszego Bolesława usuwał od następstwa. Wszak go miał ciągle przy sobie i do rządów zaprawiał; pod Branibor towarzyszył mu Bolesław i dowodził drużyną wojenną. Pozostał tam, aż Branibor Lutykom odebrano. Okazał się więc na samym wstępie wiernym sprzymierzeńcem Ottona III.

Macocha Bolesława, Oda, żądała podobno podziału państwa, żeby i jej synowie, a Bolesławowi bracia przyrodni, mieli swoje księstwa. Nie przystał na to Bolesław. Zresztą brat Mieszko miał co najwięcej 12-cie lat, a Lambert nie miał dziesięciu; nie będąc

[1]) Nawet jeden z cesarzów bizantyńskich posłał papieżowi włosy swych synów, a mianowicie w r. 684 cesarz Konstantyn Pogonatos; wyszło wtenczas naprzeciw bizantyńskiego poselstwa duchowieństwo, wojsko i lud rzymski. W dwa wieki potem, w roku 866 posłał książę bułgarski Borys swoje własne włosy.

jeszcze „orężnymi“, tj. nie mogąc władać należycie orężem i wojskiem dowodzić, nie mogli też według prawa słowiańskiego panować. Dobro państwa wymagało również stanowczo, żeby nie dopuścić podziału; co dopiero Mieszko zebrał Polan, Wiślan i Lachów, a zdobył Morawy; miałoż się to znowu rozdzielać? Nie! Nie dzielić należało, ale dalej jeszcze łączyć, odzyskać Czerwieńskie grody, przyłączyć Pomorzan i Mazowszan. Oda nic nie wskórawszy, wyjechała do Kwedlinburga i tam zamieszkała w klasztorze. Synów zabrała z sobą; co się z nimi stało, niewiadomo. Prawdopodobnie nie długo żyli. Starszy Mieszko ożenił się jednak (a żeniono się nadzwyczaj młodo) i miał syna Dytryka, o którym później będzie mowa, bo został potem w roku 1032 księciem panującym w Polsce.

Takiem było panowanie pierwszego chrześcijańskiego księcia Polski. Zawdzięczamy mu światło wiary świętej i samo istnienie polityczne Polski. Gdyby się był upierał przy pogaństwie, byłaby Polska dla Niemców „ziemią niczyją“, którą wolno grabić i podbijać, a za czasów olbrzymiej potęgi dynastyi Saskiej skuteczna obrona niepodległości była niemożebną. Za pogańską Polską nie byłby się odezwał ani jeden głos życzliwy, wszyscy byliby popierali margrafów Geronów i Hodonów. Ochrzczony Mieszko, gnębiony przez margrabiów, pozyskał przeciw nim cesarza i mógł bezpiecznie utrwalać byt swego państwa. Polityka jego nadzwyczaj mądra, nie wyrywa się naprzód, raczej trzyma się tej zasady, żeby czekać i przeczekać nieprzyjaciela, aż się samemu urośnie w siły. Urządził się tak, że nie poniósł szkody ani od Niemców, ani od Połabian. Umiał wyzyskać do swych celów najnieprzyjaźniejsze na pozór okoliczności, a z najcięższych kłopotów wybrnąć potrafił zwycięsko, zawsze umiejąc sobie radzić. Raz się pomylił, ale skoro tylko pomyłkę spostrzegł, zaraz ją naprawił. Niema w nim ani śladu uporu, a jest wytrwałość godna największego podziwu. Wszystko obliczał i przewidywał, wszędzie miał jakieś stosunki, które mu ułatwiały każdy obrót polityczny. Sprawiał sąsiadom nieraz niespodzianki. Można się po nim było zawsze wszystkiego spodziewać, tylko jednego nie: żeby pogan popierał. Nie rozumiał on dokładnie chrześcijaństwa i Kościoła, ale to wiedział i tem się na wskróś przejął, że dla Polski tylko w chrześcijaństwie przyszłość być może i przy tem stał, nawet o pobratym-

stwo nie dbając. Był przebiegły, nawet chytry, ale używał tych przymiotów na dobre, bo na obronę wiary i narodu. Nic mu nie wiodło się łatwo; nad wszystkiem musiał się namozolić i spędzić życie w twardym trudzie, wśród ustawicznych niebezpieczeństw; ale zawsze czujny i przezorny, a czynny do ostatniego dnia żywota, sprawił jednak, co chciał i tak rzeczy ułożył, że państwo rozszerzone mogło się rozszerzać dalej jeszcze i urość do wielkiej potęgi, i dorównać niemieckiej. To sprawił jego następca, prowadząc dalej dzieło przez ojca świetnie przygotowane.

ROZDZIAŁ III.

BOLESŁAW WIELKI (992—1025).

Bolesław wstępując na tron miał lat 25, a był już ojcem rodziny i to licznej, bo dwóch synów i trzech córek. Ze sprawami państwa był dobrze obznajomiony, bo go ojciec do nich zaprawiał, brał z sobą i na dwór cesarski i na wyprawy wojenne. Stosunki niemieckie poznawał od dzieciństwa, miał zaledwie sześć lat, gdy po raz pierwszy znalazł się w Kwedlinburgu. Wychowany w wierze chrześcijańskiej, rozumiał dokładnie znaczenie Kościoła. Na dworze Ottonów widział, jak dla władzy wymaga się nietylko uległości i posłuszeństwa, ale zarazem, jaką powagą i świetnością otoczona jest ta władza na zewnątrz. Przekonywał się też, jakiego poważania zażywa duchowieństwo, jak po klasztorach pielęgnują nauki, jak wielcy panowie, władcy księstw, zarządcy hrabstw niemieckich zasięgają rady u skromnych mnichów, żyjących w prostocie, i jak wyższe duchowieństwo bierze udział we wszystkich czynnościach państwowych. Pod tym względem przewyższał Bolesław swego ojca, stał na wyższym poziomie cywilizacyjnym. W polityce było jego panowanie po prostu dalszym ciągiem ojcowskich rządów. Budując dalej na podwalinach założonych przez Mieszka, uczynił z Polski państwo wielkie i potężne. Spełnił wszystko, do czego zmierzał był ojciec trudem całego życia, aż w końcu dorobił się królewskiej korony. Za niepospolite czyny przyznały mu najstarsze już nasze zapiski historyczne przydomek Wielkiego.

Umiał i on czekać i przeczekiwać. I on zaczął panowanie

od tego, że pomagał Ottonowi III-mu przeciw Lutykom. Zyskiwał za to zupełny spokój od niemieckiej ściany, a siły swe zwrócił na północ ku Bałtykowi.

ZDOBYCIE POMORZA.

Bolesław przyłączył Pomorze do polskiego państwa, korzystając ze sprzyjających okoliczności, gdy dzięki siostrze Sygrydzie nie było się czego obawiać od Dunów, a dzięki żonie Emnildzie można tam było zebrać życzliwe sobie stronnictwo. Było to przedsięwzięcie jak największego znaczenia dla przyszłości Polski. Naturalnemi drogami są rzeki, a te wiodą do morza; kto nad wybrzeżem nie panuje, ten nie posiada dla siebie drogi całej i zawsze będzie zależny mniej lub więcej od tego, kto ma w swem ręku koniec drogi, t. j. ujście rzeki. W roku 994 zajął Bolesław dwa główne grody pomorskie: nad dolną Odrą Szczecin i Gdańsk na lewym brzegu ujścia Wisły. Miał teraz w swem państwie pogan, czego nie miał Mieszko po roku 966. Gdyby się udało pogodzić Pomorzan z chrześcijaństwem, otwarłaby się droga do porozumienia z dalszymi pobratymcami, z Połabianami. Czy żył jeszcze w roku 994 Dobromir, teść Bolesława, nie wiemy. Nie wiadomo również, ile było księstw pomorskich. Zdaje się, że Bolesław odjął panowanie książętom pogańskim, a pozostawił przy władzy jeden tylko z książęcych rodów pomorskich, ten, z którym był spowinowacony, a który godził się na chrześcijaństwo. Ten książę przyjął też chrzest w r. 996 i zaręczył się z trzynastoletnią córką Bolesława, zrodzoną z pierwszej jego żony, margrabianki miśnijskiej. Małżeństwo to doszło następnie do skutku, a późniejszy książę pomorski Ziemomysł był ich synem. Nie wcielił więc Bolesław Pomorza bezpośrednio do swego państwa, ale uczynił je tylko zależnem od siebie, ażeby krainę tą podlegającą polskiemu wpływowi, złączyć politycznie z Polską.

W rok po zdobyciu Gdańska i Szczecina umarł Eryk swijski, w r. 995. Owdowiała Sygryda miała wyjść powtórnie za mąż za Olafa, chrześcijańskiego księcia Norwegów, w zachodniej części skandynawskiego półwyspu (skąd Normanowie pochodzili). Małżeństwo jednak nie doszło do skutku; Olaf zaręczył się, ale wkrótce Sygrydą wzgardził. Natenczas Piastówna wyszła w r. 998 za tego samego Swena Widłobrodego, przeciw któremu namówiła niegdyś

pierwszego swego męża i który też dopiero po jego śmierci na tron duński powrócił. W Upsali panował nad Swijami młodziutki syn Sygrydy, imieniem także Olaf, wnuk Mieszka I. po kądzieli, a Bolesława siostrzeniec. Upodobał on sobie dworzankę matki, Polkę, która przybyła do Skandynawii w służbie Sygrydy; miał z nią syna, nawrócił się pod jej wpływem i jawnie potem chrzest przyjął. Sygryda zaś skłaniała do chrześcijaństwa Swena duńskiego, ale nim go zupełnie nawróciła, skłoniła go do wielkiej wyprawy na chrześcijańską już Norwegię, która też przeszła w roku 1000 częścią pod duńskie, częścią pod szwedzkie panowanie. Państwa skandynawskie poważnione i zajęte kolejno wojnami pomiędzy sobą, były osłabione na zewnątrz; Wikingowie nie mogli się upomnieć o daninę pobieraną od dawna z Pomorza i tak przeszło Pomorze pod władzę Bolesława bez jakiejkolwiek przeszkody ze strony duńskiej.

WYPRAWA PRUSKA.

Oręż Bolesława sięgnął i na prawy brzeg Wisły, dalej na wschód, gdzie już kończyło się osadnictwo słowiańskie, do kraju Prusaków. Nie było do nich przejścia lądem od Gdańska, a żeglarzami Polanie nie byli. Czy miał łodzie od Pomorzan, od Wolińskiej osady lub od siostry Sygrydy, nie wiemy. Łatwiej jednak przypuścić, że na Prusaków osobna była wyprawa, która wyruszyła od Kruszwicy wprost ku północnemu wschodowi, przez bród na Wiśle, który tu był w okolicy, gdzie później powstało miasto Toruń.

Starodawni Prusacy należeli do szczepu, który uczeni zowią Bałtyckim; jest blizki Słowianom pod względem etnograficznym, bliższy, niż Germanie, znacznie się jednak różni od Słowian mową i obyczajem. Szczep ten dzieli się na gałęzie, z których historyę polską obchodzi gałąź litewska, a ta dzieli się na cztery narody: właściwy litewski, łotewski, żmujdzki i pruski. Żaden z nich nie posiadał w owych czasach najmniejszej organizacyi państwowej, a społeczna była ledwie dopiero w zawiązkach; ani nawet rodzinne związki nie były jeszcze ustalone. Była to cywilizacya najniższa w całej Europie, a raczej zupełny brak cywilizacyi. Prusacy, naród na pół dziki, okrutny, zajmowali pojezierze pomiędzy dolną Wisłą a dolnym Niemnem. Rolnictwa nie znali wcale; żyli tylko z rybo-

łostwa, łowów i łupieży. Naród ten wyginął doszczętnie, wytępili ich Niemcy, „nawracając“ mieczem. W pruskim kraju utworzyli sobie państwo, które rozszerzało się ciągle, aż się zamieniło na królestwo zwane do dziś dnia pruskiem, od nazwy tego kraju, w którym się poczęło. Dzisiaj słowo „Prusak“ oznacza Niemca, ale nazwa ta jest przywłaszczona od wytępionego przez Niemców ludu.

Część Prus, Sambiją zwana, płaciła dań Duńczykom. W tych właśnie mniej więcej czasach, może właśnie podczas i wskutek podboju Danii przez Swijów, dokonanego z namowy Sygrydy, postanowili duńscy zdobywcy osiedlić się tu na stałe i do ojczyzny już nie wracać. Spalili swe statki, żeby sobie umyślnie odciąć odwrót, pożenili się z pruskiemi niewiastami, a niezasilani nową emigracyą z Danii, zginęli wkrótce bez śladu wśród miejscowej ludności. Wojsko Bolesława nie spotkało się z nimi, gdyż wyprawa polska nie dotarła w Prusiech aż do morza; zajęto tylko południową część kraju. Z powodu błot, bagien i zupełnego braku jakichkolwiek dróg niesposób też było przejść przez cały kraj z wojskiem zaraz w pierwszej wyprawie, w kraju zupełnie nieznanym, do którego dopiero pierwszy raz wkroczono.

Należało przystąpić do apostolskiej pracy na Pomorzu i w Prusiech. Jął się tego zaraz Bolesław, a nie miał bynajmniej nawracania mieczem na myśli. Apostolskiej pracy podjął się biskup praski, św. Wojciech, z czeskiego rodu Sławników, jeden z najznakomitszych mężów swego czasu.

ŚWIĘTY WOJCIECH.

Wśród ludów czeskich nie było takiej łączności i związku, jak u ludów polskich. Kiedy od Noteci aż po Karpaty jeden już tylko był książę z rodu Piastów, w Czechach jeszcze nie było jednolitości państwowej. Przemyślidzi byli książętami nad plemieniem Czechów w okolicy Pragi, a w innych stronach kraju panowali jeszcze osobni książęta, którzy czasem uznawali pierwszeństwo rodu Przemyślidów i dostarczali mu posiłków, a czasem znowu występowali do współzawodnictwa z panem Pragi. Za czasów Mieszka I. były jeszcze dwa takie rody książęce: Sławnicy i Werszowce. Dłużej przy władzy utrzymali się Sławnicy, panujący nad wschodnią połową Czech, a więc bliżej Polski, nad plemieniem Krowatów. Ważną była ta kraina przez to, że przez nią przecho-

dziły dwie wielkie drogi handlowe: na Kładzko do Polski i do Węgier na Litomyśl. Stolicą księstwa był gród Libicz nad Łabą. Panujący tu około roku 960 Sławnik, miał za żonę córkę księcia z grodu Zlicza, prawdopodobnie już chrześcijańskiego; to pewna, że dzieci były wychowane starannie po chrześcijańsku. Było ich trzech synów: Sobiebór, Wojciech i Radzym. Sobiebór miał nastąpić po ojcu na księstwie, a dwaj młodsi obrali powołanie duchowne.

Młody Wojciech uczęszczał do sławnej szkoły założonej przy arcybiskupstwie magdeburskiem, metropolii zachodnich słowiańskich krajów. W Czechach szkół nie było. Chociaż bowiem w rodzie Przemyślidów o sto lat wcześniej zjawiło się chrześcijaństwo, niż w rodzie Piastów, jednakże Czechy później od nas dostały własnego biskupa. Dopiero w r. 973 udało się założyć biskupstwo w Pradze. Pierwszym biskupem był kapłan saskiego pochodzenia, Dytmar, osiadły od dłuższego czasu w Czechach. Następcą jego został w r. 982 Wojciech. Dużo miał kłopotów ze swymi dyecezanami, u których cześć Krzyża była jeszcze nader powierzchowna, trochę na ustach, a nic w uczynkach. O święceniu niedzieli nie było mowy, a za to obchodziło się jawnie dawne pogańskie uroczystości; handel niewolnikami kwitnął, również wielożeństwo; posiadanie jednej tylko żony wstyd przynosiło, bo uchodziło za oznakę ubóstwa. Zwyczajnie, jak wśród ludu, którego nawrócenie jeszcze nie dokonane. Nie Czechów to było winą, ale biskupów niemieckich, ratyzbońskich, do których dyecezyi kraj ten od stu lat należał, a którzy przez zawiść nie dopuszczali do założenia osobnego biskupstwa w Czechach, sami zaś o świeckie sprawy dbali bardziej, niż o krzewienie słowa Bożego, a nie znając przytem ani języka, ani słowiańskiego obyczaju, zamiast przyciągać, odpychali raczej ludność od chrześcijaństwa, uchodząc bardziej za niemieckich grafów, niż za misyonarzy. Dzieło św. Cyryla i Metodego nie zniweczone, byłoby inaczej wpłynęło na Czechów! Tak zaś trzeba było niemal wszystko na nowo zaczynać, bo choć książę czeski Borzywój I. przyjął był chrzest już około r. 873, to jednakże właściwe nawracanie Czech zaczyna się dopiero od roku 973, t. j. od założenia biskupstwa w Pradze i inaczej też być nie mogło. Czesi odmawiali posłuszeństwa biskupowi, gdy jął przestrzegać przepisów kościelnych. Trzeba było na to czasu, żeby lud

doprowadzić do szanowania przykazań; łagodnością w miarę, a stanowczością w porę wszędzie się to robiło i dziś się robi w krajach missyjnych. Byłby i św. Wojciech statkiem i cierpliwością przeprowadził stopniowo niejedno, ale wmięszały się w sprawę względy polityczne i wszystko poszło na marne. Werszowcowie byli wrogami Sławników i podburzali wszędzie przeciw biskupowi; Sławnicy ujmowali się znowu za swym stryjcem i tak sprawa kościelna zamieniła się na zwadę dwóch książęcych rodów, z czego mogła powstać wojna domowa. Ażeby tego uniknąć, wolał św. Wojciech zrzec się biskupstwa.

W roku 989 udał się do Włoch i tam spędził cztery lata w dwóch sławnych benedyktyńskich klasztorach, w Monte Cassino i na Awentyńskiem wzgórzu w Rzymie, oddany naukom wśród uczonych mnichów [1]).

Na Awentynie przebywali zakonnicy dwóch obrządków: łacińscy Benedyktyni i greccy Bazylianie. Potem bawił św. Wojciech czas jakiś w macierzy benedyktyńskich klasztorów, w Monte Cassino, następnie znowu u Bazylianów w Vallis Lucis pod Benewentem, gdzie przełożonym był wówczas św. Nil; stamtąd znowu wrócił na Awentyn i poznawszy już dokładnie zwyczaje tak zachodniego, jakoteż wschodniego obrządku, postanowił sam zostać Benedyktynem i dnia 17 kwietnia 990 roku złożył śluby zakonne. Gdy w dwa lata potem książę czeski przybywszy do obozu pod Braniborem ukorzył się przed Ottonem III. i chciał znowu nawiązać przyjazne stosunki, zażądano od niego, żeby zapewnił bezpie-

[1]) Zakony powstały na Wschodzie. Już w starożytności bywali świątobliwi pustelnicy, najwcześniej w chrześcijańskiej podówczas północnej Afryce, zwłaszcza w Egipcie. Ojcem zaś wszystkich zakonów, twórcą zorganizowanego zakonnego życia jest św. Bazyli Wielki, biskup Cezarei w Azyi, który zmarł w roku 379. Założony przezeń zakon Bazylianów, pozostał do dziś dnia jedynym we wschodnim Kościele. W Europie zakwitnęło życie pustelnicze nieco później. W r. 528 założył św. Benedykt z Nursyi pierwszy swój klasztor na górze Cassino we Włoszech, pomiędzy Rzymem a Neapolem. Zasadą jego reguły jest, że modlitwie towarzyszyć musi pożyteczna dla bliźnich praca, czyto ręczna, czy też umysłowa. Św. Bonifacy, apostoł Niemiec, był Benedyktynem. W klasztorach tych kwitnęły nauki, ale też i zajęcia fizyczne; wiele zasług położyli około rozwoju rolnictwa i rzemiosł. Ponieważ przyjmowali młodych chłopców, powstały też przy ich klasztorach szkoły.

czeństwo praskiemu biskupowi i zajął się sprawą Kościoła. Wyprawił więc książę poselstwo do Włoch, zapraszając biskupa do powrotu. Wrócił św. Wojciech na ziemię czeską w r. 993, sprowadziwszy ze sobą Benedyktynów, których osadził w Brzewnowie pod Pragą.

Książę czeski Bolesław II., złożony chorobą, powierzył rządy najstarszemu z synów, Bolesławowi Rudemu, który taką zostawił po sobie złą sławę, że dawni kronikarze nieradzi tylko o nim opowiadali. Ten oddał się zupełnie w ręce Werszowców, którzy przez to stali się rzeczywistymi panami kraju. Wobec tego zaogniły się znowu dawne przeciwieństwa rodów i jakikolwiek wypadek mógł się stać iskrą rozniecającą pożar. Zdarzyło się, że żona jednego z Werszowców popełniła wiarołomstwo; prawo zwyczajowe czeskie, dawne prawo pogańskie, pozwalało w takim razie mężowi zabić niewierną. Było to tem surowsze, że mężczyźni żyli powszechnie w jawnem wielożeństwie, a żony zmieniali nie troszcząc się o sakrament. Kościół nakładał na niewierną pokutę kościelną, która mogła być przykra, hańbiąca i sroga, ale kary śmierci nie znał, a przedewszystkiem nie pozwalał samemu sobie robić sprawiedliwości. Werszowcowa uciekając przed zemstą męża schroniła się do klasztoru, na co biskup zezwolił, ażeby ją od śmierci ocalić. Było i jest prawo kościelne, zabraniające wykonywania czynności sądowych na miejscach świętych. Werszowce wdarli się jednak gwałtem do klasztoru, wywlekli niewiastę i kazali ją ściąć pachołkowi. Było to profanacyą, czyli znieważeniem świętego miejsca, a za to jest w prawie kościelnem klątwa. Obłożonemu klątwą nic się nie dzieje, nie robi mu się nic przykrego bezpośrednio, ale nie wolno żadnemu katolikowi z nim obcować; nie wolno z nim mieszkać, podróżować, jadać, rozmawiać, ani do niego pisywać, ani od niego pism odbierać, słowem, nie wolno mieć z nim nic do czynienia. Kara ta jest tedy zupełnem wyłączeniem ze społeczeństwa i przez to taka dotkliwa, że Kościół za najsroższą ją uważa. Biskup rzucił ją na Werszowców, co do reszty ich rozjątrzyło. Zanosiło się na wojnę domową Werszowców ze Sławnikami i św. Wojciech wolał znowu opuścić Pragę. Było to w roku 993. Św. Wojciech udał się przez Morawy na Węgry; tu zabawił czas jakiś i udzielił chrztu świętego synowi madziarskiego księcia Gejzy, Szczepanowi, który świątobliwem życiem sam też

wzniósł się tak wysoko, że dostąpił kanonizacyi i jest patronem królestwa węgierskiego. Z Węgier wyprawił się św. Wojciech powtórnie do Włoch; z początkiem roku 995 był znowu w klasztorze na Awentynie.

Wydalenie się św. Wojciecha z kraju nie zażegnało burzy w Czechach. Werszowcy rzucili się na Sławników; dawna potęga tego rodu była już złamana. Książę Bolesław Rudy patrzał obojętnie na te rozterki domowe, bo dla dynastyi Przemyślidów było to rzeczą korzystną, że inne książęce rody osłabiają się wzajemnie; tem większą zyskiwał nad niemi przewagę pan Pragi i tem łatwiej ziemie sąsiednich plemion przechodziły pod jego bezpośrednią władzę. Sławnicy szukali pomocy w Niemczech i Sobiebór pojechał na dwór Ottona III. Wtenczas książę sam zwrócił się jawnie przeciw Sławnikom, obległ ich gród Libicz i pozwolił po zdobyciu wymordować wszystkich zebranych tam członków rodu. Ocalało tylko trzech nieobecnych: św. Wojciech, bawiący wraz z bratem Radzymem we Włoszech i Sobiebór, przebywający w Niemczech; wszyscy ich stryjcowie padli w tej rzezi. Było to dnia 28 września 995 roku.

NARADY W RZYMIE, 996 r.

Następnego roku poznał się św. Wojciech w Rzymie z młodziutkim Ottonem III. Przybył on tam po cesarską koronę, bo wyrósł był już tymczasem na siedmnastoletniego młodzieńca, a wielkimi przymiotami umysłu i serca i doniosłymi planami cywilizacyjnymi i politycznymi zjednał sobie u współczesnych przydomek „cudu świata“. Wielkie to serce przystępne było tylko szlachetnym myślom. Zdawało się, że Opatrzność osadziła go na tronie, ażeby z historyi zniknęła złość i zawiść, żeby pod jego przewodem królowie poświęcili się zaprowadzeniu Królestwa Bożego na ziemi. Pozostawał pod wpływem największych mężów swego czasu. Nauczycielem jego był sławny Żerber (Gerbert, nazwisko francuskie), syn wieśniaka z zapadłej francuskiej wioski Orillak (Aurillac) w Owernii (Auvergne). Postęp cywilizacyi europejskiej dużo mu zawdzięcza; będzie o nim jeszcze później mowa. Ten Żerber bawił w r. 995 na cesarskim dworze, tuż przed podróżą do Rzymu. Otto III. wyprawiał się właśnie na Połabian; posiłków dostarczyli mu obydwaj książęta Bolesławowie: czeski

i polski; w wyprawie tej wziął też Sobiebór udział. Żerber poznał wtedy osobiście książąt, poznał, jak w sprawach Kościoła można polegać zupełnie na dynastyi Piastowskiej, jak wzrost ich potęgi korzystny jest dla dobra chrześcijaństwa. Książę polski dowiedział się szczegółowo o Sławnikach i o biskupie praskim. Podczas tej-to połabskiej wyprawy w r. 995 powstał prawdopodobnie plan pracy misyonarskiej nad Bałtykiem i sprowadzenia w tym celu św. Wojciecha. Jadąc do Rzymu, wiedział już Otto III., że tam św. Wojciecha zastanie. Bawił tam w r. 996 także św. Romuald, wsławiony już założyciel pustelniczego zakonu Kamedułów. Z cesarzem przybył zaś z Niemiec arcybiskup moguncki Willigis, który przez długie lata kierował polityką Ottonów, był po Żerbercie drugim przewodnikiem Ottona III., a zostawił po sobie w historyi pamięć uczciwą. Wiózł ten młody cesarz z sobą kandydata do papieskiej tyary (potrójna korona papieska), a mianowicie stryjecznego swego, imieniem Brunona, z rodu książąt korutańskich, pełnego zapału 24-letniego kapłana, pozyskanego zupełnie dla wielkich planów uporządkowania Europy w duchu chrześcijańskim; ten został też wyniesiony na stolicę apostolską i panował jako papież Grzegorz V. do r. 999. Zebrało się więc w Rzymie w pierwszej połowie roku 996 grono mężów wielkiego znaczenia, z których każdy wywarł wielki wpływ w swym zakresie, a wszyscy przejęci chrześcijańskim duchem; do grona tego należały dwie najważniejsze w Europie osoby: papież i cesarz. Św. Wojciecha wybrał sobie cesarz na spowiednika i tak został biskup praski trzecim z kolei przewodnikiem Ottona III. Zaiste, nigdy chyba żaden monarcha nie miał równie wielkich i świętych doradców! Ażeby Europie przybyło ducha Bożego, należało powołać do pracy około chrześcijańskiego postępu nowy szczep chrześcijański: Słowian. O sprawach północnego wschodu Europy toczyły się zapewne nieraz narady na Awentynie. Podczas wojen z Połabianami, skutkiem niefortunnej polityki księcia czeskiego Bolesława II. i nieudolnego jego następcy Bolesława Rudego, przepadło zupełnie dzieło Ottona Wielkiego, a mianowicie magdeburska słowiańska prowincya kościelna. Zostało samo tylko arcybiskupstwo bez biskupstw-sufraganij, które upadły w wirze zawieruch pogańskich. Trzeba było w inny sposób nawiązać związek Słowiańszczyzny z katolickim światem.

Święty Wojciech gotów był do pracy, a gdy chodziło

o współpracownika z pośród książąt, kogóżby innego można było wskazać, jak nie polskiego księcia, który był i najpotężniejszy na północy i chrześcijaństwu wiernie oddany? Nie nadawał się do tego Bolesław Rudy, książę czeski, znienawidzony we własnym kraju, a który nie mógł, czy nie chciał, zapewnić bezpieczeństwa swemu biskupowi i z którego winy pozostał kraj zupełnie bez kościelnej opieki.

Stanęło w Rzymie na tem, że się ustanowi z państwa Piastowskiego nową prowincyę kościelną, której arcybiskupem będzie św. Wojciech. Było to wielkiem zaufaniem w dobrą wolę księcia polskiego, że się państwo jego uwalniało od kościelnego zwierzchnictwa i dozoru jakiej starszej metropolii.

APOSTOLSTWO I MĘCZEŃSTWO, 997 r.

W drugiej połowie 996 roku wracał Otto III. na północ, a z nim św. Wojciech. Pojechali razem do Moguncyi, do arcybiskupa, który był zwierzchnikiem praskiego biskupstwa, ażeby św. Wojciech uzyskał ostateczne i zupełne uwolnienie z jego metropolii. Stąd podążył św. Wojciech do Polski. Wstąpił najpierw do Krakowa, bo tu rezydował biskup „morawski“, z którym trzeba się było naradzić co do zamierzonej organizacyi polskiego Kościoła; z przygodnego pobytu obcego biskupa miało się wyłonić nowe stałe biskupstwo krakowskie. Stąd podążył do drugiego biskupa w Polsce, do Poznania. Jechał przez Ślązk; jest podanie o jego pobycie w Cieszynie, w Bytomiu i w Opolu. Gdzie spotkał się z dworem Bolesława Wielkiego, nie wiadomo; ale książę przygotowany już był na jego przyjęcie, tem bardziej, że przeniósł się był do Polski także Sobiebór, obdarzony tu zaszczytami. Pierwszym owocem porozumienia się św. Wojciecha z Bolesławem Wielkim było założenie klasztoru Benedyktynów w Trzemesznie. Nie udało się jednak porozumienie z biskupem poznańskim, Ungerem. Ten nie chciał arcybiskupstwa i podziału Polski na dyecezye, bo się przytem uszczuplić musiał zakres jego władzy. Dotychczas sam był biskupem nad całem państwem, prócz Krakowa, a miał zostać jednym ze sufraganów nowego arcybiskupa. Skoro nie jego osobę przeznaczano na to dostojeństwo, miano pewnie do tego powody. Lepiej też było dla samej sprawy Kościoła, żeby na czele polskiej prowincyi stanął Słowianin, niż obcy zupełnie Niemiec. Postano-

wiono wobec tych okoliczności, że arcybiskupia stolica będzie nie w Poznaniu, lecz w sąsiednim Gnieźnie (o sześć mil zaledwie).

Głównym obowiązkiem pasterza Polski była apostolska praca nad Bałtykiem. Nie spełniał tego obowiązku biskup poznański, Niemiec, a św. Wojciech podjął się zaraz tego zadania. Tego samego jeszcze roku 996 wybrał się na Pomorze i on to ochrzcił pomorskiego księcia i zaprowadził chrześcijaństwo w Gdańsku i w ziemi gdańskiej. Następnego roku jął się misyonarstwa na prawym brzegu Wisły, w kraju Prusaków. Z Gdańska okrętem udał się wzdłuż wybrzeża na wschód i wylądował koło Bałgi. Bolesław dał mu trzydziestu zbrojnych dla obrony. Biskup odprawił jednak z Bałgi tę drużynę, bo nie chciał występować wobec Prusaków w otoczeniu wojennego rynsztunku, jakby jaki najeźdźca. Zostawił przy sobie tylko kilku kleryków, swych uczniów. Z tymi udał się pieszo dalej w głąb kraju. Koło dzisiejszej osady zwanej Rybaki (Fischhausen) spotkał po raz pierwszy Prusaków i zaczął nauczać. Przyjęto go bardzo nieprzychylnie. Niezrażony udał się dalej i zatrzymał się znowu w okolicy Cholinum (dziś wioska Kallen). Tu groziło już niebezpieczeństwo jego życiu. Ale palmę męczeńską uważał sobie święty mąż za najwyższe szczęście. Odprawiając zbrojną drużynę powiedział już sobie, że albo pozyska w Prusiech zwolenników, albo nie wróci całkiem. Udał się przeto wzdłuż morza w inną stronę krainy zwanej Sambią i tu koło Tenkitten spotkała go śmierć męczeńska. Ciało jego wykupił książę polski od Prusaków na wagę złota i sprowadziwszy do Gniezna złożył je w nowo założonym kościele Bogarodzicy, przeznaczonym na metropolitalną świątynię całej Polski. Było to w r. 997. Zaraz po śmierci poczęto go uważać za świętego, toteż wkrótce popowstawały kościoły pod jego wezwaniem w rozmaitych stronach Europy, nie mówiąc już o Polsce. Na Węgrzech, w Granie, powstał katedralny, tj. biskupi kościół św. Wojciecha, później w Szczecinie na Pomorzu, w stolicy Niemiec Akwizgranie i we Włoszech w Pereum pod Rawenną i w Rzymie na ostrowie rzeki Tybru (Isola Tiberina); wszystkie w przeciągu kilku lat po śmierci swego patrona Wojciecha.

Nawet teraz, po śmierci św. Wojciecha, nie chciał Bolesław Wielki mieć Ungera arcybiskupem, lecz przeznaczał na ten urząd Radzyma, brata męczennika, i wyprawił go do Rzymu w tej sprawie.

CESARSKIE ODWIEDZINY, 1000 r.

W r. 999 zasiadł na stolicy apostolskiej Żerber, znający już stosunki słowiańskie i samego księcia polskiego osobiście. Jako papież zowie się Sylwester II. Największy ten uczony swego czasu w całej Europie, odznaczał się surowością w zarządzie Kościoła, przestrzegał wśród duchowieństwa ścisłego wypełniania obowiązków, strącał biskupów, a gromił królów, gdy nie dość po chrześcijańsku sprawowali swą władzę. Właśnie odsadził od infuły arcybiskupa magdeburskiego Gizilera. Radzyma przyjął chętnie i na arcybiskupa gnieźnieńskiego wyświęcił. Bawił zaś właśnie i Otto III. powtórnie w wiecznem mieście i powziął zamiar pielgrzymki do grobu świętego męczennika, swego spowiednika, gdzie miał sam osobiście dokonać organizacyi polskiego Kościoła, łamiąc cesarską swą powagą opór Ungera.

Dotrzymał Otto III. swego przyrzeczenia i w następnym roku 1000, wybrał się do Polski z wielkim dworem. Droga wypadała przez Ślązk. Tu na granicy swego państwa oczekiwał Bolesław dostojnego gościa w Ilwie nad rzeką Bobrzą (wśród plemienia Bobrzanów) i stąd razem jechali już do Poznania, a potem do Gniezna. Otto III. z największem skupieniem ducha odbył pielgrzymkę i odprawił modły przy grobie św. Wojciecha, poczem udał się do zamku na ostrowie jeziora Lednicy, największej i najwspanialszej wówczas w całej Polsce budowli. Tu odbywały się świetne uroczystości, a książę polski z takim wystąpił przepychem, że gościna ta zadziwiła swą wspaniałością współczesnych, a przeszła w podaniach do pamięci potomnych. Tu trzymał cesarz Bolesławowi Wielkiemu do chrztu syna, zrodzonego w tym roku z Pomorzanki Emnildy, siódme z kolei dziecię książęce [1]), które na cześć i pamiątkę cesarskich odwiedzin nazwano Ottonem.

Ustanowiono w Gnieźnie metropolię i Radzym został pierwszym arcybiskupem polskim. W Krakowie, we Wrocławiu i w Kołobrzegu na Pomorzu ustanowiono trzy biskupstwa. Nie słychać też już odtąd o biskupach morawskich, lecz zaczyna się nieprzerwany już ciąg krakowskich, mających stałą siedzibę w Krakowie.

[1]) Pomiędzy piątem z kolei: Mieszkiem a tym Ottonem była córka niewiadomego imienia, późniejsza Wielka księżna Kijowska.

I w Krakowie i we Wrocławiu zaczął Bolesław Wielki zaraz stawiać kościoły katedralne. Chwalebna to nader była myśl, że Pomorza nie przyłączał do poznańskiej dyecezyi, ale osobne tam zakładał biskupstwo. Było tedy w Polsce pięć stolic biskupich; niestety, Kołobrzeskie nie długo trwało.

Przyzwyczajony do przepychu dworskiego ceremoniału i przywiązujący do tego znaczenie, uczcił Otto III. księcia polskiego w ten sposób, że nadał mu pewne oznaki władzy i godności rozpowszechnione w zachodniej Europie. Nie używali ówczesni monarchowie jeszcze berel. Oznaką władzy królewskiej była włócznia, którą niesiono zawsze przed monarchą i stawiano przy jego tronie. Używali włóczni w ten sposób dawni cesarze rzymscy; zwyczaj ten utrzymał się na dworze bizantyńskim, a z księżniczką Teofanią, małżonką Ottona II., przeszedł na dwór dynastyi saskiej. Cesarska włócznia była starożytnego pochodzenia, prawdopodobnie z Bizancyum sprowadzona i przypisywano ją św. Maurycemu. Podobiznę tej swej włóczni przywiózł Otto III. w darze Bolesławowi (znajduje się do dni naszych w skarbcu kościoła katedralnego na Wawelu). Znaczyło to zupełnie to samo, czem według późniejszych wyobrażeń byłoby ofiarowanie królewskiego berła: uznanie niepodległego monarszego stanowiska.

Około roku 315 po Chr. powstała na dworze cesarza rzymskiego Konstantyna godność patrycyusza. Był to tytuł zaszczytny, nadawany osobom najbardziej około państwa zasłużonym. Późniejsi cesarze nadawali go obcym książętom, wyrażając przez to, że uważają ich za swych towarzyszów w rządzeniu chrześcijaństwem. Klodwig frankoński, ów król „arcychrześcijański“, otrzymał tytuł patrycyusza od cesarza Anastazego; używali tego tytułu wszyscy królowie frankońscy od Pipina Małego i sam Karol Wielki tak się tytułował, a po nim Ottonowie i jeszcze dwaj późniejsi cesarze: Henryk II. i Henryk III. Uważano więc tytuł ten za jeden z najwyższych zaszczytów, którego nie lekceważyli sobie sami nawet cesarze. Był ceremoniał cały przy nadawaniu tego tytułu; wśród wielu rozmaitych a długich obrzędów, wkładano też nowemu patrycyuszowi złotą przepaskę na głowę. Na ostrowie Lednicy mianował Otto III. naszego Bolesława patrycyuszem, a tytuł ten wynosił go wysoko ponad wszystkich margrabiów i książąt niemieckich.

Jest podanie, że cesarz własną koronę z głowy zdjąwszy, włożył ją na głowę Bolesława. Prawdopodobnie była to patrycyuszowska złota przepaska, która nie miała jednak wierzchniego półkolistego nakrycia, jak miewają korony królewskie. Koronacyi mógł dokonać sam tylko papież, jeżeli nie osobiście, to przez wyznaczonych do tego biskupów, którym kazałby się niejako wyręczyć. Ale samo nadanie „włóczni św. Maurycego“ oznaczało, że Otto III. uważa księcia polskiego za monarchę i było upoważnieniem ze strony cesarza, żeby Bolesław starał się w Rzymie o tytuł królewski i o koronacyę. Było też w tem zupełne zwolnienie od jakiejkolwiek podległości wobec królestwa niemieckiego. Stosunek hołdowniczy względem Niemiec ustaje.

Zjazd gnieźnieński z roku 1000, na grobie św. Wojciecha męczennika dokonany, jest wynikiem jego starań, jego stosunku tak do Ottona III, jakoteż do Bolesława Wielkiego. Torował drogę do porozumienia Słowian z Niemcami na podstawie równości i sprawiedliwości. Prawdziwy mąż Boży, przelewał bojaźń Bożą w życie narodów, a tchnieniem chrześcijańskiej miłości ożywiał bieg dziejów. Wielki w Kościele, wielkim jest też w dziejach świeckich. Naszego narodu wielki miłośnik, patronował nam już za życia, orędownik polskiego imienia!

ZAJĘCIE MARCHIJ, 1002 r.

Dobre stosunki z Niemcami mogły trwać dopóty, pókiby królowie niemieccy postępowali śladem Ottonów i nie przeszkadzali rozwojowi Polski. Ale wielkoduszny Otto III-ci zmarł już w styczniu 1002 roku, a następca jego Henryk II., z rodu książąt bawarskich, trzymał się całkiem innej polityki, powrócił do dawniejszego trybu ujarzmiania Słowian i chciał, żeby Polska była zależna od Niemiec. Bolesław Wielki zaś dążył do tego, żeby dokończyć rozpoczęte przez ojca dzieło, połączyć z polskiem państwem inne jeszcze słowiańskie ludy i założyć państwo obszerne i potężne. Połabian chciał dostać pod swe panowanie w ten sposób, żeby samemu zostać na razie nad nimi margrafem pod niemieckiem zwierzchnictwem, za zgodą niemieckiego króla. Utrzymywał też na wszelki wypadek dobre stosunki z jedną marchią, idąc i w tem także za przykładem Mieszka I. Łączyła Bolesława przyjaźń z Ekkehartem, margrabią Miśnijskim i Łużyckim. Ten

umarł wnet po Ottonie III., dnia 30 kwietnia 1002 r., a było rzeczą wątpliwą, czy Henryk bawarski nada marchię jego synowi Hermanowi. Herman udał się pod opiekę polskiego księcia, któremu również wielce na tem zależało, żeby na pograniczu nie rządził kto nieprzychylny Piastowskiej dynastyi. Podczas burzliwego bezkrólewia, gdy trzech współzawodników spierało się o tron niemiecki, a Henryk bawarski nie zdążył jeszcze pokonać swych przeciwników, korzystając z tego zamieszania, wkroczył Bolesław Wielki z wojskiem do marchij i zajął bez trudności Miśnię i Łużyce, tudzież gród Strelę, na północy w kraju Wilców. Herman miał się ożenić z czternastoletnią córką Bolesława Regelindą, a Strela z okoliczną krainą miała stanowić oprawę księżniczki. Henryk bawarski został tymczasem królem i przyjmował w Merseburgu hołdy książąt niemieckich. Bolesław uważał się za zupełnie niezawisłego króla Polski, ale pojechał złożyć hołd z zajętych marchij; gdyby go przyjęto, znaczyłoby to, że Henryk zgadza się na odstąpienie marchij piastowskiemu księciu. Żądał jednak Bolesław dla siebie tylko marchii Łużyckiej i sąsiedniej ziemi Milskiej, samą zaś Miśnię i część podbitą kraju Wilców, pozostawiał swemu zięciowi Hermanowi i prosił o lenno dla niego. Henryk II. przystał na wszystko, ale była to zgoda tylko pozorna.

Ledwie Bolesław wyjechał z Merseburga, napadli nań w drodze nasadzeni przez króla Henryka zbójcy, zaczajeni w zasadzce; tak tedy chciał się król niemiecki skrytobójstwem pozbyć potężnego słowiańskiego sąsiada. Zamach się nie udał, a Bolesław zabrał się teraz do dalszego ciągu swego dzieła, do połączenia Czech z polityką polską. Jak król niemiecki był nad książętami niemieckich ludów, tak miał być piastowski monarcha nad książętami Pomorza, Połabia, Czech i Rusi zwierzchnikiem i kierownikiem jednolitej wspólnej słowiańskiej polityki. Czechy pozostawały właśnie w zupełnej zależności od Niemiec; trzeba je było wyrwać z tego, póki się jeszcze nie stały marchią niemiecką.

Bolesław zawarł ścisły sojusz z książętami Austryi, z rodu Babenbergów, niechętnymi królowi Henrykowi od samego początku.

ZAJĘCIE CZECH I SŁOWACZYZNY, 1003 r.

Sojuszu tego potrzebował nietylko ze względu na cesarza, ale też ze względu na Czechy. Austrya, marchia niemiecka, po-

wstała na ziemi Rakuszan, sąsiadowała z Czechami od południa. Od wschodu Morawy i od północy Łużyce były już w ręku Bolesława, tak że z trzech stron Czechy były okolone. Rzecz była dobrze przygotowana.

Werszowce czynili ciągle zamięszania w Czechach; mieli nawet upatrzonego już kandydata na księstwo czeskie w osobie Władywoja. Bolesław Rudy bronił się okrucieństwami, a nie czując się bezpiecznym na tronie, podejrzywał własnych braci o spiski przeciw sobie. Bracia uciekli do Bawaryi, a Władywój do Polski. Werszowce zyskali w Czechach przewagę i powołali Władywoja na tron, na którym przesiedział jednakowoż ledwie kilka miesięcy, dokonawszy życia już w styczniu 1003-go roku. Władywój uznał króla niemieckiego swym zwierzchnikiem, czyli, że siebie uznał lennikiem; złożywszy hołd, oddał Czechy Henrykowi i odebrał je z jego ręki we władanie w listopadzie 1002 r. Zrobił to dlatego, żeby ubiedz braci Bolesława Rudego, bawiących w Niemczech, a którzy także do hołdu byli gotowi. Król Henryk wolał mieć Czechy bez wojny swem lennem i dlatego dał pierwszeństwo Władywojowi, który już miał kraj w swem ręku. Po śmierci Władywoja przybył do Czech brat Rudego, Jaromir, ale ten ledwie kilka dni utrzymał się na tronie. Dotychczas Bolesław Wielki zajęty był marchiami połabskiemi; obecnie sam wdał się w czeskie sprawy. Nie chcąc mieć w Pradze żadnego niemieckiego hołdownika, lecz swego, obiecał Rudemu dopomóc do odzyskania tronu i rzeczywiście na tronie go osadził. Nie zamierzał przeto pozbawić Przemyślidów panowania; nie zamierzał ujarzmić Czech, podbić je, ale tylko mieć tam swój wpływ, żeby Przemyślidzi słowiańskiej sprawie służyli, a nie niemieckiej. Bolesław Rudy nie umiał jednak rządzić; postępowaniem swem tak wszystkich na siebie oburzył, że Czesi prosili, żeby ich uwolnić od takiego władcy. Książę polski przybył tedy do Czech, pojmał Rudego i do więzienia wtrącił. Trudno było osadzać na tronie którego z jego braci, Jaromira lub Oldrzycha, którzy bawili w Niemczech, bo się hołdownikami niemieckimi uznawali. Nie ustanowił przeto nikogo księciem w Pradze i sam bezpośrednio panowanie nad Czechami objął. Nie było to pierwotnym jego zamiarem, ale okoliczności zmuszały go do tego, żeby wydrzeć Czechy z zależności niemieckiej.

Na ten też czas zdaje się przypadać przyłączenie Słowaczy-

zny do państwa Piastów. Na Węgrzech były wówczas cztery dzielnice, z których trzy były pod panowaniem Madziarów (państwa Gyuli czyli Juliusza, Achtuna i Gejzy), a czwarta: Słowaczyzna była jeszcze wolna od Madziarów. Dzieje Słowaczyzny są prawie zupełnie nieznane i niewiadomo, co się tam działo po upadku państwa Wielkomorawskiego, a przed zajęciem kraju przez Bolesława Wielkiego.

WOJNA Z HENRYKIEM II, 1004–1013 r.

Król niemiecki Henryk II. zażądał, ażeby Bolesław złożył mu hołd z Czech, grożąc, że inaczej wprowadzi do Pragi Jaromira. Piast hołdu odmówił i zaczęła się wojna z Niemcami, która z dwiema przerwami trwała lat czternaście, 1004–1018.

Najpierw wyprawił się Henryk do marchij połabskich i zniszczył je ogniem i mieczem, żeby Bolesław nie mógł stąd mieć posiłków, w drugiej zaś wyprawie, przedsięwziętej tego samego roku w te same strony, zajmował grody i podburzył Lutyków na Polskę. Gdy mu się to udało, pewny, że pogańscy Słowianie sami tu już dopilnują niemieckiego interesu, zwrócił się nagle do Czech, posyłając przodem Jaromira. Książę ten nietylko miał z sobą hufce niemieckie, ale też znalazł w Czechach wśród ludności poparcie; wszak to był Przemyślida, swojak! Wybuchło powstanie przeciw Piastowi, Bolesław musiał Czechy opuścić, a wojsko niemieckie zajęło już tymczasem ziemię Milską z grodem Budziszynem.

Następnego roku, 1005, wtargnęli Niemcy po raz pierwszy w polskie ziemie. Pod Krosnem na Ślązku przeszli Odrę i szli pod Międzyrzec, skąd ruszyli do Wielkopolski i dotarli aż pod Poznań. Tu zawarto pokój: Bolesław tracił Milsko i Łużyce, które miał od Niemiec lennem, ale ze swego właściwego państwa nie tracił nic. Kroniki niemieckie donoszą, że pokój ten wielce Henryka zmartwił. Chciał oczywiście, żeby mu Bolesław złożył hołd z Polski, ale nie czuł się na siłach prowadzić wojnę dalej i nie miał czem żywić żołnierza; poprzestał przeto na odzyskaniu marchij.

Próbował Bolesław ułożyć sojusz Słowian przeciw Niemcom. Ale z Lutykami nie można się było porozumieć, dla nich ochrzczony władca Polski był zdrajcą słowiańskiej sprawy, której dobro w pogaństwie tylko upatrywali; Jaromir zaś czeski zdradził Bolesława

i doniósł o wszystkiem królowi Henrykowi. Szczęściem miał Bolesław swoich zaufanych na dworze Henryka, którzy zawiadomili go o tem, że król gotuje nową wojnę. Wolał więc Bolesław sam pierwszy uderzyć, niż czekać Niemców u siebie. W r. 1007 niespodziewanym napadem zajął znowu Milsko i Łużyce, przyczem zapędził się aż pod Magdeburg. Henryk dopiero po czterech latach zdobył się na odwet.

Bolesław miał w Niemczech wielu życzliwych. Wielki wróg Polski, kronikarz niemiecki Dytmar, tłumaczy to przekupstwem. Bardzo być może, że książę polski opłacał szpiegów po dworach niemieckich, ale cóż ci znaczą? Główna przyczyna tkwiła w czem innem.

Minęło 40 lat od chrztu Mieszka I., a książęta polscy okazali się wiernymi synami Kościoła. W Rzymie upatrywano w Piastach przyszłość wschodniej Europy; dla wielkich przodowników Kościoła wszystkie narody były równe. W samych Niemczech nastało za Ottonów wiele zmian na lepsze; ucywilizowały się one znacznie pod wpływem Włoch, a kościół niemiecki wszedł w bliską styczność z papiestwem. Nie brakło już w Niemczech ludzi uczonych, którzy zażartą nienawiść względem Słowian uważali za zbrodnię wobec chrześcijaństwa, a pragnęli jednako rozwoju i dobra wszystkich narodów. Tacy nie upatrywali nic dobrego w tem, żeby Niemiec miał panować nad Słowianinem i życzyli w imię słuszności powodzenia Bolesławowi w jego dążeniu do założenia wielkiego słowiańskiego państwa. Jeden z najwybitniejszych, św. Bruno, kanonik magdeburski, potem zakonnik Benedyktyn, głośno przestrzegał cesarza, „żeby nie nastawał na zgubę chrześcijańskiego księcia, dzielnego pracownika w winnicy Pańskiej“, a w r. 1004, gdy Bolesław musiał uchodzić z Pragi przed Jaromirem, a właściwie przed Henrykiem II., św. Bruno wyjechał do Polski i stawił się na piastowskim dworze, żeby poświęcić swe siły misyonarstwu na wschodzie. Poznawszy osobiście Bolesława Wielkiego, jego charakter i zamiary dla dobra swych ludów i chrześcijaństwa, potem o nim pisał: „Kocham go, jak własną duszę, a bardziej, niż życie moje“. Św. Bruno działał następnie na Rusi i wśród dzikich Pieczyngów za Dnieprem; w końcu poszedł śladem św. Wojciecha i znalazł również śmierć męczeńską w Prusiech, w roku 1009-tym. Należał także do duchownych uczniów św. Romualda,

z którym wiele obcował bawiąc we Włoszech. Za jego głośnym przykładem stawało po stronie Bolesława coraz liczniejsze grono uczonych opatów i pisarzów duchownych; na własnym dworze miał Henryk takich, którzy potępiali jak najsurowiej walkę z Polską, jako rzecz niegodziwą, jako napaść zbójecką. Doszło do tego, że i świeccy dali się przekonać; nawet wśród żołnierzy nie brakło takich, którzy duszą byli po stronie Bolesława, choć musieli z nim walczyć z rozkazu swego króla. Szerzyła się ta życzliwość dla polskiego księcia coraz bardziej, dzięki duchowieństwu, pragnącemu, żeby i polityka była chrześcijańską; skończyło się na tem, że niemieccy żołnierze śpiewali podczas wyprawy, w obozie, śpiewki szydercze na swego króla, a na polskiego księcia pochwalne pieśni! Miał Bolesław w Niemczech kilkunastu lub kilkudziesięciu szpiegów, ale miał też dostojnych i wpływowych przyjaciół nie za pieniądze, lecz dlatego, że sprawa jego była słuszną.

Król Henryk II. o to się nie troszczył. W r. 1011 wyprawił na Polskę nowe wojsko, którem kazał dowodzić książęciu czeskiemu Jaromirowi. Ale niedaleko zaszedł Przemyślida na czele czeskich żołnierzy, bo tylko pod Głogów na Ślązku. Tu były brody na Odrze, któremi można się było dostać na drogę, wiodącą do Poznania. Głogowianie jednak wsparli dzielnie hufce polskiej drużyny wojennej i zmusili Jaromira do odwrotu. Następnego roku Ślązacy znowu dzielnie się spisali i odjęli Henrykowi ochotę do dalszej wojny. Z końcem r. 1012 kazał się Henryk zapytać, czyby Bolesław nie przystał na pokój.

Rad był pokojowi Bolesław, ale podał ciężkie dla Henryka warunki. Łużyce i Milsko miały pozostać przy Polsce, a nadto miał król Henryk oddać swą krewną, siostrzenicę Ottona III-go, Ryksę czyli Rychezę, za żonę 23 letniemu synowi Bolesława, Mieszkowi, zrodzonemu z Emnildy, którego ojciec przeznaczał na swego następcę. Małżeństwo to miało oznaczać, że król niemiecki uznaje dynastyę Piastów za zupełnie równą swemu rodowi. Przystał Henryk na wszystko. Mieszko sam pojechał na czele poselstwa i Ryksę pojął w małżeństwo. Zaledwie jednak dwa lata trwał ten pokój.

W roku 1013 obaj monarchowie potrzebowali pokoju, bo mieli pilne sprawy w innych stronach świata. Henryk miał wojnę we Włoszech i pragnął otrzymać cesarską koronę, co też uzyskał

w tym samym jeszcze roku. Skoro wrócił na północ, rozpoczął znowu kroki nieprzyjacielskie przeciw Polsce. Bolesław zaś miał do czynienia na wschodzie z Rusią.

WOJNA RUSKA.

Książę kijowski Włodzimierz miał ciągle jeszcze w swem ręku grody Czerwieńskie. W rodzie Ruryka panowała czasowo zgoda. Zamordowanie brata Jaropełka pomogło Włodzimierzowi do jedynowładztwa nad olbrzymiemi obszarami od Wielkiego Nowogrodu aż po Kijów. Ażeby nie wywoływać zemsty stronników Jaropełka, przyjął Włodzimierz syna Jaropełkowego, imieniem Świętopełka, za swego i przysposabiał go na następcę. Świętopełk pragnął zbliżyć się do Polski i do Kościoła rzymskiego, podczas gdy Włodzimierz przejmował się już bizantyńską niechęcią do Rzymu. Świętopełk pojął za żonę córkę Bolesława, niewiadomego imienia, córkę Emnildy, a z nią pojechał na dwór kijowski Reinbern, biskup kołobrzeski z Pomorza. Rozpoczęli w Kijowie jednać zwolenników zachodniemu Kościołowi; gdy Włodzimierz to spostrzegł, wtrącił wszystkich troje do więzienia. Miał ich w podejrzeniu, że zamierzają przedsiębrać coś przeciw jego panowaniu, z namowy i za poparciem polskiego księcia; czy podejrzenie było słuszne, żadnych o tem wiadomości nie mamy. Bolesław pospieszył córce z pomocą i Włodzimierzowi wydał wojnę. Towarzyszył mu na Ruś oddział żołnierzy niemieckich; prawdopodobnie od zięcia, margrafa miśnijskiego, Hermana, przysłany. Na wschodzie miał zaś gotowych sprzymierzeńców w Pieczyngach. Był to lud mongolski, pobratymczy dawnych Hunów, a również dziki; ci od południa i południowego wschodu uderzali ciągle na państwo Rurykowiczów. Z dziczą tą atoli nie można było pozostawać w sojuszu, bo im tylko o łupy chodziło i o rabunek. Bolesław musiał ich się pozbyć, a gdy rady na nich nie było, kazał ich swemu wojsku otoczyć i w pień wyciąć. Pieczyngowie pustoszyli kraj ruski w straszliwy sposób, i tylko do tego byli zdolni, Bolesławowi zaś chodziło o to, żeby państwo ruskie wciągnąć w swoją wielką politykę, a nie o to, żeby Ruś wyniszczyć. Innych wydarzeń tej wojny nie znamy.

W roku 1015 zmarł książę Włodzimierz, a Świętopełk został jego następcą. Nie było tedy przyczyny dalej wojny prowadzić.

Bolesław zwrócił się przeciw Niemcom. Miał wiadomości z Włoch, że Henryk nie pogodził się z warunkami pokoju merseburskiego, że po powrocie będzie poszukiwać odwetu. Bolesław pragnął i tym razem uprzedzić wroga. Starał się znowu utworzyć przeciw Niemcom koalicyę czyli związek wszystkich zachodnich Słowian. Lutycy woleli jednak margrafów, niż Piastów; tylko Łużyczanie stanęli po stronie polskiej, może przez to, że właściwie Łużyce były już pod polskiem panowaniem, a resztą ich kraju władał zięć polskiego monarchy, margraf Herman. Przemyślidzi ani słyszeć nie chcieli o wielkiej wojnie z Niemcami. Od r. 1012 panował w Czechach najmłodszy z braci Bolesława Rudego, Oldrzych (zwany z niemiecka Ulryk), hołdownik niemiecki. Do niego wyprawił polski książę w poselstwie własnego syna, Mieszka. Oldrzych go uwięził i Henrykowi wydał, a towarzyszów jego zabić kazał. Nie można było u czeskiego księcia uprosić nawet neutralności, tj. żeby nie stawał ani po jednej, ani po drugiej stronie; Oldrzych chciał koniecznie dopomóc Niemcom do zgnębienia Piastowskiej dynastyi. Nie powiodła się jednak i tak wyprawa niemiecka w roku 1015-tym; połowa wojska wyginęła w bagnistej zasadzce. Ale Henryk miał dostać nową pomoc przeciw Boleslawowi: z Kijowa.

Książę Włodzimierz umierając, ustanowił wprawdzie Świętopełka swym następcą, ale wszystkim swym własnym synom, a było jedenastu, powyznaczał dzielnice. Miało tedy być aż dwanaście ruskich księstw, a nad niemi zwierzchnik w Kijowie, skąd tytuł: Wielki książę kijowski. Świętopełk chciał być jedynowładcą, tak samo, jak Włodzimierz, i tego samego też chwycił się do tego sposobu. Jak niegdyś Włodzimierz jego ojca, tak on teraz mordował jego synów: trzech zabił zaraz w pierwszym roku: Borysa, Gleba, Światosława. Natenczas najstarszy z tych braci, Jarosław, udał się do Skandynawii po nowych Waregów, pobił z ich pomocą Świętopełka i opanował stolicę Rusi, miasto Kijów. Świętopełk uciekł do teścia, do Polski, szukać pomocy; Jarosław zaś sprzymierzył się z Henrykiem II. przeciw Bolesławowi, wziętemu teraz we dwa ognie. Ufny w to król niemiecki przedsięwziął nową wyprawę w roku 1017.

POKÓJ BUDZISZYŃSKI, 1018 r.

Wyprawa ta była znowu wojną ślązką. Henryk ruszył na Głogów, ale nic tu nie wskórał. Bolesław czekał na Niemców we Wrocławiu, ale nie mogąc się ich doczekać, ruszył za nimi. Wtenczas Niemcy zmienili kierunek i poszli pod Niemcze, lecz tego grodu nie zdobyli. Henryk wrócił z niczem do domu; wracał kołując przez Czechy, których księcia miał na swe usługi. Teraz Bolesław gotował się do najazdu Niemiec.

W wojnie tej nie było żadnej walnej bitwy, a jednak Henryk wracał z niej pokonany, zgnębiony najzupełniej, ze zniszczonem wojskiem. Nie był ze wszystkiem pewny swoich żołnierzy, słysząc, jak w obozie śpiewają pieśni o Bolesławie. Książę zaś polski prowadził wojnę w świetny sposób. Obrał sobie wojnę t. zw. podjazdową, która polega na tem, żeby wojsku nieprzyjacielskiemu nie dawać sposobności do walnej rozprawy, ale je nękać nieustannie we dnie i w nocy drobnemi oddziałami, tu żywność zabierając, tam nocleg psując, ówdzie wpędzając na bagna. Niemcy w obcym kraju szli całą gromadą, którą trudno było wyżywić; Bolesław podzielił swoich na kilkanaście hufców, z których każdy z innej strony zaczepiał, a że żaden nie był liczny, łatwo im było schować się, uciec przed pościgiem i znowu wracać. Nieraz Niemcy przez dłuższy czas nawet nie widzieli polskiego wojska, ale blizkość jego ciągle czuli, bo im się dawało we znaki. Klęski zadać Polakom nie mogli; w najlepszym razie mogli rozproszyć i pokonać jeden taki lotny oddział. Dopiero gdzieś dalej, w Wielkopolsce, byłby Bolesław przyjął walną bitwę; ale podjazdową wojną osięgnął, że Henryk do Wielkopolski nie doszedł i ze Ślązka wrócił.

Gdy teraz Bolesław sam się gotował do najazdu Niemiec, poprosił cesarz o pokój. Zawarto go roku 1018 w Budziszynie, w Łużycach. Zdobycze polskiego oręża zostawały przy Polsce. Niemcy były pokonane, niezawisłość Polsce zapewniona; połączeniu jednak wszystkich zachodnich Słowian w jedno państwo przeszkodzili Przemyślidzi. Wpływ Polski miał się za to rozszerzyć daleko na wschód.

ZDOBYCIE KIJOWA, 1018 r.

Załatwiwszy się z Henrykiem II, zwrócił się Bolesław zaraz przeciw Jarosławowi. Podczas ostatniej wojny niemieckiej chciał się z nim pogodzić, a gdy z początkiem r. 1017 umarła Emnilda, prosił Jarosława o rękę jego siostry, Predsławy. Odmówiono mu; popamiętał mu to upokorzenie Bolesław. Skoro Jarosław zgody nie chciał, postanowił książę polski przywrócić Świętopełka na tron kijowski i wojnę wypowiedział. Nad rzeką Bugiem odniósł walne zwycięstwo, poczem w szybkim pochodzie podszedł pod Kijów i zdobył stolicę Rusi. Jest podanie, że wjeżdżając do miasta ciął mieczem w bramę zwaną „Złotą"; miecz się nieco przy tem wyszczerbił, stąd „Szczerbcem" zwany. Przechodził potem na następców Bolesława, jako pamiątkowe dziedzictwo. Jarosław uciekł na północ do Nowogrodu zaraz po bitwie nad Bugiem. W Kijowie wracał do władzy zięć Bolesława, Świętopełk.

Silne ramię wielkiego monarchy sięgało od Łaby po Dniepr. Samo piastowskie państwo odznaczało się rozległością: Wielkopolska, Kujawy, Łużyce, Milsko, Ślązk, Wiślanie, Krakowskie, Morawy i teraz po ruskich wyprawach odzyskane Czerwieńskie grody, należały bezpośrednio pod władzę Bolesława. Prócz tego miał kraje podległe z książętami od siebie zależnymi, swymi hołdownikami: Pomorze, Słowaczyzna i Wielkie księstwo Kijowskie. Nadto można i marchię miśnijską uważać za kraj podległy raczej Bolesławowi, niż niemieckiemu królowi. Skromnie księciem tylko tytułował się Bolesław, ale rozporządzał potęgą większą od niejednego króla.

Z Kijowa wyprawił ten „książę" dwa poselstwa na dwie świata strony, do obydwóch cesarzy: do rzymskiego cesarza Henryka II w Niemczech, swego wroga i do Konstantynopola, do cesarza bizantyńskiego, Bazylego II, którego uznawali ruscy waregscy książęta. Ogłaszał jednemu i drugiemu, że jest ich potężnym sąsiadem, którego lepiej przyjacielem mieć, niż wrogiem; o przyjaźń prosił, w razie nieprzyjaźni groził. Czuł się królem. Co przed ośmnastu laty w Gnieźnie było postanowione, czego szesnastoletnią wytrwałą walką bronił, to teraz obronione zbliżało się do spełnienia.

KORONACYA, 1024 r.

Potęga nie zaślepiała jednak roztropności Bolesławowej. Lutycy i Przemyślidzi gotowi byli zawsze rzucić się na Piastów, madziarscy Arpadowie pragnęli rozszerzyć swe panowanie aż po Karpaty, pogańscy Prusacy wzdychali do łupów, a Rurykowicze byli niepewni; do około czekano tylko sposobności, żeby się dać we znaki rozszerzonemu przez Bolesława państwu. Starał się w Rzymie o koronę, ale cesarz kazał czychać w drodze na jego posłów i brał ich do niewoli, w samym zaś Rzymie przeszkadzał mu na papieskim dworze. A papiestwo upadło bardzo po Sylwestrze II; następowali po sobie papieże bez większego znaczenia i do tego nieszczególnie zapisani w historyi kościelnej, którzy utrzymywali się tylko przez poparcie cesarza i byli od niego zupełnie zawiśli. Koronować się na króla miał Bolesław prawo od roku 1000, ale nie czynił tego, wiedząc, że Henryk II zerwałby się zaraz do nowej wojny, w której łatwo mu było o sprzymierzeńców. Wychodził Bolesław dotychczas z tych wojen zwycięsko, ale pamiętał, że losy wojen bywają zmienne i lepiej, gdy się można obejść bez próbowania tej zmienności. Nie chciał też zatrudniać państwa wojnami bez końca. Było ich już dosyć! Trzeba było zająć się sprawami wewnętrznemi, ulepszaniem organizacyi państwowej w kraju, wprowadzaniem coraz większego ładu i porządku. To jest głównym monarchy obowiązkiem, a ciągłe wojny odrywały go od tego. Gorąco tedy pragnął już pokoju; wszak był zwycięscą i wiedzieli już wrogowie, jaka moc jego oręża!

Toteż roztropny Bolesław odłożył jeszcze koronacyę. A gdy Jarosław z Nowogrodu wrócił do Kijowa, Świętopełka znowu wygnał i ten w ucieczce gdzieś zginął, pozostawił Bolesław Jarosława na Kijowskiem księstwie, poprzestając na tem, że ten uznał jego zwierzchność i że grody Czerwieńskie przy Polsce pozostały.

Roztropność Bolesława znać też w nowem małżeństwie zawartem po śmierci Emnildy. Poślubił Odę, siostrę swego zięcia Hermana, żeby utrzymać jak najściślejszy związek z Miśnią. Było to podczas układów pokojowych z Henrykiem II w Budziszynie. Po narzeczoną posłał swojego najmłodszego syna, owego Ottona, którego trzymał do chrztu cesarz Otto III w Gnieźnie. W cztery dni po zawarciu pokoju, 3. lutego 1018, przybyła Oda na gród

łużycki do Zyczyna, o dwie mile na zachód od Budziszyna i tam się ślub odbył. Było to jakby ostrzeżenie Henryka II, że Miśnia raczej polską jest, niż niemiecką, a margraf polskim sojusznikiem Z tej czwartej żony miał Bolesław córkę Matyldę, swe ósme z kolei dziecię; wyszła potem za księcia szwabskiego. Przeznaczony do rządów syn Mieszko był już sam ojcem czworga dzieci, dwóch synów i dwóch córek.

W r. 1024 umarł główny wróg Polski, Henryk II, nie zostawiając potomka. Zanimby niemieccy książęta poszukali sobie nowej królewskiej dynastyi, skorzystał Bolesław ze sposobnej chwili, zebrał biskupów polskich, a odbywszy z nimi naradę, dał się koronować arcybiskupowi gnieźnieńskiemu. Widocznie miał z Rzymu dawno już pozwolenie i wiedział, że papież nic niema przeciw koronacyi, a tylko nie chce wszczynać o Polskę sporu z Henrykiem II. Jakoż rzeczywiście nigdy żaden papież tej koronacyi nie zganił i królewskiego tytułu nie przeczył. Dziełu Mieszka I i Bolesława Chrobrego trzeba było koniecznie korony. Ta polska korona stała się widomym znakiem jedności narodowej i niepodległości państwowej, równości zupełnej z Niemcami. Odtąd nie mogło już być Europy bez polskiej korony, odtąd wszelki zamach na niepodległość Polski był już nietylko rabunkiem, ale też świętokradztwem popełnionem na całem chrześcijaństwie.

Szczęście to wielkie, że się Bolesław wówczas koronował. Chociaż miał dopiero lat 58, ale życie sterane tylu wyprawami i trudami wojennymi, nie mogło już mieć sił na długo. Nie minął rok od tej wiekopomnej koronacyi, a Bolesław życie zakończył, przekazując straż swego dzieła synowi, Mieszkowi II.

Kronikarz polski owych czasów podaje, że ludność polska przez cały rok była w żałobie po swym wielkim królu. Ile zdziałał w polityce i orężem, widzieliśmy; ale słynął niemniej z dzieł pokoju, dbając, żeby Polska dogoniła Niemcy w cywilizacyi, a przedewszystkiem słynął ze sprawiedliwości.

Niemcy chwalili go w pieśniach, Rusini nazwali Chrobrym, tj. mężnym, dzielnym. My zwijmy go Wielkim. Tak go też nazywają najstarsze polskie roczniki historyczne, jak np. Rocznik kapitulny krakowski. Najstarszy ruski historyk, Nestor, mnich z Ławry Peczerskiej pod Kijowem, również zowie go Wielkim.

Monarcha ten przeniósł stolicę państwa z Poznania do Krakowa; nie da się jednak oznaczyć dokładnie roku, kiedy to uczynił. Umarł 17 czerwca 1025 r.; pochowany w katedrze poznańskiej obok swego ojca, Mieszka I.

Z czterech żon miał Bolesław Wielki ośmioro dzieci, trzech synów i pięć córek. Pierwsze dwa małżeństwa, służące tylko do politycznych celów Mieszka I., były krótkotrwałe. Sam Bolesław nie zrywał już samowolnie węzłów ślubnych i żył z trzecią żoną Emnildą aż do jej zgonu w r. 1017. Pani ta słynęła z dobroci i umiała łagodzić srogie nieraz porywy męża na sądach, przy wymierzaniu sprawiedliwości. Ukochana przez małżonka miała też wpływ na niego, a władzy swej używała na korzyść ubogich i słabszych. Zrodzona z pierwszej margrabianki miśnijskiej córka była za księciem pomorskim. Syn węgierskiej księżniczki, Bezprym, przeznaczony został do stanu duchownego i gdy miał lat 14, wysłany do Włoch do św. Romualda na naukę. Nie upodobał sobie jednak w duchownym stanie i wrócił potem do Polski. Z Emnildy jedna córka była ksienią w klasztorze, a druga wyszła za Hermana miśnijskiego a trzecia za Świętopełka. Syn z tego małżeństwa, Mieszko, przeznaczony był do korony, a na opiece jego był młodszy odeń Otto. Z czwartego wreszcie małżeństwa z drugą miśnijską margrabianką, Odą, córka Matylda wyszła potem w r. 1035 za księcia szwabskiego Ottona z Szweinfurtu. Wszyscy trzej synowie przeżyli ojca; z córek zaś jedna tylko najmłodsza Matylda.

ROZDZIAŁ IV.

UPADEK I ODNOWIENIE PAŃSTWA.

MIESZKO II, 1025 – 1034 r.

Syn i następca Bolesława Wielkiego, Mieszko II-gi, rozpoczął rządy od uroczystej koronacyi, czem oburzył na siebie Niemców. Królem niemieckim został Konrad II., rozpoczynający dynastyę Salicką. Na razie nie mógł być niebezpiecznym, bo sam musiał się starać o uznanie wszystkich ludów niemieckich; następnie wyprawił się do Włoch w r. 1026 po koronę cesarską, a po powrocie tłumił groźny bunt Ernesta, księcia Szwabii. Aż do roku 1028 był cesarz skrępowany; należało ten czas wyzyskać i zręczną polityką zapobiedz niebezpieczeństwu. Mieszko był dzielnym żołnierzem, dobrym wodzem, ale brakło mu przezorności i ostrożności. Nie przewidywał niebezpieczeństwa, mniemał, że skoro ojciec jego Niemców pokonał, będzie już spokój; nie przypuszczał, ażeby mógł zagrażać szybki upadek państwu tak wielkiemu i potężnemu, jakiem było rzeczywiście królestwo polskie, gdy obejmował rządy.

Na samym wstępie napotkał na trudność podobną, jak jego wielki ojciec. Dwaj bracia królewscy, starszy przyrodni Bezprym, z Włoch wróciwszy, i młodszy rodzony, Otto, zażądali dzielnic dla siebie, ażeby w nich panowali pod zwierzchnictwem Mieszka. Nie chciał król rozdrabniać państwa i dzielnic odmówił; bracia zbiegli na Ruś. I Mieszko II. miał dwóch synów: starszego Bolesława i młodszego Kazimierza. Ażeby w przyszłości nie powtórzyły się żądania dzielnic, żeby z tem skończyć raz na zawsze, oddał król zaraz w drugim roku swych rządów młodszego syna do klasztoru. Miał Kazimierz dopiero lat dziesięć, młodszy o cztery lata, niż Bezprym, gdy go do św. Romualda wyprawiono; ale w owych czasach

nie było to rzadkością, że rodzice przeznaczając dziecko do stanu duchownego, oddawali je zaraz do klasztoru; tam się wychowywał i bywał wyświęcany w młodym bardzo wieku; czasem 15-to letnich wyświęcano po zakonach, jeżeli przez rodziców byli ofiarowani na zakonników. Nie dawał też już Mieszko II-gi syna za granicę, gdzie nie mógłby dopilnować, czy się rzeczywiście wyświęci, ale dał go do jednego z polskich klasztorów i odrazu urządził t. zw. „oblacyę", tj. uroczyste ofiarowanie chłopięcia do stanu duchownego, które obowiązywało, jako ślub. Kazimierz został też Benedyktynem.

Mieszko II. był uczony; znał język łaciński, rozczytywał się w księgach i nie były mu obce ówczesne stosunki polityczne i umysłowe w Europie. Na przewodnika narodu miał zdolności wiele. Prowadził dalej dzieło łączenia polskich ludów i on dokonał tego ostatecznie, przyłączywszy do piastowskiego państwa ziemię Mazowszan, która dotychczas sama się osobno rządziła. On pierwszy z Piastów przekroczył Wisłę w jej średnim biegu, a dbając o potrzeby cywilizacyjne nowego swego ludu, założył dla Mazowszan osobne biskupstwo w Płocku, na prawym brzegu Wisły. Z poprzednich założonych biskupstw nie utrzymało się Kołobrzeskie na Pomorzu. Król założył w Kruświcy nowe biskupstwo, (przeniesione później około roku 1124 do Włocławka) na lewym brzegu Wisły, o kilka zaledwie mil od Gniezna i blizko Płocka. Nie było ono potrzebne ani dla Polan, ani dla Mazowszan. Dyecezya kruświcka obejmowała też tylko mały kawałek Kujaw, ale ale za to rozciągała się na północ, na Pomorze, aż do morza Bałtyckiego.

Król Mieszko obdarzony wielkiemi zaletami i osobiście dzielny, umiejący odnosić świetne zwycięstwa, za mało jednak politykował i naraził się przez to na wojnę z wszystkimi nieprzyjaciółmi naraz.

Najpierwszy wypowiedział Polsce wojnę król węgierski Stefan, choć w nim samym płynęła krew piastowska po kądzieli, bo był synem Adelajdy Białej Knegini, siostry Mieszka I. Dzielnice węgierskie łączył w swem ręku, pokonawszy w roku 1003 Gyulę Juliusza młodszego, a w pięć lat później Achtuna. Próbował też Słowaczyznę zagarnąć, zrazu napróżno, ale w r. 1026 pokusił się o nią na nowo i tym razem ją zajął. Jednocześnie poczęły zagra-

żać dwa inne najazdy: niemiecki i ruski. Ażeby nie być otoczonym z trzech stron, zrzekł się Mieszko w r. 1027 Słowaczyzny na rzecz madziarskich Arpadów w zamian za sojusz z nimi przeciw Konradowi II. Niestety, Mieszko II. spóźnił się z wojną niemiecką, zabrał się do niej dopiero w następnym roku 1028, kiedy Konrad II-gi niczem już nie był krępowany i własne panowanie tak miał utwierdzone, że nawet syn jego był już koronowany na króla niemieckiego. Konrad miał zaś przeciw Polsce dwa przymierza: czeskie z Przemyślidami, gotowymi zawsze przeciw Piastom do boju i z Danią. Owa Sygryda Storrada, córka Mieszka I., opuszczona przez męża Sweina, wróciła do brata, Bolesława Wielkiego i przebywała w Polsce, aż w r. 1015, po śmierci jej męża, przybył po nią syn Knud czyli Kanut, władca Danii, Norwegii i Anglii. Cioteczny ten brat Mieszka II. bawił w r. 1026 w Rzymie wraz z Konradem II. i może już tam stanęło między nimi przymierze. Kanut na nowo rozpoczął dawne duńskie wyprawy na południowe wybrzeża Bałtyku; pobierał daniny od Słowian nad dolną Łabą, Odrą i Wisłą, od Pomorzan i dalej na wschodzie od Prusaków, a Mieszko II. nie mógł okazać tam z bronią w ręku polskiego wpływu, zaskoczony równocześnie z kilku stron.

Mieszko wyprawił się do Niemiec; napadłszy w r. 1028 na kraje za Łabą, zniszczył ziemie saskie i doczekał się w tym roku takiego tryumfu nad cesarzem, jakiego ani Bolesław Wielki nigdy nie święcił; uprowadził wtenczas do Polski dziesięć tysięcy jeńców. Odwet niemiecki w r. 1029 nie udał się; nie powiodła się również niemiecka wyprawa na Węgry w r. 1030, a Mieszko uderzył nawet powtórnie na Niemcy i znowu był zwycięzcą; ale inni wrogowie Polski zaczęli już otaczać ją coraz ciaśniejszym pierścieniem. Stefan węgierski był niepewnym sojusznikiem; zabrawszy już Słowaczyznę, chciał skorzystać z kłopotów Mieszka i zagarnąć jeszcze Morawy. I Przemyślidzi mieli do tego ochotę, a prawo większe od Arpadów. Książę Oldrzych wyprawił przeciw Madziarom swego syna, Brzetysława, który z posiłkami Konrada II-go pokonał ich i Morawy w roku 1029 do Czech przyłączył. W dwa lata potem zawarł Stefan pokój z Przemyślidami i z cesarzem, a Mieszko pozostał bez jakiegokolwiek sojuszu. W przeciągu kilku miesięcy spadał cios po ciosie. W nieszczęsnym tym roku 1031 zagarnął cesarz Łużyce i Milsko, Kanut podbił Pomorze, a Jarosław kijow-

ski zabrał na nowo Grody Czerwieńskie; przy Jarosławie zaś znajdował się królewicz Bezprym, żądający dzielnicy dla siebie i brata Ottona; cesarz Konrad popierał ich uroszczenia. Zrzekł się więc Mieszko Łużyc i Milska, byle cesarz nie pomagał braciom rokoszanom. Konrad przyjął zrzeczenie, a swoją drogą wspierał dalej Bezpryma i Ottona. Bezprym zagarnął Wielkopolskę [1]) i zasiadł na tronie; ale nie długo używał władzy, zabity przez niewiadomego sprawcę. Mieszko starał się pod ten czas wzniecić wielkie powstanie Słowian połabskich przeciw Niemcom. Po raz pierwszy pobratymcy ci nie zżymali się przed sojuszem z Polakami, ale powstanie ich stłumiono niemal w samym zarodku. Nie było już dla Mieszka rady, jak upokorzyć się przed cesarzem i przyjąć jego warunki. „Zapomniawszy o koronie i całej ozdobie królewskiej“ złożył hołd w Merseburgu i musiał poprzestać na trzeciej tylko części państwa. Cesarz podzielił Polskę na trzy części; jednę dostał Mieszko, drugą brat jego Otton, a gdy na trzecią nie stało już Bezpryma, znalazł Konrad II-gi innego kandydata. Przebywał w Niemczech Dytryk, syn Mieszka, wnuk Mieszka I-go i trzeciej jego żony Ody, macochy Bolesława Wielkiego; ten teraz otrzymał w Polsce księstwo udzielne. Stało się to w r. 1032. Uspokoił się na chwilę kraj, odeszli nieprzyjaciele, a Mieszko po cichu zbierał swych przyjaciół. Po śmierci Ottona w r. 1033 śmiałym zamachem zajął niespodzianie dzielnicę Dytryka, a jego wypędził. Połączył w jednym ręku państwo, choć uszczuplone; zrywał się na nowo do odwetu, ale zabity przez własnego giermka, zakończył życie dnia 10 maja 1034 r., pozostawiając tron starszemu synowi Bolesławowi.

Dwa lata rządów tego Bolesława wystarczyły, żeby pogrążyć państwo w ostateczny zamęt. Co z nim samym się stało, nie wiemy; jedna tylko kronika o nim wspomina, a i ta zbywa rzecz krótko. Panowanie to większem było nieszczęściem, niż wszystkie klęski za Mieszka II. Jedynym jego dobrym czynem było, że się na samym wstępie koronował. Rządził jednak srogo i zostawił po sobie

[1]) Ziemie Polan nazywano po łacinie starą Polską, a zajęte dopiero później przez Piastów ziemie Wiślan i Lachów Polską młodszą, po łacinie: *Polonia Maior* i *Minor;* łacińskie te wyrazy znaczą jednak dosłownie także: „większy“ i „mniejszy“, i tak utarły się nazwy: Wielkopolska, Małopolska.

smutną pamięć, jakby jaki zbrodniarz. Ale co takiego mianowicie zrobił, nie wiemy. Została nam tylko małomówna wiadomość, że „źle skończył“ i że go kronikarze za karę nie wliczają do pocztu książąt i królów polskich. Rzeczywiście opuszczano go, tak, że nawet pamięć o nim zaginęła, aż dopiero za naszych dni się spostrzeżono.

Po nim nastąpił zupełny upadek państwa i to tak nagle, że chyba on sam swemi rządami, błędną polityką, już go przygotował. Upadło, runęło nagle tak potężne niedawno państwo piastowskie, a społeczeństwo przeszło przez pierwsze gwałtowne wstrząśnienie. Następny monarcha, Kazimierz Odnowiciel, musiał naprawdę wszystko „odnawiać“. Zanim do tego przejdziemy, zastanówmy się nad ówczesnym stanem społeczeństwa i stosunkiem jego do państwa.

ORGANIZACYA RODOWA.

Przez zetknięcie się z obcymi narodami i ustawiczne wojny zmieniły się i stosunki społeczne i warunki osadnictwa. Z każdej wyprawy wojennej przywodzono do kraju jeńca, czasem tysiącami. Ludność kraju była stronami już wtedy mieszana; obok swoich mieszkali też cudzoziemcy. Byli jeńcy z pobratymczego ludu pomorskiego, byli połabscy, czescy, ruscy, niemieccy i pruscy. Nazwy licznych wsi polskich wskazują do dziś dnia, że powstały z takiego osadnictwa, np. Pomorzany, Czechy, Prusy itp.

Rodzima ludność, rodowici Lachowie, Wiślanie, Mazowszanie i Polanie, używali wszyscy bez wyjątku i zupełnej wolności osobistej i dziedzicznej własności rodowej. Ród, zająwszy pewną okolicę, używał jej do celów gospodarczych według własnego uznania; dzielono się pracą, jeden był bartnikiem, drugi rybakiem, trzeci rolnikiem. Póki ich było kilku, kilkunastu, można było prowadzić całe gospodarstwo na spółkę i mieszkać w jednym domu. Gdy jednak ród składał się już ze zbyt wielu rodzin, gdy zbytnia ilość osób nie ułatwiała, lecz utrudniała gospodarstwo, trzeba było ziemię dzielić. Pierwszy taki podział rodowej własności odbywał się przez losowanie, stąd nazwa otrzymanego działu „źreb“ czyli los. Mogło być na jednym źrebie i kilku właścicieli: jeden miał prawo podbierania pszczół leśnych, drugi prawo łowu, trzeci rybołostwa; mógł być na tym samym źrebie rolnik i myśliwy. To wszystko

zależało od okoliczności, od wielkości zajętej ziemi, od jej rodzaju i od ilości głów, które ta ziemia miała wyżywić. Najbliżsi krewni np. rodzeni bracia mogli gospodarować wspólnie, lub też podzielić się ojcowizną. Władza państwowa, książęca, nie mięszała się wcale w te sprawy wolnych osadników; załatwiali to oni sami między sobą i nic nie tamowało powstawania własności indywidualnej, tj. osobistej, bez spółki z krewnymi. Ta jednak nowa własność osobista mogła się w następnem już pokoleniu zamienić znowu na rodową, jeżeli bracia, stryjowie i synowcowie życzyli sobie pozostać we spółce rodowej. Zastrzeżone jednak było, że źreb nie może przejść w ręce obcego, tj. nie należącego do tego samego rodu. Jeżeli ktoś nie zostawił męskiego potomstwa, źreb jego stawał się na nowo wspólną własnością rodu i wyznaczano go na nowo jakiej rodzinie z tego rodu. Niewiasty nie miały całkiem prawo dziedziczenia. Darować lub sprzedać źreb wolno było tylko swojemu, tj. komuś z tego samego rodu, obcemu zaś tylko za zezwoleniem rodu; inaczej najdalszy nawet krewniak miał prawo go odebrać, lub gdy sprzedany był, odkupić od nowego nabywcy za tę samą cenę, a ten tracił włożony w gospodarstwo pieniądz i pracę. Przepis ten obowiązywał w Polsce jeszcze w następnym, Jagiellońskim okresie. Śladem rodowego zamieszkania są nazwy naszych wsi na *„ice“*, np. „Krzeszowice“; nazwa ta oznacza, że tam pierwotnie mieszkali i gospodarowali na wspólnej rodowej własności potomkowie Krzesza. Osady zaś powstałe przez oddzielenie się czyjeś od rodowej wspólności oznaczano końcówkami na *ów, in, ina, yn, yna.* Np. Jeżeli jakiś Spych miał własność sam dla siebie, mówiono: Spychów; jeżeli potomstwo jakiegoś innego Spycha gospodarowało wspólnie, tak, że nikt z nich nie posiadał własności oddzielonej, mówiono: Spychowice. A więc: Bierzanów, Zabierzów, były własnością Bierzana, Zabierza i tylko jego synów. Gdyby do tej ziemi mieli prawa także ich bracia i ich potomstwo, a więc wszyscy krewni stryjeczni, osady te zwałyby się Bierzanowice, Zabierzowice. Wspólna własność rodowa jest o wiele starsza od indywidualnej tj. osobistej. Najstarsze więc nasze wsie są te, których nazwy kończą się na *„ice“*.

Rozrodzony ród zakładał nowe osady w sąsiedztwie pierwotnej, miał ich kilka, czasem kilkanaście, koło siebie. Każda osada miała swojego starostę; z razu wiekiem najstarszego, potem

rozmaicie, kogo sobie życzono. W to się książęca władza również nie wdawała. Starostowie wszystkich osad stanowili razem starszyznę rodu i schodzili się na narady i na sądy, gdy wybuchły spory pomiędzy członkami rodu. Ponad tą radą starszyzny żadnej innej władzy wówczas nie było, tylko sam książę.

Odkąd powstało państwo tj. państwowy związek, przybył nowy sposób utrzymania się poza gospodarstwem, a mianowicie: służba książęca. Wiele osób, które obecnością swą w domu przyczyniałoby się tylko do zubożenia zbyt już rozrodzonego rodu, miało o wiele lepsze widoki, gdy rzuciwszy rodową osadę, oddali swe usługi księciu. Książę Polan wyrósł na króla Polski; monarcha potrzebował coraz więcej żołnierzy i witał chętnie każdego, kto chciał wstąpić do jego drużyny wojennej. Nikogo nie zmuszał, ale bo też nie brakło ochotników. Do walki z nieprzyjacielem obowiązani byli wszyscy mężczyźni tam tylko, gdzie wróg ziemię najechał; ale bo też wtenczas i bez książęcego rozkazu bronić się musieli! Każdy mieszkaniec musiał się wprawdzie przyczyniać do ponoszenia wydatków państwa, ale obowiązek ten polegał tylko na pewnej nieznacznej daninie w naturze.

Dzieliło się tedy ówczesne społeczeństwo na dwa stany według zajęć: na wojowników i gospodarzy. Rodowici Polacy byli tylko albo wojownikami w drużycie książęcej, albo gospodarzami najrozmaitszych zawodów, od myśliwstwa aż do rolnictwa. Wszyscy zupełnie wolni i sobie w obec prawa równi, bez względu na majątkowe różnice.

NAROCZNICY.

Jeniec wojenny stawał się niewolnikiem królewskim, a więc, jakbyśmy dziś to nazwali, własnością państwową. W późniejszych czasach był jeniec własnością tego, kto go pojmał. Za Piastów nie było jeszcze jeńców prywatnych. Wojownik nie mógł zabrać zresztą jeńca do swego domu, dla tej przyczyny, że własnego osobnego domu wówczas nie posiadał, lecz żył gromadnie, obozowo, na służbie królewskiej, siadając do wspólnych stołów zastawianych na koszt monarchy w grodach. Ażeby państwo miało korzyść z jeńców, osiedlano ich po całym kraju drobnemi oddziałami, tak, że zazwyczaj dziesięciu liczono na jedną osadę, pozostawiając ich pod zwierzchnictwem dziesiętników i setników. Nie-

wolnicy ci musieli pracować w najrozmaitszy sposób. Każda osada miała swoje zajęcie przymusowe, czyli swój narok; stąd też zwano ich narocznikami. Byli to: rybacy, łagiewnicy, miedarze, winiarze, koniuchy, świniarze, szewcy, kucharze, piekarze, skotnicy, bartnicy, kołodzieje, rataje, cieśle, korabnicy, myśliwi, szczytnicy, grotnicy itd. Każda osada miała dostarczyć przepisanej ilości swych wyrobów na najbliższy gród, skąd znowu inna służba rozwoziła te rzeczy na miejce wskazane, gdzie na którym grodzie czego brakowało. Do wielkich obozów w Wielkopolsce trzeba było ciągle dowozić ze wszystkich stron nie tylko miód i rybę suszoną, ale też groty, koła, łagwie i obówie. Była od tego osobna służba narokowa, to znaczy komornicy, używani do posyłek. Oni też bywali posyłani, gdy trzeba było pozwać kogo przed sąd książęcy; toteż do naszych czasów nazywa się komornikami wykonawców sądowych (egzekutorów). Łagiewnicy wyrabiali łagwie, tj. naczynia drewniane, statki domowe potrzebne do gospodarstwa. Koniuchy czyli koniarze dozorowali stadnin książęcych, skotnicy bydła. Kucharze jeździli na każdą wyprawę wojenną, do nich należało nie tylko samo gotowanie strawy, ale też zabijanie bydła i ptactwa na rzeź przeznaczonego. Korabnicy wyrabiali łodzie, korabiami pierwotnie zwane. Grotnicy zajęci byli wyrobem grotów do włóczni; szczytnicy szczytów. Rataje byli rolnikami; tych z początku było niewielu, później coraz więcej, gdy książęta sami zaczęli zaprowadzać gospodarstwa rolne na potrzeby grodów. Winiarze potrzebni byli duchowieństwu, które potrzebowało wina do mszy św. Winne grona często nie dojrzewały, a smak tego polskiego wina przyjemny nie był; ale w owych czasach na Węgrzech jeszcze wina nie uprawiano, a trudno je było z Włoch lub południowej Francyi sprowadzać, na smaku zaś nie zależało, byle tylko było czyste do celów kościelnych. Wielka ilość tych osad narokowych rozwinęła się we wsie i do dziś dnia dużo wsi polskich ma nazwę od pierwotnych naroczników. Rzemiosł i zajęć rozmaitych trzeba było pierwszych osadników, jeńców wojennych, dopiero uczyć, a nie wszystkiego mogli ich nauczyć własni księcia poddani. W każdej okolicy był cieśla i łagiewnik, ale nie wszędzie zalazł się w owych czasach korabnik, grotnik, a nawet kołodziej; winiarza zaś w całej Polsce pierwotnie nie było i być nie mogło. Nauczyciele tedy i pierwsi dozorcy naroczników pochodzili z zagranicy, byli cudzo-

ziemcami, których książę umyślnie do tego celu sprowadzał i uważał ich za swoich gości; tak ich zwano urzędowo, nawet w dokumentach. Takiemu „gościowi“ wydzielił książę kawał ziemi na utrzymanie przy narocznikach; czasem kazał mu zamieszkać w osadzie polskiej, ażeby i wolna rodzima ludność od niego korzystała. Taki jest u nas początek ludności niewolnej, czyli przypisanej do ziemi. Narocznicy dostawali bowiem kawał ziemi na swe utrzymanie i zależało to od ich woli, jak się wyżywią; mogli poprzestać na zwierzynie i rybach, a mogli też ziemię uprawiać, jeżeli umieli i chcieli, ale żadną miarą nie wolno im było tej ziemi samowolnie opuścić. Nie była też ta ziemia ich własnością i książę miał prawo odebrać im ją każdej chwili i postąpić z nimi według swego uznania; byli bowiem niewolnikami, pozbawieni nietylko mienia, lecz nawet osobistej wolności. Takie było wówczas prawo wojenne.

URZĄDZENIA WOJSKOWE.

Znikały zwolna dawne brony i przesieki pomiędzy osadnictwem różnych plemion. Nie było już obawy o wojnę Kujawian z Łęczycanami, Ślęzan z Bobrzanami; wewnątrz państwa były one już niepotrzebne, przeto król rozpoczął zaludniać przesieki swem osadnictwem. Ale na granicach państwa były przesieki tem większe, a wzmacniano je coraz bardziej. Przesieka śląska, najważniejsza ze wszystkich, bo tędy była Czechom i Niemcom droga do Polski, pozostała długo jeszcze nietknięta. Na ziemi należącej do zasiek, przesiek i bron, nie było osad gospodarskich, ani też gospodarować nie było sposobu. Ludzie tam mieszkać nie chcieli, ani też spokojnie gospodarować nie mogli dla braku bezpieczeństwa, gdy ciągle najazd groził od sąsiada. Były tam tylko grody z załogami, ale nie było stałego osadnictwa. Największa brona, należąca do ludu Lachów, zajmowała znaczną przestrzeń kraju i bardzo być może, że z tej ich brony powstały grody czerwieńskie. Jeżeli brona wypadła na kraj lesisty, zwalano całe lasy na milowej przestrzeni i tak powstał wał drzewny obronny, którego przebyć nie można było inaczej, jak przemocą. W niektórych tylko miejscach tej zasieki, gdzie wiodły drogi nieliczne, zostawiano wolne miejsca, zwane przesiekami, a przy każdej z nich gród dla obrony. W przesiece nie wolno było się osiedlać; wiodła tam gospodarstwo tylko sama załoga, o tyle, o ile tego było potrzeba dla jej

wyżywienia. Główne grody były wewnątrz kraju; najstarsze i najważniejsze Poznań, Gniezno, Giecz i Włodzisław stanowiły fundament piastowskiej potęgi. Tu były też wielkie stałe obozy książęcej drużyny. Pod Gieczem przebywało podczas pokoju 2.800, a pod Włodzisławiem 2.300 zbrojnych; pod Poznaniem 5.300, a pod Gnieznem było ich 5500, gotowych zawsze do drogi na książęce hasło. Te liczby tyczą się panowania Bolesława Wielkiego; później rozłożono te drużyny na więcej oddziałów, gdy przybyło grodów, a największemi załogami zaopatrywano graniczne. Zdaje się, że Mieszko II. zniósł te olbrzymie na owe czasy obozy, a opatrzył natomiast lepiej grody wrocławski i krakowski, tudzież kilka mniejszych od południowo zachodniej granicy. Nie wszyscy zbrojni towarzysze książęcy byli Polakami; przybywało dużo cudzoziemców zaciągnąć się pod wojenne znaki, bo wojna bogaciła. Sam Bolesław Wielki zachęcał obcych do służby u siebie. Bardzo pożądani byli owi „goście“, zwłaszcza zaś z Zachodu: z Niemiec i z Danii, gdzie sztuka wojenna stała wyżej; każdy z nich pewny był łaski książęcej i zaszczytów, toteż garnęli się chętnie. Książę starał się o ich utrzymanie i był opiekunem ich rodzin.

Dziesiętnicy i setnicy byli władzami nad narocznikami i pochodzili z drużyny książęcej; niezdatny do boju żołnierz otrzymywał w ten sposób utrzymanie. Każda wieś narokowa należała do pewnego grodu, a na grodzie był włodarz, któremu wszyscy narocznicy podlegali; on kierował gospodarstwem i robotami wszystkich tych osad. Jego zaś zwierzchnikiem był kasztelan, dowódca grodu, i przedstawiciel władzy książęcej w całym swym okręgu, zwanym kasztelanią. Ten urząd powierzano już tylko komuś znaczniejszemu z drużyny książęcej, bo musiał mieć zdolności wojskowe w wyższym stopniu i wobec księcia wielką miał odpowiedzialność. Kasztelanowie byli tylko na większych grodach; na mniejszych gródkach byli tylko włodarze. Nad kasztelanami był wojewoda, podległy samemu monarsze. Takie było wojskowe urządzenie kraju i takie tylko władze państwowe, a w tej organizacyi brała polska rodzima ludność udział o tyle tylko, o ile sama chciała.

Nie było jeszcze żadnych urzędów nad wolną rodzimą ludnością. W służbie książęcej dochodziło się do urzędu tylko nad narocznikami, do władzy tylko w obozie i na wojnie. Podczas

pokoju odczuwali władzę państwową tylko obcy niewolnicy, i ci narocznicy. Ci wtenczas nie należeli jeszcze do społeczeństwa polskiego, nie pozostawali w żadnym związku ze związkami rodów, nie mieli nic wspólnego z obywatelami ziem polskich. Podlegali książęcym urzędnikom: włodarzom i kasztelanom, a pracą swą przyczyniali się znacznie do ponoszenia ciężarów państwa.

Osady narocznikow można było zakładać tylko tam, gdzie jeszcze była ziemia niczyja, gdzie pomiędzy osadami polskiemi były przestrzenie niezajęte. Trudniej było o to w Wielkopolsce, gdzie ludność była gęściejsza. Toteż nie dało się założyć osad narokowych ani pod Włodzisławiem, ani pod Gieczem, choć pod tymi głównymi grodami bardzo były potrzebne.

UJAZDY.

Zależało to od najrozmaitszych okoliczności, jak daleko jaki ród zdążył zająć ziemię. Jedni mieli koło siebie na wszystkie strony ziemię obfitującą we wszystko, równą, dostępną, a sami nieliczni, mogli jej mieć dosyć nie tylko dla siebie, ale i dla późnych jeszcze pokoleń, podczas gdy inni, rozrodzeni licznie, musieli się cisnąć i ograniczać, gdy natrafili z jednej strony na skały, a z drugiej na bagna; wtenczas trzeba było części młodzieży przesiedlać się i szukać gdzie ziemi niczyjej, o którą coraz było trudniej. Czem liczniejszy ród, tem ubożsi jego członkowie i nie było na to rady. Jeżeli w okolicy blizko siebie siedziały dwa lub trzy rody, mające liczne potomstwo, to osadnictwa ich musiały się niebawem ze sobą spotkać, poczem nastawały nieraz walki o granicę, którą trzeba było koniecznie oznaczyć. Należało to do starszyzny obydwóch rodów, a gdy się pogodzić nie mogli, do księcia, który był nad wszystkimi panem. Ale potrzeba wyznaczania granic stała się tem pilniejszą, gdy władza państwowa, książęca, porozrzucała po całym kraju owe osady narocznikow. Coraz mniej było rodów, któreby nie miały blizkich sąsiadów, jeżeli nie wolnych rodaków, to cudzoziemskich niewolników, którzy także się rozradzali i także z ziemi żyć musieli. I tak nastała w całej Polsce pilna potrzeba oznaczenia granic każdej osady.

Wtedy przyjęła się zasada, że ziemia niczyja jest ziemią królewską i to jest początek polskich królewszczyzn, t. j. dóbr państwowych. Zasada ta konieczną była dla porządku. Odtąd bowiem

nikt już nie miał prawa tworzenia nowych osad, tylko sam książę, czy król, gdy był koronowany. Znaczyło to, że ziemię niczyją uważa się za własność państwa. Było to zupełnie to samo, jak gdy w posiadłościach rodu źreb jaki stał się niczyim; władza rodowa, starszyzna, nadawała go, komu uznała za stósowne i potrzebne. Monarcha był starostą nad starostami, starostą najwyższym ponad wszystkimi rodami, on więc w imieniu całego państwa nadawał ziemię pustą, która była źrebem nie jednego rodu, lecz źrebem ogółu. On miał zupełne prawo dać ziemię narocznikom do używania, lub gdy chciał, na własność komukolwiek. Dlatego to z początku tylko on sam mógł czynić nadania Kościołowi. Do niego trzeba było się udać, gdy ktoś chciał przenieść się ze swej okolicy i nową osadę założyć; natenczas on nadawał kawał ziemi proszącemu, ale już z oznaczeniem granic nowej posiadłości.

Król hojnym był szafarzem i ziemi nie skąpił. Nigdy nie zdarzyło się, żeby monarcha nadał komu tyle tylko ziemi, ile ten potrzebował na swoje wyżywienie; dawał jej — powiedzieć można — na wyrost, nieraz tyle, że z tych nadań dziś jeszcze późni potomkowie mają chleb, a niektórzy i bogactwa. Ile razy bowiem zgłosił się ktoś po ziemię, zawsze widziano w nim założyciela całego rodu w przyszłości. Bolesław Wielki i Mieszko II. mogli być hojni według upodobania, bo ziemi jeszcze było sporo. To też prawdziwie szczęście sprzyjało tym, którzy za tych czasów popadli w biedę! Biedak, nie mający już gdzie orać u swego rodu, mógł był wówczas dostać od monarchy ziemi dla siebie więcej, niż jej miał cały ród, z którego wyszedł i z ubożuchnego stać się od razu panem. Ale do tego trzeba było śmiałości, przedsiębiorczości, żeby pójść śmiało w świat; a trzeba było wielkiej pracowitości i przemyślności, bo król ziemi dał sporo, ale oczywiście nieuprawionej, bez chaty i bez drogi. Bądź panem, ale na państwo sobie zapracuj prawdziwie w pocie czoła i miej odwagę do tej pracy! Niejeden też wielki pan zawdzięcza swoją wielmożność temu, że przodek jego miał odwagę pójść sam w nieznane strony, na pustkowie, na którem nie miał z początku i zagadać do kogo.

Nowy przybysz miał całego majątku łuk i siekierę do ociosania z grubsza drzewa na chatę; z łaski księcia dostał wołu, krowę, barana i owcę z najbliższego grodu. Z łuku zabił trochę

zwierza, pościągał futra i sprzedawszy je przy sposobności kupcowi, kupił sobie za to pług, jeżeli był rolnikiem. Las czasem karczował, a czasem podpalał. Odarł pień drzewa z kory, a gdy schnąć i zamierać poczynało, podpalał! Grunt był przepysznie użyźniony; lepszego nawozu nikt nie wymyśli. Na nasze czasy taki nawóz nawet dla największego bogacza byłby chyba za kosztowny, wtenczas zaś nie kosztował nic, bo drzewo nie miało wartości. Sporo roboty miał potem z dobywaniem pniaków i korzeni, czyli z karczunkiem, ale też za to miał ziemię własną. Postarał się o żonę, a brał zwykle od naroczników córkę, bo córce wolnych obywateli nie wypadało pójść za obcego jakiegoś przybysza; niewolnik zaś był szczęśliwy, gdy córkę jego taki świetny los spotykał. Śmiały, niedbający o przesądy, doczekał się nagrody w synach, a i na wnuków czekał stósunkowo niedługo, boć żeniono już piętnastoletnich chłopaków! A im bardziej przybywało męskich ramion, tem prędzej postępowało zagospodarowanie nadanego przez księcia obszaru. Nieszczęśliwym był ten, kto miał same córki; one nie dziedziczyły. Zięciowie wzięli wiano, ale ziemi po teściu brać nie mogli. Taki człowiek, choćby najwięcej miał ziemi, biedny był, bo miał jej naprawdę tyle tylko, ile własnemi rękami obrobił, a na starość? Zdarzało się, że starcy darowywali wielkie posiadłości i szukali, ktoby je darem przyjął, żeby mieć na starość u kogo kąt spokojny. Wiemy o jednym takim na Ślązku z późniejszego czasu; nazywał się Kwiatek. Ten na starość poradził sobie w ten sposób, że poprosił księcia, żeby mu wolno było zakonników sprowadzić i podarować im rozległe swe majętności, tak rozległe, żeby dziś starczyły na wielkopańską fortunę. A ten Kwiatek nie miałby gdzie starej głowy przytulić, gdyby się nie byli znaleźli księża, którzy ziemię od niego za darmo wzięli. Miał prawo darować, bo to nie od rodu były ziemie, nie ojcowizna, ale książęce nadanie, a do tego krewniacy prawa nie mieli, tylko synowie. Dopiero ich potomstwo pomiędzy sobą, nowy ród stanowiąc, nabywało też praw rodowych do majątku wspólnego dziada. Od „dziada“ nazywają się: dziedzina, dziedzictwo i dziedzicowie, t. j. potomkowie siedzący na dziadowskim majątku.

Przewidując, że nowy przybysz stanie się założycielem rodu, przewidywano też, że z czasem może się u jego potomków wydarzyć to samo, co jego wygnało z rodowej osady, z dziedzictwa,

w którem nie było się już czem dzielić, a rozszerzać nie było się gdzie, bo do około wszędzie już były granice innych osad. Na przeludnienie król rady nie miał; na to jedyną radą lepsze gospodarstwo i nowe sposoby zarobku. Ale była rada na to przynajmniej, żeby nie było walk o granice, którym trzeba było zapobiegać z całej siły, bo inaczej byłaby w kraju wojna wszystkich przeciw wszystkim. Wyznaczano tedy nowemu przybyszowi od razu granice, jak daleko wolno będzie rządzić się jemu i jego dziedzicom. Granice były za pierwszych Piastów rozległe; piechotą nie obszedłby ich rychło, objeżdżało się je konno i stąd nazywano oznaczony granicami obszar ujazdem. Każda nowa osada miała więc swój ujazd, bo gdy się to okazało praktycznem, przyjęło się w całym kraju rozgraniczenie i starszych osad. Można przypuścić, że w połowie XI-go wieku wszędzie już ujazdy były oznaczone. Dokonywano tego uroczyście, wobec świadków, całej starszyzny i książęcego dostojnika, najbliższego kasztelana. Czasem sam książę był obecny ze swym dworem; czekano nieraz umyślnie na dokonanie „ujazdu“, aż podróżujący ciągle monarcha przybędzie w te strony. Granice oznaczano kopcami lub słupami ze znakiem. Wielkość ujazdów była najrozmaitsza; stosownie do okoliczności, które nie zawsze zależały od ludzkiej woli. Osadnicy jednego ujazdu byli zawsze jednego rodu, chyba że wyjątkowo przyjęli między siebie jakiego książęcego „gościa“, który oczywiście nie nabierał przez to między nimi praw rodowych. Tego samego rodu bywało prawie zawsze kilka, a czasem cała gromada sąsiednich ujazdów, ale nakoniec musiała przyjść gdzieś granica z ujazdem innego rodu.

OPOLA.

Gromada ujazdów sąsiednich nazywała się opolem. Opole mogło się składać z osad jednego rodu, ale mogło też mieścić w sobie osady czyli ujazdy, t. j. odgraniczone osady dwu lub więcej rodów; nie zawsze bowiem starczyło osad krewniaków na wytworzenie z nich opola. Opole nie należy do rodowej organizacyi, nie jest urządzeniem rodowem, ale tylko sąsiedztwem i rzeczywiście tak je też po łacinie zwano: *vicinia;* nie oznacza własności rodowej, ale tylko miejsce, przestrzeń, obszar ziemi, czyli z łacińska terytoryum; jest tedy urządzeniem terytoryalnem. Organizacyi rodowej potrzeba było królowi do utrzymania porządku

w kraju. Władza monarsza zorganizowała ludność niewolną w dziesiątki, seciny, włodarstwa i kasztelanie, a ludność wolną w ujazdy i opola. Ujazd łączono jeszcze z organizacyą rodową, ale przy opolu już o to nie dbano. Opole jest zawiązkiem polskiej administracyi, a zobaczymy w dalszym ciągu opowiadania, jak się ta administracya rozwinęła. Za Mieszka II-go i długo jeszcze potem nie było innej administracyi, jak tylko opolami.

Do czego władzy państwowej potrzebne były opola, jakie ich obowiązki względem państwa, a więc względem królewskiej osoby, drużyny wojennej i grodów? Powiedziano już, że każdy Polak musiał się jakimś nieznacznym „trybutem“ przyczyniać do utrzymania państwa, jak tego zresztą sama słuszność wymagała i gdy nie chciał chadzać ciągle z drużyną na wojny, płacił podatek z tego, co sam miał. Podatki były przeróżne. Myśliwy musiał dać co roku trochę skórek wiewiórczych i kunich, najdroższych wówczas, najlepiej płaconych przez zagranicznych kupców; bartnik dawał kruszę miodu, rybak dostarczał suszonej ryby, rolnik dawał trochę ziarna, od pługa miarkę pszenicy i owsa; ten podatek nazywał się osep. Podatki wybierali komornicy; czyż mieli chodzić od chaty do chaty i każdą kruszę miodu, każdy kosz ryb odnosić z osobna do najbliższego grodu? Czyż władza państwowa miała oznaczać, ile każdy ojciec rodziny ma dać skórek kunich? Uciążliwa, nieznośna, kosztowna administracya państwowa, ta administracya dzisiejsza, o którą na każdym kroku potknąć się trzeba, to dopiero późnych wieków niepotrzebny francuski wynalazek. U nas władza państwowa nie kontrolowała nigdy każdego z osobna, nie wtrącała się do życia ludzkiego aż tak, żeby zaglądać obywatelowi do garnka, na co go stać jeść, jakie ma dochody i wydatki. Król ówczesny nie kontrolował w niczem rodów; same się rządziły. Było wyznaczone, ile ma być podatku z całego opola, a ile kto ma do opola znieść, to już było rzeczą rady starostów, z których każdy odpowiadał za swój ujazd. Sami między sobą podatek rozdzielali, a jak rozdzielić, wiedzieli sami najlepiej. I to była pierwsza z opola korzyść dla władzy królewskiej, a dla ludności wygoda.

Drugiem zadaniem opola była pomoc w sądownictwie. Król sądził tylko na żądanie, gdy się kto wprost do niego zgłosił po sprawiedliwość; nie było to trudne wobec tego, że jeździł ze swym

dworem ciągle po kraju. Urzędników osobnych do ścigania przestępców jeszcze nie było. W jakiem opolu popełniono zbrodnię, to było wiadome i całe opole za to odpowiadało, póki nie mogli wskazać ujazdu czy rodu, z którego zbrodniarz pochodzi. Było już rzeczą rodu wyśledzić i wydać winowajcę, bo inaczej członkowie jego, czyli „stryjcy“ ponosili odpowiedzialność wszyscy za jednego. Sądownictwo należało przedewszystkiem do rady starostów; od ich wyroku można było odwołać się do sądu królewskiego. W razie zabójstwa przysługiwało rodom tak zwane prawo zemsty, znane w całej Słowiańszczyźnie, u południowych słowiańskich narodów nazywane krwiną, bo opierało się na zasadzie: krew za krew, śmierć za śmierć. Stryjcy zabitego mieli prawo zabić kogokolwiek z tego rodu, z którego pochodził zabójca. Miało to na celu, żeby tamci we własnym interesie zbrodniarza wydali w ręce sprawiedliwości. Prawo to prowadziło łatwo do nadużyć i z jednego zabójstwa wynikało nieraz kilka przez to, że ludzie sobie sami wymierzali sprawiedliwość. Chrześcijaństwu było to przeciwne, to też Kościół dążył do wyplenienia tego zwyczaju. Już za pierwszych chrześcijańskich Piastów osiągnięto tyle, że wyszło z użycia żądanie śmierci za śmierć, a zabójca mógł swą winę okupić, składając karę pieniężną, t. zw. głowszczyznę, okup za głowę zabitego. Była to kara bardzo dotkliwa, bo o pieniądze było niezmiernie trudno i głowszczyzna narażała na straty o dużo większe, aniżeli ubytek jednej pary rąk w gospodarstwie i majątku rodowym. Zapłacić zaś trzeba było, tego pilnowała władza państwowa, bo głowszczyzna była jedynym sposobem odwrócenia całego szeregu zabójstw i ciągłego niepokoju w ujeździe, a nawet w sąsiednich opolach. Zdarzyło się raz, że gdy dwóch starostów rodowych, imieniem Krępisz i Sęk, pobiło się tak, że jeden legł zaraz na placu, a drugi wkrótce z ran umarł, opustoszała skutkiem tego cała osada. Wet za wet, śmierć za śmierć, tak się nawzajem ścigali, że nikt nie był ani dnia pewnym życia, aż wreszcie i ci i tamci woleli opuścić swój ujazd i wyprowadzić się każde w inną stronę, na nowe siedziby. Prawo zemsty, odziedziczone po pogańskich przodkach, było tedy bardzo obosieczne i dla ogółu niebezpieczne; dlatego też władza królewska dążyła do tego, żeby te sprawy odjąć rodom, a zachować wyłącznie sądownictwu swemu. Pierwszym do tego krokiem było przeniesie-

nie pierwszej odpowiedzialności i obowiązku dostarczenia pierwszego śladu z rodu na opole. Rada opolna była odpowiedzialna przed królem za wykrycie zbrodniarza, a tej radzie można było zaufać, bo się składała ze starostów pochodzących z różnych rodów. Wkrótce też opola same zaprowadziły nowy obowiązek, t. zw. ślad, t. j. obowiązek śledzenia zbrodniarzy; jak to urządzali, to już było rzeczą każdego opola z osobna. Jeżeli zabójcy nie wykryto, płaciło całe opole głowszczyznę, a nadto królowi karę za naruszenie publicznego porządku.

Trzeciem ważnem zadaniem opola było dawanie świadectwa w sporach granicznych. Wszystkie te sprawy winno było opole; załatwić, o ile możności samo bez udziału władzy królewskiej dopiero gdy opole z zadania swego nie mogło lub nie chciało wywiązać się należycie, wkraczała władza królewska, występował król, jako najwyższy sędzia nad wszystkimi.

SAMORZĄD I ABSOLUTYZM.

Ludność rodzima rządziła się sama, czyli miała zupełny samorząd, tak, że nawet opolem sami zarządzali. Obok tego samorządu jest jednak władza książęca, później królewska, świeża, niedawna, której praw nikt nawet nie próbował określić, której jednak wszystko ulegało bez najmniejszych zastrzeżeń, raz, że ta władza była potrzebna i dobroczynna, powtóre, że rozporządzała taką siłą zbrojną, że już to samo nadawało jej niesłychaną przewagę nad całem społeczeństwem i nawet nie można przypuścić, żeby ktoś mógł był nie posłuchać królewskiego rozkazu. Całe prawo zwyczajowe, cały ten samorząd, wszystkie te urządzenia społeczne miały o tyle znaczenie, o ile się król na nie zgodził, póki czego zmienić nie zapragnął. Wobec księcia i króla nikt nie miał żadnych praw, bo wola jego była ponad wszelkie prawo wyższa. Pierwsi monarchowie szanowali jednak prawo zwyczajowe, nie krępowali w niczem społecznego rozwoju i tem się też tłumaczy, że absolutyzm t. j. nieograniczona ich władza znalazła uznanie i posłuch, stała się prawną. I tak stały obok siebie dwie zasady, wręcz sobie przeciwne: samorząd i absolutyzm, dwa rodzaje prawa. Samorząd wyszedł ze społeczeństwa, zaś nieograniczona władza monarchy była społeczeństwu narzucona przez szczęśliwą i bardzo zasłużoną

dynastyę. Na razie władza monarsza zatrzymała się niejako u opola; ale rozwój stosunków musiał prowadzić tę władzę dalej, do wewnętrznych spraw opola. Wcześniej czy później musiała władza państwowa zorganizować się dokładniej, bo przybyć musiało spraw i interesów, które państwa dotyczyły. Za Mieszka I, za Bolesława Wielkiego i Mieszka II. społeczeństwo nie przeszkadza rozwojowi organizacyi państwa, ale też mu nie pomaga i nie wpływa bezpośrednio na sprawy państwowe; zachowuje się wobec państwa biernie, pozostawiając tę dziedzinę samym tylko Piastom. To też nie ze społeczeństwa wyszło Piastowskie państwo, lecz urosło tylko przez orężną Piastów przewagę.

„GOŚCIE".

Obok ludności rodzimej, wolnej, były trzy warstwy ludności obcej, a z tych jedna niewolna. Prócz pojmania jeńcem na wojnie było jeszcze drógie źródło niewoli, a mianowicie kupno. W Europie ówczesnej kwitnął bowiem handel ludźmi, prowadzony na wielką skalę przez Żydów. Niedaleka Praga była jednym z ważniejszych targów na ludzi. Kościół potępiał to, ale władze książęce patrzały przez szpary. Toteż kościół musiał się w północnej Europie ograniczać niemal tylko do wykupywania niewolników, o ile go było na to stać. U nas niewolnika kupowano, ale nie sprzedawano. W tym razie kupował tylko sam monarcha, bo niemal tylko na dworze królewskim była potrzebna do tego gotówka. Kupował król niewolnika chętnie, zwłaszcza wyćwiczonego w rzemiośle, lub wogóle umiejącego coś takiego, czego w Polsce nie umiano. Tak n. p. na służbie Bolesława Wielkiego było kikuset łowców cudzoziemców, umiejących polować na zwierzynę i ptactwo sposobami u nas jeszcze nieznanymi; musieli więc być i cudzoziemcy kucharze, umiejący tę zwierzynę przyrządzać. Przodownicy i nauczyciele narocznikow nie wszyscy byli wolnymi; znaczna ich część, to zakupieni niewolnicy. I oni także byli „gośćmi" wśród rodzimej ludności.

Toteż wśród „gości" t. j. obcych przez monarchę do kraju sprowadzonych i będących na jego służbie znajdujemy trzy warstwy: niewolnych, wolnych gospodarzy i żołnierzy. Za Bolesława Wielkiego sprowadzano dwa razy „rycerzy" z zagranicy, a przedtem i potem taki „gość" zawsze był pożądany królowi. Znający nowe, ulepszone sposoby wojowania górował nad polską drużyną, a ksią-

żęca łaska mogła mu powierzyć najwyższe dostojeństwa. I tak wśród „gości“ mamy wszystkich, od kasztelana aż do niewolnika. I rycerz sam mógł być i bywał niewolnikiem; każdy niemiecki rycerz pojmany na wojnie szedł do niewoli. Był zwyczaj, że wybitniejszych wojowników, zwanych na Zachodzie „rycerzami“ wymieniano sobie nawzajem i wykupywano. Jeżeli zaś w niewoli pozostał, szedł do książęcej drużyny i robił z musu to samo, co tamci dobrowolnie. Jeżeli się przywiązał do nowego pana, stawał się łatwo z niewolnika „gościem“; chyba, że mu nie ufano, natenczas pozostawał na zawsze w niewoli, ale nie strugał łagwi, ani nie pasał koni, tylko na dworze pilnował zbrojowni i uczył młodzież władać bronią. Jego niewola ciężką nie była, a przy blizkości pańskiego oblicza i ciągłej sposobności do pańskiej łaski kończyła się chyba zawsze w drugiem pokoleniu. Zdarzało się, że książę osadził niewolnymi rycerzami całe podgrodzie, t. j. miejsce tuż za bramami i wałami grodu; ale nie znamy ani jednego wypadku, żeby taka niewolna rycerska osada długo trwała!

ŻYDZI.

Handlujący niewolnikami Żydzi byli i w Polsce; byli już za Mieszka I, a z pewnością i przedtem, chociaż bardzo niewielu. Pierwsi Żydzi przybyli do nas ze wschodu, od strony Dniepru. Uciekając z Palestyny po zupełnem rozproszeniu przez Rzymian, przybyli też nad morze Czarne, a z jego wybrzeży dalej na północ, nad Dniepr, na stare odwieczne szlaki handlowe, toteż handlowi tu się oddali. Przed różnemi nawałami dzikich wojennych ludów uciekali dalej na zachód i tak przybyli do Polski i tu się osiedlili, jako pośrednicy handlowi pomiędzy miejscową ludnością a bogatymi kupcami, przybywającymi tu w interesach z Zachodu, między którymi również Żydów nie brakowało. Ci jednak dojeżdżali tylko, ale się u nas jeszcze nie osiedlali. Od tych zachodnich Żydów, zapędzających się do nas aż z Hiszpanii za handlem, nauczyli się nasi pierwsi Żydzi handlu żywym towarem. Nieliczni i żyjący rodzinami z osobna, a raczej wędrujący z niemi w ustawicznych podróżach za interesami, nie stanowili jeszcze żadnej warstwy wśród ludności krajowej. Jako kupcy, chętnie byli widziani; żyli spokojnie i umieli się przydać tak królowi, jak prostaczkowi. Nie było też pomiędzy nimi żadnej rasowej łączności i związków. To

są rzeczy o wiele późniejsze. Z Żydami dalej czy bliżej na Zachodzie, nawet w najbliższych Niemczech, nie utrzymywali żadnych związków. Ponieważ nie znano u nas całkiem handlu i wszyscy kupcy cudzoziemcami byli, więc nie dziwił też nikogo kupiec żydowski. Każdy kupiec pozostawał pod ochroną gościnności, której od opola do opola każdemu użyczano; tak kazało prawo zwyczajowe; inaczej nie byłoby całkiem handlu. I Żyd więc pozostawał pod opieką tego prawa, a było ono święte.

CUDZOZIEMSKIE DUCHOWIEŃSTWO.

Była jeszcze jedna cudzoziemszczyzna, ta, której cywilizacyę zawdzięczamy: duchowieństwo. Rzecz prosta, że w każdym nowo nawróconym narodzie są z początku tylko cudzoziemscy księża. Mieliśmy kilku księży czeskich; kapelan Dąbrówki, potem wielki apostoł narodów, św. Wojciech, brat jego Radzym, może jeszcze kilku. Ci byli tak, jak swoi, a po krótkim czasie zupełnie swoi. Ale Czechy nie mogły dostarczyć nam więcej duchowieństwa, bo go same nie miały. Wszak tam chrześcijaństwo kończyło się jeszcze u chrzcielnicy i było pod tym względem nie lepiej, niż u nas, a może jeszcze gorzej. Wszak św. Wojciecha mieliśmy szczęście pozyskać tylko dla tego, że go z Czech wygnano! Duchowieństwo więc nasze było obce: z Niemiec niewielu, a więcej z dalekiej Francyi, z Flandryi, tudzież z Włoch. W pierwszych klasztorach byli również cudzoziemscy zakonnicy. Św. Wojciech sprowadził Benedyktynów z Włoch do Trzemeszna. Powstały potem inne jeszcze benedyktyńskie opactwa, a najważniejszemi były Świętokrzyskie na wyniosłej górze, zwanej Śty Krzyż w ziemi Wiślan, Sandomierską zwanej, i pod Krakowem w Tyńcu. Tynieckie opactwo cieszyło się szczególniej życzliwością monarchów, a później również społeczeństwa; tyle otrzymało zapisów i fundacyj, że opata tamtejszego zaczęto nazywać „opatem na stu wsiach“. Już w tym okresie czasu były klasztory także i w Gnieźnie, Poznaniu, Międzyrzeczu, Wrocławiu (opactwo św. Marcina), Kazimierzu, Łęczycy i Płocku. Pozakładała je hojność Bolesława Wielkiego i Mieszka II. Każdy z tych klasztorów mógł być źródłem cywilizacyi dla swej okolicy, boć zakonnicy byli uczeni i znali obce kraje, lepiej zagospodarowane i bardziej oświecone. Nie mogły jednak wywierać wielkiego wpływu te pierwsze klasztory

zaraz w początkach swego istnienia. Obcy, cudzoziemcy, nie znający stosunków ani obyczajów, musieli się najpierw zróść z polską ziemią i pozyskać sobie polskich nowicyuszów, a do tego było jeszcze daleko. Społeczeństwo musiało się najpierw oswoić z nimi, a oni ze społeczeństwem.

Musiało minąć kilka pokoleń, nim naród przejął się tak chrześcijaństwem, że wśród młodzieży pojawiało się na tyle powołania duchownego, ilu księży było potrzeba. Tylko najpierwsze rodziny dostawiały z pośród siebie księży. Św. Wojciech pochodził z książęcego rodu Sławników, a pierwszym księdzem polskim miał być królewicz Bezprym, jako Kameduła we Włoszech, pierwszym zaś naprawdę został królewicz Kazimierz. Cudzoziemskie duchowieństwo mogło się jako tako nauczyć trudnego naszego języka, ale nie rozumiało naszych obyczajów i urządzeń prawnych. To też Kościół nie mógł wpłynąć należycie na społeczeństwo, póki nie było księży Polaków. Pierwsi nasi biskupi musieli dbać tylko o to, żeby się ich stolice utrzymały, żeby świeży posiew wiary nie zmarniał; o niczem innem myśleć nie mogli. W szerzeniu wiary wspomagali ich nasi monarchowie szczerze, z zapałem, z całych sił; to też duchowieństwo opierając się jeszcze nie na społeczeństwie, ale na książęcej władzy, samo nawzajem tę władzę popierało i najzupełniej uznawało. Nie było mowy o jakichkolwiek próbach niezależności Kościoła od władzy królewskiej. Biskup był dostojnikiem przez króla mianowanym i królowi posłusznym. Cały tryumf Kościoła mógł polegać tylko na tem, żeby sobie pozyskać królewski ród. To się udało świetnie. Trzeci z synów Chrobrego, Mieszko II., tak się zapalił do cudzoziemskich księży, że zapragnął rozmawiać z nimi w ich języku i czytywać ich księgi i choć nie przeznaczony do stanu duchownego — rzecz na owe czasy niesłychana! — nauczył się nie pisać wprawdzie, ale czytać, oczywiście po łacinie, bo po polsku nie było wtedy jeszcze na czem czytać. Pierwszy Polak, który książkę brał do ręki! Już choćby tylko dlatego jest Mieszko II. ważną osobą w historyi naszej cywilizacyi. Według przepisów prawa kościelnego powinna być szkoła przy każdej katedrze biskupiej. Ale do szkoły trzeba dwóch rzeczy: nauczyciela i uczniów; tych zaś nie było i minęło jeszcze sporo czasu, nim przykład dwóch pierwszych królewiczów wpłynął na inne dostojne rodziny. Że jednak przy-

kład idzie z góry, więc też nie długo już, bo w r. 1061 mieliśmy pierwszego biskupa Polaka, a mianowicie krakowskiego biskupa Sułę (wyświęcił się na księdza w r. 1057). Ale też niedługo zaczęły się dziać rzeczy, o których się ani przyśniło nikomu za pierwszych trzech monarchów.

UPADEK DYNASTYI.

Mieszko I. i Bolesław Wielki utworzyli państwo wielkie i potężne. Bronił go Mieszko II. z wysiłkiem i ostatecznie obronił, skoro przekazał synowi koronę. Nowy król, Bolesław, sam źle skończył i dzieło swych przodków na szwank naraził. Brat jego Kazimierz, królewicz mnich, musiał uciekać na Węgry przed jego okrucieństwem. Dokładniejszego nic o tych sprawach nie wiemy, a „zły koniec“ znaczy może śmierć gwałtowną wśród jakichś nieznanych bliżej zamieszek. Wypadki gwałtownej śmierci zagnieździły się w ostatnich czasach w Piastowskiej dynastyi. Bezprym był zabity, śmierć Ottona też jest podejrzana, a o śmierci Mieszka II. dochowała się zapiska, że zginął z ręki własnego giermka. Tak więc wszyscy trzej synowie Bolesława Wielkiego i wnuk jego „źle skończyli“; drugi wnuk był mnichem, na tronie zasiąść nie mógł. Zabrakło Piastów; w krótkim czasie zniszczono ród królewski! Czy czterema z koleji zamachami kierowała jakaś zbrodnicza ręka, której zależało na wygubieniu Piastów, czy te wypadki mają ze sobą ściślejszy związek, czy też były tylko złemi przygodami, to zdaje się dla ludzkiego sądu na zawsze zakryte. To pewna, że historya żadnej dynastyi nie wykaże większego nieszczęścia i tuż po szczycie sławy większego upadku. I chyba miało to państwo być naprawdę czemś w ręku Opatrzności, skoro je wbrew wszelkim ludzkim obliczeniom na nowo z takiej toni podźwignęła. A toń ta pogłębiała się coraz bardziej po śmierci Bolesława w r. 1037.

Nie było króla, społeczeństwo było bierne, nie umiało jeszcze państwa utworzyć, ani utworzonego utrzymać; ginęło państwo. Tyle państwa, ile Piastów. Bez Piastów nie było Polski. mogli być tylko Polanie, Wiślanie, Lachowie, Mazowszanie. Masław, dawny podczaszy Mieszka II., starał się objąć władzę po Bolesławie, ale nie zdołał; ledwie tylko na Mazowszu, skąd sam pochodził, posłuch znajdywał.

W tej ciężkiej dla Piastowskiego rodu chwili nie straciła

głowy niewiasta, wdowa po Mieszku II., Ryksa, Niemkini. Macierzyńską natchniona miłością, zdobywa się na plan śmiały: uwolnić od ślubów zakonnych drugiego syna, Kazimierza, i mnicha osadzić na tronie. W Polsce nie znalazła poparcia; ogółowi obojętne jeszcze było, co się tam dzieje na stopniach tronu! Zwróci się więc o pomoc do krewnych w Niemczech, do cesarza i do swego brata, kolońskiego arcybiskupa; tam za granicę się schroni i wykołace dyspensę, t. j. uwolnienie syna od ślubów. Ryksa była wielką dobrodziejką kościołów i zakonów; miała prawo liczyć na względy Kościoła. Sześć jej sióstr było w różnych klasztorach żeńskich i ona sama osiadła też w końcu w klasztorze, w swem dziedzictwie Braunwiller. Brat arcybiskup zajmował w polityce ówczesnej stanowisko pierwszorzędne, piastując przy cesarzu godność kanclerza do spraw włoskich, a więc i do stosunków z papiestwem, na które cesarze wywierali wówczas wpływ stanowczy. Ale nim Ryksa Polskę opuści, nim się wybierze na wędrówkę, na poszukiwanie ratunku dla swego rodu, zabierze jeszcze obie królewskie korony, żeby nie wpadły w ręce Masława. I zabrała do Niemiec korony Bolesława Wielkiego i zmarłej jego żony Ody, koronę, którą sama też koronowaną była. Ofiarowała je cesarzowi, dawała mu Polskę w lenno, byle się zajął sprawą Kazimierza. Korony te nigdy już do Polski nie wróciły. W żeńskiej kazała się się Ryksa pochować, jakoż znaleziono ją przy otwarciu jej grobu w Kolonii w roku 1633; potem jednak gdzieś zniknęła. Męska zaś stała się cesarską koroną królów niemieckich! Nie było bowiem osobnej korony cesarskiej; do rzymskiej koronacyi używano korony dawnego królestwa longobardzkiego (w północnych Włoszech); później poczęto używać w tym celu korony Bolesława Wielkiego. Znajduje się ona dziś w cesarskim skarbcu w Wiedniu.

Tymczasem w Polsce bez głowy i pana rozprzęgło się wszystko. Drużyna książęca, wielkie wojsko Bolesławów, przepada gdzieś bez śladu. Nie miał ich kto żywić, nie miał się kto nimi zająć, a więc „goście“ wracali do swych krajów, a swoi do rodów, z których wyszli przed laty, radzi, że dzięki związkom rodowym mogą zażądać dla siebie „źrebu“ w „ujeździe“. Pomorzanie i Prusacy zaczęli najeżdżać i grabić, a nikt wojska przeciw nim nie zbierze; sami nie uszykują się i nie wyruszą. Część szuka szczęścia pod Masławem, ale ogół go nie uznaje. Nie walczy nikt z Masławem

w imię planów Ryksy, w imię Kazimierza Mnicha, ale go też nikt nie słucha poza rodzinnem Mazowszem. To społeczeństwo trzeba jeszcze w państwo sprządz podbojem, przymusem; nie będzie się bronić podbojowi, ale samo do niczego nie pomoże ani Ryksie, ani Masławowi. Nietylko Lachom i Wiślanom, ale nawet Polanom zdawało się, że się bez króla i silnej władzy obejść można i dopiero straszna nauka roku 1038 miała zaszczepić w nich tęsknotę za królem i za państwową władzą.

NAJAZD BRZETYSŁAWA CZESKIEGO, 1038 r.

Z bezbronności Polski postanowił skorzystać czeski książę Brzetysław II. Upadek Piastów napełnił zapewne radością Przemyślidów, boć te dwie dynastye wprawdzie łączyły się czasem, ale zawsze ze sobą spółzawodniczyły. Gdyby Przemyślidzi byli upadli, gdyby w Czechach nie było pana, byłby z pewnością Piast się tam wyprawił. Teraz Przemyślida robił to samo. A jednak nie było to to samo; pod względem politycznym była wielka różnica. Do wielkiego polskiego królestwa można było przyłączyć całe Czechy i oba państwa w jedno połączyć, co dla Słowiańszczyzny byłoby zyskiem znacznym i dobrodziejstwem nie tylko dla obydwóch tych narodów, ale i dla Połabian; taka bowiem wielka potęga byłaby mogła utrzymać nadłabską granicę przeciw Niemcom. Ale nie dałoby się przyłączyć dużej Polski do małych Czech; Brzetysław mógł tylko część Polski oderwać i do swego państwa przyłączyć. Mógł zabrać Wrocław i Kraków, ale żadną miarą nie mógł utrzymać w swej mocy całej Polski; a więc ta wojna byłaby tylko początkiem całego wojen szeregu, bo rzecz prosta, że Polska starałaby się odzyskać oderwane ziemie. Czeska więc na Polskę wyprawa była Słowiańszczyzny osłabieniem i szkodą dla obu narodów. Sam Brzetysław wiedział o tem dobrze, że panować nad Polską nie może; chciał tylko oderwać Śląsk, a przedewszystkiem zbogacić swój skarb, nabrać jak najwięcej łupów. Czeska wyprawa na Polskę w r. 1038 jest w całem znaczeniu tego słowa wyprawą po skarby.

Latem 1038 napadł Brzetysław przez Górny Śląsk na Kraków. Gród podpalił, miasto doszczętnie zburzył i zaraz zaczął tutaj gromadzić łupy, zabierając złoto i srebro zgromadzone tu obficie, odkąd Chrobry uczynił to miasto stolicą królestwa. Mo-

narcha musi zawsze dbać o to, żeby skarb był pełny. Póki nie rozwinęło się gospodarstwo pieniężne, składał się skarb książęcy przeważnie ze złotych i srebrnych wyrobów i kosztownych tkanin, skupywanych przy każdej sposobności od ruskich i żydowskich kupców, ale też w znacznej części i niekupowanych, lecz branych zdobyczą na wojnie, gdzie się dało. Niejedna cenna sztuka bizantyjskiego złotnictwa dostała się z Kijowa do Krakowa, a teraz przechodziła w ręce Brzetysława, póki jej ztamtąd nie zabrał znowu niemiecki zdobywca. Z Krakowa ruszyła czeska drużyna do Wielkopolski, bo w Gnieźnie i w Poznaniu były skarby nie mniejsze; wszak tam z niedalekiej Kruświcy przewieziono skarby gromadzone jeszcze przez pogańskich Piastów, tam były najstarsze i główne kościoły, wyposażone hojną ręką pierwszych królów. Po drodze był Giecz, do niedawna wielki obóz rycerstwa; został gród; schroniła się do niego ludność, ale nie było komu grodu bronić. Skoro Brzetysław pod Giecz podstąpił, byli na jego łasce i niełasce; nie ulegało wątpliwości, że staną się jego jeńcami, a więc niewolnikami. Za szczęście poczytali sobie, jeżeli Brzetysław zabierze ich wszystkich razem i razem gdzie w Czechach osiedli; ażeby tę łaskę uzyskać, wyszli naprzeciw niego i dobrowolnie się poddali. Książę życzenie ich spełnił i pozwolił zabrać ze sobą dobytek. Osadził ich w Czechach razem w jednej okolicy, w czyrnińskich lasach, i pozwolił się rządzić polskiem prawem zwyczajowem. Tak cząstka Polan zamieniła się w nowe czeskie plemię, które Gieczanami zwano. Miasto Giecz zburzone, zniszczone, nigdy się już nie podniosło do dawnej świetności. W blizkiem Gnieźnie zabrali ciało św. Wojciecha, drogocenne relikwie. (Jest podanie, że im wskazano inny grób pod kościołem, z którego zabrali ciało, sądząc, że to relikwie św. Wojciecha). Zagrabili też sławny krzyż gnieźnieński, duży, szczerozłoty, a tak ciężki, że go ledwie dwunastu kleryków zdołało unieść; dar dla katedry Mieszka I-go lub Bolesława Wielkiego. Zagrabili też trzy wielkie złote tablice, zawieszone koło grobu św. Wojciecha; jedna z nich ważyła trzysta funtów, miała pięć łokci długości, a dziesięć piędzi szerokości. Potem przyszła kolej na Poznań, gdzie w katedrze św. Piotra również nie brakowało skarbów; wszak tam były grobowce Mieszka I. i Bolesława Wielkiego. Nigdzie długo nie popasali; zabrawszy skarby spełnili swe zadanie, a o panowaniu tutaj wcale

nie myśleli. Ruszyli z powrotem inną drogą, na Wrocław i ten tylko opanowali. Zdobyty gród kazał Brzetysław zburzyć. Dnia 23 sierpnia był już Brzetysław z powrotem blizko Pragi; zatrzymał się nad rzeczką zwaną Rokitnicą, żeby tu uszykować swych wojowników i uroczyście odbyć tryumfalny wjazd do stolicy. Przygotowania trwały cały tydzień, bo i w Pradze przystrajano wszystko na uroczyste przyjęcie księcia i jego łupów. Dnia 1-go września wszedł Brzetysław do Pragi, niosąc wraz z biskupem Sewerem ciało św. Wojciecha; za nimi niesiono relikwie pięciu braci Kazimirskich męczenników i ciało Radzyma, pierwszego arcybiskupa gnieźnieńskiego. Potem niesiono we dwunastu ów sławny krzyż i owe trzy tablice z Gniezna. Następnie jechało przeszło sto wozów ze skarbami złupionemi w Polsce i tłumy jeńców wojennych, a wśród nich Gieczanie ze swemi rodzinami.

Zniknęły książęce skarbce z Polski, zniknęły bogactwa katedr. Cały kraj zubożał na długie czasy, bo czeski najazd zniszczył ogniem i mieczem osady, a kto nie zdołał ocalić się ucieczką, szedł do niewoli. Najcięższą klęską stało się to straszne wyludnienie kraju; odjęcie tysięcy rąk do pracy podcięło dobrobyt na długie czasy, cofnęło rozwój ekonomiczny, a przez to samo utrudniło dalszy postęp cywilizacyjny.

REWOLUCYA NIEWOLNIKÓW.

Niedość jednej klęski; towarzyszyła jej zaraz druga. Ludność niewolna nie czuła nad sobą żadnego pana, gdy ustał porządek; upadek królewskiej władzy i państwowej organizacyi był dla nich oswobodzeniem, ale też i ogłodzeniem. Nie było już tych, którzy kazali robić im przez całe życie korabie, szczyty, groty i łagwie, ale też nie było tych, którzy poręczali im wzamian bezpieczną siedzibę i pożywienie na kawałku wyznaczonej ziemi. Władza wydzielała narocznikom osady, bez względu na to, że w niejednej okolicy zdałoby się więcej ziemi dla rodzimej ludności. Gdy runęło państwo, przeciwieństwo wolnych i niewolnych, krajowców i obcych wystąpiło jaskrawo. Teraz musieli narocznicy sami pamiętać o sobie i jeżeli mieli utrzymać się przy ziemi, musieli jej bronić przeciwko krajowcom. I zawrzała podjazdowa wojna domowa wolnych gospodarzy z wolnymi też chwilowo narocznikami. Mamy poświadczoną z tych czasów wiadomość, że jeszcze przed

najazdem czeskim krajowcy sami wywołali zamieszki i kraj pustoszyli. Narocznicy nie mogli się przenieść w inną stronę kraju, jeżeli ich w jednej stronie prześladowano; wracać do ojczyzny, to niewykonalne, a zresztą niejedna osada niewolna liczyła już dwa i trzy pokolenia swego istnienia. Znaczna większość tych ludzi zżyła się z ludnością krajową i niejedna osada polską już się stawała. Ale w braku króla byli oni w Polsce niczem; nie było dla nich miejsca, chyba, że sobie je gwałtem zdobędą. Więc się uciekli do gwałtu. Po najeździe zewnętrznym, czeskim, nastąpił zaraz drugi, wewnętrzny najazd narocznikow, od tamtego o tyle gorszy, że to już nie chwilowy napad. Na bunt niewolników jedyny ratunek był w przywróceniu królewskiej władzy i gdyby się zjawił król, książę, oni sami zaraz wróciliby do dawniejszych karbów, bo im nie o wolność chodziło ale o ziemię, o chleb powszedni. Z całej Polski oni chyba najbardziej wyczekiwali odnowienia państwowej władzy, choć dobrze wiedzieli, że to będzie końcem ich wolności.

Na Mazowszu nie było buntu niewolników, bo tam Masław dzierżył władzę. Niebawem obwołano go księciem. Z nawiedzonej wojną Wielkopolski uciekała ludność na Mazowsze, dokąd nie sięgnął obcy najazd. Tam był jedyny spokojny kąt w Polsce, toteż emigrowano tam tłumnie. Wtenczasto Mazowsze stało się najludniejszą krainą polską i już nią na zawsze pozostało, bo choć po wojnach Polanie wracali do swoich ujazdów, Mazowsze wojną nietknięte zachowało ludność całą, podczas gdy Wielkopolska i Małopolska miały dawnego zaludnienia tylko resztki.

Po lewej strony Wisły nie było zaś jeszcze końca nieszczęściom. Wśród narocznikow nie brakło pogan, słowiańskich zachodnich pobratymców, którzy pałali zaciekłą nienawiścią ku chrześcijaństwu. Ci teraz wywierali swą zemstę na znienawidzonych Piastowskich dziedzinach; ci wystąpili zaczepnie, by z chrześcijaństwem się rozprawić. Rzucili się więc na nieliczne kościoły i klasztory; Czech brał z nich skarby, a oni zaś burzyli je i podpalali. Brzetysław brał księży do niewoli, gdy mu który nie chciał być powolny; ale ci księży mordowali. Szczęściem groźna ta rewolucya nie ogarnęła całej Polski, ale tylko nie całą zachodnią jej część, bliższą Zaodrza i Połabia, gdzie jeńców z Połabian osadzano, część Wielkopolski i Ślązka. Wśród Wiślan i Lachów nie było rewolucyi pogańskiej; widocznie nie było tu po-

gańskich narokowych osad, nie osiedlano tam wówczas jeńców z Połabia ani z Prus. Klasztor Świętokrzyski, na Łysej Górze w Sandomierskiej ziemi, przetrwał tę burzę nieuszkodzony. Z biskupstw polskich tylko krakowskie utrzymało się w tej powodzi klęsk. To wskazówka ważna, bo wszystkie inne biskupstwa przepadły i trzeba je było na nowo zakładać. W wielkopolskich katedrach nie było przy czem odprawiać nabożeństwa, nie było nawet służby, któraby gruzy uprzątnęła. Sterczały ruiny. Zniknęły benedyktyńskie klasztory i w Wielkopolsce i na Ślązku; opustoszał trzemeszneński klasztor św. Wojciecha i dopiero później miał się zaludnić na nowo zakonnikami. Pozostali jednak benedyktyni w Tyńcu pod samym Krakowem.

Od zaprowadzenia chrześcijaństwa mijało dopiero zaledwie siedmdziesiąt lat, a jednak utrwaliło się ono tak, że pogańskie hasła nie znalazły zwolenników pomiędzy rodowitą polską ludnością; inaczej byłaby rewolucya pogańska rozszerzyła się na całą Polskę, a do tego nie przyszło.

KAZIMIERZ ODNOWICIEL. 1038–1058 r.

Upadek Piastowskiej dynastyi był zarazem upadkiem państwa polskiego. Chybaby Masław i następcy jego zdołali rozszerzać coraz bardziej swe panowanie i na nowo zjednoczyć polskie ziemie! Jeżeliby im się udało założyć nową dynastyę, czekałaby tych władców na nowo cała ta polityczna robota, którą Piastowie mieli już zrobioną, a tem trudniejsza, że Mazowsze wysunięte było na wschód, podczas gdy Piastowie opierali się na zachodnich ziemiach Wielkopolski, a z ziemiami nadodrzańskiemi i nawet zaodrzańskiemi mieli wyrobione już stosunki. Czem dalej na wschód przenosiłby się środek polskiego państwa, tem gorzej dla nas, tem lepiej byłoby dla Niemiec, tem szerszy pas ziemi stałby się łupem niemieckim od zachodu. Toteż powrót Piastów byłby szczęściem nietylko dla Polski, ale dla Słowiańszczyzny wogóle. Ale z całej Piastowskiej rodziny, niedawno tak rozrodzonej, żył już tylko jeden mężczyzna, Kazimierz, oddany do zakonu.

Poparł piastowską sprawę sam cesarz Konrad II., bo w tym wypadku interes niemiecki godził się z polskim. Wzajemne współubieganie się o pierwszeństwo dwóch dynastyi, Piastów i Przemyślidów, było na rękę Niemcom; ciągła ich rywalizacya najle-

pszą była rękojmią, że nigdy cała Słowiańszczyzna zachodnia nie rzuci się na Niemcy. Chodziło o to, żeby nie dopuścić żadnej z nich do znaczniejszej potęgi i gdy jedna z nich się wzmoże, użyć drugiej przeciwko niej. Ileż to razy przydali się Przemyślidzi na Piastów! Teraz czeski książę urósł w potęgę groźną i zachodziła obawa, że wyrwie Czechy z pod niemieckiej zwierzchności. Zwycięzki pochód Brzetysława zaniepokoił do najwyższego stopnia Konrada II. bawiącego we Włoszech; uważał to — a słusznie — za sprawę tak pierwszorzędną dla Niemiec, że natychmiast rzucił włoskie sprawy, żeby pospiesznie wracać. Dnia 11 sierpnia był jeszcze we włoskim mieście Brescyi, a już we wrześniu był w Niemczech. Na jego poparcie mógł Kazimierz liczyć na pewno, bo teraz Piast był potrzebny, żeby przez niego nie dać róść Czechom.

Brzetysław wiedział o tem wszystkiem. Toteż zażądał od króla Stefana węgierskiego, żeby mu Kazimierza wydano, oczywiście po to, żeby mu ówczesnym zwyczajem wyłupić oczy i tak raz na zawsze Piastów się pozbyć. Groził Węgrom wojną. Stefan nie wydał wprawdzie Kazimierza, ale z obawy, żeby polski królewicz nie wydarł się do Polski, więził go, żeby się nie narazić Brzetysławowi. Król Stefan umarł jednak 15 sierpnia 1038, a zanim ustalił się na tronie następca jego Piotr Wenecyanin, udało się Kazimierzowi zbiedz z Węgier do Niemiec, prawdopodobnie przez marchie Austryacką lub Korutańską do Bawaryi, a stąd w okolice nadreńskie, dokąd też właśnie zamierzał Konrad II.

Dostał Kazimierz hufiec 500 zbrojnych na polską wyprawę, oczywiście pod warunkiem, że hołd złoży i uzna zależność od Niemiec. Nie było na to rady w tym stanie spraw; nie pora była na namysły. Kazimierz musiał się stać dla Polski nowym Mieszkiem I. Jeszcze z końcem tego samego 1038 roku stanął na polskiej granicy, a ludność chrześcijańska i wszyscy zwolennicy spokoju i porządku garnęli się do niego. Buntownicze tłumy, zrobiwszy swoje, t. j. zamięszanie i ruinę wszystkiego, niezdolne były do jakiejkolwiek potem organizacyi i gdy minęła chwila szału, niezdolne nawet do stawienia należytego oporu. Większość naroczników była zresztą rada, że wróci władza książęca, zapewniająca im bezpieczne utrzymanie. Nie słyszymy o żadnej bitwie z poganami; dowiadujemy się tylko, że ludność wychodziła naprzeciw Kazimierza, witając go pieśnią: „A witajże, witaj, miły

gospodynie!“ Rozprószona drużyna wojenna Piastowska skupiła się na nowo, mając prawowitego władcę. Ażeby mieć sojusznika, postanowił Kazimierz nawiązać przyjazne stosunki z Rurykowiczami. Nie upominając się tedy o Grody Czerwieńskie, zgadzając się na pozostawienie ich Wielkiemu Księstwu Kijowskiemu, wyprawił poselstwo do Jarosława, prosząc o rękę jego siostry Dobronegi, a córki Włodzimierza I. Małżeństwo zawarto już z początkiem 1039 roku, a zarazem przymierze, którego Jarosław wiecznie dochował.

Ale nie miał Kazimierz zamiaru darować Przemyślidom Ślązka. Zaraz na początku panowania wysłał do Rzymu skargę na Brzetysława i biskupa praskiego o rabunek kościołów i relikwij. Z początku zanosiło się na surową karę, mówiono nawet o klątwie; ale posłowie czescy przekupili trybunał tak, że podano papieżowi do zatwierdzenia wyrok nader lekki: żeby książę czeski i jego biskup wystawili za pokutę klasztor. Było to za panowania Benedykta IX., który rządził nieudolnie i pozwalał zajmować w Rzymie rozmaite wielkie i wpływowe godności kościelne niegodnym osobom. Przekupstwo zaczęło grasować w Rzymie, a nawet frymarczono posadami duchownymi. Brzetysław miał zaś pełny skarbiec, dzięki łupom, zabranym w Polsce.

UTRATA GODNOŚCI KRÓLEWSKIEJ.

Nowy król niemiecki, Henryk III., postanowił dokonać zamiaru swego poprzednika: żeby powstrzymać rozwój potęgi Przemyślidów, upokorzyć ich i zmienić na nowo w lenników, pozbawionych samodzielności. Kazimierz wyskiwał to usposobienie Henryka III. Król niemiecki zażądał od Brzetysława, żeby zwrócił Kazimierzowi zdobycze, t. j. zabrane skarby, jeńców i Ślązk. Książę czeski odmówił oczywiście, zaczęła się więc wojna r. 1039. Z początku Czesi byli górą, ale w r. 1041 ponieśli stanowczą klęskę, przez zdradę niesfornych naczelników rodów. Gdy Brzetysław w październiku 1041 r. stawił się przed Henrykiem w Ratyzbonie boso, wypłacił zaległą daninę z Czech w ilości 1500 grzywien, a nadto 4.000 grzywien kontrybucyi; gdy przysiągł, że będzie Henrykowi posłusznym hołdownikiem — skończyła się sprawa polska, nie było już mowy ani o zwrocie szkody, ani o Ślązku. Popierali królowie niemieccy Piasta, póki sami tego potrzebowali,

ale obojętnem było dla nich, kto na Ślązku włada. Z kłótni dwóch, korzysta trzeci; teraz i przemyślida i Piast byli jednako hołdownikami Niemiec. Polska była wyniszczona najazdem czeskim; teraz najazd niemiecki tak zniszczył Czechy, że następnego roku wybuchnął głód i trzecia część ludności wymarła. Na długie lata nie mogło się stawić Niemcom ani jedno, ani drugie słowiańskie państwo. O koronacyi nie mógł Kazimierz ani myśleć; pozostał księciem, jak niegdyś Mieszko I., Henryk III. upominał się o swe zwierzchnicze prawa. Kazimierz złożył hołd poprzednikowi jego, Konradowi II., zapewne jeszcze w Niemczech, nim dostał owych 500 zbrojnych. Według prawa lennego miał stawić się przed nowym królem i na nowo hołd składać. Nie uczynił tego i dopiero w roku 1042 na Boże Narodzenie wyprawił do Henryka poselstwo, ale nie z hołdem, tylko z propozycyą, żeby Henryk pojął w małżeństwo jedną z ruskich księżniczek; posłowie ruscy jechali z polskimi. Król odmówił małżeństwa posłom ruskim, a polskich nawet nie przyjął, co oznaczało, że zrywa przyjazne stosunki z Kazimierzem. Natychmiast też wyprawił książę polski drugie poselstwo, które stawiło się w Goslarze już na początku lutego 1043 roku. Posłowie złożyli hołd imieniem Kazimierza, a nadto przysięgę osobną na to, że on sam zajęty sprawami swego państwa, nie mógł się stawić osobiśbie ani w grudniu, ani teraz nie może. Monarcha polski zrzekł się więc już godności królewskiej. Kazimierz stawił się osobiście przed Henrykiem III. w czerwcu 1046 roku, wraz Brzetysławem i Ziemomysłem pomorskim, z którymi miał jakieś zatargi. Król niemiecki rozsądzał te spory, jako ich zwierzchnik i godził powaśnionych trzech władców słowiańskich. O co chodziło w sporze pomorskim, nie wiemy; wiemy jednak, że Ziemomysł występował wrogo przeciw Kazimierzowi, popierając Masława.

WOJNA Z MASŁAWEM.

Odzyskał był Kazimierz bez trudności ziemię Polan, Kujawian, Łęczycan, Wiślan i Lachów, ale nie odzyskał od razu Mazowsza, bo tu rządził Masław a miał swoją drużynę wojenną. Nie poddał się dobrowolnie powracającemu Kazimierzowi, ani go też Mazowszanie do tego nie parli. Mazowsze, dopiero przez ojca Kazimierzowego przyłączone do Piastowskiego państwa, wcale się

jeszcze z Piastami nie zżyło, a Masław utrzymywał przymierze z Pomorzem przeciw Kazimierzowi. Utraciwszy Ślązk, nie mogąc myśleć o odzyskaniu Czerwieńskich Grodów, pragnął Kazimierz tem bardziej odzyskać Mazowsze i osięgnął to z pomocą ruską. W r. 1041 wyprawił się tu Jarosław na łodziach, skandynawskim obyczajem Waregów, zapewne rzeką Bugiem od Grodów Czerwieńskich płynącą, a wpadającą do Wisły. Losy wyprawy nie znane, ale Masław utrzymał się jeszcze sześć lat. Kazimierz najechał Pomorze, sprzymierzone z Masławem. W jednej z wypraw pomorskich brał udział książę węgierski, Bela, wygnaniec, bawiący na polskim dworze i zabił jakiegoś księcia pomorskiego, za co Kazimierz dał mu swą siostrę za żonę. W r. 1046 pogodził się przed sądem króla niemieckiego z głównym pomorskim księciem, Ziemomysłem i mniemał słusznie, że teraz łatwiej już będzie dać radę Masławowi, pozbawionemu przymierza. Nastąpiła walna wyprawa w r. 1047. Masław z ludnego i zagospodarowanego Mazowsza, na którem nie było rewolucyi, wystawił 30 hufców zbrojnych; Kazimierz z wyludnionej reszty Polski mógł ledwie trzy hufce przyprowadzić, tak, że wojnę prowadził głównie posiłkami Jarosława. Niespodzianie dowiedziano się, że Ziemomysł pomorski zrywa zgodę i ciągnie na pomoc Masławowi; stoczono przeto walną bitwę, zanim nadeszli Pomorzanie. Wśród morderczej walki poległ Masław; Kazimierz i Jarosław odnieśli świetne zwycięstwo. Zaraz po bitwie ruszył książę polski przeciw nadchodzącemu wojsku pomorskiemu; miał ledwie pół pułku, podczas gdy Ziemomysł wiódł cztery; zwyciężył jednak, zapewne także z pomocą Waregów Jarosława. Kazimierz posunął się na Pomorze i część tego kraju przyłączył na nowo do Piastowskiego państwa. Wzmogły się teraz siły książęcia polskiego; wszak Mazowsze było ludne i zamożne, warte pod tym względem wówczas więcej od całej reszty państwa.

ODZYSKANIE ŚLĄZKA. – WZNOWIENIE ORGANIZACYI KOŚCIELNEJ.

Toteż wkrótce zączął Kazimierz śmielej występować na zewnątrz. Wyprawił się w r. 1050 z wojskiem na Ślązk i odzyskał tę ziemię. Tego samego zaraz roku wznowił kiskupstwo wrocławskie i kazał w tem mieście wznieść swym kosztem modrze-

wiową katedrę na odrzańskim ostrowie; w następnym roku wyświęcono już nowego biskupa, Hieronima,

Kilka lat pokoju, które teraz nastały, poświęcił Kazimierz przedewszystkiem wznowieniu organizacyi polskiego Kościoła. Metropolia gnieźnieńska przestała istnieć przez rewolucyę, a niełatwo było teraz, w czasach upadku, wznowić osobną prowincyę kościelną polską. Podniosły się na nowo uroszczenia magdeburskie do zwierzchnictwa nad polskimi biskupami; szło to w parze z polityczną zależnością Polski od Niemiec. Gdy rewolucya zmiotła gnieźnieńską katedrę, zaraz się arcybiskup magdeburski postarał w Rzymie o odnowienie dawnego zwierzchnictwa kościelnego nad Słowiańszczyzną i otrzymał na to dokument na piśmie. Napróżno czynił Kazimierz starania o wskrzeszenie arcybiskupstwa; nie mógł tego osięgnąć, ani nawet przez swego wuja Hermana, arcybiskupa kolońskiego. Sprawa ta przeciągnęła się poza panowanie Kazimierza, aż do jego następcy, a potem jeszcze arcybiskupi magdeburscy chcieli być zwierzchnikami biskupów polskich. Jeszcze w kilkadziesiąt lat potem, w r. 1133 wołano o to z Magdeburga. Ażeby zaznaczyć w jakikolwiek sposób samoistność polskiego Kościoła, przyjął tedy tytuł arcybiskupi biskup krakowski Aron, wyświęcony u Hermana w Kolonii.

Był pokój, bo król niemiecki nie mógł wyruszyć na Polskę, zajęty gdzieindziej. Przygotowywał Henryk III. wyprawę już jesienią 1050 roku, zaraz po odebraniu Ślązka, ale złożony chorobą dał się ułagodzić, gdy sam Kazimierz pojechał do niego w listopadzie do Goslaru i obiecał sprawę zdać na jego sąd. Zyskał przez to na czasie, a tymczasem wypadło Henrykowi prowadzić dłuższą wojnę na Węgrzech. Kazimierz dostarczył mu posiłkowego hufca, jak to było hołdownika obowiązkiem, żeby mu niczego nie można było zarzucić; w bitwie nad rzeką Repcze zawdzięczał nawet Henryk III. Polakom ocalenie wojska i własnej osoby. Gdy książę bawarski podniósł przeciw królowi bunt, Kazimierz pozostał wierny Henrykowi, ażeby go sobie zjednać. Nie spieszył się Henryk z wyrokiem w sprawie ślązkiej, bo przewlekanie tej sprawy trzymało polskiego księcia w niepewności, a więc i w zależności, w obawie wojny z Niemcami, na którą słabe, wyludnione, zubożałe państwo nie mogłoby się odważyć. Gdyby Henryk III., władca bardzo potężny, kazał Ślązk zwrócić Brzetysławowi, byłby Kazimierz

musiał usłuchać. Wyprawa z r. 1050 była próbowaniem szczęścia; udało się, bo napad był niespodziany, a chwila mądrze obrana i okoliczności dobrze rozważone; ale przez cztery następne lata trzeba też było być przygotowanym na oddanie Ślązka Przemyślidom. Roztropną polityką odwrócił książę to niebezpieczeństwo i gdy nareszcie w maju 1054 roku wydał Henryk III. wyrok w Kwedlinburgu, przyznał Ślązk w zasadzie Przemyślidom, żeby nie cofać poprzedniego orzeczenia, ale zostawił go w ręku Piasta, zastrzegając tylko, żeby płacić czeskiemu księciu 500 grzywien srebra i 30 grzywien złota daniny ze Ślązka. Była to wygrana polityczna; skoro tylko na grodach ślązkich były polskie załogi, mniejsza na razie o daninę, która i tak nie potrwa długo, jeżeli państwo piastowskie na nowo się wzmoże.

Ostatnim czynem Kazimierza były ponowne zabiegi w sprawie kościoła polskiego. Gdy papież wysłał w r. 1057 swego delegata, t. j. pełnomocnika do Niemiec, dla uporządkowania spraw tamtejszych, wyprawił też Kazimierz jednego z polskich biskupów, żeby się z legatem zobaczył. Biskup ten był obecny na zjeździe zwołanym przez legata do miasta Pöhlde i zdołał przedstawiciela stolicy apostolskiej przekonać o słuszności polskich żądań. Legat ten, Hildebrand, niedługo potem sam został papierzem i panował sławnie pod imieniem Grzegorza VII; należy do najlepszych, najmędrszych papieży. Stanąwszy na czele kościoła, wznowił Grzegorz VII. metropolię gnieźnieńską. Tego już jednak Kazimierz nie dożył; zmarł 28 listopada 1058 r., licząc lat zaledwie 42.

Historya dała mu przydomek „Odnowiciela“; tak go już nazywa najstarsza polska kronika. Należy mu się to słusznie; on odnowił państwo polskie, odnowił kościół polski, odnowił cywilizacyę w Polsce. Godzien stać obok Mieszka I.

CZĘŚĆ II.

Walka społeczeństwa o wpływ na rządy państwem.

ROZDZIAŁ I.

ZŁAMANIE JEDYNOWŁADZTWA.

IMMUNIT.

Bez Piastów bylibyśmy wyplenieni, jak połabscy nasi pobratymcy. Ale to dobrodziejstwo dziejowe nie obeszło się bez użycia nieraz przemocy wobec społeczeństwa. Żelazną ręką osiągnęła dynastya zwierzchność nad wszystkiemi plemionami Polski i panowała też samowładnie tak, że wobec księcia czy też króla nikt nie miał żadnych praw. Na Zachodzie przełamano już dawniej książęcą wszechwładzę. Daleko, bardzo daleko było jeszcze do tego, żeby jakieś prawo określało prawa ludności wobec tronu. Ograniczanie tej władzy odbywało się bardzo powoli i z wielkiemi trudnościami; o każde, choćby najmniejsze prawo, trzeba było dobijać się z osobna w najrozmaitsze sposoby. Na czele tej walki o prawo stanął wszędzie Kościół katolicki, sam pierwszy dążąc do wydobycia się z pod świeckiej władzy państwowej. Kościół nie chciał znać żadnego innego prawa, jak tylko swoje własne kościelne, czyli kanoniczne i chciał, żeby tylko to prawo stosowano do duchowieństwa i jego majętności. Wyjęcie z pod nieograniczonej władzy królewskiej zwało się *immunitem* (od łacińskiego wyrazu „immunitas“). Duchowieństwo pociągało za sobą świeckich, aż w końcu wszystkie stany połączyły się do walki o prawo. Z łaski tronu można było mieć wiele, ale prawa nie miało się nigdy do niczego, póki się nie osiągnęło immunitu i nie otrzymało od panującego na swe prawa dokumentu, zwanego przywilejem. Z razu tylko biskupi wiedzieli jasno i do-

kładnie, czego chcą, mając gotowe, wyrobione już za granicą prawo kanoniczne, na którem się opierali.

Ważną w dziejach społecznego rozwoju Polski jest data: rok 1057. Pierwsze to wiadome nam wyświęcenia Polaka na księdza (nie licząc królewicza Kazimierza). Kapłanem tym był Suła, wyświęcony w Krakowie i tamże w cztery lata później biskupem ustanowiony po śmierci arcybiskupa Aarona w r. 1061. Odkąd mieliśmy biskupów rodaków, poczyna się polityczne życie w społeczeństwie, a początkiem tego ruchu dążenie Kościoła polskiego do immunitu.

Kościół był zawisły w zupełności od monarchy, bo z początku nie miał własnego majątku, utrzymywany tylko przez samych Piastów bezpośrednio, którzy odstępowali biskupom dziesięcinę, t. j. dziesiątą część państwowych danin, nagromadzonych po grodach. Daniny te, wówczas jeszcze składane wyłącznie w naturze, nie wielką dla Kościoła miały wartość, a wystarczać nie mogły. Duchowieństwo było na książęcym chlebie, podobnie jak drużyna wojenna, ale też i na książęcej łasce. W krajach dawniej, niż Polska, nawróconych, posiadał już Kościół własne dobra ziemskie, w których zaprowadzał gospodarstwo rolnicze. I nasi biskupi musieli też do tego dążyć, boby inaczej nie zdołali wypełnić należycie swego zadania. Kościół miał wydatki wielkie, bo należało cały kraj zapełnić kościołami i parafiami, których prawie jeszcze nie było; wszak trzeba było łożyć na utrzymanie młodzieży sposobiącej się do stanu duchownego, budować szkoły i zakłady dobroczynne! Wedle ówczesnego zaś zwyczajowego prawa polskiego posiadanie majątków ziemskich przez Kościół było niemożebne. Chcąc kupić ziemię, trzeba ją było odkupywać od wszystkich stryjców rodowych; jeżeli choć jeden na sprzedaż nie przystał, mógł kupno unieważnić. Nie było zresztą ani ziemi na sprzedaż, ani też Kościół nie miałby za co kupować. Można było myśleć tylko o darowiźnie, ale i do tego trzeba było zezwolenia całego rodu, a niełatwo było o taki wypadek, żeby wśród wszystkich stryjców nie znalazł się ani jeden skąpy. Chociażby jednak nastąpiła darowizna, była znowu nowa trudność, gdyż w razie bezpotomnej śmierci właściciela źreb, według polskiego prawa, wraca do rodu, po śmierci więc każdego biskupa lub opata mieliby potomkowie fundatora prawo zagarnąć majątek kościelny. Trzebaby

tedy darowiznę odnawiać ciągle, ciągle na nowo o nią dopraszać, nie mając nigdy pewności, czy syn nie odbierze tego, co dał ojciec. Prawo polskie nie znało całkiem posiadania wieczystego przez instytucye, fundacye; nie znało dla tej przyczyny, że było ono starsze od chrześcijaństwa w Polsce, powstało jeszcze kiedy nie było w kraju żadnych instytucyj, jak n. p. biskupstw lub klasztorów. Trzeba było koniecznie wyjęcia Kościoła i jego spraw z pod prawa polskiego. Na Zachodzie dokonało się to przeważnie przez uznanie testamentu, t j. rozporządzenia ostatniej woli. Testament jest zwyczajem prawa staro rzymskiego; przyjął go Kościół do swego prawa kanonicznego i wywalczył mu znaczenie wśród nowych narodów. Polskie prawo nie znało całkiem testamentu; dopiero duchowieństwo nauczyło tego naszych przodków. Sprawa o zapisy testamentowe na rzecz Kościoła zaczyna się u nas już w XI. wieku. Posiadanie zaś dóbr ziemskich przez Kościół łączyło się z uszczupleniem władzy monarszej, bo było zasadą prawa kanonicznego, że dobra takie mają być uwolnione od wszelkich danin i od sądownictwa książęcego, czy królewskiego, bo to jest immunit.

SENIORAT.

Władza królewska była w ówczesnej Polsce tem potężniejsza, że król panował sam jeden bezpośrednio na ziemiach ludów polskich. Było to czemś wyjątkowem w owych czasach, bo zazwyczaj dzieliły się państwa na księstwa, nad któremi panowały jużto osobne dynastye, jużto krewni najwyższego naczelnika państwa, który, jeżeli nie był koronowany na króla, to zwał się Wielkim księciem. Niemieckie królestwo dzieliło się na sześć księstw: bawarskie, saskie, dwa frankońskie i dwa lotaryńskie, a nadto były na pograniczach osobne marchie. Książęta i margrabiowie byli hołdownikami, czyli lennikami królewskimi; dążyli oni do tego, żeby król nie był niczem więcej, jak tylko pierwszym między nimi, król zaś pragnął ich zamienić na swych urzędników. Na Rusi zaś i w Czechach utworzono dzielnice celem wyposażenia braci panującego księcia. Było to wszędzie doniosłą sprawą polityczną i wiązało się ściśle ze sprawą następstwa tronu. W Czechach i na Rusi próbowano to załatwić w ten sposób, że zwierzchność nad całem państwem i wszystkimi książętami przyznano

najstarszemu wiekiem członkowi rodu, co się zowie z łacińska: *seniorat*. Senior Rusi był Wielkim księciem w Kijowie, a bracia jego i krewni panowali pod jego zwierzchnictwem na swych dzielnicach. Na wielkiej obszernej Rusi było od Wielkiego Nowogrodu do Kijowa dosyć miejsca na dzielnice. Książęta ci nie mieli prowadzić polityki na własną rękę, ani wojny wypowiadać, ani zawierać pokoju; to miało należeć tylko do Wielkiego księcia Kijowskiego, a tamci winni mu byli wierność i uległość, jako jego lennicy. W rzeczywistości jednak tak nie było i Ruś rozdrobniła się wkrótce na liczne państewka, z książętami niesfornymi, których głównem zajęciem było napadać na siebie wzajemnie. Przemyślidzi zapanowawszy dopieroco nad całemi Czechami i Morawami, sami dla siebie zaczęli tworzyć nowe księstwa dzielnicowe. Książę Brzetysław zaprowadził seniorat, wyznaczając na Morawach trzy dzielnice książęce: księstwo berneńskie, znojemskie i ołomunieckie. Więcej księstw nigdy nie było i szczęściem, bo niewielkie Czechy byłyby w rozdrobnieniu straciły wszelkie znaczenie polityczne.

BOLESŁAW ŚMIAŁY, 1058–1080 r.

Wśród takich stosunków i okoliczności wstąpił w roku 1058 na tron piastowski po Kazimierzu Odnowicielu najstarszy jego syn, Bolesław II., zwany Szczodrym, a także Śmiałym, mając lat 19. Młodszy o rok brat Władysław, drugiem imieniem nazwany Herman na cześć swego ciotecznego dziadka w Kolonii, nie dostał na razie żadnej dzielnicy. Trzeci z kolei, Mieszko, miał przy śmierci ojca lat 13 i żył potem tylko jeszcze lat siedm. Najmłodszy Otto zmarł małem dziecięciem. Władysław Herman nie miał przyjaźni dla panującego brata. Nie wszczynał buntów, bo starszy Bolesław żelazną miał rękę, ale umiał mu szkodzić po cichu i zdaje się, że w drugiej połowie rządów Bolesława wymógł dla siebie dzielnicę na Mazowszu.

WYPRAWY CZESKA I WĘGIERSKA.

Pokazało się zaraz w Czechach, że Seniorat nie chroni kraju od waśni książąt i domowych wojen. Brzetysław miał pięciu synów Najstarszy Spytygniew został seniorem w Pradze, trzech dostało morawskie dzielnice, ale dla najmłodszego, Jarosława, nie chciano

już tworzyć jeszcze jednej dzielnicy i przeznaczono go do stanu duchownego. Niezadowolony z tego młody książę zbiegł na dwór piastowski, pewny że tu skorzystają chętnie ze sposobności, żeby z kłótni Przemyślidów wydobyć korzyść dla siebie. Skorzystał rzeczywiście Bolesław Śmiały z tego pozoru, ujął się za Jarosławem i ruszył na Czechy w r. 1061. Wojna ta nie pochodziła jednak z samej tylko niechęci jednej słowiańskiej dynastyi do drugiej, z rywalizacyi prostej o większe znaczenie i powiększenie posiadłości. Przeciwieństwo Piastów i Przemyślidów miało głębsze polityczne znaczenie i było starciem się dwojakiej słowiańskiej polityki względem Niemiec. Piastowski ród ulegał królom niemieckim tylko wtenczas, gdy zmuszała do tego jaka przykra ostateczność, gdy już nie było innej rady, ale zawsze o tem myśląc, żeby dojść do zupełnej niezawisłości. Trzech Piastów nosiło już królewską koronę, z Przemyślidów zaś nikt jeszcze. Kazimierz Odnowiciel uznał się Niemiec hołdownikiem, gdy nie miał ani jednego żołnierza, a za hołd dostał 500 zbrojnych i kosztem hołdu wznawiał upadłe piastowskie państwo. Obecnie pragnął następca jego zrzucić z Polski tę zależność i dążył do wznowienia królewskiej godności. Postanowił sobie, że skoro tylko wzmogą się siły polskie, stanie śmiało przeciw Niemcom, gotów do walki, byle tylko Polsce zapewnić stanowisko równe innym samodzielnym państwom chrześcijańskim. Nie dać się Niemcom, nie ulegać im, to było hasłem piastowskiej polityki. Przemyślidzi prowadzili już politykę odmienną. Zasadą ich stało się, żeby niczem królów niemieckich nie drażnić, ale owszem uległością ich pozyskać i zapewnić sobie bezpieczne posiadanie Czech. Nie było to jednak koniecznością. Przemyślidzi mogli byli oprzeć swe bezpieczeństwo na wojującej z Niemcami Polsce, mogli byli złączyć się przeciw Niemcom z Piastami. Wszak Piastowie nie dążyli do zagarnięcia Czech pod swe panowanie, chodziło im tylko o to, żeby zmusić Przemyślidów do popierania wspólnej polityki słowiańskiej, żeby panujący w Pradze książę nie łączył się z Niemcami wtenczas, gdy Polska z nimi walczy. Przemyślidzi widocznie nie rozumieli, o co chodzi i woleli być królów niemieckich hołdownikami, niż Piastów sojusznikami. Wszczął tę wojnę Bolesław Śmiały, ażeby rozbić sojusz Czech z Niemcami, ażeby mieć w Pradze księcia osadzonego polskiemi siłami, zależnego od siebie. Chodziło też przytem o daninę płaconą ze

Ślązka. Wyprawa jednak nie udała się. Bolesław przekroczył rzekę Oppę, (poboczna Odry, nad nią miasto Opawa) i zabrał się do oblęgania granicznego grodu Hradca; poniósł tam klęskę i omal nie dostał się do niewoli. Zaraz na początku wojny umarł Spytygniew, a seniorem został drugi z braci, Wratysław II., który tej wojny sobie nie życzył i sam podał dłoń do zgody. Owdowiawszy, ożenił się z końcem roku 1062 ze siostrą Bolesława, Świętosławą, zwaną w Czechach Swatawą. Danina ślązka skończyła się, a Jarosław pogodził się z duchowną szatą i został biskupem praskim. W owym pełnym nadzieji roku 1062 mogło się zdawać, że zaprzyjaźnieni i spowinowaceni Piast z Przemyślidą pchną na nowe tory sprawy zachodniej Słowiańszczyzny i utworzą wreszcie wał ochronny przeciw niemieckiemn naporowi. Niestety, Wratysław inaczej się potem namyślił i gdy przyszło do walki z Niemcami, walczył po ich stronie przeciwko Polsce.

Również na krakowskim dworze szukali pomocy książęta węgierscy, też o tron poważnieni. Bolesław wyprawił się na Węgry i osadził na tronie swego kandydata Belę, którego kazał koronować. Sam księciem tylko będąc, królów strącał i osadzał. Po śmierci Beli powtórnie rozporządził węgierską koroną. Pamiętał przytem o polskim interesie: odebrał Madziarom część dawnej zdobyczy Bolesława W., a mianowicie północną Słowaczyznę nad górnym biegiem rzeki Wagi, na południu Tatr.

SCHYZMA I BIZANTYNIZM.

Podobnież wmięszał się Bolesław Śmiały czynnie w sprawy ruskie i przy tej sposobności odzyskał na nowo Grody Czerwieńskie. Stosunki na Rusi tak sę tymczasem były zmieniły, mianowicie stosunki kościelne, że ciągle powtarzające się walki o grody czerwieńskie nabrały wobec tych zmian wielkiego znaczenia. Nie chodziło tu już tylko o granicę dwóch sąsiednich państw ale o sprawy pierwszorzędnej doniosłości dla dziejów Europejskich.

Ruś należała do patryarchatu carogrodzkiego. (Bizancyum, czyli Konstantynopol, po słowiańsku C a r o g r ó d, bo tam mieszkał cesarz, czyli car, wschodniego cesarstwa rzymskiego, zwanego potem bizantyńskiem, a także greckiem). Wschodnie cesarstwo istniało bez przerwy od starożytnych czasów. Starsza tam o wiele była cywilizacya, niż wśród nowych narodów europejskich, n. p.

we Francyi lub w Niemczech, a przedewszystkiem więcej było bogactw, ogłady i nauki. Zachodnia Europa była nieokrzesana jeszcze, gdy w bizantyńskiem państwie szczycono się wielkim zasobem cywilizacyi. A jednak zachodnia Europa nietylko zrównała się z tą cywilizacyą, ale ją nawet o bardzo wiele przewyższyła! Stało się to tu przez dobroczynny wpływ kościoła, a tam z jego winy. U chrześcijan bowiem kościół kroczy na czele cywilizacyi. Gdy on spełnia dobrze swe obowiązki, zakwitają wszystkie ludzkie sprawy; gdy duchowieństwo się zaniedba, odczuje się to wcześniej czy później we wszelkich stosunkach. A siła kościoła płynie od jego Głowy, od rzymskiego papieża.

Już w roku 867, za czasów św. Cyryla i Metodego, zerwał z Rzymem patryarcha carogrodzki Focyusz i popadł przez to w schyzmę, t. j. odszczepieństwo od jedynego powszechnego t. j. katolickiego Kościoła, którego widomą głową są następcy świętego Piotra, biskupi rzymscy, papieże, ale wtenczas skończyło się to złożeniem patryarchy z godności. Była jednak w Bizancyum niechęć do papiestwa, a podsycali ją cesarze bizantyńscy, którym nie podobało się, że papieże nie tylko nie pozwalali monarchom mięszać się w sprawy religijne, ale sami zaczęli w to wglądać, czy monarchowie rządzą po chrześcijańsku. Cesarze wschodni zaś nie tylko kościołem rządzić chcieli, ale nawet wtrącali się często w sprawy dogmatów, t. j. zasad wiary chrześcijańskiej i chcieli rozstrzygać o tem, w co ich poddani mają wierzyć, a w co nie. Umyślnie więc dopuszczali do wyższych godności tylko takich duchownych, którzy się odznaczali niechęcią do Rzymu. Rozkazów papieskich nie wykonywano w ich cesarstwie. Doszło wreszcie do tego, że wschodnie duchowieństwo nie chciało przyjąć żadnej nowości w urządzeniach i administracyi kościelnej, lub w formach zewnętrznych nabożeństwa t. j. w obrządku. Oświadczyli że w sprawach kościelnych nic nigdy zmieniać nie wolno. Zaprowadzenie postów w sobotę wydawało się im kacerstwem, bo z początku tych postów nie było. Gniewało ich, że papież tylko biskupom pozwalał udzielać bierzmowania, że począł wprowadzać celibat, t. j. bezżenność księży nawet świeckich, że kazał używać przy mszy świętej tylko niekwaszonego chleba. Nie zezwalali też na żadne poprawy w urządzeniach spraw kościelnych. Rozłam powiększał się coraz bardziej, aż wreszcie patryarcha Michał Ceru-

larius zarzucił Rzymowi herezyę żydowską (właśnie o chleb niekwaszony) i zupełnie od jedności kościelnej się usunął, ogłosiwszy się osobnym niejako papieżem na wschodzie. Obok katolickiego rzymskiego Kościoła na Zachodzie jest tedy od r. 1054 na Wschodzie, Kościół schyzmatycki, zwany też greckim lub bizantyńskim. Kościół bizantyński przestał się też od tego czasu rozwijać, stoi we wszystkiem na tem samem miejscu, jak stał w r. 1054. Od duchowieństwa przeszło tam na całe społeczeństwo dziwne przestrzeganie starych form; co tylko nowe, wstręt tam budziło.

Zupełnie inaczej było na Zachodzie pod opieką rzymskiego Kościoła, który strzeże niezmienności dogmatów, artykułów wiary, ale w rozmaitych urządzeniach pomocniczych dopuszcza zmian i stosuje je dla dobra wiernych do czasu, miejsca i okoliczności, rozkwitnąwszy w rozmaitości obrządków. Cywilizacya wyrobiona pod przewodem Rzymu pozwala każdemu korzystać swobodnie i samodzielnie ze swych władz umysłowych, żeby nietylko cudzym się karmić rozumem, ale naprawdę posiadać własny. Taka samodzielność w myślach i czynach zowie się i n d i w i d u a l i z m. Użyty rozumnie jest najlepszą dźwignią postępu.

Druga różnica cywilacyi bizantyńskiej a rzymskiej, czyli łacińskiej, zwanej też zachodnią, polega na innem pojmowaniu stosunku społeczeństwa do państwa i stosunku Kościoła do państwa. Cesarze bizantyńscy rozstrzygali swym nakazem spory teologiczne. Odkąd patryarchat carogrodzki zerwał z Rzymem, popadł w tem większą zależność od władzy świeckiej, aż doszło do tego, że cesarz mianował i strącał patryarchów według własnego upodobania, a całe duchowieństwo stało się narzędziem w ręku rządu, zupełnie tak samo, jak wojsko i urzędnicy. Wskutek tego bizantynizmem zowiemy brak indiwidualizmu, ślepe trzymanie się formy i nierozumną uległość władzy.

Polska weszła do kultury zachodniej, a Ruś do bizantyńskiej. Na ziemi Grodów Czerwieńskich zetknęły się obie cywilizacye. Przez tę ziemie miała kultura wschodnia oddziaływać na Polskę, a zachodnia na Ruś. Walki o posiadanie Grodów Czerwieńskich są początkiem starcia się dwóch europejskich kultur. Oręż polski sięgając aż do Kijowa, niósł tam zarazem wpływy zachodnie. Już za Bolesława Wielkiego zaczyna się ta wymiana myśli. Walki Piastów z Rurykowiczami, to nie zwykłe spory dwóch dynastyj; przez

nich walczył Rzym z Bizancyum i chodziło o to, jak daleko sięgnie granica tej i owej kultury. Przeznaczeniem Polski było i jest do dziś dnia szerzyć kulturę zachodnią coraz dalej na wschód.

WYPRAWA KIJOWSKA. 1069 r.

Książę ruski Jarosław podzielił państwo między pięciu synów, ale byli jeszcze brat stryjeczny i synowiec, którym już dzielnic przyznać nie chciano. Ci podnieśli bunt przeciw seniorowi Izasławowi, a ten zbiegł do Polski, licząc tu na poparcie. Bolesław i Izasław byli ciotecznymi braćmi, gdyż Bolesław rodził się z Dobronegi, rodzonej siostry Jarosława I. W r. 1069 zdobył też Bolesław Izasławowi Kijów i sam w tem mieście zabawił dziesięć miesięcy.

Mając Kijów w swem ręku, mógł był Bolesław Śmiały pomyśleć o pozyskaniu Wielkiego księcia dla Kościoła rzymskiego. Może też myślał o tem, ale wiemy o nim, że nie odznaczał się roztropnością i dlatego nic trwałego zdziałać nie zdołał. Miał usposobienie nieszczęśliwe; krewki był i gwałtowny, a przytem wyniosły i pełen pychy. Ażeby pokazać ludowi w Kijowie, że Izasław panuje tu tylko z jego ramienia, okazywał rozmyślnie lekceważenie ruskiemu księciu i publicznie go zawstydzał. Przy takiem postępowaniu trudno liczyć na wdzięczność, a dobrodziejstwo obmierznie. Toteż zaczęto mordować skrycie żołnierzy polskich, a podobno Izasław dobrze o tem wiedział. Wracając z Kijowa zagarnął Bolesław Grody Czerwieńskie w r. 1070. Umiał tedy wyzyskać stosunki swe do ościennych książąt. Dwie ziemie przyłączył na nowo do Piastowskiego państwa. W trzy lata później wygnany na nowo przez braci Izasław nie uzyskał już u niego pomocy; otrzymał ją dopiero, gdy sam papież polecił Bolesławowi sprawę Izasława.

PAPIEŻ GRZEGORZ VII.

Papieżem był od r. 1073 Hildebrand pod imieniem Grzegorza VII., obeznany nieco z polskiemi stosunkami od zjazdu w Pöhlde, na który Kazimierz Odnowiciel wyprawił był polskiego biskupa. Papież ten był benedyktynem z francuskiego klasztoru w Klunjaku. W sławnem tem opactwie przebywali przez długie czasy najuczeńsi zakonnicy, obmyślając reformę, tj. lepszą organizacyę Kościoła. Chodziło im przedewszystkiem o to, żeby papież

był rzeczywistym władcą wszystkiego duchowieństwa katolickiego, żeby Kościół wyzwolić od wpływów władzy świeckiej. Zdarzało się aż nazbyt często, że biskupów ani papież nie mianował, ani nie wybierały kapituły, tylko monarcha wyznaczał, którzy mają być biskupami w jego kraju. Monarcha wręczał im pierścień i pastorał i odbierał przysięgę. Było to po prostu odbieraniem hołdu od biskupów i zwało się inwestytura. Często biskupi bywali raczej urzędnikami królewskimi, niż pasterzami dyecezyj; nieraz też bywały nieporozumienia pomiędzy biskupami a papieżem. Z Klunjaku powstała znaczna ilość nowych klasztorów, rozsianych po całej zachodniej Europie, a wszyscy ci zakonnicy różnych narodów dążyli do tego, żeby klunjackie reformy przeprowadzić. Starali się o podniesienie stanu nauk, o wyższe wykształcenie duchowieństwa i o wyższą wśród niego moralność. Przez ciągle wpływy świeckiej władzy zeświecczył się sam Kościół; w samym nawet Rzymie kupczono dostojeństwami duchownemi! Klunijacy uważali to słusznie za świętokradztwo, a walkę z tym występkiem, zwanym symonią, prowadzili jak najgorliwiej. Ażeby księża byli mniej zależni od świeckich wpływów, żądali celibatu, tj. bezżenności księży świeckich; przedtem bowiem duchownym, nie będącym zakonnikami, wolno było żenić się nietylko w greckim, ale też w rzymskim katolickim Kościele. Żeby świecka władza i polityka nie narzucała Kościołowi złych biskupów, domagali się zniesienia inwestytury. Żeby zaś sam Ojciec św. mniej był krępowany względami na świeckie interesy monarchów, dążyli przedewszystkiem do tego, żeby cesarz nie wpływał na wybór papieża, lecz żeby go wybierali sami tylko kardynałowie według własnego uznania; i to osiągnęli też, począwszy od r. 1059. Głosili, że papież w niczem cesarzowi podlegać nie może, lecz raczej przeiwnie, sam nad wszystkimi monarchami stoi, pilnując, żeby rządzili po chrześcijańsku, mając prawo nawet z tronu ich strącać według własnego uznania. Olbrzymia jest potęga nauki i cichej, ustawicznej pracy; powoli, stopniowo, szerzyły się klunijackie zasady w całej Europie, aż doszły do papieskiego tronu i gdy w końcu zasiadł na papieskim tronie klunijacki mnich, trząsł całą Europą, choć sam nie posiadał drużyny wojennej i nigdzie wojska nie wysyłał. Wielka prawda, wielki pomysł, wielka idea, zdobywa sobie umysły ludzkie, podbija serca i myśli tak, że tysiące ludzi, od królów do pro-

staczków, oddaje na jej usługi swe życie, majątki i wpływy. Taką wielką ideą, jedną z największych w historyi, była idea wyższości władzy papieskiej nad królewską, obmyślana na to, żeby państwa chrześcijańskie zmusić do chrześcijańskiej polityki. Nie udała się idea Karola Wielkiego o współpracownictwie dwóch równych sobie potęg, papieskiej i cesarskiej; raz tylko byli Ottonowie, a zresztą zawsze nadużywanie Kościoła przez silniejszą władzę świecką. Skoro więc nie dało się prowadzić naprzód Europy w zgodzie z cesarstwem, postanowili benedyktyńscy wielcy myśliciele robić swoje wbrew cesarstwu. I tak powstała walka papiestwa z cesarstwem, walka Grzegorza VII. z królem niemieckim i cesarzem Henrykiem IV., zwana walką o inwestyturę.

W tej walce stanął Bolesław Śmiały po stronie Grzegorza VII-go, nie dlatego, żeby miał być zwolennikiem reform kościelnych, lecz żeby skorzystać ze sposobności do osłabienia niemieckiego państwa i zapewnić Polsce zupełną niezawisłość. Książę czeski Wratysław postąpił przeciwnie; popierał Henryka IV. Nastały też nowe spory graniczne z Czechami. Cesarz wezwał Bolesława w roku 1071, żeby się stawił przed nim i zdał się na jego sąd. Odmówił temu wezwaniu książę polski, a gdy potem Sasi powstali przeciw Henrykowi IV., posłał im posiłki. Równocześnie w roku 1074, wśród ponownych zamieszek o tron węgierski, popierał Bolesław papieskiego kandydata do tronu, Gejzę II., przeciw niemieckiemu stronnikowi Salomonowi i dostarczył mu skutecznej pomocy.

Powtórnie z Kijowa wygnany Izasław przybył na dwór piastowski w r. 1073, ale nie uzyskał pomocy. Zdaje się, że Bolesław Śmiały podał mu warunek, żeby porzucił schyzmę, żeby był przez papieża uznany chrześcijańskim monarchą. Biskup krakowski Stanisław Szczepanowski brał udział w polityce; duchowieństwo polskie poczynało wywierać wpływ na sprawy publiczne, można się więc domyślać, że wpływało w tym kierunku na króla. Panujący w Kijowie Wszesław gotów był do sojuszu z Polską, byle król polski nie dawał pomocy Izasławowi. A właśnie zaniosło się na nową wojnę z czeskim Wratysławem. Nie znamy jej przebiegu, ale wiemy, że synowie Wszesława przywiedli na tę wojnę w r. 1076 posiłki ruskie. Izasław pojechał tymczasem na zachód, do cesarza i papieża. Był w r. 1075 wraz ze synem Ja-

ropełkiem na sejmie Rzeszy niemieckiej w Moguncyi, a potem w Rzymie. Wyrzekł się schyzmy, uznał zwierzchnictwo papieskie, a Grzegorz VII. nadał mu tytuł królewski. Wiadomości z tych czasów są nader skąpe, nie znamy również szczegółów i tej sprawy. Ale dochował się obraz współczesny, przedstawiający, jak książęta ruscy składają hołd papieżowi i wzajem otrzymują od niego korony.

KORONACYA 1076 r.

W r. 1075 przysłał Grzegorz VII. do Polski swego legata, który zorganizował na nowo Kościół polski, zarządził przeprowadzenie klunijackich reform i przywrócił metropolię gnieźnieńską. Polska była w łaskach u Papieża. Oparty o powagę Grzegorza VII-go, przywdział książę Polski królewską koronę w roku 1076, w sam dzień Bożego Narodzenia. (Sporządzono wówczas nową koronę, gdyż korona Bolesława Wielkiego przepadła u Niemców, wywieziona przez Ryksę). Czwarty to już z Piastów władca królem zostawał. Koronacya wznowiła blask polskiego państwa i zdawało się, że Bolesław Śmiały przejdzie z najlepszemi wspomnieniami do historyi polskiej. Powrócił też z Rzymu król ruski Izasław, przywożąc od papieża polecenie do Bolesława. Usłuchał woli papieskiej król polski, dał teraz posiłki, wyruszył sam na wyprawę i wprowadził Izasława na nowo na tron kijowski w roku 1077. Ale panowanie katolickiego króla rok ledwie tam trwało. Nastała zaraz nowa wojna domowa pomiędzy książętami ruskimi, w której Izasław poległ w bitwie. Nastał po nim Wsiewołod, a potem dopiero, po jego śmierci w r. 1093, syn Izasława Świętopełk.

Korona Bolesława Śmiałego nie była trwalszą, a tem przykrzej, że król sam przez nieroztropność i nieoględność własną ręką wywrócił to, co sam wystawił. A czasy były właśnie jak najlepsze, żeby zapewnić trwałość królewskiej godności w Polsce. Od Niemiec nie było żadnego niebezpieczeństwa, bo Henryk IV. uległ właśnie w walce z papieztwem.

Zatarg z Grzegorzem VII. powiększał się coraz bardziej. Cesarz ogłosił, że strąca Grzegorza VII. z papieskiego tronu. Książęta niemieccy natomiast stawali przeciw Henrykowi, niektórzy bunt podnieśli. Cesarz popadał w coraz większe kłopoty, a gdy papież

rzucił na niego klątwę, opuścili go wszyscy. Musiał pojechać z przeprosinami do Włoch i tam w zamku Kanossie upokorzyć się, odbyć publiczną pokutę nałożoną nań przez papieża dla przykładu wszystkim innym monarchom. Przez trzy dni stał boso, w pokutniczej szacie, z mieczem na sznurze u szyi uwiązanym, błagając w ten sposób o zdjęcie klątwy. Taką była potęga Grzegorza VII. Od tegoto zdarzenia mawia się: „pójść do Kanossy", a znaczy to wojować z Kościołem i dowojować się własnego upokorzenia. Było to w styczniu 1077 roku.

ZABICIE ŚW. STANISŁAWA 1079 r.

Innego rodzaju Kanossa czekała Bolesława Śmiałego, który całe życie popierając sprawę Grzegorza VII-go, nawzajem przez niego był popierany. Król ten był żołnierzem, który nie umiał rządzić inaczej, jak po wojskowemu i nie mógł pojąć, jak ktoś śmie nie słuchać jego samowładnej woli. Oczywiście musiało to wywołać niezadowolenie, z czego korzystał po cichu brat królewski, Władysław Herman, rządzący na Mazowszu i jednał sobie stronników. Na czele stronnictwa przeciwnego królowi stał wielmoża Sieciech, pan Sieciechowic nad Wisłą, potomek dawnych książąt tynieckich. Wątpić należy, czy byłby się ważył przeciw królowi, gdy w tem niespodzianie całe duchowieństwo użyczyło mu poparcia.

Był spór z biskupem krakowskim, Stanisławem Szczepanowskim (ze Szczepanowa, w dzisiejszym brzeskim powiecie, na zachód od Krakowa) o majątek kościelny i o prawo testamentowe, z powodu zapisów majątków na rzecz Kościoła (do tego odnosi się legenda o Piotrowinie). Po pobycie legata papieskiego w Polsce starał się biskup tem bardziej o uznanie kościelnego immunitu. Król jednak nie chciał uznać osobnego prawa kościelnego i wyjęcia kościelnych majątków z pod władzy państwowej, a że był krewki, zaczął się dopuszczać gwałtów, żeby tem bardziej zaznaczyć, że nikt nie ma żadnych praw, a tylko on jeden ma prawo do wszystkiego. Rozpoczęły się srogie rządy. Powstały jakieś zamieszki. W królu obudziła się żądza zemsty i skłonność do okrucieństw, co wkońcu doprowadziło do tego, że biskup krakowski rzucił nań klątwę. Stronnictwo Władysława Hermana rade z tego wypadku, stanęło po stronie biskupa. Wszak według prawa

kościelnego poddani uwolnieni byli od wierności względem monarchy, obłożonego klątwą. Mogli więc teraz śmielej podnosić głowę przeciwnicy króla, Sieciech mógł jawnie odmawiać posłuszeństwa, a powoływać się na biskupa. W ten sposób połączyły się przygodnie dwie oddzielne sprawy, a król mógł podejrzywać biskupa o udział w spisku politycznym przeciwko sobie. Pozwał też biskupa przed swój sąd o udział w sprzysiężeniu i skazał na karę za zdradę, na straszną śmierć przez ćwiartowanie. Wyrok miał być wykonany natychmiast. Biskup odprawiał mszę świętą w kościele na Skałce w Krakowie. Według prawa kanonicznego nie wolno wykonywać wyroków sądowych w miejscach poświęconych; w murach kościelnych mógł skazany choćby lata całe żyć bezpiecznie. Król uniesiony swą gwałtownością, nie zawahał się przed niczem. Jakby chciał umyślnie skorzystać ze sposobności, żeby okazać, że go żadne prawo nic nie obchodzi, kazał biskupa wywlec od ołtarza; a gdy nikt nie chciał się tego podjąć, sam wpadł do kościoła i własną ręką biskupa zabił. Kazał jeszcze ciało porąbać, ale i do tego nie znalazł wykonawców. Działo się to 11 kwietnia 1079 roku.

Król sądził pewnie, że da taki odstraszający przykład, że nikt się już nie ośmieli ganić jego samowładzy, a tem bardziej występować przeciw jego panowaniu. Ale sprawa zroszona męczeńską krwią rosła tem bardziej w siły. W niecałe dwa lata po tem zabójstwie musiał król uciekać z Polski przed jawnym buntem, który wyniósł na tron jego brata, Władysława Hermana.

Bolesław Śmiały miał syna Mieszka, który liczył dwunasty rok życia, gdy król musiał opuścić swe państwo. Zabrał go ojciec z sobą na Węgry, licząc pewnie na to, że dostanie pomoc z tego kraju, którego koroną przywykł szafować. Zachowywał się tu jednakże nie jak poparcia szukający wygnaniec, ale jak pan wyniosły i tem wszystkich sobie zraził i ledwie tyle otrzymał, że pozwolono synowi przebywać na węgierskim dworze. Jest podanie, że sam Bolesław spostrzegł w końcu zuchwałość swej zbrodni i jął się pokuty. Udał się do benedyktyńskiego klasztoru w Ossyaku w Karyntyi, w kraju słowiańskim, sąsiednim Węgier od zachodu, i ten mocarz śmiały przywdział tam w pokorze szaty braciszka klasztornego, spełniając najniższe posługi aż do śmierci, na którą niedługo mu było czekać. Syn jego, Mieszko, powrócił do Polski

w r. 1086 i ożenił się z jakąś nieznaną bliżej księżniczką ruską w roku 1088; ale na życie jego czyhano i zginął od trucizny w roku 1089.

WŁADYSŁAW HERMAN 1089—1102 r.

Nie mogło być dwóch władców po sobie bardziej do siebie niepodobnych, jak Bolesław Śmiały i Władysław Herman. Ten grzeszył brakiem wszelkiej śmiałości. Porzucił we wszystkiem tory swego poprzednika i przerzucił się bez najmniejszej potrzeby do cesarskiego obozu. Ożenił się z Judytą, córką Wratysława II. i daninę ślązką wypłacił bez wahania księciu czeskiemu.

Wratysław wysługiwał się ciągle królowi niemieckiemu, nie opuściwszy go nawet wtenczas, gdy pozostawał pod klątwą. Ale umiał korzystać z walk i waśni w Niemczech i przyłączył do swego państwa Górne Łużyce. W r. 1081 dał Henrykowi na wyprawę włoską hufiec z 300 zbrojnych; czeska ta drużyna odznaczyła się przy zdobywaniu Rzymu w walce z Papieżem. W następnym roku Wratysław sam stłumił rokosz margrabiego austryackiego Leopolda II., poraziwszy go w bitwie pod Meilbergiem, jednej z najkrwawszych owych czasów. Za te wierne służby mianował Henryk Wratysława królem. Koronacya ta odbyła się w Pradze, dnia 15 czerwca 1086. na pośmiewisko stolicy apostolskiej. Henryk IV. chciał pokazać Rzymowi, że on sam, bez papieża, może być także szafarzem koron. Czechy nie posiadały własnej metropolii, lecz podlegały arcybiskupowi mogunckiemu; ten jednak nie chciał tej koronacyi dokonać. Sprowadzono więc do tego obrzędu drugiego arcybiskupa niemieckiego, z Trewiru, który był w rozterce z Grzegorzem VII. i jego następcą Wiktorem III. Godność królewska nie miała być dziedziczną w rodzie Przemyślidów; tylko Wratysławowi II. nadawał ją Henryk. Mimo tej koronacyi stosunek lenny Czech do Niemiec nie ustawał, ale jeszcze bardziej się zacieśniał. Koronę dając tylko dożywotnio, mianował Henryk Wratysława swym dziedzicznym podczaszym, a nowy król godność tę przyjął! Koronacya ta, dokonana bez upoważnienia Głowy chrześcijaństwa, nie miała wobec Europy żadnej wartości i nie była wcale równą koronacyom odbywanym przez Piastów. Od kogo się brało koronę, tego się uznawało zwierzchnikiem. Piastowie brali ją od papieża, od którego brał ją sam cesarz.

Wratysław przyjąwszy koronę z łaski Henryka IV., uczynił Czechy częścią Rzeszy Niemieckiej, co bardzo źle wpłynęło na dalsze dzieje narodu.

Władysław Herman miał koronę po Bolesławie Śmiałym, ale jej nie użył. Był zbyt nieśmiały, aby się koronować. Biskupi polscy nie upominali się też o to. Kościół nie odniósł korzyści ze zmiany tronu i walka o immunit miała trwać jeszcze długo. Korzyść odnieśli świeccy wielmożowie, którzy sprawę kościelną, zatarg króla z biskupem, umieli wyzyskać do swoich celów, ale się już potem o Kościół nie wiele troszczyli. Dzielny monarcha byłby ujął w karby ten ruch, który go na tron wyniósł i starałby się urządzić państwo z pomocą Kościoła na nowych podwalinach. Gnuśny w całem znaczeniu tego słowa Władysław Herman pozwalał rządzić za siebie Sieciechowi, którego zrobił wojewodą, t. j. wodzem drużyny wojskowej.

WOJEWODA SIECIECH.

Książę miał jeszcze z dawniejszych czasów nieślubnego syna, Zbigniewa. Gdy w roku 1086 doczekał się prawego potomka z czeskiej księżniczki, pragnął tamtego usunąć. Owdowiawszy, pojął za żonę w r. 1088 Judytę Maryę, córkę poprzedniego króla niemieckiego Henryka III., wdowę po Salomonie, niemieckim stronniku na węgierskim tronie. Nowa księżna była w porozumieniu z Sieciechem i wraz z nim pracowała nad ruiną piastowskiej dynastyi. Sama nie miała syna, tylko trzy córki. Zbigniew był oddany do klasztoru w Krakowie, ale za namową drugiej żony wyprawił go ojciec za granicę, do klasztoru niemieckiego w Kwedlinburgu. Tam się wychowywał i uczył, ale święceń nie przyjął i pozostał braciszkiem! W r. 1089 otruto Mieszka, syna Bolesława Śmiałego. Pozostał tylko syn Judyty czeskiej, Bolesław, zwany od skrzywionej wargi Krzywoustym, trzechletnie wówczas dziecię, o które macocha całkiem się nie troszczyła. Sieciech stał się przy niedołężnym księciu prawdziwym władcą państwa i zanosiło się na to, że Władysław Herman będzie strącony z tronu, a miejsce Piastów zajmie ród Starżów z Sieciechem i niewierną Maryą Judytą.

Zajęty osobistymi planami nie dopilnował wojewoda obrony granic państwa. W r. 1087 zajęli Rurykowicze na nowo Grody

Czerwieńskie, tym razem na stałe, bo pozostały już przy nich aż do czasów Kazimierza Wielkiego. Z ziemi polskiego ludu Lachów powstało osobne ruskie państwo z dynastyą Rościsławiczów, gałęzią rodu Rurykowego, dla której zabrakło już dzielnic na Rusi. Zaczęło się tam ruskie osadnictwo i kraj stawał się coraz bardziej ruski, zwany potem już Czerwoną Rusią.

Nie udała się też wyprawa pomorska w latach 1090 i 1091. Z początku sprzyjało szczęście orężowi polskiemu. Zajęto krainę na zachód dolnej Wisły aż do morza, pozostawiono na niektórych grodach załogi, a resztę warowni spalono. Sieciech ustanowił swych namiestników wojskowych i zdawało się, że przynajmniej gdańskie Pomorze będzie złączone z państwem polskiem. Z końcem roku 1090 wybuchło jednak powstanie, namiestników polskich zabito, załogi rozpędzono. Z początkiem następnego roku 1091 ponowiono tedy wyprawę; Władysław Herman wziął w niej udział osobiście. Chodziło przedewszystkiem o to, żeby zająć drogę wiodącą z Pomorza do Polski, która szła z Nowia i Grudziądza przez Jasienice do Bydgoszczy i Torunia. W tym celu posuwało się wojsko wzdłuż Wisły ku ujściu rzeki Wdy czyli Bdy (zwanej dzisiaj Czarną Wodą), która wpada do Wisły pod Świeciem. Następnie ruszono w górę Wdy. Przez pięć tygodni łupiono, nabrano też mnóstwo jeńca, ale dalej na północ, ani na zachód, wyprawa nie dotarła. W powrocie trzeba było przeprawiać się przez Wdę pod Drzycimiem. Tam czekali już Pomorzanie i napadli na Sieciecha znienacka dnia 5. kwietnia 1091. Cały dzień trwała bitwa. Sieciech utrzymał się wprawdzie na pobojowisku, ale korzyści żadnych nie odniósł; przeciwnie, poniósł straty, skoro nieprzyjaciela dalej ścigać nie śmiał. Dopiero jesienią, z końcem września, ruszono znowu na Pomorze, pozyskawszy sobie posiłki czeskie. Sieciech oblęgł Nakło, lecz napróżno. Pomorzanie spalili polskie machiny oblężnicze i część obozu. W końcu zabrakło wojsku nawet żywności i trzeba było z niczem wracać do domu.

Doniosło się tymczasem do Zbigniewa, co się dzieje w kraju i na ojcowskim dworze. Zajął się tą sprawą zacięty wróg Sieciecha, kasztelan wrocławski Magnus. Zbigniew zupełnie już dorosły, porzucił klasztor, przybył na Ślązk, a Magnus wydał mu gród wrocławski. Od Zbigniewa zależało w tych okolicznościach ocalenie dynastyi i wystąpienie jego mogłoby być bardzo zbawienne, gdyby

był posiadał jakikolwiek zmysł polityczny. Ale i Zbigniew znał tylko swój osobisty interes i dał się użyć za narzędzie Przemyślidom, do których zwrócił się o pomoc. Po Wratysławie II. został czeskim seniorem (już nie „królem“) jego brat Konrad, a gdy ten umarł w kilka miesięcy w tym samym jeszcze roku 1092, nastąpił syn Wratysława, Brzesław II. Ten ujął się za Zbigniewem. Sieciech odpowiedział na to odmową daniny ze Ślązka. Tak sprawa Zbigniewa zaraz od początku przybrała cechy dla Polaków niemiłe, bo, bądźcobądź, Zbigniew łączył się z wrogami państwa. Brzetysław II. napadł na Ślązk i spustoszył cały kraj na lewym brzegu Odry od Rujczyna aż do Głogowy; jedne tylko Niemcze ocalały, zresztą wszystkie grody były obrócone w perzynę. W takito sposób wymógł Zbigniew na ojcu, że go w roku 1093 publicznie uznał swym synem. Sieciech jednak nie dał za wygraną i wyprawił do Pragi poselstwo, a z poselstwem tem młodziutkiego Bolesława Krzywoustego. Brzetysław opuścił sprawę Zbigniewa, książę polski wypłacił ślązką daninę, a nieletni Bolesław dostał od swego czeskiego wuja w lenno hrabstwo Kłodzkie, ziemię graniczną pomiędzy Ślązkiem a Czechami.

Po pewnym czasie odebrano Zbigniewowi Wrocław. Uciekł on do Pomorzan i poprowadził ich na ziemię polańską i mazowiecką. Pomorzanie zapędzili się aż po Kruświcę i tak ją zniszczyli, że odtąd nie zdołała się już nigdy podźwignąć; zbeszcześcili też katedrę gnieźnieńską, tak, że w r. 1097 trzeba ją było na nowo poświęcać. Zbigniew zażądał dla siebie dzielnicy. Było to wywoływaniem nowej wojny domowej, ale gdyby nie to, byłby Sieciech miał wolne dla swych zamiarów pole, a Bolesław Krzywousty zostałby może na zawsze lennikiem Przemyślidów na Kłodzku. Wojną wymusił Zbigniew na ojcu, że mu powierzył rządy w Wielkopolsce. Natenczas zażądał dla siebie dzielnicy także młody Bolesław i dostał Małopolskę i Ślązk. Sam Władysław Herman zostawił sobie tylko Mazowsze i siedział w ulubionym Płocku. Podzielono tedy Piastowskie państwo na trzy dzielnice. Na znak zwierzchności miał ojciec swoje załogi w głównych grodach dzielnicowych, w Krakowie i we Wrocławiu.

Sieciech pragnął nowych zamieszek, żeby z nich skorzystać dla siebie. Za jego wpływem cofnął ojciec swe postanowienie, ale tym razem obaj bracia połączyli się przeciw ojcu, żądając

zupełnego oddalenia Sieciecha. Podejrzywano go, że godzi na ich życie. Po dwóch bitwach, pod Żarnowcem i pod Płockiem, wdał się w te spory arcybiskup gnieźnieński Marcin i doprowadził do zgody synów z ojcem. Możnowładcy sami, widząc, jak kraj cały cierpi przez Sieciecha, przejrzawszy, do czego on zmierza, opuścili dawnego swego przywódcę i przodownika. W r. 1097 Sieciech poszedł na wygnanie, a synowie książęcy przywróceni byli do swych dzielnic.

Bolesław Krzywousty osiadł na Ślązku i starał się utrzymać jak największą przyjaźń z Brzetysławem czeskim. Pozyskał też u niego takie zaufanie, że kiedy książę Berna, jednej z dzielnic morawskich, zbuntował się, Brzetysław posłał pojmanego na więzienie do Kłodzka, pod dozór Bolesława. W r. 1099 darował mu za to trzecią część ślązkiej daniny.

BOLESŁAW KRZYWOUSTY 1102—1138 r.

Władysław Herman umarł w r. 1102. Mazowsze miało przejść pod Władzę Bolesława Krzywoustego, jako prawego syna i właściwego następcę tronu; zajął też Bolesław tę ziemię. Zbigniew nie miał żadnych politycznych celów, prócz własnego wyniesienia; tych walk, które teraz prowadzić zaczął, niczem już wytłumaczyć nie można. Nie zagrażało już żadne niebezpieczeństwo ani jemu, ani rodowi Piastów wogóle.

Bolesław Krzywousty miał niepospolite zdolności; tak w wojnie, jakoteż w pokoju znakomitym był monarchą. Miał też wybitny cel przed sobą: wydobyć Polskę z zależności od Niemiec, zawojować na nowo i nawrócić Pomorze, przyłączyć je całe do państwa polskiego i związać z nim ściśle na zawsze, ażeby utrwaliwszy nad Bałtykiem polskie panowanie, zwrócić się potem za Odrę i wciągnąć Połabian w zakres polityki polskiej. Śmiały był i nie bał się wielkiego przedsięwzięcia; podjął na nowo pracę około utworzenia wielkiego słowiańskiego państwa! Marnie wygląda przy nim Zbigniew, nie mający w życiu żadnego celu publicznego. Bolesław od lat pacholęcych odznaczał się niepospolitemi przymiotami. Miał lat dziewięć, gdy prosił ojca, żeby mu pozwolił ruszyć na wyprawę z Sieciechem; wyrósł też na najmężniejszego władcę, a wśród swej drużyny wojennej on sam najwytrwalszym i najdzielniejszym był żołnierzem. Przez lat 36 ustawiczne prowadził

wojny. Jak za Mieszka II., tak też teraz równocześnie z kilku stron nacierali na Polskę nieprzyjaciele. Bolesław Krzywousty wyszedł z tych walk nietylko obronną ręką, ale pozostawił Polskę wzmożoną trwałym nabytkiem Pomorza.

Wśród pogańskich naszych pobratymców kilkakrotnie już chrześcijaństwo zdobywało sobie uznanie, ale nawrócenie nie było nigdy ani zupełne, ani trwałe. Około r. 1000 panujący nad Obotrytami Mściwój przyjął chrzest, i syn jego Mieszko był chrześcijaninem; ale wnukowie powrócili do pogaństwa. Prawnuk zaś Mściwoja, Gotszalk, tem imieniem u Niemców ochrzczony, starał się usilnie o nawrócenie swego ludu; gorliwość swą przypłacił życiem, zamordowany w roku 1065 przez pogańskich kapłanów. Obotryci wynieśli na tron Kruka, księcia z Arkony na wyspie Rujanie (Rugii), gdzie była główna świątynia pogańska. Syn Gotszalka Henryk, chrześcijanin, pozbawił go władzy z pomocą Duńczyków, w r. 1105. Ażeby utrzymać chrześcijaństwo wśród swego ludu, łączył się z książętami saskimi. Po jego śmierci wybuchły wojny domowe, skutkiem których książęta obotryccy weszli w skład Rzeszy Niemieckiej, ludność słowiańską po większej części wytępiono, a kraj zaludniono osadnikami niemieckimi. Gdy Bolesław Krzywousty obejmował rządy w Polsce, rozstrzygały się właśnie losy Kruka i była jeszcze nadzieja, że Obotryci zachowają swe państwo, jako słowiańskie. Lutycy odznaczali się ciągle największym oporem przeciw chrześcijaństwu. Pomorzanie zaś podobni byli w tem do Obotrytów. Mieli już nieraz chrześcijańskich książąt, ale raz wraz brało pogaństwo na nowo górę; biskupstwo kołobrzeskie nie utrzymało się. Panowanie Kruka u Obotrytów oddziałało też na Pomorzan; chrześcijaństwo prześladowane utraciło tu wszelkie znaczenie. Trzeba było przystąpić do stanowczego działania, jeżeli się miało Pomorze z pogaństwa wyrwać, utrwalić tu chrześcijaństwo i stąd podać rękę chrześcijańskiemu stronnictwu wśród Obotrytów. Inaczej groziła tym ludom niechybna zagłada.

ZDOBYCIE POMORZA. – KNOWANIA ZBIGNIEWA.

Bolesław wyprawił się na Pomorze zaraz po śmierci ojca; ale nie mógł przedsięwziąć nic stanowczego i zmarnował pierwszych pięć lat na nic nieznaczących podjazdach, bo mu do przygotowania walnej wyprawy przeszkadzały bruździenia Zbigniewa.

Zaraz na samym początku pokazały się złe znaki. Bolesław żenił się z księżniczką ruską Zbysławą i zaprosił brata na weselne gody; ale on zaproszenia nie przyjął, a natomiast przygotował bratu niegodną niespodziankę: związał się potajemnie z Czechami i najechał z nimi Ślązk. Książę czeski Borzywój, następca Brzetysława, wpadł do kasztelanii wrocławskiej, a spustoszywszy ją, rozłożył swe wojska obozem pod Rujczynem, czekając na posiłki Zbigniewa, ażeby potem razem uderzyć na Małopolskę. Ale Zbigniew nie zdołał wojska zebrać, a gdy przez to cały zamach spełzł na niczem, wyparł się wszystkiego. Oskarżył go jednak kasztelan poniecki, przywódca grodu w Wielkopolsce (w dzisiejszym powiecie krobskim). Zbigniew powołał się na t. zw. „sądy boże“, t. j. zażądał, żeby oskarżyciel stanął z nim do pojedynku. Był bowiem w średnich wiekach przesąd, że w walce winnego z niewinnym zawsze zwycięży niewinny, jeżeli walkę tę ofiaruje Bogu. Na miejsce pojedynku wybrano gród Sandowiec (dziś wieś w Głogowskiem pod miastem Górą). Kasztelan pojedynek przegrał, a Zbigniew uchodził za niewinnego. Czekał lepszej sposobności.

W roku 1108 podniósł Zbigniew jawny bunt, gdy Bolesław miał do czynienia równocześnie na Pomorzu, w Czechach i na Węgrzech. W węgierskiej panującej rodzinie Arpadów także były ciągłe waśnie. Dwóch braci dobijało się tronu: Almus, stronnik niemiecki i Koloman, popierany przez Bolesława Krzywoustego. Niemiecka przewaga zagrażała znowu państwom wschodnim, tem bardziej, że Czechy były pod stanowczym niemieckim wpływem. Borzywój II. pogodził się już z Krzywoustym; ale w roku 1107 pozbawił go panowania Swatopluk morawski i wygnał wraz z drugim bratem Sobiesławem; wygnańcy schronili się do Polski, prosząc o pomoc. Tegoż roku odniósł oręż polski pierwsze donioślejsze zwycięztwo na Pomorzu; wojewoda Skarbimir zajął tam dwa grody. Nim zdążył wyzyskać do końca zwycięztwo, spalił się nad Odrą gród Koźle; padło podejrzenie na Zbigniewa, że się to stało z jego poduszczenia, że chce ułatwić najazd spaleniem grodów bliższych granicy. Pospieszył Bolesław z Pomorza na Ślązk i kazał gród odbudować. Swatopluk, pragnąc odwrócić zemstę Krzywoustego, ofiarował mu swój gród, Kamienicą zwany (dziś wieś), na samej granicy obydwóch państw. Bolesław zaraz tam się udał i Zbigniewa do siebie zapraszał; ale ten nie stawił

się wcale, tylko uprosił biskupa krakowskiego, Baldwina, żeby się za nim wstawił, obiecując, że się już będzie zachowywać spokojnie, jeżeli mu brat zachowa udział na Mazowszu. Bolesław potrzebujący wojska gdzieindziej, rad był ugodzie; prosił nawet ze swej strony o pośrednictwo swego dziewierza (szwagra) Jarosława, brata swej żony Zbysławy. Zapewniono Mazowsze Zbigniewowi, a wojsku kazano się zebrać pod Głogowem, żeby stąd ruszyć nad morze Bałtyckie. Ledwie się Bolesław oddalić zdążył, zajął Swatopluk Racibórz. Wraca Bolesław, a w drodze dowiaduje się, że drugie czeskie wojsko ciągnie na Koźle. Skoro tylko jednak przybył, zaraz się wszystko zmieniło. Czesi pod Koźlem pobici, z Raciborza wypędzeni, musieli w ucieczce szukać ocalenia. Bolesław wyruszył znowu na Pomorze i tu doznał zdrady Zbigniewa; zwabiony za jego sprawą w zasadzkę, tak był osaczony wśród bagien, że ledwie nie został jeńcem pojmany. Wyprawa jednak wiodła się, Bolesław zdobył Białogród i sławną Wolinię, a Kołobrzeg poddał mu tamtejszy książę dobrowolnie. Pozostawiwszy na zajętych grodach polskie załogi, musiał Bolesław spiesznie odjechać na południe, bo tymczasem cesarz Henryk V. wpadł na Węgry. Gdyby ten kraj przeszedł pod wpływ niemiecki, byłaby Polska okolona z czterech stron wojną: od Pomorza, Niemiec, Czech i Węgier równocześnie, pod kierunkiem cesarza, któryby próbował Zbigniewa osadzić na polskim tronie. Henryk V. i Swatopluk czeski oblegali Kolomana w Preszburgu, a tymczasem we wrześniu 1108 r. wpadł Bolesław do Czech, na rzecz wygnanego Borzywoja. Zmusił przez to Swatopluka, że wracał do domu bronić swego panowania, a więc odstąpił od oblęgania Preszburga. Sam Henryk V. za mało mając własnego wojska, nie mógł się w Węgrzech utrzymać i nic nie sprawiwszy wrócił do Niemiec. Na tronie Arpadów utrzymał się Koloman, sprzymierzeniec Krzywoustego. Ledwie zażegnano to niebezpieczeństwo, wybuchnęło na Pomorzu ogólne powstanie przeciw załogom polskim. Sam Zbigniew kierował nową wojną, nie spodziewając się, żeby Bolesław mógł się tak szybko zjawić na północy. Krzywousty jednak z niesłychaną szybkością przerzucił się z Czech na Pomorze, zdobył główne ognisko powstania, gród Wieleń nad Notecią, kazał ściąć najoporniejszego księcia czarnkowskiego, Gniewomira, a odniósłszy z początkiem 1109 r. jeszcze jedno zwycięztwo pod Nakłem,

stał się panem całego kraju pomiędzy dolną Wisłą i dolną Odrą, aż po krainę Obotrytów. Jak niegdyś Chrobry, podobnież i Krzywousty nie pozbawiał panowania książąt pomorskich; żądał tylko uległości, swobody dla chrześcijańskiego misyonarstwa i najściślejszego sojuszu wojennego. W okolicach południowych, bliższych Polski, było już chrześcijaństwo i tak rozpowszechnione. Teraz stało się religią panującą. W tem jednak postąpił Bolesław odmiennie od Chrobrego, że nie wznawiał kołobrzeskiego biskupstwa, ale południowe pomorskie ziemie przydzielił sąsiednim dyecezyom polskim. Nie było też sposobności zakładać nowe biskupstwa wśród ustawicznego szczęku oręża. Wkrótce miała wybuchnąć wojna cięższa od wszystkich dotychczasowych.

WOJNA NIEMIECKA I CZESKA, 1109–1115 r.

Zbigniew, tylokrotny zdrajca, skazany został na wygnanie. Udał się do cesarza Henryka V., składając tam hołd Niemcom. Cesarz zażądał od Bolesława, żeby i on hołd złożył i płacił roczną daninę z połowy państwa, drugą zaś połowę, żeby odstąpił Zbigniewowi. Gdy Krzywousty ostro odmówił, wybrał się cesarz wraz ze Swatoplukiem na Polskę. Szczęściem Węgry były w ręku Kolomana, a Pomorze już uśmierzone.

W wojnie r. 1109 Ślązk pozyskał sobie wiekopomną sławę broniąc z największem poświęceniem całości polskiego państwa. Cesarz miał już wojska gotowe do drogi w Łużycach, podczas gdy Bolesław, wyczerpany wojną pomorską, musiał dopiero zbierać świeże siły. Wszystko zależało od tego, czy Ślązacy zdołają wytrzymać pierwszą nawałę, a było to rzeczą tem trudniejszą, że równocześnie Swatopluk łupieskim napadem kraj zniszczył, paląc wszystkie osady po drodze. Załogi śląskie, pozamykane w swych grodach, znikąd nie mogły mieć pomocy. Najpierw stanął Henryk pod Lubuszem, a tak był pewny swego, że z góry darował to miasto i wszystkie wsie okoliczne arcybiskupowi magdeburskiemu. Lubusz jednak zdobyć się nie dał. Cesarz ruszył dalej pod Bytom nad Odrą na Dolnym Ślązku. Załoga bytomska śmiałą wycieczką wprost na obóz niemiecki zmusiła Henryka do odwrotu. Nie chciał cesarz przyjmować większej bitwy, pókiby się nie połączył z wojskiem Swatopluka. Ruszył dalej i zatrzymał się znowu pod Głogowem, który to gród niezmiernie ważny, stanowił jakby

klucz do Wrocławia. Teraz dopiero zaczęły przybywać hufce Bolesławowe. Książę polski również nie życzył sobie walnej bitwy, któraby jednego dnia mogła rozstrzygnąć o wszystkiem. Zastosował sposób wojowania Bolesława Chrobrego i nękał wojsko cesarskie ustawiczną walką podjazdową. Jeden hufiec rozłożył się obozem pod Głogowem, żeby nie dopuścić przeprawy przez Odrę. Niemcy poszli w dół rzeki i gdy myślano, że ruszają dalej, oni przeszedłszy rzekę w bród, obeszli okolicę i z tyłu do około osaczyli obóz polski tak, że nie było żadnego wyjścia, a o zwycięstwie trudno było myśleć wobec sił przeważających. Hufiec ten jednak bitwę przyjął, bronił się do upadłego i poległ cały z mieczem w ręku. Henryk widząc, że nikt nie myśli o poddawaniu się, przystąpił do regularnego oblężenia Głogowa i nastawił na miasto machiny oblężnicze. Jakkolwiek cała ludność jęła się obrony murów, trudno było wytrzymać dłuższe oblężenie. Żywności brakowało, a w murze miejskim poczęły powstawać wyłomy od machiny oblężniczej. Głogowianie zażądali zawieszenia broni, tj. żeby walka ustała; przez ten czas chcieli naprawić mury na grodzie, a próbowali porozumieć się przez wysłanników z Bolesławem. Cesarz zażądał zakładników, jako rękojmi, że nie będzie żadnej zdrady, ale nie przystał na dłuższe zawieszenie broni, jak na dni pięć. Głogowianom każda para rąk zdatnych do roboty była droga, dali więc na zakładników mniejszych chłopców, synów swych nieletnich. Po pięciu dniach obowiązany był cesarz zakładników odesłać, skoro Głogowianie umowy dotrzymali, poczem dopiero miał prawo przypuścić nowy szturm. A tymczasem cesarz Henryk V. kazał dzieci głogowskie poprzywiązywać do szczytów machin oblężniczych; znaczyło to: jeżeli chcecie się dalej bronić, strzelajcież z łuków do swych własnych dzieci! Głogowianie dali wiekopomny przykład miłości Ojczyzny; nie cofnęli się, nie poddali, podjęli obronę na nowo, nie bacząc na krew własną. Zdążył też Bolesław na czas z odsieczą. Niemców odpędzono, a Bolesław Krzywousty wystawił Głogowianom na pamiątkę tej dzielnej obrony wspaniały kościół kolegiacki.

Henryk V. ruszył dalej w stronę Wrocławia, ale teraz nie mógł już wyjść spokojnie, żeby nie napotkać na jaki oddział polski. Nękany we dnie i w nocy nie mógł nawet porządnie założyć obozu. Pod Wrocławiem złączył nareszcie swe wojsko z wojskiem Swato-

pluka czeskiego, ale krótko nader trwało to wzmożenie sił. Książę czeski padł ofiarą domowych czeskich swarów. Rok przedtem kazał wymordować cały ród Werszowców; ocalał tylko jeden Jan Tistowicz. Ten jedyny Werszowiec znalazł Swatopluka pod Wrocławiem i tu w obozie włócznią go przebił. Czesi zaraz do domu wrócili, na nowe walki o tron książęcy. Henryk V. nie narzucał już Bolesławowi Zbigniewa; ofiarował pokój, byle mu tylko książę polski płacił haracz 300 grzywien srebra. Bolesław ofiarował ze swej strony dalsze prowadzenie wojny. Odgrażał się Henryk, że ruszy prosto na Kraków; odparł Bolesław, że on też tam za cesarzem pójdzie. Ze zdziesiątkowanem wojskiem trudno jednak było rozpocząć co innego, jak tylko odwrót. Wracał cesarz z pod Wrocławia z niczem, pokonany sromotnie.

Następca Swatopluka, Władysław I., jął się w dalszym ciągu zmawiać ze Zbigniewem. Dwa razy jeszcze musiał się Bolesław wyprawiać do Czech, biorąc stronę Borzywoja przeciw Władysławowi. W październiku r. 1110 dotarł aż pod Chlumiec nad rzeką Cydliną; przez cztery dni stały naprzeciw siebie wojska czeskie i polskie. Bolesław nie chciał się bić, próbował układów; gdy te jednak nie doprowadziły do niczego, stoczył bitwę nieco dalej pod Miletinem nad rzeczką Trutiną. Czesi ponieśli wielką klęskę. Bolesław wojny dalej prowadzić nie chcąc, powrócił do Polski. Nie zamierzał zdobywać Czech, ani Przemyślidów pozbawiać panowania; chodziło zawsze tylko o to, żeby z Czech wyrugować wpływ niemiecki, a w tym wypadku i o to, żeby książę Władysław opuścił sprawę Zbigniewa. Chętnie też zawarł pokój w r. 1111.

Zbigniew, nie mając już nigdzie poparcia, udał się w pokorę i prosił o przebaczenie. Otrzymał je i wolno mu było wrócić do Polski. Niepoprawny zaczął jednak na nowo wichrzyć tajemnie przeciw bratu i podburzać Świętopełka, księcia nakielskiego na Pomorzu. Natenczas Bolesław kazał go pojmać i ówczesnym zwyczajem oślepić, żeby go raz na zawsze uczynić nieszkodliwym. Świętopełk zaś pomorski ukorzył się, skoro tylko Bolesław stanął pod Nakłem; dał pierworodnego syna na zakład dalszej wierności i na tem się sprawa skończyła w r. 1112.

Zaraz potem musiał się Krzywousty wdać znowu w sprawy czeskie. I Przemyślidzi prowadzili też między sobą coraz zacieklejsze spory; teraz u nich występował syn książęcy przeciw ojcu

i szukał w Polsce poparcia. Bolesław doprowadził staraniami swemi do zgody, odbywszy w tym celu w roku 1115 zjazd ze wszystkimi Przemyślidami w Nysie ślązkiej.

ZDOBYCIE ZAODRZA, 1118–1130 r.

W r. 1118 zerwał się jeszcze raz do broni Świętopełk nakielski z Pomorza, a to w sojuszu z Rusią. Przyjazne bowiem stosunki krakowskiego i kijowskiego dworu zerwały się, gdy seniorem został Włodzimierz II. Monomach. Rozpoczęły się walki graniczne około grodów czerwieńskich, wśród których Bolesław zajął na jakiś czas Przemyśl. Nie poświęcał się jednak tym sprawom, o ile sam nie był zaczepiony, pilnując głównego celu swego życia: Pomorza. Tam skupiał swe siły. Świętopełk nakielski pokonany znowu, nie dostał już napowrót panowania. Ziemię jego wcielił Bolesław bezpośrednio do swego państwa i zaliczano ją też odtąd do Wielkopolski. Miasta: Santok, Czarnków, Nakło, Uście stanowią tę zdobycz pomorską.

Bolesław Krzywousty, korzystając ze spokoju w innych stronach państwa, ruszył na Pomorze zachodnie, nad dolną Odrę i zapędził się do ziemi pogańskich Lutyków, przeciw księciu Warcisławowi szczecińskiemu. Zdobył Szczecin, odebrał hołd od Warcisława. Nie poprzestał na tem, poprowadził wyprawę dalej w głąb ziemi Lutyków, zapędził się aż do dzisiejszej Brandeburgii. Drugą wyprawę urządził na łodziach na wyspę Rujanę (Rugię), ową świętą wyspę słowiańskiego pogaństwa, skąd Kruk pochodził i podbił ją również pod swe panowanie w roku 1121. Niestety, zdobycz ta nie utrwaliła się i przepadła wkrótce po śmierci Krzywoustego. Pomorze byłoby wiodło do próbowania sił na morzu! Stamtąd mogło nastąpić wzmożenie sił społeczeństwa; kupiectwo i żegluga mogły się stać nowemi jego dźwigniami.

Podbój Pomorza nicby jednak nie znaczył, jeżeli nie miało mu towarzyszyć ostateczne nawrócenie kraju. Do apostolskiego dzieła zgłosił się najpierw Bernard, biskup, Hiszpan rodem. Ale ten nie miał szczęścia, bo wybrał się w drogę ubogo, a bogacze Pomorzanie szydzili tylko z niego. Morskie wyprawy bogaciły Pomorzan, a miasta ich, zwłaszcza Gdańsk, Wolinia, Szczecin, były po Kijowie najbogatsze w Słowiańszczyźnie. Natenczas pomyślał Bolesław o dawnym gościu polskiego dworu, Ottonie,

który został biskupem w Bambergu w Niemczech. Świątobliwy ten mąż, policzony później przez Kościół w poczet świętych, był kapelanem na dworze Władysława Hermana od r. 1088 do 1090; pozostały po nim najlepsze wspomnienia. Zapytany w sprawie pomorskiego misyonarstwa, stawił się z zapałem na to wezwanie. Wnet wybrał się w drogę, która wypadła przez Ślązk. Wiadomo, że wstępował po drodze do Niemcza, do Warty, a dnia 4 maja 1124 stanął we Wrocławiu, przyjmowany wspaniale przez Krzywoustego, który tu umyślnie zjechał na jego przyjęcie i stąd przez Gniezno odprowadził go aż do pomorskiej granicy. Pomny niepowodzenia Hiszpana Bernarda zaopatrzył św. Ottona we wspaniały dwór, tak, że zajechał na Pomorze jakby jaki wielmoża. Przedsięwzięto dwie misyonarskie wyprawy; pierwszą w latach 1124 i 1125 na Pomorze gdańskie, a następną w r. 1128 na Pomorze szczecińskie do Lutyków. Tym razem chrześcijaństwo przyjęło się już trwale na Pomorzu. Św. Otto założył tam jedenaście kościołów, poczem ustanowiono w r. 1130 biskupstwo w Wolini. (Przeniesiono je potem, w r. 1170 dalej na wschód, do Kamienia).

W r. 1130 raz jeszcze wystąpił Warcisław szczeciński przeciw Polsce. Śty Otto wstawiał się za nim i pośredniczył; ażeby go pozyskać, uzyskał dlań zniżenie daniny rocznej i powstrzymał Bolesława od wojny. Warcisław przygotowywał jednak powstanie. Natenczas Bolesław zawarł przeciw niemu przymierze z królem duńskim Nielsem, t. j. Mikołajem. Niels wyprawił się nad Odrę, zajął wyspę Usedom, a potem pod Wolinią zjechał się z Krzywoustym i z jego pomocą gród ten zdobył. Warcisław podstępnie przez Nielsa pojmany poszedł do duńskiej niewoli, poczem odprawiono flotę duńską. Na utrwalenie sojuszu Piastów z dynastyą duńską obmyślono małżeństwo syna Nielsa, Magnusa króla szwedzkiego, który tytułował się królem „Gotów zachodnich“, z córką Krzywoustego, Ryksą, zrodzoną z drugiej żony, Salomei, Niemkini, córki hrabiego Bergu. Uroczystości weselne odbyły się w kraju Lutyków zaraz po zdobyciu Szczecina.

ESTRYTYDZI DUŃSCY.

Cały ten podbój Pomorzan i Lutyków odbył się bez przeszkody ze strony króla niemieckiego, dzięki sojuszowi z Danią. Panująca w Danii dynastya Estrytydów, licząca królów po większej

części słabych, pogodziła się z uległością względem Niemiec, a panowanie swe rozszerzała nie przeciw Niemcom, lecz z ramienia Niemiec niejako. Było w tem coś podobnego do postępowania Przemyślidów, którzy uznawszy zwierzchność Niemiec, i pozwalając uważać swój kraj za część państwa niemieckiego, zyskiwali za to nietylko pokój z owej strony — rzecz bądźcobądź niezmiernie cenną, — ale nadto czynne poparcie w walce z rywalami. Polityka taka była bardzo rozumną, o ile które z tych państw było za słabe, żeby utrzymać niepodległość przeciw Niemcom; była nierozumną, jeżeli starczyło sił do obrony niepodległości.

Duńscy Estrytydzi byli tylko dynastami; w historyi ich nie znać żadnej głębszej przewodniej myśli, jak tylko troskę o samych siebie. Im to obojętne było, czy panują w wolnem państwie, czy pod niemieckim znakiem, byle panować. Na słowiańskie ziemie zawsze mieli ochotę, na równi z Niemcami; dążności zaborcze we wschodnim kierunku odziedziczyli po poprzedniej dynastyi Skioldungów, ale nie przejęli się jej tradycyą polityczną. Tamci, przywykli do czynów na wielkiej widowni, od Anglii do Prus, dążyli do tego, żeby założyć nad Bałtykiem wielkie państwo złożone z żywiołu skandynawskiego i słowiańskiego, państwo zupełnie niepodległe, równe Niemcom i Polsce. Ci nie mieli ambicyi poprzedników. Nie wahali się uważać za książąt niemieckiego państwa, byle nie musieć robić żadnych wysiłków. Swobodnie rozszerzali swe panowanie nad ziemiami słowiańskiemi, przygotowując przez to tylko drogę następnemu, trwałemu już, zaborowi niemieckiemu. Niels pozostawał w zupełnej zgodzie z Niemcami, pozwalając na to, że południowa część Danii, Szlezwik, o który tyle walk było z Niemcami, którego cesarz Konrad II. musiał się był w r. 1027 zrzec na rzecz Kanuta Wielkiego, przechodził teraz bez walki pod niemieckie zwierzchnictwo. Synowiec Nielsa, Kanut Laward, otrzymawszy dzielnicę szlezwicką, uznał się niemieckim „herzogiem“ i tak z duńskiego panowania wyłoniło się nowe niemieckie księstwo. Jako niemiecki książę szerzył Kanut dalej swe panowanie, korzystając ze swarów obotryckich i lutyckich książąt. W r. 1126 nadał mu rozległe słowiańskie dziedziny cesarz Lotar i obdarzył tytułem króla Wendów; szczególne to królestwo, nie oparte o rodzimą podstawę, trwało krótko i było tylko ułatwieniem niemieckiego zaboru. Estrytydzi uważani byli na cesarskim dworze

za powolne narzędzie; wzrost ich panowania był — do czasu przynajmniej — pożądany. Dlatego nie było żadnych zastrzeżeń, gdy Krzywousty zawarł sojusz z Nielsem. Nie sam książę polski, ale także Niels zdobywał ziemie Warcisława, a księżniczka polska wychodziła za stryjecznego brata „króla Wendów", potulnego wobec cesarza. To przez cesarza utworzone królestwo oddzielało polskie Pomorze od Niemiec.

Cesarz Lotar III. (panował w latach 1125—1137), nie miał nic przeciw podbojom Piastów, byle tylko zachowany był wobec Niemiec ten sam stosunek, na jaki przystali Estrytydzi. Trudno było myśleć o tem, żeby Polska tych czasów była lennem niemieckiej korony i Lotar III. wcale nie zamierzał próbować losu wypraw ślązkich Henryka V.; pragnął jednak hołdu z Pomorza i Rujany, żeby nad temi ziemiami zawarować niemiecką zwierzchność bez względu na to, czy panują tam Estrytydzi, czy Piastowie. Bolesława Krzywoustego trzebaby jednak do hołdu, nawet tylko z Pomorza, zmusić wojną, a wojować trzebaby z całą Polską. I byłaby spełzła na niczem i ta resztka niemieckich uroszczeń, gdyby Krzywousty nie był gdzieindziej poniósł klęski, a mianowicie na Węgrzech.

SPRAWY RUSKIE I WĘGIERSKIE.

Dla sprawy pomorskiej zaniedbał Bolesław Grodów Czerwieńskich. Gdy książę przemyski Wołodar zawarł przymierze z Pomorzanami i rozpoczął walkę graniczną, użył Bolesław podstępu, żeby go w moc swoją dostać. Jeden z polskich wielmożów, Piotr Włast ze Ślązka, zwany Duninem, czyli Duńczykiem, (wywodzący się może od którego z dworzan Sygrydy Storrady), pojechał do Przemyśla w r. 1120, udawał tam prześladowanego przez swego księcia wygnańca, wdarł się w zaufanie Wołodara i pojmał go podstępnie na łowach, okaleczył, a zaczajona polska drużyna porwała go i uwiozła do Polski. Wołodar złożył okup i wolność odzyskał, ale też odstąpił przymierza przeciw Bolesławowi. Syn jego jednak nie krępowany już żadnem przyrzeczeniem, na nowo najechał w r. 1126 Małopolskę. Był to najazd łupieski, a Bolesław nietylko puścił to bezkarnie, ale wogóle nie wdawał się zupełnie w sprawy ruskich książąt.

Tem bardziej zadziwia, że się wdawał w sprawy książąt wę-

gierskich, i dla nich oderwał się od prac na Pomorzu. Po śmierci króla Stefana III. popierał Krzywousty do Węgierskiej korony Borysa, przyrodniego brata poprzednika, syna księżniczki ruskiej Eufemii Włodzimierzówny, drugiej żony Kolomana I. Drugim kandydatem do korony był inny Arpadowicz, Bela, a tego popierał cesarz Lotar III. i czeski książę Sobiesław. Jaki interes miał Bolesław w tem, żeby Borysowi zapewnić koronę, niewiadomo. Jest domysł, że chodziło o odebranie zagarniętej przez Madziarów ziemi Spiskiej, na południu Tatr. Sprawa skończyła się smutnie i była tylko niepotrzebnem wyzywaniem cesarza. Trzy wyprawy do Węgier spełzły na niczem; zwycięski oręż Krzywoustego tu kres swej pomyślnosci znalazł. Pokonany zupełnie, narażony był jeszcze na wojnę z Niemcami, bo Bela węgierski i Sobiesław czeskiz wrócili się jeszcze do cesarza Lotara, z żądaniem sojuszu na zupełne zniszczenie Polski. Nie sposób było wywoływać nową jeszcze wojnę z Niemcami. Król niemiecki pogodzony już był z papiestwem i w r. 1133 otrzymał w Rzymie koronę cesarską. W kwietniu 1134 złożył mu hołd zięć Krzywoustego, Magnus. Wyprawia więc książę polski poselstwo do cesarza w maju 1135 r., i sam wzywa jego pośrednictwa w sporze z Sobiesławem i Belą. W sierpniu zjechali się w Merseburgu na cesarskim dworze Bolesław z Sobiesławem i poselstwo od Beli (który ciemnym będąc sam nie mógł przybyć) i zawarli rozejm dwuletni. Wtenczasto Lotar za pokój z Belą i Sobiesławem, za pozostawienie Polski w spokoju, zażądał hołdu z Zaodrza i Rugii. Przystać musiał Bolesław, bo był pokonany i hołd z Zaodrza złożył. Po dwóch latach zawarł zaś pokój z Czechami w Kłodzku, na Zielone Świątki 1137 r.

PODZIAŁ PAŃSTWA.

Wkrótce potem umarł Bolesław, dnia 28 października 1138. Z dwóch małżeństw miał dzieci siedmnaścioro; siedmioro zmarło przed ojcem, a przeżyło go pięciu synów i pięć córek. Najmłodszy Kazimierz, miał ledwie kilka miesięcy; Henryk nie miał dziesięciu lat, Mieszko o rok lub dwa lata starszy, Bolesław trzynastoletni, a zatem ci czterej dziećmi jeszcze byli. Ale między Bolesławem a najstarszym Władysławem była wielka różnica wieku: Władysław miał przy ojcowskiej śmierci lat trzydzieści trzy.

Każdy z panujących miał kłopoty z braćmi. Już Bolesław

Wielki rozpoczął panowanie od wypędzenia ich; Mieszko II. przez nich upadł; Kazimierz Odnowiciel za młodu dla brata oddany do klasztoru, miał potem spokojne panowanie, bo był jedynym w rodzie; pod Bolesławem Śmiałym brat dołki kopał i syna jego do tronu nie dopuścił; a sam Krzywousty musiał się uważać za szczęśliwego, że nie uległ przez brata losowi Mieszka II. i musiał chronić państwo od zagłady niemal bratobójstwem. Najstarszy syn Krzywoustego miał czterech braci. Co z tego wyniknie, gdy kolejno będą dorastać? Sądził tedy Bolesław Krzywousty, że lepiej odrazu powyznaczać synom dzielnice, niż narażać państwo na to, że młodsi wrogów sprowadzą. Okoliczności sprzyjały takiemu podziałowi państwa o tyle, że w obecnych warunkach mniej było niebezpieczeństwa, żeby się przez to osłabić miała polityczna siła Polski. Między Bolesławem a Władysławem było dwadzieścia lat różnicy wieku; ten już dojrzałym mężczyzną, tamten ledwie chłopczykiem, a cóż dopiero trzech młodszych. Było tedy rzeczą jasną, że przez dłuższy czas będzie mógł tylko Władysław prowadzić politykę, że będzie musiał być opiekunem młodszych i rządzić za nich, a nim oni kolejno będą mogli osobiście sprawować władzę w swych udziałach, już się tymczasem ustali zwierzchność Władysława, już się wyrobi pewien kierunek polityczny i stosunki ułożą się tak, że państwo przez podział szkody nie poniesie. Nie przyznawał bowiem Bolesław równych praw wszystkim synom. Władza monarsza miała być tylko przy jednym, przy najstarszym Władysławie; on miał być Wielkim Księciem i zwierzchnikiem wszystkich braci. Stolica państwa, Kraków, miała pozostać nadal stolicą całego państwa; kto panuje w Krakowie, ten jest Wielkim Księciem i zwierzchnikiem całej Polski, od granicy czeskiej i węgierskiej aż do morza Bałtyckiego. Miał tedy Wielki książę zajmować stanowisko takie, jak król niemiecki wobec swoich książąt.

Testament Krzywoustego oznaczał tylko cztery dzielnice, pomijając zupełnie Kazimierza, książęce niemowlę. Prawdopodobnie nie chciał książę robić więcej dzielnic, niż musiał i chętnie użył niemowlęctwa swego najmłodszego syna za pozór, żeby nie ustanawiać piątej dzielnicy, pozostawiając braciom troskę o wyposażenie w przyszłości najmłodszego. Zyskiwało się w ten sposób z jakie 14 przynajmniej lat czasu, a Władysław miałby przez ten

czas znacznie ułatwione wykonywanie zwierzchnictwa nad całością. Cztery ustanowione w r. 1138 dzielnice są następujące:

Henryk otrzymał połowę kraju Wiślan, z grodem głównym Sandomierzem, od czego tę ziemię sandomierską zwać poczęto. Mieszko miał panować nad Polanami, których ziemia stanowi właściwą Wielkopolskę, tudzież nad przyłączonemi niedawno grodami południowego Pomorza; stolicą jego Poznań. Bolesław otrzymał Mazowsze i wschodnią część osadnictwa Polan, t. z. Kujawy; stolicę miał w Płocku. Najstarszy wreszcie Władysław dostał Ślązk, drugą połowę Wiślan i ziemię Lachów i jeszcze Łęczyckie i Sieradzkie; stolicą jego Kraków, jako Wielkoksiążęca siedziba. Wyznaczył mu ojciec umyślnie dzielnicę o wiele większą, niż tamte, żeby miał naprawdę przewagę nad innymi.

Należały do związku państwowego Piastów jeszcze dwie ziemie: Pomorze i Zaodrze, zdobyte przez Krzywoustego. Należały one do Polski pośrednio, mając swych książąt, obowiązanych do hołdu i daniny Piastom. Danina ta należała się całemu państwu polskiemu, a nie jednej dzielnicy; toteż Bolesław nie przekazał jej sąsiadowi Pomorza, Mieszkowi, panu Wielkopolski, ale Władysławowi, jako Wielkiemu Księciu i jedynemu przedstawicielowi całości państwa.

Bolesław Krzywousty, pouczony przykrem doświadczeniem Czech i Rusi, nie zaprowadzał wcale osobistego senioratu. W samychże] też Czechach, tego samego właśnie roku 1138, wydał książę Sobieław I. ustawę, znoszącą seniorat a zaprowadzającą dziedziczność tronu dla pierworodnego syna. Podobnież Wielkim Księciem krakowskim, całej Polski zwierzchnikiem, nie miał być najstarszy za każdym razem wiekiem członek Piastowskiego rodu. Testament postanawiał, że zwierzchnictwo ma pozostać na zawsze przy jednej gałęzi Piastów, a mianowicie przy Władysławie i jego potomkach, przechodząc dziedzicznie zawsze z ojca na najstarszego syna. Nie było tedy w Polsce senioratu, lecz była rodzina wielkoksiążęca w obec innych książęcych rodzin Piastowskich, których członkowie nie mieli mieć prawa do tronu Wielkoksiążęcego.

Tak rozporządziwszy, umarł Bolesław Krzywousty dnia 28 października 1138 r.; pochowany w Płocku, który był ulubionem dlań miejscem pobytu, obok swego ojca, Władysława Hermana.

WŁADYSŁAW II., 1138–1146 r.

Władysław II., Wielki Książę polski, szukał przedewszystkiem sojuszów z ościennemi państwami. Gdy w niespełna rok po śmierci Krzywoustego panująca w Kijowie gałąź Rurykowiczów, Monomachowiczami zwana, utraciła ruski tron wielkoksiążęcy, a panowanie przeszło do innej gałęzi, zwanej Olgowiczami, Władysław nie mięszał się wcale w te spory, ale sojusz z Olgowiczami zawarł. Zrobił to, nie zważając na pokrewieństwo z Monomachowiczami. Młodszy mianowicie jego brat, Bolesław, zwany Kędzierzawym, książę mazowiecki, ożenił się jeszcze za życia ojca, w r. 1137 z Wierzchosławą, córką Wsewołoda, księcia nowogrodzkiego. Bolesław ten miał natenczas ledwie 12 lat; uważano ten wiek za dostateczny do małżeństwa politycznego. Bolesław Krzywousty chciał mieć jak najwięcej dobrych stosunków na Rusi; tak samo pragnął tego i Władysław II. i zawierał sojusz z tymi, którzy mieli władzę. Trzeci po starszeństwie z braci, Mieszko, książę wielkopolski, ożenił się wkrótce, w r. 1140 z Elżbietą, siostrą Beli II., króla węgierskiego. Sam saś Wielki Książe, żonaty już dawno (około r. 1126) z Agnieszką, córką margrabiego austryackiego, Leopolda III., starał się o rękę Zwinisławy, córki nowego Wielkiego Księcia kijowskiego Wsewołoda Olgowicza, dla swego syna Bolesława, zwanego Wysokim, który też nie miał nad 12-cie lat wieku. Ponieważ w średnich wiekach małżeństwa dzieci były pospolite, można było kojarzyć takie polityczne małżeństwa w jak najmłodszych nawet latach. Była po Krzywoustym córeczka, Agnieszka; miała lat trzy; szukano już dla niej narzeczonego i to na Rusi, między Olgowiczami.

Wydzielenie dzielnic braciom w myśl ojcowskiego testamentu, nie było rzeczą pilną, a nawet nie należało tego jeszcze robić, bo nawet najstarszy po Władysławie, Bolesław, zwany Kędzierzawym, nie był jeszcze „orężnym“, a reszta pacholęta. Dosyć było czasu dać im dzielnice, gdy dojdą do lat. Żaden z nich nie mógłby jeszcze zawiadywać osobiście swem księstwem; rządziliby za nich najmożniejsi panowie z ich dzielnic. Ale to właśnie uśmiechało się wielmożom. Gdy powstaną cztery dwory książęce, pomnoży się w czwórnasób ilość dworskich dostojeństw, ułatwi się do nich dostęp, otworzą się cztery źródła książęcych nadań

i łask, któremi szafować będzie w ich imieniu możnowładztwo. U nieletniego księcia łatwiej o immunit! Rządy trzech dzielnic spoczęłyby w ręku wielmożów, a przez to samo musiałby się z nimi liczyć sam Wielki książę. Testament Krzywoustego łamał jedynowładztwo w Polsce; osłabi się zaś szybko władza książęca, a urośnie znaczenie możnych, jeżeli się ten testament wykona zaraz, zanim książęta młodsi dorosną.

Pozostała po Krzywoustym wdowa Salomea, macocha Władysława II., a matka młodszej jego braci, czyniła zabiegi o to, żeby jej własnym synom oddać zaraz dzielnice. Rzecz prosta, że się bała, żeby sprawa przez zwłokę nie przepadła, bo nie ulegało wątpliwości, że Władysław wolałby dzielnic nigdy nie wydzielać. Salomeę poparło całe możnowładztwo i zaczęto wywierać nacisk na Wielkiego księcia.

O utrzymaniu jednolitości państwa nie można było marzyć; wcześniej, czy później, dzielnice być musiały. Upominali się bracia o to, co było wszędzie, co gdzieindziej rozumiało się samo przez się, uważane wszędzie za rzecz prostą i zupełnie dobrą.

Sprawy państwa mierzono tą samą miarką, jak sprawy prywatne. Wyobrażano sobie, że jak prywatny majątek jest własnością rodu, tak też tron jest własnością rodu Piastów i każdy Piast powinien mieć w tem udział. W rodowym majątku odgraniczało się na żądanie, co do kogo należy i byle tylko posiadłość nie przeszła w obce ręce, wolno było zresztą zarządzać każdemu samoistnie i dowolnie tą częścią rodowego mienia, która na niego przypadła; wolno było podzielić tę część między synów, wolno było braciom wspólnie gospodarować lub też podział przeprowadzić. To samo stosowano tedy do władzy państwowej, jako do rodowej własności Piastów; panujący według tego miał prawo państwo podzielić, bracia mieli prawo domagać się działów książęcych. Nieznany przedtem testament przyjął się już dzięki wpływowi prawa kanonicznego. Bolesław Krzywousty rozporządzał testamentarnie swoją własnością, t. j. państwem, a nikomu z ówczesnych uczonych nie przyśniło się nawet, żeby prawo publiczne, państwowe, miało być odmienne od prywatnego. Rozróżnianie jednego od drugiego jest rzeczą o wiele późniejszą.

Do żądań Salomei i świeckiego możnowładztwa przyłączył się głos Kościoła. Arcybiskup gnieźnieński, Jakób ze Żnina, zażą-

dał też wydzielenia udziałów od razu, nie dowierzając również Władysławowi. Domagało się tego duchowieństwo ze względu na słuszność — według ówczesnych pojęć prawnych — ze względu na niewzruszalność testamentu — czego Kościół bronił z całych sił — i ze względu na interes biskupów, którym też łatwiej było wywalczyć zupełne uznanie prawa kanonicznego u słabszych książąt dzielnicowych, niż u jednego potężnego monarchy całej Polski.

Salomea w porozumieniu z arcybiskupem zwołała wiec do Łęczycy, która była wówczas posiadłością gnieźnieńskiego kościoła. Był to zjazd książąt i wielmożów. Zjechali się wszyscy książęta z żonami i księżniczki z matką Salomeą, tudzież biskupi, opaci, wojewoda Wszebor, kasztelanowie i dworscy dostojnicy. Pierwszy ten w historyi polskiej wiec, pierwszy szczebel do uznania władzy możnowładztwa, odbył się w r. 1141. Po raz pierwszy radzą możnowładcy obok księcia o sprawach państwa, jako mający prawo, a nawet stanowią, jak się to okazać miało na losach trzechletniej Agnieszki. Matka chciała tę dziecinę oddać do Benedyktynek w Zwiefalten, z którym to klasztorem dynastya Piastowska miała od dawien dawna przyjazne stosunki; dwa lata przedtem wyprawiła tam starszą córkę, 15-letnią Gertrudę, kiedy rok ledwie licząca Agnieszka nie mogła się jeszcze obejść bez matki. Teraz kazała przyjeżdżać po nią z Zwiefalten; przyjechał stamtąd mnich jeden i jeden rycerz ze służbą, żeby Agnieszkę zabrać. Ale wiec nie pozwolił. Wiec uchwalił zaręczyć maleńką z nie o wiele większym synkiem Wielkiego księcia Kijowskiego i tak się stać musiało. Małżeństwo to nie doszło potem do skutku, ale na razie cel polityczny był osiągnięty; jak najściślejsze stosunki z Kijowem, bez względu na dawniejszą łączność z Monomachowiczami.

Bez porównania większe już było znaczenie możnowładztwa w Czechach; tam zjeżdżali się oni na wiece własnowolnie, nie czekając aż książę ich zwoła, a tronem szafowali według własnego uznania. Po śmierci Bolesława nie krępowali się bynajmniej wydaną przez niego ustawą, syna całkiem do tronu nie dopuścili, ale zjechawszy się, przystąpili do samowolnego wyboru księcia z pośród Przemyślidów. Była to formalna elekcya. Wybór padł na Władysława II., który zjednał sobie głosy możnowładców tem, że dotychczas nie brał w sprawach publicznych całkiem udziału, żył spokojnie na ustroniu; przypuszczano, że nie ma zdolności

do rządów. Zawiedli się na nim. Władysław chwycił niespodzianie ster rządów silną ręką, a od wielmożów wymagał posłuchu. Zaraz więc przystępują do nowej elekcyi, ofiarują tron dzielnicowemu księciu Konradowi Znojemskiemu (Znojmo na Morawach) i zaczęła się wojna domowa dwóch pretendentów, którą rozstrzygnął na korzyść Władysława król niemiecki Konrad III. W ciągu zmiennych kolei tej wojny musiał był Władysław opuszczać nawet Czechy i schronić się do Niemiec, gdzie osobiście Konrada o pomoc prosił.

Trzej ci monarchowie, Konrad III., czeski Władysław II. i polski Władysław II. byli dziewierzami, żonaci z trzema córkami margrabiego austryackiego Leopolda III. Pozostawali też w politycznem porozumieniu. W r. 1144 wyprawił i Piastowski Władysław poselstwo do Konrada III.; sprawował je największy możnowładca ślązki, kasztelan wrocławski, ów Piotr Włast, który za Krzywoustego pojmał podstępnie księcia przemyskiego. Miał tedy Władysław przymierza z Niemcami, Czechami i z Rusią; dawno już nie układały się polskie stosunki tak pokojowo, a Wielki książę, mając zapewniony spokój od wszystkich sąsiadów, mógł poświęcić swą uwagę dokończeniu wielkiego dzieła swego ojca: sprawie Zaodrza i lutyckiej.

WOJNA Z BRAĆMI, 1145–1148 r.

W r. 1145 zabierał się widocznie do jakiegoś większego przedsięwzięcia, wymagającego większych nakładów, bo nałożył podatki, daniny na państwo, na całe państwo polskie. Nie była jeszcze władza możnowładztwa polskiego tak wielką, jak w Czechach, gdzie podatek na wyprawę wojenną zależał od przyzwolenia wiecu, a jednak ta sprawa podatku z r. 1145 posłużyła naszym wielmożom do znacznego wzmożenia się. Gdy wielki książę jął wybierać podatek w dzielnicach braci, spotkał się z odmową. Oświadczono, że nie ma do tego prawa, że może wymagać podatków tylko w swoim Ślązku i w Wielkoksiążęcej dzielnicy, ale w udziałach braci nie. Sprawa była nader doniosła, zasadnicza; gdyby w tym sporze zwyciężył Władysław, dzielnicowi książęta byliby tylko namiestnikami Wielkiego księcia, a jedność państwa ocalona! Inaczej każde księstwo stawało się osobnem państwem, a Wielki książę miał tylko większą dzielnicę i tytuł.

Możnowładztwo stanęło po stronie młodszych braci; sprzeciwili się Władysławowi wielmoże nawet własnej jego dzielnicy: Wszebor wojewoda, Piotr Włast i inni. Na dworze Władysława toczyły się gwałtowne spory, w których brała aż nazbyt gorący udział Wielka księżna, Agnieszka; dochodziło do ostrych słów, nawet do gorszących scen, z których wyniknęła nieprzejednana nienawiść Agnieszki i Piotra Własta.

Władysław II-gi, ufny w swe przymierza, postanowił wojną dochodzić swych praw zwierzchniczych tak, jak je pojmował w trafnem, bądźcobądź, zrozumieniu istoty państwa. Z ruskimi posiłkami napadł niespodzianie wschodnie dzielnice, Sandomierskie i Mazowsze; książęta Henryk i Bolesław uciekli do Poznania, do brata Mieszka i pod opiekę największego Polski dostojnika, arcybiskupa Jakóba ze Żnina. Zawrzała wojna domowa, a możnowładztwo tem gwałtowniej wystąpiło przeciw Wielkiemu księciu, gdy za sprawą Agnieszki pojmano podstępnie we Wrocławiu Piotra Własta i jego syna Idziego. Drużyna wojenna odstąpiła Władysława. Zebrał więc wojsko na Rusi, na Pomorzu, wezwał nawet Prusaków na pomoc i przystąpił do oblężenia Poznania. Natenczas arcybiskup rzucił na niego klątwę za to, że miał pogan w swym obozie. Użył przeciw Władysławowi II. tej samej broni, jak niegdyś krakowski biskup przeciw Bolesławowi Śmiałemu. Skutek był ten sam. Nikt z Polaków nie stanął przy Władysławie, wszyscy go opuścili, poniósł pod Poznaniem klęskę i musiał uciekać z Polski. Udał się do Niemiec, do Konrada III. Agnieszka próbowała bronić krakowskiego zamku, napróżno jednak. Mieszko popędził w Krakowskie i Agnieszka tyle tylko otrzymała, że jej pozwolono w spokoju wyjechać z dziećmi za mężem.

Konrad III. przedsięwziął tego samego jeszcze roku, 1146, wyprawę na Polskę, ale była ona tak niefortunną, że wojsko niemieckie nie zdołało nawet zdobyć granicznych bron i ledwie dotarło do Odry. Następnie udał się król niemiecki na daleką wyprawę do Ziemi św., na której mu towarzyszyli obydwaj Władysławowie: czeski i wygnany polski. Przemyślida wracał potem przez Czarne morze, Kijów i Kraków, a Piast musiał stronić od ojczystej ziemi. Odwołał się od arcybiskupiej klątwy do papieskiego sądu. Przyjeżdżał w tej sprawie dwa razy do Polski legat papieski, kardynał Gwido, w r. 1146 i powtórnie z końcem r. 1148. Z początkiem

r. 1149 nietylko zniósł klątwę arcybiskupa rzuconą na Władysława, lecz nawet obłożył nią wszystkich opornych wielkoksiążęcej władzy. Biskupi polscy oświadczyli, że uważają tę klątwę za nieważną, gdyż jest wydana zapewne bez polecenia papieskiego. Był to wybieg prawniczy. Apelacya na nic się też nie zdała. Papież Eugeniusz III. potwierdził w styczniu 1150 r. klątwę legata, i rzucił na cały kraj interdykt, tj. zakazał publicznego odprawiania nabożeństw i udzielania Sakramentów św., póki Władysławowi nie będzie przywrócone panowanie. Władysław był tedy zupełnie pewny swego — a jednak na nic się to nie zdało. W Polsce nikt o interdykcie nie wiedział, bo duchowieństwo nie ogłosiło papieskiego rozporządzenia! Biskupi dopuścili się wyraźnego nieposłuszeństwa wobec Stolicy apostolskiej, byle tylko nie dopuścić do silnej władzy monarchicznej w Polsce! Tak luźny był jeszcze związek duchowieństwa polskiego z Rzymem.

To jawne nieposłuszeństwo biskupów polskich, okazane Stolicy apostolskiej, należy do najprzykrzejszych wspomnień historyi polskiej. Nie prawdziwy to Kościół, który odrywa się od uległości Rzymowi! Papież Eugeniusz III. chciał utrzymać potęgę polskiego państwa, chciał, żeby dzielnice książęce nie przeszkadzały politycznemu rozwojowi Polski. Biskupi nasi nie zrozumieli papieskiej myśli. Czy ją zrozumieli, czy nie, czy tak, czy owak, obowiązani byli do ślepego posłuszeństwa papieżowi. I okazało się, jak najlepszym narodów opiekunem jest papiestwo, jak w Rzymie doskonale pojmowano, czego wymaga dobro Polski. Przyszłość pokazała niebawem, jak źle się przysłużyli Polsce nasi biskupi w r. 1145. Nie słuchając zarządzeń głowy Kościoła, okazali, jak niewiele w nich ducha kościelnego, jak byli nie tyle książętami Kościoła, ile możnowładcami polskimi w szacie duchownej, wyzyskującymi swe wpływy dla celów możnowładczych, obcych Kościołowi. Nie kościelna więc była to polityka, która ograniczyła znaczenie i wpływ Wielkoksiążęcej władzy tak, że do innych dzielnic całkiem się w niczem nie rozciągała. Nie kościelna, skoro papieskiej przeciwna!

Bunt biskupów przeciw papieżowi przypłaciła Polska utratą wpływu na Zaodrzu. Połabianie już byli dla nas straceni.

Przeciw sojuszowi Władysława II. obwarowano się sojuszami przeciwnymi. Na zjeździe w Kruświcy 1148 r. zawarli Bolesławice przymierze z książętami saskimi, wrogami dynastyi Hohenstaufów,

z której pochodził Konrad III.; wtenczas książę Albrecht Niedwiedź, za sprawą Bolesława Kędzierzawego, ożenił syna swego Ottona I. Brandenburskiego, z córką Krzywoustego Judytą. Ten saski sojusz kosztował Polskę drogo. Książęta sascy zabrali się właśnie do tępienia Słowian zaodrzańskich; zapędzili się na Zaodrze, które od Krzywoustego należało do Polski, splądrowali wyspę Rujanę; wyprawami swemi wyrugowali z nad Odry wpływ polski zupełnie, a żadnego z polskich książąt nie obeszło to uszczuplanie Piastowskiego panowania, bo potrzebowali saskich książąt na wszelki wypadek przeciw najstarszemu bratu. A zresztą, odkąd każdy z tych książąt miał prawo do podatków i wojska tylko w swojej dzielnicy, nie stać było nikogo z nich na jakiekolwiek przedsięwzięcie polityczne.

Sojuszowi Władysława z Olgowiczami przeciwstawiono sojusz z Monomachowiczami, wracając do polityki czasów z przed wiecu łęczyckiego. Przedstawiciele tych dwóch gałęzi Rurykowiczów wypędzali się ciągle nawzajem z Kijowa; raz po raz potrzebował który z Monomachowiczów pomocy. W r. 1140 wyruszyli też Bolesław Kędzierzawy i Henryk sandomierski na pomoc Izasławowi Mścisławiczowi, ale nie dojechali do Kijowa, gdyż tymczasem Prusacy najechali na Wielkopolskę i trzeba było dać posiłki bratu Mieszkowi. Dobre stosunki z Izasławem trwały jednak nadal. W r. 1151 syn jego, zwany Chrobrym, ożenił się z najmłodszą z Bolesławówien, z Agnieszką, zaręczoną niegdyś w Łęczycy Olgowiczowi; już czternaście lat miała. Nawzajem z córką Izasława, Eudoksyą, ożenił się Mieszko, książę Wielkopolski, Starym zwany.

Tak przez fałszywy krok biskupów zmieniły się zupełnie wszystkie te stosunki polityczne, od których zawisł był dalszy rozwój państwa polskiego. Wszystko urządzało się na opak temu, co było w chwili objęcia władzy przez Władysława II., a dorobek panowania Bolesława Krzywoustego, przyłączenie północnych Połabian, zmarnowano i to tym razem niestety już niepowrotnie.

ROZDZIAŁ II.

TRON ELEKCYJNY.

BOLESŁAW KĘDZIERZAWY.

Wygnanie Władysława II. było gwałtem i bezprawiem. Jeżeli się zdawało panom świeckim i duchownym, że źle sprawuje wielkoksiążęcą władzę, toć w każdym razie należało mu pozostawić Ślązk, który był jego osobistą dzielnicą, Kraków zaś i godność wielkoksiążęcą należało przyznać jego synowi, Bolesławowi Wysokiemu. I jedno i drugie zagarnął Bolesław Kędzierzawy, nie mając za sobą żadnego innego prawa, jak tylko wolę możnowładztwa. Można więc uważać tego Wielkiego księcia za pierwszego monarchę elekcyjnego, t. j. z wyboru czerpiącego swą władzę. Panował, bo go do panowania wybrano. Wpływ społeczeństwa na państwo zaczyna się tedy od obsadzania tronu. Zmieniły się czasy! Pierwsi Piastowie narzucali społeczeństwu swą wolę i nikogo o zdanie nie pytali; teraz zaś można było panować tylko za pozwoleniem i z łaski najbogatszych i najbardziej wpływowych z pośród poddanych, a chcąc ich łaskę pozyskać, trzeba było przystać na ich żądania. Pierwszem żądaniem wielmożów było, żeby Wielki książę nie wybierał podatków w całej Polsce. Żądanie niemądre, zabijające wszelkie większe polityczne przedsięwzięcia!

Władysław II-gi zwrócił się o pomoc do Niemiec. Minęło atoli jedenaście lat, zanim stosunki niemieckie pozwoliły zająć się tą sprawą następcy Konrada III-go, Fryderykowi Rudobrodemu. Obojętne mu było, kto w Polsce będzie Wielkim księciem, chciał tylko skorzystać z zamętu i Polskę shołdować. Zawezwał więc przed swój sąd Bolesława Kędzierzawego, jakoby zwierzchnik swego podwładnego. Piastowie nie byli wcale hołdownikami,

a więc Bolesław nie stawił się; posłał tylko poselstwo, oświadczając ochotę do zgody z bratem. Prawdopodobnie byłby wtenczas Władysław odzyskał Ślązk; ale Fryderyk Rudobrody chciał koniecznie podbić Polskę pod swoją zwierzchność. Latem 1157 r. wyprawił się z posiłkami czeskiego Władysława II-go na wojnę przeciw książętom polskim. Młodsi bowiem bracia nie opuścili Bolesława Kędzierzawego w tej potrzebie. Fryderyk zniszczył cały kraj po Odrę, przez którą przeprawił się zwycięzko 22 sierpnia. Ślązacy widząc wielką potęgę cesarza, spalili grody w Głogowie i w Bytomiu, żeby nie wpadły w ręce niemieckie. Nie było należytej obrony kraju, cesarz dotarł aż pod Poznań. Książęta musieli uledz. Bolesław Kędzierzawy stawił się w obozie cesarskim w Krzyszkowie nad Wartą, w najgłębszej pokorze, jakby niewolnik wobec pana, w hańbiącej postawie, z mieczem zawieszonym na powrozie u szyi. Uznał się hołdownikiem Fryderyka i na znak tego obiecał mu dać 300 zbrojnych na włoską wyprawę; nadto miał zapłacić cesarzowi koszta wojenne. Przyrzekał też, że się stawi osobiście na najbliższym zjeździe książąt niemieckich, żeby z ust króla niemieckiego usłyszeć wyrok w sporze z bratem. Żadnego jednak z tych przyrzeczeń Bolesław nie dotrzymał, a uroszczenia niemieckie do zwierzchnictwa nad Polską rozwiały się niebawem.

Żeby sobie zapewnić dotrzymanie krzyszkowskiej umowy, zabrał cesarz z sobą do Niemiec najmłodszego z Bolesławiców, Kazimierza i kilku możnowładczych synów. Ten miał już 19 lat, ale bracia nie kwapili się z wyznaczeniem mu dzielnicy, choć był opróżniony po Władysławie Ślązk. Nie dotrzymując krzyszkowskich warunków, narażali Kazimierza na więzienie w Niemczech, ale dla Polski lepiej to już było, niż uznać niemiecką zwierzchność. Fryderyk Rudobrody zajęty sprawami włoskiemi, a następnie nową wyprawą palestyńską, nie zajmował się już sprawą polską. Kazimierz pozostał w Niemczech aż do r. 1163.

Z Krzyszkowa wracał cesarz do Niemiec przez Pragę. Tu zmarło jedno z towarzyszących księciu Kazimierzowi paniąt, a mianowicie jedynak potężnego możnowładcy, Jaksy z Miechowa. W Pradze mieli się polscy młodzieńcy czemu przypatrzeć: trafili na koronacyę. Władysław II. czeski wysługiwał się bowiem wiernie Konradowi III-mu i Fryderykowi Rudobrodemu. Obecnie na

włoską wyprawę zebrał dla cesarza kilka tysięcy zbrojnych, co na owe czasy było już armią. Zasługa jego względem Fryderyka była tem większa, że wiec możnowładców czeskich odmówił podatków na tę wyprawę (i słusznie, bo cóż Czechów obchodziło to przedsięwzięcie?), a książę za własne pieniądze żołnierza najął i uzbroił. Za to dostał koronę od cesarza dnia 11 lutego 1158 r.; miała ta korona o tyle być lepszą od poprzedniej Wratysławowej, że już miała być dziedziczną, na co Fryderyk w tydzień potem dał osobny dokument. W drugiej potem wyprawie włoskiej w r. 1162 wziął udział Bolesław Wysoki, najstarszy syn wygnanego Władysława.

Nasz Władysław II. umarł w Niemczech w r. 1159; pozostawił trzech synów: Bolesława, Mieszka i Konrada, i córkę Ryksę, zamężną od r. 1152 za Alfonsem VII., królem kastylijskim w Hiszpanii. Gdy Rudobrody wrócił z drugiej wyprawy włoskiej, upomniał się o Ślązk dla Władysławiców. Nie chcąc próbować drugi raz Krzyszkowa, uczynił Bolesław Kędzierzawy zadość temu wezwaniu. Wtenczas wrócił z niemieckiej niewoli najmłodszy z synów Bolesława Krzywoustego, Kazimierz, pozostający w zakładnictwie. Ślązk podzielono; z razu tylko na dwie dzielnice, gdyż najmłodszy z synów Władysława był jeszcze pacholęciem i wychowywał się w klasztorze. Bolesław, zwany Wysokim, otrzymał Ślązk Dolny ze stolicą Wrocławiem i z grodami Głogowem, Lignicą, Opolem; młodszemu Mieszkowi przypadł Ślązk Górny z grodami Raciborzem i Cieszynem. Wtedyto Mieszka z Wielkopolski, ich stryja, poczęto zwać Mieszkiem Starym, dla odróżnienia od księcia raciborskiego. Było o jednę dzielnicę więcej i był już przykład, że w przyszłości każda dzielnica tak się będzie dzielić pomiędzy braci. Książęta wrocławski i raciborski mieli uznawać zwierzchność Wielkiego księcia Krakowskiego, Bolesława Kędzierzawego, podczas gdy według testamentu Krzywoustego powinienby w Krakowie panować Bolesław Wysoki. Toteż nie ufał Kędzierzawy synowcom i pozostawił w kilku miejscach Ślązka swoich urzędników i swe załogi.

O żadnej polityce nie było ani mowy za Bolesława Kędzierzawego. Najdonioślejszą dla Polski sprawę, panowania nad wybrzeżami Bałtyku, zaniedbano zupełnie. Książęta sascy wspólnie z Duńczykami rozgospodarowali się tam już na dobre. W roku

1157 zdobył Albrecht Niedźwiedź stolicę Lutyków, Branibor, a ze zdobyczy tej powstało nowe margrabstwo brandeburskie. Pierwszą margrabiną na słowiańskich zgliszczach była tu córa Krzywoustego, tego, który całe życie poświęcał na to, żeby krainy te utrzymać pod polskim wpływem, a wydrzeć ze szponów niemieckich! (Judyta, wyszła za mąż za Ottona, syna Albrechta Niedźwiedzia). W trzy lata później wyprawił się książę Saski Henryk Lew na Obotrytów i osadził w ich grodach niemieckich grafów, którzy nigdy już stąd nie wyszli. Książę Niklot poległ w tej walce, a syn jego był już tak potulny, że stał się prostem narzędziem w ręku Henryka Lwa; zamienił się sam na niemieckiego księcia i potomkowie jego panują do dziś dnia nad jedną częścią ziemi obotryckiej; jestto: Meklemburg, kraj na wskróś niemiecki! Wreszcie w r. 1168 zdobył świętą wyspę Rujanę król Duński, Waldemar I. Ustanowione przez Krzywoustego biskupstwo w Wolilini przeniesiono wtenczas do Kamienia. Przepadła sprawa utworzenia wielkiego państwa wraz z Połabianami. Nad samym zaś Bałtykiem pozostał Polsce tylko strzępek Pomorza, kraina pomiędzy Persantą a Wisłą, złożona z kilku księstewek, które miały hołdować Wielkiemu księciu Krakowskiemu. Najważniejszem miastem tej krainy Gdańsk.

Padł wielki dział Słowiańszczyzny, Polska przestała być potęgą państwową, a Czechy były niczem. Darowana z łaski niemieckiego króla „dziedziczna“ korona nie przeszła na niczyją głowę. Władysław II. próbował spełnić ustawę Sobiesława I-go i umyślnie zrzekł się tronu na rzecz swego syna, Fryderyka. Ale skoro tylko oczy zamknął, wypędzono Fryderyka, a cesarz mianował księciem najstarszego wiekiem Przemyślidę, Sobiesława II., odejmując równocześnie od Czech koronę! Odtąd w ustawicznych bez końca wojnach domowych co kilka lat kto inny panował w Pradze, a w tym wirze zamienił cesarz Morawy na margrabstwo, t. j. nową marchię Rzeszy Niemieckiej. Przez całą już resztę XII. wieku nie miały Czechy najmniejszego znaczenia politycznego; tron praski dostawało się nawet za pieniądze u króla niemieckiego.

Ruś pod panowaniem zesłowiańszczonych już Waregów była również niczem, jako państwo. Tam roku nie było bez wojen domowych, a książęta dzielili się krajem do nieskończoności. Po-

między rokiem 1125 a 1175, w przeciągu zatem 50-ciu lat było w Kijowie 23 zmian panowania. W r. 1172 było księstw ruskich siedmdziesiąt dwa!

Z całej Słowiańszczyzny słaba, bardzo słaba Polska była i tak jeszcze najsilniejszą. Niestety, przybył jej wróg nowy, straszny, przeszkadzający Mazowszu i Wielkopolsce do lepszego zagospodarowania się przez ustawiczne łupieskie napady. Władysław II-gi popełnił w r. 1140 ciężki grzech, że wezwał na pomoc Prusaków. Pokazał im drogę do Polski, z czego też oni bardzo chętnie nadal korzystali. Wyprawa z r. 1147 nie na wiele się zdała; trzeba było wyprawiać się tam jeszcze wiele razy. Na jednej z tych wypraw pruskich zginął w roku 1166 książę Henryk Sandomierski. Bezżenny był, nie zostawił dziedziców; dzielnicę po nim, trochę uszczuploną, dano Kazimierzowi, najmłodszemu z braci, nie mającemu dotychczas własnego udziału.

Kazimierz siedział spokojnie, do polityki się nie mięszał, bo nie było nadziei, żeby w tych okolicznościach sam coś mógł zdziałać. Nie posiadał zresztą nic i niczem nie był aż do 28 roku życia. Gdyby zaś ze skromnego swego sandomierskiego księstewka chciał wywierać wpływ na kierunek polityki, byłby chyba wzniecił jeszcze większy zamęt, wywołując zazdrość starszej braci. Zobaczymy w dalszem opowiadaniu, że Kazimierz był głębszym umysłem, zdolnym kierować mądrze losami narodu. Od r. 1163 żonaty był z Heleną, córką jednego z tak licznych Wielkich książąt kijowskich (Rościsława). W pożyciu małżeńskiem szczęśliwy, długo nie mógł się doczekać szczęścia z dzieci. Miał córkę, ale dwóch synów młodo utracił: starszy, imieniem też Kazimierz, zmarł niemowlęciem, młodszy Bolesław nie doczekał orężności. Dopiero w cztery lata po jego śmierci, w r. 1186, doczekał się Kazimierz syna, który go przeżył, Leszka, zwanego Białym.

Żyjący w sandomierskiem ustroniu zdala od wielkiego świata, sprawiał Kazimierz na polskich możnowładcach podobne wrażenie, jak niegdyś Władysław II-gi na czeskich, człowieka słabego, który nie potrafi silnie dzierżyć władzy. Podobał im się właśnie dlatego! Dla nich Bolesław Kędzierzawy był jeszcze za silnym władcą. Utworzyli też spisek, żeby go zrzucić z tronu. Na czele spisku stał Jaksa z Miechowa i syn Piotra Własta, Świętosław. Zabierali się do zbrojnego buntu, a Wielkie księstwo ofiarowali

Kazimierzowi. Kazimierz odmówił. Jedyny chyba ze wszystkich i polskich i niepolskich książąt! Odmówił tylko dlatego, że pozbawianie tronu brata byłoby niesprawiedliwością, dlatego, że nie chciał w życiu chadzać. krętemi ścieżkami. Słusznie też nazwała go historya Sprawiedliwym.

Dzięki szlachetności młodszego brata dokończył Bolesław Kędzierzawy życia na Wielkoksiążęcym tronie; zmarł w r. 1173.

MIESZKO STARY.

Kto miał być jego następcą, trudno powiedzieć. Według testamentu Krzywoustego powinien panować w Krakowie Bolesław Wysoki, książę wrocławski. Jeżeli linia ślązka miała być odsuniętą od zwierzchnictwa, a na jej miejsce nastać linia mazowiecka, w takim razie po Kędzierzawym powinien nastąpić nietylko na Mazowszu ale też w Krakowie nieletni syn jego, Leszek. Ale jak przedtem wygnawszy Władysława II., odsunięto zarazem potomstwo jego od tronu, podobnież i teraz nie chcieli możnowładcy młodego księcia mazowieckiego, przeciw którego ojcu uknuli spisek. W ich mniemaniu była już ta linia odsądzona. Chociażby obowiązywał seniorat, nie krępowałby możnowładców; wszak już ofiarowywali tron Kazimierzowi, nie dbając o starszego brata, Mieszka. Jakim okolicznościom zawdzięczał Mieszko Stary, że został Wielkim księciem, nie wiadomo. Prawdopodobnie Kazimierz zraził sobie możnowładców poprzednią odmową i tak został im jeden tylko kandydat, Mieszko Stary. Był Wielkim księciem cztery lata, niebawem także wygnany. Możnowładztwo polskie szybko zrównało się z czeskiem pod tym względem, że zaczęło szafować tronem.

Mieszko Stary chciał podnieść znaczenie swej władzy i rządzić samowładnie. Wracał do czasów Bolesława Śmiałego, nie chcąc przyznać nikomu żadnych praw, ani świeckim, ani duchownym. Ale zmieniły się czasy i napróżno próbował cofnąć bieg dziejów. Władzę książęcą można było podnieść już tylko w zgodzie ze społeczeństwem, przez rozbudzenie pewnej wspólności interesów pomiędzy tronem a poddanymi. Tron musiał nietylko uznać prawa społeczeństwa, ale zgodzić się na dalszy ich rozwój i sam nad tem czuwać; powinien był stanąć na czele społeczeństwa i prowadzić je, używając jego sił do celów państwowych. Dopóki książę upatrywał

swój interes w uciemiężeniu społeczeństwa rządami absolutnymi, a społeczeństwo w pozbawieniu takiego księcia godności, słowem, póki była niezgoda pomiędzy tronem a narodem; nie mogło państwo rozwijać się należycie.

Tak społeczeństwo, jakoteż dynastya, nie umiały sobie zrazu radzić w zmienionych stosunkach i musiały przejść dopiero przez twardą szkołę doświadczenia. Próba ograniczenia władzy monarchicznej dokonana na Władysławie II., była niemądrze obmyślona i wyszła na złe państwu. Również niemądra była próba wzmocnienia tej władzy, dokonana przez Mieszka Starego na społeczeństwie, gdy chciał wznowić samowładztwo i w tym celu zwracał się przeciw wszystkiemu, co było wybitniejszego w społeczeństwie. A panował właśnie w czasach, w których indywidualizm zaczynał brać górę, w których coraz więcej było takich, którzy rwali się naprzód, żeby się odznaczyć, żeby coś znaczyć, żeby zyskać pole do okazania swych sił, zdolności, przedsiębiorczości i energii. Organizacya państwowa zbyt długo już trwała, żeby nie pobudzić ludzi do myślenia i do żądzy okazania, że i oni coś potrafią. A czyż to nie był prąd cywilizacyjny? Nie wiedząc co czyni, chciał Mieszko ten prąd stłumić.

WŁASNOŚĆ ZIEMSKA OSOBISTA.

Indywidualizm okazał się najpierw w stosunkach gospodarczych. W XII-tym wieku przeważała już stanowczo własność osobista, nad którą z dawnej wspólności rodowej pozostało tylko prawo pierwszeństwa do kupna, gdy który ze stryjców sprzedawał ziemię. Coraz częściej objawiała się w społeczeństwie dążność do zupełnego wyzwolenia się z wszelkich ograniczeń rodowej organizacyi, a wymyślono do tego ciekawy fortel, przez który obchodzono prawo zwyczajowe. Ponieważ własność pochodząca z nadania książęcego nie podlegała rodowym ograniczeniom na korzyść krewnych, przeto zdarzało się, że właściciel oświadczał uroczyście, że zrzeka się swej majętności na rzecz księcia (był nawet do tego ceremoniał osobny: przyklękał na jedno kolano i wypijał kubek wody: nazywało się to wyroka, lub z łacińska: renuncyacya, tj. zrzeczenie się); poczem książę tą już swoją niejako majętnością obdarzał na nowo od siebie tego samego, który się jej zrzekał przed chwilą. W ten sposób namno-

żyło się w Polsce posiadłości zupełnie wolnych od ekonomicznych związków rodowych. Rzecz była zupełnie prosta i łatwa. Potrzeba było do tego tylko zezwolenia księcia, a książę zezwalał chętnie, bo im więcej ludność potrzebowała jego władzy, im częściej do niej się udawała, tem lepiej dla niego. Mógł też książę przy tej sposobności podać od siebie warunki, np. warunek, żeby z wyzwolonej w ten sposób majętności wyruszał na każdą wyprawę wojenną zbrojny, jeden, dwóch, lub kilku, stósownie do okoliczności. Później ciężar obrony kraju spoczywał wogóle tylko na ziemi, na posiadłościach ziemskich. Prawdopodobnie tu początek tego urządzenia. Ci wszyscy, którzy od księcia ziemię otrzymali, czy to naprawdę, czy to w opisany sposób zmyśleniem prawniczem, tworzyli wśród wolnych gospodarzy osobny niejako stan, związani ściślej od innych z księciem. Takich książę bardziej uważał za swoich i skłonniejszy był wywyższać ich ponad innych. Wszak to byli jego rycerze, towarzysze wojenni.

Dawna drużyna wojenna, osiadła w obozach pod głównemi grodami, zniknęła bez śladu już za Kazimierza Odnowiciela. Obmyślono to inaczej. Na wzór osad naroczników, zakładał książę osady t. z. włodycze, tj. drużyn wojennych. Kilku lub kilkunastu dostawało ujazd, w którym mogli gospodarować, jak im się podobało, pod warunkiem, żeby na każde zawołanie księcia ruszać w pole. Ponieważ służba wojskowa była intratna, zgłaszało się mnóstwo ochotników do włodyczego stanu.

Gospodarz, który miał już przedtem majętność i nie z potrzeby, nie dla chleba, lecz przez wyrokę zobowiązał się do służby wojskowej, był oczywiście czemś wyższem od prostego włodyki, któryby z głodu ginął, gdyby nie poszedł na chleb wojskowy. Toteż tylko z tamtych powstało możnowładztwo. Czem bardziej własność stawała się osobistą, tem większe zaczynały być różnice majątkowe. Nie można być wielmożą bez wielkiego majątku, a do bogactwa pierwszym krokiem była własność osobista i dziedziczna. I tak z jednej strony wzrastała władza książęca w znaczenie przez nadania, lecz z drugiej strony zarazem przygotowywała sobie rywali o cząstkę przynajmniej znaczenia i wpływów. Wobec prawa nie różnił się jeszcze największy możnowładca niczem od najuboższego wolnego gospodarza. Były tylko różnice wynikające nieuchronnie ze stosunków majątkowych i osobistych.

Możnaby raczej powiedzieć, że wobec prawa chudopachołkowie pozostający w gospodarstwie rodowem byli właśnie czemś więcej, niż ci, którzy się przez książęce nadania dobili fortuny, bo mniej dźwigali ciężarów państwowych. Po staremu oddawali komornikowi miarkę owsa lub kruszę miodu, podczas gdy ci musieli odbiegać majętności i chodzić na wojnę. Tak to wyrastają ponad głowy innych ci, którzy w stanowczej chwili nie zawahają się rąk śmielej przyłożyć i wziąć większy ciężar na swe barki. Ci, którzy zostali żołnierzami, dorobili się większych majątków i zaczynali przodować. Wśród świeckich oni mieli czas i możność zajmować się bliżej sprawami publicznemi, a więc też interes w walce z tronem o prawo, bo z nabytych praw mogliby przedewszystkiem oni korzystać. Cywilizacyą i majątkiem stali na czele społeczeństwa, przodowali mu i te urządzenia państwowe, które były jeszcze zupełnie dobre dla rolnika, bartnika, rybaka, zajętego tylko wyżywieniem siebie i rodziny i ginącego w tłumie własnego rodu, te dla nich już nie wystarczały, a na rodowem prawie niewiele im zależało, bo zebrane dostatki pozwalały im obejść się doskonale bez prawnej solidarności rodowej. Związek rodowy z chudopacholskimi krewniakami był dla nich raczej ciężarem i zawadą, niż dobrodziejstwem prawa i korzyścią. Oni woleli stać sami, sobą i najbliższą swą rodziną i nowy ród założyć! Do tego trzeba było, żeby byli pewni swych majątków i tych stanowisk, które do majątku wiodły; żeby byli możnowładcami nie tylko przez szczęśliwy zbieg okoliczności i z książęcej łaski, ale na pewnej podstawie prawnej. Dlategoto w walce o prawo szli ręka w rękę z biskupami. Dążenia te miały wielką wartość cywilizacyjną, były pierwszym większym wyłomem indiwidualizmu w rodowym ustroju społecznym, tudzież pierwszym szczeblem do obywatelskości w samowładczym ustroju państwowym.

Obok tych żołnierzy dobrowolnych byli żołnierze z musu, owi włodycy. Na pozór nie mieli oni bezpośredniego interesu ani w walce o prawo, ani w urządzeniu dzielnic książęcych. Ale żołnierz dzielny, obrotny i rzutki mógł wówczas mieć nadzieję, że na wielmożę wyrośnie. Możnowładztwo nie tworzyło wcale zamkniętej w sobie warstwy społecznej, odgrodzonej od innych. Wszak ono dopiero powstawało i długo jeszcze szeregi te były otwarte dla nowych wybrańców fortuny. Jeszcze każdy, byle nie niewolnik,

mógł się wznieść między wielmoże; jedni zasługą, drudzy ślepem szczęściem, jak zawsze na świecie.

I tak rosła ta warstwa społeczna w sam raz z pośród tych, którzy najbliżsi byli księcia: z jego żołnierzy. Walcząc z nimi, prowadził Mieszko Stary walkę z samym sobą.

NIEWOLNICY PRYWATNI.

Dawniej gospodarstwo a wojenka były zupełnie oddzielone. Przez osady włodycze i przez coraz częstsze książęce nadania łączyły się coraz częściej w jednem ręku obydwa te zajęcia: miecz i pług. Któż miał jednak gospodarować, gdy gospodarze ci wyruszyli na wojnę? Zaczyna się tedy kupno niewolnika już nietylko przez księcia, ale też przez osoby prywatne. Żołnierze korzystali na wojnie z prawa łupu, brali złoto, srebro, tkaniny, sprzedawali je i kupowali za to niewolników, którzy chodzili koło ich gospodarstwa. Tem bardziej było na to stać pana rozległego majątku i tak zaczyna się niewolnicze osadnictwo w dobrach prywatnych. Jeniec wojenny był własnością państwa, księcia; tylko zbroja jego i koń, łup przy nim znaleziony, był własnością tego, kto go pojmał. Nie pozwalał książę przywłaszczać sobie samej osoby jeńca, bo ciągle jeszcze zakładano nowe osady narocznikow, z coraz nowemi rzemiosłami. Już nietylko Rybaki i Skotniki, ale powstawały Szklary i Złotniki. Trzeba więc było kupować niewolnika u Żydów, trzeba się było starać o gotówkę, a to powiększało coraz bardziej obroty handlowe.

Owi prywatni niewolnicy nie byli jednak parobkami pracującymi według wskazówek i planu właściciela. Nie było jeszcze gospodarstwa folwarcznego. Niewolnik ten pozostawał w takim samym stosunku do swego pana, jak narocznik do książęcego włódarza. Pan wydzielał mu kawał ziemi, nie na własność, lecz na służbę, z poleceniem, ażeby na niej polował, łapał bobry, łowił ryby, podbierał barcie czy orał, z przykazaniem, ażeby to oddawał panu, a sam miał przytem prawo pożywić się. Z czasem nastał w tych stosunkach lepszy porządek i lepsza kontrola; niewolnik miał oznaczone, ile ma oddać panu, a co zyskał swą pracą ponadto, to było dla niego. Pan, który go kupił, miał też prawo każdej chwili go sprzedać, darować lub też wypędzić, nie troszcząc się o dalsze jego losy; ale z tego prawa nikt nie korzystał, bo któżby

się pozbywał rąk roboczych? Przeciwnie, pan starał się niewolnika przywiązać do siebie, żeby mu nie zbiegł; pan dbał o dobro i zdrowie swych niewolników, bo to był fundament jego majątku. Kto nie pozostawał w organizacyi rodowej, a nie miał niewolników, ten był nędzarzem, bo ziemia nie dawała mu żadnych dochodów, zwłaszcza, gdy wypadło siadać na koń i ruszać na wojnę.

Powiększa się tedy w Polsce ilość ludności niewolnej i ona to zaczyna coraz bardziej na ziemi gospodarować na rachunek panów, obok dawnej ludności wolnej gospodarującej własnemi rękoma na własny też rachunek. Po dalszych kilkudziesięciu latach miała się skutkiem tego zmienić zupełnie nasza organizacya społeczna, a ze zmienionej miała wyrósć nowa organizacya państwowa.

LICHA MONETA. ŻYDZI.

Mieszko Stary sądził, że byle tylko źle robić tym zamożniejszym właścicielom ziemskim, czyli ziemianom, z pośród których powstawali możnowładcy, już przez to samo zrobi coś dobrego dla państwa. Ziemianie ci, jego żołnierzami zarazem będący, potrzebowali właśnie coraz bardziej gotówki, choćby tylko na kupno niewolnika do gospodarstwa. Dokuczał im więc ciągłą zmianą monety; po dwa, a nawet trzy razy do roku ogłaszał, że moneta jest nieważna, ściągał ją do skarbca, a wypuszczał w obieg lżejszą, podlejszą; w końcu zaczął bić t. zw. brakteaty, t. j. monety tak cienkie, że tylko po jednej stronie dał się na nich wybić stempel; istne blaszki, naśladujące pieniądze. Zapewne ubożeli przez to ci, którzy najwięcej posiadali gotówki, a więc możnowładcy, ale fałszowanie monety szkodziło całemu krajowi, bo psuło stosunki handlowe! Moneta polska nie miała dla zagranicznego kupca wartości i mógł ją przyjmować tylko w cenie znacznie niższej, niż była wartość przez księcia naznaczona. Wszelkie tedy towary zagraniczne podrożały, a upadła wartość płodów krajowych. Środek wymierzony w najniezręczniejszy sposób przeciw możnowładztwu, dał się we znaki całej ludności; poczuł to na sobie najuboższy myśliwy, który łowił po lasach kuny i wiewiórki dla handlarza, zbierającego je dla zagranicznego kupca; musiał bowiem dostarczyć więcej skórek swem upośrednikowi, za tę samą, co przed tem, zapłatę. Wszyscy na tem cierpieli, prócz żydów. Tych użył książę

do mennicy i oni stali się teraz pierwszorzędnymi jego doradcami. Żydzi bili też na cześć Mieszka monety z hebrajskimi napisami, w których go zowią sprawiedliwym i błogosławionym.

Mieszko Stary pierwszy z Piastów przygarnął żydów do siebie. Dotychczas nikt się o nich nie troszczył, żyli sobie jako wędrowni kupcy, znajdując obronę w świętem prawie gościnności. Mieszko uczynił z nich bezpośrednich swoich poddanych. Tak było w państwach zachodnich. Tam żydzi byli jakby własnością monarchy, pozostawali pod jego opieką czasem, a czasem samowolą; monarcha mógł z nimi poczynać sobie, jak chciał, okładać podatkami lub praw im udzielać. Zwyczajnie tak bywało, że zachodni monarchowie opiekowali się nimi, póki się nie zbogacili; potem nagle nakładali na nich jak najcięższe podatki i zaczynali ich w rozmaity sposób uciskać, żeby się sami ich kosztem zbogacili. Postępowanie takie było nieuczciwe, podstępne. Kościół inaczej całkiem zapatrywał się na tę sprawę. Prawo kanoniczne nie pozwala Żyda w niczem na majątku krzywdzić, ale też nie pozwala powierzać im żadnych urzędów, ani też używać ich do załatwiania jakichkolwiek spraw tyczących się chrześcijan.

Ażeby sobie straty na monecie wynagrodzić w inny sposób, zaczęli możnowładcy próbować intratniejszego sposobu gospodarstwa w swych dobrach, a mianowicie rolnictwa, kupując takich niewolników, którzy zdatni byli do uprawy roli. Podnosiło to wielce wartość ich posiadłości. Ale książę przeszkadzał w rozmaity sposób osadnictwu na ich ziemi, tamował przemianę gospodarstwa leśnego i pastewnego na rolnicze; powydawał cały szereg drobiazgowych przepisów, które nie zdały się w końcu na nic, ale były na razie nie tylko niedogodne, lecz także wielce dokuczliwe i hamowały na każdym kroku swobodny rozwój stosunków. Ruszyć się nie było można, żeby nie natrafić na jakiś nowy przepis, a za każdą drobnostkę karał jak najdotkliwiej, bo mniemał, że wielmoże ulegną, gdy się im da dobrze we znaki i że nieograniczone samowładztwo książęce zwycięży, pozbywszy się przeciwników.

KASZTELANIE BISKUPIE.

Podobnież nie chciał Mieszko przyznawać Kościołowi praw, o które duchowieństwo musiało walczyć w imię prawa kanoni-

cznego. Nieroztropną była ta walka, zwłaszcza wobec zupełnego porozumienia pomiędzy biskupami i opatami, a świeckimi wielmożami, wobec ich sojuszu ścisłego, aż nazbyt ścisłego od czasu wygnania Władysława II.

W ostatnich latach panowania Bolesława Krzywoustego udało się arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, Jakóbowi ze Żnina, zapewnić metropolitalnej stolicy trwałe, wieczyste dochody, pozostające pod własnym duchowieństwa zarządem. Katedra gnieźnieńska utrzymywana była z dochodów kasztelanii żnińskiej, do której należała t. z. „secina“ niewolników, a więc dziesięć osad narocznych, a 24 osad wolnych, rodowych, składało w niej swe podatki; na łęczyckiem zaś podegrodziu była osada wojskowa, rycerska. Dochody więc tej kasztelanii były w rzeczywistości własnością arcybiskupią, ale tylko z łaski księcia, który swą łaskę mógł każdej chwili cofnąć. Krzywousty zrzekł się swych praw monarszych w tej kasztelanii; odtąd arcybiskup sam bezpośrednio miał tu wykonywać prawa książęce i wprost na rachunek swego kościoła ściągać dochody. Ażeby darowiznę tę, opartą na zupełnym już immunicie, zabezpieczyć na przyszłość, posłano do papieża, który osobną t. z. *bullą*, t. j. papieskim dokumentem z r. 1136, darowiznę książęcą zatwierdził. Od tego czasu starało się duchowieństwo o to, żeby darowizny na rzecz Kościoła dokonywane były koniecznie na piśmie. Wszelkie podatki w kasztelanii żnińskiej zależały odtąd od uznania arcybiskupa. Obowiązek względem państwa ustawał, zastąpiony obowiązkiem względem katedry gnieźnieńskiej. Wkrótce potem Bolesław Kędzierzawy nadał w ten sam zupełnie sposób kasztelanię milicką na Ślązku biskupom wrocławskim, w r. 1155. Bezpośrednią tedy własnością biskupów były tylko osady ludności niewolnej w tych kasztelaniach; nad innymi mieli tylko książęce prawo zwierzchnictwa. Było to po prostu przelaniem praw kasztelańskich na biskupa.

W czterdzieści trzy lat potem otrzymało drugą taką darowiznę biskupstwo wrocławskie, gdy jeden ze ślązkich Piastowiców został tam biskupem. Ten sposób wyposażania Kościoła nie był praktyczny i zarzucono go potem. Na razie nie było jeszcze innego sposobu, bo wobec rodowego prawa, chcąc uczynić nadanie Kościołowi, trzeba się było zrzec najpierw posiadłości na rzecz księcia, który dopiero od siebie nadawał je biskupstwu lub klasztorowi.

Do tego Mieszko Stary nie był pochopny, a gdy Kościół domagał się ciągle zupełnej swobody takich zapisów, stanął przeciw niemu.

Nadanie kasztelanij żnińskiej i milickiej pochodziło jeszcze z czasów przed panowaniem Mieszka Starego. On sam nic podobnego nie uczynił. Dwie zaś te kasztelanie stanowiły jakby państwo w państwie. Arcybiskup gnieźnieński i biskup wrocławski sprawowali tam wszelkie prawa monarsze, wybierając daniny, których się książęta dla nich zrzekli byli. Można powiedzieć, że do ustanowionych przez Krzywoustego dzielnic, przybywały jeszcze dwa księstwa duchowne: żnińskie i milickie. Nie było na to innej rady, jak tylko uznać możność prywatnych zapisów na rzecz Kościoła; wtenczas obeszłoby się bez nadawania mu dochodów wypływających z praw książęcych, bez nadawania mu całych kasztelanij. Wkrótce też spostrzeżono się na tem i tak postąpiono, ale nie pojmujący sprawy Mieszko Stary nie umiał wymyśleć nic innego, jak tylko walkę z Kościołem. Stanął też przeciw niemu biskup krakowski Getko (Gedeon), zupełnie tak samo, jak niegdyś Stanisław Szczepanowski przeciw Bolesławowi Śmiałemu.

Przeciw duchowieństwu trudno było walczyć, bo cała ludność, wszystkie jej warstwy, stały wówczas po stronie Kościoła, a przeciw księciu. Wiódł do tego ludzi sam interes osobisty. O ścisłym związku możnowładztwa już powiedziano. Mniej zamożni zaś gospodarze, nie będący żołnierzami i trzymający się jeszcze ekonomicznych związków rodowych, zazdrościli swym braciom ze żnińskiej lub milickiej kasztelanii. Lepiej było pod biskupem, niż pod kasztelanem, bo odpadały rozmaite daniny przygodne na rzecz państwa; a Mieszko Stary był mistrzem w wyszukiwaniu ich i nakładaniu! Immunit od państwowych powinności był zyskiem ludności osiadłej pod pastorałem, bo Kościół czerpał swe dochody przeważnie z własnego gospodarstwa, a daniny z tytułu kasztelańskiej zwierzchności miały tylko drugorzędne znaczenie. I niewolna wreszcie ludność także sprzyjała Kościołowi, bo tylko od niego mogła się spodziewać poprawy swego losu. Wszak prawo kościelne nie znało ni niewoli, ni kary śmierci. Kupno niewolnika przez duchowną osobę było właściwie wykupieniem go z niewoli, a w dobrach duchownych powodziło im się jak najlepiej.

RZĄDY URZĘDNIKÓW.

Mieszko Stary nie nadawał godności i zaszczytów członkom możnowładczych rodów, ale wyszukiwał ludzi niezamożnych, nieznanych jeszcze i tych wynosił. Dobreby to było, gdyby łaska książęca wyszukiwała najuczciwszych i najzdolniejszych, a nie takich tylko, którzy odznaczali się jedynie nienawiścią ku możniejszym. Książę nie spostrzegał się, że było to właściwie tylko zmianą osób, ale nie rzeczy, bo ci ludzie — choćby najskromniejsi z początku — także się bogacili, a przez to stawali się założycielami nowych gniazd możnowładczych. Nowi urzędnicy chcieli tem bardziej zrównać się z tymi, którzy już wyrośli na urzędach, tem bardziej pożądali bogactw i nie ominęli żadnej sposobności, żeby na urzędzie dorobić się majątku. Zaczęło się tedy zdzierstwo i nękanie ludności takie, że biskup krakowski książęcych urzędników nazwał publicznie: „wściekłymi psami". Urzędnicy ci wiedzieli, że książę wymaga od nich jednej rzeczy, t. j. surowości; przesadzali się więc wzajemnie w bezwzględności. Skoro prześladowanie, dokuczanie, było zadaniem tej służby książęcej, zgłaszali się do niej najchętniej ludzie nieszczególnej wartości, a tak polityka książęca nie przyczyniała się do wysuwania naprzód najlepszych!

Urzędnicy ci mieli księciu pozyskać serca uboższych przeciw wielmożom. Ilekroć się zdarzyło, że wielmoża pokrzywdził chudopachołka, pokrzywdzony zawsze dostawał od księcia i jego urzędników sprawiedliwość; to prawda, i to było dobrze. Ale to bywało wyjątkiem, a regułą było, że ludność garnęła się do możnowładców, a zwłaszcza do kościelnych dostojników, bo znajdywała przy nich lepsze warunki zarobkowania. Na to nie było rady i ogół ludności wolał opata lub świeckiego wielmoża, niż książęcego urzędnika, z którym go nie łączył żaden interes. Szczęściem nie udały się plany Mieszka Starego, bo spełnienie ich groziło istnym bizantynizmem. Losami państwa kierowałaby nowa warstwa społeczna, urzędnicza, żyjąca z dokuczania ludności i duchowieństwo byłoby też zniżone do urzędniczego stanowiska; Kościół stałby się narzędziem w ręku władzy świeckiej. Władza zaś troszczyłaby się tylko o dwie rzeczy: żeby skarb książęcy był pełny i żeby było ślepe posłuszeństwo. To za mało, żeby społeczność wykształcić na cywilizowany naród! Przy pełnym skarbie

książęcym może być nędzy w kraju dosyć, a przy ślepem posłuszeństwie nie przestaje się rodzić głupota.

Mieszko Stary zupełnie nie pojmował nowych czasów. Przydomek, który mu dawano, mógłby mieć śmiało przenośne znaczenie, bo był naprawdę stary duchem. Zdawało mu się, że można odwrócić bieg czasów, że dadzą się przywrócić czasy pierwszych monarchów piastowskich i że się da wznowić stare społeczeństwo, w któremby nie było możnowładztwa, ale tylko jeden ród książęcy pośród reszty rodów praw nie mających. Było tak jeszcze, ale u ginących Lutyków i Obotrytów. Polska poszła już dawno naprzód ku społecznemu rozwojowi, do czego możnowładztwo było pierwszym krokiem niezbędnym, bez którego rozwój dziejowy obejść się nie mógł. Polska czekała na monarchę, któryby zdołał rządzić z możnowładztwem razem i użyć tej pierwszej samodzielnej warstwy społecznej do celów państwowych, wyzyskać ich siły dla powszechnego dobra całego państwa i całego narodu. Trzeba było umieć rządzić nimi, ale też i z nimi.

KAZIMIERZ SPRAWIEDLIWY, 1177–1195 r.

Wybuchł ogólny bunt przeciw Mieszkowi Staremu. Duchowieństwo szło znowu razem z możnowładztwem świeckiem. W Krakowie stanęli na czele opornych tak wojewoda Stefan, jakoteż biskup krakowski Gedeon, a tron ofiarowali Kazimierzowi. Ten jednak, nie chcąc wojny domowej, powtórnie odmówił. Okazało się jednak wkrótce, że nikt nie staje po Mieszkowej stronie. Jednocześnie wybuchnął bunt w jego własnej dzielnicy, w Wielkopolsce i zanosiło się na to, że już trzecia z kolei gałąź Bolesławiców będzie odsądzona od panowania; wszak wypędzając Wielkiego księcia z Krakowa, pozbawiano zarazem i synów tego dziedzictwa. Mieszka zaś wypędzano także z osobistej jego dzielnicy, z Wielkopolski, podobnie, jak niegdyś Władysława II. wygnano i ze Ślązka; zachodziła obawa, że Mieszko będzie się musiał wraz z synami udać na wygnanie. Przewidując to, wolał najstarszy syn Mieszka, Odo, sam stanąć przeciw ojcu i tylko temu zawdzięcza wielkopolska gałąź Piastów swe ocalenie. Widząc dopiero Kazimierz, że Mieszko nawet w Wielkopolsce nie może się utrzymać, przyjął wezwanie i rządy w Krakowie objął. Historya obdarzyła go zaszczytnym przydomkiem Sprawiedliwego, na który w zupeł-

ności zasłużył. Nie pragnął nigdy cudzego, nigdy nie próbował rozszerzać swego panowania przez zabór udziałów innych książąt, wojny niesprawiedliwej nie prowadził, wolał ustąpić, niż gwałtem się czego dobijać, a względem społeczeństwa gotów był do ustępstw z władzy książęcej. Przyznawał prawa społeczeństwu, sprowadził zgodę narodu z tronem i zapewnił przez to państwu spokój na wewnątrz, dzięki czemu można było spróbować znowu użycia sił na zewnątrz i prowadzić jakąś politykę celem dopilnowania interesów polskich na północy i wschodzie.

OŚWIATA KOŚCIELNA.

Największą potęgą w społeczeństwie było duchowieństwo i od zgody z niem trzeba było rozpocząć. Potęga ta nietylko na bogactwach polegała, ale przedewszystkiem na olbrzymim wpływie moralnym, który duchowieństwo wywierało na wszystkie warstwy ludności. Znaczenie to i wpływy zawdzięczali księża nauce i oświacie. Oni byli najbardziej wykształceni i najrozumniejsi ze wszystkich i dlatego stali na czele całego społeczeństwa.

Olbrzymią jest potęga nauki i wpływ jej na stosunki ludzkie. Urządzenia publicznego życia zawisły od tego, co w pewnem pokoleniu uważa się za właściwe, dobre, pożyteczne i godziwe, a na zapatrywania o tem wywierali i wywierają zawsze największy wpływ uczeni. Od nich zawisła opinia publiczna. Wszystko, co tylko głosi się w życiu publicznem, wszelkie hasła, zasady i dążności, są tylko echem pomysłów, które powstały najpierw w pracowniach uczonych i rozpowszechniły się następnie wśród społeczeństwa. I dobre i złe od nich przedewszystkiem pochodzi. Ich pomyłki wiodą też nieraz na błędne drogi tysiące ludzi; ale też bez ich pracy nie byłoby żadnego postępu. Chrześcijaństwo zostałoby na zawsze martwą literą, gdyby duchowieństwo nie poświęcało się naukom, dociekaniom i roztrząsaniom, w jaki sposób zastosować w praktyce zasady chrześcijańskiej moralności. Im więcej było w jakimś czasie uczonych, przejętych duchem chrześcijaństwa, tem szybszy był postęp sprawiedliwości na ziemi. Ile razy opuściło się duchowieństwo w tej pracy, tylekroć tracił Kościół wpływ moralny, a gwałt i przemoc pisały słabszym prawa. Wieki XII. i XIII. stanowiły właśnie świetne czasy nauki chrześcijańskiej,

toteż Kościół wywierał w całej Europie przeważny wpływ na stosunki.

Naukowemi dociekaniami zajmowało się zrazu tylko duchowieństwo, bo tylko oni jedni posiadali książkową naukę. Każdy kapłan musiał umieć czytać, gdyż są pewne części mszy św., których na pamięć mówić nie wolno; musiał więc pobierać naukę szkolną, uczyć się na książce. Przy każdym kościele musiał być mszał i inne księgi liturgiczne, spisane po łacinie. Kandydat do stanu duchownego uczył się więc po łacinie, a w tym języku pozostała po dawnych Rzymianach wielka spuścizna książek, bogate piśmiennictwo czyli literatura. Znając łacinę miał kapłan w swem ręku klucz do całej oświaty starożytnej i mógł się kształcić. Wszyscy uczeni księża różnych narodów pisywali książki w owych czasach tylko po łacinie. Kto więc ten język znał, miał dostęp do przyswojenia sobie nauki wszystkich narodów. Łacina była językiem powszechnym ludzi oświeconych; w innych językach długo nikt nie próbował nawet pisać. Nie troszczono się o to. Te żyjące języki były do codziennego użytku, do zwykłej rozmowy, a do nauki tylko łacina dla wszystkich najwygodniejsza.

Księża przywieźli z sobą do Polski pierwsze książki kościelne, księża tylko mogli nauczyć sztuki czytania i pisania. Nie garnął się do tej nauki nikt, kto nie musiał, a więc kto nie zamierzał zostać kapłanem. Była też ta nauka trudna, bardzo mozolna i bardzo kosztowna. Trzeba było na szereg lat opuścić strony rodzinne i udać się do jakiej szkoły biskupiej lub klasztornej, której nieraz trzeba było daleko szukać. Św. Wojciech uczęszczał dziewięć lat do szkoły benedyktyńskiej w Magdeburgu. Książka była kosztowną rzeczą, bo była ręcznej roboty. Nie znano druku, każdą książkę trzeba było osobno przepisać z dzieła autora, a to wymagało dużo czasu, tem więcej, że materyały do pisania nie bardzo były dogodne. Pisało się na umyślnie w tym celu garbowanych i przyrządzanych skórkach jagnięcych, zwanych pergaminem, pisało się farbami, które trzeba było rozcierać, a piórem była trzcinka temperowana. Każdą literę trzeba było osobno rysować, jeżeli pismo miało być wyraźne. Za ten trud trzeba było dobrze zapłacić, toteż cena książki bywała nieraz większa, niż niejednego gospodarstwa! Łańcuchami przywiązywano te skarby do pulpitów po klasztorach. O pożyczaniu książki nie było mowy, a chcąc ją kupić, trzebaby

dopiero poszukać kogoś do przepisania i czekać, aż przepisze. Toteż tylko nauczyciel miał książkę, a uczniowie musieli się jak najwięcej uczyć na pamięć, żeby książkę mieć w głowie. Zabierało to dużo czasu i wymagało takiej pilności i cierpliwości, o jakiej dzisiejsza młodzież nawet pojęcia mieć nie może. Najpierw się uczyło na pamięć, potem dopiero nauczyciel tłumaczył i wyjaśniał sprawę.

Uczono gramatyki łacińskiej, rozmówek w tym języku i ćwiczono w pisaniu. Na tem schodziły pierwsze trzy lata, jeżeli uczeń był pojętny i pilny, lub więcej, gdy mniejszą miał zdatność. Dopiero, gdy już dobrze umiał wyrazić się po łacinie mową i na piśmie, zaczynała się właściwa nauka. Zaczynało się od rachunków (arytmetyka), potem następowała nauka obliczania kalendarza kościelnego, oznaczania Wielkiejnocy i wszystkich świąt ruchomych (rzecz wcale nie łatwa), wreszcie nauka o układaniu nut i melodyj, czyli t. zw. teorya muzyki, do czego rachunek jest niezbędny. Śpiewu kościelnego uczono praktycznie od samego początku, ćwicząc chłopców do śpiewania przy nabożeństwach, ale ksiądz musiał się znać także na muzyce, bo zależało na tem, żeby ją wprowadzać do liturgii. Uczono trochę geografii, t. j. o różnych krajach, żeby kleryk wiedział, gdzie Rzym i jakie są państwa chrześcijańskie, trochę też historyi naturalnej, t. j. o zwierzętach, roślinach i minerałach; nieco też geometryi, czyli sztuki robienia pomiarów i dokładnego oznaczania kształtów; w końcu jeszcze astronomia, o ile się wówczas na niej znano. Uczono też potrzebnych w praktycznem życiu: pisania listów, układania protokółów, dokumentów i potrzebnych do tego wiadomości prawniczych, przedewszystkiem oczywiście prawa kościelnego. Na tę wyższą część nauki liczono dla uczniów najzdolniejszych lat cztery. Potem dopiero mógł się zacząć uczyć teologii, filozofii i prawa kanonicznego szczegółowo. Nie łatwo się było namyśleć na długie odsiadywanie lat szkolnych, w czasach, gdy czternastoletni chłopcy zwykli byli zawierać związki małżeńskie!

Dzięki książkowemu wykształceniu potrzebni byli księża do wszystkiego i w żadnej niemal sprawie nie można się było bez nich obejść. Dostał ktoś list, a przeczytać go nie umiał; prosił więc księdza i przez niego odpis dawał. Cała korespondencya spoczywała wyłącznie w ręku duchowieństwa. Oni tylko mogli

ułożyć książęciu dokument, oni tylko umieli urządzić i prowadzić kancelarye. Od najważniejszych spraw państwowych aż do wyuczenia kapeli muzycznej — wszystko musiało przejść przez ręce księży, bo nikt inny tego nie umiał. Kanclerzami, nauczycielami, pisarzami, i t. d. tylko księża być mogli. Byli potrzebni, przydatni, obejść się bez nich nie moża było żadną miarą i w życiu świeckiem, a nie tylko w sprawach religii dotyczących.

KLASZTORY.

Ludzie posiadający wyższą oświatę umieli sobie w każdym zakresie życia radzić lepiej od innych i stawali się przewodnikami ludności we wszystkiem, nie tylko w sprawach związanych bezpośrednio z nauką książkową. Klasztory były wielkiemi szkołami i praktycznego także życia. Zakonnicy lepiej od innych zarządzali swemi majętnościami, większe z nich ciągnęli zyski, zaprowadzali postępowe gospodarstwo. Przybywali do nas z krajów zachodnich, posiadających wyższą cywilizacyę, a przywozili z sobą nietylko książki, ale też i pług ulepszony, i budowniczych i zdatniejszego rzemieślnika.

Prócz benedyktyńskich klasztorów, których za Kazimierza Sprawiedliwego było już kilkanaście (zdaje się, że 17), przybyły też do Polski inne zgromadzenia zakonne. Benedyktyńska reguła poczęła upadać, do zakonu wkradły się świeckie obyczaje i zaniedbywanie obowiązków. Natenczas jeden z francuskich opatów, Robert z Szampanii, postanowił przywrócić dawną surowość reguły i założył w tym celu r. 1098 osobny klasztor w okolicy francuskiego miasta Dižą (Dijon) w miejscu zwanem Ssito (Citeaux), po łacinie Cistersium. Zajaśniał ten klasztor wielkim blaskiem, gdy z początkiem XII. w. wstąpił doń sławny św. Bernard z Klerwo (Clairvaux); wkrótce powstało dwanaście podobnych klasztorów, które w roku 1119 otrzymały osobną regułę i tak powstał nowy zakon Cystersów. Trzymali się oni ściśle tej zasady, żeby nietylko nauki uprawiać w książkach, ale też praktycznych zajęć pilnować. Sławni byli z rolnictwa i z budownictwa i dlatego zapraszano ich na wszystkie strony. Do połowy XIII. w. mieli w Europie przeszło 1700 opactw. Biskup krakowski Mateusz pisał do św. Bernarda z Klerwo z prośbą, żeby mu przysłał swych uczniów, by ich użyć do missyj na schyzmatyckiej Rusi. Za mało ich jednak jeszcze

było, żeby można było część wyprawić do Polski. Dopiero w r. 1143 przybyli do nas pierwsi Cystersi i osiedli w Wągrowcu. Nie trudnili się jednak całkiem missyonarstwem, tylko gospodarstwem i budownictwem. Za Kazimierza Sprawiedliwego mieli w Polsce klasztorów jedenaście, ale wszyscy byli cudzoziemcami.

W wieku IX. zaprowadzono w państwie frankońskiem wspólną regułę i klasztorny tryb życia dla duchownych, których kilku lub kilkunastu przebywało przy jednym kościele. W ten sposób powstawały przy większych kościołach t. z. zgromadzenia kanoniczne. W wieku X. rozprzęgły się te zakony, a majątek zgromadzeń zaczęto dzielić pomiędzy członków. W ten sposób powstali Kanonicy świeccy przy katedrach biskupich i kościołach kollegiackich. Część jednak „kanoników“ pozostała przy wspólności dóbr i klasztornem życiu i tych zwano kanonikami regularnymi, których reguła i klasztory istnieją dotychczas. W Polsce nie było pierwotnego klasztornego pożycia kapituł, skoro dopiero w drugiej połowie X. wieku rozpowszechniło się u nas chrześcijaństwo. Regularni kanonicy, zwani także laterańskimi, przybyli do nas najpierw w roku 1108 do Wrocławia. W r. 1148 oddano im klasztor w Trzemesznie po Benedyktynach. Z końcem XII. w. mieli klasztorów siedm.

Zakonnicy ci byli najbogatsi ze wszystkich, toteż garnęło się do nich wielu takich, którym nie koniecznie chodziło o Bożą chwałę. Zeświecczony zakon zreformował w r. 1121 Śty Norbert, założywszy swój klasztór w Pré Montré we Francyi. Stąd reguła ta zowie się Norbertańską lub Premonstrantów. Ci dostarczali chętnie missyonarzy. Do Polski przybyli za Bolesława Krzywoustego i mieli pierwszy klasztor w Kaliszu, który jednak niedługo istniał. Za Kazimierza Sprawiedliwego było norbertańskich klasztorów siedm.

Możnowładca Jaksa z Miechowa bawiąc na wyprawie krzyżowej w Palestynie uczynił ślub, że wystawi w Polsce podobiznę świętego Grobu i założy fundacyę na odprawianie takich samych nabożeństw, jak przy grobie Zbawiciela. W ten sposób powstał w roku 1162 pierwszy klasztor Bożogrobców w Miechowie. Następny powstał dopiero później, w r. 1214. Nie rozpowszechnili się nigdy i przez cały okres piastowski mieli tylko czternaście klasztorów.

Wszystkich razem klasztorów, dawnej benedyktyńskiej i tych nowych reguł było w Polsce za Kazimierza Sprawiedliwego 41.

Każdy klasztor składał się (jak i dziś) z księży i z braciszków. Ale braciszkami zostawali często ludzie wysokiego rodu, pragnący poświęcić się pracy umysłowej, do której gdzieindziej nie było sposobności, jak tylko w klasztorze. W klasztorach zagranicznych było wśród braciszków wielu wybitnych uczonych i sławnych artystów, zwłaszcza malarzy i architektów.

I u nas w Polsce rozwinęło się budownictwo z materyału trwałego, z kamienia, dopiero przez osoby duchowne. Mnisi i ich braciszkowie byli pierwszymi budowniczymi naszych najstarszych kościołów, pierwszymi mistrzami wszystkich tych licznych rękodzieł, potrzebnych do wzniesienia, wykończenia i ozdobienia wspaniałych gmachów. Dopiero potem, po kościołach i klasztorach, zaczęto stawiać i świeckie budynki z kamienia i z cegły, od księży się tego wyuczywszy. Budowle pochodzące z tego pierwszego u nas okresu budownictwa poznać można po pewnym układzie ścian, po łukach półkolistych nade drzwiami i oknami, po szerokiem sklepieniu i niektórych drobniejszych cechach, które razem stanowią t. z. styl, t. j. sposób budowania. Styl tych czasów nazywa się romański, a śladów jego jest dużo we wszystkich ziemiach Polski; potem jednak przerabiano te kościoły na nowe style, które później nastały.

Tak tedy czynnem było duchowieństwo przy wszystkiem i wszyscy od nich czegoś potrzebowali i czegoś się uczyli. Kancelaryą monarchy zarządzał ksiądz i ksiądz uczył kamieniarzy, jak ociosywać kamienie; ksiądz pisał książkę i ksiądz pokazywał, jak lepiej orać, żeby kłosy były cięższe. Oni byli nauczycielami wszystkiego, prócz wojennej sztuki. Co tylko życie ułatwia i umila wszystko od nich pochodziło, jakżeż więc niemieli po pewnym czasie ująć w swe ręce steru społeczeństwa? Rządzili innymi, bo więcej od innych umieli, a wdzięczne społeczeństwo chętnie dawało posłuch ich naukom, a także ich dążeniom i żądaniom immunitu. Książęta występujący do walki z nimi prędzej czy później musieli przegrać sprawę. Duchowieństwo tyle świadczyło dobrodziejstw, że mogło się śmiało domagać praw dla siebie, pewne poparcia całego społeczeństwa, które prędzejby już obeszło się bez książąt, niż bez nich! Rozumiał to dobrze Wielki książę Kazimierz Sprawiedliwy i postanowił uznać już stanowczo prawo kościelne w Polsce.

SYNOD ŁĘCZYCKI.

Kazimierz nie upatrywał w prawie kanonicznem wroga książąt i państwowej organizacyi. Znawcę tego prawa, Wincentego z Karwowa pod Stobnicą, zwanego Kadłubkiem, który odbył studya za granicą we Francyi, przyjął do dworu i zrobił go w swej własnej dzielnicy proboszczem sandomierskim. Pierwszy to uczony Polak, o którym wiadomo, że uzyskał za granicą stopień naukowy magistra, czyli mistrza w naukach.[1]) Wielkie ma zasługi w historyi Kościoła polskiego. Mile widziany na dworze książęcym, był pośrednikiem pomiędzy duchowieństwem a władzą monarszą. Przez trzy lata trwały narady i porozumiewania się, zanim biskupi obmyślili, czego wymagać dla Kościoła w Polsce i jakie w tym celu mają być wydane ustawy. Gdy już była powszechna pomiędzy duchowieństwem zgoda, zwołał arcybiskup Zdzisław synod kościelnej prowincyi polskiej do Łęczycy w r. 1180, wzywając nań wszystkich biskupów, członków kapituł, delegatów duchowieństwa parafialnego i przełożonych klasztorów. Tu wszyscy razem jeszcze raz obradowali nad swoją sprawą, żeby wnioskom swoim nadać ostateczną formę, taką, w jakiej książę miał je zatwierdzić. Główne uchwały synodu, dotyczące stosunku Kościoła do państwa, orzekały co następuje:

Kościół może posiadać w Polsce swój własny majątek, może przyjmować fundacye od księcia i osób prywatnych, a dobra te przechodzą z biskupa na biskupa, z plebana na plebana, z opata na opata, wieczyście przywiązane do kościoła czy klasztoru. Następca w godności duchownej jest tych majątków dziedzicem. Nigdy więc nie można powiedzieć o dobrach duchownych po śmierci duchownego dostojnika, że one nie mają dziedzica i dlatego mają wrócić do dziedziców fundatora albo do księcia. Nie wolno też księciu zagarniać ruchomego majątku, pozostałego po biskupie,

[1]) Kadłubek pisał historyę polską, oczywiście po łacinie, która sięga do roku 1203. Był biskupem krakowskim przez 10 lat, (1208—1218), poczem złożył pastorał i i wstąpił do Cystersów w Jędrzejowie. Umarł w r. 1223. Odznaczał się wielką świątobliwością. Ogłoszony błogosławionym przez papieża Klemensa XIII. w r. 1764. — Pierwszym historykiem Polski był kapelan Bolesława Krzywoustego, ksiądz Marcin z Francyi i dlatego po łacinie Gallus zwany.

lecz należy i taki majątek przekazać nowemu biskupowi. W dobrach duchownych niema żadnej innej władzy, jak tylko duchowna, a książę nie powinien tam ściągać swych danin i podatków, czy to w gotówce, czy w naturze, czy też w świadczeniach służebnych. Majątek kościelny nie podlega książęcemu prawu. Nie należy więc w dobrach kościelnych obsługiwać książęcych sług, bo oni tam urzędować nie mają prawa. Wolną też jest ludność, w dobrach kościelnych osiadła, od powinności wobec grodu, bo prawo kościelne nie zna żadnego urządzenia grodowego. Słowem, mieszkańcy dóbr kościelnych, tak wolni, jak niewolni, nie potrzebowali się wcale troszczyć o prawo krajowe polskie, a przechodzili pod prawo kanoniczne, łatwiejsze i wygodniejsze, bo nie znające ciężarów wojennych i państwowej organizacyi. Ludność ta składała tylko daniny Kościołowi, który nie potrzebował tych rozmaitych zobowiązań i świadczeń służebnych, bez których nie mogło się jeszcze obejść państwo. Prawo kościelne lekkiem tedy było w porównaniu z polskiem, toteż ludność chętnie garnęła się pod pastorał.

Na pozór rzecz tyczyła tylko duchowieństwa, ale w praktyce ulgi te przechodziły na maluczkich. Prawo wymagało np. żeby wysłannikowi książęcemu dostarczyć podwody i żywności aż do najbliższej następnej stacyi na ich drodze. Gońcy tacy byli ustawicznie rozsyłani na wszystkie strony, do kasztelanij i od kasztelanij na dwór książęcy, a żywienie ich i dostarczanie koni i wozów było niemałym ciężarem, który skrupiał się najbardziej na ludności mniej zamożnej. Taki goniec był w drodze wielkim panem i pod pozorem książęcej służby rozkazywał, komu chciał. Zależało to zupełnie od jego dobrej woli, czy poprzestanie na tem, czego mu naprawdę potrzeba, czy też wyciśnie, co tylko się da, Gońcy Mieszka Starego dopuszczali się ciągłych nadużyć, a kontrola była niemożebna. Mógł wpaść do chaty biednego rolnika i splądrować ją pod pozorem, że potrzebuje żywności; mógł sobie dobrać towarzyszów i zabić bydle na pokarm, kazać sobie upolować zwierzyny, dostarczyć koni na kilka mil, po które trzeba było potem iść pieszo, żeby je odebrać na następnej stacyi. Według uchwał synodu łęczyckiego przynajmniej w duchownych dobrach najuboższy człowiek mógł się odezwać: Nie masz prawa! Jeżeli chcesz, zapłać, a poproś, żebym ci sprzedał! Nabycie prawa

wobec księcia było czemś tak wielkiem, że uboższa ludność aniby śmiała sama o tem zamarzyć. To było zdobyczą Kościoła i jego darem dla podwładnej mu ludności, a darem nietylko materyalnym, lecz i moralnym, bo nic nie podnosi osobistej godności człowieka, jak świadomość, że się ma prawo, że się nie jest niewolnikiem i igraszką zachcianek silniejszego. Doprowadzenie tych spraw do pewnego porządku w dobrach kościelnych wpłynęło też na innych; w całym kraju zaczęto myśleć o tem, jakby powinności państwowe urządzić w ten sposób, żeby nie były ciężkiem brzemieniem i żeby się dały pogodzić z dobrobytem ludności i z jej interesami. Jakoż osiągnięto to potem, a Kościół pozyskał sobie wielką zasługę cywilizacyjną, że od niego wyszły te starania.

Jeden tylko wyjątek dopuszczał synod łęczycki, a mianowicie, gdyby nieprzyjaciel wkraczał do kraju, natenczas należały się gońcom podwody także w duchownych dobrach.

Uchwały synodu łęczyckiego zapadły wobec ośmiu biskupów polskich: arcybiskup gnieźnieński, biskupi: krakowski, wrocławski, poznański, kujawski, płocki, kamiński, lubuski, domagali się jednomyślnie uznania tych ustaw przez książąt. Dyecezye ich obejmowały wszystkie dzielnice książęce. Książąt było wielu, a metropolita zawsze jeden, a wszystkie księstwa spojone były w jedną całość w jednolitej kościelnej prowincyi polskiej. Duchowieństwo całej Polski solidarnie wystąpiło ze swemi żądaniami i groziło klątwą każdemu, kto się do nich nie zastosuje. Uchwały synodu przesłano do potwierdzenia ojcu św. Zatwierdził je papież, a więc zatwierdził też groźbę klątwy dopisaną na końcu. Odtąd duchowieństwo miało prawo rzucić klątwę na księcia, któryby uchwał łęczyckich nie przestrzegał. Miało tych klątw być jeszcze sporo!

Kazimierz Sprawiedliwy rozumiał, że wola panującego nie może starczyć za całe prawodawstwo. On sam przyjął łęczyckie uchwały jeszcze tego samego roku 1180; wszak wiedział, że się to przygotowuje i z góry się z tem zgadzał. Nie wszyscy jednak książęta podzielali to zapatrywanie i minęło jeszcze sporo czasu, odbyła się jeszcze niejedna walka, zanim uchwały łęczyckiego synodu uznane były przez wszystkich Piastów. A nie obejmowały jeszcze te uchwały bynajmniej wszystkiego, czego pragnął Kościół według swojego kanonicznego prawa. Nigdy Kościół w Polsce nie wyzwolił się zupełnie od zależności od władzy świeckiej. Sprawa

ta przechodziła w ciągu dziejów państwa polskiego przez różne koleje, pod najrozmaitszemi formami.

Synod łęczycki w zamian za dobrą wolę Kazimierza względem kościelnego immunitu uznał panowanie jego, jako Wielkiego księcia nad całą Polską, do czego Kazimierz nie miał prawa z testamentu Bolesława Krzywoustego. Synod prosił tedy papieża Aleksandra III. o przeniesienie krakowskiego panowania z najstarszej gałęzi Bolesławiców dziedzicznie na najmłodszą, ażeby potomkowie Kazimierza Sprawiedliwego pozostali Wielkimi książętami. Przychylił się do tego papież w marcu 1181. Tracili więc prawo do Krakowa ślązcy książęta, a tem bardziej Mieszko Stary. Taka była odtąd ustawa, ale czy możnowładzcy do niej się zastosują, to zależało od ich dobrej woli. Tronem szafowali ci, którzy mieli siłę orężną w ręku. Ustawa ustawą, a godność wielkoksiążęca pozostała swoją drogą nadal elekcyjną. Panował w Krakowie ten, kogo sobie życzyła większość wielmożów krakowskiej ziemi i sam Mieszko Stary miał jeszcze wrócić na zamek krakowski, gdy się chwilowo pogodził z możnowładztwem; i ślązcy książęta mieli też jeszcze piastować wielkoksiążęcą godność.

KNOWANIA MIESZKA STAREGO, 1180–1191 r.

Kazimierz Sprawiedliwy miał władzę nad większą częścią Polski. Niemiał długo żadnej dzielnicy, aż dopiero po bezpotomnej śmierci brata Henryka dostał ziemię sandomierską. Był opiekunem małoletniego syna Bolesława Kędzierzawego, Leszka, który był dziedzicem Mazowsza i Kujaw. Ten stał potem wiernie przy Kazimierzu, wdzięczny, że „Sprawiedliwy“ nie użył opieki do wyzucia go z dzielnicy. Mógł Kazimierz liczyć zawsze na pomoc z Mazowsza i Kujaw. W r. 1177 wybrany Wielkim księciem dostał Krakowskie, Łęczyckie, Sieradzkie i zwierzchnictwo nad Pomorzem (z którego niestety już tylko Gdańskie pozostało). Nie mogąc się już oddawać zupełnie rządom w dzielnicy Leszka, ustanowił wtenczas na Mazowszu osobnego wojewodę, Żyrona i jemu poruczył opiekę. Za tym przykładem poszło potem ustanawianie osobnego wojewody w każdem księstwie. Leszek ów zmarł bezpotomnie w roku 1186 i wtenczas zajął Kazimierz Mazowsze i Kujawy pod swe bezpośrednie panowanie, jako jego spadkobierca. Nie panował tylko we właściwej Wielkopolsce i na Ślązku, ale miał nad temi dzielni-

cami taką przewagę, że mógł był pokierować ogólną polityką całej Polski.

Chcąc przywrócić państwu na zewnątrz znaczenie, utracone niemal zupełnie za rządów dwóch poprzedników, starał się usilnie o zupełny pokój wewnętrzny. Należało tedy załatwić się pokojowo z Mieszkiem Starym, który mógł każdej chwili wszcząć wojnę domową o odzyskanie panowania. Ażeby go sobie pozyskać, dał mu Kazimierz zezwolenie, żeby sobie zajął Gniezno i upoważnił namiestnika na Pomorzu, żeby mu udzielił do tego pomocy. Rządcą Pomorza był jeszcze za Bolesława Kędzierzawego Subisław, potężny możnowładca, ożeniony następnie z siostrą Żyrona, mazowieckiego wojewody. Ten miał dwóch synów: starszy Sambor nastąpił po ojcu na gdańskiem namiestnictwie, młodszy zaś Mszczuj był poborcą danin książęcych. Mszczuj ożenił się z córką Mieszka Starego, Zwinisławą. Po śmierci starszego brata został on następnie namiestnikiem, wyniesiony na tę godność już przez Kazimierza Sprawiedliwego. Mieszko Stary czynił zabiegi u cesarza Fryderyka Rudobrodego, żeby go namówić do wyprawy na Polskę. Ażeby przerwać te niebezpieczne dla Polski zmowy i odwrócić możebny najazd niemiecki, wolał Kazimierz dobrowolnie przywrócić Mieszkowi jaką dzielnicę w Wielkopolsce; ponieważ jednak Wielkopolanie nie życzyli sobie rządów księcia niedawno dopiero wygnanego, trzeba było użyć przemocy, a tej miał dostarczyć Mszczuj, tak, żeby się zdawało, że Mieszko zajmie Gniezno wbrew Wielkiemu księciu i przez samowolne postąpienie pomorskiego rządcy, a swego zięcia. Plan powiódł się. W r. 1182 opanował Mieszko Gniezno z pomocą Mszczuja, a Poznań pozostał przy synu jego, Odonie. Ale Mieszko nie poprzestał na tem i nie zerwał stosunków z Niemcami, chcąc z ich pomocą odzyskać Kraków. W r. 1184 gotował się już do wyprawy na Polskę syn Rudobrodego, późniejszy cesarz Henryk VI. Kazimierz odwrócił ten cios, wyprawiając spiesznie poselstwo do Niemiec. Posłowie zastali cesarza w Halli, daleko jeszcze od granic Polski; prosili o pokój, obiecując uznać zwierzchnictwo Fryderyka Rudobrodego. Ujęty tem cesarz, odwołał przygotowaną już wyprawę.

Sojusznikiem Mieszka Starego był książę Raciborski, Mieszko Kulawy. Między synami Władysława II. nie było zgody; swary dzielnicowych książąt rozpoczęły się właśnie najpierw na

Ślązku. W r. 1177 wystąpił przeciw księciu wrocławskiemu, Bolesławowi Wysokiemu, własny jego syn Jarosław i pozyskał pomoc stryja, Mieszka z Raciborza. Ten wygnał Bolesława z Wrocławia i był przez krótki czas panem całego Ślązka. Bolesław Wysoki, który miał być właściwie Wielkim księciem krakowskim, pozbawiony zupełnie dzielnicy, nie miał się nawet gdzie schronić, gdyż panujący wówczas Wielki Książę, Mieszko Stary, był mu niechętny. Tegoż jeszcze roku zmieniły się jednak stosunki; Mieszko Stary utracił panowanie, a na tron krakowski zaproszono Kazimierza Sprawiedliwego. Nowy Wielki książę ujął się za Bolesławem, podczas gdy Mieszko Kulawy stanął po stronie Mieszka Starego i tem jeszcze bardziej naraził sobie Kazimierza. Gdy Kazimierz utrwalił swą władzę, wrócił też Bolesław Wysoki do Wrocławia. Wśród następnych wichrzeń Mieszka Starego zależało Kazimierzowi na tem, żeby książę Raciborski nie dostarczył mu pomocy. Ażeby więc zjednać sobie Mieszka Kulawego, dał mu spory kawał ziemi krakowskiej, z pięcioma grodami: Oświęcimiem, Zatorem, Bytomiem górnym, Siewierzem i Pszczyną. Darowizna ta pozostała już przy dziedzicach Mieszka raciborskiego, a Bytom i Pszczyna liczą się do dziś dnia do Ślązka. Krainy te należały aż do r. 1821 do dyecezyi krakowskiej, poczem dopiero przyłączono je do wrocławskiej.

W tych czasach powstało na Ślązku trzecie księstwo: głogowskie, którem wyposażył Bolesław Wysoki najmłodszego swego brata Konrada, gdy do lat doszedł.

W r. 1191 uknuł Mieszko Stary nowy zamach na Kraków, znalazłszy sojusznika w kasztelanie krakowskim, Kietliczu. Ród Kietliczów pochodził z Czech; z końcem XII. wieku przenieśli się do Łużyc, a jedna gałąź do Polski. Znamienne to jest, że Mieszko nie znalazł sobie sprzymierzeńca wśród możnowładztwa rodzimego, lecz oparł swe nadzieje na nowym przybyszu, nie związanym jeszcze tradycyą z krajem. Nie śmiał też wojować wstępnym bojem, lecz użył podstępu. Kazimierz bawił w r. 1191 na Rusi wraz z dzielnym swym wojewodą Mikołajem. Rozpuszczono wieść o jego śmierci, a że syn Kazimierza, Leszek Biały, miał dopiero cztery lata, mówiono, że właściwym panem w Krakowie będzie wojewoda Mikołaj i skierowano bunt zręcznie przeciw osobie wojewody. Widocznie wojewoda miał wielu niechętnych.

Biskup krakowski, Pełka, przeciwny był Mieszkowi i stanął przy nieletnim Leszku. Ziemianie krakowscy po większej części podzielali zapatrywanie biskupa, tak, że przy Kietliczu stanęło ledwie siedmdziesięciu! Mieszko nie mogąc zdobyć zamku, pozostawił w mieście swego syna Odona, a sam pospieszył do Wielkopolski zebrać wojsko. Zanim jednak zdążył wrócić, już Kazimierz był w Krakowie, przyjęty z radością przez ludność. Nie uwięził Odona, przebaczył synowi i ojcu, tylko Kietliczowi odjął kasztelaństwo i na wygnanie go skazał. Kietlicze przenieśli się do Wielkopolski, gdzie niedługo potem jeden z nich został arcybiskupem gnieźnieńskim.

W tym nieudałym zamachu na Kraków wziął też udział obdarowany tak hojnie przez Kazimierza Mieszko Kulawy! Co więcej, Mieszko Stary zdołał przeciągnąć na swoją stronę nawet Bolesława Wysokiego, który wszystko zawdzięczał Kazimierzowi.

Szczególne wrażenie sprawia rozpamiętywanie dziejów Kazimierza Sprawiedliwego. Niepospolity monarcha, który uczciwość cenił więcej, niż tron, dbał, żeby nikomu koło niego nie stała się krzywda, doświadczał za to niewdzięczności; wiedział, że go to czeka, ale wolał być krzywdzonym, niż krzywdzicielem i nie odstąpił nigdy od tej najwyższej zasady swego życia. Niezwykłą, wyjątkową szlachetnością podbijał serca ludności i na miłości poddanych opierał swe panowanie. Na chwałę ówczesnego społeczeństwa powiedzieć trzeba, że na niem się nie zawiódł, skoro ledwie 70-ciu dało się uwieść Kietliczowi.

W polityce zewnętrznej dbał Kazimierz Sprawiedliwy usilnie o to, żeby mieć zabezpieczone granice państwa. Odwrócił zręcznie najazd cesarski, a hołdu składać do Niemiec nie jeździł. Gdańskie Pomorze utrzymał przy związku państwowym z Polską. Dalszą granicę północną ubezpieczył wyprawą podjętą w roku 1192 na Prusaków i pobratymców ich, Jadźwingów; zmusił ich do uznania swego zwierzchnictwa i płacenia haraczu. Wzdłuż całej zaś granicy wschodniej miał książąt ruskich od siebie zależnych. Ma w tem wielką zasługę, że przywrócił znowu wpływ Polski na Ruś.

RUŚ NOWA, CZYLI SUZDALSKA.

Na Rusi poczynało zwolna dojrzewać społeczeństwo. Pomiędzy ruskimi wielmożami, t. z. bojarami, budziło się poczucie

własnej siły, własnych praw i obowiązków, następowało ocknienie z tej bierności, która niegdyś wiodła do niesłychanego, jedynego w dziejach zjawiska, że proszono obcych, żeby przyszli i panowanie objęli. Miały tu wpływ niewątpliwie ustawiczne stosunki z Polską. Wychodzące często za ruskich książąt Piastówny zabierały z sobą swe dwory; niejeden Polak znalazł tam przez nie stanowisko, zjechał nieraz katolicki kapłan. Wpływ ten najsilniejszy był oczywiście na Czerwonej Rusi, w ziemi Czerwieńskich grodów, gdzie warstwa bojarska wyszła po większej części z pierwotnego polskiego osadnictwa. Książęta obcego pochodzenia, Waregowie, wojowali z sobą bez końca, nie dbając o nic innego, jak tylko o zajęcie jak największej ilości grodów dla osobistego wyniesienia się, bez jakiejkolwiek myśli politycznej. Wypędzało się sąsiedniego księcia poprostu dlatego, że kto sam nie wypędzał, tego wypędzał drugi. Nie było żadnej ściślejszej spójni pomiędzy Rusinami a ich zruszczonymi powierzchownie władcami; co gorsza, było najfatalniejsze przeciwieństwo interesów. Społeczeństwo dążyło przez bojarów do światła i swobody, do porządnej organizacyi państwowej, podczas gdy książęta dążyli tylko do tego, żeby sobie i potomkom waregskich drużyn zapewnić dostatki i panowanie na koszt Rusinów. Waregowie, to panowie, a Rusini, to ich zdobycz: w tem tkwiła cała istota rzeczy.

Społeczeństwo ruskie nie doprowadziło wprawdzie jeszcze do tego, żeby być narodem, ale sił żywotnych miało w sobie dużo, a objawiało je w sposób pozwalający rokować na przyszłość najpiękniejsze nadzieje. Otoczone od wschodu azyatycką dziczą ludów niearyjskich, Czudców, Chazarów, Pieczyngów, Połowców, dało sobie samo z nimi radę, bez niczyjej pomocy. Waregscy książęta, sprowadzeni głównie dla kierowania wojskową obroną od tych ludów, poparci przez Ruś, spełnili pod tym względem dobrze swe zadanie. Znaczna część tej dziczy rozpierzchła się w inne strony, pozostała reszta uległa i skończyły się łupieżcze najazdy. Chwałą Rusi pozostanie, że teraz rozpoczął się pokojowy, cywilizacyjny wpływ ruski na te ludy. Ruski kupiec zacząwszy tam handlować, osiedlał się coraz gęściej i już bez dobycia oręża narzucał tym Azyatom swój język, obyczaj i wiarę. Nastąpiło olbrzymie rozszerzenie ruskiego wpływu na wschód. Można śmiało powiedzieć, że przybywało Rusi drugie tyle Rusi, t. j. ruskości zaszcze-

pionej na obcym gruncie. Ruś Nowa różniła się oczywiście wielce od Rusi właściwej i stała od niej pod względem cywilizacyjnym znacznie niżej, skoro przeważał w niej liczebnie żywioł obcy jeszcze wszelkiej kulturze. Co na starej Rusi już się skończyło, to tam na nowej dopiero się zaczynało; co na zachodnich Rusi krańcach było już przestarzałe, to samo na krańcach wschodnich stanowić miało najnowszy postęp. Za ruskim kupcem podążył waregski książę. Rurykowiczom zawsze mało było książęcych dzielnic; korzystając przeto z pracy podwładnego sobie społeczeństwa posunęli się i oni na wschód. Jeden z młodszych synów Monomacha, Jerzy, zwany Dołhorukim, nie mogąc otrzymać dzielnicy na Rusi, ruszył daleko na północny wschód, do tych pierwszych ruskich kolonij i tam o nie się oparłszy, założył wśród czudzkich pokoleń nowe księstwo: Suzdalskie. Suzdal był daleko od ówczesnej Europy, jeszcze przeszło 20 mil na północny wschód za Moskwą. Było to w roku 1147.

W dziesięć lat później syn jego, Andrzej Bogolubski, posunął się do Włodzimierza nad Klazmą, rzeką poboczną Oki z lewego brzegu (Oka zaś do Wołgi wpada). Ten przyjął też tytuł Wielkiego księcia, a chcąc wywrzeć zemstę na starszych Rurykowiczach, którzy nie mieli wśród siebie miejsca dla jego ojca, ruszył r. 1169 na Kijów wraz z innymi dziesięciu książętami z za Dniepru, a zdobywszy starą Rusi stolicę, mścił się na niej, wydając ją przez trzy dni na igraszkę swych żołnierzy. Złupiony i podpalony Kijów nie podniósł się już nigdy do pierwotnej świetności. Jakaż mogła być w tem wszystkiem myśl polityczna? Nie byłaż to ciężka zbrodnia, dokonana na Rusi przez własnych jej książąt?

Upadek Kijowa wywarł wielki wpływ na dalsze losy Rusi. Tem raźniej teraz podnosiły się księstwa suzdalskie i coraz bardziej rosły w znaczenie i przygotowywała się w dorzeczu Wołgi polityczna przewaga nowej Rusi nad Rusią starą, wyższą tylekroć cywilizacyjnie.

Sąsiedztwo Polski i ożywione z nią stosunki torowały drogę wpływowi rzymskiego kościoła na Ruś. Nie wyzyskano tego należycie, ale przedostawały się bądźcobądź coraz bardziej zachodnie pojęcia o stosunku społeczeństwa do naczelnej władzy państwowej. W samem też społeczeństwie poczynało się budzić

życzliwe usposobienie dla Kościoła zachodniego i dążność, żeby wprowadzić na Rusi urządzenia na kształt polskich. Stara Ruś, a zwłaszcza Ruś halicka, czyli Czerwona Ruś, powstała z zajętych na Lachach grodów Czerwieńskich, stała na rozdrożu pomiędzy kulturą zachodnią a bizantyńską, podczas gdy na Rusi nowej, w Suzdalszczyznie, pozyskiwał bizantynizm nową, a potężną podporę. Wcześniej czy później musiało też nastąpić starcie się tych dwu różnych od siebie Rusi. Było zaś Polski interesem i obowiązkiem wesprzeć Ruś Starą, halicką i kijowską, a wpływem swym torować drogę zwycięztwu zachodniej kultury. Z tego względu ważną jest polityka Kazimierza Sprawiedliwego wobec sąsiednich ruskich księstw.

MADZIARZY NA RUSI.

W r. 1182 wprowadził Kazimierz zbrojną wyprawą własnego kandydata na księstwo brzeskie (Brześć), sąsiadujące z Mazowszem, a po śmierci tego księcia (którego imię nieznane), nadał tę dzielnicę swemu siostrzeńcowi, panującemu we Włodzimierzu wołyńskim księciu Romanowi, synowi Mścisława II. i córki Bolesława Krzywoustego, Agnieszki. Ten sam Roman został w r. 1188 księciem halickim, połączył więc w swem ręku trzy księstwa od Polskiej granicy. Niestety, osoba Romana nie nadawała się do spełnienia zadań, które owe czasy nakładały na ruskiego księcia. Z bojarami był w jak najgorszych stosunkach, odznaczając się bezwzględnością i okrucieństwem.

Rywal Romana, Włodzimierz Jarosławicz, zbiegł natenczas na Węgry, uznał zwierzchnictwo króla węgierskiego Beli III. i namówił go do wyprawy na Halicz. Uczynił to Bela i wypędził Romana z Halicza, ale go nie oddał wcale Włodzimierzowi, lecz wprowadził na halickie księstwo swego syna, królewicza Andrzeja. Wydarzenie to jest początkiem węgierskich wpływów na Ruś Czerwoną i początkiem długiego współubiegania się Polski i Węgier o tę ziemię. W historyi Rusi było to zdarzenie bardzo nieszczęsne. Madziarzy zaczęli gospodarować, jak w zdobytym kraju i uciskali ludność gorzej jeszcze od Romana. Najważniejszem jednak było to, że Madziarzy zaczęli prześladować Kościół ruski, nie wzdragali się nawet bezcześcić świątyń. Urzędowo nazywało się

to nawracaniem schyzmatyków na katolicyzm, a pod pokrywką religijną działy się najgorsze nadużycia. Ludność nie znała się na teologicznych różnicach swego wyznania od rzymskiego. Chętnie widziała, jak w sąsiedniej Polsce duchowieństwo jest dobroczyńcą kraju, jak samo stoi na czele ruchu o prawo, ale z tego nie wynikało wcale, żeby mieli woleć mszę łacińską od słowiańskiej i żeby mieli porzucać swój obrządek dlatego, że duchowieństwo ich, mniej od łacińskiego wykształcone, nie spełnia należycie swych obowiązków. W obrządku tym wzrastały już przez dwa wieki całe pokolenia; był on Rusinom drogi i całkiem słusznie. Rzym nie prześladował nigdy żadnego obrządku. W rzymskim Kościele wzrosło dzieło św. Cyryla i Metodego, mieściła się w nim słowiańska liturgia w Chorwacyi, a od całego wschodniego kościoła nie mógł Rzym wymagać niczego więcej, jak przywrócenia tego, co było przed r. 1054, przed schyzmą Cerularyusza, a więc uznania papieskiej zwierzchności bez względu na obrządek. Słowiańska Polska mogła to łatwo zrozumieć, ale nie zrozumieli tego Madziarzy. Chcieli usunąć schyzmę przez wytępienie słowiańskiego obrządku, i postępowali zupełnie tak samo, jak niegdyś Niemcy w państwie Wielkomorawskiem. W obec tego Rusini zaczęli nienawidzić obrządek łaciński. Tym razem madziarskie rządy nie trwały długo, ale miały się one wkrótce powtórzyć, a za każdym razem prześladowanie Cerkwi podburzało ludność do coraz większej nienawiści przeciw łacińskiemu obrządkowi, aż wywiązała się z tego nienawiść do katolicyzmu i papieskiego zwierzchnictwa. Dołączyły się do tego inne jeszcze potem przyczyny, początek jednak nieszczęsnej tej nienawiści odnieść należy do madziarskich rządów.

Zdradzony przez Madziarów Włodzimierz znalazł pomoc u cesarza Fryderyka Rudobrodego. Ten nie dostarczył mu wprawdzie niemieckich posiłków, ale polecił Kazimierzowi Sprawiedliwemu, żeby mu dopomógł w imieniu cesarskiem. Miało to być niejako dostarczeniem posiłków cesarzowi na jego ruską wyprawę! W ten sposób tanim kosztem pomagał cesarz Włodzimierzowi polskim żołnierzem, sam nic nie dając. Kazimierz wolał Włodzimierza, niż Madziarów, a miał przy tem dobrą wymówkę do opuszczenia sprawy Romana, na którym się zawiódł. Wojewoda

krakowski Mikołaj wypędził też w r. 1189 królewicza Andrzeja i osadził tam Włodzimierza, który uznał się polskim hołdownikiem. W ten sposób utrzymał Kazimierz polską przewagę nad Haliczem bez względu na osobę księcia. Włodzimierz ów był ostatnim z Rościsławiczów. Panował w Haliczu aż do swego zgonu w roku 1198.

ROZDZIAŁ III.

PRZESILENIE.

LESZEK BIAŁY, 1194–1227 r.

Kazimierz Sprawiedliwy zmarł dnia 5 maja 1194 r. Tron miał być po nim dziedziczny i możnowładztwo krakowskie pragnęło rzeczywiście zachować go dla siedmioletniego syna Kazimierzowego, Leszka, od jasnych włosów zwanego Białym. Odbyli więc i wyznaczyli rządy opiekuńcze, które sprawować miała matka Leszka, Helena, biskup Pełka i wojewoda Mikołaj. Dziedziczność tronu bardzo im była dogodna, gdy za nieletniego książęcia sami mieli sprawować władzę; czy byliby dotrzymali wiary Leszkowi, gdyby był już dojrzałym mężem? Z pewnością o tyle tylko, o ileby uszanował ich prawa i zapewnił im wpływ na sprawy państwa, o ileby nie chciał rządzić samowładnie. Rządy bowiem rzeczywiście przy możnowładztwie już były, nie przy księciu; książę musiał im ulegać, albo iść na wygnanie. Panowanie Leszka było zapewnione, dopóki nie znalazłby się inny książę, możnowładztwu powolny. Nie znalazł się i nie mieli wyboru. I tak jednak próbowali zmiany. Z Mieszkiem Starym raz wojowali, drugi raz się godzili; spróbowali na chwilę rządów jego syna, a i potem jeszcze raz Mieszka Kulawego z Raciborza. Wracali zawsze do Leszka, bo się przekonali, że jego władza najlżejsza.

Zaraz po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego ruszył Mieszko Stary na Kraków z pomocą Pomorzan i ślązkich książąt, Mieszka Kulawego i Jarosława opolskiego, ale bezskutecznie, bo pobity został nad rzeczką Mozgawą, cztery mile od Jędrzejowa, w roku 1195. Wojewodzie Mikołajowi przybył tam na pomoc Roman,

książę brzesko-włodzimierski. Po bezpotomnej śmierci Włodzimierza, dopomożono mu za to do zajęcia na nowo Halicza w roku 1199. Był to wielki błąd polityczny, bo Haliczanie błagali wtenczas, żeby ich przyłączyć do księstwa sandomierskiego, a nie narzucać im znienawidzonego Romana! Była sposobność odzyskania Czerwieńskich grodów, ale obawiano się wojny z Madziarami i książętami ruskimi. Do większych przedsięwzięć politycznych nie zdatną była Polska, w której nawet nie wiadomo było, kto jest naprawdę Wielkim księciem, bo jednocześnie Mieszko Stary znowu ruszał na Kraków.

W tymże roku Helena dobrowolnie ustąpiła Krakowa Mieszkowi Staremu, żeby zażegnać grożącą wojnę domową. Mieszko był już naprawdę stary, liczył lat 73, a Leszek 13. Skoro przyrzekł mianować Leszka swym następcą, nie było się tak dalece o co spierać. Rządy Mieszka dały się jednak wnet we znaki poddanym. W r. 1201 przywołano znowu Leszka, ale znowu nastąpiła nowa ugoda i Mieszko po raz czwarty zasiadł na krakowskim zamku, lecz już na bardzo krótko, bo umarł dnia 13 marca 1202 roku, w 76 roku życia. Pochowany w Kaliszu, w wystawionym przez siebie kościele św. Pawła.

Skutkiem nieporozumień pomiędzy wojewodą krakowskim Mikołajem, a sandomierskim Goworkiem, panował w Krakowie przez kilka miesięcy Władysław Laskonogi, jedyny z synów Mieszka Starego, który przeżył ojca. Tegoż samego jeszcze roku, 1202, musiał ustąpić przed naporem możnowładztwa małopolskiego, a Leszek Biały opanował Kraków na stałe. Ażeby sobie tem pewniej zjednać poparcie Kościoła, wznowił dawny akt Mieszka I. i zapisał swe państwo św. Piotrowi, t. j. uznał na dsobą zwierzchność papieską. Panowanie Leszka nie było już tak rozległe, jak Kazimierza Sprawiedliwego. Nie sam był do dziedzictwa, miał młodszego o rok brata Konrada, któremu wydzielił Mazowsze i Kujawy.

Bracia Leszek i Konrad dzielili między siebie dwa najważniejsze polityczne zadania ówczesnej Polski; Konradowi wypadło wojować z Prusakami, Leszkowi strzedz polskiego wpływu na ościenne księstwa ruskie, zwłaszcza na Grody Czerwieńskie, dawną polską ziemię, na której odzyskanie nie starczyło już sił. Doniosłą też była sprawa pomorska. Tam synowie Mszczuja i Zwinisławy ogłosili się książętami: Świętopełk I. i Sambor, który nazwał się

II-gim, jakkolwiek stryj jego, tegoż imienia, księciem wcale jeszcze nie był. Ale na Pomorzu gdańskiem to przynajmniej już było zabezpieczone, że nie wpadnie ono w ręce niemieckie lub duńskie. Chrześcijaństwo już się też tam utrwaliło i nie groziło stamtąd niebezpieczeństwo, jak od Prusaków; ci bowiem popaliliby kościoły i zamieniliby cały kraj w zgliszcza i ruinę, gdyby się nie pilnować od ich granicy. Do trudnych tych zadań, wymagających ciągłego pogotowia wojennego, nie mieli Leszek i Konrad żadnej pomocy ani z Wielkopolski, ani ze Ślązka; książęta tamtejsi zajęci swarami między sobą i ciągłem wzajemnem wypędzaniem się, utracili wszelki zmysł polityczny.

Nie zdołał Leszek Biały utrzymać polskiego wpływu na Rusi, ani też Konrad mazowiecki nie podołał swemu obowiązkowi względem pruskiego sąsiedztwa. Nastały dla Polski bardzo przykre czasy.

KRÓLESTWO HALICKIE.

Na Rusi rozszerzał swe panowanie Roman, osadzony z polską pomocą w Haliczu, panujący zarazem w Włodzimierzu i w Brześciu. Wkrótce rządy jego miały sięgnąć daleko. Znienawidzony przez poddanych, miał jednak nadzwyczajne powodzenie na wojnie. Nietylko Kijów zdobył, ale ruszył na Ruś Nową i pokonał władcę Włodzimierza i Klazmy; nad wszystkimi Rurykowiczami zaciężyło jego ramię i nazywał się dumnie samodzierżcą całej Rusi. Z bojarami pozostawał ciągle w stosunkach jak najgorszych; wypędzał ich i skazywał na śmierć. Walka o prawo zaczynała już iść na ostre; trudno było wszystkim pościnać głowy. Nie znamy szczegółów tego, tak doniosłego dla historyi powszechnej, ustępu z dziejów Rusi, ale musiało zajść coś, co Romana ugięło. Niespodziewanie nastaje zwrot ku Rzymowi, nawiązują się blizkie stosunki z papieżem Innocentym III., i Roman zostaje „królem“. Tytuł to zachodni, nie znany zupełnie kulturze wschodniej, a na Zachodzie tylko tego tak tytułowano, komu papież przyznał koronę. Widocznie tedy Roman uznał zwierzchność kościelną Innocentego III. Mamy dowody, że był czas, w którym nie czuł bynajmniej wstrętu do rzymskiego Kościoła, a nawet go popierał. Na daleki klasztor benedyktyński w Erfurcie, w Niemczech, łożył 30 grzywien, co zapisano w zapiskach tego klasztoru z wyraźną

wzmianką, że pochodzą z daru Romana, „króla Rusi“. Nie działał jednak szczerze, ale pod wpływem jakiegoś nieznanego chwilowego nacisku okoliczności. Odrzucił też potem wpływy zachodnie, odrzucił godność królewską, wyparł się papieża i zwrócił się przeciwko Polsce. Leszek i Konrad złączyli natenczas swe zbrojne drużyny i oddali je pod dowództwo mazowieckiego, a więc Konradowego, wojewody Krystyna. W bitwie pod Zawichostem, przy ujściu Sanu do Wisły, zwyciężył w roku 1205 Krystyn, a Roman poległ w walce. Ruś Czerwona stała się na nowo polem zapasów dla gromady książąt i książątek; ale już bojarowie okazywali swą wolę. W roku 1211 powiesili trzech naraz książąt Igorowiczów, a w końcu postanowili zerwać zupełnie z Rurykowiczami i wynieśli na tron halicki jednego z pośród siebie, Władysława Kormiliczyca (imię chrzestne zachodnie)! Na ustalenie jednak narodowej dynastyi było już za późno.

Arpadowie węgierscy już od r. 1188 mieli baczenie na Ruś Czerwoną. Królewicz Andrzej, który wówczas krótko w Haliczu panował, zostawszy królem, mięszał się ciągle w ruskie sprawy. Zrozumiał doniosłość ustanowienia przez papieża królestwa, podjął ten tytuł i po śmierci Romana przywłaszczył go sobie. Odtąd tytułują się wszyscy węgierscy królowie także królami: „Halicza i Włodzimierza“, czyli z łacińska: „Galicyi i Lodomeryi“. Przyjęcie tego tytułu było groźne dla interesów polskich. Leszek próbował osadzić w Haliczu swego kandydata, Daniela, syna Romanowego; nie udało się to jednak. Narodowego ruskiego kandydata, Władysława Kormiliczyca, nie poparto z Polski. Zawarł natomiast Leszek Biały umowę z Andrzejem II., która nie była niczem innem, jak tylko honorowym odwrotem Polski z Rusi. Ułożono małżeństwo dzieci: Trzechletnia Salomea Leszkówna wychodziła za mąż za 5-letniego królewicza węgierskiego Kolomana; ukoronowano tę parę dzieci i uroczyście osadzono na halickim tronie w r. 1214. Obiecano Leszkowi odczepnego dwa grody: Przemyśl i Lubaczów, ale umowy nie dotrzymano.

Madziarzy nie mieli najmniejszego prawa do ustanowionego przez Innocentego III. królestwa. Ażeby nie wywołać papieskiego protestu, przedstawiali siebie, jako obrońców katolicyzmu na schyzmatyckiej Rusi! Rozpoczęli na nowo polityczne „nawracanie“. Rusini chcieli się ich pozbyć i przywołali na pomoc księcia nowo-

grodzkiego, Mścisława Udałego; ten walczył przez lat kilka, ale w końcu wycofał się w sposób zupełnie taki sam, jak przedtem Leszek Biały: wydał swoją córkę za brata Kolomana, Andrzeja i tej nowej parze oddał Halicz w r. 1227. Syn jednak Romana, Daniel, miał jeszcze powrócić na tron halicki, i legat papieski miał go koronować na króla Rusi.

Podobnie jak Ruś, miały też przepaść dla Polski i Prusy, shołdowane chwilowo przez Kazimierza Sprawiedliwego i to jeszcze w taki sposób, że przez własną nieoględność wydano je na łup najgorszego wroga polskości, bo na łup Niemców! Wojenne najazdy z królestwa niemieckiego skończyły się za Bolesława Kędzierzawego, ale zaczęły się one wkrótce na nowo, tylko że z innej strony, od bałtyckiego morza! Ale przedtem jeszcze rozpoczął się innego rodzaju zalew niemiecki, nie najazd orężny, lecz pokojowe osadnictwo, dobrowolne oddawanie polskiej ziemi w niemieckie ręce przez własnych książąt, a mianowicie przez śląskich Piastów. Wydarzenie to tak doniosłe w naszych dziejach, że trzeba mu poświęcić więcej uwagi, tem bardziej, że bez bliższych wyjaśnień w tej sprawie niezrozumiałe byłoby niejedno w dalszem opowiadaniu.

NIEMCY NA ŚLĄZKU.

Bolesław Wysoki, książę wrocławski, miał dwie żony, pierwszą Rusinkę, a drugą Niemkę. Z pięciu synów dwóch tylko doczekało się dojrzałego wieku, najstarszy Jarosław i najmłodszy Henryk, który, wychowany przeważnie przez matkę, był zupełnie zniemczony. Obydwaj przyrodni bracia nienawidzili się i wzajemnie zwalczali. Jarosław przeciwny był niemieckiemu kierunkowi panującemu wszechwładnie na dworze macochy, która przewodziła już zupełnie nad ojcem. Sam też Bolesław Wysoki wielkim był Niemców przyjacielem i niema się czemu dziwić; wszak tylko dzięki niemieckiej pomocy odzyskał Ślązk, jako spadek po ojcu, młodość zaś całą spędził na niemieckim dworze i na wojnach prowadzonych przez Niemców. Nie lubiano więc Jarosława i przeznaczono go do stanu duchownego. Pod tym tylko warunkiem wyznaczał mu ojciec Opole w dożywocie, jako osobne księstwo. Jarosław przyjął święcenia i został w r. 1198 biskupem wrocławskim, na czem biskupstwo to wyszło najlepiej. Opole samo wróciło wprawdzie po jego śmierci do księstwa wrocławskiego, ale Jarosław jeszcze

za życia swego wydzielił z niego duże posiadłości i podarował je biskupstwu. Powstało z tej darowizny duchowne księstwo Nyskie i odtąd każdy biskup wrocławski był zarazem księciem świeckim.

Bolesław Wysoki umarł z końcem roku 1201, pozostawiwszy wrocławskie księstwo zniemczonemu Henrykowi, zwanemu Brodatym. Jegoto małżonką była św. Jadwiga, księżniczka niemiecka, ksieni Cystersek w Trzebnicy, kanonizowana w 26 lat po swej śmierci. I w jego pokoleniu zaznaczyło się ponownie przeciwieństwo polskiego i niemieckiego żywiołu. Miał dwóch synów: wielbiciela Niemców Henryka i przyjaciela polskości, Konrada, który poszedł za przykładem stryja Jarosława. Każdy z nich myślał o innych urządzeniach w przyszłości, każdy też miał swoich stronników, a tak zaciekłą była ich nienawiść, że pod bokiem ojca wszczęli nawet wojnę domową z sobą w r. 1213. Niestety, w bitwie pod Studnicą Henryk zwyciężył Konrada, a wkrótce potem miał Konrad śmiertelną przygodę, gdy spadł na łowach tak nieszczęśliwie z konia, że życie utracił od tego upadku.

Była już wtenczas na Ślązku ludność niemiecka. Ślązk ze wszystkich ziem polskich narażony był najbardziej na wojny, a przez to najbardziej wyludniony i najgorzej zagospodarowany. Wszystkie, a tak liczne wojny niemieckie i czeskie opierały się najbardziej i najpierwej o Ślązk. Bolesław Wysoki, chcąc powiększyć dochody ze swego księstwa, jął się prowadzić gospodarstwo rolne na ziemi książęcej, a tej było sporo na Ślązku średnim i dolnym, bo w kraju słabo zaludnionym nie brakło ziemi przez nikogo jeszcze niezajętej, lub też opuszczonej, gdy właściciele jej wyginęli w bojach, a taką ziemię uważano za własność książęcą. Dochody z danin niewiele dawały książęciu dochodu, skoro poddanych miał stosunkowo niewielu i do tego ubogich, po większej części nie rolników. Możnowładcy ślązcy bogatsi byli od swego władcy. Postanowił więc Bolesław Wysoki zakładać sam osady rolnicze i nadawał też ziemię swym rycerzom pod warunkiem, że również osadnika, znającego się na rolnictwie, do swych dóbr sprowadzą. Trudno było sprowadzić osadników z innych stron Polski. Rewolucya po śmierci Mieszka II. i straszny najazd Brzetysława, wyludniły Małopolskę i część Wielkopolski, a choć minęło od tego czasu już 150 lat, przeludnienia jednak wcale tam nie było i o ziemię nie było trudno. Nie było przeludnienia ani w Czechach, ani w Niem-

czech i nikt nie potrzebował opuszczać kraju dla braku ziemi. Emigrowano jednakże z Niemiec dla wielkiego ucisku, jakiego tam doznawała ludność rolnicza własnemi rękoma pracująca około ziemi.

PAŃSZCZYZNA W NIEMCZECH.

W Niemczech wybujało zanadto rycerstwo; stan żołnierski był wszystkiem, a inni wobec niego nic nie znaczyli. Rycerze dawali się ciężko we znaki reszcie ludności, a znaczna jego część posuwała się wręcz do jawnej grabieży. Powstali t. z. Raubritter, tj. rycerze rabusie, którzy naprawdę zbójectwem się trudnili i z rabunku się utrzymywali. Taki rycerz, wystawiwszy sobie obwarowany gródek, napadał na okoliczną ludność, na przejeżdżających kupców, a na gospodarzy w sąsiedztwie nakładał istne haracze i żył sobie wygodnie ich kosztem. Sami oni nie pracowali zgoła, miecz i pług nie łączył się w Niemczech w jednem ręku, żołnierz gardził rolniczemi zajęciami i sam gospodarstwem się nie trudnił. Ziemi posiadali sporo, a niosła ona im owoce bez trudu. Oto korzystając ze swej zbrojnej przewagi, kazali innym na siebie pracować. Polski żołnierz kupował od żyda niewolnika cudzoziemca, a niemiecki obracał w niewolnika swoich rodaków sąsiadów, wiodących żywot pokojowy. Szczególna ta przewaga żołnierza nad rolnikiem rozpoczęła się była w Niemczech już dawno, bo społeczeństwa germańskie miały zupełnie inną organizacyę, niż nasza. U nich był t. z. feudalizm, polegający na tem, że każdy, prócz samego monarchy, był poddany komuś wyższemu od siebie i sam był zwierzchnikiem pewnego grona osób niższych od siebie. Całe społeczeństwo dzieliło się więc na panów i panków przeróżnych stopni. Powstała jakby drabina społeczna, na której szczycie stał król, książęta, margrabiowie, po nich wielmożowie i różnych stopni rycerze, a na spodzie ci, którzy niczyjemi już nie mogli być zwierzchnikami i zwali się Bauer tj. chłopi. Pomiędzy chłopem a tronem mogło być i kilkunastu nawet zwierzchników pośrednich, jeden nad drugim. Feudalizm był z początku bardzo rozumnem urządzeniem i potrzebny był rzeczywiście dla porządku, a miał na celu obronę słabego. Tak rzeczywiście było z początku. Ale u Niemców najpiękniejsze idee szły jakoś na marne i wyradzały się zawsze. Cesarstwo rzymskie wyrodziło się w zaborczość niemieckiego królestwa i w zbrodnicze tępienie Słowian, a feudalizm skończył się

na tem, że chłop stał się niewolnikiem we własnym kraju. Rycerstwo nałożyło na nich osobny rodzaj niewoli, t. z. Leibeigenschaft, co było stosunkiem pańszczyźnianym chłopa do pana. Warunki były rozmaite. W XII-tym wieku, za czasów Bolesława Wysokiego, musieli pracować dla rycerza po 4 i 5 dni w tygodniu. Potem poprawiła się ich dola pod wpływem zakonu tercyarskiego w. Franciszka, który wielce się zajmował sprawami społecznemi. Na twardej niemieckiej opoce zdziałano choć tyle, że w połowie XIII. wieku pańszczyzna wynosiła przeważnie po 3 dni w tygodniu, a w wielu miejscach mniej. Ale ruszyć się chłopu ze wsi nie było wolno. Rycerze-rabusie i pańszczyzna, oto dwie przyczyny niemieckiej emigracyi, chociaż Niemcy nie były wcale przeludnione! Kto tylko mógł, uciekał ze swego kraju przed uciskiem i gnębieniem, gdy się rozeszła wieść, że książę wrocławski przyjmie ich i da ziemię bez pańszczyzny, wymagając tylko czynszu dzierżawnego.

WSIE CZYNSZOWE.

Po raz pierwszy spotykamy wzmianki o niemieckich osadnikach na Ślązku w r. 1175. Bolesław Wysoki nadawał grunta niemieckim rycerzom, którzy się garnęli do jego dworu i mamy z tego roku wiadomość o posiadłościach jakiegoś hrabiego Bezelina. W tymże roku sprowadził Cystersów z niemieckiego klasztoru w Pforte nad Salą (dopływem Łaby z lewego brzegu) i nadał im Lubiąż, upoważniając zarazem do sprowadzenia osadników z Niemiec, których uwolnił z góry od ciężarów prawa polskiego, to znaczy od obowiązków względem władzy książęcej. Nadał klasztorowi immunit, osadnicy mieli podlegać bezpośrednio zwierzchności opata, a klasztor sam miał oznaczyć warunki, pod któremi zamierzał wydzierżawić ziemię przybyszom. Za następcy jego, Henryka Brodatego, było na Ślązku sześć klasztorów, które otrzymały około 8.000 łanów. Sam zaś książę zaprowadzał na wielką skalę kolonizacyę tj. osadnictwo w swych dobrach, zwłaszcza w okolicy Środy i Oławy. Za przykładem Henryka szedł brat jego stryjeczny, Kazimierz Opolski, umieszczając niemieckich chłopów pod Opolem i Raciborzem. To samo czynił też biskup wrocławski. Od dzierżawców swych pobierali czynsze, a za to zwalniali ich od wszelkich innych obowiązków. Podatki uiszczane

przez polską ludność w naturze, płacili Niemcy tylko gotówką, a sposób ten okazał się praktyczniejszy i wygodniejszy dla stron obydwóch.

Warunki ofiarowane przez Henryka Brodatego niemieckim rolnikom były tak świetne, że powstał w Niemczech nowy zawód przedsiębiorców emigracyjnych, którzy niedługo potem rozwinęli działalność na wielką skalę i mieli do rozporządzenia całe tłumy emigrantów. Przedsiębiorca taki zgłaszał się do księcia i zawierał formalną umowę, że sprowadzi osadników, a w zamian za to zastrzegał sobie i swym potomkom znaczne korzyści. Robili majątki na tym interesie. Utarło się następnie, że przedsiębiorca taki dostawał szóstą część wszystkich gruntów nowej osady na dziedziczną własność, monopol na karczmy i młyny, to znaczy, że tylko jemu i jego dziedzicom wolno było w osadzie szynkować i mleć, tudzież otrzymywał prawo pobierania części kar sądowych. Nowa osada rolnicza, a zatem wieś, otrzymywała zupełny samorząd; niemieccy osadnicy mieli zupełną wolność rządzić się swojem prawem niemieckiem. Sami się też sądzili i w każdej wsi był sąd złożony z ławników. Naczelnikiem zaś wsi, przewodniczącym ławników i głównym sędzią był sołtys. Dlatego też miał on pewne dochody z opłat sądowych, których resztę oddawano skarbowi książęcemu, na znak uznania najwyższej jego sędziowskiej władzy i państwowej zwierzchności. Sołtysem zostawał zawsze sam przedsiębiorca emigracyjny i to dziedzicznie. Sołtys obowiązany był wyruszać na wojnę konno, osobiście, lub też dać zastępcę.

Przybysze niemieccy musieli się organizować zupełnie inaczej, niż zorganizowaną była ludność polska. Nie mogło być mowy o ustroju rodowym dla tej przyczyny, że nie całe rody się przesiedlały, ale osoby pochodzące z najrozmaitszych rodów, zupełnie sobie obce, związane tylko wspólnością nadziei, że sobie poprawią dolę. Emigranci nie mogą się organizować inaczej, jak tylko na podstawie prostego sąsiedztwa i tak też czynili niemieccy przybysze. Przedęisbiorcy emigracyjnemu wyznaczano ujazd dla zwerbowanych przez niego osadników, a wszyscy sąsiadujący z sobą w tym ujeździe tworzyli jedną całość pod swoim sołtysem i zwali to *Gemeinde*, z czego powstał polski wyraz: gmina. Polskiego gospodarza pytano: jakiego rodu? a niemieckiego czynszownika: z jakiej gminy?

Skoro własność ziemska stawała się w Polsce coraz bardziej osobistą, skoro w XII. wieku już przeważała, skoro coraz chętniej wyzwalano się z rodowej wspólnoty majątkowej, widocznie policzone już były jej czasy; z końcem XII. wieku należała już do wyjątków. Własność osobista stawała się jakby ruchomą; wolno ją było sprzedawać i przekazywać komukolwiek. W dalszym ciągu musiało dojść do tego, że coraz częściej znajdowaliby się w ujeździe dziedzice ze sobą nie spokrewnieni, a przez to ujazd straciłby cechę rodową. Tylko przez zmiany posiadaczy źrebów, przez przechodzenie ich w obce ręce, mógł się ujazd zamienić na gminę, która tem właśnie od ujazdu się różni, że nie dba o pokrewieństwo. Do tego bylibyśmy doszli i bez niemieckiego osadnictwa, ale zwolna i później, boć ziemia nie przechodzi tak często z rąk do rąk. Ludność niemiecka przyniosła tę zmianę z sobą już gotową, a przez to wpłynęła na przyspieszenie tych następnych zmian, które zaczęły się odbywać aż zanadto szybko.

PRAWO MAGDEBURSKIE.

W Niemczech zakwitnął handel wcześniej niż w Polsce, a to przez stosunki z Włochami i sąsiedztwo z krajami tak bogatymi, jak Flandrya, Burgundya, Francya. Podczas gdy u nas kupiec bywał tylko wędrownym „gościem“, tam dawno już rodzima ludność jęła się handlu, a osady takie pozamieniały się w miasta. Jak tyle innych urządzeń cywilizacyjnych, podobnież i ustrój miejski pochodzi od starożytnych Rzymian. U nich cała organizacya państwowa wyrosła z urządzeń miejskich i do samego końca na nich się opierała. Urządzenia te poprzenosili Rzymianie do podbitych krajów, bo gdzie tylko liczniej się osiedlili, zaraz organizowali się w miasto. Każdy Rzymianin musiał być obywatelem jakiegoś miasta, a ci tylko mieli pełne prawa polityczne, którzy mieli prawo obywatelstwa w samym Rzymie, chociażby mieszkali o setki mil od stolicy. W Anglii, w Hiszpanii, we Francyi było sporo miast rzymskich i tak organizacya miejska udzieliła się tamtejszym ludom, a potem przeszła do Franków, przez państwo zaś frankońskie do Niemiec. Miejscy obywatele wytworzyli z czasem osobny stan, osobną warstwę społeczną: mieszczańską, utrzymującą się z przemysłu, handlu i rękodzieł. W Niemczech poczęło się podnosić znaczenie mieszczan właśnie w drugiej połowie XII. wieku; mu-

sieli oni stoczyć niejedną jeszcze walkę z rycerstwem i to walkę krwawą, nie brak było wojen domowych o wolność stanu miejskiego, ale ostatecznie nietylko utrzymali się przy swojem i nie dali się rycerzom obrócić w niewolników, ale nawet tak wzrośli i taką pozyskali potęgę, że nietylko o rycerzy, ale nawet o książąt potem nie dbali. Do najpierwszych opiekunów miejskiego stanu należał już w XI. wieku arcybiskup magdeburski Wichman, który uznał prawa swych podwładnych i w porozumieniu z nimi wydał w r. 1088 najstarszą w Niemczech ustawę miejską. Od tego też prawo miejskie zwano powszechnie *magdeburskiem prawem*. Prawo to poręczało bezpieczeństwo ruchu handlowego, t. z. „mir“, bezpieczeństwo dróg publicznych, zapewniało mieszczanom samorząd i określało ściśle obowiązki ich względem państwa, tak, ażeby zwierzchnik miasta (opat, biskup, książę czy sam król) nie mógł od nich żądać niczego więcej ponad to, co prawem było przepisane.

Henryk Brodaty kazał sobie przepisać ustawy magdeburskie i nadał w r. 1211 to samo prawo targowej osadzie Złotoryi, gdzie z powodu kopalń złota więcej było ludności, duży ruch i znaczniejszy obrót gotówki. Złotorya jest więc pierwszem w Polsce miastem, osadzonem na „prawie magdeburskiem“. I ta nowość okazała się nader praktyczną. Chcąc powiększyć swe dochody i zwiększyć obroty handlowe w swem księstwie, gotów był Henryk Brodaty zakładać nawet nowe miasta dla Niemców. I nie zabrakło z Niemiec ochotników, bo książę wabił dogodnymi warunkami. Powstały w ten sposób Löwenberg i Naumburg, a z polskich osad otrzymały magdeburskie prawo Krosno na Ślązku i Środa, t. j. zostały zamienione na miasta na wzór niemieckich. Ustawa dla tych nowych osad miejskich pochodziła wprawdzie już nie z Magdeburga, lecz z Halle, gdzie wprowadzono pewne ulepszenia; potem z różnych innych miast czerpano wzory, ale u nas utarło się nazywać miejskie prawo wogóle magdeburskiem. Wkrótce zresztą potem i sam Magdeburg zreformował swą ustawę, a sądownictwo miejskie tak się tam wykształciło, że rzeczywiście wszystkim innym miastom służyło za wzór.

Dzięki tym nowym „gminom“ wiejskim i miejskim zaczął się napełniać skarbiec księcia wrocławskiego. Po pewnym czasie był wrocławski najbogatszym ze wszystkich książąt polskich. Szkoda

tylko, że książę przejęty był przytem niemieckiemi upodobaniami i że inną miarką mierzył swych niemieckich poddanych, a inną polskich. Żeby tylko powiększyć jak najbardziej ludność księstwa wrocławskiego, wymagał od przybyszów jak najmniej, a nie czynił równocześnie żadnych ulg dla ludności polskiej, prawym dziedzicom tej ziemi, którzy bronili jej z dziada pradziada własną krwią. Stare polskie rody nie cieszyły się książęcą opieką. Polski rolnik musiał się starać o utrzymanie książęcych grodów, musiał dawać księciu swą pracę i brać na swe barki wszystkie ciężary państwa; podczas gdy kolonista niemiecki używał wszystkich dobrodziejstw porządku państwowego, ale po większej części na rachunek ludności polskiej, sam uwolniony od tych ciężarów. Wychodziło na to, że Polacy musieli się opłacać za Niemców, nastarczyć księciu za siebie i za tamtych. Prostym skutkiem tego było coraz większe ubożenie ludności polskiej, przez co musiała i pod innymi względami cofać się i schodzić stopniowo na warstwę podrzędną w obec coraz majętniejszych przybyszów. Ta krzywda ekonomiczna stanowiła germanizacyę i dlatego można powiedzieć o Henryku Brodatym, że germanizował Ślązk z całych sił.

WOJNA WIELKOPOLSKA.

Nie spostrzeżono się wówczas, jakie szkody może wyrządzić sprowadzanie obcego żywiołu na polską ziemię. Przykład Henryka Brodatego miał coraz więcej naśladowców. Wnuk Mieszka Starego, Władysław Plwacz, syn Odona, nadał w roku 1225 klasztorowi lubiąskiemu ogromny obszar w puszczy nakielskiej, od granicy pomorskiej, na niemieckie osadnictwo i potem przydał im jeszcze dwa razy po trzy tysiące łanów. Nawet wojewoda krakowski, Teodor, osadzał Niemców w r. 1233 nad Dunajcem, żeby mieć dochód ze swych posiadłości. A działo się to, kiedy równocześnie sadowili się Niemcy nad Bałtykiem. Nie myślano o następstwach, nie dopilnowano się, bo cała Polska zajęta była czem innem: a mianowicie ostatnim bojem walki o prawo, o złamanie absolutnej władzy książęcej kościelnym immunitem. Zaczęła się ta walka w Krakowie w roku 1079, a zakończyła się na północy, w Wielkopolsce. Ofiarą jej padł tam syn Mieszka Starego, Wła-

dysław Laskonogi, który utracił księstwo i Leszek Biały, który stracił życie w tej zawierusze.

Władysław Laskonogi, władca Gniezna i Poznania, nie chciał stosować w swem księstwie uchwał łęczyckiego synodu. Byli od tego czasu dwukrotnie w Polsce papiescy legaci, w roku 1189 i 1197, organizując coraz ściślej Kościół polski, ale na Wielkopolskich książąt, Mieszka Starego i Władysława Laskonogiego, nie wywarło to wpływu. Immunit kościelny nic u nich nie znaczył, aż ciągłe zatargi skończyły się na tem, że w r. 1206 arcybiskup Henryk Kietlicz rzucił klątwę na Laskonogiego. Książę wygnał go za to z kraju. Arcybiskup jedzie do Rzymu, i tam przejmuje się na dworze papieża Innocentego III. jeszcze gorliwiej zasadą nie tylko niezawisłości Kościoła, ale wprost pierwszeństwa władzy kościelnej przed świecką. Wraca z Rzymu z postanowieniem dalszego wprowadzania prawa kanonicznego. Biskupów mianowali dotychczas książęta. W r. 1208, po śmierci krakowskiego biskupa, stało się po raz pierwszy według przepisów kanonicznych, a mianowicie kapituła sama obrała mistrza Wincentego (Kadłubka) owego zwolennika i znawcę kanonicznego prawa, którego wywyższył był Kazimierz Sprawiedliwy. Arcybiskup Kietlicz wracał z Rzymu z programem, który obejmował wzmocnienie karności między duchowieństwem, dopilnowanie celibatu, nieograniczoną władzę Kościoła nad swemi dobrami, uwolnienie ich od wszelkich świadczeń na rzecz państwa, (chyba, żeby dobrowolnie) i dowolne rozrządzanie biskupstwami i w ogóle stanowiskami duchownemi. Wybór biskupa w Krakowie świadczył, że metropolita polski umiał też dopilnować wypełnienia swego programu.

Władysław Laskonogi apelował od klątwy arcybiskupiej do papieża. Innocenty III. poruczył rozpatrzeć całą sprawę byłemu biskupowi halbersztadzkiemu w Niemczech, Konradowi, naonczas mnichowi w klasztorze Sychem w Turyngii i opatowi tegoż klasztoru. Proces się przewlekał, a sędziowie dali się zmylić drobnemi ustępstwami. Tymczasem zebrała się przeciw Laskonogiemu liga t. j. związek książąt piastowskich. Książę bowiem poznański wiódł ustawicznie wojnę z synowcem panującym w Kaliszu, synem starszego brata Odona, Władysławem Odoniczem, zwanym Plwaczem. Ten wnuk Mieszka Starego nie podzielał już przestarzałych zapatrywań stryja, lecz przeciwnie, stał gorliwie po stronie ducho-

wieństwa. W obronie księcia kaliskiego stanęli Leszek Biały i Konrad Mazowiecki. Z tej wielkopolskiej zwady wywiązała się chwilowo walka o tron krakowski. Ślązka linia spróbowała szczęścia, czyby się jej nie udało w tym zamęcie odzyskać Krakowa i rzeczywiście w sierpniu 1210 r. zajął Kraków Mieszko Kulawy, ks. raciborski. Rządził jednak na Wawelu ledwie kilka miesięcy, gdyż zmarł już 16 maja 1211 r., poczem Leszek wrócił do Krakowa bez przeszkody. Na początku tej walki wyjechał Kietlicz powtórnie do Rzymu; wróciwszy otrzymał od Leszka Białego, Konrada Mazowieckiego i Władysława Odonicza przywilej, t. j. opisanie prawa na piśmie [1]), że żaden z nich nie będzie zabierał majątku pozostałego po zmarłym biskupie. W r. 1214 został Kietlicz legatem papieskim na Polskę, a następnego roku wybrał się do Rzymu po raz trzeci i brał tam udział w soborze powszechnym. Laskonogi nie uległ wprawdzie sojuszowi książąt, ale tymczasem otrzymał Kościół rozległe przywileje od tych książąt, z którymi się zjednoczył. Są to trzy przywileje z lat 1210, 1215 i 1217, które stanowią podstawę swobód Kościoła w Polsce. Sam Laskonogi nie ustąpił wprawdzie i nie zrzekł się nieograniczonej władzy książęcej wobec Kościoła; ale przywileje innych książąt już rozstrzygnęły, jakim torem będzie się dalej rozwijać w Polsce stosunek wzajemny państwa i Kościoła. Zasady synodu łęczyckiego zyskiwały coraz więcej uznania.

Walka stryja z synowcem w Wielkopolsce przybrała niebawem inny obrót, gdy Władysław Laskonogi ustanowił swym dziedzicem Leszka Białego, byle mu pomógł przeciw Odoniczowi, którego uroczyście wydziedziczał. Stanął też po stronie Laskonogiego Henryk Brodaty, który panował nad księstwem wrocławskiem, objął Opole po śmierci brata, biskupa Jarosława i Głogów po bezpotomnem zejściu stryja Konrada. Henryk Brodaty był ambitny, a zamiar Mieszka Raciborskiego, żeby przywrócić najstarszej linii Wielkie Księstwo, znalazł w nim niezmordowanego wykonawcę. Uważał na każdą sposobność zdatną do wzmożenia

[1]) Każdy dokument, zawierający określenie jakiegoś prawa, nazywano przywilejem. Wszystkie więc prawa w dokumentach opisane, były „przywilejami“, ale wyraz ten nie znaczył wówczas bynajmniej, że się nadaje prawa jednemu z krzywdą drugiego. Później się wyjaśni, w jaki sposób wyraz ten nabrał odmiennego znaczenia.

swej potęgi i do sporów książęcych w Wielkopolsce mięszał się chętnie. Wzbogacony już wielce, wzmógł swe znaczenie tak, że oczy całej Polski były na niego zwrócone. Energiczny osobiście i dzielny, zaćmiewał Wielkiego kięcia Leszka Białego, który często potrzebował jego pomocy. Najpierw był książę wrocławski po stronie Odonicza i pomógł mu zdobyć Kalisz. Gdy jednak Laskonogi wygnał następnie synowca, Henryk nie chciał już powtórnie mu pomagać i zmieniwszy politykę, związał się z tamtym. Natenczas Odonicz zwrócił się o pomoc do Świętopełka pomorskiego, (syna Mszczuja), żeniąc się zarazem z jego córką Jadwigą. Świętopełk wyprawił się do Wielkopolski i zdobył nawet sam Poznań. Leszek Biały, jako zwierzchnik Pomorza, wyruszył przeciw niemu i Odoniczowi, a Henryk Brodaty przywiódł posiłki osobiście. Gdy wkroczyli do Wielkopolski, Odonicz udał się w pokorę i prosił tylko o sąd polubowny, któryby rozstrzygnął spory i doprowadził do zgody ze stryjem. Ażeby się o to dokładniej umówić, zjechali się książęta w Gąsawie, na północny wschód od Gniezna. Tutaj napadł ich zdradziecko Świętopełk. Henryk Brodaty, ranny, ledwie się zdołał ocalić, Leszka zaś dopadli siepacze w pobliskiej wsi Marcinkowie i zabili. Działo się dnia 23 listopada r. 1227. Laskonogi wygnany z Wielkopolski umarł po czterech latach w gościnie na Ślązku, Odonicz zajął całą Wielkopolskę, a Świętopełk nie troszczył się już odtąd do reszty o krakowskie zwierzchnictwo. Immunit kościelny zwyciężył w całej Polsce. Jedna sprawa doniosła dla społeczeństwa była załatwiona. Nareszcie można się było spodziewać, że nastanie w całej Polsce ten pokój wewnętrzny, który nastał był w małopolskich dzielnicach, gdy Kazimierz Sprawiedliwy przyjął uchwały łęczyckiego synodu i że nareszcie będzie się można jąć tak zaniedbanej polityki w sprawach ruskich, pomorskich i pruskich.

PRZEWAGA LINII ŚLĄZKIEJ.

Dziedzic Wielkoksiążego tronu, Bolesław, któremu dano potem przydomek Wstydliwego, miał półtora roku. Znowu dobra sposobność dla możnowładztwa do wybierania sobie pomiędzy uznaniem dziedzictwa a elekcyjnością tronu. Przechodziło społeczeństwo pod tym względem już w drugiem pokoleniu przez prawdziwe przesilenie, gdy wobec małoletności Wielkich Książąt uznanie ich

nie zobowiązywało właściwie na razie do niczego, bo pod pozorem opieki można było wybrać sobie monarchę innego. Odkąd nawet w Wielkopolsce upadło samowładztwo, nie zależało już nic na tem, żeby tron nie miał być dziedziczny. Możnowładztwo się waha i dzieli; mają zwolenników obie zasady, raz ta zwycięża, to znowu tamta. Opieka należała się stryjowi, Konradowi Mazowieckiemu. Do walki o nią wystąpił jednak Henryk Brodaty, a umiał sobie pozyskać znaczne stronnictwo wśród małopolskich panów i Konrada wyparł. Szczęście wojenne wnet jednak zupełnie się obróciło i Henryk stał się nawet jeńcem Konrada. Ażeby się uwolnić z niewoli, musiał się zrzec opieki w r. 1229. Konrad dał Sandomierskie po Leszku swemu synowi Bolesławowi, sam zaś osiadł w Krakowie; było widocznem, że ta opieka zmierza do wyzucia książęcego dziecka nietylko z Wielkiego księstwa, lecz nawet z ojcowizny. Konrad uwiózł nawet Bolesława wraz z jego matką Grzymisławą i więził na zamku w Sieciechowie. Ten postępek dał jednak hasło do buntu i możnowładcy przywołali sobie Henryka Brodatego, a jeden z nich, Klemens z Ruszczy, uwolnił więzionych w Sieciechowie. Konrada wygnali z Krakowa, syna jego z Sandomierza, a książę wrocławski objął opiekuńcze rządy. Sprawował również opiekę nad książętami Górnego Ślązka. Zamianowany zaś dziedzicem przez Laskonogiego, któremu u siebie użyczył gościny, ruszył po jego śmierci w r. 1232 do Wielkopolski i w wojnie z Odoniczem zdobył ją po Wartę. W roku 1234 panował tedy na Ślązku, w Krakowskiem, Sandomierskiem i w Wielkopolsce; potęga jego była niemniejszą od Kazimierza Sprawiedliwego. Zdawało się, że linia ślązka pokieruje dalszemi losami państwa Piastów.

Henryk Brodaty wyświadczył zaś Polsce prócz germanizacyi Ślązka jeszcze inną niedźwiedzią przysługę a tą jest: sprowadzenie Krzyżaków.

Jak już powiedziano, wiała wówczas Polska trzy najważniejsze sprawy polityczne: pomorską, ruską i pruską. Kiedy bracia Leszek Biały i Konrad Mazowiecki podzielili się ojcowskiemi dzielnicami, wypadło Konradowi pilnować spraw pruskich. Konrad był jednak złym politykiem, władcą niewidzącym w państwie niczego oprócz swej władzy; należał do tych, którym zazdrość o tę władzę pochłania całe życie i wydaje się jeszcze do tego najważniejszym

obowiązkiem monarchy. Miał szczęściem wojewodę dzielniejszego i rozumniejszego od siebie, imieniem Krystyna; ten rządzić umiał i wojować. Tem jednak wzbudził właśnie zazdrość w księciu i Konrad kazał go zamordować. Odtąd Prusacy dawali się bezkarnie we znaki Mazowszu; doszło do tego, że zaczęli się na Mazowszu osiedlać. Najechawszy część Mazowsza, a mianowicie t. z. ziemię Chełmińską, zniszczyli ją, zburzyli wszelkie ślady chrześcijaństwa, ludność częścią wytępili lub sprzedali w niewolę, częścią do ucieczki zmusili, a sami tam zostali. Uszczuplili przez to dotkliwie obszar polskiego osadnictwa; ziemia zaś chełmińska nigdy już do Mazowsza nie wróciła, i gdy później przeszła znów pod polskie panowanie, zaliczała się już do prowincyi Prusami zwanej.

ZAKONY RYCERSKIE.

Nie brakło nigdy świątobliwych mężów, którzy pragnęli poświęcić życie nawróceniu Prusaków. Za czasów Leszka Białego zgłosił się do apostolskiej pracy mnich z Oliwy pod Gdańskiem, imieniem Krystyn (Chrystyan), ustanowiony tam nawet w r. 1215 pierwszym biskupem przez papieża Innocentego III-go. Konrad Mazowiecki wspierał go, ale był zbyt nieudolny, aby zapewnić biskupowi spokojne apostolstwo, a za słaby, żeby złamać Prusaków. Natenczas biskup Krystyn powziął zamiar, żeby tu ustanowić t. z. zakon rycerski.

Zakony rycerskie powstały w Ziemi św., w Palestynie. Kiedy papiestwo stojąc na szczycie potęgi, wywierało wpływ niezmierny na całą politykę zachodniej Europy, postanowiono skorzystać z tego, żeby wspólnemi siłami europejskich katolickich państw wyzwolić Ziemię Świętą z rąk Muzułmanów, t. j. wyznawców religii Mahometa. Wyprawy podejmowane przeciw Muzułmanom w imię Krzyża zwały się wyprawami krzyżowemi, czyli z łacińska krucyatami. Prócz samego odebrania Palestyny z rąk niewiernych, przyświecały przytem papiestwu jeszcze dwa cele. Wspólne przedsięwzięcie, wspólne trudy, wspólnie przelewana krew miały pouczyć i przyzwyczaić katolickie narody do tego, żeby się uważały za jedną rodzinę, co przyczyniłoby się w znacznej mierze do szybszego postępu ogólnej cywilizacyi chrześcijańskiej; nadto zaś marzyli świeci krucyat głosiciele o tem, że państwa europejskie za-

jęte wspólną wojną z Muzułmanami zaprzestaną wojen pomiędzy sobą. Gdy się nie udała idea cesarstwa „rzymskiego“, przyszła kolej na ideę wypraw krzyżowych. I ta się nie udała! Odzyskano Palestynę, ale powstałe tam chrześcijańskie państwa nie zawsze przynosiły zaszczyt chrześcijaństwu, a krucyaty bywały czasem nadużywane do celów świeckich również podle, jak cesarska korona na głowie wielu królów niemieckich.

Zdobyto Jerozolimę w r. 1099, ale monarchowie kłócili się tam z sobą o pierwszeństwo i wszystkie swe swary przenieśli z Europy do Ziemi Świętej. Skorzystał z tego Turek, powypędzał chrześcijańskich władców i nietylko zagarnął Palestynę, ale wkroczył później do Europy, zdobył cesarstwo bizantyńskie i panuje do dziś dnia w Konstantynopolu.

Udział w wojnach krzyżowych był czynem religijnym, darzonym przez stolicę apostolską wielkiemi łaskami i odpustami. Oczywista, że tam trzeba było być przedewszystkiem żołnierzem i na nic nie zdał się choćby najpobożniejszy, jeżeli nie był zdatny do wojny. Rycerstwo tedy, walcząc za Grób Zbawiciela, okazywało pobożność orężem, tak samo, jak inni pracą i modlitwą po klasztorach. Po pewnym czasie zaczęły powstawać w Palestynie pobożne stowarzyszenia, jakby bractwa rycerskie i z tego wytworzyły się rycerskie zakony. Członkowie ich musieli pozostać bezżenni, tak samo, jak zakonnicy po klasztorach, tak samo musieli ślubować, ale mieli jeszcze o jeden ślub więcej, a mianowicie obowiązek ciągłej orężnej obrony chrześcijaństwa od niewiernych. Miały zatem te rycerskie zakony tworzyć w Palestynię stałe wojsko, gotowe zawsze do odparcia napadów muzułmańskich. Posypały się z całej Europy olbrzymie fundusze na ten cel i Zakony rozporządzały w krótkim czasie niezmiernemi dostatkami, których używały z początku uczciwie, zgodnie z właściwym swym celem. Gdy jednak panowanie w Palestynie chwiać się poczęło, gdy przytem psował się obyczaj i na dworach palestyńskich książąt i wśród ich rycerstwa, zepsucie zaczęło zwolna dosięgać także zakonów rycerskich. Przy Grobie św. utrzymywali tylko po jednym „domu“, a reszta ich siedziała sobie spokojnie w Europie, na bogatych dobrach, zapisanych im przez pobożnych fundatorów w tej myśli, żeby nie zabrakło środków do walki w Palestynie.

Trzy były główne zakony rycerskie, powstałe w wieku XII.

Włosi założyli Joannitów, Francuzi Templaryuszów w r. 1118. Kiedy później Niemcy pod cesarzem Fryderykiem Rudobrodym odbywali krucyatę, założyli trzeci, swój niemiecki zakon rycerski w roku 1190, który nazwali „zakonem rycerzy Najśw. Maryi Panny narodu niemieckiego". Po polsku zowie się ich krótko Krzyżakami od ubioru, że na białym płaszczu mieli wyszyty duży czarny krzyż.

W czasie wojen krzyżowych była Polska właśnie rozbita na dzielnice i osłabiona. Spieszył do Palestyny na własną rękę Henryk sandomierski i niektórzy możnowładcy, jak n. p. Jaksa z Miechowa, który po powrocie założył klasztor Bożogrobców, ale nie było wielkiej wyprawy krzyżowej całego polskiego narodu. Nie potrzebowali też Polacy szukać Muzułmanów w Azyi, bo mieli pogan tuż na własnej granicy: Prusaków i Jadźwingów, podobnie jak Hiszpanie mieli u siebie w domu Muzułmanów. To też Ojciec św. uwolnił od obowiązku palestyńskich krucyat obydwa te narody na przeciwnych krańcach Europy: Hiszpanów i Polaków. Polska dostała uwolnienie od papieża Honoryusza III., który panował na stolicy św. w latach 1216—1227, za Leszka Białego. Co więcej, papież ten ogłosił pruską krucyatę w Polsce i w Niemczech. Dwie takie krucyaty, które odbyły się w latach 1219 i 1222, zdołały przynajmniej wypędzić Prusaków z ziemi chełmińskiej, ale na tem też skończyło się wszystko. W drugiej krucyacie wzięli udział Leszek Biały, Konrad Mazowiecki i Henryk Brodaty. Konrad Mazowiecki nadał wtenczas biskupowi pruskiemu, Krystynowi, część ziemi chełmińskiej. Wtenczasto biskup Krystyn postanowił założyć osobny zakon rycerski do walk z Prusakami. Przykład do tego dał w r. 1204 biskup ryski (w Rydze) Albert, który jeszcze dalej na północy nad Bałtykiem miał do czynienia z pogańskimi Łotyszami i Estami, założył mianowicie zakon Kawalerów Mieczowych. Za tym przykładem poszedł biskup pruski.

Powstał tedy polski zakon rycerski, któremu Konrad oddał na własność gród Dobrzyń, od czego nazwali się Braćmi Dobrzyńskimi. Gotowano się do nowej wyprawy na Prusy. Piastowscy książęta wzięli w niej chętnie udział. Stawił się Konrad Mazowiecki, stawił się Wielki książę Leszek Biały, przybył też Henryk Brodaty ze swymi kasztelanami, z biskupem wrocławskim i lubuskim Wawrzyńcem. Bracia Dobrzyńscy pomagali dzielnie

i wystawiono wtedy nad Wisłą warownię Chełmno, która miała się stać nowym wałem przeciw zapędom Prusaków. Wyprawa jednak nie powiodła się, a Bracia Dobrzyńscy popadłszy w ręce pogańskie, zostali niemal w pień wycięci w r. 1224. Należało tedy starać się o to, żeby się na nowo uzupełniły szeregi Braci i pracować wogóle nad rozwojem tego Zakonu, zwłaszcza, że głoszona w Niemczech krucyata mogła i stamtąd dostarczyć posiłków. Nierozważny jednak Konrad Mazowiecki postąpił inaczej i za radą zniemczałego Henryka Brodatego usunął zakon polski, a sprowadził niemieckich Krzyżaków.

KRZYŻACY.

Już nieco bowiem przedtem przenieśli się niemieccy Krzyżacy do Europy. Zajął się nimi książę wrocławski i nadał im rozległe dobra w swem księstwie. Najpierw tedy na polskiej ziemi stanęli Krzyżacy na Ślązku, w księstwie Henryka Brodatego. W r. 1211 przywołał ich król węgierski Andrzej II. na pomoc do walki przeciw pogańskim Połowcom czyli Kumanom i nadał im ziemię pograniczną zwaną Burca. Krzyżacy atoli, zamiast bronić od pogan, zaczęli tu organizować osobne państewko, wskutek czego ich Andrzej wypędził w r. 1225. Szukali tedy nowego siedliska. Nie o zwykłe posiadłości im chodziło, bo tych mieli dosyć w różnych stronach, a także na Ślązku, ale o krainę sposobną do założenia własnego państwa. Życzliwy im Henryk Brodaty, bawiąc na pruskiej krucyacie, spostrzegł, że ziemia chełmińska nadawałaby się do tego w sam raz, a za nieszczęsną tą radą poszedł Konrad Mazowiecki. Wypędzeni z Węgier Krzyżacy radzi oczywiście byli projektowi. W roku 1226 dał im Konrad ziemie Chełmińską i Nieszawską, po obu stronach Wisły, a oni przyrzekali za to walczyć z pogaństwem w obronie Polski. Stało się to w roku 1226, w roku zaiste przeklętej pamięci, w roku najnieszczęśliwszego błędu politycznego, za który do dziś dnia pokutujemy. Sprowadzenie Krzyżaków było przedewszystkiem objawem niedołęstwa Konrada, a poruczenie obrony granic Niemcom, przypomina historyę z Rusinami, którym się nie chciało samym chodzić na wojnę, więc sobie sprowadzili Waregów. U nas jednak społeczeństwo wydało z siebie Braci Dobrzyńskich i cudza obrona była zupełnie niepotrzebna. Bał się chyba zazdrosny o władzę Konrad mazowiecki,

żeby Dobrzyńscy nie stali się potężniejsi od niego i wolał obcych, niż swoich dopuścić do wzrostu i znaczenia.

Zanim jeszcze Konrad zdążył wydać swój dokument, już Krzyżacy postarali się z góry u cesarza Fryderyka III., że im nadał na własność wszystko, co od Konrada dostaną i co na Prusakach zdobędą, a nadawał im to w lenno cesarskie! Cesarze byli bardzo pochopni do rozdawania nieswoich rzeczy; ze swego dawać nie lubili. Tak więc Krzyżacy z góry sobie postanowili, że nie będą walczyć w interesie Polski, ale Niemiec i że się nie będą uważać za lenników Piastowskich, lecz za niezależnych zupełnie od Polski. Polskim kosztem miało powstać nowe niemieckie państwo. W ośm lat potem dopuścili się Krzyżacy pierwszego fałszerstwa, okazawszy papieżowi Grzegorzowi IX. sfałszowany dokument, w którym dane im na siedzibę polskie ziemie przedstawione są jako ich własność wyłączna; ofiarowali je teraz niby od siebie św. Piotrowi, więc papież uznał, że nie są obowiązani do podlegania nikomu.

W r. 1228 przybyła pierwsza krzyżacka drużyna na lewy brzeg dolnej Wisły i usadowiła się w zamku Folsągu *(Vogelsang)* pod Chełmnem, pod dowództwem mistrza swego Hermana Balka. W r. 1231 przekroczyli po raz pierwszy Wisłę; przeprawili się na brzeg prawy, pruski, i pod wodzą Konrada Mazowieckiego rozpoczęło się najpierw zdobywanie ziemi Chełmińskiej. W r. 1234 była znowu krucyata, w której wzięli udział Władysław Odonicz, Konrad mazowiecki, Świętopełk pomorski i syn Henryka Brodatego, Henryk Pobożny, a nadto margrabia brandeburski. Odniósłszy walne zwycięstwo nad Sirguną, nietylko zapewniono sobie ziemię chełmińską, ale zdobyto też pierwszą krainę pruską, a mianowicie Pomezanię, z bursztynowem wybrzeżem. Ale w tym samym roku odbyli Krzyżacy pierwszą wyprawę na... chrześcijan. Rzucili się na posiadłości Braci Dobrzyńskich i zagarnęli je. Mądry po szkodzie Konrad chciał się temu sprzeciwić, ale zaledwie tylko sam gród Dobrzyń zdołał od nich wydobyć. Bracia Dobrzyńscy, nie mając utrzymania, sami częściowo do Krzyżaków przystali. Część jednak polskiego rycerstwa, przejrzawszy już Krzyżaków, nie chciała się z nimi łączyć i przeniosła się do Drohiczyna, gdzie wyginęli w walce z Jadźwingami.

Właśnie w tym samym roku obejmował panowanie w Krakowie przyjaciel Niemców, Henryk Brodaty. Rządził tylko cztery

lata. Umierając w r. 1238 pozostawił swe dziedzictwo zniemczonemu zupełnie synowi, imieniem również Henrykowi, z przydomkiem Pobożnego, bo dużo fundował klasztorów. Objął on nietylko panowanie na Ślązku, ale też Wielkie Księstwo, gdyż Bolesław Wstydliwy ciągle jeszcze był nieletni, mając dopiero lat 12.

NAJAZD TATARSKI.

Ledwie rozpoczął rządy, spadł na Polskę cios ciężki, od którego cały kraj zamienił się w pustynię. Do Europy wtargnął azyatycki lud Mongołów.

Ojczyzną Mongołów jest środkowa Azya, gdzie długie wieki wiedli koczownicze życie, podzieleni na wiele plemion, aż dopiero z początkiem XIII wieku szereg wielkich wodzów połączył je w jeden wielki lud zdobywczy. Lud ten należy do całkiem innej rasy, zwanej żółtą, od żółtawej cery ich skóry. Budową różnią się też znacznie od Aryjczyków; niskiego wzrostu, krępi, oczy mają osadzone skośno, a zarost twarzy należy u nich do rzadkich wyjątków. Rolnictwo mieli w pogardzie, żyjąc z pasterstwa; bogactwem ich trzody baranów i stada koni. Koń spełnia u nich nietylko te prace, co i u nas, ale nadto jest żywicielem, kobyle bowiem mleko zastępuje nasze krowie. Głównym pokarmem jest baranina, zagrzana, niby wędzona, pod siodłem jeźdźca. W owych zwłaszcza czasach cały dzień uganiali ciągle konno, czy to objeżdżając swe trzody na pastwiskach rozległych stepów, czy to goniąc za zdobyczą i łupem. O zakładaniu wsi i jakimkolwiek wogóle porządku osiadłym nie było mowy. Taką jest do dziś dnia ta gałąź mongolskiej rasy, której przodkowie najechali na Europę w XIII wieku. Od strasznych rzeczy, których się dopuszczali podczas swych wypraw, nazwano ich piekielnikami, ludźmi z piekła rodem, co w średniowiecznej łacinie brzmiało Tartari; stąd po polsku Tatarami zwani. Drobna tylko bardzo cząstka Tatarów ucywilizowała się; jedni z nich osiedli potem na Litwie pod polskim rządem, inni zaś są na półwyspie Krymskim nad morzem Czarnem, wielu też w głębi Rosyi. Reszta wiedzie w Azyi ciągle życie koczownicze. Są jednak inne ludy mongolskie, osiadłe i cywilizowane: Chińczycy i Japończycy; tych z Tatarami mięszać nie należy.

Władcy tatarscy zwali się hanami, a najwyższy han hanów dżingishanem. Na początku XIII. wieku rządził nimi Temudszyn,

który hordy swoje poprowadził na zdobycie świata. Zadrżała Azya pod kopytami ich jazdy. Dali się ciężko we znaki Chinom, a kwitnące milionowe miasta muzułmańskie[1]) w Indyach i w Persyi zniszczyli prawie doszczętnie. Prawdziwie powiedziano o nich, że trawa nie porośnie, kędy oni przejdą. Z podbitych ludów wybierali sobie wojsko, nowe pułki, które wraz z nimi musiały ruszać dalej na nowe łupy. Celem tych wojen było łupić, zniszczyć, nakładać haracze. Nie myśleli o zakładaniu jakiego wielkiego państwa powszechnego, nie posiadali zresztą nawet zmysłu do tego, żeby sami mieli zorganizować takie państwo i sami niem zarządzać. Poprzestając na daninach na znak uległości, zachowywali sobie w podbitych krajach nie tyle prawo rządzenia, ile raczej prawo łupienia. W prowadzeniu wojny byli najdzikszymi ze wszystkich; mord i pożoga były dla nich nie środkiem do zwycięstwa, ale same sobie celem i wielką przyjemnością. Czy się kto bronił, czy poddał, mężczyzna, czy kobieta, czy dziecko nawet, wszystko im było jedno, byle mordować.

Temudszyn, przekroczywszy góry Uralskie, podbił Astrachań i rzucił się potem na pogański lud Połowców, sąsiadujący z Rusią. Część ich przeniosła się skutkiem tego najazdu nieco dalej ku zachodowi, pod Węgry i tam zwano ich Kumanami i przeciwko nimto próbował Andrzej II. użyć Krzyżaków.

W roku 1224 posunęli się Tatarzy dalej: od Połowców na Ruś południową. Wielki książę Mścisław Udały zdołał zebrać drużyny kilku tylko książąt; tak niesforni byli między sobą Rurykowicze, że ani nawet wspólne niebezpieczeństwo nie zdołało ich połączyć. Książęta ruscy ponieśli nad rzeką Kałką, wpadającą do morza Azowskiego, najstraszniejszą klęskę. Wojna z Chinami odwróciła na razie Tatarów od Europy, ale nie na długo. Po śmierci Temudszyna podzielono dżingishaństwo, tj. całe tatarskie panowanie na cztery batuhanaty. Stolicą dżingishana była obozowa osada Karakorum w środkowej Azyi; batuhanowie zaś zdobywali sobie kraje na cztery strony świata. Batuhan zachodni miał stolicę swą nad jednem z ujść Wołgi, zwanem Achtubą, w obozowisku nazwanem Seraj. Stąd ruszyli Tatarzy w roku 1240 znowu na Ruś. Od tego roku datuje się niewola tatarska Rusi. Nic się nie

[1]) Tatarzy sami przyjęli potem religię mahometańską.

zdołało oprzeć Tatarom; podbili ruskie księstwa i miasta Rjazań, Kołomnę, Suzdal, Włodzimierz, Moskwę, Perejesław, Czernichów i wreszcie Kijów. Stąd osobne cztery oddziały ruszyły w różnych kierunkach; jeden z nich do Polski.

Ruś Czerwona padła za jednym zamachem, poczem przyszła kolej na Sandomierz, gdzie ludność całą wycięto w pień; podobnież w Lublinie. Następnie udali się dwoma szlakami, jedni na Kujawy, drudzy ku Krakowu. Wielki książę, Henryk Pobożny, był daleko i nie przedsiębrał niczego. Rycerstwo małopolskie samo pod wojewodą krakowskim, Włodzimierzem, próbowało stawić czoło. Ale doznali tylko dwóch klęsk; pod Turskiem, nad wpadającą z lewego brzegu do Wisły rzeką Czarną i pod Chmielnikiem, niedaleko Sandomierza. Było to już w 1241 roku. Szarańcza tatarska ruszyła przez Wiślicę na Kraków, opuszczony zupełnie przez tego, który mienił się jego Wielkim księciem. Całe miasto zamieniło się w gruzy i perzynę: Kraków przestał istnieć, została tylko pustynia na jego miejscu. Ocalał tylko warowny kościół św. Andrzeja (przy Grodzkiej ulicy), w którym zgromadziły się kobiety i dzieci z niewielką tylko garstką starszych już mężczyzn. Dzicz pogańska pobiegła dalej na zachód, z nad Wisły nad Odrę. Pod Opolem trzeba było bronić przeprawy; ale ani tu jeszcze nie było Wielkiego księcia i dziedzica tej ziemi. Próbowali za niego oporu książęta górnoślązcy, Mieczysław i Władysław, potomkowie Mieszka raciborskiego; sami za słabi, ulegli szalonej przemocy. Ruszyli Tatarzy na Wrocław; ludność wolała w rozpaczy sama podpalić miasto i w lasy uciekać, niż wydać się na pastwę rozbestwionego Tatarstwa. Nie można było ich pokonać, skoro każda niemal ziemia osobno nastawiała piersi. Gdyby Bolesław Pobożny był zebrał odrazu wszystkie drużyny sandomierskie, krakowskie, górnoślązkie i własne, możeby była choć jaka nadzieja. Wielki książę zamknął się w twierdzy lignickiej; resztki krakowskiej i sandomierskiej drużyny zgłosiły się tu pod jego rozkazy. Spodziewano się posiłków czeskich, lecz nie doczekano się tej odsieczy. Głód zmusił załogę lignicką wyjść z warowni i stoczyć bitwę, której wynik był jak najgorszy. Sam Henryk Pobożny walczył dzielnie; poległ, a Tatarzy odcięli mu głowę i obnosili swoim zwyczajem po obozie.

Bezskuteczność oporu przeciw tym strasznym najazdom tłu-

maczy się tem, że Tatarzy najeżdżali masami, rzeszami całemi. Opowiadają współczesni, że przy pierwszym najeździe na Europę wojsko ich zajmowało w pochodzie 18 mil długości, a 12 szerokości! Jest w tem niewątpliwie przesada, ale choćby się tylko część przyjęło za prawdę, to cóż za olbrzymia horda była to na owe czasy, kiedy 1000 żołnierza uważało się już za armię, a 50 rycerzy przyjmowało się z wdzięcznością, jako posiłki! Pochód ich był niezmiernie długi, bo nietylko samych wojowników obejmował, ale też ich rodziny; kobiety z dziećmi jechały za wojskiem, gdy wyruszyli na zdobycie wschodniej Europy. Następne najazdy były już bez taboru ich rodzin, gdyż chodziło już tylko o krótsze wyprawy po okup, haracz, łupy i niewolnika. Kronikarz ruski opowiada, że od rżenia koni, od ryku wielbłądów, od skrzypu kół ich wozów nie można było dosłyszeć słowa ludzkiego. Pędzili na swych małych koniach z niesłychaną szybkością, odbywając w ciągu jednej nocy drogę, na którą zazwyczaj liczyło się dwa dni. Było ich takie mnóstwo, a pędzili tak gwałtownie, że łamali wszelki opór. Zaczynali bitwę od strzelania z łuków strzałami, w czem niesłychaną posiadali wprawę, i razili z daleka, podczas gdy nasi z oszczepami i mieczami umieli walczyć tylko z bliska, ramię przeciw ramieniowi. Nim się właściwa bitwa zaczęła, już nasze szyki łamały się. Po gradzie strzał następowało dopiero właściwe natarcie. W szalonym pędzie biegło tysiące, nieraz kilkanaście tysięcy jazdy naraz, okalając i zmiatając nieprzyjaciela. Było ich takie mnóstwo, że niezależało ich wodzowi, ilu ich przytem poległe. Każdy hufiec musiał wypełnić, co mu rozkazano, choćby na pewną szedł śmierć. Karność była taka, że gdy jeden tylko żołnierz z jakiego hufca uciekł z pola bitwy, wyrzynano w pień cały ten oddział! Łatwo było o zwycięstwo, gdy nie zależało na tem, ilu w bitwie padnie, gdy pomimo największych strat, miało się i tak zawsze więcej wojska od przeciwnika.

Ze Ślązka rzucili się Tatarzy na Morawy i tam dopiero ponieśli pierwszą klęskę pod Ołomuńcem. Z Moraw rzuciła się ta horda na Węgry, żeby połączyć się z drugą, która tam grasowała już od kilku miesięcy. Prawdopodobnie miały obie ruszyć z Węgier daleJ na zachód, przez Czechy i Niemcy. Ale nadeszła wieść o śmierci ich Dżingisa; ruszył na to Batu z powrotem do Azyi. Mieli jeszcze wrócić, ale tak daleko nigdy się już nie zapędzili.

Najazd mongolski stanowi okres w historyi polskiej, bo przez tę łupiezką wyprawę dużo się w Polsce zmieniło. Gdy ubyło przynajmniej połowę ludności, nastały odrazu inne warunki życia i gospodarstwa. Zubożał kraj, zabrakło mu rąk do pracy! Dał się Polsce we znaki najazd Brzetysława czeskiego przed 100 laty, a o ileż więcej ucierpiał kraj przez ten najazd tatarski!

A klęska ta nad klęskami spadła na naszych przodków właśnie w takim czasie, gdy zmieniały się urządzenia społeczne i polityczne zapatrywania. Stare urządzenia jeszcze nie zniknęły, a nowe jeszcze się nie utrwaliły; stosunki takie — przesileniem zwane — wymagają właśnie spokoju. Zanim się nad tem przesileniem zastanowimy, przyjrzyjmy się, w jakim stanie było społeczeństwo polskie w chwili, gdy spadł na nie ów najazd „piekielników“.

ZAWIĄZKI MIAST.

Nie próżnowało społeczeństwo, ale znać było na każdym kroku owoce wszechstronnej i wytrwałej pracy, toteż rozwijało się dobrze i czyniło postępy. Wzrastał ogólny dobrobyt, przybywało nietylko pracowników, ale też i zajęć; powstawały rozmaite nowe sposoby zarobkowania i utrzymania życia. Surowe płody krajowe, futra, wosk, wyzyskiwane coraz lepiej, przyczyniały ludności dochodów. Coraz znaczniejsza część mieszkańców poświęcała się rolnictwu, uważając je już za główne swe zajęcie. Postępowała cywilizacya, a przez to zwiększały się też potrzeby; co przed stu laty zbytkiem bywało, stawało się potrzebą. Chciano wygodniej mieszkać, lepiej się ubierać i otaczać się w życiu większym porządkiem. Sprzedawano i kupowano więcej, a więc handel się wzmagał. Już nietylko cudzoziemski, chrześcijański, czy żydowski „gość“ trudnił się nim, ale też pewna, choć jeszcze bardzo drobna, część ludności polskiej odważała się przynajmniej na pośrednictwo w handlu. Kupiec nie jeździł już od osady do osady, ale miał pewne upatrzone miejsca, do których zajeżdżał w pewnych porach roku, tam oczywiście, gdzie więcej gromadziło się ludzi. A najwięcej gromadziło się ich przy kościele, zwłaszcza na wielkie święta, kiedy nawet daleko mieszkający parafianie uważali sobie za obowiązek przybyć na nabożeństwo. Prócz najuroczystszych świąt ogólnych, jak Wielkanoc, Zielone Świątki, Boże Narodzenie, ma każdy kościół swoje doroczne wielkie święto, a mia-

nowicie rocznicę swego poświęcenia, obchodzoną do dziś dnia z wielką wystawnością (główny odpust). Kupcy wiedzieli dobrze, kiedy to w której parafii wypada i zjeżdżali na ten dzień. Jeżeli w okolicy dobre robili interesy, zostawiali tam swego pełnomocnika, ajenta, żeby np. skupował dla nich skórki kunie, bobrowe, suszoną rybę, miód i wosk. (Zboża nikt nie sprzedawał, bo go w kraju jeszcze nie było na tyle). W takiej okolicy wchodziła gotówka w coraz większy obieg. Kupcy mieli wielką wygodę z ajenta i ludność także. Trudno było sprowadzać z zagranicy tych ajentów; toby się nie opłaciło. Kupiec był wdzięczny, gdy tego pośrednictwa podjął się który z Polaków. Podejmował się niejeden, bo to było zyskowne i w tem początek polskiego handlu i kupiectwa. W osadach biskupich i kollegiackich, albo przy klasztorach, gdzie ruch był większy, zdarzało się po kilku takich pośredników. W takich osadach bywał też często gród, a na podegrodziu włodycze rycerstwo. Ludność gęściej osiadła dawała początek miastom. Kupiec wolał też mieć na wszelki wypadek warowny gród pod ręką, bo tam można było towar bezpiecznie przechować, a kasztelan czy włodarz chętnie użyczał opieki „gościowi“. Zaczął się też pojawiać nowy rodzaj kupców, handlujących takim tylko towarem, który sami wyrobili: to są rzemieślnicy. Czem bardziej ludzie rozchodzili się z dawnych siedlisk rodowych i czem bardziej garnęli się do rolnictwa, tem trudniej było samym sobie nastarczyć we wszystkiem. W jednej osadzie brakowało kołodzieja, w drugiej szewca, w trzeciej łagiewnika, w czwartej zduna, czyli garncarza. Toteż sami namawiali i starali się o to, żeby pod grodem osiedlił się taki rzemieślnik, a podczas uroczystości kościelnych zaopatrywali się chętnie u niego. Ruch ludności coraz większy dostarczał też coraz większego zarobku tym, którzy mieszkali przy głównych kościołach i grodach; coraz więcej też ludzi tam się osiedlało i osady te coraz bardziej różniły się od innych.

ŁAZĘGOWIE.

Naroczników było z czasem za dużo; mnożyli się z pokolenia w pokolenie, a wciąż wszyscy z ojca na syna uprawiali jedno i to samo rzemiosło. Nareszcie musiało dojść do tego, że gród miałby dziesięć razy więcej np. łagwi, niż ich załoga za dziesięć lat mogła spotrzebować, koniuchów tylu, że każdego konia mógł

paść zosobna osobny koniucha, a kucharzy więcej, niż mis było na stołach w grodzie. Powiedziano już, że zaczęto tych ludzi zaprawiać do roli, ale nie zawsze się to dało i nie wszędzie była ziemia przydatna do rolnictwa takiego, jakie wtenczas znano; z gorszą glebą nie mogli sobie jeszcze poradzić. Zdarzyło się np. że klasztor jędrzychowski kupił duży las; podpalono go i skarczowano, a skończyło się na tem, że na nowo ziemię lasem zapuszczono. Jeżeli tedy nie dało się zmienić tych ludzi na ratajów, co po nich? Napróżno tylko zajmowali księciu ziemię. Duchowieństwo wypraszało się od nich najczęściej, a książęta dzielnicowi, na coraz mniejszych dzielnicach coraz większe mający wydatki, nie mieli ochoty żywić całych gromad za darmo. Uwalniali ich przeto często ze swojej służby, dawali im wolność. (Nazywało się to po łacinie: *manumissio)*. Oswobodzeni z niewoli, tracili jednak ziemię, na której wolno im było polować, ryby łowić, barcie podbierać w zamian za służbę. Szli więc w świat, szukać służby u wielmożów, u księży; niejeden może sam prosił wędrownego kupca, żeby go wziął i gdzie na nowo sprzedał, a niejeden, przedsiębiorczy i ufny w swoje siły, poszukał sobie takiego grodu lub kościoła, pod którym nie było jeszcze takiego, jak on, rzemieślnika, albo był, ale potrzebował pomocnika; niejeden został kupcem, t. j. pośrednikiem obcych kupców. Potomkowie pierwszego z nich byli pachołkami, drugiego niewolnikami, trzeciego majstrami, a czwartego kupcami. I tak zawsze się sprawdza, że wywyższenie lub poniżenie rodu zależy przedewszystkiem od energii, śmiałości, przedsiębiorczości. Ten z naroczników, który się oddał żydowi na nową sprzedaż, chciał odrazu gotowego chleba bez kłopotów. Z początku z pewnością jemu najlepiej się powodziło; żyd zaraz go dobrze karmił, żeby dobrze na sprzedaż wyglądał; ale też za to był i został niewolnikiem, on i jego dzieci. Który na rzemiosło się w świat puścił, nagłodził się dosyć, nim znalazł miejsce stosowne do zarobku; ale był wolny, syn jego miał już ładny warsztat, wnuk trzymał czeladników, prawnuk był rajcą, a niejeden burmistrz od takiego narocznika się wywodzi. Podobnież niejeden kupiec bogaty, zaszczycany w mieście dostojeństwami, zawdzięcza wszystko temu, że przodek jego miał odwagę nachodzić się sporo od osady do osady, nim mu gdzieś zaczęto powierzać wiewiórcze futerka.

Ci ludzie musieli szukać, i to nieraz długo, miejsca dla siebie. Oswobodzeni, mieli przed sobą cały świat otwarty, ale trzeba go było najpierw schodzić własnemi nogami o głodzie i chłodzie. Było ich wielu, goniących światem za nowym kątem dla siebie. Nazywano ich *łazęgami*, a stare pisma i dokumenty dużo o nich piszą. Czasem szli całą gromadą, nim ostatni z nich gdzieś przysiadł. Gromada taka musiała być karna i zachowywać wśród siebie jakiś porządek; wybierali więc z pośród siebie starszego, którego nazywano „starostą łazęgów“. Czasem się zdarzało, że kilkunastu osiadło na tem samem miejscu, próbując czegoś wspólnemi siłami; także mieli swego łazęgowskiego starostę, nim się zwolna przemienili w mieszczan. Zaczęły tedy w Polsce powstawać miasta z miejsc targowych i początki nowej w społeczeństwie warstwy: mieszczaństwa, które nie dało się ująć w obręb administracyi opolnej, ani kasztelańskiej. Nie mogła ona już wystarczać nawet właścicielom ziemskim.

PRZESTARZAŁA ADMINISTRACYA.

Właściciele polskiej ziemi nie tworzyli już jednolitej warstwy społecznej. Część mniejsza, coraz mniejsza, trzymała się jeszcze pierwotnych swego rodu ujazdów, w których nowopowstającym rodzinom już coraz mniejsze źreby musiano wydzielać; ci po staremu podlegali staroście swej osady. Większa część porzuciła już ten sposób gospodarowania i z nadań książęcych doszła do większych dostatków, wyzwoliwszy się zarazem od dotychczasowego rodowego związku, zakładała ród nowy. Ci w pierwszem pokoleniu sami sobie będą całym rodem, sami sobie też starostami byli. Ich nie obchodził starosta żadnej ze sąsiednich osad, bo oni mieli osobny dla siebie nowy ujazd. Rada opola, składająca się ze starostów rodowych, nie mogła być dla nich władzą, bo żaden z tych starostów nie był przedstawicielem ich rodu. Powstała w ten sposób niedokładność i trudność administracyjna. Porządek wymagał, żeby i takie posiadłości do opola zaliczyć, bo były wypadki, które tego koniecznie wymagały, jak np. gdy trzeba było stanąć do „śladu“, t. j. ścigać przestępcę, złożyć świadectwo graniczne i t. p. Z konieczności trzeba ich było nieraz wciągnąć w „opole“, do rady starostów. I podczas gdy tamci brali udział w sprawowaniu opola tylko przez swych starostów, ci od razu do

rady należeli, każdy z nich od razu był starostą niejako, bo inaczej nie było sposobu dojścia do ładu z prawem. Przez taki to zbieg okoliczności nastąpiło nieuchronne społeczne wyniesienie mających posiadłości z nadania książęcego, zrównanie ich ze starostami rodowych osad. Gdy zwoływano radę, obsyłając starodawnym zwyczajem laskę opolną, szła laska do nich wszystkich, a z tamtych tylko do starostów. Była już o tem mowa, że ci nowi właściciele służyli wojskowo, należeli do książęcej drużyny; mieli do księcia łatwiejszy przystęp i łaska pańska częściej na nich spadała. Ojcu, mającemu nadanie, łatwiej już było wyrobić drugie dla którego z synów, który znowu nowy ród zakładał, i tak to trwało długo jeszcze, bo ziemi książęcej było jeszcze sporo. Póki się nie zamknęły książęce ręce, żaden z tych nowych rodów nie był tak dalece liczny; a choć się potem rozrodził, mając nadania w różnych stronach kraju, nie siedzieli nigdzie większą gromadą. Mniej liczni, więcej mający ziemi, zawsze się już utrzymali na lepszem stanowisku wobec tych, którym się nie chciało ruszyć z pradziadowskich ujazdów. Tak tedy wśród gospodarzy powstały dwie warstwy, różniące się coraz bardziej majątkiem i stanowiskiem. Wśród zaś nich samych, tych, którzy z nadań ziemię mieli, wyróżniali się znowu niektórzy, którzy szczęściem czy zasługą doszli do większych bogactw i pomnażali warstwę wielmożów, możnowładczą. Gdzie taki wielki pan w opolu się znalazł, trząsł pewnie nieraz całem opolem; pewnie u niego nawet była laska opolna. On sam jeden mógł mieć tyle ziemi, ile całe opole!

Toteż administracya opolna już nie wystarczała; na każdym kroku okazywało się, jak to urządzenie jest już niedostateczne. Np. opole powinno było dać książęciu co roku wołu i krowę. Dobre to było dawniej. Łąki i pastwiska były wspólne całemu rodowi, po kolei z każdego domu pilnował bydła pastuch. Można było opolną tę daninę nałożyć kolejno co roku na inny ród, albo też kupić jarzmo z pieniędzy całego opola. Czy do kosztów „opola“ mieli się też przyłożyć nowi sąsiedzi? Byli zamożniejsi i nie sprawiało im to trudności, jeżeli to chcieli uczynić dobrowolnie. Gospodarstwo wypasowe kwitnęło w najlepsze, podczas gdy rolnictwo było jeszcze ciągle czemś podrzędnem. Taki np. wielmoża Sędziwój z Czarnkowa w tym właśnie czasie, około roku 1240, wypasał w swych lasach rocznie 200 sztuk bydła na sprze-

daż; ileż miał lasu! Czy on także miał przyczyniać się do składki na wołu i krowę dla najbliższego grodu? Jeżeli tego od niego żądano, mógł śmiało darować opolu dwie sztuki i za wszystkich sąsiadów daninę zapłacić. To jego dobra wola. Ale wobec prawa wychodziłoby to na to, że opole nie płaci już daniny, wobec prawa tak być nie mogło, a kasztelan wolałby wziąć dwa jarzma, od Sędziwoja swoją drogą, a od opola swoją drogą. Tak też być powinno. Obecność bogacza w opolu powinna powiększyć państwowe dochody z tego opola, należało więc zostawić dawny podatek tamtym, a na Sędziwoja nałożyć swoją drogą nowy. Mógł się też każdy gospodarz z nadania zasłonić przed opolem tem, że on płaci daninę książęciu krwią własną, a podatku ma dosyć, gdy własnym kosztem musi mieć na wojnę zbroję i konia, i własnym kosztem na wojnie się żywić (nie zawsze się wygrywało i łupy brało!); w jego nadaniu niema wcale mowy o wołu i krowie, a więc nie jest zobowiązany do opola. Podobnych wypadków było sporo; na każdym kroku były wątpliwości, co z tymi nowymi gospodarzami robić, czy ich uważać za opolan, czy nie, i jak z nimi postępować. Przepisy nie wystarczały, trzeba było obmyśleć nowe. Administracya polska musiała się zmienić i to było pilnem zadaniem najbliższego czasu. Trzeba było ustanowić jakiś obszar administracyjny większy od opola, dosyć duży, żeby się w nim zmieścić mogli obok chudopachołków z rodowych ujazdów także wielmożowie.

Starostowie rodowi znaczyli coraz mniej; cała ich gromada czemżeż była wobec jednego możnowładcy? Na nich tedy nie można było oprzeć nowej administracyi. Nie można jej było wogóle obmyślać według rodów, tylko według sąsiedztwa. Na większej przestrzeni jedno tylko było, co obchodziło wszystkich, t. j. najbliższy im gród. Tam wszyscy się zbierali pod przywództwem kasztelana, gdy trzeba było ruszyć na wojnę; tam kolejno chodzili na załogę; tam się odsyłało i daniny w naturze i czynsze i tam się jeździło na sądy, gdy książę przyjechał. Czy wielmoża, czy narocznik, wszyscy się na gród oglądać musieli, a wszyscy mieli w tem swój własny interes, żeby ten gród był mocny, warowny, dobrze opatrzony, mogący być w razie wojny ochroną ich rodzin i mienia. Kasztelan, wielmoża, a przytem wielki dostojnik, stał też dosyć wysoko, żeby mógł przedstawiać władzę nawet dla

wielmożów. Administracya polska musiała się urządzić według kasztelanij.

Potrzeba reformy administracyi jest zawsze najlepszym dowodem, że społeczeństwo poczyniło wielkie postępy, skoro mu już nie wystarczają stare formy. Im społeczeństwo dojrzalsze, tem bardziej daje mu się to we znaki, gdy władza państwowa na czas takiej reformy nie przeprowadzi. A ta władza spoczywała w ręku książąt kilku, wkrótce kilkunastu i to niezgodnych z sobą. Toteż długo jeszcze trzeba było czekać, nim reformę tę ogólnie i porządnie przeprowadzono. Długo jeszcze wahała się ta sprawa, a w różnych czasach i w różnych księstwach bywało zapewne rozmaicie. Gdy stara administracya już nie przydatna, a nowej jeszcze niema, wychodzi na to, że na razie administracyi wcale niema, chociażby do niej było nie wiedzieć ilu urzędników. Do wszelkich nadużyć władzy czas to najsposobniejszy. Toteż nastały w Polsce złote czasy dla włodarzów i komorników książęcych, a także dla swawoli możnych, której ukrócić nie było komu. Wiemy, że czasem przepędzano książęcych urzędników z osad, choć za to ciężkie były kary; ale rady sobie nieraz z nimi dać nie było można. Niegdyś, za Mieszka Starego, dokuczali, bo książę to lubił, chciał, żeby się bano każdego ułamka jego władzy. Teraz było gorzej, bo na wadliwą ustawę nie pomoże ani najlepszy książę, póki ustawy nie zmieni. Około r. 1240 nie mogła się ludność uskarżać na książąt; ciemiężyciela między nimi nie było. Tylko na Ślązku dostał w r. 1241 jeden udział osławiony Henryk Rogatka, o którym jeszcze będzie mowa. Zresztą książęta radzi byli swym poddanym; ale na wadliwą, przestarzałą administracyę nie umieli inaczej radzić, jak tylko udzielaniem rozmaitych zwolnień od świadczeń. Tak np. mamy ciekawe zwolnienie z r. 1250, że opole nie będzie obowiązane przyjmować podróżujących ciągle książęcych urzędników, jak tylko raz w rok, a i wtenczas nie należy im się nic więcej, jak siano dla koni.

Do nadużyć sposobności było tem więcej, że się podatki składało w naturze; pod tym względem podatek pieniężny jest dla ludności o wiele wygodniejszy. Ale obrót gotówki był jeszcze ciągle nieznaczny, aczkolwiek o wiele już znaczniejszy, niż przed stu laty. Więcej było osób zamożnych, więcej przybywało kupców do kraju. Niejeden bogaty, sprzedając np. futra ze zwierzyny

swych lasów, nie chciał w zamian np. sukna, bo go miał już dosyć w swej komorze, ale żądał od kupca zapłaty gotówką. Zamożność społeczeństwa rosła widocznie i to szybko. Coraz więcej było osób mogących sobie pozwolić na kupno niewolnika od żyda. Czytamy w księdze pochodzącej w sam raz z tych czasów, z połowy XIII. wieku, że żony rycerzy (tj. tych, którzy mieli ziemię z książęcego nadania, a za to chodzili na wojnę), sprzedają len i nasiona, a za to mogą sobie kupić służebnice; to już znak większego dobrobytu. Możnaby więc było ściągać podatki w pieniądzach od rycerzy, ale od tamtych, którym się na wojnę chodzić nie chciało, byłoby to jeszcze trudno. Pod tym względem były to czasy przejściowe.

PAŃSTWO W PAŃSTWIE.

Nowa administracya zaczynała się wytwarzać w posiadłościach kościelnych. Uznawszy kościelny immunit, nie nadawano już Kościołowi na utrzymanie całych kasztelanij, co też i dla duchowieństwa dogodnem nie było. Z kasztelanii żnińskiej dochód był stosunkowo niewielki i dziesięć osad niewolnych warte było więcej, niż cała reszta kasztelanii; skoro zaś było już w niej 24 ujazdów wolnej ludności, nie łatwo było rozszerzać własne gospodarstwo na rachunek gnieźnieńskiej katedry. Lepiej było dla Kościoła, że zyskał prawo posiadania przez darowiznę, kupno i testament i to bez zachowywania formalności, żeby fundator zrzekał się najpierw prawa własności na rzecz księcia.

Do ładu i składu przywykały pod opieką Kościoła wszystkie warstwy ludności, bo osadnictwo dóbr duchownych ze wszystkich się składało. Włodyka kasztelanii żnińskiej lub milickiej nie troszczył się o wojny ślązkiej gałęzi Piastów z wielkopolską; on na te wojny nie szedł, bo książę nie miał mu nic do rozkazywania. Zamienił się więc z żołnierza zupełnie na gospodarza. Tak samo uwolnieni byli na te czasy od służby wojennej tacy, którzy mieli posiadłość pierwotnie z nadania księcia, ale potem pod zwierzchność kościelną się dostali. Ci wszyscy obowiązani byli ruszyć na wyprawę wtenczas tylko, gdy biskup kazał i oddawali się spokojnie gospodarstwu. Znikała przez to w wielkich dobrach kościelnych różnica społeczna pomiędzy książęcym „towarzyszem“ wojennym, a tymi, którzy wywodzili swe posiadłości nie z nadań,

lecz z rodowych źrebów. Niewolna zaś ludność, potomkowie narocznikow, przechodziła coraz częściej na czynsze. Biskup nie potrzebował grotników, korabników; koniuchów i komorników potrzebował znacznie mniej od księcia; wolał ratajów i cieśli, a starał się o winiarzów, świątników i złotników. Robota wielu narocznikow była zupełnie niepotrzebna, toteż obracano ich w ratajów i zaprzęgano do rolnictwa, jeżeli było na czem i jeżeli byli do tego zdatni. Czasem Kościół nie chciał tych narocznikow, nie wiedząc co z nimi począć, a książę nadając klasztorowi ziemię, usuwał osadników, pozwalając im osiedlić się gdziekolwiek indziej w dobrach książęcych; tak było przy lubiąskim klasztorze w roku 1233. Klasztorowi zaś trzebnickiemu zastrzeżono w r. 1204, że narocznicy mogą też opłacać czynsz zbożem. Wprawiano ich do roli, a więc do pracy cięższej, ale też za to przechodzili z niewolników na czynszowników, a że prawo dawne zwyczajowe nie znało takiej warstwy społecznej, więc ogłaszano, że się ich stawia odtąd na równi z „gośćmi“ wolnymi, co znaczyło, że będą osobiście wolni, a ziemię dostaną jakoby w dzierżawę, w zamian za pewne świadczenia, w tym wypadku za czynsz. Zasada ekonomiczna była tedy ta sama, jak w niemieckich wsiach na Ślązku. Czynsz kościelny wynosił zapewne dziesiątą część plonu, t. zw. dziesięcinę, która stała się potem powszechnym podatkiem na rzecz Kościoła, a właśnie w XIII. wieku coraz bardziej się rozpowszechniała.

Mając pod swoją władzą osoby najrozmaitszych zajęć i stanowisk, od bogaczy do nędzarzy, wykonując nad nimi świecką władzę, poczynał Kościół tworzyć rzeczywiście państwo w państwie. W dobrach duchownych nietylko że jemu wyłącznie należały się podatki, ale też należało do niego i sądownictwo i to bez odwołań się do księcia. Na synodach wywalczył sobie Kościół nietylko to, że duchownego nie wolno było pozywać przed sąd książęcy, ale wkrótce i to nawet, że nikogo z kościelnych dóbr nie można było sądzić z ramienia księcia. W roku 1136 w jednej kasztelanii całej dostał biskup książęce prawa; w r. 1240 w każdej osadzie dóbr duchownych był księciem opat lub biskup. On tylko brał daniny i on był najwyższym sędzią. Niebawem zacznie arcybiskup gnieźnieński bić swoją własną monetę i okaże tym widomym znakiem, że są w Polsce naprawdę dwie organizacye państwowe:

Piastowska i arcybiskupia. Która z nich będzie silniejsza, ta drugą pokieruje. A w państwie księżem więcej było światła, rozumu i oszczędności: tak sił, jakoteż majątku.

Nas dzisiaj tak dziwi i aż razi samo wysłowienie: państwo w państwie. Zmieniają się poglądy ludzkie. W r. 1240 nikt w tem nie widział nic dziwnego; uważano, że tak właśnie będzie lepiej. A nie było to wcale czemś wyłącznie kościelnem; dążenie takie było wspólne wszystkim, a Kościół tylko pierwszy cel swój osięgnął. Od roku 1175 przygotowywało się przecież drugie takie państwo w państwie; przygotowywało się i organizowało najpierw na Ślązku, a mianowicie niemieckie osadnictwo. Z góry się godzono na to, że z tych osad książę nie dostanie nic, prócz małego czynszu i części z opłat sądowych i za to zrzekał się tam swojej władzy na rzecz sołtysa i ławników, którzy nakładali na osadę podatek i sądzili według swego prawa, nie troszcząc się zgoła o prawo polskie. Obok kanonicznego prawa zaczyna się pokazywać prawo niemieckie i nikogo to nie gorszyło. Trzy tedy prawa były już równocześnie w kraju: kanoniczne, niemieckie i polskie.

I tak poczynało się w Polsce wszystko przemieniać w pierwszej połowie XIII. wieku. Następstwo tronu wahało się pomiędzy elekcyą a dziedzicznością; oświadczano się za potomkami Kazimierza Sprawiedliwego, ale rządzili też w Krakowie inni Piastowie i to nie jako opiekunowie małoletnich Wielkiego księstwa dziedziców, lecz jako samoistni władcy. Możnowładztwo szafowało tronem, ale własnej polityki jeszcze nie miało poza tem jednem, żeby nie dopuścić do samowładztwa; byle uznał immunit kościelny, byle nie ciemiężył świeckich wielmożów, mógł każdy książę liczyć na ich poparcie, choćby niezdatny był do rządów. Nie wyrobił się jeszcze w społeczeństwie żaden program polityczny, chociaż była już świadomość praw wobec tronu. Administracya przestarzała była zła, nowej jeszcze nie ustanowiono. Powstawały miasta, ale jeszcze nie oznaczono prawem ich stanowiska w państwie, ni w społeczeństwie. Zaczyna się obrót gotówki, ale jeszcze nie uzyskał przewagi nad starem gospodarstwem oznaczającem wartość rzeczy ilością skórek kunich lub wiewiórczych. Zjawiają się czynsze, ale po większej części płaci się jeszcze za dzierżawę ziemi jakąś cząstką plonów, lub pewną ilością własnej roboty. Podatki zaś

tylko wyjątkowo i to tylko w jednej dzielnicy, na Ślązku, składano gotówką. Kościół utrzymywany przez państwo, z zasobów grodowych, przechodzi na utrzymanie społeczeństwa przez szereg prywatnych fundacyi i ogólną dziesięcinę; ale też ledwie dopiero ukończyła się walka o immunit w Wielkopolsce. Organizacya rodowa traciła coraz bardziej znaczenie ekonomiczne, ale bywały jeszcze wspólnoty rodowe. Społeczeństwo zaczyna się dzielić na kilka warstw stosownie do zajęć: żołnierzy i gospodarzy, rolników, kupców i rzemieślników, ale prawo niezna jeszcze innej różnicy, jak wolnego, wyzwoleńca i niewolnego i dzieli całą ludność świecką według tego, czy należy do organizacyi rodowej, czy też nie. Organizacya ta ani już nie wystarczała, ani też nie miała tego znaczenia, co dawniej, kiedyto była dla społeczeństwa wszystkiem; ale nowej organizacyi jeszcze nie było, poczęły się pojawiać dopiero pierwsze jej zarody. We wszystkiem były już pierwiastki nowe, ale nie wyginęły jeszcze dawne; słowem, społeczeństwo przechodziło przez przesilenie pod każdym względem, gdy na nie spadła klęska tatarska.

WŁAŚCICIELE I DZIERŻAWCY.

Po najeździe tatarskim kraj wyglądał, jak pustynia. Nie zostało ni śladu z szczęśliwych początków miast, grody i kościoły zburzone i spalone, zniszczone zupełnie gospodarstwo całego kraju. Klęska była tem większa, że Tatarzy brali mnóstwo jeńca i o to najbardziej dbali. Głównym celem ich wypraw bywał zawsze jassyr; tak się nazywała u nich niewola. Brali w jassyr nietylko jeńca wojennego, który dostał się w ich ręce z bronią w ręku, ale wszystkich, wogóle każdego, kto tylko wpadł im w ręce i to nietylko mężczyzn, ale kobiety i dzieci. Całemi tłumami pędzili pojmaną ludność w niewolę na daleki Wschód. I to było klęską najcięższą. Powiedziano o nich, że trawa nie rosła, którędy oni przeszli, tak doszczętnie wyniszczyli wszelkie plony ludzkiej pracy. Pilnością i zdwojoną zapobiegliwością dadzą się wprawdzie zabliźnić najgorsze spustoszenia wojenne, po tatarskiej jednak nawale nie było komu zabierać się do zagospodarowania kraju na nowo, bo kraj był jassyrem zupełnie wyludniony; brakło rąk do pracy i pustynia musiała pustynią pozostać. Z całych kwitnących osad nie pozostał nikt; całe obszary były bez dziedziców. Tu i ówdzie

udało się ludności zbiedz w puszcze i rozpierzchnęła się po świecie. Czasem ktoś wracał do dawnych ognisk domowych, żeby rozpocząć pracę na nowo, znowu od samego początku, od tego, co pradziad jego już był zrobił. A nie mając rąk do pomocy, powoli tylko, bardzo powoli mógł z gruzów wznosić gospodarstwo. Nie będzie w tem najmniejszej przesady, jeżeli się powie, że tatarski najazd cofał Polskę o sto lat w tył.

Gdy popowracali do swych osad ci, co przetrwali nawałę, znaleźli wszystko nietylko w opustoszeniu, ale co więcej, przepadł cały porządek, rwała się cała organizacya. Kasztelan wróciwszy do swego grodu widział, że nietylko z grodu ledwie zgliszcza sterczą, ale przepadła też bez śladu niejedna osada naroczników. Czynszów nie było komu płacić, nie było do kogo wysyłać opolnej laski, żeby zwołać naradę. Jak dojść, kto po kim ma dziedziczyć, kto zginął w walce, kto do jassyru się dostał, który grunt zupełnie bezpański, a do którego może się jeszcze ktoś zgłosić? A gdy się zgłaszał, jak się przekonać, czy słuszny jego wywód do dziedzictwa, skoro przepadli bez wieści ci, którzy mogli być świadkami? Musiano zaprowadzać porządek na nowo, na nowo oznaczać granice. Władza książęca musiała zająć się na nowo sprawą osadnictwa, bo przybyło nagle tyle ziemi jakby niczyjej, do której nikt się nie zgłaszał.

Zupełnie wolne miał ręce książę co do osad niewolnych, z temi miał zawsze prawo postępować do woli. Nadaje też hojną dłonią opustoszałą po nich ziemię klasztorom i swoim rycerzom, byle tylko zagospodarowała się na nowo. Zmalała przez to ilość tych osad, zmalała ilość niewolnika. Nowe nadania wymagały służby wojskowej i czynszów. Książęta zrywali z przestarzałym sposobem opłacania podatków w naturze, nie zależało im już na narocznikach tyle, co dawniej. Często uwalniają resztę pozostałych niewolnych, nadając im swobodę. Zmniejsza się przeto i to szybko ilość niewolnej ludności, przybywa wolnych. Pamiętać zaś trzeba, że była ta warstwa już spolszczona, że nietylko przyjęła polską mowę, zwyczaje i obyczaje, ale że niewątpliwie i związkami małżeńskimi z rodzimą polską ludnością łączyć się musiała.

Wśród powszechnego zamętu działy się nadużycia. Na Ślązku zwłaszcza zagarniał ziemię, kto chciał; tam przywłaszczano sobie nawet ziemię książęcą i kościelną! Już od dwóch pokoleń

dokonywało się niemczenie Ślązka i było tam wielu niemieckich rycerzy na książęcych nadaniach. Znać też na Ślązku wpływ rabusiowskiego rycerstwa. Po tatarskim najeździe poczyna się grabież ziemi na wszystkie strony, nie pytając o niczyje prawa. Sami ci rycerze ślązcy nie imali się gospodarstwa, ale sprowadzali osadników z Niemiec, ażeby od nich pobierać czynsze. Tam zdarzało się zresztą już przed tatarskim najazdem, że gospodarze rady sobie dać nie mogąc z takim sąsiadem gwałtownikiem, woleli się wyrzec gospodarstwa. Czytamy często o takich wypadkach. Pozostała pamięć jednego takiego „rycerza“, przezwanego Kobylą Głową, przed gwałtami którego usunęła się cała osada. W innem miejscu czytamy, że ludność szukała u opata opieki przeciw uciskowi i grabieży, ale opieki znaleźć nie mogła, bo dobra duchowne również gwałtów doznawały; rzucają więc w końcu gospodarstwo i proszą księcia, żeby ich wziął na naroczników swoich, mianowicie na gajowych w książęcej puszczy. Klasztor trzebnicki skarży się na ubytek dziesięciny, bo ludność wolna opuszcza osady i t. p. Jeżeli tak przedtem było na Ślązku, cóż się działo dopiero po mongolskiej nawale!

O ucisku gospodarzy przez rycerstwo nie słychać nic w żadnej innej dzielnicy, prócz Ślązka. Polskie rycerstwo samo wyszło z ziemi i różniło się od reszty wolnej ludności tylko tem, że miało ziemię z nadania, wydzieloną z poprzedniego związku rodowego. Każdy mógł się stać rycerzem, skoro zamienił dawną opolną daninę na obowiązek towarzyszenia księciu zbrojno. Warstwa ta nie z wyjątków się u nas składała, ale raczej z ogółu, a po najeździe znaczna większość wolnych rycerzami się stała, biorąc książęce nadania. Ci polscy „rycerze“ musieli się raczej pilnować, żeby ich nie pomięszano z wyzwoleńcami, t. j. z uwolnionymi narocznikami, którzy do żadnego starego polskiego rodu nie należeli. Przed najazdem tatarskim stawali się wyzwoleńcy łazęgami: ale teraz, gdy tyle ziemi stało pustką, próbowali szczęścia i do ziemi i nieraz im się to udało. Książę niemiał w tem żadnego interesu, żeby ich utrzymywać w gorszych warunkach obywatelskich, niż innych; ale ci inni, potomkowie pierwotnych „ojczyców“ ziemi polskiej, mieli w tem interes, bo chodziło o ziemię. Nieraz książę gotów był przyznać wyzwoleńcom prawo do posiadania ziemi na równi z rodowymi. Tak n. p. opustoszały przez najazd tatarski

Łagiewniki pod Krakowem; zostało łagiewników tylko kilku. Da wną ich osadę nadał książę Bolesław Wstydliwy wielmożowi Mikułowi, a tych kilku przenosił równocześnie gdzieindziej, na nową osadę, ale już rolniczą i to nie niewolną. Była to łaska książęca. Jeden z łagiewników nie miał ochoty przenosić się do nowej osady i prosił o jakąś inną „zamianę"; chciał widać gospodarować sobie sam. Dał mu książę, o co prosił. Co więcej, zastrzegł książę, że gdyby który z tych dawnych jego łagiewników powrócił do Polski, gdyby się komu z nich udało zbiedz z jassyru, będzie miał prawo upomnieć się o źreb dla siebie! Było to zrównanie niewolników z wolnymi, bo tylko wolnym rodowcom przysługiwały dotąd takie prawa! Na każdym kroku znać opiekę Kościoła i książąt nad tą ludnością. W całym szeregu dokumentów czytamy o nadaniach, które należały „niegdyś" t. j. przed Tatarami do naroczników; jeżeli ta ludność ocalała, prawie zawsze zostaje teraz uwolnioną. Tak otrzymali wolność wszyscy narocznicy, gdy Bolesław Wstydliwy obdarzał ziemią klasztor w Staniątkach. Podobnież postąpił Gerard, dziekan kapituły krakowskiej, gdy dostał nadanie od księcia. W innej znowu okolicy oni sami zamieniają się z opatem na inną osadę; działają tedy zupełnie, jak wolni i własnowolni. Objawia się w Polsce coraz częściej dążność do zniesienia niewolnego przypisania do gleby. Z końcem XIII. wieku spotykamy się z nadawaniem ziemi na wieczyste posiadanie potomkom naroczników. Tak książe Przemysław Kujawski dał w r. 1298 ujazd Bartodzieje sześciu bartnikom, z wodami, lasami, pastwiskami i łąkami całego ujazdu. Tam nie mógł już nigdy osiąść nikt, ktoby nie był potomkiem owych sześciu pierwszych bartników. Dziedziczyć mieli ziemię spokojnie, a księciu nie byli powinni nic więcej, jak tylko corocznie na św. Michał 12 dużych krusz miodu. Powstawało więc w Bartodziejach nowe gospodarstwo rodowe, takie samo, jakie niegdyś prowadzili wszyscy wolni za pierwszych Piastów. Sprzeciwiało się to zupełnie prawu zwyczajowemu, bo według prawa po niewolnym nie mogli dziedziczyć boczni krewni, a ziemia po bezpotomnym wracała do pana. W ciągu XIII. wieku, a zwłaszcza po najazdach tatarskich, powstawały jednak z potomków niewolników nowe rody, rządzące się dawnem prawem rodowem rodowitych z dziada pradziada Polaków. To, co dla rodzimej ludności było już staro-

świecczyzną, gospodartwo rodowe, zaczyna się na nowo organizować wśród części wyzwoleńców, osiadłych na ziemi.

Skutkiem tatarskiego najazdu przedłuża się w Polsce organizacya rodowa na roli. Miał książę dużo wolnej ziemi do rozdania i czynił nadania chętnie; kto tylko chciał dostać posiadłość za wojskową służbę, dostawał ją bez trudności, bo księciu zależało na tem, żeby się pustki zagospodarowały na nowo. Ale podczas gdy przed tatarską nawałą łaska książęca i wojskowa służba były jedynym sposobem, żeby się wydobyć z przeludnionego już ujazdu rodowego i dojść do dobrobytu, to teraz się to zmieniło i było wielu takich, którzy nagle zostawali bogaczami bez łaski księcia i nie potrzebując przechodzić na „prawo żołnierskie". W Małopolsce ubyło tyle ludności! Z niejednego ujazdu rodowego nikt nie został, a z każdego ubyła przynajmniej połowa „stryjców". Ci, co pozostali, dziedziczyli po tamtych, którzy stracili życie, lub poszli w jassyr, a przez to „źreby" powiększyły się nagle. Nie brak było ujazdów, z których ledwie kilku pozostało i ci stawali się teraz właścicielami całego ujazdu. Jeżeli jeden tylko pozostał, zabierał cały ujazd dla siebie. Nie trzeba było prosić się księcia, a nie każdy miał ochotę chodzić na wojnę. Brak rąk roboczych zachęcał teraz na nowo do wspólnego gospodarstwa. Wspólność rodowa stała się w niejednym wypadku potrzebną i nie tylko przydatną, lecz nawet konieczną, żeby ręka rękę wspierała. Nie było w żadnym małopolskim ujeździe stryjców wielu, wystarczało dla wszystkich ziemi obficie! Kto więc żołnierzem nie chciał być, mógł się bez tego doskonale obejść, a być bogaczem, poprzestając na starem prawie, wymagającem danin w naturze i świadczeń z własnej pracy. Bywały wypadki, że pozostali przy życiu członkowie rodowego ujazdu, nie mogąc sami obrobić wszystkich swoich gruntów, puszczali część w dzierżawę i to rozmaicie, na daniny lub czynsze i ten dochód z dzierżawy był wspólną ich własnością rodową. Przed najazdem tatarskim miewali dzierżawców tylko wielmożowie „rycerze"; teraz miał ich niejeden, który niedawno sam dla siebie ziemi miał za mało. Przesadzano się też wzajemnie w podawaniu dzierżawcom jak najkorzystniejszych warunków, żeby tylko ich dostać, bo inaczej większa część posiadłości byłaby pozostała niezagospodarowaną pustką. Toteż jeżeli dla kogo nastały złote czasy, to z pewnością

dla dzierżawców. Garnął się więc do roli każdy łazęga i wyzwoleniec.

Zdarzało się, że wyzwoleńcy sięgali wyżej i próbowali zrównać się od razu z rycerzami. O pierwszym takim wypadku słyszymy na Ślązku, jeszcze za czasów Bolesława Wysokiego. Tam osiedlił książę w Raczycach czterech swoich komorników, a więc naroczników. Potomkowie ich zaczęli podawać się za dziedziców tej ziemi, a książę, chcąc im pokazać, że siedzą na ziemi tylko z łaski dopóty, dopóki się księciu podoba, kazał się im wynosić; rugował ich, zamieniając tedy na łazęgów. Uproszony jednak przez okolicznych „rycerzy“, dał się przebłagać i zostawił ich w Raczycach pod warunkiem, że mu dostarczą na każdą wyprawę jednego jeźdźca. A zatem zrobił ich z naroczników od razu rycerzami.

To był bądźcobądź wyjątek, bo z reguły okoliczni „rycerze“ nietylko nie wstawialiby się u księcia, ale przeciwnie, sprzeciwialiby się takiemu wywyższaniu wyzwoleńców. Władza książęca była też coraz słabsza, a dla książąt panujących na rozdrobnialych udziałach coraz trudniej było przedsiębrąć cokolwiek wbrew wielmożom i rycerstwu; z tych zaś każdy wolał sam ziemię dostać lub wykołatać ją dla którego ze swych krewniaków. Pod ich wpływem pojawiają się też w dokumentach zastrzeżenia, żeby potomkowie niewolnych, osadzani na nowo na ziemi, nie rościli sobie prawa do swobodnego dziedzictwa. Gdy rycerstwo polskie coraz bardziej zaczynało się trudnić gospodarstwem, chciało też posiąść jak najwięcej ziemi, na której wydzielali potem gospodarstwa swym osadnikom. Kto dostał ziemię wprost od księcia, ten szczęście zrobił. Kto ją dostawał od wielmoży, od rycerza, niemiał się sam na razie gorzej od tamtych pod względem majątkowym, ale dawał początek nowej warstwie ludności, ograniczonej pod względem prawnym, a która potem miała się znaleść w gorszych też materyalnych stosunkach. Ziemi wolnej było tyle, że można było dostać gospodarstwo za bądź co. Rycerz niewolników prawie nigdy nie miał po tatarskim najeździe; pod tym względem czasy nagle zmieniły się zupełnie. Nie miał mu kto ziemi obrobić. Z biedy dawał ją przeto do obrobienia każdemu łazędze, który tylko się zgłosił, i nie żądał za to nic więcej, jak tylko trochę pomocy podczas żniw i sianokosów. Dawano kawał ziemi na wyłączny użytek osadnika, jeżeli w zamian za to zgodził się trzy dni żąć, a jeden

dzień wiać i młócić na pańskiem. Wiadomość tę mamy z r. 1254. W następnym roku stanęła umowa jeszcze łatwiejsza do wykonania: jeden tylko dzień żąć i jeden kosić. Z r. 1280 mamy dokument, w którym pan ziemi żąda tylko, żeby mu przez dwa dni każdy kosił i zwoził siano. Któżby nie przystał na takie prawdziwie złote warunki? Za dwa do trzech dni robocizny na cały rok chleb dla siebie i dzieci! Toteż korzystali z tego łazęgi i nie wracali już na podegrodzia. Opustoszały dawne targi, upadły rzemiosła pod klasztorami, katedrami i grodami, bo o ziemię znowu było tak łatwo! Wznosiło się powoli na nowo rolne gospodarstwo po tatarskim najeździe, ale miasta się nie odradzały.

Wobec tego, że wszyscy tak się ubiegali o dzierżawców, począwszy od księcia, a skończywszy na ujazdowym stryjcu współwłaścicielu, nastały też złote czasy dla osadników z Niemiec. Już przed najazdem mongolskim byli nietylko na Ślązku, ale na Kujawach i w Krakowskiej ziemi nad Dunajcem. Teraz zaś, po takiem strasznem wyludnieniu, zaczęli napływać tysiącami, a to tem bardziej, że we własnym ich kraju nastały czasy niespokojne, nie dobre dla gospodarstwa. Nieporządki panujące pomiędzy Piastami były niczem w porównaniu z brakiem jakiegokolwiek ładu w Niemczech. Minęły czasy wielkiej potęgi królów niemieckich. Dynastya Hohenstaufów marniała w wojnach domowych, cesarz Fryderyk II., mając swe własne królestwo w południowych Włoszech, nie troszczył się o Niemcy. Jego potomkowie poginęli we walkach o włoskie dziedzictwo, a w Niemczech nie było pana. Doszło do tego, że żaden z możniejszych książąt nie chciał nawet być królem niemieckim, ani cesarzem. Czasy pomiędzy r. 1246 a 1272 są najgorsze, najsmutniejsze w historyi niemieckiej, a zowią się bezkrólewiem, bo naprawdę króla nie było. Zmieniło się to dopiero w r. 1272, gdy tron ofiarowano Rudolfowi Habsburgowi, praojcowi dynastyi, która stale potem rządziła w Niemczech i zasiada dziś na tronie cesarstwa austryackiego. Podczas bezkrólewia nie było żadnego prawa; kto był silniejszy, robił ze słabym co chciał. Powstało t. zw. prawo pięści, *Faustrecht;* silniejsza pięść dyktowała prawo i nie było na to rady. Zakwitnęły grody rycerzy-rabusiów i oni byli prawdziwą władzą. Ludność uciekała też tłumnie z Niemiec, a gdy najazd tatarski Polskę tak strasznie wyludnił, zwróciła się do nas całą ławą emigracya niemiecka. Ksią-

żęta byli im radzi, bo można było przez to szybciej kraj na nowo zagospodarować. Niesposób było czekać, aż się ludność krajowa powiększy przez przyrost naturalny[1]), chętnie więc witano Niemców. Za przykładem książąt ślązkich poszli też nietylko małopolscy książęta, ale i wielkopolscy, chociaż tam nie było tatarskiego najazdu.

Było w owych czasach najwyższą zasadą prawa, że każdy ma się rządzić swojem prawem, tj. prawem tem, wśród którego wzrósł, prawem społeczeństwa i stanu, z którego pochodzi. Niemiec miał się rządzić niemieckiem prawem, choćby nawet był pod polskiem panowaniem, a podobnież Polak, chociażby się znalazł pod władzą niemiecką, miał postępować w swych sprawach według swego prawa zwyczajowego. Nie przyśniło się wtenczas nikomu, żeby wszyscy mieszkańcy państwa musieli mieć jednakie prawo spadkowe, jednaki przewód sądowy, czyli postępowanie przy procesach, lub jednakie przepisy porządku w swojej osadzie. Porządku miał każdy pilnować po swojemu, jak mu dogodniej, byle tylko porządek był. Nie przeszło więc też nikomu przez myśl, żeby niemieccy goście mieli się stosować do prawa polskiego, żeby np. spadkiem dzielili się tak, jak to u Polaków było w zwyczaju. Pozostawiono im pod tym względem zupełną wolność i było to bardzo rozumnie. Przymus do podlegania obcemu prawu wyrodzić się musi z konieczności w bezprawie! Rzecz to bardzo prosta, bo gdzie nikt prawa nie zna, jakżeż może być posłuszeństwo prawu? Niemiecki dzierżawca nie znał polskiego prawa, a polski właściciel tak samo nie znał niemieckiego. Żeby więc nie było bezprawia, jedyna była rada, żeby sobie tylko wymówić wynagrodzenie za dzierżawę, a zresztą zostawić tym ludziom zupełną swobodę i dać im samorząd, żeby się sami między sobą rządzili swojem prawem niemieckiem, saskiem czy szwabskiem. Polscy dzierżawcy mogli uznać właściciela ziemi np. swym sędzią, bo on sądził ich według polskiego prawa; ale trudno było być sędzią nad Niemcami, których prawa się nie znało. Dla właściciela wielka była wygoda, że nie miał ze swymi dzierżawcami żadnych kłopotów, prócz czynszu i że nic go nie obchodziło, kto się z kim pobił, kto po kim

[1]) Tak zowiemy wzrost ludności przez samą tylko przewagę ilości urodzin nad ilością zgonów.

dziedziczy itp. Dla dzierżawców też wygodniej było i przyjemniej, że się sami mogli rządzić. Samorząd dogadzał obydwom stronom, toteż zaczęto wkrótce dużo wsi polskich przenosić umyślnie na „prawo niemieckie“, czyli na „prawo gości“. Czytamy nieraz w ówczesnych dokumentach, jak książę, opat lub prywatny właściciel polskich swych dzierżawców „równa z gośćmi“; to znaczy, że pozostawia ich familijne i majątkowe sprawy ich własnemu samorządowi, że się w to mięszać nie chce, a za wydzierżawienie ziemi chce czynszu gotówką, a nie danin w naturze ni robocizny. Wolał pieniądze, za które kupił sobie znowu niewolnika od żyda i kazał mu obrobić na potrzeby własne kawał ziemi koło swego domu, a o resztę się nie troszczył i miał dochody bez wielkich gospodarskich kłopotów.

GBURY I SZLACHTA.

Powstała więc nowa a bardzo liczna warstwa społeczna: dzierżawców. *Oni to są przodkami ludu wiejskiego w Polsce.* Byli zupełnie wolni, mogli i zamieszkać, gdzie chcieli i robić, co chcieli, a względem właścicieli mieli tylko te obowiązki, o które się umówili, biorąc dzierżawę. Kto się dorobił, kto miał pieniądze, mógł sobie ziemi kupić i sam zostać właścicielem; żadne prawo tego nie wzbraniało. Mógł się też przenieść z jednej dzierżawy na drugą, w inne strony, gdy mu się tak zdało lepiej, byle tylko uczynił zadość obowiązkom dzierżawnym u poprzedniego właściciela. Powstały też potem przepisy, co do warunków rozwiązania dzierżawy. Nie umawiano się bowiem, na ile lat ma być dzierżawa, ale zawierano umowę zawsze na czas nieograniczony tj. aż do wypowiedzenia. Przyjmowało się zawsze domysł, że dzierżawa ma być wieczystą i dziedziczną i tak też było z reguły. Właściciel kontent był, że ma kogo na roli, a dzierżawca miał wszelkie ułatwienia, żeby tylko siedział na miejscu i nie przenosił się gdzieindziej. Wyjątkowo tylko zdarzały się spory; potem dopiero, znacznie później, gdy kraj się już zaludnił, gdy znowu trudniej było o ziemię, niż o ludzi, okazała się potrzeba przepisów prawnych do oznaczenia, pod jakiemi warunkami wolno dzierżawę opuścić.

Niemieccy osadnicy wiejscy nazywali sami siebie w swoim języku „*gebuer*“. W tem słowie wymawia się *e* tylko z lekka, bardzo mało, tak, że w wymowie nie znający języka Polak rozu-

miał „gbur“ i stąd nazwa „gburów“. Urzędy nasze nazywały ich jednak zawsze „gośćmi“ lub „przybyszami“ (po łacinie: *hospites — advenae)*, toteż nazwa gburów przyjęła się tylko tam, gdzie urzędy były niemieckie. Wyraz „gebuer“ znaczy po prostu: włościanin, to samo, co w nowszym języku niemieckim „bauer“, które od tamtego pochodzi. Niemieccy osadnicy nazywali też „gburami“ nietylko siebie, ale i polskich dzierżawców, jako ludzi tego samego stanu. Pod zniemczonymi Piastami ślązkimi nastały niemieckie urzędy; na północy zaś, nad dolną Wisłą, przeszła część kraju pod panowanie niemieckich Krzyżaków. W dwóch tych częściach Polski nazywano nową warstwę społeczną z urzędu po niemiecku, a więc gburami i rzeczywiście nazwa ta tak się tam przyjęła i zakorzeniła, że oznacza tam do dziś dnia i to w polskim języku wiejskiego gospodarza, nie będącego szlachcicem, i to gospodarza zamożnego. Ponieważ wówczas w żadnym urzędzie nie pisywano jeszcze po polsku (tylko po łacinie), nie wiemy zgoła, jak po polsku nazywano w połowie XIII. wieku tych dzierżawców, którzy nie byli przybyszami z zagranicy. Nie wiemy, jak założyciele włościańskiego stanu sami siebie nazywali. Wyraz „chłop“ znaczył wówczas tyle, co „człowiek“.

Nie wiemy również, jak sami siebie nazywali właściciele ziemscy w przeciwstawieniu do swych dzierżawców. I jednych i drugich znamy tylko nazwy niemieckie. Niemcy spostrzegli, że właściciele należą do starej organizacyi rodowej, podczas gdy dzierżawcy polscy nie mają z nimi rodowego związku i dopiero tu i owdzie zaczynają organizować się na wzór tamtych. Nazwali więc Niemcy właścicieli ziemi całkiem słusznie rodowcami, co po niemiecku mówiło się: »*slahta*“. Z „gebuer“ zrobił się polski wyraz: gbur — a ze „slahta“: szlachta. Szlachtą nazywali wszystkich, którzy tylko mieli własną ziemię, a tych z pomiędzy szlachty, którzy mieli ziemię na „prawie wojskowem“, zwali rycerzami.

Takie były stosunki i taka rozmaitość wśród ludności wiejskiej. Co tylko ocalało z tatarskiego pogromu, jęło się pracy na ziemi. O przyszłość wsi polskiej nie byłoby kłopotu i bez Niemców. Wieś nigdy nie zaginie, bo ludzie najchętniej garną się do ziemi-żywicielki i wtenczas dopiero myślą o innych sposobach do życia, gdy gruntów dla wszystkich nie może już starczyć. Dlatego też Polska była zawsze krajem przeważnie rolniczym, bo za mało

miała ludności na tak dużą ziemię, żeby wytworzyć należycie te wszystkie warstwy społeczne, które są potrzebne do tego, żeby potęga narodu rozwinęła się wszechstronnie. Za mało nas było po tatarskim najeździe, a i później znowu nas było za mało w stosunku do posiadanej ziemi!

MIASTA NIEMIECKIE.

W Małopolsce nikt do miast nie wracał; przeciwnie, resztki mieszczaństwa powstającego z „łazęgów“ rzuciły się do wiejskiego gospodarstwa i z wielkopolskich miast niejeden wyruszył w Krakowskie lub Sandomierskie, żeby tu osiąść na dzierżawie. Nie sposób już było obejść się bez miast, a nie było na tyle ludności, żeby je dźwignąć na nowo rodzimemi siłami. Do tego użyto więc także niemieckich przybyszów.

Zakładane na nowo miasta, nie krępowane niczem, urządzały się wygodnie, korzystając już z doświadczenia poprzedniego pokolenia. Fundamentem miasta był targ. Wytyczano więc obszerny rynek na targi, a z niego na wszystkie strony ulice. Żeby miasto było obronne, otaczano je całe murem; przybywały potem rozmaite jeszcze obwarowania, gródki pod murami, wały, rowy wypełniane wodą, mosty zwodzone do bram miejskich i t. p. Obowiązek obrony murów miejskich spoczywał na mieszczanach; za to jednak byli oni wolni od wszelkiej innej powinności wojskowej. Miasta naczelnikiem był wójt, którym zostawał zazwyczaj dziedzicznie sam przedsiębiorca emigracyjny; on kierował całą administracyą wespół z radą miejską, złożoną z rajców, którzy pochodzili z wyboru. Do sądownictwa byli ławnicy, podobnie, jak po wsiach na prawie niemieckiem. Wójt pobierał rozmaite opłaty i miał także monopol młyna i karczmy. Daleko poza mury miejskie sięgał ujazd, tj. obszar ziemi będący własnością miasta. Temi gruntami dzielili się przybysze, a wójt brał szóstą część.

W założonem w ten sposób na nowo mieście nie wolno się już było osiedlić jakiemukolwiek łazędze. Przybysze zakładali miasto dla siebie i swoich dzieci, a nie dla obcych. Pierwsi mieszczanie tworzyli jakby jeden ród, a kto się z niego nie wywodził, nie miał w mieście żadnych praw, nie wolno mu było w mieście ani własności nabywać, ani handlować, ani założyć warsztatu. Do tego trzeba było pozyskać najpierw prawo miejskie, co nie było łatwą

rzeczą. Tak więc niemieccy emigranci powznosili szybko miasta na nowo, ale też zamknęli do nich przystęp Polakom. Nie mogło być polskiego mieszczaństwa, ażby się chyba spolszczyli potomkowie pierwszych mieszczan niemieckich. Kilkadziesiąt niemieckich rodzin nie mogło sobie oczywiście wystarczyć. Potrzebowali służby, parobków, pomocników, czeladników; napływało i tych sporo z Niemiec. Za dobrym zarobkiem przybywali ciągle nowi emigranci, ale ci nie byli już równymi tym pierwszym, dla których miasto założono. Tylko tamci byli panami w mieście; wszystkie urzędy były tylko dla nich i ich potomków. Powstały tedy dwie warstwy w miastach; potomkowie pierwotnych osadników utworzyli t. zw. patrycyat miejski, sprawujący rządy i mający do wszystkiego prawo, a reszta ludności tworzyła t. zw. pospólstwo, mające prawo tylko do szukania zarobku w granicach dozwolonych przez radę miejską.

W ten sposób założono na nowo zniszczony przez Tatarów Wrocław, zaraz po najeździe w r. 1242. W Wielkopolsce pozostały wprawdzie polskie osady miejskie, ale osłabione znacznie przenoszeniem się ludności na rolę. Nie były też polskie miasta jeszcze urządzone według osobnych dla siebie praw, jako dopiero wytwarzające się zwolna i czekające na stosowną dla siebie organizacyę. W Niemczech organizacya ta już się dawniej dokonała i przeniesiono ją gotową na Ślązk jeszcze przed najazdem tatarskim. Stamtąd byłaby się niewątpliwie i tak rozszerzyła w Polsce, ale nie byłby przytem zapanował w miastach żywioł niemiecki. Po najeździe zaś miasta nietylko przyjmowały prawo „magdeburskie“, ale też obywateli otrzymywały z Niemiec. W roku 1253 przeniesiono Poznań na prawo niemieckie i zniemczono zarazem. W roku 1255 zamieniono na takie miasta Lignicę i Sandomierz. Stolica Wielkoksiążęca, Kraków, powstawał jednak z gruzów własnemi polskiemi siłami; może tu garnęło się więcej polskiej ludności dlatego właśnie, że to była stolica; w każdym razie nie myślano o sprowadzaniu do Krakowa Niemców po pierwszym najeździe tatarskim. Ale po drugim najeździe zniemczył się Kraków i cały dalszy szereg miast polskich. A chociaż został na miejscu, zwłaszcza w Wielkopolskich miastach, ten i ów z dawnych polskich mieszczan, nic nie znaczył wobec nowych obywateli niemieckich, którzy zabierali rządy miasta i wprowadzali swój język

do urzędów miejskich. Można przeto powiedzieć, że skutkiem tatarskich najazdów zniknęły miasta polskie, a powstały natomiast miasta niemieckie w Polsce.

Aż do początków XIII. wieku wszystkie osady polskie były wiejskie i cała ludność wiejska, z wyjątkiem nielicznych mieszkańców, osiadłych pod głównymi grodami. W XIII. wieku zaczyna powstawać mieszczaństwo, a od połowy XIII. wieku ustaliły się już miasta, odgrodzone warownemi murami, z ludnością szukającą utrzymania w handlu, przemyśle i rękodziełach.

Związek tych miast niemieckich z naszą organizacyą państwową był nader słaby i luźny, a natomiast utrzymywały one ścisłe związki z miastami w Niemczech. Ponieważ w Polsce nie było znawców niemieckiego prawa, do których możnaby wnosić apelacyę od wyroków ławniczych, przyjęło się, że ci przybysze uznali sąd w Magdeburgu za swoją najwyższą instancyę. Niebawem zaś przystąpiły te miasta do wielkiego związku niemieckiego, zwanego „Hanzą“. W Niemczech zakwitnął handel. Wiejskiemu ludowi źle się powodziło, ale mieszczaństwu bardzo dobrze. Minęły już czasy, kiedyto na morzu spotykało się Normanów, Wikingów i słowiańskich Pomorzan. Niemcy nauczyli się żeglugi, byli zdolnymi kupcami, a usilną pracą, wielką rządnością i zapobiegliwością doprowadzili do tego, że w połowie XIII-go wieku mieli już połowę europejskiego handlu w swym ręku. Na czele niemieckiego ruchu handlowego stały trzy potężne miasta: Kolonia, Lubeka i Hamburg. Kupcy niemieccy mieli swoje składy towarów i kantory w całej północnej Europie. Już w XI. wieku tworzyli stowarzyszenie w Londynie, a w XII. założyli wielki kantor na drugim końcu Europy, w Wielkim Nowogrodzie. Dochodzili szybko do olbrzymich bogactw, bo umieli urządzać spółki i dobrze się w nich rządzili, a przytem trzymali się ścisłej solidarności. Nikt się nie wyrywał na swoją rękę, ale łączono się w stowarzyszenia kupieckie, które wszystkiem kierowały. W połowie XIII-go wieku mądra ta zasada solidarnych spółek sięgnęła jeszcze wyżej. Oto całe miasta łączyły się w związki kupieckie i tak powstała sławna Hanza, która z czasem stała się nietylko handlową potęgą, ale też polityczną. Właśnie w r. 1241 związał się Hamburg z Lubeką i to było Hanzy początkiem. W sto lat potem obejmowała Hanza już kilkadziesiąt miast, prowadziła wojny

na własną rękę i szafowała tronem duńskim, gdy kraj ten próbował wydobyć się z pod jej przewagi ekonomicznej. I nasze miasta do Hanzy należały, a czerpiąc z tego związku poczucie swej siły, próbowały stanowić nietylko o handlu, ale też i o polityce. I u nas próbowało potem niemieckie mieszczaństwo szafować polskim tronem i ciągnęło sprawę polską tam, gdzie tego wymagał nie polski interes, lecz niemiecki. Zniemczenie miast stało się istną kulą u nogi w rozwoju polityki polskiej.

NOWE ZAKONY.

W XIII. wieku powstał nieznany przedtem u osób świeckich prąd ascetyzmu, t. j. umartwiania ciała. Dał temu początek św. Franciszek z Asyżu we Włoszech (właściwie Jan Bernardone, zwany Francesco dla swej biegłości w języku francuskim), jeden z największych świeczników chrześcijaństwa, który życie swoje poświęcił na usługi ubogich i wzgardzonych. Ażeby się do nich skuteczniej zbliżyć, sam się skazał na zupełne ubóstwo, a raczej nie na ubóstwo, lecz na nędzę i nic nie posiadając, niczego zgoła z sobą nie biorąc, przebiegał wsie i miasta, spełniając względem najuboższych uczynki chrześcijańskie, a serca zamożniejszych krusząc wzruszającemi kazaniami. Chodziło mądremu słudze Bożemu przedewszystkiem o to, żeby bogaty nauczył się szanować ubóstwo, żeby nie gardził ubogim, bo pogarda taka wytwarza moralną przepaść pomiędzy bogatym a ubogim, wyradza się w nienawiść. Św. Franciszek z Asyżu należy do największych wynalazców ludzkości przez to, że wynalazł sposób na otoczenie ubóstwa czcią, że oddalił od biedy wstręt i obrzydzenie. Kazał uczniom swoim, żeby się sami stali żebrakami! Bojąc się, żeby jego zakon się nie zeświecczył i nie uległ losowi Benedyktynów i Cystersów, którzy byli już właściwie wielmożami w habitach, nakazał swym uczniom żebrać i żywić się tylko z jałmużny, zachowując jeszcze i tę ostrożność, że zabronił przyjmować jałmużny pieniężnej! Zaprowadził też ostrą regułę ascetyczną, pełną umartwień. Ascetyzm znany był w Kościele od dawna, ale u pustelników. Franciszkanie jednak nie mieli być pustelnikami, ale przeciwnie, żyć jak najwięcej z ludźmi i pomiędzy ludźmi, mieli brać żywy udział w życiu praktycznem, a pozostać żebrakami i pielęgnować ascetyzm. Robota dla nich wyznaczona była nie w klasztornych celach, ale na ulicach,

rynkach, po warsztatach, tam, gdzie zbierają się ludzie, gdzie ścierają się ludzkie interesy, gdzie się rodzą namiętności, tam wszędzie miał iść Franciszkanin i pilnować, żeby praktyczne życie, zdobywanie chleba i używanie dóbr świata odbywało się po chrześcijańsku! Od książęcego zamku do chaty pastucha, wszędzie mieli Franciszkanie wkroczyć i baczyć, żeby się słabszemu nie działa krzywda. Nie wytępili złych skłonności ludzkich, z któremi w każdem pokoleniu na nowo trzeba walczyć, ale uchronili Europę zachodnią od grożącej jej w XIII. w. rewolucyi socyalnej, a przyszłym wiekom wskazali, co w podobnych niesnaskach czynić należy. Przez ustanowienie tercyarzy przeprowadzali swe zasady wśród ludzi świeckich; pozyskali do tercyarstwa mnóstwo bogaczów i szereg książąt, a wśród ogółu pobożnych uprościli niezmiernie sposób życia, wyrugowali zbytek, nauczyli żyć skromnie, a bogactw używać rozumnie i po chrześcijańsku. Zakon ten powstał w r. 1211, ale dopiero w r. 1223 został ostatecznie zorganizowany i przez papieża zatwierdzony. Jestto niewątpliwie największy, najdonioślejszy wypadek w historyi Europy XIII. w.

U nas nie groziła socyalna rewolucya, bo nie było ani ucisku ludności przez książąt, ani pańszczyzny, ani prawa pięści, ani rycerzy-rabusiów. Ale nie brakło u nas zbytników, pysznych, samolubów i skąpców, a więc i nam zdali się Franciszkanie; zdali się i stanowi duchownemu, który z ludzi się składał, więc też miał swoje wady. Idea św. Franciszka potrzebna jest zawsze i wszędzie, potrzebną też była w ówczesnej Polsce. Bogaczom otwarły się oczy na wiele rzeczy, których przedtem nie widzieli i mieli dzięki Franciszkanom coś lepszego do roboty, niż olśniewać ubogich swemi bogactwami. Skromność zaczęła uchodzić za nowy obowiązek, nieznany przedtem. Już Henryk Brodaty nosił tylko tanie szaty, nie używał złota ni klejnotów. Najpierw zjawili się Franciszkanie na ziemi polskiej w Krośnie na Ślązku w r. 1221, a więc jeszcze przed nadaniem im formalnej reguły zakonnej przez papieża. Do Krakowa przybyli w r. 1237.

Miłość bliźniego okazywana praktycznie ubogim sprowadziła w tym samym czasie do Polski zakon szpitalny Duchaków, którym biskup krakowski Iwo wystawił szpital w r. 1220 na Prądniku, a gdy ten przepadł wśród tatarskiej nawały, przeniósł

ich do miasta, za obronne mury. We Wrocławiu byli Duchacy już r. 1214.

Trzecim nowym zakonem byli Dominikanie. Założyciel ich, Hiszpan, św. Dominik, poświęcił się nawracaniu sekty Albigensów, powstałej w południowej Francyi. Orężem jego zakonu kaznodziejstwo i pilna nauka teologii, żeby tem snadniej strzedz czystości wiary. Jestto więc zakon nauczający. Dla nas bardzo był pożądany, bo parafij jeszcze było mało, a obowiązek nawracania schyzmatyckiej Rusi dla braku duchowieństwa zaniedbany. Pierwszym polskim Dominikanem był Ślązak, imieniem Jacek, rodem ze wsi Kamienia, który przybył ze Ślązka do Krakowa na naukę wraz ze swym krewnym, późniejszym biskupem Iwonem. Pochodzili z rodu Odrowążów. Przyjąwszy święcenia kapłańskie, został św. Jacek wkrótce kanonikiem; następnie pojechał z biskupem do Rzymu. Przebywał tam właśnie naówczas św. Dominik, a nasz rodak przystał do jego uczniów. Wracając na północ, odbywał misye w Tyrolu. W Rzymie pozyskał sobie towarzysza w osobie świątobliwego Polaka, Czesława, i z nim razem wrócił do Krakowa, gdzie otrzymali budujący się właśnie kościół św. Trójcy. Święty Czesław odbył z Krakowa podróż do pobratymczej Pragi, a w powrocie zatrzymał się dłużej we Wrocławiu i założył tam klasztor. We Wrocławiu też był kres jego żywota. Sam zaś św. Jacek wybrał się na wschód, do Kijowa, pomiędzy schyzmatyków. Tam cztery lata przebywszy i założywszy klasztór, podążył na północ i znowu w Gdańsku zakon urządził. Umarł w Krakowie w r. 1257, kanonizowany w r. 1504.

Nietylko Dominikanie, ale też Franciszkanie poświęcili się misyjnej pracy nad schyzmą ruską. Dominikanów wprowadził do Kijowa św. Jacek w r. 1228, a w r. 1238 były już obydwa zakony w Haliczu; nadto Dominikanie w r. 1242, zaraz po najeździe mongolskim, w Przemyślu, a w r. 1270 dalej na wschodzie, we Lwowie.

Czwartym nowym zakonem byli Augustyanie, którzy łączyli prace dominikańskie i franciszkańskie, a mieli znacznie lżejszą regułę. Powstali w r. 1244. U nas nie rozszerzyli się i aż do r. 1350 powstały ledwie trzy augustyańskie klasztory w Polsce.

Od czasów Kazimierza Sprawiedliwego aż do pierwszego najazdu mongolskiego przybyło klasztorów 29, w czem franci-

szkańskich 3, dominikańskich 6, cysterskich 7. Najwięcej fundatorów znajdowali Cystersi, dla tej prostej przyczyny, że byli gospodarzami, rolnikami i budowniczymi; był więc z nich praktyczny użytek dwojaki: duchowny, boć to zakonnicy i świecki, bo umieli urządzać osadnictwo rolnicze lepiej od wszystkich emigranckich przedsiębiorców. Bogiem a prawdą, ulatywał też coraz bardziej z tych klasztorów duch zakonny, a wzmagał się coraz bardziej duch przedsiębiorczy. Tak każdy zakon ma czasy swego rozkwitu, spełni swe zadanie, a potem nowe czasy potrzebują znowu nowych zakonów i zazwyczaj je też znajdują.

Straszliwa tatarska nawała wstrząsnęła do głębi całem społeczeństwem. Ludzie złamani nieszczęściem, pozbawieni rodzin i dorobku pracy wielu lat, niepewni, czy najazd się nie powtórzy, w trwodze o ziemskie powodzenie poczuli — jak zwykle bywa — równocześnie trwogę sumienia. Najazd przedstawił im się jako ciężka kara za grzechy. Po najeździe, pod wpływem strasznego ciosu, tysiące zwróciły się do Boga, bo — trwoga! A każdy z nich chciał dać swej pobożności jakiś znak widomy, ubogi wrzucał do skarbony grosz, bogacz fundował klasztory. Pod wpływem trwogi spełniali uczynki prawdziwie bogobojne ludzie wcale nie bogobojnie usposobieni. Cóż dopiero tacy, którzy naprawdę mieli Boga w sercu! Ten ogólny pobożny nastrój wyszedł też oczywiście na dobre społeczeństwu, bo powiększył się wpływ osób zapatrujących się na życie głębiej, ściśle według chrześcijańskiej moralności, bo podniósł ogólny stan moralności w społeczeństwie.

ŚWIĘCI POLSCY PATRONOWIE.

Po najeździe tatarskim wzmógł się też bardzo ascetyczny prąd i sięgnął nawet o wiele dalej, niż tego wymagał św. Franciszek od osób świeckich. Odznaczył się w tem książę Wielkopolski Przemysław, który przez wielki post nosił włosiennicę, wstawał o północy na modlitwę i ślubował od miodu. Wielki książę krakowski, Bolesław Wstydliwy, chociaż żonaty, żył jak mnich, w zupełnej powściągliwości. Wiele osób zamożnych, a zwłaszcza niewiast, wstępowało do klasztorów. Pomiędzy pierwszym a drugim najazdem tatarskim, w ciągu zaledwie 18 lat (1241—1259) powstało klasztorów 27. Prawda, że znowu cysterskich było najwięcej, bo ośm, ale dominikańskich już siedm i sześć franciszkańskich świadczą,

że nowe idee znajdowały coraz liczniejszych zwolenników. Powstało też nadto kilka żeńskich klasztorów franciszkańskich, t. z. Klarysek, któremi księżne polskie wielce się opiekowały.

Wzmożona w społeczeństwie pobożność wydała nawet kilka najszczytniejszych kwiatów: świętych Pańskich i błogosławionych, uznanych przez Kościół i wyniesionych na ołtarze. Była już mowa o świętych: Jacku i Czesławie. W tychże czasach żyła w norbertańskim klasztorze Zwierzynieckim pod Krakowem pobożna mniszka, imieniem Bronisława, która za zezwoleniem przełożonych spędziła kilkanaście lat w pustelni na wzgórzach na zachód od Krakowa, zwanych Sikornikiem. Kanonizowana w XIX. dopiero wieku przez papieża Grzegorza XVI. (który panował od 1831—1846).

I na książęcych dworach nie brakło świętych. Świątobliwa małżonka Henryka Brodatego, Jadwiga z rodu frankońskich hrabiów, wyszła za mąż mając nie całych lat 13; powiła mężowi siedmioro dzieci, poczem zamieszkała w klasztorze trzebnickim, gdzie ksienią była jej córka Gertruda, i wytrwała tam lat 30; pędziła życie jak najsurowsze. Kanonizowana w 24 lat po śmierci w r. 1267 przez papieża Klemensa IX. Podobnież pokutniczy żywot wiodła św. Salomea, córka Leszka Białego, zamężna za królewiczem węgierskim Kolomanem, owym „królem halickim“, który stracił życie podczas najazdu tatarskiego. W cztery lata po śmierci męża wstąpiła do Klarysek i w dwóch ich klasztorach, w Zawichoście i w Skale, przebyła 23 lat. Umarła w r. 1268. W r. 1673 pozwolił papież obchodzić jej pamiątkę w Kościele. Żona Bolesława Wstydliwego, błogosławiona Kunegunda czyli Kinga, żyła podobnież nabożnie, a w trzy dni po śmierci męża wstąpiła do Klarysek w Starym Sączu, gdzie 13 lat spędziła. Umarła w r. 1292, beatyfikowana w r. 1690. Lud góralski opowiada o niej wiele pięknych legend; jej cudownemu działaniu przypisują też odkrycie salin, tj. kopalni soli w Bochni. W poczet błogosławionych została też zaliczona Grzymisława, żona Leszka Białego, zmarła w r. 1258; była z rodu księżniczką ruską, córką Ingwara, księcia łuckiego. Podobnież została beatyfikowaną w r. 1827 błogosławiona Jolanta, księżna kaliska, żona Bolesława, zwanego Pobożnym, z rodu królewna węgierska, córka Beli IV., która owdowiawszy w r. 1279 wstąpiła do Klarysek w Gnieźnie.

Pokolenie pałające myślą o niebie trapiło się tem, że żaden

Polak nie był jeszcze kanonizowany. Patronem Wielkopolski był św. Wojciech, Czech z rodu; Małopolska całkiem patrona nie miała, aż Kazimierz Sprawiedliwy uprosił u papieża w Rzymie, żeby posłał do Krakowa jakie relikwie i wtenczas przywieziono do Krakowa ciało rzymskiego męczennika, św. Floryana. Po najeździe tatarskim powzięli Dominikanie myśl, żeby się starać o kanonizacyę biskupa Stanisława Szczepanowskiego, którego grób słynął cudami. Poparło te starania całe społeczeństwo, nietylko sami duchowni, a gdy po przeprowadzonych zwykłych dochodzeniach żądanie okazało się słusznem, ogłosił papież Innocenty IV. krakowskiego biskupa świętym. Było to w r. 1253. Na uroczyste ogłoszenie papieskiej bulli zjechali do Krakowa wszyscy Piastowie, wszyscy biskupi i opaci i tłumy ludu nietylko z całej Polski, ale też z Czech i Węgier. Odbyła się wówczas uroczysta procesya na „Skałkę“, do miejsca męczeństwa św. Stanisława, a wzięli w niej udział także książęta z Wielkim księciem Bolesławem Wstydliwym na czele. Odtąd weszło w zwyczaj, że każdy nowy monarcha po wstąpieniu na tron procesyę tę odbywał; szło się brzegiem Wisły, prosto z Wawelu na Skałkę. Relikwiami św. Stanisława obdzielono wszystkie znaczniejsze kościoły polskie; część ręki posłano do pobratymczej Pragi czeskiej.

NIEMIECKIE DUCHOWIEŃSTWO.

Kościół stał ciągle na czele społeczeństwa, bo pilnował przedewszystkiem sam u siebie porządku. Podnosiła się też coraz bardziej karność i wykształcenie polskiego duchowieństwa. Już ustępują z pola księża żonaci, celibat tj. bezżeństwo zwycięża w całym kraju; już księża oddani wyłącznie swemu powołaniu, wzbudzili u ogółu ludności poszanowanie dla nauki, a u niejednego pragnienie, żeby ją posiąść. Mnoży się zastęp uczonych, kwitną szkoły katedralne i kollegiackie. Gdy czwarty sobór laterański nakazał w r. 1215, żeby księża zakładali szkoły przy każdej parafii miejskiej, nie było u nas żadnych trudności w spełnieniu tego zlecenia.

Ale przy gwałtownym napływie niemieckiej ludności poczynało zagrażać zniemczenie nawet Kościołowi polskiemu, tej zasadniczej ostoi narodowego życia!

Za niemieckimi osadnikami przybyło też do Polski nieco ich duchowieństwa, ażeby sprawować powinności kapłańskie pomiędzy

naszymi „gośćmi“. Rzecz całkiem słuszna; przecież Niemiec niemógł korzystać ani z polskiego kazania, ani też spowiadać się po polsku i było to prostym obowiązkiem naszych biskupów, żeby dopuścili do swych dyecezyi niemieckich księży, skoro już mieli niemieckich dyecezyan. Ten obowiązek chrześcijańskiej uczciwości spełnili nasi biskupi najzupełniej. Ale niemieccy księża nie chcieli zrozumieć nawzajem tego, co było znowu ich obowiązkiem i zabrali się do prowadzenia u nas niemieckiej polityki. Klasztory niemieckie, cysterskie i franciszkańskie, przestały przyjmować Polaków do nowicyatu!! Zdawało im się, że tylko Niemiec godzien jest poświęcić się służbie Bożej! Cel był widoczny: żeby coraz mniej było polskich zakonników, żeby niemczyć polską prowincyę kościelną. Miasta były niemieckie i do szkół miejskich parafialnych nie chciano przyjmować na nauczycieli polskich księży! Te szkoły nie były przecież tylko dla miast, ale dla całego kraju i polska młodzież musiała mieć do nich dostęp; trzeba więc było nauczyciela, któryby mógł się porozumieć z polskimi uczniami. Niemieccy księża-nauczyciele nie chcieli się jednak uczyć po polsku, tylko żądali, żeby młodzież dla nich uczyła się po niemiecku! Stawali się ci księża coraz śmielsi i zaczęli się wdzierać na polskie parafie wiejskie. Po najeździe tatarskim, z ogólnym ubytkiem ludności ubyło też duchowieństwa polskiego. Rozbudzony zaś równocześnie silny prąd religijny, wielka społeczeństwa pobożność, sprawiała coraz nowe fundacye; wznosiły się nowe kościoły, powstawały nowe parafie, których nieraz nie można było obsadzić Polakiem, dawano je więc chętnie Niemcowi, gdy się zgłosił. Skoro ksiądz niemiecki podejmował się z własnej ochoty być plebanem wśród Polaków, czyż nie rozumiało się samo przez się, że nauczy się po polsku? Inaczej nie będzie mógł parafian swych uczyć zasad wiary św., ani odbywać z nimi praktyk religijnych, ani udzielać im Sakramentów św. W społeczeństwie niemieckiem nastało w XIII. wieku jakieś ogólne haniebne zdziczenie. Ksiądz niemiecki parafię polską wziął, ale po polsku się nie uczył i z całej parafii obchodziła go tylko... dziesięcina. Franciszkanin nawet niemiecki tracił coś z cnót śgo. Franciszka, gdy polską mowę zasłyszał! Nieprawdopodobne a jednak prawdziwe! Najzacniejsi, póki sami między sobą, woli Bożej oddani, w tem jednem z wolą Bożą pogodzić się nie mogli, i jakby za złe Panu Bogu mieli, że i Pola-

ków także stworzył. Dużo z tego było kwasów i tylko rozumowi naszego duchowieństwa i dzielności społeczeństwa zawdzięczamy, że sprawa kościelna nie poniosła przy tem szwanku.

Po klasztorach nie sami tylko byli Niemcy; z początku było więcej nawet Francuzów i Wallonów, a dopiero po tatarskich najazdach Niemcy stanowili większość wśród cudzoziemskiego duchowieństwa, dopiero też wtenczas rozpoczynają się narzekania, że nietylko nie spełniają swych obowiązków, ale nawet źle się przysługują krajowi, wśród którego działać im wypadło. Dużo w tem było winy zniemczonych Piastów ślązkich; za ich to wpływem pojawiły się pierwsze próby, żeby do klasztornych nowicyatów nie przyjmować Polaków. Mamy ciekawe przykłady, jak zakonnicy dopomagali do niemczenia Ślązka.

Z dawniejszych jeszcze czasów, z czasów Piotra Własta, przemożnego możnowładcy za Krzywoustego i Władysława II., była przy kościele na Piasku we Wrocławiu fundacya Kanoników regularnych. Zakonnicy ci posiedli następnie jeszcze klasztory w Kamienicy, w Nowimburku, w Żeganiu. Najstarsi z nich byli pochodzenia wallońskiego, ale potem przyjmowano już samych tylko Niemców, bo tak chciał książę i kazał do dóbr klasztornych sprowadzać osadników niemieckich. W ten sposób dawne majątki Piotra Własta koło Wrocławia zamieniły się na okolicę niemiecką. Kiedy z końcem XII. wieku ustępowali Benedyktyni z klasztoru św. Wincentego we Wrocławiu, sprowadzono na ich miejsce z Niemiec Norbertanów (zwanych tam Premonstrantami), a ci zaprowadzili zaraz niemiecką kolonizacyę w swych obszernych posiadłościach koło Kostynlota. Germanizacyę Opola rozpoczęli Norbertanie z Czarnowąsów. Wszyscy ci zakonnicy, pobożni, pilni i zacni, byli z razu nieświadomem narzędziem w ręku ślązkich książąt, z czasem przyzwyczaili się jednak do tego, aż wreszcie sami poczęli występować zaczepnie przeciw ludności polskiej. Jedni tylko Dominikanie, wprowadzeni na Ślązk przez św. Czesława, pamiętali o potrzebach religijnych polskiej ludności; wszyscy inni oswoili się już z tem, że ich polska ludność nic nie obchodzi. Tego wymagała władza świecka; inaczej nie dostaliby fundacyj książęcych! Dochowały się ciekawe dwa listy czeskiej królowej Kunegundy w tej sprawie. Królowa ta pisała z wyrzutami do córki Henryka Pobożnego, Agnieszki, która była ksienią w Trze-

bnicy (zmarła 1272 r.) o to, że użycza swej opieki Franciszkanom niemieckim, a nie pamięta o polskich lub czeskich, chociaż sama za Polkę powinna się uważać. W drugim liście, pisanym do jednego z kardynałów, pisze wprost, że Franciszkanie niemieccy dążą do tego, żeby wytępić Franciszkanów czeskich i polskich.

Kościół polski stanął w obronie poniewieranego społeczeństwa. Na synodzie odbytym w październiku 1257 uchwalili biskupi polscy, że do żadnej szkoły parafialnej nie wolno przyjąć nauczyciela, któryby nie władał językiem polskim. Pomimo to działy się dalej nadużycia. Na następnym synodzie w r. 1285, wystąpili biskupi z całą stanowczością i surowością. W statutach synodalnych powiedziano, że skoro klasztory fundowane są za polskie pieniądze, skoro polskie społeczeństwo je żywi, więc Polakom winny przynosić pożytek; zagrożono, że się odbierze fundacyę klasztorowi, któryby odmówił przyjęcia Polaka do nowicyatu. Księżom po parafiach przykazał synod wykładać co niedzielę po polsku pacierz i ustęp z ewangelii na ten dzień przypadający, ze stosowną nauką. Zaprowadzono więc przymus polskiego kaznodziejstwa. Na nauczycieli zaś wszelkich szkół pozwalał synod przyjmować tylko takich, którzy ucząc łaciny potrafią udzielać chłopcom objaśnień po polsku.

I te surowe postanowienia nie wszędzie pomogły. Książęta bowiem niemczyli się, mieszczaństwo niemieckie wzbijało się w coraz większą potęgę, a stosunki polityczne były coraz gorsze dla nas, tak, że trzeba było z orężem w ręku bronić się, żeby z całą Polską nie stało się to, co się już stało ze Ślązkiem. Nastały ciężkie czasy i podziwiać trzeba siłę, żywotność i poświęcenie polskiego społeczeństwa, które nie szczędząc żadnych wysiłków, nietylko uporało się z niemczyzną, ale zachowało naszej Polsce najbardziej słowiańską cechę ze wszystkich państw pobratymczych.

UPADEK POLITYCZNY.

Polska, choć podzielona, mogła była znaczyć coś w polityce, gdyby jej książęta byli między sobą zgodni. Niezgody, swary, wojny domowe dzielnicowych książąt sprawiły, że o żadnej polityce zgoła myśleć nie można było. Osłabienie politycznej siły całego państwa postępowało też coraz bardziej, a gdy który z książąt miał kiku synów, gdy dla nich wyznaczał nowe osobne dzielnice,

z powstaniem każdej takiej dzielnicy budziła się tylko obawa, że będzie jeszcze więcej wojen domowych o granicę, o gród jaki drewniany, o jakąś wreszcie obrazę. Temu mogło zapobiedz tylko społeczeństwo samo, porzucając książąt lekkomyślnych, mniej zdolnych i mniej rozumnych, takich, którzy nie umieli się zdobyć na nic więcej ponad to, żeby bratu lub synowcowi zabrać parę wiosek, a popierając takiego, który sobie przypomni, że Polska ma do spełnienia doniosłe zadania polityczne. Gdyby się pojawił książę taki, choćby najdzielniejszy i najrozumniejszy, nicby nie sprawił, skoroby go sąsiedni krewniacy ciągle opadali, pókiby nie miał poparcia całego społeczeństwa. Póki ono przypatrywało się dosyć obojętnie walkom książąt między sobą, póki ich samo do zgody nie zmuszało, nie było nadzieji lepszych czasów. Musiało więc najpierw społeczeństwo samo dojrzeć politycznie, i swoją politykę Piastom narzucić, popierając tego z nich, który ją przyjmie za swoją.

W r. 1240 dzieliła się Polska na sześć dzielnic, z tych pięć pod panowaniem Piastów, a jedna — Pomorze — pod osobną swoją nową dynastyą. Po synach Krzywoustego pozostały trzy gałęzie Piastowskiego rodu: potomstwo Władysława II., Mieszka Starego, i Kazimierza Sprawiedliwego. Ślązk przez wymarcie linij bocznych, skupiony był w ręku jednego książęcia, Henryka Pobożnego. Dziedzictwo Mieszka Starego podzielone było od 1239 roku pomiędzy dwóch jego prawnuków: panującego w Poznaniu i Gnieźnie Przemysława i władającego w Kaliszu Bolesława Pobożnego. W Sandomierskiem rządził wnuk Kazimierza Sprawiedliwego, Bolesław Wstydliwy, a na Kujawach, w Łęczycy i na Mazowszu młodszy syn Sprawiedliwego, Konrad I. „mazowieckim“ zwykle zwany. Kraków był w mocy księcia Ślązkiego. Piastowskich więc księstw było r. 1240 pięć: Ślązk, Kujawy, Sandomierskie, Kaliskie, Poznańskie. (Krakowskie przechodziło od jednej gałęzi Piastów do drugiej, jako Wielkie Księstwo z prawem zwierzchnictwa). Pięć działów, to pięciokrotne osłabienie potęgi dynastyi; a to było jeszcze stosunkowo dobrze, gdyż w najbliższych ośmiu latach, do r. 1248 miało przybyć nowych dzielnic... dziewięć; w r. 1248 było książęcych działów czternaście.

Minęły czasy wielkich wypraw wojennych zagranicznych, bo rozdrobnione państwo nie mogło się odważyć na wielkie przedsięwzięcia. Nie o podboje chodzi, nie o zabory cudzej ziemi;

nie czyniono tego ani przedtem. Dawne wyprawy kijowskie nie miały nigdy na celu podboju Rusi, lecz tylko wciągnięcie sił waregskich książąt w koło polityki Piastowskiej, a przedewszystkiem zabezpieczenie własnych granic od tej ściany. Chodziło o to, żeby Ruś pomogła do wytworzenia wielkiej słowiańskiej potęgi, a przynajmniej, żeby do tego nie przeszkadzała. Wojny ruskie były tylko środkiem, a cel był całkiem gdzieindziej. Celem było zajęcie ziem zaodrzańskich, wyrwanie Pomorza i Połabia z pod wpływu Niemiec, do czego trzeba było wytworzyć wielką polityczną potęgę, taką, któraby każdej chwili mogła się zmierzyć z Niemcami. To już przepadło. Walki z Rusią zajęły dużo czasu i sił, a wynikiem ich była: utrata Grodów Czerwieńskich. Polska w podziałach nie tylko nie zdołała narzucić Rusi swej przewagi politycznej, ale nie mogła się nawet zebrać na odzyskanie utraconej wschodniej połowy ziemi Lachów. Bezradnie musiano zezwolić na powstanie osobnej dynastyi na Pomorzu, która się stała nową zawadą w polityce nad Bałtykiem, aż też w końcu przestano nawet myśleć o tej sprawie. Nawet od Prusaków bronić się nie umiano i wezwano do tego obcych. Tak tedy na wszystkie strony istne wyrzeczenie się wszelkiej polityki zagranicznej. Dawny Piastowski ideał, żeby pod polską Koroną zebrać zachodnią Słowiańszczyznę, połączyć Polskę z Połabiem i Pomorzem w jedno wielkie państwo, i Czechy wyrwać z niemieckiego związku, ten ideał Bolesławów, żadnemu z tych dzielnicowych książąt, którzy rządzili około r. 1240, ani się nie przyśnił.

Było niegdyś Królestwo polskie świetne, wielkie, potężne, ale tylko dzięki temu, że następowali po sobie dzielni monarchowie. Gdy tylko nastąpił mniej zdolny, zaraz państwo upadało, a gdy nastał nieudolny, nastąpił upadek taki, że ledwie się można było wydźwignąć z przepaści. Bo państwo było wówczas potężne tylko przez królów, a nie przez społeczeństwo. Wielki monarcha mógł je zawsze podnieść chwilowo, ale też tylko na czas niedługi, póki starczyło jego samego. Tylko społeczeństwo samo może zapewnić państwu trwałe powodzenie.

CZĘŚĆ III.

Państwo przez społeczeństwo wytworzone.

ROZDZIAŁ I.

NOWE PAŃSTWA OŚCIENNE.

W połowie XIII. wieku wszystko do około Polski zmieniło się; powstało nowe królestwo ruskie; czeską koronę uznał papież, a Czechy stały się silnem i potężnem państwem; ostatnie zaś w Europie pogańskie narody, tworzące szczep bałtycki, częścią ujarzmione, częścią same dobrowolnie chrześcijaństwo przyjmują; powstaje z pogan nowe litewskie królestwo. Nad Bałtykiem zaś tworzy się nowe państwo niemieckie, wyzywające do walki wszystkich sąsiadów. Cała północno-wschodnia Europa przybiera zupełnie nową postać.

KRÓL RUSKI DANIEL.

Ruś doznawszy już dwóch najazdów tatarskich, w r. 1224 i 1241, przeszła pod zwierzchnictwo pogan. Tatarzy nie usuwali nigdzie książąt rodzimych; owszem, zostawiali ich chętnie, jeżeli tylko uznali zwierzchnictwo hana. Oni sami bezpośrednio rządami się nie zajmowali; chodziło im tylko o haracz i radzi byli, że ruscy książęta sami się zajmowali wybieraniem go z pośród ludności. Czem regularniej i ściślej oddawał książę daninę hańskim wysłannikom, t. zw. baskakom, tem większe miał łaski u hana. Korzystali z tego książęta Suzdalscy i pod tatarską opieką wybili się wkrótce na naczelne stanowisko Wielkich książąt. Wielki książę otrzymywał od hana na znak uznania kaftan honorowy, t. zw. *jarłyk*, po który posyłał zazwyczaj poselstwo z wielkimi darami. Musiał też złożyć hołd, który odbywał się przez ucałowanie hańskiej stopy.

Niekiedy han zwalniał Wielkiego księcia od obowiązku stawienia się w Hordzie, a ceremoniał hołdu odbywał się wtakim razie w ciekawy sposób. Oto han przesyłał do Moskwy odcisk swej stopy, który przewożono uroczyście w kosztownej zamkniętej skrzynce. Ten odcisk całował Wielki książę wobec tatarskich posłów i dostawał za to jarłyk. Skrzynka zaś, jako najdroższy klejnot państwa, zawieszona była nad wielkoksiążęcym tronem. Zwano ten odcisk hańskiej stopy: *basma*.

Haracz tatarski był tak wielki, że jeżeli panujący książę chciał oprócz tego mieć jeszcze coś dla własnego użytku w skarbie, musiał się dopuszczać zdzierstw. Płaciło się tę daninę azyatyckim sposobem od ogniska domowego, t. j. od każdego samodzielnego gospodarstwa. Uciśniony lud ruski wynalazł sposób umniejszenia sobie ciężaru tej daniny. Żonaci synowie nie zakładali własnych domów, ale pozostawali przy ognisku ojca. Bracia, a nieraz synowcowie, i siostrzeńcy, z żonami swemi i rodzinami, żyli razem, przy jednem wspólnem ognisku domowem. Spadku po ojcu nie dzielono, lecz pozostawiano umyślnie niepodzielony, na wspólne gospodarstwo, żeby baskak tatarski nie mógł zarzucić, że udają tylko rodową wspólnotę, żeby oszukać skarb hański. Książęta nie sprzeciwiali się temu; woleli dać hanowi mniej, a sami sobie więcej pozostawić. I tak przez ten tatarski system skarbowy cofnęło się ruskie gospodarstwo i cały stan cywilizacyjny Rusi Zaleskiej. Przepadł tam zupełnie indywidualizm, jednostka ginęła w rodzie. Cofnięto się do pierwotniejszego gospodarstwa, a ze wspólnoty rodowej powstał następnie t. zw. *mir*, polegający na tem, że grunta pewnej wsi są wspólną własnością wszystkich ojców rodzin z tejże wsi; co kilka lat następuje nowy podział, t. j. wyznacza się, kto gdzie ma gospodarować, ale osobistej własności nigdy nikt nie posiada. Jakkolwiek bowiem książęta moskiewscy wybili się potem z pod mongolskiego jarzma, pozostawili jednak u siebie dawny system podatkowy tatarski. „Mir“ istnieje do dziś dnia między ludem moskiewskim i dopiero za naszych czasów zaczynają powstawać na tę przestarzałą formę gospodarstwa.

Kiedy potem Turcy podbili Słowiańszczyznę południową i zaprowadzili azyatycki system podatków pomiędzy Serbami i Bułgarami, nastąpił i tam zwrot do wspólnoty rodowej, zwanej

tam *zadrugą*. Tak przez zwierzchnicze panowanie Azyatów cofnęła się cywilizacya w znacznej części Słowiańszczyzny.

Nieszczęśliwa Ruś powraca w drugiej połowie XIII. wieku do tego sposobu gospodarowania i do tej organizacyi społecznej, od której poczynał się historyczny rozwój narodów. W Polsce ginąca już niemal całkiem wspólnota, zyskała przez najazd tatarski zwolenników na nowo, ale na Rusi cofnęło się do tej organizacyi niemal całe społeczeństwo. Upadała potem znowu wspólnota w miarę, jak część ziemi ruskich przechodziła z pod panowania tatarskiego pod litewskie i polskie; zagnieździła się zaś i utrzymała najdłużej na Rusi Nowej, w Suzdalszczyźnie, która nietylko najdłużej zostawała pod tatarską zwierzchnością, ale też sama wiele od mongolskich ludów przejęła.

Sprawy czerwono-ruskie opuściliśmy na roku 1227, kiedyto w Haliczu objął rządy królewicz węgierski Andrzej, ożeniony z córką księcia nowogrodzkiego, Mścisława Udałego. Jak każde panowanie na Rusi, tak też i to nie było trwałe. Do walki o Halicz wystąpił sąsiedni książę włodzimierski Daniel Romanowicz, wojownik szczęśliwy, któremu udało się już opanować Podole, dorzecze Piny, Drohobuż i Łuck. Z Halicza dwa razy wypędzany, zawładnął wreszcie tym grodem po raz trzeci w roku 1239. Gdy w trzy lata potem zagarnął także Kijów, miał panowanie tak rozległe, jakiego już dawno na Rusi nie widziano, od źródeł Dniepru aż po Karpaty. Po najeździe tatarskim podnieśli przeciw niemu bunt bojarowie, ale ostatecznie, po kilkoletniej walce z księciem czernichowskim Rościsławem, musieli się bojarowie poddać, a Daniel był od roku 1249 pewnym już swego. Dokonał nowego podziału Rusi na dzielnice książęce pod swojem zwierzchnictwem. Synom swym wyznaczył udziały za życia, osadziwszy w Haliczu Swarna, a Lwa (t. j. Leona) w Przemyślu. Dla Lwa wystawił następnie dalej na wschodzie nowy gród, nazwany od jego imienia Lwowem. Sam zaś osiadł w Chełmie, również przez siebie założonym.

Daniel musiał jednak uznawać nad sobą zwierzchnictwo tatarskie i hanowi haracz opłacać. Pragnąc tę zależność zrzucić, przemyśliwał o wielkim sojuszu przeciw Tatarom. Dwa sąsiednie kraje były w tem najbardziej interesowane, Polska i Węgry, które same od Tatarów tyle ucierpiały i były zagrożone, że po Rusi

przyjść może i na nie kolej tatarskiego jarzma. Zawierał więc Daniel sojusze z Piastami i Arpadami na Węgrzech. Pod wpływem polskim pozostając, nawiązał stosunki ze stolicą apostolską. Powstała myśl, czyby się nie udało uprosić papieża, żeby ogłosił wyprawę krzyżową na Tatarów, mającą ich wyprzeć z krain zadnieprskich znowu do Azyi, a złamawszy ich potęgę wojenną uwolnić Ruś z jarzma i odwrócić grożące ciągle Polsce i Węgrom niebezpieczeństwo. Ażeby papieża tem pewniej pozyskać, powodowany nadto nadzieją pomocy zachodniej Europy, odstąpił Daniel schyzmy, uznał papieża głową Kościoła i zawarł t. zw. unię, t. j. połączenie z kościołem katolickim. Papież pozostawiał na Rusi nietknięty obrządek wschodni i język cerkiewny słowiański, starobułgarski, w nabożeństwie. Pozostawił też obyczaj wschodniej cerkwi, przyzwolił, że żonaci mogli być przyjmowani do stanu duchownego. Daniel nie przechodził tedy ze swymi biskupami i poddanymi na obrządek rzymski, łaciński, ale tylko łączył podwładną sobie część Kościoła wschodniego z zachodnim pod zwierzchnością papieską. W jego ziemiach ustawała schyzma, a katolicyzmowi przybywał nowy obrządek, mianowicie grecki (bo z Konstantynopola pochodził), z językiem kościelnym słowiańskim. Zawarłszy unię rozpoczął w Rzymie starania o królewską koronę. Nie odmówiono mu jej i w r. 1254 był koronowany uroczyście w Drohiczynie na króla Rusi przez legata papieskiego Opiza.

POTĘGA WĘGIER I CZECH.

Niegdyś szafowali polscy królowie i książęta koroną węgierską. Zmieniły się zupełnie czasy! Dynastya Arpadów panowała nietylko nad Madziarami, ale owładnęła już całemi Węgrami i rządziła niemi w spokoju. Od roku 1205 aż do 1262 nie było na Węgrzech wojny domowej; potem zanosiło się na rokosz przeciw królowi Beli IV., ale papież doprowadził do zgody i aż do roku 1295 nie było żadnych walk o tron. Dynastya madziarska, panując na Węgrzech nad znaczną ilością Słowian, dąży do rozszerzenia panowania na północ, na Ruś Czerwoną. Królewicz Koloman obejmuje z Salomeą Leszkówną tron halicki w roku 1215; ginie w roku 1241 z ran otrzymanych podczas tatarskiego najazdu, ale dynastya nie zrzekła się już tytułu halickiego królestwa i używała go nawet wtenczas, kiedy papież Danielowi przyznał ruską koronę.

Dla Polski było to groźbą na przyszłość. Arpadowie panujący i na Węgrzech i na Rusi Czerwonej byliby dla Piastów sąsiadami tak przemożnymi, że łatwo stać się mogli niedogodnymi. Interes Polski wymagał, żeby do tego połączenia nie dopuścić, a więc iść raczej przeciw Arpadom, a popierać rodzimych ruskich książąt. Była jednak druga sprawa, która wymagała właśnie przyjaźni z Węgrami, a tą była: obawa tatarskich najazdów. Obawa ta wspólną była i Węgrom i Polsce, kazała gotować się do wspólnej obrony, a więc wymagała sojuszu. Sojusz między równymi zamienia się w przyjaźń. Ale Arpadowie potężniejsi byli w tym czasie od Piastów i to znacznie; a taki sojusz sił nierównych wychodzi w końcu nieraz na to, że słabszy wysługuje się silniejszemu. Pogorszyły się więc niewątpliwie stosunki polskie na południu.

Jeszcze większe zmiany zaszły na zachodzie. Organizacya państwowa była przedtem w Polsce pewniejsza i silniejsza, niż w Czechach, zalanych krwią bratnią w walkach o tron. Ale teraz walki były w Polsce, a w Czechach ład i porządek. Organizacya państwowa czeska nietylko dorównała już naszej, ale ją nawet o wiele przewyższyła.

Czechy zdołały się już wydobyć z zamętu, w który popadły były w XII. wieku i były jako państwo potężniejsze od wszystkich polskich księstw razem. Odrodzenie Czech zaczyna się w r. 1197, kiedy rządy objął Przemyśl Otokar I., panujący długo, aż do 1230 roku. Mądry i dzielny monarcha umiał skorzystać z osłabienia Niemiec i nie spoczął, aż Czechy zamienił na niezależne królestwo. W r. 1204 uzyskał potwierdzenie tytułu królewskiego od Stolicy apostolskiej i odtąd były już Czechy równe innym królestwom w chrześcijaństwie. W r. 1228 kazał koronować swego syna, Wacława, żeby nie było po jego śmierci sporów o tron. Pierwszy to w całej Słowiańszczyźnie wypadek takiego silnego utwierdzenia tronu i tak wczesnego, a pewnego zapewnienia następstwa. Król Wacław wiódł walkę z niemieckim królem, Fryderykiem II. i dążył do tego, żeby przyłączyć do Czech margrabstwo austryackie czyli rakuskie, dawną ziemię słowiańskich Rakuszan. Udało się to rzeczywiście jego synowi, Przemyślowi Otokarowi II., króry panował od r. 1253 do 1278. W Austryi była godność margrabska dziedziczną w rodzie Babenbergów i po ich-to wygaśnięciu sięgnęli Przemyślidzi po cenną spuściznę, która obejmowała i Styryę. Do

tej spuścizny rościł sobie jednak prawa i król węgierski, Bela IV. Stanęło z razu w roku 1260 na tem, że Otokar weźmie Austryę, a Bela Styryę.

Darzyło się czeskim pobratymcom, a państwo ich tak wzrastało w potęgę, że według wszelkich ludzkich obliczeń zdawało się, że ta dynastya Przemyślidów, na której nigdy nie można było polegać w walce z Niemcami, stanie się teraz najpewniejszym puklerzem Słowiańszczyzny, a sam Przemyśl Otokar II. będzie w historyi jakby drugim Bolesławem Wielkim.

INFLANTY.

Samo królestwo niemieckie nie było wówczas groźne nikomu, ale groziło wielkie niebezpieczeństwo niemieckiego panowania od tego Zakonu Krzyżaków, sprowadzonego niebacznie nad Bałtyk przez Konrada Mazowieckiego. Następcy jego przewinili wielce, że dopomagali Krzyżakom do zdobycia pruskiej ziemi. Nie po chrześcijańsku to było, bo mieczem nawracać nie wolno. Krzyżacy powinni byli poprzestać na zbrojnem pogotowiu, żeby odpierać najazdy pogańskich Prusaków na chrześcijańską Polskę. Do najeżdżania i zdobywania Prus nie mieli prawa ani Krzyżacy, ani piastowscy książęta: jedni i drudzy mieli tylko obowiązek czynić starania o nawrócenie tego ludu. Samo sprowadzenie Krzyżaków było oznaką niedołęstwa. Skoro zaś ci zdobywać poczęli Prusy dla siebie, prosta już przezorność kazała wstrzymać się od udziału w tej sprawie, boć z tego musiało powstać nowe niemieckie państwo nad Bałtykiem! A granice tego państwa miały być zakreślone śmiało i daleko, tak, że całe południowe i wschodnie wybrzeże Bałtyckiego morza miało przejść pod niemieckie rządy!

Najdawniejsze osadnictwo niemieckie na wschodniem wybrzeżu Bałtyku poczęło się dalej na północny wschód od Prus, w kraju Inflantami zwanym, nad dolną Dźwiną. Pierwszymi osadnikami byli nie rycerze, lecz kupcy niemieccy. Kraina ta znaną była duńskim Wikingom i ruskim kupcom z Pskowa i z Wielkiego Nowogrodu; tamci morzem, a ci z głębi lądu zjeżdżali tu jużto w celach handlowych, jużto po łupy. W zachodniej Europie nikt zresztą o istnieniu Inflant jeszcze nie wiedział. Kraj zamieszkany był przez kilka plemion łotewskich, ludu pokrewnego

Prusakom i Litwinom. W połowie XII. wieku przybyli do Inflant całkiem przypadkowo kupcy niemieccy. W r. 1159 płynął okręt kupiecki z miasta Bremy do Wisby, handlowego miasta na wyspie Gotlandyi; burza morska zapędziła okręt w nieznane tym kupcom strony, na wybrzeże inflanckie przy ujściu Dźwiny. Bremeńczycy nawiązali tu zaraz stosunki handlowe, popłynęli w górę Dźwiną, zwiedzili trochę kraju i przebywali tu już stale, a że handel był bardzo zyskowny, założyli więc najpierw stały nieduży kantor kupiecki, małą osadę. Wystawili kościół, a koło kościoła warowny gród. W roku 1188 wystarali się o utworzenie tu biskupstwa misyjnego; ale nawracanie nie szło Niemcom. Drugi z kolei biskup inflancki, sławny Albert, założył miasto Rygę w r. 1202, a w dwa lata później zakon rycerski Kawalerów Mieczowych celem „nawracania“, t. j. tępienia Łotyszów. Kawalerowie doskonale to pojęli, ale też chcieli za to sami być panami kraju i nie podlegać ani kupcom, ani biskupowi. Rozpoczęli zaraz spór z ryskim biskupem który trwał całe wieki, urozmaicany klątwami i wojnami domowemi. Panowanie swrozszerzali szybko, a przez to zdobywali coraz więcej kraju dla bremeńskiego handlu i niemieckiego osadnictwa w ogóle. Stąd następnie zaczęli zapuszczać swe zagony w stronę Pskowa i na Litwę. Za słabi byli jednak do tej walki, bo Psków był bogatą potężną rzeczpospolitą, a na Litwie poczynała właśnie tworzyć się porządna organizacya państwowa.

W tych to czasach sprowadził Konrad Mazowiecki Krzyżaków, a polscy książęta pomagali im dzielnie, żeby sobie założyli w Prusiech państwo, tak, jak to Kawalerowie Mieczowi czynili w Inflanciech. Krzyżacy szerzyli swe podboje od dolnej Wisły w stronę Inflant, które przedzielała od Prus litewska kraina Żmujdzią zwana. Ze zdobycia wszystkich tych krain powstałoby znaczne państwo. Dwa rycerskie zakony niemieckie postanowiły złączyć się w tym celu w jeden i utworzyć wspólne państwo. Ponieważ Krzyżacy byli starsi, bo pochodzili jeszcze z niemieckiej wyprawy krzyżowej do Ziemi św., a do tego liczniejsi i bogatsi, bo mieli posiadłości już w różnych stronach Europy, więc Kawalerowie Mieczowi rozwiązali swój zakon w r. 1237 i sami wszyscy dobrowolnie przystali do Krzyżaków. W ten sposób posiedli Krzyżacy nad Bałtykiem drugą już krainę: Inflanty. Wielki Mistrz Zakonu przeniósł się z Wenecyi do Prus, a inflanckim oddziałem Zakonu

zarządzał odtąd w jego imieniu osobny mistrz ziemski, t. z. landmistrz. O panowanie nad morzem Bałtyckiem walczyła z Krzyżakami Dania, ale około r. 1250 cofa się i dopiero w r. 1298 próbował podjąć tę walkę na nowo król duński Eryk VI.

Przeciwko Tatarom nie bronili Krzyżacy ani Polski, ani Rusi. Ale chcieli skorzystać z osłabienia swych sąsiadów, zgnębionych pogańską nawałnicą. W r. 1241, po drugim najeździe Mongołów na Ruś, (a pierwszym na Polskę), rzucili się od razu na Psków i zdobyli go. Ale w obronie staroruskiego gniazda stanęła Ruś Nowa. Książę suzdalski Jarosław wyprawił wojsko pod wodzą swego syna Aleksandra, wsławionego już wojownika, który rok przedtem odniósł walne zwycięstwo nad Szwedami nad rzeką Newą, od czego ma zaszczytny przydomek Newskiego. Aleksander Newski stoczył z Krzyżakami zwycięzką bitwę na lodach zamarzniętego jeziora czudzkiego, przez co Psków wolność odzyskał.

PRUSY.

Drugim z kolei wrogiem Krzyżaków stał się książę pomorski Świętopełk. Chodził on razem z Piastowicami na pruskie „krucyaty“ pomagać Krzyżakom, ale pierwszy ze wszystkich spostrzegł się i poznał na krzyżackiem nawracaniu. Przejrzał szczęśliwie i przestrzegał, że Krzyżacy zwrócą się przeciw Polsce, gdy z Polski pomocą dokonają podboju Prus. Bał się o swoje Pomorze i wolał zawczasu pozbyć się niemieckich „gości“ ze swego sąsiedztwa. Wybuchnęło wielkie powstanie pruskie, prowadzone z całą zaciekłością. Była chwila, że Zakon już zwątpił o sobie, i myślał o porzuceniu tych krain, pomimo, że miał posiłki z Niemiec i od Piastów, a mianowicie od Przemysława wielkopolskiego i Kazimierza Kujawskiego. Swiętopełk pomorski połączył się w tej wojnie z Prusakami. Ostatecznie jednak uśmierzono Prusaków, a i Swiętopełk musiał zawrzeć z Krzyżakami pokój w roku 1253. W najbliższej zaś potem wyprawie podbili oni już cały kraj pruski, pozyskawszy nowe posiłki, tym razem aż z Czech.

Jak niegodziwie Krzyżacy z Prusakami postępowali, widzieli to najlepiej sami biskupi, pruski i inflancki, którzy mieli sposobność przyjrzeć się dokładnie temu „nawracaniu“ i sami od Zakonu rycerskiego ciągłych krzywd doznawali. Niemieccy rycerze tępili Prusaków, jak dziką zwierzynę; samo duchowieństwo uważało za

rzecz potrzebną donieść do Rzymu o tej gospodarce i przedstawić papieżowi żale i skargi nieszczęśliwego ludu. Przyjechał do Prus legat papieski, Jakób, archidyakon lejdejski i wymusił groźbami przyrzeczenie Krzyżaków, że się będą z Prusakami obchodzić po ludzku i rządzić nimi według jakichś praw. Według owoczesnej zasady powinni byli Prusacy rządzić się swojem własnem pruskiem prawem, ale lud ten, bardzo mało jeszcze rozwinięty, posiadał ledwie prawo familijne; to nie mogło wystarczyć do określenia wszystkich stosunków prawnych w porządnej państwowej organizacyi. Wybrali więc sobie Prusacy prawo polskie, byle tylko Krzyżacy nie rządzili nimi według tego, co sami za prawo uznać zechcą. I stanął ciekawy bardzo układ pomiędzy Krzyżakami a pokonanymi Prusakami, zawarty za pośrednictwem papieskiego posła dnia 7 lutego roku 1249 w grodzie Kiszpor (Christburg), układ, w którym Prusacy zastrzegli sobie własne prawo spadkowe, a poza tem, że będą sądzeni w krzyżackich sądach według polskiego prawa!

Krzyżacy rośli w potęgę przez to, że z poganami wojowali. Ustawały wielkie wyprawy europejskie do Ziemi św., a zapał narodów zwrócił się ku popieraniu rycerskiego Zakonu, który z Palestyny wyszedł i teraz nad Bałtykiem miał szerzyć chrześcijaństwo. Już w r. 1234 wziął w pruskiej wyprawie udział margrabia brandeburski; wkrótce dalecy książęta nietylko z Niemiec, ale nawet z innych narodów uważali sobie za wielki zaszczyt, że mogli Krzyżakom pomagać, i nieraz osobiście stawiali się w Prusiech. Wielkie fundacye sypały się na nich z całej zachodniej Europy w imię zbożnego dzieła obrony chrześcijaństwa i nawracania pogan. Aż z Anglii i Szkocyi przybywali tu rycerze, żeby spełnić ślub pobożny. Nie było chyba w historyi większego złudzenia z jednej, a oszustwa z drugiej strony. Krzyżacy bowiem wcale Prusaków nie nawracali, ale podbijali ich kraj tylko po to, żeby dla siebie zdobyć dostatki i panowanie. Młodsi synowie niemieckich wielmożów, gdy ojcowizna zbyt już była rozdrobniona, wstępowali do tego „zakonu“, szukając tu fortuny kosztem gnębionych i grabionych Prusaków. Stał się też Zakon niewyczerpanem źródłem zaopatrzenia dla niemieckiego rycerstwa pod płaszczykiem walki o wiarę św., a pod protekcyą całej Europy.

Król czeski Otokar II., pan pobożny, chciał okazać czemś wdzięczność swą Opatrzności za łaski, których doznawał, chciał

dopełnić jakiego wielkiego pobożnego dzieła. Cóż mogło być większego, jak dokonać nawrócenia pogańskiego ludu? Wybrał się więc w r. 1254 na Prusaków! O jednego więcej, który mieczem chciał Panu jednać dusze. Wyprawa była nader pomyślna, dotarła zwycięsko aż do wschodnich granic pruskiej ziemi i tam nad rzeką Lipcą (Pregel), na pagórku w lesie zwanym po prusku Twangtse, założył król czeski swoim kosztem dla Krzyżaków warowny gród, który oni nazwali na jego cześć „królewską górą“, po niemiecku Königsberg (po polsku Królewiec), znaczne potem i bardzo bogate miasto, o którem nieraz jeszcze rzecz będzie.

Teraz Krzyżacy mieli już swe państwo i Polska graniczyła od północy już nie z Prusakami, ale z Niemcami, którzy panowali i nad cząstką polskiej ziemi. Polskim poddanym nadał Wielki mistrz już w r. 1233 polskie „prawo wojskowe“, tj. że mogli posiadać ziemię na tych samych prawach, jak ci, którzy mieli ją pod polskiem panowaniem z nadań książęcych, a zatem obowiązani byli stawać na każde zawołanie Krzyżaków na wojnę. Z ludnego Mazowsza, z jedynej polskiej krainy, w której ludności nie ubyło i ziemi nie było nazbyt, ściągali Krzyżacy osadnika do podbitych Prus, w których zaprowadzili na wielkie rozmiary rolnicze gospodartwo. Tu każdy „łazęga“ z Mazowsza mógł zostać od razu ziemianinem żołnierzem, równym starym rodowcom. Jest to pierwsza emigracya polska. Witali ją chętnie Krzyżacy, bo jej potrzebowali i nie mogło być jeszcze wówczas mowy o żadnym ucisku. Owszem ludności polskiej powodziło się w Prusiech dobrze, toteż ciągle jej przybywało. Osiadający na prawie „wojskowem“ nowi „rycerze“ ściągali za sobą innych, mniej już szczęśliwych rolników, którym szczali swe posiadłości w dzierżawę na warunkach dawnego prawa polskiego. Tych nazywano w krzyżackich urzędach *„gburami“*. Nie brakło też pod panowaniem krzyżackiem niemieckich prawdziwych *„gebuerów“* tj. włościan sprowadzonych z Niemiec, których Polacy i tutaj nazywali po swojemu, „gośćmi“. Ci siedzieli na swojem niemieckiem prawie gminnego samorządu. Tylko z Prusakami było coraz gorzej. Zdobywszy cały kraj, nie dotrzymano im kiszporskiej umowy! W r. 1261 odebrano Prusakom korzystanie z prawa polskiego, a zatem pozostawiono ich dowolności i samowoli krzyżackich urzędników.

KRÓL LITEWSKI MENDOG.

Ujarzmiwszy Prusaków, rzucił się Zakon krzyżacki na Żmujdź i Litwę.

Litwini należą do szczepu bałtyckiego i są pobratymcami Prusaków. Mieszkają dalej na wschód od Prus, w głąb lądu, nad rzekami dolnym Niemnem i głównym jego dopływem, Wilią. Na północ od nich, nad Bałtykiem, w dalszym ciągu pruskiego osadnictwa nad morzem, zamieszkali Żmujdzini, bliżsi pochodzeniem Litwie niż Prusom, a historycznie związani potem z Litwą jak najściślej. Od wschodu i południa graniczyło litewskie osadnictwo z waregskiemi księstwami Rusi, a obrona przed ich zaborczością wywołała tam pierwszą organizacyę polityczną. Pierwotnie i na Litwie nie było żadnego państwa; każda okolica wiodła oddzielne życie, mając tylko drobnych książąt nad sobą. Do obrony przed Rusią trzeba się było skupić pod wodzą jednego naczelnika, a ten wybrany z pośród drobnych dynastów, stawał się z czasem dziedzicznym władcą. W ten sposób powstali wielcy książęta, których około r. 1200 było na Litwie pięciu a na Żmujdzi dwóch. Było to już postępem i wzmocniło to walkę z Rusią; walka ta zamieniła się niebawem z obronnej na zaczepną. Szczęściło się Litwinom i zaczęli kosztem Rusi sami rozszerzać swe panowanie. Około roku 1200 zdobyli Grodno nad średnim Niemnem. W roku 1209 najechali po raz pierwszy Wołyń, krainę daleko na południu od ich własnych siedzib, w południowem dorzeczu Prypeci, pomiędzy Kijowszczyzną a Lubelskiem. Była to tylko łupieska wyprawa, jakby na próbę. Wnet jednak zaczęli systematyczny podbój od Czarnej Rusi, oddzielającej Litwę od Wołynia, pomiędzy Niemnem a Prypecią. Zachodnią jej część zagarnęli w r. 1219, a wschodnią w r. 1224. Ta ostatnia wyprawa odbyła się pod wodzą Mendoga.

Mendog był jednym z Wielkich książąt na Litwie już w roku 1219. Oprócz niego było jeszcze czterech innych: Żywinbud, bracia Dowiat i Wilikail i brat Mendoga Dowsprunk na Litwie, a dwóch na Żmujdzi: Erdywił i Wikint. Mendog rządził południową częścią właściwej Litwy. Wzmocniwszy swe siły podbojem Czarnej Rusi, jął się zwracać przeciw litewskim innym władcom, dążąc do połączenia całego kraju pod swem panowaniem. W ciągu lat dzie-

sięciu, pomiędzy r. 1226 a 1236, shołdował też całą Litwę. Starał się usuwać rywalów, nadając im w zamian zdobycze na Rusi, do czego sam chętnie pomagał. W r. 1239 opanowali też książęta litewscy chwilowo Smoleńsk, nader ważny gród ruski nad górnym Dnieprem, a około r. 1242 Połock nad Dźwiną. Stąd niedaleko do Inflant. Była tam już raz litewska wyprawa w r. 1219. W r. 1236 zadał Mendog ciężką klęskę Kawalerom Mieczowym, ale nie zmieniło to stosunku sił politycznych, gdyż tymczasem osiadł już w Prusiech Zakon krzyżacki, do którego też Kawalerowie przystąpili zaraz po tej klęsce. Żmujdź oddzielała Prusy od Inflant; odtąd też Krzyżacy uważali zajęcie Żmujdzi za główne swe zadanie, żeby zapanować nad krainą, która klinem wchodziła pomiędzy ich posiadłości nad Bałtykiem. Podczas wielkiej wojny z Prusakami po r. 1241 wyprawił się też Mendog na pomoc pobratymcom z wielkiem wojskiem, ale wyprawa spełzła na niczem. Lepiej mu się wiodło z dalszem łączeniem litewskiej ziemi w swem ręku. Nie obeszło się jednak bez zatargów. Trzech osadzonych na Połocku książąt, Wykinta, Towtiwiła i Erdywiła, pochodzących z południowo-zachodniej Żmujdzi, wypędził Mendog w r. 1248; ci zbiegli natenczas do Daniela Romanowicza, Wielkiego księcia Rusi. Daniel baczył pilnie na podboje Mendoga, zbliżające się coraz bardziej do granic jego państwa. W miarę, jak Mendog posuwał się na południe, posuwał się też Daniel coraz dalej ku północy, zakładając warowne grody tuż u granic Mendogowych zaborów. Dwa rozszerzające się coraz bardziej państwa spotykały się już na Czarnej Rusi. Na granicy ruskiego panowania stanął Chełm, ulubione miejsce pobytu Daniela, który pragnął stąd posunąć się dalej na północ, ku Drohiczynowi. Mendog i Daniel stali się rywalami.

Daniel zawierał właśnie unię z Rzymem, a papież mianował legatem swym na Rusi arcybiskupa ryskiego z Inflant. Przez to Ruś zbliżyła się politycznie do Inflant, a Daniel znalazł tam gotowych sprzymierzeńców przeciw Mendogowi, tak w arcybiskupstwie ryskiem, jakoteż w Zakonie krzyżackim. Do tego przymierza przystąpiła też południowo-zachodnia Żmujdź, skąd pochodzili owi wygnani książęta. Pozyskano też Jadźwingów, najdzikszy ze wszystkich ludów bałtyckiego szczepu, zamieszkały pomiędzy Prusami, Mazowszem, Czarną Rusią a Litwą, a prowadzący koczownicze życie i nie znoszący żadnej organizacyi państwowej. Umówiono

się o wojnę. Daniel ruszył z południa, od swego Chełma na Czarną Ruś, a równocześnie wyprawił się na Litwę krzyżacki landmistrz z Inflant, Andrzej. Podczas tej wojny przyjął w Rydze chrzest jeden z wygnanych przez Mendoga książąt, Towtywił. Zakon i Daniel wysunęli Towtywiła, jako chrześcijańskiego kandydata do panowania nad Litwą, przeciw poganinowi Mendogowi. Natenczas Mendog, żeby odwrócić od siebie nieprzyjaźń Zakonu, sam się też oświadczył z chęcią przyjęcia chrześcijaństwa i rzeczywiście ochrzcił się w zimie z r. 1250 na 1251. Od razu zmienia się położenie polityczne, tem bardziej, że Mendog przyrzeka Zakonowi znaczne darowizny i fundacye. Krzyżacy nietylko Daniela opuszczają, ale nawet zawierają przeciw niemu sojusz z Mendogiem. Jedzie do papieża wspólne poselstwo od Mendoga, arcybiskupa ryskiego i krzyżackiego landmistrza. Papież w lipcu 1251 uznaje Mendoga chrześcijańskim królem Litwy. Mendogowi sprzyja szczęście; Wykint poległ, Towtywił ucieka do Daniela, a Daniel sam sobie pozostawiony, przerywa wojnę. W pierwszej połowie lipca 1253 odbyła się koronacya Mendoga, a w rok potem koronował się także Daniel. Jeszcze w r. 1254 wybuchnęła na nowo wojna pomiędzy nimi, ale tylko na krótko. Obaj nowi królowie zawarli przymierze i pogodzili się. Syn Daniela, Roman, otrzymał wtenczas zachodnią część Czarnej Rusi jako lenno litewskie, Mendog zaś czynił zabory gdzieś na Rusi, bo w. r. 1255 zatwierdza mu papież Aleksander IV-ty zdobycze poczynione na Rusi. Mendog pragnął utrwalić swoje króleństwo i zwrócił się do papieża z prośbą o pozwolenie na koronacyę jednego ze swych synów. Pozwolenie otrzymał, ale niezadługo tak się zupełnie zmieniły stosunki, że nietylko ta koronacya druga nie doszła do skutku, ale nawet chrześcijaństwo na nowo ustąpiło miejsca pogaństwu.

BISKUPSTWO ŁUKOWSKIE I LITEWSKIE.

Nawrócenie pogańskiego szczepu bałtyckiego: Prusaków, Jadźwingów, Litwinów, Żmujdzinów, tudzież połączenie z rzymskim Kościołem schyzmatyckiej Rusi było obowiązkiem i historycznem powołaniem Polski. Nie brakło też takich, którzy o tem pamiętali. Nawrócenie Daniela dokonało się niewątpliwie pod wpływem polskim. Ruś graniczyła z dyecezyą krakowską, a zatem krakowscy biskupi winni byli przedewszystkiem pilnować tego

dzieła. Ale ci ledwie mogli podołać własnej dyecezyi, która była olbrzymia; należała do największych w całem chrześcijaństwie, a wciąż jej jeszcze przybywało. Lachowie bowiem i Mazurzy rozciągali coraz dalej swe osadnictwo ku wschodowi, na niezamieszkałe i puste jeszcze ziemie pomiędzy Jaćwieżą a Rusią. Zwłaszcza Mazur odznaczał się od wieków ruchliwością, przedsiębiorczością i wielką zdatnością do osadnictwa. Już za chrześcijańskich czasów zajęli krainę z prawej strony Wisły pomiędzy jej dopływami Bugiem a Wieprzem i tu wystawili gród Łuków. Na północ Łukowa była już ziemia Jadźwingów. Osadnictwo Mazurów posunęło się dalej na południe w górę Wieprza i założyli tu Krasnostaw. Nowe to osadnictwo dokonało się siłami samego społeczeństwa, nie popierane przez książąt, a gdy władza książęca osłabła, pozostawione było do reszty losowi. Zdobycze Daniela były bardzo niebezpieczne dla tego osadnictwa, bo ciągnęły się w sam raz równoległym do niego pasem, tuż obok od wschodu. Chełm był założony naprzeciw Krasnostawu, ledwie o pięć mil od polskiej osady i grodu, a w dalszym ciągu okrążył Daniel mazurskie osadnictwo łukowskie i założył swój gród w Drohiczynie, ośm mil na północ od Łukowa. Nie było wówczas najmniejszego niebezpieczeństwa, żeby tu za polskiem osadnictwem wtargnęło ruskie i wyrugowało Mazurów. Daniel sam musiał sprowadzać osadników i sprowadzał nietylko sąsiednich Lachów, ale też dalekich Niemców ze Ślązka, zwabiając ich jak najlepszymi warunkami. Niebezpieczeństwo było jednak polityczne, żeby te kresy nie były oderwane od Polski i nie dostały się pod ruskie panowanie.

Rozszerzające się coraz bardziej granice dyecezyi przysparzały trudów i zachodów biskupom krakowskim na własnej, polskiej ziemi. Organizacya kościelna nie prędko doszła z Krakowa do północnych kresów dyecezyi. Dopiero z końcem XII. wieku, za Mieszka Starego, zdążył biskup Getko pozakładać archidyakonaty w Radomiu i w Lublinie. Stosunki kościelne były tam w połowie XIII. w. opłakane. Choć minęło już sto lat od założenia archidyakonatu w Radomiu, (do którego należał Łuków), skarżył się biskup Prandota papieżowi Innocentemu IV. w r. 1254, że tam ludzie ledwie z imienia mogą być chrześcijanami, chrzest przyjmują w dorosłym wieku, a często i bez niego umierają. Rzadko kiedy zajechał tam jaki ksiądz zaledwo na misye, a parafij nie było.

Wszak jeszcze w r. 1327 na przestrzeni dwunastu mil, od Sieciechowa aż po Łuków, istniały na prawym brzegu Wisły wszystkiego razem trzy parafie, a plebanie tak byli ubodzy, że nie mieli czem opłacić świętopietrza. Zbytnia rozległość dyecezyi sprawiała, że biskupowi zawsze nie dostawało duchowieństwa. Wobec tego czyż było stać biskupów krakowskich na misye na Rusi?

Widział to jasno biskup Mateusz jeszcze za czasów Bolesława Krzywoustego, kiedy się starał o misyonarzy z Zachodu, niestety napróżno. Pisał on w tej sprawie do sławnego w całej Europie Cystersa francuskiego, Bernarda z Klerwo (Clairvaux), który przygotowywał drugą krucyatę do Palestyny. Krzywousty, zająwszy ziemie nadodrzańskie, założył tam nowe biskupstwo w Lubuszu, powierzając tej katedrze także opiekę nad misyą wschodnią, toteż biskup Wawrzyniec, żyjący właśnie przed pierwszym najazdem tatarskim, zapragnął rozpocząć działanie misyjne na Rusi. Udał się o pomoc w tej mierze do Henryka Brodatego i książę ten nadał mu pomiędzy 1234 a 1238 rokiem znaczne posiadłości w dzielnicy sandomierskiej, między innemi Opatów z okolicą, tuż nad Wisłą. W Opatowie był klasztor Cystersów, a opata mianować miał odtąd biskup lubuski. Pierwszy taki opat, Bernard imieniem, był tedy pierwszym biskupem misyjnym Rusi, t. j. biskupem katolików na Rusi zamieszkałych, a zarazem kierownikiem urządzanych tam misyj. Zajęły się tem dwa nowo w Polsce zaprowadzone zakony Dominikanów i Franciszkanów, które nie poprzestając na samej Rusi, wciągnęły i Litwę w zakres swego apostolstwa.

Koroną tego dzieła miało być utworzenie nowej dyecezyi na polsko-ruskiej granicy, tuż pod bokiem Jaćwieży. Papież Innocenty IV., odpowiadając na żale krakowskiego biskupa Prandoty, poleca założyć w Łukowie nowe biskupstwo. Miał tego dokonać legat papieski, który jechał tamtędy do Drohiczyna na koronacyę Daniela. Na biskupa upatrzony był mnich Franciszkanin.

Równocześnie toczyła się też sprawa kościelnej organizacyi Litwy z powodu nawrócenia i koronacyi Mendoga. Arcybiskup ryski chciał mieć Litwę przyłączoną do swej metropolii, ale jednocześnie wystąpił z temi samemi pretensyami arcybiskup gnieźnieński Pełka. Widocznie tedy była już na Litwie czynną jakaś misya polska, bo inaczej nie mógłby rościć żadnych praw do Litwy zwie-

rzchnik polskiego Kościoła. Pełka zamianował nawet od siebie biskupa, a mianowicie Dominikanina, Wita. Dwie wielkie misye wschodnie miały tedy być podzielone między dwa zakony. Łukowskim biskupem dla Rusi miał zostać Franciszkanin, a Dominikanin litewskim. Arcybiskup ryski i Krzyżacy przeszkadzali tym planom. Skończyło się na tem, że biskupem litewskim został kapłan krzyżacki, Krystyn, ale Litwy nie przyłączono do żadnej metropolii; nowy biskup miał podlegać bezpośrednio samemu papieżowi. Mendog darował biskupstwu trzy wielkie gromady dóbr i osad na Żmujdzi, w sąsiedztwie krainy darowanej Zakonowi.

Nie życzyli sobie też Krzyżacy nowego biskupa w Łukowie. Stosunki Zakonu niemieckiego z piastowskiemi dworami już się zamąciły; zniknęło zaufanie do tych gości nad Bałtykiem. W otoczeniu Bolesława Wstydliwego, prawdopodobnie na dworze biskupa Prandoty, powstała myśl, żeby powołać przeciw Jadźwingom Zakon rycerski; ale niechcąc już Krzyżaków, sprowadzono francuskich Templaryuszów i im, a nie Krzyżakom, nadał Bolesław Wstydliwy Łuków na własność. Niechętni też za to Krzyżacy całej sprawie, przeszkadzali załatwieniu jej w Rzymie. Prosili o założenie biskupstwa i książę Bolesław i mistrz Templaryuszów, mieli gotowego kandydata w osobie Franciszkanina czeskiego, imieniem Bernarda, ale napróżno.

Krzyżacy uważali, że im się należy monopol na pogan; póki nie ochrzczeni, nie wolno nikomo z nimi walczyć, a gdy się ochrzczą, muszą od nich przyjąć organizacyę kościelną. Obstawali przy tem upornie, tem bardziej, że w Polsce już się na nich poznano i odwracać się od nich poczęto. Sprawa Templaryuszów w Łukowie nie jest tego jedynym dowodem. W tych właśnie czasach, przed owemi dwiema koronacyami, mieli jakieś zamiary względem pogan, Prusaków, czy też raczej może Jadźwingów, książęta krakowski i łęczycki, Bolesław Wstydliwy i jego synowiec Kazimierz. Przewidując, że gdyby zajęli na poganach jakąś krainę, zgłoszą się zaraz po nią Krzyżacy, postarali się z góry u papieża Innocentego IV. o nadanie spodziewanych zdobyczy sobie. Otóż Krzyżacy zaraz przeciwko temu apelowali! Pomimo to otrzymał Kazimierz łęczycki w Rzymie nadanie nienawróconego jeszcze i pustego zresztą Polesia i ziemi golędzkiej, krain dalekich od

Krzyżaków, wchodzących raczej w zakres polityki króla Daniela, któreby do łukowskiej należały dyecezyi. Nie miał też Kazimierz wcale zamiaru wyprawiać się tam. Starał się o to widać jeszcze przed unią ruską, a teraz w zmienionych warunkach nie miało to żadnego znaczenia. Pomimo to nie spoczęli Krzyżacy, aż się książę zrzekł w r. 1255 na ich rzecz tych swoich „praw“; do tego stopnia baczyli, żeby nikt nawet pozornych praw do pogan nie miał! Postarali się też o to, żeby do owego dokumentu z wyroką Kazimierza łęczyckiego przywiesili swe pieczęcie wszyscy interesowani w sprawie biskupstwa łukowskiego: i mistrz Templaryuszów i kustosz Franciszkanów w Polsce i biskup lubuski! Kto tylko myślał o misyach wschodnich, stawał się nieprzyjacielem Krzyżaków, bo im psuł interes! Coraz jawniej się okazywało, że im o świeckie cele chodzi, a nie o sprawę duchowną. Nie kościelne to państwo powstawało nad Bałtykiem, ale niemieckie, wrogie imieniowi polskiemu!

BOLESŁAW ROGATKA.

Niebezpieczeństwo od niemczyzny zwiększyło się właśnie w tym czasie, gdy książę lignicki, osławiony rycerz rabuś, Bolesław Rogatka, sprzedał ziemię lubuską margrabiom brandeburskim, około roku 1250-go. Potężna marchia niemiecka rozszerzyła się w ten sposób na polską ziemię! Margrabiowie brandeburscy odznaczali się od czasów Albrechta Niedźwiedzia szczególną zaciekłością w tępieniu słowian. Stanąwszy na polskiej ziemi zaczęli zaraz szereg walk z książętami wielkopolskimi i pomorskimi i w przeciągu jednego pokolenia wydarli Polsce całą krainę nad dolną Wartą i Notecią, którą wr. 1272 zorganizowawszy w tak zw. Nową Marchię na stałe już do Niemiec wcielili. A byli najlepszymi Krzyżaków przyjaciółmi i brali nas nieraz we dwa ognie!

W sam raz przypada na te czasy największy upadek polityczny Piastów, a przez to i całego państwa polskiego. Po śmierci Henryka Pobożnego na lignickich polach, nastąpił po nim na Wielkiem księstwie krakowskiem najstarszy jego, syn Bolesław Łysy, ów osławiony Rogatka z rogatą duszą, ze wszystkich Piastów najwyrodniejszy. Życie jego jest jednem pasmem nadużyć i lekkomyślności bez końca. Godność książęca służyła mu tylko

do tego, żeby wycisnąć z poddanych pieniądze w jakikolwiek sposób, choćby najbezecniejszy i przetrwonić je również bezecnie i bezmyślnie. Trzech młodszych jego braci zmarło od trucizny; ich zabójcy stanowili najmilsze towarzystwo tego księcia! Walczył na wszystkie strony, ale bez jakiegokolwiek celu politycznego, żeby tylko brać łup i mieć z czego znów przez kilka miesięcy żyć hucznie ze swymi niemieckimi towarzyszami. Żona, pomorska księżniczka, uciekła od niego. Hulaka bez opamiętania, zastawiał, gdy nie było sposobności do łupieży. W końcu nie miał już co zastawiać; natenczas począł porywać ludzi, żeby na ich stryjcach wymuszać okup, zupełnie na wzór niemieckich rabusi. Tak zrobił biskupowi wrocławskiemu Tomaszowi, którego porwał z noclegu wraz z dwoma kanonikami, nakładając na nich okup po tysiąc grzywien. Kasztelanowi krośnieńskiemu, na granicy dolnego Ślązka, porwał syna. Do Wielkopolski nie pozwolono mu w końcu ani się pokazać, a krośnieńskie rycerstwo przepłoszyło jego łotrzyków. Popadł w końcu Rogatka w nędzę; towarzysze, nie węsząc już grosza, opuścili go. Miał już tylko jednego konia, a i ten bywał w zastawie. Widywano go wędrującego pieszo od grodu do grodu, od osady do osady i każącego się żywić i dostarczać sobie koni i odzieży. Książę! Na strzępy poszła przez niego godność monarsza. Pochodzenie z książęcego rodu było dla niego i kilku jemu podobnych niczem innem, jak tylko środkiem utrzymania się bez pracy. Toteż w księstwach takiego Rogatki właściwie nie było całkiem władzy książęcej; ale społeczeństwo było już na tyle dojrzałe, że się umiało obejść bez tego. O księcia nikt się nie troszczył, a wszystko i tak szło swym naturalnym trybem.

W Krakowie nie długo popasał książę Rogatka, wypędzony przez Konrada Mazowieckiego, który nie zapominał przynajmniej o powadze książęcej godności. Sławnym jednak był gwałtownikiem. Zabijał własnych dostojników, jak np. wojewodę swego Krystyna i kanclerza księdza Czaplę, nad którego ciałem jeszcze po śmierci się pastwił. Wygnało go z Krakowa możnowładztwo pod przewodem biskupa Prandoty i Klemensa, dziedzica Ruszczy. Ofiarowali tron krakowski, którym przywykli już szafować swobodnie, synowi Leszka Białego, Bolesławowi Wstydliwemu, który doszedł już tymczasem lat siedmnastu.

BOLESŁAW WSTYDLIWY, 1243–1279 r.

Panował na Wielkiem księstwie Krakowskiem 36 lat, nie zaznaczywszy swego panowania żadną myślą polityczną, żadnym programem na przyszłość. Tem przynajmniej celował, że nie urządzał niepotrzebnych wojen domowych, nie wszczynał zwad z innymi Piastami o lada gródek, jak to czynili inni.

Na jego czasy wypada osławiona dziesięcioletnia wojna o Łędę, gród nad Wartą, w której brał udział cały szereg książąt: Syn Konrada Mazowieckiego, (który umarł w r. 1247) Kazimierz, ks. kujawski i łęczycki, zwany przez współczesnych „drapieżcą cudzej własności“ i walczący po przeciwnej stronie młodszy jego brat, Ziemowit, ks. czerski; z linii ślązkiej oczywiście Rogatka, tudzież jego bracia: Henryk wrocławski i Konrad głogowski, który, mianowany już następcą biskupa Passawskiego w Niemczech, sprzykrzył sobie jednak zawód duchowny; z wielkopolskiej wreszcie linii stanęli do tego niezaszczytnego boju synowie Władysława Odonicza Plwacza: Przemysław I. poznański i gnieźnieński z bratem Bolesławem Pobożnym, ks. kaliskim. Walczący szukali pomocy za granicą i wciągnęli do tej wojenki margrabiego¦ myszneńskiego i arcybiskupa magdeburskiego. Wzajemne pustoszenie grodów, więzienia i okupy były jedyną korzyścią całej zawieruchy. Słusznie powiedziano, że w tych czasach „jedna połowa Piastów była w więzach u drugiej“. Ci, którzy posiadali ziemię z nadań książęcych, musieli brać udział w tych wzajemnych bezmyślnych napadach, obowiązani stawiać się zbrojno na każde wezwanie księcia, pod którego wypadło im należeć w mnożących się ciągle działach piastowskich. Nieszczególna to była szkoła polityczna dla rycerstwa, dla tej właśnie warstwy, która coraz więcej nabierała znaczenia w społeczeństwie. Demoralizowali się i schodzili do rzędu zbirów książęcych, walczących z sobą chyba tylko dla łupu. Na cześć ich i chwałę powiedzieć trzeba, że im wkrótce obmierzło służyć za książęcych pachołków, rzucających się na każdego, na kogo pan każe. Czasem sami książąt przepędzali, a często odmawiali posłuszeństwa, nie widząc żadnego celu w ciągłych wzajemnych najazdach. Zaczynano też tęsknić za pokojem w kraju, a wśród duchowieństwa i światlejszego możnowładztwa poczęło się objawiać pragnienie jakiejś przewodniej myśli politycznej, któ-

raby całą Polskę jednym natchnęła duchem i wyrwała ją z toni książęcego bezrządu.

Znaczenie duchowieństwa wzmagało się coraz bardziej, a wielkiego blasku dodała mu kanonizacya św. Stanisława, dokonana szczęśliwie po wielu trudach w r. 1254. Zjechali prawie wszyscy Piastowie, ślązkich nie wyłączając, na uroczystość „podniesienia kości“ patrona na ołtarz w katedrze na Wawelu. Na chwilę przynajmniej spoczął bratobójczy oręż. Zjechali też wszyscy biskupi, a wśród nich także dwaj nominaci, t. j. kandydaci do infuły już wyznaczeni, litewski i łukowski, ruskim zwany.

Tak zbiegiem okoliczności schodzą się daty trzech ważnych wydarzeń: w r. 1253 koronacya Mendoga, a w r. 1254 kanonizacya św. Stanisława i koronacya Daniela. Ze wszystkich współczesnych zdarzeń te tylko wartość moralną posiadały i dla historyi coś znaczyły, nad których ziszczeniem pracował Kościół i które były oznaką i skutkami jego starań i wpływu.

Daniel ruski przyjął unię, licząc na krucyatę przeciw Tatarom. Sam wnet walkę z nimi rozpoczął. Mendog posłał mu posiłki, ale podczas wojny powstały nieporozumienia pomiędzy królami Rusi i Litwy. W r. 1258 Tatarzy wyprawili się na Litwę pod wodzą Burondaja, a Daniel oddał swoje wojsko pod rozkazy poganina przeciw Litwie. Mendogowi poszczęściło się jednak; odebrał synowi Daniela, Romanowi, lenno litewskie, a z Tatarami uporał się w bitwie pod Mogilną. Teraz Burondaj zabrał się do Rusi .Nieszczęśliwy Daniel uciekł z kraju. Wódz tatarski kazał jego synom i braciom zburzyć główne grody: Włodzimierz, Łuck, Krzemieniec i Lwów. Potem kazał im ruskie wojsko połączyć z tatarskiem i razem z nimi dokonał drugiego strasznego najazdu na Polskę w r. 1259. Wiedli Tatarów synowie Daniela: Lew i Wasylko. Ofiarą tego najazdu padła Małopolska. W Sandomierzu wycięto w pień całą ludność, a odbudowany co dopiero Kraków, zniszczyli na nowo. Ludność uprowadzili w jassyr i znowu kraj był pustynią, pokrytą trupami i zgliszczami.

Od mongolskiego najazdu można się było obronić poddaniem się, haraczem, i oddaniem rycerstwa pod rozkazy tatarskie. Jak Rusini okupili się pokorą, mogli byli tak samo ocalić się Polacy. Jak Rusini połączyli się z Tatarstwem i powiedli je na Polskę, podobnież mogło było polskie rycerstwo powieść ich dalej

na Czechy. Ale było w polskiem społeczeństwie na tyle hartu, moralności i prawdziwej cywilizacyi, że woleli być męczennikami, niż zdrajcami. Słusznie też papieże kazali pielgrzymować do miejsc uświęconych rozlewem krwi polskiej w obronie wiary podczas tatarskich najazdów. Społeczeństwo polskie spełniło swój obowiązek. Żaden Polak nie zdradził Krzyża. Między Piastami byli nikczemni; ale tak nikczemny nie był ani jeden, żeby swój miecz oddać na tatarską służbę.

UPADEK KRÓLESTWA LITEWSKIEGO.

Krzyżacy mieli w r. 1258 i 1259 doskonałą sposobność do walki z pogaństwem. Przypominał im ten obowiązek papież Aleksander IV., ale ani jeden Krzyżak nie ruszył przeciw Tatarom. Tylko Prusaków niby nawracali, t. j. urządzali wśród nich istne rzezie. Prusacy zaczęli gromadnie uciekać i tem bardziej rzucali się teraz na sąsiednie ziemie. Pod Sandomierzem był ich cały hufiec po stronie tatarskiej. Poruszyli też Prusacy na nowo Jadźwingów i pogańskie stronnictwo.

Część Żmujdzi, podarowana Zakonowi przez Mendoga, nie chciała się poddać krzyżackiemu panowaniu, ani też przyjąć chrześcijaństwa. Już w r. 1254 rozpoczęła się tam walka i trwała do r. 1257; po dwuletnim zaś rozejmie wybuchnęła na nowo w roku 1259-tym. Ze Żmujdzinami połączyły się sąsiednie ludy Kurów i Semigallów. Po pewnym czasie stanął na czele walczących przeciw Krzyżakom Trojnat, syn Erdywiła, książę północno wschodniej Żmujdzi. Mendog dotrzymywał przymierza z Zakonem, chociaż sprowadzał tem na siebie niebezpieczeństwo, bo w całem państwie powstało przeciw niemu potężne stronnictwo pogańskie, z księciem holszańskim, Dowmontem, na czele. Gdy Krzyżacy ponieśli walną klęskę nad jeziorem Durben, stronnictwo przeciwne Mendogowi zyskało stanowczą przewagę. Mendog sam musiał teraz zmienić politykę i związać się z Trojnatem. Zwrócił się przeciw Zakonowi. Sami Krzyżacy znaleźli się w ciężkich opałach, ale ocaliła ich znowu pomoc z Polski, dostarczona przez Bolesława Wstydliwego i Ziemowita czerskiego. Litwini napadli za to na Mazowsze i pojmawszy księcia Ziemowita, zabili w r. 1262. Mazowsze byłoby uległo zupełnemu spustoszeniu, gdyby nie po-

moc Bolesława Pobożnego z Wielkopolski. Tak dobrze wychodziła Polska na opiekowaniu się Krzyżakami!

Sam zaś Mendog zawarł przymierze z Wielkim Nowogrodem i ułożył wyprawę na Kieś, stolicę landmistrza inflanckiego. Wyprawa nie powiodła się, bo Nowogrodzianie nie dopisali; Mendog zerwał natenczas z Trojnatem. Odtąd zaczyna się podstępne działanie Trojnata i Dowmonta przeciw osobie Mendoga; uknuli oni spisek na życie króla i zamordowali go podczas wyprawy na Brjańsk jesienią 1263 roku, a wraz z nim i dwóch jego synów, Rubla i Repeka. Stronnictwo pogańskie było odtąd u steru państwa, chrześcijaństwo upadło. Sam Mendog wytrwał do końca w chrześcijaństwie, na co są niewątpliwe świadectwa w dwóch bullach papieskich, Aleksandra IV. ze stycznia 1260 r. i Klemensa IV-go z r. 1268. W pięć lat po śmierci Mendoga chwalił papież jego pamięć, jako króla chrześcijańskiego. Krzyżacy wymyślili potem bajkę, jakoby Mendog porzucił był chrześcijaństwo i został apostatą; zmyślili też drugą bajkę, jakoby im był podarował całą Żmujdź, a państwo litewskie uznał lennem krzyżackiem.

Wzamian za opiekowanie się Zakonem, nie otrzymał Bolesław Wstydliwy żadnej pomocy przeciw pogańskim Jadźwingom, którzy pustoszyli ciągle Sandomierskie. Dopiero w r. 1264 udało mu się zadać im pod Zawichostem, przy ujściu Sanu do Wisły, taką walną klęskę, że odtąd przez 18 lat był już od nich spokój.

KRÓL CZESKI OTAKAR II.

Upadły dwie sąsiednie potęgi: litewska i ruska, tylko od strony zachodniej kwitnęły Czechy i dochodziły pod mądremi rządami Otakara II. do nieznanej przedtem potęgi. Zawarta z Węgrami ugoda o spuściznę po Babenbergach poczęła się chwiać. Ze Styryi zaczęli Czesi wypędzać węgierskie załogi i wybuchnęła wojna czesko-węgierska. Bolesław Wstydliwy miał z Węgrami sojusz i przez wzgląd na ciągłe wspólne niebezpieczeństwo od Tatarów zależało mu na tem, żeby nie dopuszczać do osłabienia potęgi Arpadów. Wytrwał więc w sojuszu i wysłał zbrojny hufiec na pomoc Beli IV., królowi węgierskiemu; hufiec ten walczył na Morawach. Przy tej sposobności okazał się po raz pierwszy rozdźwięk polityczny między Ślązkiem, a resztą Polski. Z książąt ślązkich jeden tylko Władysław, książę Opola, oświadczył się za

polityką Wielkiego księcia Krakowskiego i dał mu posiłki, podczas gdy reszta książąt ślązkich sprzyjała Otakarowi. Ta wojna skończyła się pomyślnie dla króla czeskiego, który Styryę przyłączył do swego państwa. Wojna o Styryę powtórzyła się jeszcze w r. 1271. Krakowskie księstwo i Wielkopolskie dzielnice, związane sojuszem z Węgrami, walczyły znowu po stronie Beli. Ale po czeskiej stronie byli już teraz nietylko wszyscy książęta ślązcy, nie wyjmując nawet księcia Opolskiego, ale nadto pomagali Czechom: Ziemomysł, książę Kujawski i Leszek Czarny, Sieradzki. I ta wojna pomyślną była dla Otakara; Węgrzy zrzekli się wszelkich praw do ziem austryackich. Szczęśliwy Otakar nabył jeszcze niebawem Karyntyę.

Tego było już Niemcom zanadto. Teraz nie możnaby już uważać Czech za proste księstwo niemieckiego państwa. Za duże były i za potężne, stanowczo o wiele potężniejsze od pogrążonych w upadku Niemiec. Słabe niegdyś Czechy służyły Niemcom nieraz za przewodnika i pomost do dalszych zdobyczy. Obecnie, potężne, mogły prowadzić śmielszą politykę i stać się zupełnie samoistną potęgą słowiańską. Pod wpływem wzrostu Czech obudziła się czujność w książętach niemieckich. Niektórzy z nich ofiarowali z razu Otakarowi koronę niemiecką, chcąc użyć czeskich sił do wydobycia Niemiec z upadku i związać Czechy tem ściślej z Niemcami. Przejrzał to jednak Otakar i koronę niemiecką odrzucił. Pragnął bowiem właśnie zerwać polityczną jedność Czech z Niemcami, a polityka jego przybierała całkiem inny kierunek. Oto marzył Otakar o połączeniu wielkich i potężnych Czech z Polską. Wobec polskich książątek, z których jeden już tylko Krakowski miał obszerniejszą dzielnicę, był Otakar mocarzem; wobec rozdrobnionej na kilkanaście już części Polski były Czechy pierwszorzędnem państwem i teraz, w zmienionych zupełnie stosunkach, można było myśleć o przyłączeniu Polski do Czech. Żyła tedy w Otakarze wielka myśl polityczna.

Tymczasem w Niemczech postanowiono skończyć raz wreszcie z bezkrólewiem, żeby nie osłabiać się coraz bardziej wobec rosnącej czeskiej potęgi. Gdy w r. 1272 wybrano nowego króla w osobie Rudolfa z Habsburga, położono mu za warunek, żeby od Otakara odebrał ziemie przez niego nowo nabyte, do Czech przyłączone i od związku politycznego z Niemcami przez to ode-

rwane. Rudolf zaraz następnego roku wszczął wojnę z Otakarem. Odkąd korona węgierska zrzekła się praw, słusznych czy urojonych, do spuścizny po Babenbergach, nie był już Bolesław Wstydliwy krępowany sojuszem z Węgrami. Toteż zawarł teraz sojusz z Otakarem przeciwko Niemcom, a krakowskie rycerstwo pospieszyło też na pomoc Czechom. Ale tym razem miał Otakar paść ofiarą zdrady. W bitwie pod Dürnkrut roku 1278, na olbrzymich błoniach nad rzeką Morawą, znalazł się ohydny zdrajca, Milota z Dziedzic, którego imię do dnia dzisiejszego budzi wstręt w Czechach. Zdradzony król dostał się do niewoli, a rozbrojonego zabił oszczepem austryacki rycerz Schenk. Ciało Otakara wystawiono na widok publiczny w Wiedniu. Tam też podążyć musieli zabrani do niewoli rycerze polscy. Austryę, Styryę i Karyntyę zagarnął zwycięski Rudolf Habsburski dla swojej rodziny.

Klęska pod Dürnkrut na Morawskich błoniach jest ciężkiem nieszczęściem dla Słowiańszczyzny. Skutki jej trwają do dziś dnia. Zamieszkały na południe od Czech słowiański naród Słowieńców skazany był na ciągłą germanizacyę, pozostawiony na pastwę niemieckiego panowania. W najnowszych dopiero czasach obudził się tam na nowo ruch narodowy. Gdyby Otakara dzieło było się utrwaliło, byłby żywioł słowiański panował niepodzielnie od Pragi po Tryest. Czechy zaś, chociaż nie zeszły już do dawnego podrzędnego stanowiska, i wkrótce potem na nowo stały się państwem potężnem, chociaż nastały czasy, że dynastya siedząca na ich tronie była najpotężniejszą w Europie, nie zerwały jednak nigdy politycznego związku z Niemcami i pozostały niemal zawsze państwem pół na pół niemieckiem. Na własnej nawet ziemi musieli się Czesi opędzać przewadze niemieckiej.

LESZEK CZARNY, 1280–1288.

Bolesław Wstydliwy o rok tylko przeżył Otakara; tegoż roku 1279-go umarł też Bolesław Pobożny, książę Kaliski. I osławiony książę Lignicki, Bolesław Łysy Rogatka, położył się w tymże czasie (1278) do grobu. Głównymi książętami wśród Piastów byli teraz: Leszek Czarny, wnuk Konrada Mazowieckiego, wyznaczony przez Bolesława Wstydliwego następcą na tronie krakowskim; w Wielkopolsce Przemysław II., syn Przemysława I., a synowiec Bolesława Pobożnego; na Ślązku zaś Henryk IV. wrocławski, z przy-

domkiem Probus. Ten ostatni był Niemcem na wskróś; nawet wiersze niemieckie pisywał, a po polsku nawet nie umiał.

Henrykowi Probusowi udało się uszczknąć część spuścizny po królu Otakarze, a mianowicie zagarnął Kłodzko (Glatz). Uśmiechała mu się bardzo nadzieja, że będzie sprawował opiekę nad małoletnim synem Otakara, Wacławem; ale tego samego zażądał też margrabia brandeburski Otto. Aż pod Pragę zapędzili się obaj współzawodnicy z wojskiem, ale Prażanie otworzyli bramy Brandeburczykowi, a książę wrocławski musiał z niczem wracać do domu. Ażeby się utrzymać przy Kłodzku, poprzyjaźnił się Henryk z nowym królem niemieckim, Rudolfem, i za zapewnienie bezpiecznego posiadania, uznał się lennikiem królestwa niemieckiego. W ten sposób pierwszy z książąt ślązkich Henryk Probus zerwał łączność państwową z Polską i z Wielkiem Księstwem Krakowskiem; odrzucił przynależność do państwa polskiego, a uznał się książęciem państwa niemieckiego.

Panujący w Krakowie Leszek Czarny też był na wpół zniemczony i oparł swe panowanie nie na polskich ziemianach, gospodarzach i rycerzach, zwanych z niemiecka szlachtą, lecz na niemieckiem mieszczaństwie. Osobiście dzielny rycerz, umiał jednak bronić swej dzielnicy przed zewnętrznym nieprzyjacielem. Gdy syn Daniela, Lew, książę Halicki, zapragnął kosztem ziemi sandomierskiej rozszerzyć swe panowanie i wziąwszy sobie do pomocy oddział Tatarów, przeprawił się przez Wisłę, spotkał się zaraz pod Goślicami, dwie mile od Sandomierza, z hufcami książęcymi i poniósł klęskę. Leszek zaś wyprawił się nadto do jego ziemi, wtargnął aż pod Lwów, a wracając odebrał gród Przeworsk i do swego panowania przyłączył w roku 1280. Gdy w dwa lata potem ruscy książęta podmówili Jadźwingów do najazdu na Polskę, pokonał ich Leszek Czarny i powracającym do domu odebrał łupy i jeńców. Nie zyskał pomimo to serc swych poddanych, bo lekceważył polszczyznę, a popierał Niemców, ze szkodą ludności rodzimej.

Następstwu Leszka Czarnego na księstwo krakowskie opierał się jeszcze za życia Bolesława Wstydliwego biskup Paweł z Przemankowa i był nawet o to więziony. Ten też stanął teraz na czele wielmożów i ziemian, niechętnych niemieckiej polityce. Książę kazał go porwać i odesłać do Sieradza, swej dzielnicy po ojcu, za co papież Marcin IV. rzucił na Leszka klątwę, a na jego księstwo

interdykt, tj. zakaz publicznego odprawiania nabożeństw i udzielania sakramentów św. Wywołało to wzburzenie ludności przeciw księciu; wreszcie zaniosło się na jawny bunt i wtedy dopiero uwolnił książę biskupa po dwuletniem więzieniu. Było za późno, bunt i tak wybuchnął, wezwano na tron księcia czerskiego, Konrada, brata stryjecznego Leszka. Mieszczaństwo krakowskie, złożone z niemieckich osadników, broniło stolicy, podczas gdy książę otrzymał wkrótce posiłki z Węgier, któremi wsparty pokonał stronnictwo narodowe w bitwie pod Bogucicami nad Rabą dnia 4 sierpnia 1285.

Henryk Probus, wrocławski książę, miał również zatarg z biskupem Tomaszem II. Rzecz poszła o 60 wsi, założonych w dawnej „bronie“ tj. pasie granicznym pomiędzy Ślązkiem a Czechami, do których i książę i biskup rościli sobie prawo. Książę popadł w klątwę, ale nie ustępował i zajął nawet gwałtem Nysę, stolicę państewka wrocławskich biskupów. Przybył z Rzymu legat i skazał księcia na znaczne grzywny, ale książę szydził sobie z wszelkiej władzy duchownej. Ludność cała podzieliła się na dwa obozy: za księciem lub za biskupem. Po pewnym czasie i tu tak się sprawy ułożyły, że książęce stronnictwo było niemieckie, a biskupie polskie. Nie całe też duchowieństwo było po stronie biskupa. Nie brakowało na Ślązku niemieckich klasztorów, które nie przyjmowały już wtedy wcale polskich nowicyuszów; te właśnie cieszyły się szczególną opieką książęcą. Wygnany biskup schronił się do Raciborza, którego książęta nie zupełnie jeszcze zapomnieli o swem polskiem pochodzeniu. Wysłano znowu z Rzymu komisyę do zbadania całej sprawy; na czele jej stanął arcybiskup gnieźnieński, jako metropolitalny zwierzchnik biskupa wrocławskiego. To się nie podobało księciu, ani też niemieckiemu duchowieństwu i wtenczas to z dwunastu klasztorów reguły św. Franciszka na Ślązku odłączyło się ośm od prowincyi polskiej, a przystąpiło do niemieckiej, saskiej. Ze sporu o posiadanie wsi zrobił się spór narodowy. Widocznie dawno wrzało już we wrocławskiem, a spór o wsie dostarczył tylko pozoru do ostatecznego zorganizowania się dwóch narodowych stronnictw. Teraz nie tajono już, o co właściwie chodzi jednej i drugiej stronie. Książę posprowadzał na sporną ziemię osadników niemieckich, a biskup domagał się, żeby przywrócić dawnych polskich. O tem Henryk nie chciał ani słyszeć. W zaciekłości swej posunął się do tego, że nietylko zagrabił

wszystkie posiadłości biskupie, ale nawet rzucił na biskupa jakąś przez siebie samego wynalezioną świecką, książęcą klątwę. Zagroził, żeby nikt w całem księstwie nie ważył się obcować z biskupem lub z kimkolwiek z jego sprzymierzeńców, zakazywał sojuszników biskupa przyjmować na nocleg, dawać im jadła lub napitku, chociażby nawet za pieniądze itp. Takie bowiem znaczenie miała klątwa. Ponieważ z biskupem łączyła się ludność polska, więc był to jakiś ogólny wyrok na wszystkich Polaków. Mieszka raciborskiego wezwał Probus, żeby biskupa od siebie wypędził, a gdy ten niechciał wygnańca rugować ze swego kraju, wyruszył Henryk z wojskiem na Racibórz. Rozpoczęło się oblężenie. Biskup, nie chcąc dopuścić do wojny domowej, wyszedł sam z miasta do obozu Henryka w ornacie i z pastorałem w ręku, idąc wprost aż do książęcego namiotu. Książę zgody potrzebował, bo miał właśnie zamiary względem Krakowa, nie stawiał przeto trudności i cały spór załagodzono, nie załatwiwszy zasadniczej rzeczy. Biskup posyłał na księcia skargi do Rzymu, wyprawiwszy tam, jako swego pełnomocnika, kanonika Jana Muskatę, ponieważ ten znał dobrze prawo kanoniczne, którego się uczył na uniwersytecie w Bolonii we Włoszech. Muskata był Niemcem z Wrocławia; tak się jednak umiał przychlebić Tomaszowi, że mu zaufał. Bawił Muskata w Rzymie od początku r. 1284 do połowy 1285, przywłaszczył sobie część pieniędzy danych przez biskupa na koszta procesu, a powróciwszy, nie oddał biskupowi potrzebnych dokumentów i przeszedł na stronę księcia. Pilnował w Rzymie własnego wyniesienia i wychodził sobie tam urząd papieskiego kollektora, tj. poborcy świętopietrza w Polsce, urząd bardzo intratny i wpływowy, a przytem zapewniający ciągłe stosunki z dworem papieskim. Kollektorowie robili zazwyczaj świetne karyery. Ten Jan Muskata został następnie biskupem krakowskim i będzie o nim potem jeszcze mowa.

Leszek Czarny myślał tymczasem o zemście nad Konradem Czerskim. Miał zezwolenie od papieża na krucyatę przeciw Jadźwingom i zebrał na nią wojsko, ale zamiast na pogan, poprowadził je na Mazowsze, przeciw książęciu czerskiemu! Było to już wyzywającem lekceważeniem potrzeb publicznych, doprowadzeniem samowoli książęcej do szczytu! Jak gdyby naród był dla księcia, a nie książę dla narodu!

Ale zato nie wziął osobiście udziału w obronie kraju od nowego, trzeciego już z kolei najazdu tatarskiego.

W grudniu 1287 r. nadciągnęła nawała tatarska przez ziemie ruskie. Kniaziowie ruscy stawiali się jeden za drugim na wezwanie hana, przyprowadzali posiłki i szli wraz z pogaństwem dalej na Polskę, łupić i mordować. Synowie Daniela, Mścisław i Lew, także towarzyszyli Tatarom i służyli im za przewodników. Główne grody małopolskie: Sandomierz i Kraków, zdołały się tym razem obronić, dzięki warownym murom. W dobywaniu warowni Tatarzy ani nie mieli biegłości, ani też nie chcieli się tem wstrzymywać w łupieskim pochodzie. Nie o zdobywanie kraju im chodziło, lecz o plądrowanie. Wyniszczyli też całą Małopolskę znowu doszczętnie, sięgając swemi zagonami tym razem aż do ziemi Sieradzkiej. Leszek Czarny schronił się na Węgry. Król węgierski przysłał posiłki, które stoczyły pod Sączem zwycięską bitwę. Niedługo bawili Tatarzy w Polsce, ale zadali nam cios straszny przez to, że brali tym razem jassyru jeszcze więcej, niż poprzednio. Samych dziewcząt zabrali 21.000. Takie tłumne uprowadzanie ludności musiały odczuć pokolenia następne. Toteż nastawały coraz lepsze czasy dla... osadnictwa niemieckiego.

Przybywało znowu ziemi bezpańskiej i przybywało niemieckich miast. Po Wrocławiu (1242), Poznaniu (1253), Lignicy i Sandomierzu (1255) przyszła kolej na niemiecką lokacyę Krakowa w roku 1259. Wtenczas to rozszerzono miasto ku północy i na miejscu dawnego rynku (koło kościoła św. Trójcy, odstąpionego następnie Dominikanom), założono ten olbrzymi rynek nowy, drugi co do wielkości plac miejski w całej Europie. Polska ludność nie brała całkiem udziału w tem odnowieniu Krakowa. Stolica całej Polski przestała być polskiem miastem. Po trzecim najeździe mongolskim otrzymała też Wieliczka ludność niemiecką, w r. 1290. Została ledwie garstka polskich górników, którzy byli na służbie książęcej i do mieszczan wcale się nawet nie liczyli; panami miasta byli Niemcy. W innych miastach było mieszczaństwo mięszane, złożone z Polaków i z Niemców, ale po krótkim czasie we wszystkich miastach Niemcy byli górą. W XIII. wieku przeszły jeszcze na prawo magdeburskie: Kalisz i Gniezno (1282) i Łęczyca (1292); potem po dłuższej przerwie Lublin dopiero w r. 1317.

Zaraz po najeździe tatarskim umarł Leszek Czarny, nie pozo-

stawiając po sobie nic, prócz zamięszania. Był bezdzietny, tak samo, jak jego poprzednik Bolesław Wstydliwy. Następcy nie wyznaczał po sobie. Z czterech młodszych jego braci jeden, Ziemomysł kujawski, zmarł rok przedtem. Pozostało trzech: Władysław, Kazimierz i Ziemowit, z których każdy miał swoją dzielniczkę. Najstarszym z nich był Władysław, zwany Łokietkiem, dla niskiego wzrostu.

Przez bezpotomne zejścia Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego, podczas gdy Bolesław Pobożny nie miał męskiego potomka, a Przemysław Wielkopolski jednego tylko syna, powstrzymało się dzielenie Polski w nieskończoność. Krakowskie i Sandomierskie tworzyły już tylko jednę dzielnicę, a w całej Wielkopolsce panować miał Przemysław, zwany Pogrobowcem, gdyż on jeden tylko pozostał już z linii Mieszka Starego, którego był praprawnukiem. Ale nie brakło męskich potomków liniom Władysława II. i Kazimierza Sprawiedliwego, ślązkiej i mazowiecko-kujawskiej.

W roku śmierci Leszka Czarnego było w Polsce i tak księstw szesnaście, a stolicami tych państewek były następujące grody: Kraków, Poznań, Sieradz, Łęczyca, Dobrzyń, Inowrocław, Wyszogród, Gniewków, Czersk, Płock, Wrocław, Lignica, Głogowa, Opole, Racibórz, Sprotawa.

STRONNICTWO NARODOWE.

Coraz trudniej było wydobyć Polskę z politycznego upadku, przywrócić jej wpływ i znaczenie w północno-wschodniej Europie, bo tymczasem zmienił się zupełnie polityczny ustrój tych krajów i narodów, wśród których Polska położoną była. Niegdyś tu pierwsza, niemogła już nietylko przewodzić nad sąsiadami, ale sama stawała się coraz bardziej od nich zawisłą i bronić się musiała, żeby wśród coraz potężniejszych państw ościennych utrzymać w całości swe granice. Już marchia brandeburska wchłonęła część Wielkopolski, a stojące za nią całe królestwo niemieckie wzmogło się na nowo i było groźne sąsiadom. Czeska potęga krótko trwała Otakar II. chciał wyrwać Czechy raz na zawsze z państwowego związku z Niemcami; gdy jemu ofiarowano koronę niemiecką, nie przyjął jej, a gdy wyniesiony na tron Rudolf z Habsburga zażądał hołdu z Czech, Moraw, Austryi, Stryryi, Krainy i Karyntyi, król czeski odmówił. Fatalna klęska w r. 1278 zmieniała od razu wszystko. Wszystkie te kraje stawały się na nowo lennami Rzeszy Niemieckiej,

na gruzach potęgi czeskiej poczęła róść nowa potęga niemiecka, a mianowicie dynastyczna potęga Habsburgów, gdy nowy król niemiecki nadał własnym synom Austryę, Styryę i Karyntyę. Syn Otakara, Wacław, miał ledwie siedm lat, a opiekunem jego i rządcą Czech został margrabia brandeburski, Otto Długi, zwany w Pradze „niemiecką plagą“. Od zachodu tryumfowali więc wszędzie Niemcy, od północy powstawało jeszcze jedno niemieckie państwo: Krzyżackie. A działo się to jednocześnie, podczas gdy miasta w Polsce zamieniały się na niemieckie osady i tłumy niemieckich kolonistów kraj zalewały. I jeszcze równocześnie coraz nowe tatarskie najazdy, a Ruś nie tylko nie zdołała utrzymać swej królewskiej korony, nietylko nie nadawała się do sojuszów, ale przeciwnie: książęta jej sami Tatarów wiedli na Polskę. Podobnież na Litwie runęło katolickie królestwo, zaś żywioły pogańskie na nowo rozpasane, żądne ciągle łupu, rzucały się do najazdów łupieżczych na Polskę.

Od wschodu tedy trzech łupieżców: Litwini, Rusini, Tatarzy, a od północy i zachodu Niemcy, we własnym kraju zniemczony już Ślązk i kilku zniemczonych już książąt, nawet na krakowskiem Wielkiem księstwie na pół zniemczony Leszek Czarny. Jasną było rzeczą, że czem słabszą będzie Polska, tem bardziej i szybciej będzie się niemczyć i zanosiło się na to, że Piastowskie dziedziny dostarczą chyba tylko nowych marchij Niemcom, tak, jak to już stało się u Połabian, a jak dziać się poczynało u Czechów.

. Kto miał temu zaradzić? Biskupi wypowiedzieli już walkę germanizacyi w Kościele; synod 1285 roku ponowił wymagania polskiego języka od proboszczów i nauczycieli. Ale samo wznowienie dawniejszej uchwały jest najlepszym dowodem, że ona jeszcze wykonana nie była i wykonać się nie dała, skoro niemczyli się sami Piastowscy książęta. Któż miał ocalić Polskę od zniemczenia, czy tych szesnastu książąt polskich? Było ich za wielu! Połowa była zniemczona, a druga pogrążona w swarach; żaden zaś z nich sam nic nie mógł zdziałać, bo nie wiele znaczył, małe tylko mając księstwo. A zresztą książęta zdatni byli po większej części w sam raz do wojny o Łędę i do niczego więcej.

Społeczeństwo polskie samo sobie radzić było winne i samo też sobie radzić musiało, jeżeli nie miało stać się na własnej ziemi żerem dla Niemców. Obowiązek ocalenia samodzielności narodu i wskrzeszenia wielkiego polskiego państwa spoczywał na właści-

cielach ziemi, na tych, których Niemcy nazywali szlachtą, na dawnych polskich rodowcach. Na Ślązku już ziemia przechodziła w niemieckie ręce, a to było dla nas najlepszem ostrzeżeniem! Szczęściem siła zbrojna była jeszcze tylko przy Polakach, bo prócz jednego Ślązka nigdzie jeszcze Niemcom nie nadali książęta ziemi na własność na wojskowem prawie. Póki do tego nie doszło, był jeszcze czas zabrać się do dzieła i rozpocząć polską politykę.

Przywykło już społeczeństwo do udziału w sprawach państwowych i dawno już szafowało tronem. Chodziło tylko o to, żeby w wyborze książąt trzymać się stale pewnego programu, t. j. pewnych warunków, któreby wiodły do celu. Właściciele ziemi ze swymi możnowładcami na czele posiadali też coraz więcej wyrobienia politycznego i w tych właśnie czasach powstaje wśród nich stronnictwo, którego program obejmował dwa główne punkty: uznawać władzę takich tylko książąt, którzy nietylko nie są zniemczeni, ale nawet jawnie wystąpią przeciw niemczeniu, a więc słuchać tylko książąt używających polskiego języka i trzymających się polskiego obyczaju; powtóre: przeszkadzać tworzeniu się nowych działów w dzielnicach książęcych; w walkach książąt o jakąś ziemię oświadczać się za silniejszym i poprzeć go jeszcze bardziej, żeby się jak najwięcej polskiej ziemi skupiało w jednem ręku.

Stronnictwo to dążyło do wznowienia królestwa polskiego. Na czele stronnictwa stali zawsze arcybiskupi gnieźnieńscy, co historya na chwałę ich zapisać winna. Z biskupów raz tylko jeden — poznański — stanął przeciw narodowemu stronnictwu; zresztą wszyscy, nie wyłączając wrocławskich, byli gorącymi jego zwolennikami. Wielmożowie świeccy w znacznej większości przyjęli również ten program; kilkunastu ledwie zdradziło sprawę narodową dla własnej korzyści. Żołnierze z pomiędzy szlachty nie stanęli ani razu w obronie jakiego księcia, niedogodnego do wykonania narodowego programu. Nawet ci z pomiędzy szlachty, którzy mając ziemię na prostem prawie rodowem, do służby wojskowej obowiązani nie byli, stawiali się nieraz dobrowolnie na obronę narodowych kandydatów. Co więcej, ruch narodowy udzielił się nawet polskim dzierżawcom. Chociaż nie mieli według ówczesnych wyobrażeń żadnych obowiązków względem państwa, i polityka do nich nie należała, jednakowoż z własnego popędu nietylko sprzyjali narodowemu stronnictwu, ale sami kilka razy

czynnie do rzeczy się przyłożyli. Z nielicznemi tedy wyjątkami pozyskał sobie program narodowy niemal wszystko, co tylko w Polsce było polskiego. Całe więc społeczeństwo przejrzało, poznało, czego mu trzeba i na jedno się zgodziło. Tej wielkiej solidarności całego narodu przypisać trzeba, że ostatecznie pomimo najcięższych przeszkód sprawa przecież się udała.

Zawsze społeczeństwo osięgnie cel zamierzony, jeżeli ogół zgodny jest w doborze środków. A nastała właśnie w Polsce zgoda pod tym względem taka powszechna, że nieznaczną ledwie garstkę widzimy poza stronnictwem narodowem. Ogół narzucił swą wolę książętom, doprowadził do tego, że oni stali się narzędziem w ręku społeczeństwa, aż wreszcie powstało z tego ruchu nowe państwo polskie przez społeczeństwo utworzone i na niem oparte, a nie na dynastyi tylko.

Ku koronie polskiej zwracały się utęsknione myśli Polaków; przybywało społeczeństwu ambicyi, budziło się pragnienie, żeby coś znaczyć w Europie! Spoczywały insygnia koronacyjne pod wierną strażą biskupów i kapituły krakowskiej, złożone na grobie św. Stanisława. Pamiętano o nich i marzono o tej chwili, kiedy ich będzie można użyć na nowo dla Pomazańca bożego. Wzrastająca coraz bardziej pobożność narodu budziła wiarę, że Opatrzność czuwa nad losami narodów i przekonanie, że na szczęśliwsze losy trzeba sobie zasłużyć, żeby być godnym powodzenia. Wierzono głęboko, że poniżenie Polski jest karą za grzechy poprzednich pokoleń, ale też wierzono zarazem, że po poprawie musi nastąpić Boże zmiłowanie nad dawną koroną Bolesławów.

Powszechne przekonanie wszystkich Polaków wyraził prostemi a rzewnemi słowy pisarz Żywotu św. Stanisława, ułożonego w r. 1261.

„Bóg świadom rzeczy przyszłych, karzący grzechy ojców do trzeciego i czwartego pokolenia, ponieważ sam wie dobrze, kiedy się ma ulitować nad narodem polskim i wywieść go ze zniszczenia, przeto aż do owego czasu wszystkie insygnia królewskie, to jest koronę, berło i włócznię w skarbcu kościoła w Krakowie mieści i w siedzibie królewskiej w ukryciu zachowywa, dopóki się nie zjawi powołany jaki Aaron, dla którego są przeznaczone“.

ROZDZIAŁ II.

PRZEWAGA WIELKOPOLSKI.

Trzy tatarskie najazdy wyludniły Małopolskę, ale żaden z nich nie sięgnął do Wielkopolski. Była ona więc ludniejsza, zamożniejsza i, nie tyle obcego osadnika potrzebując, pozostała też bardziej w ręku rodzimej ludności. Tam było mniej cudzoziemskiego duchowieństwa, i mieczów więcej w polskiem ręku; tam gniazdo polszczyzny. Wielkopolska i Mazowsze miały ludności do roli poddostatkiem. Nad Bugiem i Wieprzem rozszerzało się coraz bardziej polskie osadnictwo, stamtąd wychodził polski osadnik do Prus pod panowanie krzyżackie, i to nie tylko czynszowy dzierżawca, ale nawet wielu „rodowców“, którzy przenosili się tylko wtenczas, jeżeli dostali gdzie ziemię na własność, na wojskowem prawie. Podobnież szła emigracya wielkopolska na Pomorze gdańskie, krzewiąc tam rolnictwo i dostarczając „rycerstwa“ pomorskim książętom. Dzięki tej kolonizacyi wytwarzał się też coraz ściślejszy związek pomiędzy Wielkopolską a Pomorzem.

Rzecz prosta, że stronnictwo narodowe tam miało główną siedzibę i stamtąd czerpało najwięcej sił, gdzie najwięcej było Polaków, gdzie najwięcej dostatków utrzymało się w polskiem ręku, a więc w Wielkopolsce. Tam też była głowa stronnictwa: arcybiskup gnieźnieński, ten przedstawiciel jedności całej Polski, która podzielona na kilkanaście księstw tworzyła jednak jednę tylko prowincyę kościelną. Tam odbywały się owe synody kościelne, które tak czuwały nad zachowaniem Polski dla Polaków.

ZABIEGI O POMORZE.

Niebezpieczeństwo niemieckiej przewagi rozumiano też najlepiej w bezpośredniem sąsiedztwie i margrabiów brandeburskich i krzyżackiego zakonu. Pod wpływem wojny Świętopełka z Zakonem budzi się duch narodowy na Pomorzu, a Pomorzanie stają się bardzo gorliwymi zwolennikami wznowienia wielkiego państwa polskiego. W roku 1227 nikogo tam nie obeszło to, że książę pomorski zabił Wielkiego Księcia krakowskiego. Po pięćdziesięciu latach zmieniły się zupełnie stosunki. Pomorzanie chcą zgody, porządku i łączności z resztą Polski i wywierają coraz większy nacisk na swego księcia, żeby z Pomorza zrobić także szczebel do sławy Polski. Skoro tak się zachowywała ludność pomorska, cóż dopiero mieszkańcy kolebki piastowskiego państwa, właściwej Wielkopolski!

W Gnieźnie i w Poznaniu panował w połowie XIII. wieku prawnuk Mieszka Starego, Przemysław I., który zmarł w czerwcu 1257 r. W cztery miesiące po jego śmierci powiła wdowa po nim syna, którego ochrzczono również ojcowskiem imieniem; jestto Przemysław II. Pogrobowiec. Możnowładztwo wielkopolskie strzegło wiernie praw niemowlęcia do tronu, powoławszy na opiekuna jego stryja, księcia kaliskiego Bolesława Pobożnego. Panowały tam stosunki znacznie lepsze, niż w Małopolsce. Opiekun nie robił żadnych zamachów, żeby pozbawić prawowitego dziedzica jego spadku, nie było wojen o opiekę, nie było żadnych frymarków. Baczono natomiast pilnie na wychowanie małego Przemysława. Mamy wiadomości, że starano się o to, żeby młody książę znał dobrze historyę własnego kraju i zaprawiano go wcześnie do tego, żeby poznał, jakie niebezpieczeństwo grozi Polsce od Niemiec, a zwłaszcza Wielkopolsce od rozrodzonego licznie rodu margrabiów brandeburskich, Askańczyków (było ich dwunastu, siedzących na rozmaitych udziałach, a przeciw Polsce zawsze zgodnych). Z Askańczykami była w tych czasach ciągła wojna; rok w rok urządzali jakąś wyprawę, żeby urwać coś z Wielkopolski. Niestety, przewaga była po stronie czyhających na cudze drapieżców; zajęli oni gród Santok z okolicą i znaczny pas ziemi po obu brzegach dolnej Warty, a w r. 1272 utworzyli sobie z tych zdobyczy nowe margrabstwo, zwane Nową Marchią (Neumark). Wielkopolanie

prowadzili ciągłą walkę podjazdową i udało im się odebrać przynajmniej dwa grody: Strzelce i Drdzeń. Na wyprawy te brano zawsze młodziutkiego księcia, tak, że od najwcześniejszych lat znał tę sprawę z własnego doświadczenia.

Nagle zwiększyło się jeszcze bardziej niebezpieczeństwo niemieckich zaborów. Na Pomorzu panowało dwóch braci: Mestwin i Warcisław, niezgodnych z sobą. Mestwin nienawidził Warcisława; sam syna nie miał, ale niechciał, żeby brat po nim dziedziczył na wypadek jego śmierci. Zapisał swą gdańską dzielnicę książęciu z t. z. tylnego Pomorza, nad dolną Odrą, Barnimowi. Po pewnym czasie rozwiała się jednak przyjaźń z Barnimem, Mestwin sporządził nowy zapis, przekazując tym razem Gdańsk jednemu z Askańczyków, margrabiemu Konradowi. To było groźne dla polskiego żywiołu; okazuje się na tym przykładzie, do jakiego stopnia ówcześni książęta bywali bezmyślni i prowadzili politykę szkodliwą dla narodu, nie myśląc nawet o tem, co dla społeczeńswa jest potrzebne, a co wiedzie do zguby. Nie zaskarbił sobie Mestwin tym krokiem miłości poddanych. Brat Warcisław wypowiedział mu wojnę i znalazł poparcie ludności; tak Mestwina przycisnął, że ten własnemi pomorskiemi siłami obronić mu się nie mógł i przyzwał na pomoc margrabiego Konrada. Askańczyk chętnie przybył ze zbrojną drużyną i zajął Gdańsk. Podczas wojny umarł Warcisław. Zmieniło się położenie. Mestwinowi nietylko nie groziło żadne niebezpieczeństwo, ale sam po bracie objął spadek i stał się panem całego Pomorza. Brandeburskie wojsko nie było do niczego potrzebne, ale Konrad z Gdańska ustąpić nie chciał! Zachłanność ta oburzyła Mestwina, a gdy mądry Bolesław Pobożny ofiarował mu posiłki przeciw Konradowi, przyjął je chętnie książę pomorski. Nie mając już swarów z nikim na Pomorzu, o tem tylko teraz myślał, żeby wywrzeć zemstę na Askańczyku. Wyrzuciwszy go z Gdańska z pomocą rycerstwa kaliskiego i poznańskiego, odwołał swój zapis, dając Konradowi tylko odczepnego dwa powiaty: słupski i sławiński. I potem dawał jeszcze Bolesław Pobożny Mestwinowi posiłki przeciw Brandeburczykom, za co on odwdzięczył się dostarczywszy nawzajem pomocy raz przeciw księciu wrocławskiemu Henrykowi Probusowi. Ten zupełnie zniemczały książę chciał tanim kosztem powiększyć swe posiadłości i zaprosiwszy młodego Przemysława Pogrobowca na zjazd do

Barycza, uwięził go, żeby wytargować od niego kilka granicznych grodów za okup. Nie udało się jednak księciu rabusiowi. Wzmacniały się tymczasem coraz bardziej węzły łączące dwory kaliski i poznański z gdańskim. Bezdzietny Mestwin upodobał sobie Przemysława i coraz częściej zapraszał go do Gdańska, a że nie miał dziedzica, nastręczała się przeto sama z siebie myśl, jakby to było dobrze, gdyby po najdłuższych dniach Mestwina Pomorze przypadło znowu Wielkopolsce. Stronnictwo narodowe nie zaniedbało tej sprawy, a „szlachta“, t. j. właściciele ziemscy z Wielkopolski bratali się coraz bardziej ze szlachtą pomorską. Polityka polska zwróciła się ku północy. Szesnastoletni Przemysław pojechał w połowie roku 1273 po żonę na Pomorze tylne, do Wyszomierza (Wismar) i pojął w małżeństwo tamtejszą księżniczkę Ludgardę, zabezpieczając sobie na wszelki wypadek i stamtąd pomoc przeciw Brandeburgii. W sześć lat potem umarł Bolesław Pobożny, a że nie miał syna, odziedziczył Przemysław księstwo kaliskie. W r. 1282 spełniły się też życzenia jego co do Pomorza. Mestwin sporządził nowy testament i całe swe księstwo jemu zapisywał, ku wielkiemu zadowoleniu pomorskich obywateli. Dał mu też od razu gród Wyszogród i pozwolił używać tytułu dziedzica Pomorza. Szlachta pomorska zaraz tego samego jeszcze roku złożyła hołd Przemysławowi. Znać w tem ostrożność, żeby zmienny Mestwin nie mógł się już cofnąć.

Panował więc Przemysław nad znaczną częścią Polski, a po śmierci Mestwina miał się stać najpotężniejszym książęciem, nie ustępującym obszarem swych posiadłości Wielkiemu Księciu krakowskiemu. Nie na wiele jednak zdałoby się to połączenie trzech dzielnic w jednem ręku, gdyby Przemysław zmarł bezpotomnie. Był ostatnim z gałęzi Piastów wywodzącej się od Mieszka Starego. Krewniaków z innych linij, z kujawskiej i mazowieckiej, było kilku, wszyscy w równym stopniu pokrewieństwa; zachodziła obawa, żeby znaczna zjednoczona dzielnica nie została kiedyś w przyszłości znowu rozszarpana na kilka działów. W półtora roku po śmierci Ludgardy (1283) ożenił się z królewną szwedzką Ryksą, znowu na północy szukając związków ze względu na nieprzyjaźń Brandeburgii. Po trzechletniem małżeństwie doczekał się z drugiej żony potomka, ale dziecię było płci żeńskiej.

WALKA O KRAKÓW.

Po śmierci Leszka Czarnego, w roku 1288, nie ubiegał się Przemysław o wielkie księstwo. Gdyby się przeniósł do Krakowa, mogłyby zajść na północy zawikłania, grożące zerwaniem związku z Pomorzem. Księcia Mestwina trzeba było pilnować i pozostawać z nim w ciągłych osobistych stosunkach.

Szlachta małopolska wezwała na tron krakowski księcia płockiego Bolesława, rodzonego brata Konrada czerskiego. Wszyscy współcześni wychwalają tego Bolesława, jako dzielnego książęcia. Była to formalna elekcya. Ziemianie krakowscy i sandomierscy odbyli zjazd w Sandomierzu pod przewodem biskupa krakowskiego Pawła z Przemankowa i wysłali do Płocka zaproszenie na tron. Krakowskie i Sandomierskie tworzyły osobne dzielnice według testamentu Bolesława Krzywoustego, były aż do Leszka Białego pod osobnymi książętami, a miały i potem zawsze osobnych wojewodów, kanclerzów, mieczników, sędziów głównych itp., tak, że rzeczywiście tworzyły księstwa oddzielne, ale nie chciały mieć osobnych książąt, lecz wolały pod jednym pozostawać, ażeby nie mnożyć dzielnic. Dlategoto Krakowianie odbyli elekcyę wspólnie ze Sandomierzanami. Książę płocki przybył na wezwanie i zajął gród krakowski. Nikt z Polaków nie sprzeciwił się jego wyborowi.

Mieszczaństwo krakowskie wystąpiło jednak przeciw Bolesławowi płockiemu i samo od siebie wyprawiło poselstwo do Wrocławia, do zniemczałego Henryka Probusa, ofiarując mu tron polski. Sprzeciwia się to wszelkiemu prawu przyrodzonemu, żeby przybysze mieli stanowić o polityce i o rządach kraju, w którym znaleźli gościnność, żeby śmieli szafować tronem tego kraju! Widać z tego, jak osłabiony był w Małopolsce żywioł polski i co za różnica między nią a Wielkopolską! Tam polscy rodowcy wyrzucili z Pomorza brandeburskiego margrabię, a tu nie mogli mieć księcia według własnej woli!

Henryk Probus przybył z wojskiem i zajął miasto Kraków, ale na Wawelu została załoga Bolesława płockiego. Należało jąć się oręża, ale Bolesław zawiódł położone w sobie zaufanie. Ustąpił. Bał się wojny, której wynik uważał za bardzo wątpliwy. Bał się, że nietylko w Krakowie się nie utrzyma, ale i Płock stracić może, gdy zawre bój śmiertelny między żywiołem polskim a nie-

mieckim. Miał pod tym względem zupełną słuszność, że zanosi się na wojnę długą i uciążliwą. Książę, któryby chciał stanąć na czele narodowego ruchu, mógł wszystko stracić, bo narażał się na to, że go Niemcy wyprą z jego własnej dzielnicy. A wszystko przemawiało za tem, że Niemcy będą w tej walce silniejsi. Trzeba było nietylko osobistej dzielności, której nie brakło Bolesławowi, ale hartu i poświęcenia, żeby tę walkę podjąć w Małopolsce. Nie dał się do tego skłonić książę Bolesław. Ustępując, wystawił na sztych swych zwolenników. Cóż oni mieli począć, gdy się zbliżało wojsko Probusa? W czyjemże imieniu mieli z nim walczyć, skoro nie chciał walczyć Bolesław? Część więc ziemian poddała się Probusowi; część jednak pozostała pod bronią, opuściła swe majątki i udała się do Wielkopolski po radę i pomoc.

Gdy Bolesław wrócił do Płocka, wrócił też Henryk do swego Wrocławia. Nie zamierzał wcale zamieszkać w Krakowie; zostawił tylko małą załogę na grodzie, pewny zupełnie swego, nie przypuszczając, że o Kraków trzeba będzie jednak jeszcze walczyć.

W Wielkopolsce zajęto się gorliwie sprawą narodową. Sam książę Przemysław nie zamierzał wystąpić do walki, ale gotów był dać posiłki przeciw Henrykowi Probusowi, gdyby się znalazł wśród Piastów ktoś wytrwalszy i śmielszy od księcia płockiego. Znalazł się taki w osobie księcia brzeskiego Władysława, młodszego brata Leszka Czarnego.

Książę Władysław niczem się dotychczas nie odznaczył. Dostał po ojcu, Kazimierzu I. kujawskim, drobny dział: Brześć kujawski. Ze starszym bratem Ziemomysłem prowadził braterską wojenkę, jakto bywało w zwyczaju, o Gostyń, który zatrzymał po jego śmierci w r. 1287. W rok potem odziedziczył po najstarszym bracie, Leszku Czarnym, Sieradz. Wszystko to razem stanowiło bardzo mało. Sama osoba Władysława była również niepokaźna. Był najmniejszy wzrostem ze wszystkich Piastów; taki niski, że go Łoktkiem, Łokietkiem przezwano, śmiejąc się, że nie mierzy więcej nad łokieć. Miało się potem pokazać, że w tem małem ciele jest wielki duch, a zwłaszcza nadludzka wytrwałość i hart zdolny do borykania się ze wszystkiemi przeciwnościami. Ukochał też ten książę sprawę polską z całej duszy. Oddał się polityce narodowej bez zastrzeżeń, gotów każdej chwili stracić sam wszystko, byle

tylko społeczeństwo nie ustało w walce z niemczyzną. Takiego nam właśnie trzeba było!

Ta część małopolskiego rycerstwa, która do Wielkopolski się schroniła nie chcąc się poddać Probusowi, ogłosiła Władysława Łokietka kandydatem swoim do tronu wielkoksiążęcego. Przeciw Henrykowi wrocławskiemu stanął do walki Władysław sieradzki, bez porównania słabszy od niego. Stanął nie o własnych siłach i nie z własnego popędu, bo to byłoby wręcz niemożliwością, ale wsparty posiłkami dostarczonymi mu niemal z całej Polski, jako wykonawca i przedstawiciel woli społeczeństwa. Popierał go Przemysław z Wielkopolski, a nawet z Pomorza otrzymał on posiłki; taki już wpływ wywierało społeczeństwo na politykę książąt, że nawet Mestwin wziął udział w przedsięwzięciu, które go osobiście wcale nie obchodziło. Własną osobą stanęli na tę wyprawę obydwaj poprzedni kandydaci do tronu: Konrad czerski i Bolesław płocki, porwani ogólnym prądem i zapałem. Wielkopolska, Pomorze, Kujawy, Mazowsze, wystąpiły do boju w obronie Małopolski. Po przeciwnej stronie byli tylko zniemczeni Piastowice ślązcy. Henrykowi Probusowi pomagali: Henryk lignicki, syn Rogatki, Bolesław opolski i Przemysław, sprotawski książę, syn Konrada głogowskiego. Spotkały się wojska oba pod Siewierzem, dnia 26 lutego 1289 r. Nastała straszna bitwa, jedna z najkrwawszych owego czasu, walka o polską lub niemiecką przewagę nad Wisłą. Książę opolski dostał się do niewoli, a sprotawski poległ na polu walki; Łokietkowi przypadło świetne zwycięstwo i zasiadł na stolicy krakowskiej. Ślązcy książęta nie dali jednak za wygraną. Henryk Probus będąc chory, nie mógł osobiście wyruszyć, ale zajął się gorliwie jego sprawą Henryk lignicki. Ten w dwóch bitwach znowu dwa razy pokonany, z niczem na Śląsk wraca. Natenczas wrocławskie niemieckie mieszczaństwo ofiarowało Probusowi 3.500 zaciężnego żołnierza, zwerbowanego w Niemczech, 1.200 wozów do transportu i 100 wozów z przyrządami do oblęgania miasta; dołącza się do tego niemieckie rycerstwo ze Śląska i trzecie wojsko rusza na Kraków pod wodzą książęcia lignickiego. Bitwy unikano, lecz zajęto miasto zdradą w porozumieniu z mieszczaństwem. Łokietek musiał uchodzić. Nielicznym jego zwolennikom popalono domy, a nawet poniszczono plony w polu za miastem. Biskupa krakowskiego, Pawła z Przemankowa, uwięziono.

Dwa razy zwyciężyło stronnictwo narodowe, uległo za trzecim razem. Pierwszy raz okazało się w tej wojnie, jak o losach walki rozstrzygać może bogactwo. Pokonana dwa razy niemczyzna porwała się do trzeciej wojny, bo Probus był bogaczem, Wrocław najbogatszem ze wszystkich miast, a dostatki małopolskiego mieszczaństwa były na usługi niemieckiej sprawy. Nie brakowało pieniędzy. Ani wrocławscy, ani krakowscy mieszczanie nie przelali ni kropli krwi, dali tylko pieniędzy na zwerbowanie w Niemczech zaciężnych, t. j. ludzi, którzy z żołnierki zrobili sobie rzemiosło i najmowali się na żołnierzy każdemu, kto dobrze zapłacił. Można było takich wojsk stracić i dziesięć, a pomimo to nie tracić nadziei wygranej, póki starczyło pieniędzy, żeby sobie nająć jeszcze jedenaste. W porównaniu z niemieckiem bogactwem była wielkopolska szlachta ubogą, a małopolska ubożuchną. O zebraniu pieniędzy na zaciężnych nie było ani mowy. Polacy walczyli sami osobiście, własną przelewając krew, własną narażając głowę, a zaniedbując przez ten czas swoje sprawy domowe. Takie wojsko musiało być po trzech wyprawach zupełnie wyczerpane i nie sposób było zerwać się jeszcze do czwartej. Dodajmy do tego, że ze zdradą i najdzielniejszemu wojsku trudna sprawa. Niemcy podstąpili cichaczem pod samo miasto, a mieszczanie otwarli im zdradą bramę w nocy, właśnie, gdy Łokietek obchodził mury, odbywając przegląd swych straży. W ciemności nie zdawano sobie z razu sprawy z tego, że Niemcy są w mieście; wśród popłochu i zamięszania nie było nawet czasu schronić się na gród. Otoczony nagle przeważającemi siłami nieprzyjaciół na ulicach, gdzie przytem z każdego domu czyhała nań zdrada, ledwie zdążył Łokietek schronić się do franciszkańskiego klasztoru, mając przy sobie tylko kilkunastu zbrojnych. Z klasztoru wychodziła furtka na mury miejskie i tędy wydostał się książę Władysław za miasto w przebraniu, we franciszkańskim habicie.

TESTAMENT HENRYKA PROBUSA.

W ten sposób, dzięki bogactwu, zasiadł na Wielkiem księstwie książę wrocławski, oddany zupełnie niemczyźnie. Henryk Probus był hołdownikiem niemieckiego królestwa. Niegdyś pomagał był Otakarowi czeskiemu przeciw Rudolfowi Habsburgowi; po klęsce na morawskich błoniach bał się, żeby zemsta

nowego króla niemieckiego nie zwróciła się przeciw niemu i uprzedzając cios, pospieszył hołd złożyć i uznał się księciem Rzeszy niemieckiej. Zerwał tedy związek państwowy Wrocławia z Polską. Zmieniły się potem w Czechach stosunki, krajem rządził Otto Długi brandeburski, który królową-wdowę wraz z dziećmi trzymał w niewoli, złupił skarbiec czeski, a kraj skolonizował na dobre niemieckimi przybyszami, ciemiężąc ludność rodzimą. Królewicz Wacław wychowany był jak najgorzej i gdy dorósł, zniemczony zupełnie, przyczyniał się tylko najnieroztropniejszą polityką do powiększenia sławy i potęgi Niemiec. Był poniewolnem narzędziem w ręku króla niemieckiego, swego teścia. Ożeniono go z córką Rudolfa, Gutą, zaraz po śmierci ojca, gdy miał lat siedm, a nawzajem siostrę jego, Agnieszkę (dziesięcioletnią), wydano za niemieckiego królewicza, imieniem także Rudolfa. Było to sztuczką polityczną na wypadek, gdyby Przemyślidzi wymarli. Wychowano zaś Wacława z szatańskiem wyrachowaniem, żeby mu zniszczyć zdrowie. Minęły już czasy, kiedyto sztuka czytania i pisania znaną była tylko duchowieństwu; już świeccy wielmożowie kazali również uczyć swych synów, a cóż dopiero książęta! Ale Wacław miał już lat sporo, a czytać jeszcze nie umiał; znał się natomiast dobrze na wszystkiem, co podkopuje zdrowie i skraca życie; nim jeszcze dorósł, już zmarnował swe siły fizyczne, a gdy się opamiętał, było już za późno i dożył ledwie trzydziestu czterech lat wieku. Temu to Wacławowi złożył w r. 1289 hołd książę bytomski Kazimierz, zrywając za przykładem Probusa związek państwowy z Polską. Sam zaś Probus obiecał Wacławowi księstwo wrocławskie i mianował go swym następcą. Zapis miał wkrótce dojść do skutku, gdyż książę Henryk ani roku nawet nie cieszył się posiadaniem Krakowa. Umarł 24 czerwca 1290 r. Umierając rozporządził jednak swą spuścizną w sposób niespodziewany, sprzeczny z całem swem życiem.

Przed samą śmiercią ozwała cię w zniemczonym Piaście zastygła polska krew i w sam dzień śmierci, w obliczu jej grozy, wydał dokumenty, któremi pragnął naprawić krzywdy wyrządzone germanizacyą polskiemu społeczeństwu. On, ciemięzca biskupa wrocławskiego, przyznał mu słuszność w ostatniej chwili i przystał na wszystko, o co się dawniej przez sześć lat tak zaciekle spierał. On, ten zażarty Niemiec, zapisał w obliczu śmierci Kraków i San-

domierz Przemysławowi Wielkopolskiemu! Ślązkie zaś swe posiadłości zapisał jedynemu ze ślązkich książąt, który nie popierał nigdy jego zamiarów, jedynemu, który na Ślązku trzymał się polskiej strony, Henrykowi głogowskiemu. Nie brakło bliższych krewnych i był przecież ten Henryk lignicki, który mu trzy razy wodził wojsko na Kraków. Żył Wacław czeski, który miał być jego następcą w myśl dawniejszej umowy. Ale ci wszyscy pominięci, a zniemczony, po polsku nie umiejący, Henryk Probus, przekazał swą spuściznę tym tylko, którzy polskiej służyli sprawie.

Przemysław stawał się przez ten testament potężnym książęciem, gdy do całej Wielkopolski przyłączyć miał całą Małopolskę, a już od r. 1282 miał zapisane sobie Pomorze. Rzeczywiste jednak połączenie tych trzech dzielnic było niewykonalne, gdyż do walki wystąpił król czeski, mający sojuszników w książętach ślązkich i margrabiach brandeburskich. Poprzestając na prawnym tytule do Krakowa, przekazał Przemysław walkę o Kraków znowu Łokietkowi, sam zaś stanął na straży Pomorza. Margrabiowie brandeburscy protestowali przeciw rozporządzeniu Mestwina i trzeba było utrzymywać ciągłe pogotowie wojenne ze względu na nich. Nie było zaś na tyle sił, żeby walczyć równocześnie i nad górną i nad dolną Wisłą.

CZESI W KRAKOWIE.

Pozoru prawnego do zajęcia Krakowa dostarczyła Wacławowi wdowa po Leszku Czarnym, Gryfina. Wystąpiła z twierdzeniem, że mąż zapisał jej księstwo krakowskie i sandomierskie, a ona przelewa obecnie ten zapis na króla czeskiego. Dziwna rzecz, że Gryfina milczała o tak cennym dla siebie zapisie aż dotychczas. Było to proste oszustwo, żeby tylko mieć czem usprawiedliwić wyprawę wobec zagranicy. W rzeczywistości chodziło o to, żeby Małopolskę zatrzymać w niemieckich kleszczach. Pomysł wyszedł prawdopodobnie od Askańczyków z Brandeburgii, którzy też dostarczyli Wacławowi posiłków. Gdyby Wacław nie był niemieckiem narzędziem, byłby przeciw wzmocnieniu potęgi Przemyślidów zaraz wystąpił i król Rudolf i wszyscy margrabiowie. Ale Wacław oddał Ślązk zaraz w 1290 r. pod zwierzchnictwo Rudolfa Habsburga i dopiero od niego przejmował zwierzchność nad książętami ślązkimi, jako lennik Rzeszy niemieckiej. Ażeby obalić zupełnie

testament Probusa, podmówiono Henryka lignickiego, który wodził już trzykrotnie niemieckie wojsko na Kraków, żeby się wyprawił na Wrocław. I rzeczywiście zajął księstwo wrocławskie syn osławionego Rogatki, wypędziwszy z Wrocławia księcia głogowskiego. Gdy Wacław w drodze do Polski stanął w Ołomuńcu, pospieszyli do niego z hołdem jeszcze dwaj książęta ślązcy: Mieszko opolski i Bolesław cieszyński. W Krakowskiem znalazł się blizko ślązkiej granicy możnowładca, nie należący do narodowego stronnictwa; kasztelan ze Skały poddał Wacławowi swój gród i przez to otworzył mu drogę do Krakowa, który też zajął wysłany przodem biskup praski Tobiasz. Szczególny biskup, idący z wojskiem na zajmowanie cudzego kraju!

Z drugiem wojskiem nadciągnął z północy margrabia Otto Długi, ten sam, który więził niegdyś Wacława, gdy był jego „opiekunem“ w Czechach, a teraz popierał go, żeby wzmocnić nie czeską, lecz niemiecką sprawę. W Opolu złączyły się wojska czeskie i brandeburskie i tu złożył znowu hołd Wacławowi książę raciborski Mieszko. Z Opola ruszono do ziemi krakowskiej i poobsadzano czesko-niemieckiemi załogami wszystkie grody. Usunięto zupełnie krakowską szlachtę od służby wojskowej, a obce wojsko, ciągle pod bronią będące, miało utrzymać w posłuszeństwie ludność krajową. Po raz to pierwszy pojawiły się takie cudzoziemskie rządy wojskowe. Najlepsza w tem wskazówka, że szlachta Wacławowi nie sprzyjała; inaczej bowiem nie potrzebowałby tego na pół czeskiego, na pół niemieckiego (brandeburskiego) pogotowia wojennego w kraju, nad którym pragnął panować. Pozostawienie w grodach cudzoziemskich załóg nadało panowaniu Wacława w zupełności cechę wojennego zaboru.

Rzecz cała była obmyślaną zręcznie. Załogi te mogły się każdej chwili rzucić na krakowskich ziemian i trzymały ich w jarzmie, że nie mogli wystąpić jawnie przeciw swym zaborcom. Udział Brandeburgii w tej wojnie krępował Przemysława Wielkopolskiego. Walcząc z Wacławem byłby zarazem walczył z Ottonem Długim, a zatem wypowiadałby wojnę nietylko Przemyślidom, lecz także Askańczykom i zawrzałaby od razu wojna także na północy. Przemysław musiałby się bronić we własnej dzielnicy i na los Krakowa nie mógłby niczem wpłynąć. Gdyby dał Małopolanom posiłki, musiałby je i tak zaraz odwołać. Tem się tłumaczy, że

książę poznański zachował się tym razem neutralnie i nietylko sam nie upomniał się o należną sobie spuściznę po Probusie, ale także nie dał pomocy Łokietkowi.

Władysław Łokietek bowiem podjął i tym razem walkę! Wiedział, że może stracić swój Brześć i Sieradz, ale chociażby w niepomyślnej walce te dwa grody przeszły także pod czesko-niemieckie panowanie, nie byłoby dla Polski takiej dotkliwej szkody, jak gdyby Brandeburczycy zajęli Pomorze!

Henryk lignicki zajął był w r. 1289 Kraków w służbie Henryka Probusa, ale nie posunął się dalej na wschód. Ziemia sandomierska pozostała w ręku księcia Władysława i dopiero teraz wysłał tam na niego wojsko Wacław czeski. Walka była nadzwyczaj nierówna; drobny książę walczyć miał z potężnym królem! A jednak walczył, bo wiedział, że ludność cała jest za nim, walczył, żeby chociaż podjazdową walką podtrzymać opór przeciw cudzoziemskim rządom. Udało mu się z pomocą okolicznej szlachty zająć raz niespodzianym napadem gród Wiślicę, ale było to powodzenie przemijające. Wkrótce musiał opuścić Sandomierskie; gdy nadeszło znaczniejsze wojsko czesko-brandeburskie, nie można było myśleć o tem, żeby się utrzymać przeciw Wacławowi. Cofnął się Władysław do swego rodzinnego Sieradza i tam się zamknął w grodzie wraz z bratem swym Kazimierzem łęczyckim. Nie pozostawiono ich tam w spokoju. Sieradz zdobyto, obaj bracia popadli w moc Wacława i byli jego jeńcami. Odzyskali wolność pod tym tylko warunkiem, że złożą hołd Wacławowi. Przystali na to książęta, bo przystać musieli, ale pomny polskiej sprawy Łokietek, zastrzegł się wyraźnie, że składają hołd Wacławowi tylko jako Wielkiemu książęciu krakowskiemu, a więc na polskiem prawie państwowem, a nie jak ślązcy książęta, którzy w osobie Wacława hołdowali królowi czeskiemu i Rzeszy niemieckiej. Było to w r. 1291.

W dwa lata później porozumiewał się Przemysław Wielkopolski z Władysławem Łokietkiem o wspólną wyprawę na Kraków, Wacław bowiem zajęty był zawikłaniami w Niemczech. Tam po śmierci Rudolfa Habsburga (w r. 1291) nie chciano wynieść na tron jego syna Albrechta dlatego, że ród Habsburski był już potężny. Książęta niemieccy chcieli mieć króla jak najsłabszego i wybrali sobie ubogiego i nie wiele znaczącego hrabiego nassawskiego (Nassau) Adolfa, który nie miał nawet z czego zapłacić długu za-

ciągniętego u mieszczan frankfurckich na wydatki potrzebne do przyzwoitego wystąpienia i utrzymania podczas elekcyi. Wybuchła wojna domowa pomiędzy nim a Albrechtem habsburskim. Król czeski uważał się przedewszystkiem za księcia Rzeszy niemieckiej. Ojciec jego, Otakar II. był mądry i nie chciał przyjąć niemieckiej korony, ale Wacław był dziwnie słabym politykiem. Gdyby w Polsce wystąpił jako przeciwnik niemieckiego żywiołu, mógłby był pozyskać serca narodu i Polskę złączyć z Czechami; a on występował w Polsce jako lennik niemiecki i siły czeskie marnował dla sporów o tron niemiecki i oświadczał się w Niemczech za Albrechtem, a więc za utwierdzeniem nowej wielkiej potęgi dynastycznej! Spory niemieckie nie były dla Czech czemś obcem, tak się już Czechy zżyły za Wacława z Rzeszą niemiecką! Chciał z tego skorzystać Przemysław i namawiał Łokietka do wyprawy na Kraków, przypuszczając, że Wacław, zajęty w Niemczech, nie będzie mógł stawić należytego oporu w Polsce. Sprawę Łokietka popierał biskup krakowski, następca Pawła z Przemankowa, Prokop, który był poprzednio kanonikiem w Gnieźnie.

Gdy obydwaj narodowi książęta przygotowywali się do tej wyprawy, zaszedł wypadek którego nikt nie mógł przewidywać, który niezależny był od politycznych rachub czy czeskich, czy polskich, a jednak wywarł stanowczy wpływ na wszystkie stosunki. Oto Tatarzy na jechali po raz czwarty Małopolskę i spustoszyli ziemię sandomierską. Był to najazd mały w porównaniu z poprzedniemi, ale wystarczył, żeby zniszczyć tamtejszą ludność i uczynić ją na dłuższy czas niezdolną do jakiegokolwiek przedsięwzięcia. Było to zimą z roku 1293 na 1294. Zaraz potem nastąpił najazd litewski, który sięgnął aż pod Łęczycę. Litwini spalili miasto i gród, złupili, co tylko się dało i brali jeńca, zupełnie jak Tatarzy. W bitwie nad rzeką Bzurą zginął książę Kazimierz łęczycki, brat Łokietka. Łokietek odziedziczył po nim Łęczycę, ale było to dziedzictwo pustek i ruin. I księstwo sieradzkie również było spustoszone i wyludnione strasznym najazdem. Książę Władysław miał przez to jakby broń wytrąconą z ręki, a że równocześnie także połowa Małopolski wyniszczona była przez Tatarów, musiał spełznąć na niczem cały zamiar zaczepienia Wacława.

Nie umiał Wacław bronić kraju, ale umiał pilnować swojej władzy. Doniosło się do jego uszu coś o zamiarach niezłomnego

Władysława Łokietka i biskupa krakowskiego Prokopa. Donosicielem był prawdopodobnie kollektor świętopietrza, ów Jan Muskata, który już w sprawie Henryka Probusa z biskupem wrocławskim Tomaszem II. okazał, jak umie siadywać na dwóch stołkach i zdradzać. Wacław wezwał biskupa Prokopa do Pragi i tam musiał krakowski pasterz podpisać w czerwcu 1294 upokarzający dokument, w którym uznaje króla czeskiego prawym władcą Krakowa i Sandomierza i zobowiązuje się nietylko zerwać stosunki ze stronnictwem Łokietkowem, ale nawet donieść zaraz Wacławowi, gdyby się czego dowiedział o przedsięwzięciach przeciw czeskiemu panowaniu. Wkrótce po tem upokorzeniu umarł biskup Prokop ze zmartwienia. Jan Muskata brał udział w całem tem śledztwie w Pradze, przebywał tam właśnie równocześnie, a że sobie zaskarbił łaski Wacława, najlepszym dowodem, że on właśnie został następcą Prokopa i z końcem tego samego jeszcze roku 1294 zasiadł na katedrze krakowskiej. Wdarł się na to biskupstwo poparty przez Wacława, z pogwałceniem przepisów kościelnych; toteż zarzucano mu potem jawnie, że wybór jego i konsekracya odbyły się wbrew prawu kanonicznemu, a nawet, że się dopuścił symonii, t. j. kupczenia dostojeństwami kościelnemi. Opróżniające się godności duchowne w Krakowie obsadzał Muskata tylko Niemcami. Za to otrzymał od Wacława w r. 1295 tytuł książęcy i pozwolenie na obwarowanie biskupich miast Sławkowa, Iłży, Tarczek i Kielc; nowe te warownie miały powstrzymać zapędy stronnictwa narodowego. Obsadzenie biskupstwa krakowskiego Niemcem było rzeczywiście ciężką klęską narodową i mogło oddziałać jak najgorzej na przyszłość Małopolski.

KORONACYA PRZEMYSŁAWA.

Natenczas powstaje na arcybiskupim dworze w Gnieźnie myśl śmiała. Cokolwiek będzie po śmierci Przemysława, (niemającego męskiego potomka), wskrzecić polską koronę, dopóki Polska nie jest jeszcze częścią Rzeszy niemieckiej. Gdy raz się to zrobi, przybędzie sił narodowi, gdy po dwustu latach zabłyśnie na nowo nad Polską znamię jednolitej najwyższej państwowej władzy! Gdy Przemysław włoży koronę, ten tylko będzie się mógł uważać za jego następcę, kto również zrobi to samo. Ktokolwiek nad Polską zapanuje, w każdym razie będzie to król polski,

a nie książę krakowski, sandomierski, poznański i t. d. Raz posprzęga się tych książąt w jakąś całość pod jedną koroną! Kto koronowany będzie, z tym żaden z reszty książąt nie będzie się mógł równać i ocali się przynajmniej zasadę państwowej jedności Polski. Wszyscy polscy biskupi, nie wyłączając wrocławskiego, zgodzili się na ten plan i uzyskano też pozwolenie stolicy apostolskiej; biskup krakowski, Niemiec Muskata, nie śmiał jawnie protestować.

Gdy w grudniu 1294 r. umarł Mestwin, zajął Przemysław Pomorze bez najmniejszych trudności; wszak mieszkańcy Pomorza dawno go już uważali za swego księcia i pragnęli połączyć się z Wielkopolską. Protestowali przeciw temu Askańczycy i wystarali się u króla niemieckiego, Adolfa nassawskiego, o dokument, mocą którego on, jako niby następca cesarzów i zwierzchniczy pan całego świata chrześcijańskiego, nadawał Pomorze margrabiom brandeburskim. Tem bardziej pragnął Przemysław przyspieszyć swą koronacyę.

Miał Przemysław w Krakowie dobrych przyjaciół w kapitule katedralnej, skoro zdołano uwieść stamtąd, z pod panowania Wacława, z pod oka Muskaty, insygnia koronacyjne i przewieźć je do Gniezna. Była to korona Bolesława Śmiałego. Włożył ją na głowę Przemysława arcybiskup gnieźnieński Jakób Świnka w otoczeniu wszystkich biskupów polskich, prócz Muskaty. To nie tylko Wielkopolska, ale cała Polska obchodziła wielkie narodowe święto i radowała się, że nadszedł wreszcie ów Aaron, którego wyczekiwano z ufnością w miłosierdzie Pańskie nad skołataną ojczyzną. W Gnieźnie odbył się wielki zjazd z całej Polski, a byli na nim także wysłańcy krakowskich ziemian, bez względu na to, że na Wawelu była załoga Wacławowa. Działo się to dnia 26 czerwca roku 1295.

Polska była znowu królestwem, naród stwierdzał przez koronacyę swą samoistność, swe prawo i swą niezłomną wolę stanowienia samemu o swym losie.

Biskup krakowski Muskata nie pojechał do Gniezna na koronacyę, ale do Pragi i tam namówił Wacława, że wysłał do Rzymu protest przeciw tej koronacyi, co jednak na nic się nie zdało. Nie na to przestrzega papiestwo Chrystusowego prawa, żeby jeden naród dawać drugiemu w poddaństwo!

Szał wściekłości opanował Askańczyków. Postanowili zamor-

dować Przemysława skrytobójczo. Niegdyś margrabia Gero truł słowiańskich książąt; Henryk II. zrobił zasadzkę na życie Bolesława Wielkiego; Krzyżacy fałszowali dokumenty i czyhali na Braci Dobrzyńskich; czemużby margrabiowie brandeburscy nie mieli zgładzić tego, który blaskiem korony przydał Polsce sławy?

Każdy monarcha ma niechętnych sobie. Wśród ziemian wielkopolskich dwa rody były nieprzyjazne królowi Przemysławowi: rody Zarębów i Nałęczów, gdyż sprawiedliwość królewska dała się im we znaki. Z tymi zmówili się Askańczycy i ułożono zamach na życie królewskie, gdy Przemysław w ciągłych swych podróżach po kraju, zjechał w lutym 1296 r. do pogranicznego od Brandeburgii miasta Rogoźna. Trzech Askańczyków, Otto Długi, dawna „plaga niemiecka“ Czech, brat jego Otto Mały i cioteczny ich Jan, najęli całą gromadę łotrów i wyuczyli ich, co mają robić. Nałęczowie zaś i Zarębowie baczyli, kiedy będzie sposobna pora do zamachu i mieli swoich w Rogoźnie, żeby służyć zbójcom za przewodników. Ostatniego dnia zapustów biesadowano huczniej na dworze Przemysława; w nocy popielcowej pogrążeni byli wszyscy w twardym śnie, gdy wtem cały hufiec zbójecki wpadł do miasta od granicy brandeburskiej. Zdrajcy wskazali miejsce królewskiego noclegu i cała gromada zbójców wpadła do komnaty Przemysława. Zbudzony niespodzianym napadem bronił się. Chciano go porwać żywcem i oddać margrabiom w niewolę, zapewne żeby wydusić na nim w więzieniu zrzeczenie się Pomorza. Okrytego ranami wsadzono nieprzytomnego na konia, a dwóch jeźdźców z obydwóch stron popędzało konie ku granicy. Upływ krwi był jednak zbyt wielki, nieudało się Przemysława utrzymać na koniu; spadł w drodze. Tymczasem mordowano w Rogoźnie królewskich dworzan. Niektórzy jednak zdołali się ocalić, a spostrzegłszy, co się dzieje, puścili się w pogoń za porwanym królem. Zbójcy słysząc nadjeżdżającą pogoń, dobili Przemysława i porzucili trupa na drodze, a sami rozpierzchli się na wszystkie strony i znanemi sobie przejściami przedostali się za brandeburską granicę. Pogoń znalazła na drodze martwe już ciało królewskie.

W taki sposób chcieli Niemcy pozbawić Polskę korony.

KORONACYA WACŁAWA.

Szlachta wielkopolska przyzwała na tron Władysława Łokietka, ale książę ten miał dojść do korony dopiero po dwudziestu czterech latach ustawicznej walki. Nie było chyba nigdy większego politycznego zamętu, jak po śmierci Przemysławowej. Do walki o Pomorze wystąpili brandeburscy margrabiowie, książę szczeciński ze zachodniego Pomorza, Bogusław III. i z Piastów jeden, Leszek inowrocławski, że był powinowatym Mestwina po kądzieli; Łokietek był tam czwartym ze współzawodników. O Wielkopolskę zgłosił się Henryk głogowski, syn Konrada, najbliższy króla Przemysława krewny, posiadający wzdłuż granic Wielkopolski szereg miast i grodów, z dokonanego w r. 1291 podziału ślązkiej spuścizny po Probusie, a mianowicie prócz Głogowy: Ścinawę, Hajnów, Bolesław i z drugiej strony Odry: Górę, Milicz, Trzebnicę i Syców. Wszyscy zapaśnicy ruszyli do boju. Łokietek ze wszystkimi walczył, podczas gdy oni, choć sobie wzajemnie zazdroszczący, zawsze byli gotowi łączyć się przeciw niemu. Zwycięstwo było niemożebne, ale i z tamtych nikt nie był o tyle silniejszy od reszty, żeby mógł sam zająć i całą Wielkopolskę i Pomorze. Jedynym skutkiem tej walki mogło być rozerwanie Wielkopolski i Pomorza na dzielnice. Jakoż ustępował już Łokietek Głogowczykowi zachodniej części Wielkopolski z miastem Poznaniem. Nie tego życzyła sobie szlachta i duchowieństwo! Nie na to koronowano Przemysława, choć nie posiadał Krakowa!

Piętrzące się koło Łokietka trudności wyzyskiwał sprytnie król Wacław, stosując się w tem do rad Muskaty. W lutym 1297 zjechał się biskup krakowski z księciem Władysławem w Brzeźnicy i namawiał go, żeby się zrzekł swych praw do Małopolski, że król czeski gotów dać mu za to znaczną kwotę pieniężną. Za pieniądze możnaby nająć zaciężnych i obronić się rywalom w Wielkopolsce; to czysty zysk za zrzeczenie się Krakowa, którego Łokietek i tak nie posiada i Wacławowi nie odbierze. Jeżeli zaś na układ taki nie przystanie, może nie mieć ani Krakowa ani Gniezna. Na pozór układ był dla Łokietka bardzo korzystny i książę dał się złapać na lep obietnic Muskaty. Dnia 18 listopada 1297 stanęła pisemna umowa, mocą której Łokietek zrzekał się na rzecz Wacława wszelkich swych dawnych praw do ziemi sandomierskiej

i krakowskiej za cenę 5000 grzywien. Olbrzymia to była suma, ale książę nie dostał ani grosza. Zwlekano z wypłatą, aż gdy się Władysławowi powodziło coraz gorzej, wystąpiono z nowym układem na znacznie cięższych warunkach. Miał dostać już tylko cztery tysiące grzywien, a za to złożyć jeszcze hołd z Wielkopolski. Podpisał i te warunki Łokietek dnia 23 sierpnia 1299, ale Wacław ani tym razem nie myślał o wypłacie, a natomiast sam wystąpił przeciw niemu zaczepnie. Okazało się, że obydwa układy były tylko chytrym podstępem, żeby zepsuć Łokietkowi sławę, że gotów niejako sprzedać Kraków Wacławowi i że nie jest dobrym wykonawcą woli narodu, skoro uznaje się za pieniądze hołdownikiem tego samego monarchy, przeciw któremu miał naród prowadzić do boju. Rzeczywiście też zaczął Władysław tracić stronników. Zręczna polityka Muskaty doprowadziła do tego, że Wielkopolanie zaczęli się zastanawiać, czy nie lepiej i prościej samego Wacława zaprosić, niż mieć księcia, który uzna jego zwierzchnictwo?

Najważniejszą rzeczą było, żeby nie robić na nowo dzielnic, ale utrzymać jedność. Temu względowi musiały ustąpić na razie wszystkie inne. Pożądanym się stał Wielkopolanom każdy, ktoby miał na tyle potęgi, żeby żadnemu z reszty zapaśników nie dać ani piędzi ziemi. Tyle potęgi miał tylko jeden: pan Krakowa i Sandomierza, król czeski Wacław. I wezwano go do Poznania, żądając tylko, żeby poślubił córkę Przemysława, Reiczkę i żeby się koronował. Miał panować nie jako król czeski, lecz jako król polski.

Nie było w tem postępowaniu szlachty wielkopolskiej ani bałamuctwa, ani zmiany programu. Powołując Łokietka mniemano, że zajmie Wielkopolskę bez trudności, przynajmniej bez większych trudności, skoro sami mieszkańcy pragną jego panowania. Wystąpienie tylu wrogów naraz było niespodzianką. Leszek inowrocławski dał się po niedługim czasie przekonać, zrzekł się uroszczeń do Pomorza i sam przystał do Łokietka. Ale od Bogusława szczecińskiego poniósł książę Władysław klęskę (w r. 1298 pod Bytowem), a miał nadto wojnę z Askańczykami i księciem głogowskim. Niespodzianie była Wielkopolska wciągnięta w wir strasznej walki, przechodzącej jej siły i wystawiona na najazdy ze wszech stron. Równocześnie walczono nad Bałtykiem i na ślązkiej

granicy. Łokietek nie dawał za wygraną, przerzucał się szybko z jednego pola walki na drugie, po bitwie stoczonej na Pomorzu pędził na Ślązk, żeby wtargnąć w dzierżawy Głogowczyka, ale coraz bardziej było widoczne, że nie starczy sił na opędzenie się wszystkim. Przy końcu trzeba było wojować i z Czechami, gdyż Wacław ruszył na księstwa sieradzkie i łęczyckie. Chcąc mieć o jednego wroga mniej, próbował układów to z Wacławem, to z Głogowczykiem, bo jasnem było, że przy całej Wielkopolsce się już nie utrzyma. Utrudniło całą sprawę stanowisko biskupa poznańskiego Andrzeja, owego jedynego biskupa Polaka, który nie popierał w tych czasach narodowego stronnictwa, lecz stanął po stronie Henryka głogowskiego. Biskup rzucił nawet klątwę na Łokietka, gdy żołnierze jego naruszyli w pochodzie jakąś wieś biskupią. Społeczeństwo było oburzone na biskupa i za wdaniem się ziemian biskup wkrótce klątwę odwołał, ale tymczasem wojsko Henryka poczyniło już znaczne postępy w Wielkopolsce, a nie było na tyle sił, żeby je wyprzeć z zajętego kraju, bo się miało równocześnie do czynienia z księciem szczecińskim i margrabiami brandeburskimi.

Kilka rozmaitych wojsk jednocześnie w kraju i ciągła walka podjazdowa na wszystkie strony ubożyły kraj, rujnowały ludzi gorzej od największej a regularnej wojny. Ponieważ siły przeciwników równoważyły się mniej więcej, nie było nadzieji końca tej wojny. Raz wraz inne wojsko przechodziło i co chwila dla kogo innego domagano się posłuszeństwa i danin. Nikt nie wiedział w końcu, kogo słuchać, kto jest panem, wodzem, sędzią; każdy rozkazywał i wojskiem wymuszał spełnienie rozkazu. Nie mogło być żadnego prawnego porządku, gdyż co jeden zaprowadził, po kilku tygodniach drugi zmieniał. Władysław Łokietek był wszystkim drogi, toteż podjęto pod jego przewodem ciężką walkę, ale przegrano ją i nie miano na tyle sił, żeby go utrzymać przy władzy. Wśród ogólnego zamięszania zniknął w kraju wszelki porządek i zanosiło się na panowanie chyba prawa pięści. Korzystali z zamętu tylko tacy, dla których brak silnej prawnej władzy był pożądaną sposobnością do popełniania bezprawi. Ład, porządek i spokój trzeba było koniecznie przywrócić, ale nie przez tworzenie nowej dzielnicy, nie przez odstępowanie połowy Wielkopolski Henrykowi głogowskiemu! Skoro na wojnie przegrano,

trzeba było ponieść następstwa przegranej i na razie odstąpić od kandydatury Łokietka. Skoro zaś Łokietek nie mógł zostać królem, lepiej było posłać po Wacława, niż poddawać się Henrykowi. Odkąd zaś Wacław i tak już wystąpił przeciw Łokietkowi, zachodziła obawa, żeby się wszyscy wrogowie nie porozumieli i nie rozszarpali pomiędzy siebie Wielkopolski i żeby Pomorze nie dostało się margrabiom. Stokrotnie już lepiej było poddać cały kraj dobrowolnie jednemu z nich. Odbyto więc wraz z duchowieństwem zjazd walny i wyprawiono poselstwo do Pragi, pocieszając się tem, że przynajmniej Kraków i Gdańsk, Sandomierz i Poznań będą wreszcie pod jednym rządem. Nie wszyscy jednak byli politykami i pomimo wszystko nie brakło jeszcze Łokietkowi stronników, którzy nie chcieli złożyć broni. Wacław musiał resztki żołnierzy małego księcia wypierać od grodu do grodu. Zraził też sobie na samym wstępie Wielkopolan tem, że wyjeżdżając z Pragi poddał koronę polską królowi niemieckiemu Albrechtowi I., biorąc Polskę od niego w lenno. Był panem dwóch królestw, a jeszcze się nie mógł obejść bez tego, żeby się Niemcom nie ukorzyć!

Koronacya Wacława odbyła się latem 1300 roku w Gnieźnie koroną Bolesława Śmiałego. Ukoronował go arcybiskup Jakób Świnka, ten sam, który namaścił Przemysława. Innem zupełnie sercem dokonywał tej ceremonii przed pięciu laty, kiedy przyozdabiał koroną głowę wybrańca narodu, niż teraz, gdy polityczna konieczność zmuszała ofiarować ją zniemczonemu Wacławowi. Doprowadzili Wielkopolanie bądźcobądź do tego, że chcąc nad nimi panować, trzeba było być królem, a nie tylko księciem. Ocalili trwałość korony polskiej, a to już było wielką zasługą. Nowy król wyrządził atoli bolesną obrazę całemu narodowi, że się uznał lennikiem Niemiec. Toteż wszystkie umysły zwróciły się tem bardziej ku Władysławowi, wszyscy życzyli sobie, żeby jak najprędzej można było na nowo rozpocząć walkę w pomyślniejszych okolicznościach. Koronacya Wacława była klęską, politycznie roztropnie złagodzoną, ale bądźcobądź klęską. Tylko koronacya Łokietka mogła być znakiem zwycięstwa polskiej sprawy.

Łokietek opuścił nietylko Wielkopolskę, ale nawet swoje rodzinne księstwa i grody: Brześć, Sieradz, Łęczycę. Wybrał się w daleką drogę, do Ojca św. do Rzymu. Miał w tem swoje plany; wiedział dobrze, czemu tam jedzie. Nie był on wygnany z Wiel-

kopolski, lecz był z żalem żegnany, a ci sami, którzy otaczali Wacława podczas koronacyi, wiedzieli dobrze, że Łokietek będzie w Rzymie czynić starania, żeby tę koronacyę uznać za nieważną. Plan Łokietka polegał na dokładnej znajomości ówczesnych stosunków europejskich i polityki papieskiej, toteż trzeba przypuścić, że plan ten powstał nie w obozie wśród wojskowej drużyny, ale na dworze arcybiskupim i że sam Jakób Świnka wyprawił niezłomnego naszego księcia do Rzymu. Zwraca też uwagę jedna okoliczność, mianowicie, że przez całe czeskie panowanie arcybiskup usunął się od spraw państwowych i stał na uboczu.

Niezadowolenie z książęcego nierządu dzielnicowego było powszechne. W Małopolsce i Wielkopolsce nie chciano dopuścić do tworzenia dzielnic na nowo, a na Ślązku chciano się ich też pozbyć. Wrocławianie dwa razy wzywali Wacława, żeby sam nad nimi władzę objął; nie zrobił tego, ale przyjąwszy opiekę nad dziećmi Henryka V. wrocławskiego, przysłał do Wrocławia swego namiestnika. Za tegoto czeskiego namiestnictwa umarł biskup Romka, który asystował koronacyi Przemysława, a następcą jego został Henryk von Würben, pierwszy Niemiec w katedrze wrocławskiej, w roku 1301. Odkąd ludność polska na Ślązku straciła podporę moralną w Kościele, losy tej ziemi były już ostatecznie rozstrzygnięte.

Wacław nie mieszkał w Polsce, ale rządził nią przez swych namiestników, podobnie jak w Wrocławiu. Zwali się starostami, ale nie mają nic wspólnego z dawnymi starostami tworzącymi radę opola; tych nawet pamięć już ginęła. Starosta czeski był urzędnikiem wojskowo administracyjnym, mianowanym przez króla. Wacław nie ufał polskiemu rycerstwu, poobsadzał więc grody czeskiemi załogami, a przywódca takiej drużyny wojennej zwał się starostą. Do niego należało też wybieranie danin państwowych, czyli podatków, które należało składać na grodach. On też był sędzią z ramienia królewskiego w tych sprawach, które sądownictwu monarchy były zastrzeżone. Naczelnym starostą, namiestnikiem nad całem państwem, był Czech Hynek z Dubu. Rodzime żywioły były tedy usunięte od sprawowania rządów. Dawne urzędy polskie były pozbawione swego zakresu władzy, a nawet w znacznej części całkiem nie obsadzone. Polacy byli zupełnie odsunięci od spraw państwowych. Przez cały czas panowania Wacława w Kra-

kowie nie było całkiem urzędu sędziego krakowskiego, a po koronacyi, po r. 1300, nie było w Małopolsce ani wojewodów, ani kasztelanów, ani sędziów, ani nawet podsędków. Wszelka władza przeszła na starostów czeskich. Taki starosta, choćby chciał, nie wiele mógł zdziałać, skoro był cudzoziemcem, nie znającym ani prawa zwyczajowego, ani stosunków miejscowych. Administracya czeska była skutkiem tego jednostronną. Pilnowali ci starostowie dobrze wszystkiego, co się społeczeństwu od króla należało; gorliwi byli do brania, niedbali do opiekowania się ludnością. Według polskiego zwyczaju objeżdżał monarcha kraj, a zjeżdżali się zawsze na jego dwór wszyscy urzędnicy tej ziemi, w której przebywał, żeby się naradzać nad potrzebami kraju. Za czasów czeskich, od r. 1290 aż do r. 1306, nie odbył się ani jeden taki zjazd. Czeska administracya nie była czem innem, jak tylko środkiem do utrzymania absolutnej władzy nad społeczeństwem, które od dawna już od niej odwykło i wcale jej nie potrzebowało. Toteż starostowie czescy pozostawili po sobie pamięć podobną do tej, jaka została po urzędnikach Mieszka Starego. Uważano ich tylko za zdzierców podatkowych i za nic innego. Hynek z Dubu wywołał głośne skargi całego kraju na siebie, aż sam Wacław uznał wreszcie, że niebezpiecznie byłoby nadużywać cierpliwości polskiej i namiestnika swego odwołał. Na jego miejsce ustanowił trzech wielkorządców czyli generalnych starostów: przyrodni brat królewski, książę opawski Mikołaj, objął rządy Małopolski; Niemiec ze Ślązka Frycz rządził Wielkopolską właściwą, a Kujawami Protazy z Wisemburga, zwany Tasza. Ten Tasza był potem podskarbim w Czechach, a zostawił po sobie i tam pamięć najgorszego zdziercy. Czasy panowania czeskiego były dla politycznego wyrobienia ludności bardzo szkodliwe, bo ją zrażały do władzy, zamiast ku niej zbliżać i wzbudzać zaufanie. Straszna niechęć ku tym starostom doprowadziła do tego, że wyrobiło się wśród społeczeństwa przekonanie, jakoby urzędnikiem publicznym mógł być z korzyścią dla kraju tylko ktoś pochodzący koniecznie z tej samej okolicy, w której urzęduje.

Do jakiego stopnia rządy Wacława nie miały dla społeczeństwa żadnej wartości, okazało się najlepiej w roku 1302 podczas ponownego najazdu Litwy i Rusi. Po grodach były królewskie załogi, ale żaden starosta nie ruszył w pole! Szlachta sama zorga-

nizowała się i stanęła do walki z najeźdźcami, a sprawiła się dzielnie; odebrano nawet zajęty poprzednio przez Ruś Lublin. Umiała się przeto rządzić sama i spełnić obowiązek obywatelski. Sprawy państwowe lepszego miały opiekuna w społeczeństwie, niż w rządzie. Dobry to znak dla przyszłości! Dojrzało już społeczeństwo do tego, żeby samo utworzyć stosowną dla siebie organizacyę państwową. Narzucanie mu czegokolwiek było już zupełnie niepotrzebne, a obce rządy, usuwające krajowców od współudziału, były wprost szkodliwe. Nie miały też trwać długo.

PAPIEŻ BONIFACY VIII.

Można było podnieść wątpliwości, czy koronacya Wacława na króla polskiego jest ważna. Odbyła się bowiem bez wiedzy i zezwolenia papieskiego. Arcybiskup Jakób Świnka nie zwrócił na to uwagi Wacława i od siebie żadnych przeszkód nie stawiał; nie wymagał bynajmniej od Wacława, żeby się o takie pozwolenie najpierw wystarał i sam do Rzymu o pozwolenie nie pisał. Ukoronował Wacława, połączył Małopolskę z Wielkopolską, uspokoił Askańczyków, pozbył się Henryka głogowskiego, a tymczasem Łokietek pojechał do Rzymu ze skargą, że koronacya nieważna! Nauczono się już sprytu i politykowano podstępnie. Wyzyskano Wacława do połączenia ziem polskich od Karpat do Bałtyku, a gdy tego dokonał, gotowe dzieło chciano oddać Łokietkowi, a Wacława się pozbyć. Były właśnie stosunki takie, że skarg na Wacława słuchano w Rzymie bardzo chętnie.

Od r. 1294 był papieżem Bonifacy VIII. Onto przywrócił Polsce tytuł królewski, zezwalając na koronacyę Przemysława. Ten papież podjął na nowo walkę o wyższość władzy papieskiej ponad wszystkie trony. W r. 1302 wydał bullę zaczynającą się od słów „Unam sanctam“, w której oświadczał, że ta tylko władza jest prawowitą, która od Kościoła pochodzi, że więc Ojciec św. jest najwyższym całego chrześcijaństwa naczelnikiem nietylko w duchownych sprawach, jest źródłem wszelkiej władzy i ten tylko jest prawowitym monarchą, kogo papież uzna. Wystąpił przeciw królowi niemieckiemu Albrechtowi I., który ogłosił się cesarzem bez papieskiego zezwolenia. Nakazał pokój królom Francyi i Anglii, królowi Aragonii (w Hiszpanii) nadał lennem od siebie wyspy włoskie Korsykę i Sardynię, rozporządził tronem Neapolu (po-

łudniowych Włoch), Węgier i Polski. Połowa Europy była jakby lennem papieskiem.

Poprzednia dynastya niemiecka, Hohenstaufów, panowała też w południowych Włoszech. Uległa i padła w walce z papiestwem. Przeciw nim wezwał był papież Urban IV. brata króla francuskiego, księcia Karola Andegaweńskiego, któremu nadał od siebie w lenno t. z. królestwo Obojej Sycylii, t. j. południowe Włochy i wyspę Sycylię. Potem utrzymał się jednak Karol tylko przy stałym lądzie włoskim i stał się założycielem królestwa neapolitańskiego. Ród jego odznaczał się wiernością dla stolicy apostolskiej, popierany nawzajem ciągle przez papieży. Syn Karola I., Karol II. Chromy ożenił się z Maryą z dynastyi Arpadów, córką Stefana V. węgierskiego. Z tego małżeństwa był syn Karol Martel (t. j. Młot). Gdy zaś Stefan V. nie miał syna, a z dynastyi Arpadów pozostał jeden tylko z bocznej linii, Andrzej III., zgłosił się Martel do tronu węgierskiego, jako bliższy krewny ostatniego króla. Pretensye jego popierał gorliwie papież Mikołaj IV. Nastała w Węgrzech wojna o tron pomiędzy Karolem a Andrzejem. Stronnictwo andegaweńskie nie opanowało całego kraju, ale miało pewną przewagę, tak, że Karol Martel każdemu z dwóch swych synów osobną przekazał koronę: starszemu Karolowi Robertowi węgierską, a neapolitańską młodszemu Robertowi Dobremu. Andrzej miał jednak także stronnictwo i sprawa mogła się jeszcze obrócić. Andrzej Arpadowicz zwrócił się o sojusz do Pragi i król Wacław zaręczył nawet swego syna z jego córką i jedyną dziedziczką.

Wacław miał zamiar opanować trzy korony: czeską, polską i węgierską. O węgierskiej myślał wprzód jeszcze, niż o polskiej, ale polską łatwiej można było zdobyć. Walka z Łokietkiem wstrzymała go na pewien czas od dostarczenia posiłków Andrzejowi przeciw Karolowi Robertowi. W ten sposób stawał się Łokietek mimowoli sojusznikiem andegaweńskiej sprawy na Węgrzech. Upadek Władysława w Polsce był klęską Karola Roberta, który musiał się teraz obawiać, że Wacław bezpieczny już o Polskę, przerzuci się na Węgry i da pomoc Andrzejowi. Interes Karola Roberta wymagał, żeby Łokietek jak najprędzej wszczął znowu walkę z Wacławem.

Książę Władysław jechał do Rzymu przez Węgry i zabawił tam pewien czas u naczelnika andegaweńskiego stronnictwa, wo-

jewody Amadeja. Nastąpiło zupełne porozumienie i zawarto przyjaźń, która miała trwać długo i przejść na synów i następców tak Władysława, jakoteż Karola Roberta. W Rzymie mógł już Łokietek występować jako rzecznik nietylko swojej własnej sprawy, ale też andegaweńskiej, którą również teraźniejszy papież, Bonifacy VIII., uważał za swoją. Wacław zaręczający swego syna z królewną węgierską przeciwnej dynastyi, snujący sobie plany co do Węgier, stawał w poprzek polityce papieskiej. Łokietek wystawiał nieprawność jego gnieźnieńskiej koronacyi i lenny stosunek do Albrechta I., którego papież nie chciał uznać cesarzem. Wystawiał, że Polska nie jest cesarskiem lennem, lecz papieskiem. Wszak poddał ją stolicy apostolskiej już Mieszko I., potem Bolesław Wielki i Kazimierz Sprawiedliwy; wszak na znak tej uległości opłaca Polska od czasów tego księcia świętopietrze, po trzy denary od każdego gospodarstwa ziemiańskiego. Nie opłacali zaś świętopietrza ani cesarz Albrecht, ani król Wacław, jego lennik. Panowanie Wacława jest tedy uszczupleniem praw stolicy apostolskiej względem Polski, a sama koronacya jest urąganiem z władzy papieskiej, skoro nastąpiła za zezwoleniem cesarskiem, a nie papieskiem. A właśnie, gdy nasz niezłomny książę w Rzymie bawił, umarł Andrzej III. r. 1301 i nastąpiło wszystko tak, jak przewidywano. Król Wacław, mając już wolne ręce w Polsce, posłał wojsko na Węgry, wyparł Karola Roberta, który schronił się do Austryi i dokonał tego, że syn jego — imieniem również Wacław — koronowany był na króla węgierskiego. Ośm lat jeszcze miała trwać walka Audegawеńczyków z Przemyślidami, względnie z księciem bawarskim Ottonem, na którego Wacław przelał następnie swe prawa w r. 1305.

I w tej węgierskiej sprawie czynny był znowu biskup Muskata. On był wicekanclerzem młodego Wacława, pojechał na Węgry i robił co mógł, żeby swemu panu jednać stronników, nie wahając się nawet działać przeciw legatowi papieskiemu Boccasiniemu, którego Bonifacy VIII. wysłał na Węgry. W listopadzie 1301 pogroził mu za to papież złożeniem z godności biskupiej. To poskutkowało. Muskata wrócił do Krakowa, gdzie wkrótce miał rozpocząć nową walkę z Łokietkiem.

Na Wacława młodszego rzucił papież klątwę, a do ojca napisał surowy list dnia 10 czerwca 1302 roku, w którym nietylko sprzeciwia się zajęciu Węgier, ale też odmawia mu tytułu króla

polskiego i sprawę polskiego tronu zastrzega sobie do własnego orzeczenia. Kardynał Boccasini, legat na Węgry, został mianowany legatem także na Polskę i otrzymał stosowne polecenia. Legat ten jednak zajęty ciągle na Węgrzech nie zdążył nawet przybyć na północną stronę Karpat. Alić papież sam ogłosił wkrótce uroczyście, że Wacław przestaje być królem polskim. Bonifacy VIII-my wnet potem umarł, w październiku 1303 roku, ale następcą jego został Mikołaj Boccasini, jego legat polsko-węgierski, który zasiadł na tronie papieskim pod imieniem Benedykta XI. Ten rok wprawdzie tylko panował, ale tymczasem był już w Polsce Władysław Łokietek. Zagrożony w posiadaniu Polski Wacław, poślubił czemprędzej w r. 1303 Reiczkę, córkę Przemysława, żeby się przez to małżeństwo na tronie utwierdzić.

ZWYCIĘZTWO STRONNICTWA NARODOWEGO.

W roku 1304 wrócił książę Władysław z Rzymu i zatrzymał się znowu na Węgrzech. Wziąwszy trochę żołnierza od wojewody Amadeja, przekroczył Karpaty i zaczął wojnę z czeskimi starostami. Mógł się na to śmiało odważyć, bo i z innych też stron uderzono na Wacława. Sam cesarz Albrecht, zmieniwszy swą politykę, pogodzony z Rzymem, wystąpił przeciw królowi czeskiemu a Karol Robert rozpoczął na nowo wojnę na Węgrzech. Wśród takich sprzyjających okoliczności rozpoczął nasz książę zbierać swych stronników w Polsce. Stanąwszy w Małopolsce, zajął najpierw gród biskupstwa krakowskiego, Pełczyska, a wkrótce potem ważny gród książęcy Wiślicę. Proboszcz wiślicki, Mikołaj, należał do gorących stronników Łokietka, a okolica przygotowaną już była na przyjęcie narodowego kandydata. Pospieszyli pod chorągiew niezłomnego księcia nietylko ci, ktorzy obowiązani byli do służby wojskowej, rycerze, ale też inni ziemianie, nie mający dóbr na prawie wojskowem, szlachta nierycerska. Co więcej i co najważniejsza, wziął w tej sprawie czynny udział lud małopolski, dzierżawcy, nie posiadający własnych gruntów. Warstwa ta, spolszczona już zupełnie, okazała przy tej sposobności po raz pierwszy zainteresowanie się sprawą publiczną i to w zupełnej zgodzie z dawnymi rodowcami czyli szlachtą. Lud stanął wiernie przy Łokietku i bronił jego sprawy koło Sandomierza, Wiślicy i bliżej Krakowa, a mianowicie koło Ojcowa, gdzie kasztelan Skały sprzy-

jał czeskim rządom. Z Sandomierskiej ziemi wygnano czeskie załogi w ciągu roku 1305. Na Węgrzech nie powiodło się też Przemyślidom i młody Wacław musiał w tym samym czasie ustąpić. Największą jednak klęską sprawy czeskiej była śmierć Wacława II-go, dnia 21 czerwca 1305 r.

Syn jego i następca, Wacław III., zamierzał podjąć walkę z Łokietkiem. Przyjął tytuł króla czeskiego, węgierskiego i polskiego, ale gotów był wyrzec się Węgier, żeby tylko utrzymać się przy koronie polskiej. Roszczenia swe do Węgier odstąpił księciu bawarskiemu Ottonowi, cesarzowi zaś Albrechtowi ustąpił Miśnii, żeby sobie zapewnić od niego pokój i swobodę do wojny polskiej. Minął jednak rok cały, zanim zdążył przygotować wyprawę wojenną. Z początkiem sierpnia 1306 roku stanął król Wacław w Ołomuńcu, dokąd ściągały ze wszystkich stron jego drużyny wojskowe; ale tu śmierć nagle przerwała wszelkie zamysły. Dnia 4 sierpnia wyszedł król czeski na krużganek w domu proboszcza, u którego stanął kwaterą, gdy wtem zbliżył się doń nieznany jakiś rycerz i ugodził go sztyletem. Nikogo przy tem nie było, dopiero na krzyk króla nadbiegli dworzanie. Tymczasem morderca zdążył zadać królowi trzy śmiertelne ciosy. Ścigano go, dopadnięto i porąbano mieczami na miejscu. I król i zabójca nie żyli; nie można było dojść, co za przyczyna była tego skrytobójczego napadu, czy zbójca miał wspólników, czy działał z własnego popędu, czy też był najęty przez kogo innego, a potężniejszego od siebie. Podejrzywano cesarza Albrechta, który chciał Czechy zagarnąć dla swego domu i rzeczywiście przeparł na tron czeski swego syna Rudolfa. Niema jednak żadnych do wodów winy; wymierzeniem doraźnej sprawiedliwości na zabójcy, od którego nie można się było niczego już dowiedzieć, okryto mimowiednie całą tę zbrodnię wieczystą tajemnicą. Ledwie tylko zdołano stwierdzić imię królobójcy. Był nim rycerz niemiecki Konrad von Bodenstein z Turyngii. Na Wacławie III. wygasła czeska dynastya Przemyślidów.

Tymczasem zyskiwał Łokietek coraz więcej stronników w Małopolsce. Dnia 15 maja 1306 roku był już Wawel w jego ręku. Samo jednak miasto Kraków było po stronie czeskiej, a wójt krakowski, Albert, stałna czele niemieckiego stronnictwa w Polsce, nie chcącego dopuścić do wznowienia piastowskiego panowania.

Biskup krakowski Muskata niechętny był, jak zawsze od początku, narodowemu księciu. Nie bez przyczyny uderzył Łokietek zaraz w 1304 r. najpierw na jego posiadłości. Miał Muskata wówczas proces przed gnieźnieńskim arcybiskupem o symonię, t. j. o bezprawne zajęcie godności biskupiej przekupstwem, a nawet o zabójstwo. W sierpniu 1304 r. uwolniony od kar kościelnych musiał jednak przyrzec posłuszeństwo arcybiskupowi. Pomimo to był niepewny i uważano go ciągle za głównego wroga Łokietka. Znienawidzony przez stronnictwo narodowe, wpadł w roku 1305 w ręce rodu Toporczyków, którzy, pojmawszy go, więzili w Kunowie. Namiestnik czeski, Ulryk z Boskowic na Morawach, za mało miał sił, żeby się oprzeć wzbierającemu coraz potężniej ruchowi narodowemu, zwłaszcza, gdy i lud przeciw Czechom wystąpił. Pocieszał się tem, że walna wyprawa Wacława III. zmusi znowu Łokietka do cofnięcia się, gdy wtem nagła śmierć króla czeskiego zmieniła wszystko gruntownie.

Mieszczaństwo krakowskie przystąpiło zaraz do układów z Łokietkiem, bojąc się, żeby nie postradało swych przywilejów, jeżeli nie uzna dobrowolnie księcia, któremu po tylu ciężkich przejściach poczęło się szczęście uśmiechać. Łokietek, daleki jeszcze od celu, mający jeszcze wiele mozołu przed sobą, rad był załatwić się pokojowo z Krakowem, z jego wójtem i biskupem. Nadał więc miastu rozległe prawa handlowe, uzyskawszy w zamian uroczyste uznanie swego panowania w niespełna miesiąc po śmierci Wacława III., dnia 1 września 1306 r. Muskacie obiecał nietylko zwrot zajętych Pełczysk, ale nadto jeszcze, tytułem wynagrodzenia za szkody wyrządzone podczas wojny dobrom biskupim, przyrzekł mu darować zamek Chęciny z licznemi wsiami. Nie ufając jednak biskupowi, nie dał mu grodów odrazu, odkładając wykonanie umowy aż do czasu bezpiecznego, ażeby utwierdził należycie swe panowanie; tymczasem miał Muskata pobierać za to 300 grzywien rocznie z żup bocheńskich. Jakoż okazało się, że ostrożność Łokietka była zupełnie słuszną.

Panowanie Łokietka znalazło uznanie w ziemiach krakowskiej i sandomierskiej, na Kujawach, w Sieradzu i w Łęczycy, tudzież na północy w ziemi dobrzyńskiej i na gdańskiem Pomorzu. Przedstawiciele ziemiaństwa tych dzielnic zjechali do Krakowa i w dzień 1 września 1306 roku uznali go swym władcą. Każda

dzielnica z osobna zapraszała go na tron do siebie; w ten sposób dokonywało się łączenie Polski na nowo pod jednem berłem atoli prócz Wielkopolski, tej właśnie dzielnicy, która w Polsce stanowczą miała przewagę, na której i od której najwięcej zależało.

WROGOWIE ŁOKIETKA.

Na północy trzy rody możnowładcze były teraz niechętne Łokietkowi; w Wielkopolsce Zarębowie i Łodziowie, a na Pomorzu Święcowie. Nie brakło stronników księciu Władysławowi, ale nie chciano wywoływać wojny domowej i postanowiono raczej poczekać jeszcze, a działać oględnie. Zależało niezmiernie na tem, żeby przeciw panowaniu Łokietka nie można było podnieść żadnych zarzutów, żeby nie było innego kandydata, któryby mógł wywodzeniem swych praw do tronu budzić zamieszki, a może nawet poszukać pomocy u ościennych wrogów. W Małopolsce po śmierci Wacława III. nie mógł nikt wystąpić z uroszczeniami do tronu przeciw Łokietkowi, ale inaczej w Wielkopolsce, gdzie sam książę Władysław ustąpił był niegdyś Poznania Henrykowi głogowskiemu. Henryk marzył sam o koronie polskiej i zabrał się do wykonywania swych zamiarów już w r. 1298, starając się wówczas pozyskać przywilejami biskupów wielkopolskich. Pozyskał sobie jednego tylko, biskupa poznańskiego Andrzeja z rodu Łodziów. Potem po śmierci Wacława przysłał do Poznania na starostę swego wielmożę, Bogusza z Wisemburga, którego biskup Andrzej ochotnie przyjął i we wszystkiem był mu pomocny. Niemieckie mieszczaństwo stanęło po stronie Henryka głogowskiego, i tak, zanim Łokietek zdążył przybyć do Wielkopolski, już tam rozparło się znowu panowanie wrogie narodowemu stronnictwu, a tem niebezpieczniejsze, że powołujące się na dawny układ, którego Łokietek nie mógł się zaprzeć. W grodach wielkopolskich osiedli ślązcy starostowie, prawie wszyscy niemieckiego pochodzenia.

Pospieszył Łokietek na północ w listopadzie 1306, ale nie przeciw Henrykowi głogowskiemu, lecz na Pomorze, ażeby zająć spiesznie tę ziemię, której także zagrażało poważne niebezpieczeństwo. Król Wacław III., kiedy się wybierał na zdobycie tronu polskiego, chcąc sobie zapewnić poparcie margrabiów brandeburskich, darował im z góry Pomorze, nim je sam jeszcze miał w ręku. Toteż kandydatura czeska była na Pomorzu znienawidzona i jedni

tylko Święcowie gotowi byli bronić sprawy Wacławów, obdarowywani przez nich coraz to nowemi nadaniami. Posiadłości tego rodu obejmowały znaczne przestrzenie nietylko na Pomorzu, ale też w Wielkopolsce; im też poruczali czescy wielkorządcy ważniejsze urzędy. Jak potężny był ten ród, widać z tego, że w ręku jednego tylko z nich, Piotra, znajdowało się dziewięć grodów. Szczęściem pozostał sam Gdańsk w ręku Wojsława, zaufanego kasztelana Łokietkowego, którego przysłał tam był jeszcze po śmierci króla Przemysława. Obecnie przybywał Łokietek z wojskiem, które powiększyło się, gdyż szlachta pomorska zaraz ochotnie sama się zgłosiła pod jego sztandary. Święcowie przycichli, a Łokietek stanąwszy w Gdańsku z końcem grudnia 1306 r., mógł się zabrać do zaprowadzenia nowego porządku w kraju. Odebrał Święcom znaczną część grodów i poobsadzał je swymi zwolennikami; zostawił też na Pomorzu swoich dwóch synowców, książąt kujawskich Przemysława i Kazimierza. Ledwie książę Władysław opuścił Pomorze, porozumieli się Święcowie z Brandeburczykami i wezwali ich do zajęcia kraju. Wyprawił się rzeczywiście margrabia Waldemar i zaczął obsadzać swem wojskiem graniczne powiaty. Książę Władysław dowiedział się jednak na czas o zdradzie, a będąc jeszcze blizko, nagle wrócił i uwięził Piotra Święca; wypuścił go wprawdzie na usilne błagania całego rodu, ale wziął za niego na zakładników dwóch młodszych jego braci. Margrabia Waldemar też się cofnął, i na krótką chwilę zdawało się, że niebezpieczeństwo pomorskie zażegnane. Margrabia jednak i Święcowie wiedzieli, że książę musi wracać do Krakowa i że mu nie łatwo będzie przybyć powtórnie z wojskiem nad Bałtyk, bo tymczasem gotował mu znowu trudności biskup krakowski Muskata. Wobec kłopotów na Pomorzu i w Krakowie nie mogło być mowy o odzyskaniu Wielkopolski.

Muskata łączył się znowu z wrogami Władysława Łokietka, książę więc pozajmował biskupie grody: Iłżę, Kielce, Sławków, Tarczek i Biecz, w końcu nawet samego biskupa uwięził. Więzienie trwało krótko, a Muskata wypuszczony na wolność, poszedł na wygnanie; schronił się do biskupa wrocławskiego Henryka von Würben (z Wierzbna), gdzie przebywał półtora roku. Arcybiskup Jakób Świnka zasuspendował go, tj. nakazał mu wstrzymać się od spełniania biskupiego urzędu i odjął mu władzę nad dyecezyą;

sam też zjechał do Krakowa, żeby uporządkować sprawy krakowskiej dyecezyi, przyczem pozbawił godności wielu stronników Muskaty wśród niemieckiego duchowieństwa, sprowadzonego przez Muskatę do Krakowa. Biskup odwoływał się do stolicy apostolskiej i wszczął procesy. Do apelacyi miał zupełne prawo, ale nie miał prawa robić w Polsce niemieckiej polityki i z Wrocławia układać plany przeciw narodowemu księciu, jedynemu prawowitemu władcy Krakowa. Spiski, obmyślane przez Muskatę w Wrocławiu, uważał Łokietek widocznie za niebezpieczne dla siebie, skoro nietylko żałować począł, że go puścił na wolność, ale postanowił dostać go na nowo w swoją moc, choćby nawet podstępem. Zwabiwszy biskupa do Krakowa pod pozorem zawarcia zgody, uwięził go znowu i wypuścił dopiero po kilku miesiącach, gdy Muskata podpisał dnia 2 lipca 1309 umowę, w której składał przyrzeczenie wierności, zobowiązywał się, że bez zezwolenia księcia nie opuści dyecezyi, odwoływał proces apelacyjny i oddawał w ręce książęce ostatni swój gród, Lipowiec. Nie zaniechał przecież procesu, a chociaż w końcu i na dworze papieskim przyznano Łokietkowi słuszność a biskupa potępiono, sprawił jednakże księciu sporo kłopotów, bo proces przed nuncyuszem i na dworze papieskim przewlekał się aż do r. 1317. Bawił właśnie na Węgrzech od r. 1308 legat papieski kardynał Gentilis de Monteflorum, wysłany przez papieża Klemensa V., ażeby zapewnić zwycięstwo sprawie Karola Roberta andegaweńskiego. Był mianowany legatem także na Polskę. Jednak zajęty ciągle politycznemi sprawami na Węgrzech, nie zdążył przybyć na północną stronę Karpat, zwołał więc synod kościelny polski do węgierskiego miasta Preszburga na 10 listopada 1309 r. Arcybiskup gnieźnieński i polscy biskupi wysłali tam swych zastępców. Muskata chciał być osobiście i wybrał się w drogę, przyrzekłszy księciu Władysławowi, że proces przed legatem umorzy. Zmienił biskup krakowski swoje zażalenie i skarżył teraz nie księcia, lecz swego duchownego zwierzchnika, arcybiskupa Jakóba Świnkę o niezasłużone ściganie go karami kościelnemi, o niesłuszne posądzenie go o różne zbrodnie, jak zabójstwo i krzywoprzysięstwo; używał bowiem Muskata w Polsce jak najgorszej sławy. Dopiero 12 czerwca 1310 r. zapadł polubowny wyrok legata: Muskata był uwolniony od kar kościelnych i miał tylko zapłacić arcybiskupowi sto grzywien, ale miał go za

wszystko sam osobiście przeprosić i zwrócić wszelkie koszta procesu. Stwierdzał natomiast legat co do Łokietka, że książę za samo uwięzienie biskupa popadł w klątwę na mocy prawa kanonicznego i zastrzegł, że klątwa nie będzie zdjęta wcześniej, aż Muskata przywrócony będzie w zupełności do swego biskupstwa i posiadłości. Chociaż tedy przyznawano, że Muskata źle postępował, nie darowano księciu, że sobie sam nad nim zrobił sprawiedliwość; strzeżono z największą przezornością kościelnego immunitu, zupełnej niezależności władzy duchownej od świeckiej, nawet w takim razie, gdy infuła na niegodnej spoczywała głowie. Nie było większego dla Łokietka niebezpieczeństwa, jak w tej sprawie z Muskatą. Wszak celem niezłomnego księcia była korona polska; do koronacyi trzeba było pozwolenia papieskiego, a do tego trzeba było mieć na dworze papieskim opinię dobrego syna Kościoła. Lata całe minęły, zanim w otoczeniu papieża zrozumiano dobrze całą rzecz i uwzględniono wszystkie okoliczności. Na razie wiedziano tylko, że już raz biskup poznański Andrzej rzucił na Łokietka klątwę, a że teraz znowu wisi nad nim druga klątwa z powodu biskupa krakowskiego. Łokietek postępował słusznie, ale nieostrożnie; chociaż zwyciężył ostatecznie, na razie jednak sobie szkodził i zwycięstwo przez to oddalał. Nieszczęściem wszczęli równocześnie synowcowie jego spór z trzecim biskupem, kujawskim Gerwardem, którego też uwięzili.

UTRATA POMORZA I BUNT MIAST.

Podczas tych kłopotów z Muskatą pozostawał Łokietek w ustawicznej obawie, że dojrzewają spiski zdradzieckiego biskupa i że w porozumieniu z krakowskiem mieszczaństwem i ze ślązkimi Piastami wybuchnie bunt. Niedaleka przyszłość sprawdziła, że przewidywania jego były zupełnie uzasadnione. Zanim jednak wybuchł bunt niemiecki w Małopolsce, spotkała Polskę ciężka klęska na północy, a mianowicie utrata gdańskiego Pomorza.

Margrabia brandeburski Waldemar wyruszył ponownie na Pomorze z wojskiem znacznem i zajął kraj. Pomorzanie byli za słabi, żeby mu się oprzeć zwycięsko, a w sąsiednej Wielkopolsce rządzili starostowie Henryka głogowskiego, który cieszył się z osłabienia sił narodowego stronnictwa i jego księcia. Wyprawiono spiesznie gońców do Łokietka, ten jednakże ruszyć się nie mógł

z Małopolski, bojąc się buntu w Krakowie, zajęty nadto odpieraniem jakiegoś najazdu ruskiego, czy też litewskiego, o którym nie mamy zresztą żadnych bliższych wiadomości. Natenczas jeden z pomorskich wielmożów ze stronnictwa Łokietka powziął pomysł, żeby przywołać na pomoc Krzyżaków, tych „jałmużników polskich“, którzy żyjąc na ziemi podarowanej im przez Piastów, powinni Polsce dostarczyć pomocy, tem bardziej, jeżeli się im zwróci koszta na wojnie poniesione. Niedawno przedtem zajęli Krzyżacy ziemię michałowską nad rzeką Drwęcą, dopływem Wisły, a to w ten sposób. Władca tej ziemi, książę Leszek inowrocławski, posiłkował Węgrów przeciw Wacławowi i popadł w czeską niewolę. Zażądano od niego 500 grzywien okupu; nie mając tej gotówki, pożyczył od Zakonu, dając za to ziemię michałowską na trzechletni zastaw. Krzyżacy raz do Michałowa wszedłszy, już z niego nie wyszli. Stało się to w r. 1303 lub 1304 i powinno było być przestrogą! Krzyżacy weszli na Pomorze, margrabia Waldemar ustąpił. Ale Krzyżacy odejść i wracać do domu nie chcieli! Łokietek zażądał rachunku kosztów wojennych. Policzyli mu sto tysięcy grzywien, tj. dwieście razy więcej, niż dali za całą ziemię michałowską! Bezwstydne to żądanie miało oczywiście tylko ten cel, żeby sprawę przewlec a w Gdańsku pozostać. Pozostali i popełnili podłość godną margrafa Gerona, który truł gromadnie słowiańskich książąt. Zburzyli mury miejskie, rozbroili ludność (Gdańsk było miastem czysto polskiem), a w czasie wielkiego odpustu na św. Dominika, który łączył się z walnym jarmarkiem, napadli na bezbronną ludność i urządzili taką rzeź, że dziesięć tysięcy ludzi wtedy wymordowali. W podobnyż zdradziecki sposób opanowali następnie Tczew, Świecie, Chojnice i Nowe, wypędzając zewsząd załogi polskie, pozostające tam od czasów króla Przemysława. Lud okoliczny dostarczał oblężonym żywności. Krzyżacy wieszali ich za to na szubienicach. I znowu mamy wiadomość o zachowaniu się ludu polskiego na przeciwległym krańcu Polski: i tu ten lud jest za Łokietkiem. Odtąd Krzyżacy panowali na Pomorzu i tu przenieśli węgły swego państwa. Tu założyli sobie stolicę, Malborg, gdzie zamieszkał Wielki mistrz Zakonu. Odsunęli przez to Polskę na długie lata od morza; dorobek króla Przemysława poszedł na marne. Stało się to w r. 1309.

Następnego roku, 1310, powołali Czesi na swój tron cesa-

rzewicza niemieckiego, Jana, syna cesarza Henryka VII. z niemieckiej dynastyi luksemburskiej. Król Jan, jako następca Wacławów, przyjął zaraz tytuł króla polskiego i rościł sobie prawa do zwierzchnictwa nad całą Polską. Nawiązał stosunki z niemieckim mieszczaństwem, a wójt krakowski Albert, Czech rodem, wójt wielicki Gerlach i biskup Muskata wszczęli bunt przeciw Łokietkowi. Przyzwali sobie tymczasem do Krakowa księcia opolskiego Bolesława, niejako na namiestnika króla Jana. Ale Łokietek Opolczyka wypędził, bunt stłumił i ukrócił prawa niemieckiego mieszczaństwa w Krakowie. Wójt i rajcy mieli być odtąd mianowani przez wojewodę. Od r. 1312 księgi miejskie krakowskie prowadzone są już nie w niemieckim języku, lecz po łacinie. Po polsku wówczas jeszcze nie pisano. Muskata zaś przebywał na Ślązku, a potem wyjechał do Francyi.

I poznańskie mieszczaństwo musiał Łokietek poskramiać. Po śmierci Henryka Głogowczyka w r. 1309 panowali w Poznaniu i zachodniej Wielkopolsce jeszcze przez dwa lata jego synowie i dopiero przy końcu r. 1312 udało się ich wyprzeć. Nie obeszło się jednak bez walki. Wójt poznański, Przemek, przeciwił się Łokietkowi, uległ jednak wojewodzie Dobrogostowi, stronnikowi narodowego kandydata. Wojewoda zdobył miasto, a Łokietek zniósł urząd wójta w Poznaniu. Wznowiono go dopiero w 1358 r.

KRÓL WŁADYSŁAW NIEZŁOMNY.

Takie były ciężkie początki rządów Łokietka. A miał prócz wrogów zewnętrznych także wewnętrznych, gdyż niejednemu z wielmożów nie podobała się silniejsza władza monarsza. Za słabych dzielnicowych książąt przyzwyczaił się niejeden z nich trząść w swem księstwie wszystkiem i wszystkimi, a teraz miał być tylko jednym z wielu, podległym i posłusznym władcy całej Polski. Dzielnice przez dwieście blisko lat rozdzielone nie prędko też mogły przywyknąć do wspólnego rządu. Chociaż znaczna większość społeczeństwa życzyła sobie tego, co innego było życzenie, a co innego przeprowadzenie rzeczy w praktyce i tu dopiero zaczęły się okazywać różne trudności. Przez te dwa wieki powyrabiały się w różnych stronach Polski rozmaite zwyczaje prawne i wcale odmienne stosunki, które trzeba było uszanować, a jednak nie wszystko można było utrzymać nietkniętem. Zwolna trzeba było przygotować

nowy porządek rzeczy, niechętnych poskramiać lub przejednywać, a przeciwieństwa godzić. W wielu okolicach ileż to razy walczyło z sobą po kilku książęcych zapaśników naraz, a każdy wydawał rozporządzenia i czynił nadania! To samo nadanie miało nieraz dwóch i trzech, każdy od innego księcia, któremu kto sprzyjał! Nie brakowało rozporządzeń książęcych wręcz sobie przeciwnych. Trzeba było uporządkować te stosunki, a porządkując je, nie można było uniknąć, by nie przysporzyć sobie nieraz niechętnych. Nieraz wypadło unieważnić to i owo z postanowień poprzedników. Opowiadają też o Łokietku, że targał czasem dawniejsze dokumenty i odrywał pieczęcie od nadań. Stosunki społeczne wymagały wielkiej baczności, bo obok szlachty zaczynała się wyrabiać nowa, a wielka warstwa społeczna: polskie włościaństwo, nie zorganizowane jeszcze zupełnie. Niewolników nie było już prawie całkiem. Włościanie nie mogli być poddani starostom i kasztelanom, jak niegdyś narocznicy, bo nie mieli żadnego związku z organizacyą wojskową. Osadzano ich przeważnie na czynszach i podlegali księciu, biskupowi lub szlachcicowi, stósownie do tego, od kogo brali rolę. Zawikłaną tę sprawę załatwiło się ostatecznie dopiero za następnego panowania. Nie mniejsza też trudność była z tem, na jakiej prawnej podstawie oprzeć swe panowanie wobec uroszczeń dynastyi luksemburskiej, w Czechach panującej. Za spadkobierców króla Przemysława mogli uchodzić synowie Głogowczyka również dobrze jak Łokietek, a ślązcy książęta uznawali się hołdownikami króla Jana. Należało się więc oprzeć tem silniej na woli ogółu, a chcąc tę sobie na stałe zapewnić, trzeba było w każdem z dawnych księstw z osobna usuwać lub zjednywać niechętnych. Nie było żadnego sposobu prawnego na to, żeby cały naród Polski, od Krakowa po Gdańsk, objawił swą wolę. Znano już tylko dzielnicowe wiece i nie było innej rady, jak oprzeć swoje prawo na tem, że każda dzielnica z osobna życzy sobie jego panowania. Wznowienie jednolitego dużego państwa następowało przeto przez unię, tj. połączenie dzielnic w osobie panującego, przez t. z. unię personalną czyli osobową. Związek państwowy Poznania, Sandomierza, Łęczycy itd. polegał na tem, że ta sama osoba była księciem poznańskim, sandomierskim, łęczyckim itd. Trzeba więc było czynić starania o utrwalenie tej unii, żeby być wszędzie uznanym dziedzicznie, żeby żadna z tych

dzielnic nie oderwała się potem od unii. Te wszystkie sprawy należało załatwić choćby jako tako na razie, tymczasowo, jeżeli zjednoczenie Polski pod rządem narodowym miało być ubezpieczone na przyszłość. Zajęło to Władysławowi dziesięć lat czasu.

Praca niezłomnego księcia około odrodzenia Polski byłaby niedokończoną, gdyby Władysław nie przywdział królewskiej korony, za wzorem Przemysława. Trzeba było do tego papieskiego pozwolenia. Gdyby król Przemysław miał był syna, taki bezpośredni jego dziedzic i następca mógłby się koronować na mocy prostego dziedziczenia; ale Władysław ubieżony był przez Wacławów, których następcą mienił się Jan Luksemburski; nawet synowie Henryka głogowskiego — sami niezgodni między sobą — tytułowali się królami polskimi. Bonifacy VIII., wielki Władysława protektor, zmarł r. 1303. Życzliwy mu również Benedykt XI. rok tylko panował a następca jego, papież Klemens, przeniósł stolicę z Rzymu do Francyi, do miasta Awiniją (Avignon), gdzie papieże przebywali kilkadziesiąt lat, aż do r. 1377. U Klemensa V. począł Łokietek czynić starania o koronę. Wielki opiekun narodowego stronnictwa, arcybiskup gnieźnieński Jakób Świnka, dokonał pełnego zasług żywota w r. 1314, w marcu. Tegoż roku w maju wybrano jego następcą Borysława, dawnego kanclerza księcia Bolesława płockiego. Ten wybrał się z polecenia księcia Władysława zaraz do Avinionu, żeby uzyskać zatwierdzenie swej metropolitalnej godności i wybadać, jakby na dworze papieskim uważano koronacyę Łokietka. Pobyt Borysława w Avinionie przedłużył się. Umarł tymczasem Klemens V., a następcą jego został w r. 1316 Jan XXII. Zatwierdzony przez niego Borysław nie wrócił jednak do Polski; chorobą nawiedziony, zmarł w Avinionie. Papież sam mianował następcę po nim; arcybiskupem został archidyakon gnieźnieński Janisław, który również dłuższy czas u papieża przebywał i wrócił dopiero w r. 1318, ale z pomyślnemi wieściami. Papież zezwalał na koronacyę. W czerwcu 1318 zwołał Łokietek wiec dostojników całej Polski do starego opactwa Cystersów w Sulejowie, żeby wysłuchać poselskiego sprawozdania Janisława. Papież miał pewne życzenia co do Polski. Pragnął, żeby załagodzić ostatecznie spór z biskupem krakowskim, stanowiący bądźcobądź publiczne zgorszenie. Muskata, złamany już wiekiem i przeciwnościami, nie mógł już teraz być niebezpiecznym, skoro mieszczaństwo niemieckie zła-

mane już było tak w Małopolsce, jakoteż w Wielkopolsce, nie mieli zaś stronników w Polsce ani synowie księcia głogowskiego, ani król Jan Luksemburski. Wybaczył więc Łokietek Muskacie i biskup do Krakowa powrócił, ale niedługo już żył, bo umarł z początkiem r. 1320. Drugie życzenie papieskie tyczyło się zaprowadzenia sądów duchownych przeciw heretykom zwanym Beginami, których błędna nauka i obyczaj przedostały się z Niemiec do niemieckiego osadnictwa w Polsce. Trzeciem zaś życzeniem papieskiem było, żeby zmienić sposób pobierania świętopietrza w Polsce, a mianowicie, żeby zamiast po trzy denary od rodziny, płacić po denarze od głowy. Świętopietrza i rozmaitych innych opłat potrzebowali papieże na dalekie misye wschodnie, sięgające wówczas aż do Chin; zakładano też w Avinionie skarb, żeby pokusić się jeszcze raz o odzyskanie Palestyny. Wiec Sulejowski przystał na wszystkie żądania papieskie i wystosowano teraz jawną, urzędową prośbę do Stolicy apostolskiej o dozwolenie koronacyi. Prosił cały kraj, wszystkie stany, duchowieństwo, ziemianie a także już i miasta. Skończyły się poufne zabiegi, zaczęły się głośne formalne starania, o których wiedziano powszechnie. Wielkopolanie odbyli jeszcze jeden osobny wiec w Pyzdrach i także prośbę do papieża podali. Zrobiono to dlatego, żeby nikt nie mógł zarzucić, że Łokietek może być królem tylko krakowskim, ale nie wielkopolskim zarazem. Gotowały się bowiem takie zarzuty i protesty. Krzyżacy namówili Jana Luksemburskiego, żeby wyprawił w tej sprawie poselstwo do Avinionu; jakoż w styczniu 1319 stanął na dworze papieskim wysłaniec króla Jana z protestem, wywodząc, że tylko jego pan ma prawa do korony polskiej. Wpłynęło to na sposób ułożenia papieskiego pisma w tej sprawie W sierpniu 1319 r. wydał Jan XXII. breve, w którem pisze, że Polska może ze swoich praw korzystać, byle niczyich praw nie naruszać. Uznawał więc papież, że Polska ma prawo do korony, a słowa o prawach innych mógł sobie każdy tłómaczyć dowolnie; urzędowo nic wyraźnie nie powiedziano. Postąpił Jan XXII. z największą ostrożnością, żeby się nie narazić możnej bardzo dynastyi luksemburskiej; nie tak, jak niegdyś Bonifacy VIII., który Wacława odsądził od polskiej korony. Równocześnie jednak wysłał dwa pisma do Polski, jedno do biskupów, a drugie do samego Władysława, zawierające wyraźne zezwolenie.

Dnia 20 stycznia 1320 r. został nasz książę niezłomny królem, ukoronowany przez arcybiskupa Janisława w katedrze na zamku krakowskim, na Wawelu. Odtąd koronowali się już wszyscy polscy monarchowie. Skończyły się czasy książęce, a z zamętu dzielnicowego wyłaniało się nowe państwo polskie. Nową też była korona, którą dokonano świętego obrzędu. Korona Bolesława Wielkiego pozostała w skarbcu królów niemieckich. Korona Bolesława Śmiałego, która służyła Przemysławowi, była w Pradze, wywieziona przez Wacława II. zaraz po jego koronacyi, przeszła po Przemyślidach w posiadanie rodu Luksemburskiego. Sprawiono więc koronę nową, wspanialszą od poprzednich. Składa się ona z dziewięciu szczerozłotych płyt ułożonych w regularną obręcz; ma drogich kamieni większych 117, mniejszych 180, rubinów, szmaragdów, szafirów i 90 pereł. Prócz korony należało do obrzędu koronacyjnego t. z. jabłko monarsze, t. j. kula złota z krzyżem, mająca wyrażać, że nad światem panuje przedewszystkiem krzyż Chrystusa, tudzież berło królewskie. Ustał już dawniejszy zwyczaj używania włóczni, jako oznaki godności monarszej, a natomiast pojawia się przy koronacyach miecz. Przemysław użył do swej koronacyi dawnego miecza Bolesława Wielkiego, zwanego Szczerbcem, który kazał przewieźć w r. 1291 z Krakowa do Gniezna, a który tam potem, niestety, zaginął, zabrany może przez czeskich starostów. Władysław Łokietek użył do koronacyi swojego miecza, zwanego „Żórawiem“, który znajduje się do dziś dnia w skarbcu katedry na Wawelu.

Tak po długim lat szeregu, po ciężkich przejściach, pełnych wysileń i poświęcenia, stanęło nareszcie stronnictwo narodowe u celu, wyniósłszy do królewskiej godności swego kandydata. Dla księcia Władysława słuszną to było losu nagrodą. Można o nim powiedzieć, że sobie na koronę zasłużył i zapracował twardym znojem żywota. Królem został, bo wiernie narodowi służył i jął się tej służby w imię odrodzenia polskiego królestwa wtenczas, kiedy ona była bardzo niebezpieczną, kiedy można było na niej wszystko stracić, gdy inni książęta przed nią się cofali. Jakoż był czas, że stracił wszystko i nie miał nawet gdzie spokojnie głowy złożyć; ale się nie wyrzekł swego poświęcenia i sprawy nie zaniechał. Królem był teraz, ale zaczął od tego, że był narodowej sprawy ofiarnym szermierzem i chorążym polskiego sztandaru; niósł

go wytrwale, nie dbając o własną wygodę, znosząc cios po ciosie, a nie wypuszczając go z hartownej dłoni. Wśród zmienności losu on pozostał wiernym zawsze swemu hasłu. Tak samo myślał po zwycięskiej bitwie pod Siewierzem, i po ucieczce w przebraniu z franciszkańskiego klasztoru w Krakowie i po zdobyciu Sieradza przez Czechów. Nie sprzeniewierzył się narodowi, gdy Wielkopolanie postanowili dopuścić do koronacyi Wacława, nie warcholił i nie psuł polityki polskiej, gdy dobro powszechne wymagało, żeby usunąć jego osobę. Działał i walczył nie dla swego wyniesienia, ale osobę swą oddał narodowi do rozporządzenia; ustępował, gdy tak dla dobra Polski wypadło i nie szemrał, nie bruździł, nie wyrzekał się narodowej sprawy ani nawet wtenczas, gdy się zdawało, że zbierze z tej walki na siebie same tylko ciosy. Brał je na siebie i dźwigał, pozbawiony własnego nawet rodzinnego Brześcia, a gdy inni, zaszczyceni przed nim wyborem narodu, nie chcieli się narażać i woleli spokojnie siedzieć na swych dzielniczkach, on jeden wśród książąt nie myślał o swem księstwie, ale stawał do walki bez względu na to, co z nim samym się stanie. Hart duszy miał niepospolity. Jak złoto w ogniu się czyści, tak on urastał i potężniał na duchu w przeciwnościach. Gdy mu już nic a nic nie zostało prócz miecza Żórawia, gdy według wszelkich ludzkich obliczeń sprawa jego przepadła, on nie stracił ducha i rzecz całą na nowo poczynał. Wypadki i zdarzenia były przeciw niemu; ale on taką miał silną wolę, tak potęgą swego ducha górował nad okolicznościami, że to, co tkwiło w jego umyśle i sercu więcej ważyło od tego, co się koło niego działo i ostatecznie oddziałały wypadki na niego o dużo mniej, niż on na nie. On je wytwarzać umiał i wycisnął na nich swoje piętno. Małego był ciała i współczesni zwali go przezwiskiem Łokietek. Ten Łokietek zostanie w historyi wiekopomnym przykładem, że człowiek nie jest losu igraszką, że można wykształcić swą wolę do tego stopnia, żeby nad losem zapanować, a to, co kto ma w duszy, znaczy więcej i może być mocniejsze od tego, co się w życiu przygodą nawija. Należy to do życia, żeby doświadczało moralnych sił człowieka; do człowieka zaś należy, być w złem i w dobrem, w doli i w niedoli jednako niezłomnym. Mamy w tym królu taki przykład najszczytniejszego męskiego przymiotu, taki wzór męskości, jakiego nam pozazdrościć mogą liczne narody.

Uczcijmy go więc przydomkiem Niezłomnego i niech nam ten przydomek zawsze przypomina, w jaki sposób mąż prawy dochodzi do celu.

Król Władysław Niezłomny zasiadł na tronie w królewskiej koronie dlatego i przez to, że nie uronił nic ze skarbów swej duszy wtenczas, gdy ścigany i wojska pozbawiony kryć się musiał w pieczarach koło Ojcowa, mając za całe swe mienie życzliwość okolicznego prostego ludu.

Wraz z Władysławem Niezłomnym ukoronowano jego małżonkę, Jadwigę, córkę Bolesława Pobożnego, kaliskiego księcia. Godna to była takiego męża żona. Do niej to powiedział raz biskup Muskata: „Szukajcie sobie innego biskupa, a ja poszukam sobie innego księcia i pierwej nie wrócę do Krakowa, aż z innym księciem". Dzieliła z mężem najtwardszą niedolę, prawdziwa jego towarzyszka i żywota współpracowniczka. Gdy Władysław przebywał na wygnaniu i w dalekim świecie szukać musiał rady i pomocy, ona ścigana przez wrogów na równi z mężem, musiała w przebraniu mieszczki szukać schronienia u wiernego mieszczanina w Sieradzu. I ona umiała być nieugiętą, niezłomną. A to właśnie jest wzruszające w dziejach tej królewskiej pary, że życie im upływało nie w samych tylko zamkach i pałacach, ale częściej między chudopachołkami, niż wielmożami.

Koronacya nie była końcem, lecz dopiero zapowiedzią końca narodowej niedoli. Naród postawił na swojem, pokazał, że będzie samowładnym, że chcąc nad nim panować, trzeba być pierwszym sługą narodowej sprawy. Pokazał, że go stać na to, żeby utworzyć z Polski europejskie państwo; oświadczał głośno, wobec całego świata, że ziemi polskiej nie da przefrymarczyć, ani rozdrapywać wrogom. Ale wrogowie byli po koronacyi tak samo, jak przed nią, a stali się jeszcze zawziętsi i trzeba było podjąć z nimi walkę. Dzieło narodowego odrodzenia i odbudowania królestwa polskiego trzeba było dopiero własną krwią obronić. Obrona ta zajęła jeszcze sto lat czasu. Z początku, za rządów Władysława, było w tej walce więcej klęsk, niż zwycięstw, było dużo cierpkich chwil i goryczy. Siły były takie nierówne, że podziwiać trzeba przodków naszych, jak mogli z tej walki wyjść ostatecznie zwycięsko. Ale bo też dzielne to były pokolenia! Cały naród stawał się niezłomnym.

PROCES PRZECIW KRZYŻAKOM.

Rozpoczęto starania o odzyskanie Pomorza, zagarniętego niesłychaną zdradą przez Krzyżaków w r. 1309. Ofarowali oni królowi dziesięć tysięcy grzywien srebra za zrzeczenie się tej krainy. Ale to nie był Wacław, nie kupczył polską ziemią; odrzucił więc frymarkę. Zaskarżył natomiast Krzyżaków przed papieżem; wszak ci niemieccy rycerze zakonem byli, a papież ich najwyższym sędzią. Równocześnie skarżył się na nich arcybiskup ryski, którego chcieli wyzuć z posiadłości w Inflaniech. Papież Klemens V. rzucił na nich klątwę w r. 1309, nazywając ich „chytrymi nieprzyjaciółmi Chrystusa“ i kazał wytoczyć przeciw nim śledztwo. Okazały się w całej nagości zbrodnie Zakonu, ich sposób „nawracania“, nadużycie pobożnych fundacyj z całej Europy i darowizny polskich książąt do celów zupełnie świeckich, żeby sobie założyć państwo nad Bałtykiem. Okazało się, że Krzyżacy dawno już przestali być zakonnikami i tylko wstyd przynoszą Kościołowi. A właśnie niedawno przedtem zniósł papież Klemens V. francuski zakon rycerski Templaryuszów. Zaczęły chodzić pogłoski, że Jan XXII. gotuje ten sam los niemieckim Krzyżakom. Sam więc Wielki Mistrz pospieszył osobiście do Avinionu, żeby przedstawić, jak Zakon jego potrzebny jest dla obrony od schyzmatyckiej Rusi i pogańskiej Litwy. Co do sprawy pomorskiej, postanowiono na dworze papieskim, żeby zbadać rzecz na miejscu i w tym celu wyznaczył papież komisyę złożoną z Polaków i cudzoziemców. Wzywano świadków, książąt, wojewodów, starostów, sołtysów i mieszczan i spisywano ich zeznania. Akta tego ciekawego procesu dochowały się szczęśliwie do naszych czasów. Po dłuższem śledztwie wydała komisya wyrok w Inowrocławiu w r. 1321, skazując Krzyżaków na zwrot Pomorza i wynagrodzenie szkód i kosztów. Ale Zakon niemiecki nie poddał się wyrokowi! Musiała być wojna, a proces okazał tylko przed Europą, że w wojnie tej nieuniknionej słuszność jest po stronie polskiej i że nie z zakonnikami się walczy, ale ze zdziercami i łupieżcami.

Nieuniknioną była wojna, a zatem trzeba się było zawczasu starać o sojusze. Krzyżacy mieli po swej stronie króla czeskiego Jana, nowego cesarza Ludwika bawarskiego i jego syna, który został margrabią brandeburskim. Łokietek zawarł był jeszcze w r.

1315 przymierze z królami skandynawskimi: Danii, Szwecyi i Norwegii, z książętami meklemburskimi i Rugii, co mogło być bardzo przydatne przeciw Brandeburgii. Utrzymywał też przyjaźń z dawnym swym sojusznikiem, Karolem Robertem węgierskim i w r. 1320 dał mu za żonę swą córkę, Elżbietę. Wkrótce stanął sojusz nowy, a to z Litwą, uwieńczony w r. 1325 małżeństwem polskiego królewicza, 15-letniego Kazimierza, z księżniczką litewską Aldoną. O przymierze z Litwą zaczął się starać król polski zaraz po inowrocławskim wyroku.

GEDYMIN.

Na Litwie był po Mendogu przez dłuższy czas zamęt. Około r. 1300 był władcą kraju Witenes, o którym wiadomo, że miał zamiar ochrzcić się, ale zamiaru nie dokonał i w pogaństwie pozostał. W r. 1315 nastąpił brat Witenesa, Gedymin, również chrześcijaństwu chętny. Polscy Franciszkanie i Dominikanie mieli zupełną wolność głoszenia na Litwie słowa Bożego. W Wilnie i Nowogródku były kościoły katolickie. Chcąc raz uwolnić się od krzyżackiego „nawracania“ mieczem, a bardzo prawdopodobnie przejęty też szczerem przekonaniem, postanowił Gedymin przyjąć chrzest, lecz nie od Zakonu, ale bezpośrednio od samej stolicy apostolskiej. W r. 1322 pisze tedy do Awinionu do papieża Jana XXII, skarży się na niegodziwe postępowanie Krzyżaków, niszczących ciągle Litwę, prosi o przysłanie legata i oświadcza się z zupełną gotowością przyjęcia chrztu, byle tylko mógł być niezawisły od Zakonu. Jednego z posłów wiozących ten list pojmali Krzyżacy i wtrącili do więzienia. Gedymin rozpisał tedy listy do różnych wybitnych osób i miast w Niemczech, opisując całą sprawę. Zakon krzyżacki opierał się głównie na ofiarności niemieckiego społeczeństwa, dlategoto tam Gedymin pragnął mu zepsuć opinię. Dochowały się listy pisane do Dominikanów i Franciszkanów w Saksonii, tudzież do miast niemieckich nad Bałtykiem, które prowadziły handel w Prusiech, Inflanciech i na Litwie. Przedstawia w tych listach swoje położenie i wzywa, żeby zawierano z nim przymierza i traktaty handlowe, zaprasza nawet do osiedlania się na Litwie, powołując się na swą gotowość do przyjęcia chrztu. Do papieża wysłał zaś drugie pismo za pośrednictwem Ryżan. Krzyżacy bowiem i miastu Rydze dawali się ciężko we znaki. Ba-

wił właśnie na papieskim dworze Fryderyk, arcybiskup ryski, od dwunastu lat wygnany ze swej dyecezyi przez Krzyżaków. W r. 1323 odbył się w Wilnie wielki zjazd. Przybyli na zaproszenie Gedymina posłowie z inflanckich miast, z położonej nieco dalej na północ Estonii, a także Zakonu, żeby zawrzeć z Litwą pokój wieczysty. Na zjeździe tym oświadczył Gedymin, że on rzeczywiście porozsyłał listy na wszystkie strony. Zawarto pokój, a do dokumentu przywiesili swe pieczęcie także pełnomocnicy krzyżaccy. Było to atoli tylko łudzeniem Gedymina! Chrzest Gedymina nie był Krzyżakom na rękę; oni woleli, żeby pozostał poganinem, żeby mogli zbierać na Litwę krucyaty rzekomo dla obrony wiary, w rzeczywistości zaś, żeby na koszt Litwy rozszerzać swoje państwo!

We dwa miesiące po tym pokoju wileńskim zawiera Zakon przymierze z Wielkim Nowogrodem przeciw Gedyminowi. Zamykają szczelnie wszelkie drogi z Litwy, tak, że Gedymin był zupełnie odgrodzony od świata i ustał zupełnie wszelki ruch handlowy. Przygotował też Zakon dwie wyprawy wojenne, jedną na Żmujdź, a drugą na ruskie miasto Psków, które Krzyżacy także zagarnąć pragnęli. Posłał tam Gedymin swego wodza, Dawida. W maju 1324 r. napadli Krzyżacy na stolicę Litwy, miasto Wilno, i spalili przedmieścia. Stany inflanckie, tak duchowne, jakoteż świeckie, miasta i rycerstwo, zmuszał Zakon groźbami do zerwania pokoju wileńskiego i do wypowiedzenia wojny. Co zaś najgorsza, porozumiewał się Zakon ze stronnictwem pogańskiem i z podległą Gedyminowi schyzmatycką Rusią. Rusini wypowiadali posłuszeństwo, a Żmujdzini zagrozili wprost nietylko powstaniem, ale nawet śmiercią Wielkiemu księciu i zagładą całej jego rodziny, jeżeli przyjmie chrzest. Musiał Gedymin zaniechać swego zamiaru, jeżeli nie chciał narazić się na utratę tronu, a państwa litewskiego na zupełne rozbicie. Toteż gdy w r. 1324 przybyli papiescy legaci, Gedymin zaparł się, jakoby był miał zamiar przyjęcia chrztu i oświadczył, że piszący owe listy sekretarz, Franciszkanin, przekroczył samowolnie pełnomocnictwo, bo książę kazał mu tylko oświadczyć się z uległością dla papieża, ale przez tę uległość nie rozumiał wcale, że się ochrzci. To było oświadczenie urzędowe, oficyalne, ale poza tem dowiedzieli się legaci prawdy i zrozumieli położenie. Nie okazali wcale oburzenia na

Gedymina. Zabawili jeszcze ośm miesięcy w Rydze, zajęci sporem tamtejszego arcybiskupa z Zakonem i z Rygi porozumiewali się z Litwą. Wstawiali się za posłami litewskimi uwięzionymi przez Krzyżaków, a nawet kazali ich wypuścić z więzienia. Przed odjazdem zaś polecili Zakonowi i Stanom inflanckim, żeby przez cztery lata pozostawili Litwę w spokoju i dotrzymali przymierza wileńskiego. Natomiast na Zakon niemiecki spadła równocześnie w r. 1325 klątwa. Gedymin wydalił wprawdzie ze swego dworu Franciszkanów, ale pozostał w jego otoczeniu Dominikanin, Ojciec Mikołaj. Dochowała się do naszych czasów wiadomość o jednej rozmowie Ojca Mikołaja z Gedyminem. Dominikanin zwrócił uwagę księcia, że chcąc doprowadzić do skutku swój zamiar, powinienby oprzeć się o króla węgierskiego lub czeskiego, bo „Ojciec św. jest tak daleko, że zanimby odeń pomoc przybyła, nieprzyjaciel tymczasem doszczętnie was zrujnuje".

Nie wiemy, czy Gedymin próbował „wybrać sobie króla Czech lub Węgier za ojca" — ale tego samego roku 1325 wydawał swą córkę Aldonę (na chrzcie Annę), za polskiego królewicza Kazimierza, a na wiano dał jej dwadzieścia cztery tysiące jeńców chrześcijańskich. Posag to był bardzo bogaty, skoro naraz tyle rąk roboczych przybywało polskiemu gospodarstwu.

PIERWSZA WOJNA Z KRZYŻAKAMI.

Zaraz następnego roku wyprawił się król Władysław z litewskiemi posiłkami na Brandeburgię i spustoszył krainę koło Frankfurtu nad Odrą. W r. 1327 ruszył na Polskę król czeski, Jan Luksemburczyk i dążył prosto pod Kraków; zajął Sławków i był już blizko stolicy, ale cofnął się, gdy mu zagroził wojną sprzymierzeniec polski, król węgierski Karol Robert. Natenczas postanowił Jan przygotować wyprawę na drugiego sprzymierzeńca Łokietka. na Gedymina. W r. 1329 wyruszył przez Brandeburgię do Prus; wyprawa cała zwróciła się niespodzianie przeciw Polsce. Połączone wojska czeskie i krzyżackie zajęły ziemię Dobrzyńską, a król Jan, jako rzekomy król polski, darował ją zaraz Zakonowi. Wtenczas też zmuszono księcia płockiego, Wańkę, że złożył Janowi hołd, uznając go niejako tem samem królem polskim, a nie Władysława. Mieli odtąd Luksemburczycy lenników w samem sercu Polski, nie tylko na Ślązku.

Na czasy tych właśnie wstępnych walk z Krzyżakami przypada oderwanie się całego niemal Ślązka od Polski. Nierząd książęcy doszedł już do szczytu w tym kraju. Dzielnicowe rozdrobnienie Ślązka pozbawiało książąt wszelkiego znaczenia, a nawet osobistej powagi. Tak n. p. księstwo wrocławskie rozpadło się w roku 1311 na wrocławskie, lignickie i najmniejsze brzezkie (Brzeg), a to najmniejsze podzielono potem jeszcze na pięć dzielnic i popowstawały księstewka: brzezkie, niemczeńskie, olawskie, strzeleckie i kluczborskie! Z podziałami wzmagały się tylko zwady. Książę wrocławski, Henryk VI., nie mogąc sobie dać rady z Wrocławianami, uciekł się raz do opieki Łokietka. Król uspokoiwszy mu księstwo, oddał nieuszczuplone, za co książę ten rozpoczął zaraz konszachty z Janem czeskim przeciw Władysławowi! Nieszczególni to byli ludzie, ci ślązcy książęta. Taki np. książę brzezki, Bolesław, gdy już pozastawiał wszystkie swe grody i gródki, dał Wrocławianom w zastaw własnych swoich synów: Wacława i Ludwika. Władysław lignicki plądrował po gościńcach na spółkę z niemieckim „rycerzem“ Hornsbergiem. Nareszcie zmówiło się na niego 20 niemieckich „gburów“, pojmali go i odstawili do brata Bolesława w Brzegu, z prośbą, żeby go nie puszczał na ludzi. Tenże Władysław ożenił się potem z córką Bolesława II. płockiego; przemarnował posag, aż mu został tylko jeden koń. Jeździł sobie tedy od dworu do dworu, od proboszcza do proboszcza i tak się żywił w ciągłej gościnie u swoich poddanych. Synów Henryka głogowskiego, dwa razy zwaśnionych, dwa razy musiał godzić Łokietek. W roku 1325 posyłali Wrocławianie dwa razy do króla Jana, żeby przyszedł zabrać sobie Wrocław. Zmusili też w końcu swego księcia, że w r. 1327 oddał Wrocław Janowi i to nie, jako lenno czeskie, ale wprost na własność. Henryk VI. zastrzegł sobie tylko dożywocie. Zaraz potem pospieszyli z hołdem królowi czeskiemu inni książęta ślązcy, z wyjątkiem trzech. Pozostali jeszcze przy związku państwowym z Polską Przemysław głogowski, Bolko fürstenberski i Bernard świdnicki.

Zagrożony sojuszem dynastyi luksemburskiej z Zakonem, chciał król mieć spokój przynajmniej od marchii brandeburskiej. Panująca tam dynastya askańska wygasła w r. 1319, a cesarz Ludwik Bawarski nadał tę marchię w lenno w r. 1323 swemu własnemu synowi, imieniem także Ludwikowi, jeszcze małoletniemu.

Kiedy Krzyżacy zajęli w r. 1329 z pomocą króla czeskiego ziemię dobrzyńską, a nadto posuwając się jeszcze dalej, spustoszyli Kujawy, zdobyli Wyszogród i Bydgoszcz, Łokietek obawiając się nadto nowego najazdu brandeburskiego, wyprawił do margrabiego z końcem roku wojewodę poznańskiego i wielkopolskiego wielkorządcę, Wincentego z Szamotuł, i zawarł pokój na trzy lata. Ubezpieczony z tej strony zabrał się na nowo do wojny z Zakonem.

Otrzymawszy posiłki z Węgier, ruszył król Władysław w pole w sierpniu 1330 r. i wtargnął do ziemi chełmińskiej. Krzyżacy bitwy żadnej nie przyjęli, pozamykali się w swych warownych grodach, a tych Polacy zdobyć nie mogli. W lipcu 1331 nastąpiła za to wielka wyprawa krzyżacka na Polskę. Zdobyli Nakło, zrabowali Gniezno, podpalili Pyzdry, oblęgali Kalisz, poczem zwrócili się do ziemi sieradzkiej, łęczyckiej i przez Kujawy wracali do domu z bogatemi łupami. Najazd ten nie ustępował w niczem tatarskiemu; palili wszystkie wsie po drodze, rabowali kościoły, zabierali nawet dzwony i obrazy, rozbijali skarbonki kościelne. Król zbierał rycerstwo w Małopolsce i czekał na posiłki węgierskie, nadchodzące od Sącza, a w Wielkopolsce prowadził z Krzyżakami podjazdową wojnę wojewoda Wincenty. Pod Pyzdrami stawiono się najeźdźcom, ale bezskutecznie. Gdy król do Wielkopolski przybył, bardzo był niezadowolony z niedołężnej obrony i Wincentemu z Szamotuł odjął wielkorządztwo. Król ścigał ciągle Krzyżaków, postępując za nimi ze swem wojskiem i upatrując sposobnej chwili do bitwy. Gdy część Krzyżaków poszła oblęgać Brześć i wojsko ich rozdzieliło się, postanowił Łokietek natrzeć wstępnym bojem. Stoczono bitwę pod kujawską wioską Płowcami, o milę od Radziejowa, na północny zachód od Brześcia kujawskiego. Siedmdziesięcioletni król dowodził osobiście i osięgnął zupełne zwycięstwo dnia 27 września 1331 r. Na znak zwycięstwa przezwał król pobojowisko Krakowem i uroczyście je tak obwołał. Krzyżacy ustąpili z Polski po tej przegranej. Ale nadeszły wojska króla czeskiego i podstąpiwszy pod Poznań, poczęły go oblęgać. Odparł ich Wincenty z Szamotuł, który, pozyskawszy przebaczenie królewskie, powrócił do swych obowiązków.

Następnego roku ruszyli Krzyżacy na nową wyprawę zaraz wczesną wiosną i poszli pod Brześć z siłami znaczniejszemi, niż

roku zeszłego. Wincenty z Szamotuł zebrał oddział rycerstwa i wybrał się z odsieczą, ale przybył za późno. Krzyżacy mieli doskonałe machiny oblężnicze i gród zajęli, poczem rozsypali się po całej kujawskiej ziemi. Tym razem nie była to tylko łupieska wyprawa, lecz zaborcza. Zakon postanowił w Kujawach już pozostać i przyłączyć je do swego państwa. Król Władysław dopiero w sierpniu zdążył zebrać małopolskich rycerzy; wyprawa jego zupełnie się nie powiodła. Kujawy były stracone! Książęta ślązcy skorzystali z przegranej polskiej i zajęli wtenczas Kościan i kilka grodów granicznych.

Wrogowie tryumfowali! Państwo polskie było bardzo uszczuplone; przepadł nietylko Ślązk, nietylko nie odzyskano Pomorza, ani ziemi michałowskiej, ale stracono nadto ziemię dobrzyńską i Kujawy. Panowanie krzyżackie sięgało aż pod Kruświcę! Zdawało się, że runie królestwo polskie. Niemiecki Zakon rozpanoszył się już nie na granicy Polski, ale w samym jej środku, nad Gopłem, około kolebki polskiego państwa. Od zachodniej ściany odrywał się Ślązk, wzmagając swemi zasobami potęgę nieprzyjaznej dynastyi luksemburskiej. Z dwóch stron napierała na kraj niemiecka nawała, mając gotowych sojuszników w Polsce samej, w niemieckiem mieszczaństwie. Król Jan czeski używał ciągle tytułu króla polskiego i uważał piastowską koronę za swą własność; wisiała nad Polską groźba, czy król czeski nie pokusi się zdobyć sobie tron polski wojną, a czyby mu się to nie udało w połączeniu z Krzyżakami i Brandeburgią?

Czeskie uroszczenia do polskiej korony miały i tak fatalne następstwa, bo nietylko książęta ślązcy, ale nawet książę płocki na Mazowszu Luksemburgom hołdował, a nie Piastom. Łokietek bronił się, jak mógł, ale główną obroną jego była nieprzyjaźń pomiędzy dynastyą luksemburską a andegaweńską na Węgrzech. Utrzymał się dzięki sojuszowi z Karolem Robertem, a we wszystkich wojnach opierał się na węgierskich posiłkach. Polskie siły były za słabe do zwycięstwa, a chociaż czasem odniosły tryumf, jak np. pod Płowcami, nie na wiele się to przydało. Zakon mógł przegrać niejedną bitwę bez wielkiej szkody dla siebie, bo miał zawsze gotowe świeże wojsko i pełny skarb.

BRAK SIŁ WOJENNYCH.

Stosunek Polski do nieprzyjaciół za panowania króla Władysława określić można krótko tak, że broniono się bez względu na wyniki obrony. Stanowisko państwa polskiego było tylko obronne. Tamci zaczepiali, więc się trzeba było bronić, a dzielny król umiał zawsze zagrzać swe rycerstwo do nowego boju. Ale w ten sposób musiałyby te wojny trwać bez końca, aż chyba do zupełnego wyczerpania sił jednej strony; a nie mogło ulegać wątpliwości, że polskie siły wyczerpią się wcześniej, niż niemieckie, napływające równocześnie z Rzeszy, z Czech i od Krzyżaków. Ażeby mieć spokój, należało nie tylko bronić się, ale samemu zaczepić i takie odnieść nad Niemcami zwycięstwo, żeby ich zgnieść zupełnie. Trzebaby ruszyć przeciw Luksemburgom z takiem wojskiem, żeby za jednym zamachem wygnać zniemczałych książąt ze Ślązka, a przynajmniej zmusić ich do uległości polskiej Koronie i stanąć wobec Czech, jako sąsiad groźny, stanowiący ostrzem miecza warunki pokoju. Trzebaby zebrać taką potęgę, żeby Krzyżaków wypędzić nie tylko z Kujaw, ale też z Pomorza, a Brandeburgię uczynić zawisłą od polskiej polityki. Póki nie było sił do takiej wielkiej wojny, póki ich starczyło ledwie na obronę od dotkliwych najazdów, była Polska na łasce i niełasce potężnych wrogów. Od ich woli zależało, kiedy na Polskę napadną, ile wojen Polsce narzucą; mogli to robić choćby co roku. A każda wojna niszczyła kraj, wyludniała i ubożyła. Po każdej takiej wojnie byliśmy coraz słabsi do odparcia następnej. Skoro nie było nadziei zgniecenia wroga raz na zawsze, czemże były te wojny, jeżeli nie ustawicznem upuszczaniem krwi społeczeństwu i coraz większem osłabieniem państwa?

Niegdyś, za Bolesławów, dawaliśmy sobie radę z Niemcami. Nie brakło męstwa Polakom XIV. w., umieli się dzielnie spisać w polu, nie brakło zapału i miłości Ojczyzny, skoro na tyle wojen nieśli swe życie w ofierze i nie brakło dzielnych wodzów pod sprawą najdzielniejszego: samego króla Niezłomnego. Ale czasy były inne, zupełnie inne. To wszystko wystarczało dawniej, a teraz już nie; trzeba było czegoś więcej: pieniędzy! To państwo miało zwyciężyć, którego społeczeństwo większym się wykaże dobrobytem.

Zmieniła się przedewszystkiem sama sztuka wojenna. Rzadziej już staczano wielkie bitwy, a chociaż ją czasem stoczono, nie od tego zawisł był wynik wojny, lecz od zdobywania grodów. Niegdyś gród służył tylko za schówkę skarbów, za schronisko kobiet i dzieci, a dla żołnierzy był tylko środkiem pomocniczym, składem broni i miejscem wypoczynku. Były też te grody drewniane; długo w nich nie można się było trzymać, bo nieprzyjaciel puszczał je z dymem; wychodziła więc załoga na bitwę i pod grodami staczało się stanowcze walki. Nieprzyjaciel pokonany w jednej walnej bitwie już wojnę stanowczo przegrywał; nie miał się gdzie chować i musiał uciekać. Później zaczęto jednak wznosić grody kamienne; to już nie były tylko schroniska i składy, ale twierdze, w których można było wytrzymać długie oblężenie, nagromadziwszy zapasy żywności. Nie bano się już żagwi rzuconej z nieprzyjacielskiego obozu; miano nad nim właśnie przewagę, prażąc go pociskami i strzałami z silnych baszt. Chcąc wojnę wygrać, trzeba było zdobywać mozolnie gród po grodzie. Około grodów powstały miasta, które same też warowne były, otoczone częstokołem, murem, rowami wypełnionemi wodą. Najpierw trzeba było zdobyć miasto, a potem dopiero można było kusić się o zdobycie grodu. Póki się jeden gród trzymał, nie była wojna przegraną!

Ten był górą, kto miał lepsze grody, warowniejsze, czyje miasta lepszemi były fortecami. Na Zachodzie dawno już każde miasto było fortecą, a u nas dopiero się to zaczynało, nasze grody były jeszcze po większej części drewniane. Trudno u nas było o kamień budowlany, trudno o ludzi, umiejących wznosić takie warownie. Pozostaliśmy w tyle za wojenną sztuką zachodniej Europy, bo przez dwieście lat nie prowadziliśmy wielkiej polityki, nie należeliśmy do europejskich sojuszów, a nasze wojny były prawie wyłącznie wojnami domowemi księcia z księciem, Piasta z Piastem. Wojny z Rusią niczego nas w tej mierze nauczyć nie mogły, bo u nich sztuka wojenna stała jeszcze niżej, niż u nas. Nauka mogła przyjść tylko z Zachodu, a przez cały czas dzielnic książęcych nie wyszły wojska polskie ani razu poza zachodnie granice piastowskiego panowania. Wojownik polski nawet nie widział nigdy w życiu porządnego grodu, chyba że popadł w niewolę i jeńcem dostał się do Niemiec. Sami z siebie nie zdobyliśmy się na ten postęp i nie mogliśmy się zdobyć. Najazdy mongolskie pozbawiły

Polskę przynajmniej połowy ludności; brakowało przecież rąk do gospodarstwa na roli i w lesie, jakżeż więc miały zakwitnąć rzemiosła? Właśnie gdy z łazęgów zaczęły powstawać miejskie osady, gdy poczęła się wytwarzać warstwa rękodzielnicza, naraz wszystko przepadło i nietylko nie można było myśleć o postępie, ale do samego osadnictwa trzeba się było zabrać na nowo! Gdzie brakowało ludzi do sochy, musiało tem bardziej zabraknąć budowniczych i rzemieślników do wznoszenia grodów. Tak tedy i na tem polu znać było skutki tatarskich najazdów; zdziesiątkowani i zbiedzeni pozostaliśmy na nowo o sto lat w tyle za szczęśliwszymi sąsiadami z zachodu, którzy nie przechodzili przez takie klęski, u których rozwijały się nadal bez przerwy rękodzieła, a miasta i grody z drewnianych przemieniały się w murowane, podczas gdy my nawet drewniane dopiero ze zgliszcz na nowo musieliśmy wznosić. Unas brakowało rąk roboczych a Niemcy mieli ich na tyle, że nawet tłumna emigracya na wschód nic im nie zaszkodziła.

Wszystkie te zdobycze postępu wojennego rzemiosła były łatwo dostępne Krzyżakom. Zdobywszy Prusy, a potem zdradą Pomorze, urządzili też u siebie osadnictwo niemieckie na wielkie rozmiary. Ten niemiecki przybysz był ich rodakiem, jednej z nimi krwi. Gdy niemieckie miasto pod panowaniem Łokietka obwiodło się warownym murem, mogło to być niebezpieczne dla króla Polski; gdy to samo stało się pod panowaniem krzyżackiem, było to tylko korzystne dla Zakonu. Żywioł miejski długo osłabiał u nas siłę władzy królewskiej, bo nietylko był państwem w państwie, lecz państwem przeciw państwu. U Krzyżaków wzrost miast wychodził tylko na dobre ich rządom i powiększał coraz bardziej potęgę ich wobec państwa polskiego i było coraz więcej niemieckiego naporu na Polskę. Wielkie koszta wznoszenia murowanych fortec niczem były dla Krzyżaków, którzy mieli w całej Europie tyle bogatych fundacyj. Europa uważała ich za to, czem być byli powinni: za obrońców chrześcijaństwa i za apostołów dalekiego pogańskiego i schyzmatyckiego Wschodu. Służyć Krzyżakom krwią, orężem lub majątkiem znaczyło dla Niemca, Anglika, Francuza i Czecha to samo, co służyć sprawie wiary św. Królowie urządzali wielkie wyprawy wojenne, żeby im pomóc przeciw poganom, a tysiące osób z różnych narodów czyniło im rok rocznie zapisy i spieszyło choć pieniężnym darem przyczynić się do nawrócenia

wschodu, gdy nie każdy mógł osobiście wyruszyć do Prus na wojnę z pogaństwem. Kosztem Europy żyjący Zakon, był też największym w Europie bogaczem, a równocześnie Polska zniszczona i wyludniona była najuboższą w Europie krainą. Skądżeby w pustym skarbie polskiego króla miały się wziąć środki na uczynienie Polski warowną? Na skarb niemieckiego Zakonu składał się cały Zachód, a nasz skarb ograniczony był do dochodów z podatków własnych. Garstka możnowładców, a reszta sami prawie ludzie ubodzy, na dorobku dopiero będący! Szlachcic ledwie zaczął zaludniać czynszownikami swoje ziemie, kmiecia zaś czynszowego potrzeba było oszczędzać jak najbardziej, żeby się do roli przywiązał. Cały podatek polegał na opatrywaniu grodów w żywność i na tem, że szlachcic własnym kosztem ruszał na wojnę; niczego ponadto nie można było jeszcze wymagać, bo kraj dopiero zagospodarowywał się na nowo.

Słabość wojenna Polski wobec Zakonu była jeszcze większa przez to, że zupełnie innym był żołnierzem Krzyżak, niż Polak. Krzyżak mógł się wojskowości poświęcić zupełnie. On na życie nie pracował; opływał w dostatki bez trosk i zachodów. Mógł też być na wojnie rok w rok, choćby całemi miesiącami, bo nic na tem nie tracił. Polski zaś żołnierz, szlachcic, musiał starać się o utrzymanie swoje i swej rodziny, a każda wyprawa wojenna przyczyniała mu kosztów, bo król nic mu na wojnę nie dawał, ani zbroi, ani konia, ani żywności. Dłuższa wojna była ruiną dla niego i dla całego kraju. Wojsko polskie składało się z gospodarzy, z właścicieli ziemskich; prowadzić wojnę, to znaczyło oderwać od ziemi wszystkich główniejszych jej właścicieli. Taki żołnierz wzdychał do tego, żeby tylko jak najprędzej wrócić do domu, taki żołnierz nie był z wojną w przyjaźni. Podziwiać trzeba zaiste poświęcenie ich, że pomimo to nie odmawiali nigdy królowi krwi swojej i szli na jego wezwanie. Ale to trzeba było zmienić. Trzeba było koniecznie urządzić to wszystko inaczej, żeby szlachcica wojna tak nie rujnowała, żeby tej warstwy nie doprowadzić do zniechęcenia. Szlachtą byli tylko dlatego i tylko za to, że byli żołnierzami; ale gdyby mieli mieć z tego ciągle same tylko straty, wyrzekliby się wszystkiego, i woleliby nie być szlachtą, a na wojnę nie chodzić. Albo trzeba było obmyśleć żołnierzom jakie wynagrodzenie, albo też cała ta warstwa popadłaby w końcu w taką nędzę, że nie

mieliby za co kupić sobie zbroji, broni i rumaka wojennego. Około roku 1330 panowało już wielkie ubóstwo wśród nich. Wtenczas, kiedy przydałoby się porwać do wielkiej wojny, żeby odebrać Kujawy, Pomorze i Ślązk, wtenczas właśnie ubóstwo nie pozwalało zebrać porządnego wojska na dłuższy czas. Dlategoto nie mógł Łokietek poszukać Niemców w ich własnem państwie, nie mógł wyruszyć ani na Pomorze, ani do Brandeburgii, ani do Czech, ledwie się mogąc zdobyć na podjazdową wojnę, gdy wróg wpadł już do Polski. Musiał bowiem Łokietek wojny unikać, nie mając jej za co prowadzić i wojował tylko o tyle, o ile go zaczepiono we własnym kraju.

PAŃSTWA DYNASTYCZNE.

Miała Polska do czynienia z wrogami potężnymi, mającymi siły o wiele znaczniejsze, niż ich z największym nawet wysiłkiem mogło zebrać całe społeczeństwo polskie. Chociaż Wielkopolska połączyła się z Małopolską, nie stanowiły jednak wielkiego państwa w porównaniu z innemi, a bez Ślązka i Pomorza były państwem bądźcobądź małem. Nietylko w Polsce domagała się opinia publiczna łączenia księstw dzielnicowych w jedno większe państwo; podobny prąd panował w całej Europie. Wszędzie powstają z odrębnych państw większe monarchie przez łączenie ich pod jednem berłem. Różnica polegała tylko na tem, że w Polsce dołączały się do tego dążenia narodowe, obce jeszcze naówczas ludom zachodnim. Tam nie narodowa idea wytwarzała wielkie państwa; dokonywało się to wyłącznie na tle ekonomicznem, z poparciem głównie mieszczańskiego stanu, bo kupieckim miastom zależało na tem, żeby było mniej granic państwowych i mniej zwad książęcych. Czem większe państwo, tem lepiej dla handlu, tem większa rękojmia publicznej opieki interesów miejskich. Mieszczaństwo oświadczało się stale za księciem silniejszym i rade było, gdy jeden ród panował na jak największej przestrzeni.

W Rzeszy niemieckiej łączą się coraz bardziej rozmaite księstwa i margrabstwa. Gdy umarł książę Henryk karyncki, nikt nie pomyślał o tem, żeby nowy jaki ród miał zapanować w Tyrolu i Karyntyi; wszyscy byli zgodni w tem, że kraje te trzeba przyłączyć do posiadłości której z dynastyj niemieckich; chodziło tylko o to, do której? Ostatecznie utrzymali się przy tych ziemiach

Habsburgowie, którzy odtąd zaczęli być najpotężniejszym rodem książęcym w Niemczech. W ten sposób powstawały potężne dynastye przez zagarnianie coraz nowych księstw i wytwarzały się w Europie państwa dynastyczne. Nie narodowość, ale dynastya była spójnią w tych nowych państwach. Sami zaś ci dynastowie nie poczuwali się do żadnej narodowości i żadną się nie krępowali, byle tylko panować nad rozległem państwem. Sposobem do rozszerzania granic dynastycznego panowania były traktaty o następstwo tronu. Czasem zawierały dwie dynastye układ o wzajemne dziedziczenie, tak, że jeżeliby jedna z nich wygasła, druga miała objąć władzę w obydwóch państwach. Poddani nie tylko nie sprzeciwiali się takim umowom, lecz owszem prawie zawsze sprzyjali tej polityce. Przez to zaczęło się owo przenoszenie się dynastyi z tronu na tron, z jednego końca Europy na drugi, co przedtem było nieznane. Dawniej był król przedewszystkiem członkiem społeczeństwa, którem rządził; w XIV. stuleciu był tylko dynastą, któremu było wszystko jedno, nad kim panuje. Dynastye przestają być narodowemi. Habsburgowie ze Szwajcaryi przeszli do Austryi, następnie do Czech, do Węgier, potem do Niderlandów i do Hiszpanii, a do tego wszystkiego starali się jeszcze o tron polski. Czemżeż więc byli? Niemcami, Węgrami, Czechami, Holendrami czy Hiszpanami? Żadnego nie byli narodu, będąc tylko dynastami. Luksemburska dynastya wyszła z niedużego kraiku na francuskiej granicy, gdzie posiadali dziedziczną godność hrabiowską. Jeden z nich zostawszy arcybiskupem trewirskim, przeprowadził wybór swego brata na tron niemiecki. Królem tym był Henyk VIII. (1308—1313), a jego syn Jan, został szczęśliwie królem czeskim i chciał być jeszcze polskim. Jeżeli kto nie przyznawał się do żadnego narodu, toć chyba król Jan, któremu całe życie zeszło na szukaniu przygód po wszystkich krajach Europy, który w Czechach rzadkim tylko był gościem i do końca życia bardziej się zajmował francuskiemi sprawami, niż czeskiemi, bo na tych się nie znał i nie rozumiał ich! Takim też dynastą był sojusznik polski, król węgierski Karol Robert, o którym niesposób orzec, czy Francuzem był, czy Włochem? Madziarem z pewnością nie był, choć nad Madziarami panował! Tylko w Polsce powstało państwo narodowe, podczas gdy wszędzie do około były państwa dynastyczne.

Niewątpliwie, że moralna wartość polskiego państwa, wytworzonego przez samo społeczeństwo, była większa; ale tamte były silniejsze. Cóż dopiero, gdy do dynastycznej potęgi Luksemburgów dodamy margrabstwo brandeburskie i państwo krzyżackie! Doprawdy, nawet się dziwić nie można, że wśród takich okoliczności Polska wydawała się niechętnemu cesarzowi łupiną, którą zdmuchnie bez wysiłku. Królem niemieckim był natenczas Ludwik z książąt bawarskich. Ten, chociaż pozostawał pod klątwą Jana XXII., postanowił koronować się na cesarza i wyruszył do Rzymu, licząc, że mu we Włoszech dopomoże stronnictwo przeciwne zamieszkałemu w Awinionie papieżowi. Zawiódł się pod tym względem na Rzymianach, ale od koronacyi cesarkiej nie odstąpił i sam sobie ją urządził w sposób bardzo pompatyczny, ale też trochę zabawny, świadczący tylko o niezmiernej pysze niemieckiego króla. Jako rzekomy cesarz, uważał się za króla królów, a pierwszym użytkiem z tej rzekomej władzy zwierzchniczej nad całą Europą było, że Ludwik bawarski zaraz po tej koronacyi złożył sąd na polskiego króla! Kazał go oskarżyć przed sobą o obrazę swego majestatu i zdradę państwa za to, że Władysław nie poszedł śladem Wacławów i nie brał korony polskiej w lenno od Niemiec! Dnia 8 lutego 1328 odbyła się w pałacu Laterańskim w Rzymie wielka komedya polityczna: Ludwik bawarski strącał z tronu króla Władysława, a Polskę darował swemu synowi, margrabiemu brandeburskiemu!!

W obec takiej zaciekłości musiała nastać w końcu wielka wojna Polski z Niemcami. Ale byłoby nieroztropnością teraz już tę wojnę wywoływać. Należało poprzestać na walce obronnej, o ile ona była nieodzowną i nieuchronną, a unikać wojny w ogóle, o ile tylko się dało, żeby zyskać na czasie, wzmódz się na siłach, dojść do dobrobytu. Rozumiał to król Władysław. Wiedział, że on już nie pokona ni Krzyżaków, ni Luksemburczyków, że stanowczą rozprawę z nimi pozostawić trzeba następnym pokoleniom, a tymczasem dbać raczej o to, żeby tej stanowczej wojny z całą niemczyzną jeszcze nie było.

Uprosił więc stolicę apostolską, żeby się wdała ponownie w sprawę Polski z Krzyżakami i rad był, gdy nuncyusz papieski ułożył rozejm i zapowiedział nowy sąd polubowny. Przystali na to Krzyżacy, bo nie myśleli wyroku usłuchać, gdyby był dla nich

niekorzystny; przystali Polacy, bo do dalszej wojny nie mieli sił. Wyrok mieli wydać sojusznicy obustronni: królowie czeski i węgierski. Minęły dwa lata, nim wyrok wydali. Stary król Władysław już go nie doczekał. Umarł dnia 2 marca 1333, pochowany po lewej stronie wielkiego ołtarza katedry na Wawelu, której gotycką budowę rozpoczął. Królowa Jadwiga wstąpiła po jego śmierci do zakonu Klarysek w Starym Sączu.

Synowi swemu, 23-letniemu Kazimierzowi, pozostawiał państwo niewielkie: Krakowskie, Sandomierskie, Mazowsze i właściwą Wielkopolskę bez Kujaw. Przy śmierci królewskiej państwo mniejsze było, niż gdy rozpoczął rządy, a jednak historya wspominać go będzie z największą wdzięcznością. Uszczuplenie państwa nie z jego pochodziło winy, ani też nie z winy społeczeństwa, lecz z przemocy grabieżców. On zaś w wytrwałych walkach bronił narodowego dostojeństwa, bronił godności korony polskiej, a wśród walk wiedzionych przebojem, doprowadził społeczeństwo do tego, że poczuło się samowładnym narodem. Niezłomnością swoją przyświecał narodowi wzniosłym przykładem, a chociaż tyle polskiej ziemi było w ręku wroga, naród nie opuścił rąk, ale rozważnie jął się pracy około odzyskania zaborów.

W spadku po sobie zostawił ten król Polsce niezłomność, a cnota ta wyprowadziła naszych przodków cało ze wszystkich niebezpieczeństw.

Syn i następca Władysława Niezłomnego, Kazimierz, rozpoczął rządy zaraz od królewskiej koronacyi. Jemu przypadło w udziale prowadzić dalej dzieło ojcowskie i tak rządzić, żeby społeczeństwu przybywało sił do przyszłej walki ze wszystką niemczyzną.

ROZDZIAŁ III.

KAZIMIERZ WIELKI 1333—1370 r.

Młody król Kazimierz, mając skarb pusty, nie mógł myśleć o odzyskaniu utraconych ziem wojną, lękał się zaś, żeby go zaczepka wrogów nie zmusiła do próżnego przelewu krwi, z czego wyniknęłoby tylko nowe osłabienie kraju. Trzeba się było najpierw zagospodarować, a do tego potrzebny był pokój. Dbał więc usilnie o to, żeby mu nie wypowiedział nowej wojny ani Zakon krzyżacki, ani król czeski Jan Luksemburczyk.

POKÓJ Z LUKSEMBURCZYKAMI. 1335 r.

W sześć tygodni po śmierci ojca zawarł nowy król zawieszenie broni z Krzyżakami, które miało trwać aż do czasu, gdy królowie czeski i węgierski wydadzą wyrok, jak to było umówione jeszcze za życia króla Władysława. Zarazem zaczął obmyślać, jakby sobie zapewnić pokój od dynastyi luksemburskej, żeby się zrzekli swych uroszczeń do polskiego tronu. Król Jan był właśnie w ciężkich kłopotach, mając wojnę z niemieckim cesarzem, Ludwikiem bawarskim. Panujący w Tyrolu i w Karyntyi książę umarł bez męskiego potomka. Córka jego, Małgorzata (z przydomkiem Maultasch), była za czeskim królewiczem, Janem Henrykiem, a ten pragnął teraz zagarnąć spadek po teściu. Ale nie brakło innych współzawodników. Pomiędzy Czechami a Karyntyą była Austrya, w której rządzili Habsburgowie; i oni radziby powiększyć swe posiadłości. Według lennego zaś prawa miał Tyrol i Karyntya wracać do niemieckiego króla, który innej jakiej rodzinie mógł nadać te kraje na nowo w lenno. Cesarz Ludwik

nie zamierzał dać tego wielkiego i bogatego lenna ani Luksemburgom, ani Habsburgom, bo miał własną rodzinę! Korzystał z cesarskiej godności, żeby powiększyć potęgę własnego domu. Gdy się opróżniło lenno w Brandeburgii, nadał ten kraj swemu synowi; tak samo zamierzał postąpić sobie i teraz. Nastała więc wojna trzech najpotężniejszych niemieckich rodzin książęcych: bawarskiego rodu Wittelsbachów, austryackich Habsburgów i panujących w Czechach Luksemburgów. Wszystkich trzech posiadłości graniczyły ze sobą, a także z Węgrami i Polską. Wittelsbachowie graniczyli bowiem z Polską przez Brandeburgię, którą miał cesarzewicz, a Luksemburgowie od Ślązka; Habsburgów zaś posiadłości graniczyły z państwem węgierskiem, gdzie panujący wówczas Karol Robert był dawnym Polski sojusznikiem, a Luksemburgów wrogiem. Wszystkim rywalom zależało na tem, czy Węgry i Polska wmięszają się w tę sprawę i po czyjej stronie staną? Gdyby bowiem który z tych rodów zajęty był wojną z Węgrami lub z Polską, nie mógłby należycie wystąpić do walki w Niemczech. Dla Kazimierza nastała dobra sposobność, żeby rozpocząć targi z Janem czeskim. W maju 1335 r. zawarł przymierze z cesarzem i jego synem, margrabią brandeburskim, obliczywszy sobie dobrze, że tem zaskoczy Luksemburgów. Ci bali się teraz, żeby nie mieć równocześnie wojny z cesarzem, Polską i Węgrami. Zaraz też król Jan zapukał o pokój i wyprawił poselstwa do Węgier i do Polski; do Polski wysłał swego syna Karola, który był potem monarchą bardzo wsławionym. Król polski po to tylko wojną groził, żeby wymusić pokój, rad wielce poselstwu; chętnie się wdał w rokowania. Żądał, żeby Luksemburgowie zrzekli się uroszczeń do polskiej korony i przestawali nawet używać tytułu króla polskiego, a na pośrednika do układów wyznaczył Karola Roberta. Zaznaczył w ten sposób, że panuje zupełna zgodność pomiędzy dworem polskim a węgierskim, że w danym razie obydwa państwa postąpią sobie jednako. Król Jan przystał na żądanie, na które w innych okolicznościach byłby zapewne odpowiedział wojną. Chodziło jeszcze o oznaczenie odczepnego, boć rozumiało się samo przez się, że za darmo nie zrzeknie się choćby niesłusznych praw do korony. Prowadzono o to układy na ziemi węgierskiej w Tręczynie i oznaczono w końcu odczepne na 20 tysięcy kóp groszy prazkich; za te pieniądze sprzedawał król Jan Kazi-

mierzowi swój tytuł króla polskiego. Nie było to wcale za drogo, a miało się już pewność, że o to wojny nie będzie, że król Jan nie sprzeda tego tytułu komu innemu i że bawiąc się w polskiego króla, nie porobi w Polsce jakich nadań na rzecz Zakonu! Zastrzegał sobie tylko król Jan, że pozostanie przy nim to, co zdążył zyskać na Polsce, jako jej król rzekomy; wszak go tu uznali królem książęta ślązcy i płocki. Ci mieli pozostać i nadal jego lennikami; skoro zaś nie miał się już uważać za polskiego króla, lecz tylko za czeskiego, a zatem książęta ci mieli się stać hołdownikami korony czeskiej. Król Kazimierz miał się tedy zgodzić na oderwanie tych ziem od państwa polskiego. O księstwo płockie nie było kłopotu; rozumiało się samo przez się, że tam czeskie lenno na długo się nie utrzyma; skoro tylko przestanie król czeski tytułować się polskim monarchą, książę płocki niebawem od niego odpadnie. To była tylko sprawa osobistej ambicyi króla Jana, która dla jego następców nie mogła już mieć żadnego znaczenia. Inaczej ze Ślązkiem, który graniczył z Czechami! Ten kraj mógł być przyłączony do czeskiego państwa raz na zawsze. Ale też kraj ten był już po większej części zniemczony, a książęta jego, choćby Polsce hołdowali, czyż byliby wierni? Chodziło tylko o tę część Ślązka, która jeszcze nie była do reszty zniemczona, o tych książąt, którzy nie złożyli hołdu królowi czeskiemu i przynajmniej pozornie trwali przy związku państwowym z Polską. Co dla Polski i tak już przepadło, o to się król Kazimierz nie upierał, ale nie chciał uronić tego, co jeszcze mogło być ocalone. Stanęło w końcu na tem, że którzy z książąt ślązkich hołd Janowi już złożyli, tych księstwa zostaną już wprawdzie przy czeskiej koronie, ale innych pozostawia się pod zwierzchnością polską. Nie zrzekał się tedy król polski Ślązka, tylko książęta ślązcy otrzymywali wolny wybór pomiędzy Czechami a Polską. Ze względu na przyszłość ważna to różnica. Toteż teraz dopiero zaczęły się na dobre zabiegi czeskie i polskie na dworach książąt ślązkich. Na razie pozostawały pod polską koroną trzy ślązkie księstwa: świdnickie, jaworzyńskie i ziembickie.

Pozostawał jednak i tak cały Ślązk pod jednym względem w związku z Polską, a mianowicie w związku kościelnym. Należał i nadal do polskiej prowincyi kościelnej, a biskup wrocławski podlegał arcybiskupowi gnieźnieńskiemu.

WYROK WYSZEHRADZKI.

Takie były warunki pokoju trenczyńsktego 1335 r. Ułożywszy się o nie, zjechali się obaj królowie w gościnie u węgierskiego sąsiada, na jego zaproszenie, w listopadzie tegoż jeszcze roku. Zjazd odbył się w Wyszehradzie, w wielkim i wspaniałym zamku nad Dunajem, na wschód od miasta Ostrzyhomia (po niemiecku Gran.) Tu miano wydać sobie wzajemnie dokumenty na pokój trenczyński, a naradzić się nad stosunkiem do Krzyżaków. Królowie węgierski i czeski wydali też tu wyrok polubowny, tej treści, że Zakon ma zwrócić Polsce ziemię kujawską i dobrzyńską, ale Pomorze otrzyma od króla Kazimierza jako „jałmużnę". Przyznawał tedy i Jan Luksemburczyk, wielki Zakonu protektor, że Pomorze jest prawnie polską własnością, że bez zezwolenia Polski nikt tam władać nie może. Wyrok wyszehradzki miał tedy wartość prawniczą dla Polski i był uznaniem jej praw w zasadzie także na Pomorzu. O nic innego Kazimierzowi nie chodziło. Praktycznego znaczenia żaden wyrok nie miałby, bo wszyscy dobrze wiedzieli, a sam król polski najlepiej, że Zakon żadnego wyroku nie posłucha. Chodziło tylko o to, żeby nie było nowej wojny z Zakonem, żeby jak najdłużej utrzymać pokój, a do tego wyrok taki połowiczny dobrze się nadawał. Król go przyjął, ale się zastrzegł, że muszą go przyjąć także polscy panowie. Wykonanie wyroku wymagało dopiero nowych układów, a gdyby tymczasem Krzyżacy choć z Kujaw ustąpili, byłby i w tem zysk. Jakoż osięgnął to król po ośmiu dalszych latach. Na razie nie myśleli Krzyżacy opuszczać Kujaw, ale też nie myśleli o nowej na Polskę wyprawie. Wszak Kazimierz miał teraz sojusz nietylko już z Węgrami, ale nawet z Luksemburgami i z marchią brandeburską. Zręczną polityką zabezpieczył sobie król zupełny spokój.

NASTĘPSTWO TRONU.

Rozpoczynają się teraz układy innego rodzaju, mające jeszcze bardziej ścieśnić tak pożyteczny sojusz z dynastyą andegaweńską i uczynić go nierozerwalnym. Polska, pewna każdej chwili węgierskiej pomocy, stawałaby się od razu potęgą polityczną. Sposób zaś na to był ten, żeby królewicza węgierskiego Ludwika

uznać następcą polskiego tronu na wypadek, gdyby król Kazimierz nie miał syna.

Układy takie były zwyczajną wówczas rzeczą. Nietylko w Polsce, ale w całej środkowej Europie umawiano się nietylko o następstwo tronu, ale o wzajemne dziedziczenie pomiędzy całemi dynastyami na wypadek wymarcia jednej z nich. Było to skutkiem ogólnej dążności do tworzenia wielkich państw, a poddani popierali starania swych dynastów, żeby skupić w swem ręku jak najwięcej krajów. W dynastyi andegaweńskiej gałąź neapolitańska bliską była wygaśnięcia, podczas gdy Karol Robert miał trzech synów. Przeznaczał jednemu tron węgierski, drugiemu neapolitański, a dla trzeciego potrzebował nowej korony. Miała nią być Polska. Plany Karola Roberta nie zupełnie się udały. Najmłodszy syn Stefan zmarł przedwcześnie; średni Andrzej zasiadł wprawdzie na tronie Neapolu, ale zginął wkrótce zamordowany. Najstarszy Ludwik połączył po śmierci Kazimierza Wielkiego pod swem berłem Węgry i Polskę.

Układy o następstwo zaczęły się już w r. 1335, ale dopiero po czterech latach dojrzały. Bez zgody możnowładztwa nie można było szafować tronem i trzeba się było umówić o warunki. Na wypadek śmierci króla Kazimierza bez pozostawienia męzkiego potomka, nie brakowało Piastów; były ich jeszcze dwie linie: mazowiecka i ślązka. Ślązką wyłączono zupełnie od panowania w Polsce, a to w imię narodowego interesu, za to, że zniemczyli się i hołdowali obcym. Zaczęli oni nawet używać czarnego orła w herbie, zamiast polskiego białego. W r. 1339 uchwalono w Polsce, że nietylko żaden z nich nie może być dopuszczony do dziedzictwa tronu, ani do sprawowania opieki w razie małoletności króla, ale też ani do wielkorządztwa, ani nawet do wojewodzińskiej godności. Wykluczenie to było wynikiem polityki narodowej. Ci ślązcy Piastowie byli zresztą dalsi od tronu, jako potomkowie Władysława II., podczas gdy tron polski należał dziedzictwem tylko potomstwu Kazimierza Sprawiedliwego. Kazimierz Wielki był jego praprawnukiem, ale zupełnie tak samo byli nimi książęta mazowieccy. Ci mieliby do następstwa tronu prawo niewątpliwe, gdyby nie jedna okoliczność, jedna mianowicie zmiana w prawie spadkowem książęcem. W dawniejszem prawie polskiem kobiety nie mogły dziedziczyć. Zdarzało się, że księżne wykonywały

rządy w księstwach, jako opiekunki swych małoletnich synów; nie odmawiano kobietom władzy, ale odmawiano im dziedziczenia ziemi. Zmieniło się to potem pod wpływem Kościoła. W zachodniej Europie kobiety były już dawniej przypuszczane do dziedziczenia, u nas zaczęto się z tem oswajać dopiero z końcem XIII. w. W ślązkiej i wielkopolskiej linii Piastów było już kilka wypadków następstwa córki po ojcu, córki zamężnej, przez co przechodziło księstwo w obce nawet ręce. Wacław II., koronując się na króla polskiego, zaręczył się z Reiczką, córką króla Przemysława, którą potem poślubił. Skoro uznano, że można dziedziczyć także po kądzieli, przez kobiety, nie mieli książęta mazowieccy praw do tronu bliższych od królewiczów węgierskich, którzy byli synami rodzonej siostry króla Kazimierza, Elżbiety, wydanej za Karola Roberta. Zależało to zupełnie od woli króla, kogo zechce przyjąć na następcę; czy którego z książąt kujawskich, którzy byli po mieczu najbliżsi, czy też blizkiego po kądzieli krewnego, siostrzeńca. Król musiał wybrać siostrzeńca, bo inaczej mógłby się był zerwać sojusz z dynastyą andegaweńską, a nawet zmienić na nieprzyjaźń.

Tem śmielej mógł był król polski przystać na andegaweńskie życzenia, że następstwo Ludwika było rzeczywiście dla Polski bez porównania korzystniejsze, niż gdyby po najdłuższem życiu Kazimierzowem miał wstąpić na tron który z mazowieckich książąt. W obec wielkich dynastycznych potęg Luksemburgów, Habsburgów, Wittelsbachów i Andegawenów, w obec znacznej przewagi potężnego Zakonu, trzeba było Polsce władcy, któryby swą siłą i znaczeniem był tamtym równy. Już wykazało doświadczenie, że Polska może się od nich obronić tylko przez sojusz z Węgrami, sama będąc do tego jeszcze za słabą. Potrzebowała też Polska władcy wykształconego należycie politycznie, któryby umiał sobie radzić wśród zmieniających się zupełnie stosunków politycznych w Europie. Drobni kujawscy i mazowieccy książęta nie mieli nawet pojęcia o tem, jak wygląda europejska wielka polityka i czego potrzeba, żeby Polsce zapewnić poważne stanowisko wśród nowych potężnych państw dynastycznych. Całą ich polityką było, żeby sąsiadowi - krewniakowi urwać jaki gród; szerszego świata nigdy nie widzieli, siedząc w swym zakątku, jakby deskami zabitym od wielkich spraw europejskich. Król Władysław Niezłomny zawdzięczał swe wyniesienie temu, że w Rzy-

mie przyjrzał się bliżej zawikłaniom europejskich interesów politycznych, wzajemnym ich związkom i przeciwieństwom; z Rzymu przywiózł sobie sojusz andegaweński, zrozumiawszy, że to się łączy z interesem polskim najlepiej. W polityce stał Kazimierz jeszcze znacznie wyżej od swego ojca. Znaczną część swej młodości spędził na dworze węgierskim, przybywał tam dłużej, nawet będąc już żonatym. Z siostrą Elżbietą łączyły go zawsze jak najserdeczniejsze stosunki. Starszy od niego Karol Robert, dziewierz, był niejako nauczycielem młodego Kazimierza. Węgry nie stały w cywilizacyi bynajmniej wyżej od Polski, ale o ileż wyżej stała dynastya andegaweńska od piastowskiej! Dwór węgierski łączył w sobie kulturę francuską z włoską, skupiał w sobie, co tylko było najwykwintniejszego w ówczesnej cywilizacyi. Sam król obeznany był doskonale ze światem; wszak był neapolitańskim królewiczem za młodu, miał krewnych na francuskim tronie, a cieszył się szczególniejszą opieką Stolicy apostolskiej, pozostając z Rzymem ciągle w stosunkach jak najbliższych. Zasobny skarb dynastyczny pozwalał na utrzymywanie najświetniejszego w Europie dworu. Wyszehradzki zamek miał 350 komnat, podczas gdy krakowski dopiero za Łokietka zamieniał się na skromną rezydencyę monarszą, a mazowieckie i kujawskie książęce dwory mieściły się jeszcze w drewnianych dworkach! W Wyszehradzie więcej było klejnotów, niż w Krakowie szat, a w Czersku oręża. Andegaweńczyk na polskim tronie miał prowadzić wielką europejską politykę, a potęgą swą zapewnić państwu nietylko bezpieczeństwo od wrogów, ale taką siłę, żeby się można było zaczepnie zwrócić przeciw Krzyżakom i odebrać Pomorze. Jakżeż mógłby się z takim władcą równać który z mazowieckich książątek? Król Kazimierz nie miał się nawet czego namyślać.

Społeczeństwo zaś samo było na tyle politycznie dojrzałe żeby to wszystko zrozumieć. Wśród możnowładztwa nie ozwał się ani jeden głos za zachowaniem dziedzictwa Piastom; chodziło tylko o ułożenie jak najkorzystniejszych warunków węgierskiego następstwa. O te warunki umawiał się już nie sam tylko król, ale na równi z nim wielmożowie polscy. Nie nowiną im było powoływać na tron książąt według własnej woli. Krakowski tron wielkoksiążęcy bywał już z końcem XII. w. elekcyjnym, tj., że wstępujący nań książęta opierali się nie na prawie dziedzictwa,

lecz na wyborze możnowładztwa. Wśród walk o tron krakowski zmieniała się osoba Wielkiego księcia najczęściej w latach 1177 do 1202, bo siedm razy; otóż pięć tych zmian dokonało się przez elekcyę, przez powołanie na tron. W ciągu XIII. w. było kilkanaście podobnych wypadków w różnych dzielnicach. Od Leszka Czarnego począwszy, zawsze już rozporządzała tronem sama ludność; czasem polska szlachta, a czasem niemieckie mieszczaństwo. Władysław panował z ramienia szlachty i włościaństwa, właścicieli ziemi i dzierżawców, z ramienia ludności rolniczej w przeciwstawieniu do stanu miejskiego, z ramienia ludności polskiej przeciw niemieckim osadnikom. I teraz nie miałby zgoła znaczenia układ o następstwo tronu, gdyby go nie zawarli wraz z królem przedstawiciele ludności, a mianowicie możnowładcy. Mając powołać na polski tron obcego, zastrzegali sobie przedewszystkiem, żeby nie sprawował rządów tak, jak niegdyś król Wacław, żeby obcy król nie przynosił z sobą jarzma obcego panowania. Ludwik musiał się zobowiązać, że nie będzie nadawać urzędów i godności w Polsce cudzoziemcom, że będzie rządzić tylko według praw w Polsce obowiązujących i nie będzie nakładać na ludność żadnych nowych podatków. Obok tego zobowiązywał się odzyskać na Krzyżakach zabrane przez nich ziemie. Gdy się o te warunki ułożono, nastąpił ponowny zjazd w Wyszehradzie w r. 1339, na którym uznano królewicza węgierskiego następcą polskiego tronu. Dokument wydany na to ma datę dnia 7 sierpnia 1339 roku.

Dziesięć tygodni przedtem owdowiał król polski. Królowa Aldona Anna, córka litewskiego władcy Gedymina, pozostawiła mu dwie córki: Elżbietę i Kunegundę. Syna król nie miał, wobec czego układ z dynastyą andegaweńską zyskiwał większe znaczenie.

SPRAWY RUSKIE.

Nadarzała się sposobność odzyskania Grodów Czerwieńskich, czyli Rusi Czerwonej. Węgierska korona miała do tego kraju też swoje uroszczenia, gdyż jeszcze nie dawno panowali w Haliczu młodsi królewiczowie węgierscy, a królowie węgierscy używali stale tytułu królów Halicza, czyli z łacińska: Galicyi. Sprawa ruska wpłynęła niezawodnie na układy wyszehradzkie. Trudno było ma-

rzyć o zajęciu Rusi Czerwonej przeciw Węgrom i narażać się na wojnę z andegaweńską dynastyą.

Następcy Daniela halickiego nie używali królewskiego tytułu i pozostawali w tatarskiem poddaństwie, podobnie, jak wszyscy inni ruscy książęta. W niewoli tej nieszczęśliwa Ruś nietylko nie postępowała w swym rozwoju dziejowym, ale cofała się wstecz. Na nowej Rusi zwłaszcza, w Suzdalszczyznie, zwanej też Rusią Zaleską, coraz gorzej się działo. Uciskaniem poddanych, haraczami, starali się książęta tamtejsi pozyskać łaskę hanów tatarskich, a o godność wielkoksiążęcą toczyli między sobą spory. Przeciwko Suzdalowi wystąpił Włodzimierz, a przeciw Włodzimierzowi Moskwa, nie wiele dotychczas znaczące księstwo. Jerzy Daniłowicz moskiewski ożenił się z poganką, siostrą hana Uzbeka i przez nią otrzymał od Tatarów jarłyk, t. j. kaftan honorowy i wielkoksiążęcą godność. Od r. 1328 Moskwa już stale była stolicą Rusi Zaleskiej, a przeniósł się tam także metropolita schyzmatycki, mieszkający dotychczas we Włodzimierzu nad Klazmą. Wszyscy ci książęta odznaczali się uciskiem poddanych. Dobrodziejstwem dla Rusi było, że Litwa zaczęła czynić zabory na ruskich ziemiach; zależność od litewskich książąt była o wiele lepszą od panowania własnych książąt pod tatarskiem zwierzchnictwem. Zrzucić to ciężkie jarzmo próbowali książęta Rusi Czerwonej, ale bezskutecznie, gdyż zabrakło im wytrwałości, a związek ich z Polską nie był szczery. Prawnukowie Daniela, Andrzej włodzimierski i Lew II. halicki, próbowali znowu walki z Tatarami, ale na własną rękę. Obaj polegli w r. 1324; własnej krwi nie skąpili dla dobra Rusi i za to należy się im zaszczytna pamięć w historyi; ale ofiara ta na nic się nie zdała i zdać się nie mogła. Walkę z Tatarami należało podjąć wspólnie z Rusią Zaleską, z Litwą, Polską i Węgrami; bez tych sojuszów nie było nadziei powodzenia. Została po poległych książętach siostra Marya, zamężna za Piastowiczem, księciem mazowieckiem Trojdenem, książęciem Czerska i Sochaczewa, jednym z licznych praprawnuków Kazimierza Sprawiedliwego. Bojarowie haliccy powołali na tron jej syna, Bolesława, a ten objąwszy panowanie przeszedł na schyzmę i zmienił nawet imię, nazywając się odtąd Jerzym. Nowy książę pragnął porozumienia z Polską i z Litwą; w szóstym roku swych rządów ożenił się z Eufemią, ochrzczoną

córką Gedymina, która przyjęła chrzest nie w cerkwi wschodniej jednak, lecz w Płocku, w katolickim kościele. Sam książę zaczął niespodzianie okazywać niewczesną gorliwość w krzewieniu łacińskiego kościoła na Rusi za pomocą gwałtów i okazywania wzgardy wschodniemu obrządkowi. Sprawy te nie są jeszcze bliżej zbadane i nie wiemy, kto wystąpił w obronie schyzmy; czy sami bojarzy z własnej ochoty i z własnego przekonania, czy też tatarscy baskakowie, którzy wiedzieli, że zbliżenie się Rusi do katolickiego Zachodu musi się skończyć zrzuceniem ich zwierzchności. Znamy tylko groźny koniec książęcej pary. Dnia 7 kwietnia 1340 r. umarł Bolesław Jerzy otruty przez spiskowych bojarów w Włodzimierzu; Eufemię zaś wrzucili pod lód do Wisły pod Zawichostem w niespełna dwa lata później (5 lutego 1342).

Jeszcze na drugim zjeździe wyszehradzkim 1339 r. porozumiał się Kazimierz Wielki z Karolem Robertem w tej sprawie ruskiej. Bolesław Trojdenowicz pragnął sojuszu z Węgrami i Polską; postanowiono też pomagać mu wspólnemi siłami przeciw buntowi bojarów, a gdyby jego panowanie utrzymać się nie dało, podjąć walkę z Tatarami i zdobyć Ruś Czerwoną dla tego przyszłego państwa polsko-węgierskiego, którem miał władać Ludwik andegaweński. Bolesławowi nie było już danem skorzystać z tego sojuszu.

ZAJĘCIE RUSI CZERWONEJ.

W kilka tygodni po śmierci Bolesława Trojdenowicza był już Kazimierz W. pod Lwowem i zabrał wielkie skarby tamtejszego grodu, żeby się nie dostały w ręce tatarskich baskaków. W czerwcu 1340 stanął pod Lwowem powtórnie, tym razem na czele licznego wojska, ale tylko polskiego, bez posiłków węgierskich. Nadzwyczajny pospiech króla tłómaczy się tem, że należało przewidywać, że han Uzbek wystąpi ze swemi prawami zwierzchniczemi, których król polski nie zamierzał oczywiście uznać. Uzbek wyruszył na czele Hordy i pustosząc wszystko po drodze dotarł aż do brzegów Wisły, a z tym najazdem tatarskim połączyła się część bojarów, nie życzących sobie polskiego panowania. Nad Wisłą przeciął król Tatarom drogę i nie dał im przeprawić się na lewy brzeg rzeki. Uzbek rzucił się ku północy, pod Lublin, którego jednak nie zdołał zdobyć. W dwóch następnych latach, 1341 i 1342 powtórzyły się jeszcze te najazdy, nietylko na Polskę, ale też na

Węgry. Zdołano jednak odeprzeć dzicz mongolską, a Ruś od ich jarzma uwolniona przeszła pod rządy węgiersko-polskie. Z ramienia obydwóch królów został starostą ruskim Detko, bojar czerwonoruski.

Wyprawa ruska Kazimierza Wielkiego nie była zaborczym najazdem, lecz największem dla Rusi dobrodziejstwem, bo uwolnieniem jej z mongolskiej niewoli, a przywróceniem tego kraju Europie, odzyskaniem go dla cywilizacyi. Nie zamierzał też nowy władca krzywdzić w niczem Rusinów, osiadłych już tak dawno na tej ziemi, polskiej pierwotnie. Za pierwszym we Lwowie pobytem przyrzekł zachować ich wiarę i prawa i przyrzeczenia tego dotrzymał jak najrzetelniej w ciągu całego swego panowania. Według ówczesnych wyobrażeń powinienby był król katolicki użyć swej władzy do prześladowania schyzmy. Kazimierz Wielki nie chciał nawracać mieczem, pozostawił to prawdziwemu apostolstwu, pokojowemu działaniu duchowieństwa i cywilizacyi zachodniej. Popierał misyonarską pracę Dominikanów i Franciszkanów, założył też w r. 1350 łaciński kościół, dzisiejszy archikatedralny we Lwowie, ale starał się i o założenie schyzmatyckiej metropolii w Haliczu, żeby i schyzmatycy mieli należytą organizacyę kościelną. Papież Benedykt XI. oświadczył, że przysięga złożona przez króla na swobodę greckiej wiary jest nieważna, bo niedozwolona i kazał krakowskiemu biskupowi nałożyć za to na króla pokutę kościelną. Zniósł to król spokojnie, ale za wiarę nikogo nie prześladował, pozostawiając tę rzecz sumieniu każdego.

Po odszczepieństwie patryarchy konstantynopolskiego Focyusza nie przestał istnieć katolicki patryarchat konstantynopolski; na miejsce schyzmatyckiego mianował papież nowego patryarchę. Jestto bowiem zasadą Kościoła, że biskupstwo jakiekolwiek, raz utworzone, zawsze się już obsadza; chociażby nawet biskup nie mógł zamieszkać w swej dyecezyi, chociażby musiał poprzestać na samym tylko tytule, zawsze się nowego mianuje. Mianował też papież ciągle łacińskich patryarchów dla Kostantynopola; byli oni duchownymi zwierzchnikami tych, którzy przebywając w krajach schyzmą dotkniętych, pozostawali mimo to w jedności z Rzymem. Byli też mianowani łacińscy arcybiskupi halicko-lwowscy, ale nie wiemy o nich nic bliższego, nie wiemy nawet, czy mieszkali w swej archidyecezyi. Byli to zapewne zakonnicy, misyonarze na Rusi Czerwonej. Była już o tem mowa, jak sprawa ruskich misyj wiązała

się z biskupstwem lubuskiem. Biskupi ci twierdzili, że cała Ruś należy do ich dyecezyi, ale sprawa była sporna. Polskiemu rządowi zależało na tem, żeby powstała nowa dyecezya, choćby tylko dlatego, żeby ulżyć ciężaru krakowskiej. Była teraz sposobność wynagrodzenia sobie niedoszłego biskupstwa łukowskiego. I opinia Rzymu nie przyznawała już wyłącznych praw dyecezalnych biskupom lubuskim. W r. 1358 mianował łaciński patryarcha konstantynopolski, Wilhelm II. Pusterlius, Dominikanina Piotra biskupem włodzimierskim; czy biskup ten objął jednak swą dyecezyę, to wątpliwe. Sam król polski starał się o rzeczywiste obsadzenie arcybiskupstwa lwowskiego; kościół we Lwowie wystawił, ale biskupa przy nim nie było! Wlokły się długo układy w tej sprawie, ale napróżno. W roku 1363 zapytywał papież Grzegorz XI. arcybiskupa gnieźnieńskiego, czy Lwów znacznem jest miastem, czy ziemia czerwonoruska dość obszerna, żeby stanowić osobne arcybiskupstwo? Król napróżno zaręczał, że podległa jego berłu Ruś jest dość obszerną na siedm biskupstw, nie doczekał się utworzenia nowej prowincyi Kościoła katolickiego. Dopiero za następnego panowania przywiedziono tę rzecz do skutku.

Również natrafiał na wielkie trudności plan utworzenia schyzmatyckiej metropolii w Haliczu. Cała Ruś należała z dawnego prawa do metropolii kijowskiej; metropolici ci przenieśli się już do Włodzimierza nad Klaźmą, a stamtąd do Moskwy, co zatwierdził synod patryarszy właśnie za czasów Kazimierza Wielkiego, w roku 1354. Panujący nad tylą Rusi Wielki Książę litewski Gedymin nie życzył sobie, żeby jego poddani podlegali wpływowi metropolity tytułującego się kijowskim, ale rezydującego u książąt moskiewskich i będącego politycznem narzędziem w ich ręku. Postarał się też o osobnego metropolitę dla swoich Rusinów i chciał, żeby i Ruś Czerwona należała do tej metropolii litewsko-ruskiej. Tego jednak nie chciał Kazimierz Wielki, zwłaszcza, gdy przyjaźń litewska zerwała się i zamieniła na wojnę o Wołyń. (Potem, w r. 1349, najechali Litwini nawet samą Ruś Czerwoną). Patryarcha schyzmatycki nie chciał się narażać ani w Wilnie, ani w Moskwie, ustanawianiem osobnego metropolity halickiego. Król wziął się w końcu na sposób. W tajemnicy przed papieżem wyprawił do Konstantynopola upatrzonego przez siebie kandydata na metropolitę, Antoniosa, z listem, w którym domaga się sta-

nowczo, żeby go wyświęcić; w przeciwnym razie groził, że każe dzieci chrzcić w obrządku łacińskim, bo jakiś porządek być musi. Ta groźba poskutkowała; Antonios został zatwierdzony i objął rzeczywiście metropolię. Nim dojechał z powrotem, nie żył już król Kazimierz; Antonios był jednak w Haliczu jeszcze r. 1375.

Niektórzy ruscy pisarze twierdzą, że polskie rządy prześladowały od początku ich wyznanie. Otóż za Kazimierza Wielkiego nietylko niema ani śladu prześladowania, lecz przeciwnie, królowi polskiemu zawdzięczali schyzmatycy należytą organizacyę swego kościoła. Łacińskich zaś biskupstw całkiem na Rusi Czerwonej za tego króla nie było. W Przemyślu, Włodzimierzu i Chełmie były tylko katolickie łacińskie parafie.

STOSUNKI EKONOMICZNE.

Odzyskanie Rusi Czerwonej było dla Polski niezmiernie ważne ze względu na dobrobyt publiczny. W państwie ścieśnionem ze wszystkich stron nie mógł rozwinąć się należycie żaden sposób zarobkowania. Rolnictwo zyskało już zupełną przewagę wśród zajęć gospodarskich, obsiewano coraz więcej ziemi, a chleb przestawał już być zbytkownem pożywieniem, stając się powszednim pokarmem całej ludności. Gospodarstwo pastewne traciło na znaczeniu; niegdyś główne, stawało się zwolna ubocznem. Rybołostwo, myślistwo, bobrownictwo i pasiecznictwo schodziły na stanowisko podrzędne. Dokonywał się przewrót gospodarski na korzyść rolników, siejących ziarno. Zboża musiało być poddostatkiem na wyżywienie ludności. Wszystkich innych rodzajów pożywienia było w kraju stosunkowo coraz mniej, podczas gdy zboża mogło być coraz więcej. Niegdyś obfitujący w zwierzynę bór żywił całe opole. Coraz gęściejsze osady ludzkie umniejszały zwierzynie siedlisk; płoszona cofała się w głąb puszcz, w Małopolsce coraz dalej na południe, w góry. Niegdyś można było w Krakowskiem urządzić polowanie gdziekolwiek. Za Kazimierza Wielkiego nie było już pod Krakowem tak wiele zwierzyny. Król, wielki łowów miłośnik, musiał sobie na stokach wzgórz Sikornikiem zwanych założyć sztuczny zwierzyniec, żeby mógł znaleść każdej chwili rozrywkę. Żeby zaś mieć gdzie niedaleko odprawiać większe polowania, zachował wyłącznie dla siebie lasy nieco niżej nad Wisłą, i jedyna ta już w całej nizinnej Małopolsce puszcza, niepołomską

zwana, ocalała tylko dzięki temu, że królewską pozostała własnością, niedostępna osadnictwu. W porównaniu z naszymi czasami było zapewne lasu jeszcze sporo, ale było go mało w porównaniu z czasami Krzywoustego, kiedy to od jednej osady do drugiej bywało dwie i trzy mile, bory miały po kilkanaście mil kwadratowych, a zwierz mnożył się bez przeszkód i powiedzieć można, że był głównym mieszkańcem kraju, zaś ludzkie osady wyjątkami tylko niejako wśród nieprzejrzanych borów; wówczas dziesiąta część tej zwierzyny starczyła na mięsne pożywienie całej okolicy. Łowców przybywało, a zwierza ubywało, bo się przed ludźmi cofał w góry. Podobnież ubywało ryb, które stanowiły wszędzie artykuł ważny, a w Wielkopolsce były najważniejszym. Za panowania Kazimierza Wielkiego mieliśmy już ryb mniej, niż ich było potrzeba dla ludności. Już z obcych krajów przywożono do nas suszoną rybę! Bobry, gnieżdżące się nad rzekami, były wielkiem bogactwem kraju; już je przetrzebiono nieoględnem polowaniem, już one były nie tak pospolite, a w niejednej okolicy całkiem ich już nie było! Ubywało też pszczół i barci leśnych, skoro ubywało lasów. Coraz mniej było najważniejszych i głównych do niedawna jeszcze środków pożywienia. Coraz mniej było futer, bobrowego sadła, piżma, miodu i wosku, głównych artykułów polskiego handlu. Podwójnie więc ubywało dobrobytu: i mniej żywności w kraju i mniej zarobku handlowego. A wszystkie te bogactwa przyrody nie dały się rozmnożyć w sposób sztuczny. Nie znano jeszcze ula na pszczoły, nie znano sadzawek i hodowli ryb pod opieką człowieka, nie mówiąc już o sztucznem zarybianiu rzek, wynalezionem dopiero w XIX. wieku; na zapobieżenie wytrzebieniu zwierzyny nie posiadamy do dziś dnia innego środka, jak ograniczenie polowań. Te bogactwa przyrody, raz utracone, przepadły dla tamtych pokoleń. Miała Polska bogactwa inne, ale jeszcze ich nie poznano, jeszcze nie umiano ich wyzyskiwać. Wszak nasze skarby górnicze dziś jeszcze ani w czwartej części nie są wyzyskane! Wówczas tylko sól wydobywano w Bochni i trochę w Wieliczce, ale w bardzo niewydatny sposób. Dopiero Kazimierz Wielki zorganizował nasze górnictwo salinarne, a w Wieliczce urządził porządne kopalnie.

Ubytek artykułów handlowych musiał sprowadzić upadek handlu. Toteż rzeczywiście handel w Polsce wcale się nie rozwinął w ciągu ostatniego stólecia, od najazdu Mongołów aż do

początków panowania Kazimierza Wielkiego. Rzecz prosta, że najazdy tatarskie zadały mu cios zabójczy, a podźwignięcie się utrudniały czasy dzielnicowe. Ciągłe wojny domowe książęce, brak bezpieczeństwa na drogach, zwłaszcza w Wielkopolsce, odstraszały kupców zagranicznych. Zawiązki rodzimego kupiectwa przepadły. Nowo założone niemieckie miasta wprowadzały do nas sztucznym sposobem gotowy już stan mieszczański. Miejska ta ludność nie żyła jednak wyłącznie ze zajęć mieszczańskich; dopiero dzięki polityce króla Kazimierza zaczęli się bogacić. Za dni Łokietkowych wszystkie te miasta były jeszcze osadami na pół rolniczemi. Nawet krakowscy mieszczanie uprawiali rolę i wypasali bydło, a po mniejszych miastach długo socha i jarzmo były na równi z łokciem i wagą. Futra i wosk nie mogły dostarczyć zarobku całej tej warstwie ludności!

Nie handel, lecz rzemiosła były pierwszą i zasadniczą podwaliną miejskiego dobrobytu. Choć kraj był wyludniony i zubożały, bez rękodzieł obejść się nie mógł, a niemieccy osadnicy nie odbierali przez to zarobku ludności polskiej, lecz tylko wędrownym kupcom zagranicznym, którym nie opłacało się już przyjeżdżać do nas z wyrobami przemysłu zachodnich krajów. Znika też zupełnie z Polski ów „gość“, wędrujący od grodu do grodu, od kościoła do kościoła z furami ładownemi towarem. Z dawnych tych „gości“ zostali tylko żydzi, ale ci przestali się trudnić wędrownym handlem. Życie koczownicze zamienili na osiadłe i jęli się pośrednictwa w sprawach pieniężnych.

Żydów było bardzo mało. Znaczny wzrost tej ludności nastąpił dopiero z końcem następnego stólecia; za Kazimierza Wielkiego ilość ich całkiem nie wchodziła jeszcze w rachubę w stosunku do ogółu ludności miejskiej. Osiedlali się po ważniejszych miastach. W Małopolsce byli tylko w Krakowie i Sandomierzu. We Lwowie byli jeszcze przed nastaniem polskich rządów. Po za temi głównemi miastami wyjątkowo zdarzył się gdzie żyd w mniejszem mieście. Tworzyli gminy osobne. Prawa miejskiego nie posiadali, nie mogli być miast obywatelami, tj. brać udziału w zarządzie miejskim. Władza miejska nie troszczyła się o nich, bo zasadą średniowiecznego prawa było, żeby każdy stan sam o sobie radził, sam sobie pilnował swoich interesów i porządku między swoimi. Tworzyli więc żydzi stan osobny i rządzili się

swojem prawem zwyczajowem, a nikt się nie troszczył, co się tam między nimi dzieje. Nabywać place i domy mogli tylko w oznaczonej połaci miasta; np. w Krakowie dzisiejsza ulica ś-tej Anny była pierwotnie żydowską. Trudnili się pożyczkami, co oczywiście wiodło do licznych procesów. Od tego byli przy każdym wojewodzie osobni sędziowie, zwani przez to sędziami żydowskimi, to znaczy: do spraw z żydami. Pożyczki na słowo lub skrypt nie miały znaczenia wobec prawa; wolno było pozywać tylko o takie pożyczki, które były udzielone na zastaw rzeczy lub posiadłości. Stosunek prawny żydów do krajowej ludności określił urzędowo, na piśmie, dokumentem, najpierw Bolesław Pobożny Wielkopolski w r. 1264. Gdy w XIV. w. Małopolska poczynała mieć coraz większe znaczenie, a zwłaszcza, gdy rozbudził się ruch handlowy po odzyskaniu Rusi Czerwonej, przybyło żydów Krakowowi i wtenczas w r. 1367 kazał król opisać dokumentem ich prawa w Małopolsce. Nie trudnili się ani rzemiosłami, ani handlem. Na pożyczkach bogacili się jedni, a drudzy tracili. Były między nimi zamożne jednostki, ale po większej części żyli w biedzie. Badaniem talmudu zgoła się nie zajmowali, nie wydali z pośród siebie ani jednego „uczonego“. Nie mieli jeszcze na tyle dobrobytu. Gmina żydowska najmowała sobie kogokolwiek obeznanego jako tako z przepisami Zakonu, a ten był dla nich w jednej osobie i rabinem i kantorem i nauczycielem dzieci. Ustanawiano dla niego datki podczas świąt i wesel, nie mając z czego opędzić inaczej kosztów jego utrzymania. Bajką jest, jakoby za Kazimierza Wielkiego żydzi cieszyli się jakąś szczególną opieką, jakoby ich naraz dużo przybyło do nas z zagranicy i jakoby się im szczególniej dobrze u nas dziać miało. Tradycya pomyliła tu dwóch królów Kazimierzów; namnożyło się u nas żydów dopiero za Kazimierza Jagiellończyka, w sto lat później! W XIV. wieku nie zawadzali też nikomu w zarobkach. Przeciwnie, niemieccy mieszczanie pozbawili ich zarobkowania i wyparli ich całkowicie z handlu, podobnie jak wszystkich dawnych „gości“.

Jęli się żydzi trudnić pożyczkami z powodu jednego błędu w pojęciach prawa średniowiecznego, a mianowicie kanonicznego. Kościół surowo zakazywał żądać wynagrodzenia za pożyczkę, nauczając, że dogodzenie komuś powinno wypływać ze samej miłości bliźniego. Wszelki procent, choćby najmniejszy, uważany

był za lichwę i podlegał karom kościelnym, nawet klątwie. Ponieważ jednak handel i przemysł nie może się żadną miarą obejść bez procentowych pożyczek, byli zatem żydzi bardzo pożądani we wszystkich znaczniejszych ogniskach handlowych, bo im wolno było trudnić się lichwą.

Kupczenie wyrobami własnych rękodzielni wewnątrz kraju nie stanowi jeszcze handlu, a płody surowe uszczuplonego przez Luksemburgów i Krzyżaków państwa nie starczyły już do tego, żeby dać handlową należytą podstawę kupieckiemu stanowi.

Dwa tylko były sposoby wydobycia całego kraju z ubóstwa: zorganizowanie wywozu płodów surowych i ujęcie go przez krajowców, tudzież sprowadzenie takich stosunków i okoliczności, w których możnaby wziąć udział w powszechnym wielkim handlu europejskim.

Futra, wosk i sól potrzebne były krajom zachodnim, ale popyt na nie osłabł, bo spowadzanie ich z Polski było utrudnione. Drogi handlowe do Polski wiodące były w ręku wrogów; czy na Ślązk, czy na marchię brandeburską było się zwrócić, wszędzie same tylko nieprzyjazne utrudnienia. Ustalenie pokoju, załagodzenie przeciwieństw politycznych miało dopiero stopniowo otworzyć naszym kupcom te naturalne drogi zbytu. Najważniejszą drogą był bieg Wisły, do morza, do przystani Bałtyku, ta zaś droga była zupełnie zamknięta przez Krzyżaków. Gleba polska okazała się niezmiernie zdatną do rolnictwa, żyzną nad inne kraje; ziarno uprawiane ponad własną potrzebę, na wywóz, znalazłoby od razu kupców zagranicznych, gdyby je tylko można było przewozić tańszemi do transportu wodnemi drogami; ale tak ujście Warty, jakoteż Wisły było w ręku wroga. Pókiby się Pomorza nie odzyskało, nie mógł w żyznej Polsce powstać handel zbożowy, a inne płody surowe nie mogły osięgnąć należytej ceny targowej. Zajęcie Rusi Czerwonej przysparzało bardzo płodów surowych, bo ten kraj w nie obfitował; przybywa też zaraz handlowych zarobków, ale nie było to niczem w porównaniu z tem, coby być mogło, gdyby te płody można było odstawiać do Gdańska. Sprawa odzyskania Pomorza była przeto nietylko polityczną i narodową, ale dotyczyła wprost chleba powszedniego mieszkańców całego państwa, tak wiejskiej ludności, jakoteż miej-

skiej. Póki ujście Wisły w niemieckiem było ręku, zamknięty był dla nas dostęp do handlu morskiego na Bałtyku.

Ograniczeni więc byliśmy na udział w handlu lądowym. Ten aż do połowy XIV. w. drugorzędne tylko miał znaczenie w Europie, gdyż towary wschodnie sprowadzano niemal wyłącznie okrętami, przez morze Śródziemne. Właśnie jednak w XIV. wieku zaczęły się zmieniać te stosunki, a ku połowie XIV. w. handel lądowemi drogami w poprzek całej Europy dostarczał już znacznych zarobków. W tym handlu, zwanym lewantyńskim t. j. wschodnim, mogła Polska wziąć udział dzięki zajęciu Czerwonej Rusi.

Od wieków sprowadzano z Azyi, z Indyi, towary zwane korzennemi, tudzież drogie materye, tkaniny, jedwabie, kobierce. Kupiec europejski nie jeździł po nie do Azyi, ale nabywał je w przystaniach morza Czarnego, przeważnie w Konstantynopolu. Pośrednikami pomiędzy kupcami azyatyckimi, a europejskimi byli Ormianie. Naród to azyatycki, lecz aryjski i chrześcijański; zawsze celował w handlu i do dziś dnia handlem przeważnie się trudni. Oni skupowali w Azyi towary od Persów i Hindusów i zwozili je do Carogrodu, gdzie osobną mieli dzielnicę. W XIII. wieku kupcy włoscy zajęli się bardzo tym handlem carogrodzkim, a Wenecya i Genua, dwie największe wówczas włoskie przystanie, były też głównemi składami wschodnich towarów dla całej Europy. Z końcem XIII., w. powstało w Azyi mniejszej państwo tureckie, które rozszerzało się szybko przez podboje; z początkiem XIV. w. współzawodniczyli już zwycięsko z cesarstwem bizantyńskiem na morzu Egejskiem, oddzielającem Europę od Azyi i na licznych jego wyspach; wkrótce wkroczyli na stały ląd europejski i rozpoczęli podbój cesarstwa bizantyńskiego. W r. 1361 był już stolicą tureckiego państwa Adryanopol, najważniejsze po Konstantynopolu miasto na półwyspie bałkańskim. W tej stronie Europy wrzała wojna bez ustanku, ruch floty napotykał na trudności coraz częstsze i znaczniejsze, niejedno ognisko handlu uległo spustoszeniu. Handel włoski wiele ucierpiał, a droga handlowa lądowa, na północ od Konstantynopola i czarnomorskich przystani, zyskiwała coraz więcej. Całe wybrzeże nad dolnym Dunajem, Dniestrem, Dnieprem aż do ujścia Donu stawało się jedną wielką krainą handlową i sami włoscy kupcy zaczęli się tu przenosić. Stąd Ormianię zaczęli wozić wschodnie towary dalej ku północy

i północnemu wschodowi. Na północy zajął Wielki Nowogród stanowisko takie, jak Wenecya i Genua na południu. Poczęto też szukać nowej drogi handlowej, w głąb do Europy z czarnomorskich przystani. Ormianie zaczęli odbywać dalekie kupieckie podróże i już znaczna część ich towarów dochodziła do środkowej Europy nie okrętami przez Włochy, lecz lądową drogą przez Wołoszczyznę, Siedmiogród i Węgry. Druga droga, jeszcze dalej ku północy wysunięta, wiodła właśnie przez Ruś Czerwoną. Panujący w tych stronach Mongołowie nie przeszkadzali handlowi, poprzestając na pobieraniu pewnych opłat, (których zresztą wymagano wszędzie), ale kraj licho urządzony i sam nie posiadający stanu kupieckiego nie nęcił ich znaczniejszą korzyścią. Wysunięty daleko na wschód Lwów nadawał się doskonale na ważną stacyę handlową. Za Bolesława Trejdonowicza, a może nawet wcześniej, byli tam już kupcy ormiańscy, ale nieliczni, bo droga ta miała jeszcze podrzędne znaczenie.

Zmieniło się wszystko od razu na lepsze, gdy Lwów przeszedł pod polskie panowanie. Kupcy z Krakowa i Lublina zaczęli dojeżdżać do Lwowa, odkąd ten gród do tego samego należał państwa, odkąd rząd polski postarał się i o bezpieczeństwo dróg i o prawną opiekę na tym handlem. Lwów szybko wyrasta na wielkie miasto kupieckie. Ormian osiedla się tam tylu, że mieli osobną dzielnicę dla siebie. Zwiększone zyski ściągają ich w krótkim czasie tylu do czerwieńskich grodów, że we Lwowie trzeba było urządzić dla nich arcybiskupstwo. Skoro tylko na czerwonoruskim szlaku handlowym zapanował porządek, zaraz pozyskał on pierwszorzędne w Europie znaczenie, a kupiectwo niemieckie zwróciło się ku niemu i nawiązało z nim stosunki. Wielki handlowy związek niemieckich miast, zwany Hanzą, zapraszał polskie miasta do udziału i łączności, bo Polska była teraz ogniwem w handlu ze Wschodem. Ormiański kupiec dojeżdżał do Lwowa i tu spotykał się z krakowskim; ten odstępował towar wrocławskiemu i stamtąd szedł towar dalej do Frankfurtu, Erfurtu, Augsburga i innych miast niemieckich. Hanza dotarła do zyskownego wschodniego handlu tylko przez pośrednictwo Polski. Pośrednictwa tego nie można było wyminąć i w tem miał kupiec polski zapewniony zysk, póki się znowu potem nie zmieniły drogi handlowe.

Ruś pod tatarskiem jarzmem nie rozwijała się i stała pod

każdym względem znacznie niżej od Polski. Wschodnie krainy mogły służyć za pole zbytu wyrobom rękodzielniczym naszych miast. Toteż nie było ważniejszej sprawy dla mieszczaństwa, jak rozszerzenie państwowych granic ku wschodowi, na Ruś i na Litwę. Hanza dowoziła tam mnóstwo towarów przez morze Bałtyckie, do Rygi, skąd Dźwiną w górę i Dnieprem rozchodziły się daleko po Rusi. Teraz otworzyła się temu handlowi nowa droga: przez Wrocław i Kraków, albo przez Poznań i Lublin do Lwowa, a stąd do innych ziem ruskich. I na tem miał polski kupiec zysk zapewniony, pośrednicząc w sprzedaży i dowozie zachodnich wyrobów. Rękodzieła zakwitnęły nagle, bo wiedziano, że można robić śmiało na wywóz, a wszystko niezawodnie się sprzeda. Tyle roboty przybywało warstatom rzemieślników, a zarobek był tak wydatny, że nawet włościanin polski, potomek narocznika i coś z tradycyi rodzinnej umiejący rzemiosła, rzucał rolę i osiadał w mieście, nie pytając nawet, czy mu dadzą miejskie prawo, pracując na cudzy rachunek, ale mając zarobek dobry i pewny. Z zajęciem Rusi Czerwonej tak wzmógł się popyt na wyroby, że krajowe siły długo jeszcze nie mogły temu nastarczyć i przez dwa pokolenia jeszcze szły przez Polskę na wschód wyroby rękodzielnicze z Niemiec. Niegdyś była wielka emigracya włościan niemieckich nad Wartę i Wisłę; teraz to ustało a nastał napływ rzemieślników.

Rodowici Polacy byli jeszcze prawie wyłącznie rolnikami. Dla nich płynęły z tego wszystkiego zyski pośrednie. Odkąd zakwitnęły handel i rzemiosła, nie dbał mieszczanin o rolnictwo, ubywało więc rolników. To jednak było rzeczą podrzędną. Ale coraz ludniejsze miasta spożywały coraz więcej płodów wiejskich, kraj potrzebował coraz więcej zboża i wszelkich wytworów wiejskiego gospodarstwa. Na pustkach powstawały ciągle nowe i nowe miasta, a wszystkim dobrze się działo; każde zaś miasto dostarczało zarobków wiejskiej ludności całej okolicy. Dla rolników przedsiębiorczych otwierało się zaś nowe pole na Rusi Czerwonej. Oto tam duża a bardzo żyzna kraina, leżąca przeszło od wieku po większej części odłogiem i nieużytkiem, dopraszała się uprawy. Kto w dawnej Polsce nie miał ziemi, komu się źle powodziło, mógł w nowej ziemi próbować szczęścia. Posypały się nadania królewskie, zjawili się przedsiębiorcy emigracyjni i już nie niemieccy, ale swoi, polscy. Niejeden szlachcic został takim przed-

siębiorcą, a niejeden włościanin został na Rusi szlachcicem. Że zaś ze wszystkich polskich ludów najbardziej przedsiębiorczy i najraźniejsi do dzieła są Mazurzy, oni też najbardziej to wyzyskali. Zaczęła się emigracya mazurska na wschód i miała trwać całych dwieście lat!

Następne wypadki dziejowe otwarły ten Wschód Polakom na oścież. Zajęcie Rusi Czerwonej stanowiło dopiero mały początek wielkiego przewrotu historycznego. Nie wyzyskaliśmy należycie tych pomyślności, bo nas było za mało. Za Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego było nas za mało, żeby nie zaniedbać roli, a chwycić się zajęć miejskich. Za Łokietka byliśmy zbyt nieliczni, żeby bez zaniedbania gospodarstwa wytworzyć z pośród siebie silny osobny stan wojskowy. Za Kazimierza Wielkiego nie starczyło nas liczbą na tylu, żeby odsunąć współzawodnictwo niemieckiego towaru. Nieliczni we własnym kraju, zaczęliśmy się jednak wkrótce przesiedlać na wschód. Od Kazimierza Wielkiego czasów mieliśmy ziemi poddostatkiem, a potem przybyło nam jej tyle, żeśmy wszyscy w spokoju pozostali rolnikami. Ale to sprawa późniejsza; tu się tylko zaznacza, że w r. 1340, jej początek.

Miał więc rolnik polski zysków dużo z wyrwania Czerwonej Rusi Tatarom, ale złote czasy nastały nie dla niego, lecz dla mieszczanina. Rolnik Ruś sobie cenił, ale żeby i dla niego nastały złote czasy, do tego potrzebował Pomorza! To zaś nie dało się odzyskać, póki skarb państwa nie był pełny, pókiby się Polska nie wzbogaciła. Do dobrobytu ludności, do napełnienia skarbu królewskiego wiodło przyłączenie Rusi do polskiego państwa. I tak powiedzieć można, że przez Ruś wiodła droga na Pomorze, na to upragnione Pomorze!

POKÓJ KALISKI.

Polubowny wyrok królów czeskiego i węgierskiego, wydany w Wyszehradzie w 1335, przyznawał Polsce prawną własność Pomorza, ale orzekał, że się tę prowincyę odstąpić ma Krzyżakom, jako wieczystą jałmużnę. Król oświadczył wtenczas, że przedstawi tę rzecz panom polskim do zatwierdzenia. Ale dostojnicy królewscy, wojewodowie, kasztelanowie, starostowie, nie chcieli żadną miarą na to przystać. Przedstawił król sprawę miastom; te, choć niemieckie, ani słyszeć o tem nie chciały, bo i dla nich wolny dostęp

do morza Bałtyckiego był sprawą pierwszorzędnej wagi. Wszystkie te narady były tylko formalnością. Panowie i miasta pomagali królowi zyskać na czasie, bo miano jeszcze nadzieję, że się wymusi jako lepsze warunki; próbowano więc tego do ostatka i zwlekano z wydaniem dokumentu na darowiznę Pomorza. Udał się też król pod opiekę Stolicy apostolskiej za pośrednictwem Galharda z Szartr (Chartres), legata papieskiego, bawiącego właśnie w Polsce i znającego całą sprawę dokładnie. Wszak stolica apostolska wydała już raz wyrok w sporze z Krzyżakami, w r. 1321, nakazawszy wówczas zwrot Pomorza. Wyszehradzki wyrok sprzeciwiał się orzeczeniu papieskiemu. Król polski zasłonił się więc tem, że nie może samowolnie zmieniać wyroku najwyższej Głowy chrześcijaństwa i wtenczas tylko mógłby zastosować się do wyszehradzkiego wyroku, jeżeli się papież na to zgodzi. Papież mając sobie przedstawiony do zatwierdzenia wyrok tak sprzeczny z wyrokiem swego poprzednika, nie mógł go zatwierdzić. Powinien go był odrzucić, skasować, a skoro tego nie uczynił, lecz inną obrał drogę, należy się w tem domyślać życzenia samego króla Kazimierza, pragnącego, żeby się sprawa przewlekała jak najdłużej, byle tylko nie mieć przez ten czas wojny z Zakonem. Papież nakazał rewizyę całego procesu i wyznaczył swych pełnomocników, tym razem cudzoziemców, dwóch Francuzów: legata Galharda i Piotra Żerwe (Gervais). Złożono komisyę sądową w Warszawie. Proces rozpoczął się 4 tutego 1339. Zaraz pierwszego dnia oświadczyli pełnomocnicy krzyżaccy, że nie uznają tego sądu za właściwy i w razie nieprzychylnego dla nich wyroku użyją jeszcze jednej apelacyi, ostatniej już w prawie kanonicznem, apelacyi do ponownej informacyi papieża, „od papieża źle powiadomionego do mającego być lepiej powiadomionym“.

Na czele pełnomocników polskich stał Jarosław Bogorya, archidyakon Krakowski, jeden z dawnych doradców królewskiego ojca jeszcze, króla Władysława. Akty procesu zachowały się do naszych czasów, przesłuchano świadków duchownych 43 a świeckich 83 (dwunastu z nich odpowiadało po łacinie, bez tłumacza); przesłuchano znowu książąt z Mazowsza, wojewodów, starostów, kasztelanów, podkomorzych, chorążych, sędziów, podsędków, cześników, podczaszych, łowczych, mieczników, sołtysów, notaryuszów, księży, szlachtę, mieszczan i włościan; nie pominięto

żadnego stanu, żadnego stopnia wykształcenia, a zeznania odbierano pod przysięgą. Sprawa była jasna; ziemia od wieków polska była w cudzem ręku, a nie była darowana, a więc... zabrana być musiała! A prawem jakiem? Wojennem? Ależ zabrano ją podczas pokoju, gdy zaborcy przymierze mieli z Łokietkiem!! A zatem zdrada i prosty rozbój. Dnia 25. września 1339 ogłosiła komisya wyrok w warszawskim kościele śgo Jana: Zakon ma zwrócić Polsce ziemie pomorską, chełmińską, michałowską, dobrzyńską i Kujawy i zapłacić królowi polskiemu 194.500 grzywien.

Dwa miesiące przedtem odbył się właśnie ów drugi zjazd wyszehradzki, na którym uznany następcą polskiego tronu Ludwik, węgierski królewicz, zobowiązywał się odzyskać Pomorze.

Apellacya do ponownej informacyi papieskiej miała ten skutek, że papież mianował od siebie nowego pełnomocnika, który miał pośredniczyć do zawarcia stałego pokoju pomiędzy Polską a Zakonem niemieckim. Przystał na to król Kazimierz, a nadto jeszcze użył pośrednictwa luksemburskiego. Wielką to już było wygraną polityczną, że odciągnął tę dynastyę od sojuszu z Zakonem.

Polityka Kazimierza W. sięgała jeszcze dalej, żeby z Luksemburgów zrobić sobie przyjaciół. Zaprzyjaźnił się z młodym Karolem, morawskim margrabią, a przyszłym królem Czech. Karol przyjechał do Krakowa z projektem, żeby owdowiały król ożenił się z jego siostrą, Małgorzatą, wdową po księciu bawarskim. Przystał na to Kazimierz i wybrał się na ślub do Pragi, ale zastał tam narzeczoną chorą; zamiast poprowadzić ją do ołtarza, odprowadził ją do grobu. Wkrótce potem ożenił się król i to także z porady Luksemburgów, a mianowicie w październiku r. 1341 z Adelajdą, córką Henryka II. Żelaznego, landgrafa heskiego. Ślub odbył się w Poznaniu, a następnie w Krakowie koronacya. Na oprawę zapisał król małżonce ziemię sandomierską. Małżeństwo to było bardzo nieszczęśliwe i zupełnie bezdzietne. Andegawenowie mogli się tem pocieszać.

Nie może ulegać wątpliwości, że przez nowe związki małżeńskie osłabiał się sojusz węgierski; tem bardziej też zbliżał się król do luksemburskiej dynastyi, tem bardziej, że spodziewał się dużo od ich pośrednictwa w krzyżackiej sprawie. Margrabia Karol pojechał do Krzyżaków i rozpoczął układy, które się przewlekały z powodu śmierci Wielkiego mistrza i wyboru nowego. Krzyżacy

nie mieli ochoty oddawać niczego a Polska za słaba była, żeby orężem odzyskać cokolwiek.

Niespodzianie zmąciły się stosunki z luksemburską dynastyą, a to o sprawy ślązkie. Jak tylko zerwała się ta przyjaźń, zaraz Zakon zaczął się stawiać i Kazimierz obawiał się, że nastąpi wojna. Na początku r. 1343 spodziewano się krzyżackiego najazdu. Król Kazimierz zawarł wtenczas sojusz z książętami Pomorza tylnego, nadodrzańskiego, wydając równocześnie za jednego z nich, Bogusława X., córkę swą, Elżbietę. Książęta pomorscy przyrzekali, że nie przepuszczą przez swój kraj żadnych posiłków Zakonowi, a sami w razie wojny dostarczą Polsce 400 rycerzy na pomoc. Ale Kazimierz bezwarunkowo wojny sobie nie życzył i nie przewlekając już dłużej sprawy, przystał na wyszehradzkie warunki. Zgodził się też i Zakon wycofać się z Kujaw i z ziemi dobrzyńskiej.

Zawarto pokój w Kaliszu dnia 23 lipca 1343 r. na warunkach nieco odmiennych od wyszehradzkich rokowań. Krzyżacy opuszczali Kujawy i Dobrzyńskie, a dostawali ziemię michałowską i chełmińską na wieczystą „jałmużnę“, Pomorze zaś jako lenno polskiej korony, za roczną daniną i ze zwykłym obowiązkiem lenników dostarczania posiłków. Ten obowiązek ograniczono jednak tylko do wypraw przeciw niewiernym, a więc przeciw pogańskiej Litwie i schyzmatyckiej Rusi. Krzyżacy żądali, żeby układ ten zatwierdzili wszyscy książęta mazowieccy i kujawscy, zięć królewski Bogusław X. i Ludwik węgierski. Ale Ludwik, polskiego tronu następca, dokumentu na to nie wydał.

SPRAWY ŚLĄZKIE.

Przyjazne stosunki z Luksemburczykami zerwały się z powodu spraw ślązkich. Kazimierz Wielki miał na nie zawsze zwróconą baczną uwagę, a przedewszystkiem starał się o to, żeby przynajmniej kościelną jedność Ślązka z Polską zachować. Zajmował się pilnie sprawami biskupstwa wrocławskiego.

Do biskupiego księstwa wrocławskiego należał też zamek i gród obronny Mielicza, położony na samej granicy państwa polskiego i przez to ważny pod względem wojskowym. Król Jan czeski chciał go odkupić od biskupa Nankiera, który przedtem był biskupem w Krakowie, po Muskacie. Biskup nie miał do tego ochoty i nie miał też prawa pozbywać dóbr kościelnych;

do tego trzeba było wyraźnego pozwolenia papieskiego. Kazimierz Wielki wystarał się przez bawiącego właśnie w Polsce legata Galharda z Szartr, który i na Ślązku bawił (ten sam, który zajął się procesem z Krzyżakami), żeby papież sprzedaży zakazał. Ale wrocławskie niemieckie mieszczaństwo uzbroiło własnym kosztem hufiec zbrojny, zmuszone do tego niespodzianego podatku przez króla Jana, który zjechał sam w tym celu do Wrocławia. Miliczę zagrabiono; na króla spadła klątwa, na Wrocław interdykt, tj. zakaz odprawiania publicznie nabożeństw. Biskup Nankier umarł w r. 1341, a król Jan ociemniawszy zupełnie, odstąpił w następnym roku rządów Czech i Ślązka synowi Karolowi. Papież Benedykt XIII. zastrzegł był sobie, że następcę Nankiera sam wyznaczy; i w tem były może starania Kazimierza, żeby nie dopuścić do katedry wrocławskiej jakiego nieprzyjaciela polskości. Benedykt XIII. umarł jednak właśnie, a następcą jego został dawny nauczyciel Karola, pod imieniem Klemensa VI. Karol kazał prędko wybrać kapitule kanonika Przecława z Pogarla, zupełnie zniemczonego, który zasiadał długo na biskupiej stolicy, od r. 1342 do r. 1376, a upamiętnił się nabyciem dla biskupstwa Grotkowa w ziemi opolskiej i wielkich dóbr na granicy morawskiej. Od jego czasów biskupstwo wrocławskie zaczęto nazywać „złotem“ z powodu nadzwyczajnych bogactw.

Karolowi zależało wielce na tem, żeby mieć biskupem wrocławskim swego zwolennika, bo rozpoczął starania o oderwanie tej dyecezyi od metropolii gnieźnieńskiej. Chciał połączyć Ślązk i pod kościelnym względem z Czechami. Czechy nie stanowiły dotychczas jeszcze osobnej prowincyi kościelnej, należąc pod arcybiskupstwo mogunckie. Za staraniem jednak Karola wyniósł papież Klemens VI. biskupa praskiego do godności arcybiskupiej. T e r a z d o p i e r o przestały Czechy być zależne od Niemiec w sprawach kościelnych. Do nowej tej metropolii miał być włączony Ślązk. Król Kazimierz tak się temu opierał, że postanowił choćby wojną zmusić Karola do porzucenia tej myśli. Przyspieszył ugodę z Zakonem, żeby mieć wolne ręce względem Czech i zaraz po traktacie kaliskim rozpoczął wojnę z dynastyą luksemburską. Ruszył tego samego jeszcze roku 1343 na Ślązk i zdobył Wschowę i Cieniawę, której gród spalił.

Luksemburczycy byli właśnie w wojnie z cesarzem Ludwi-

kiem bawarskim. Kazimierz zawarł z nim sojusz; latem 1345 r. wydał drugą swą córkę, Kunegundę, za cesarzewicza Ludwika (z przydomkiem Rzymskiego), który był brandeburskim margrabią i księciem bawarskim. Do sojuszu tego przystąpił też Ludwik węgierski i za usilnemi staraniami króla polskiego dwaj ślązcy książęta, którzy nie złożyli hołdu czeskiej koronie: Henryk jaworzyński i Bolko świdnicki. Z ich posiłkami wyruszył Kazimierz na Ślązk górny, do księstw raciborskiego i opawskiego. Królewicz Karol bawił daleko na północy, biorąc udział w wyprawie krzyżackiej na Litwę; powracającego przez Polskę pojmano i uwięziono w Kaliszu. Zbiegł jednak z więzienia. Kazimierz liczył zapewne na to, że gdy będzie mieć Karola w swem ręku, stary król Jan przystanie prędzej na pokój, żeby syna uwolnić i zgodzi się na korzystne dla Polski warunki. To zawiodło, a uwięzienie Karola wzmogło tylko chęć zemsty. Ślepy król Jan, wiecznie zajęty rycerskiemi przygodami w obcych krajach, bawił wówczas nad Renem. Prędko zjechał do Wrocławia, nabrał tu, jak zwykle, pieniędzy i zebrał wojsko, z którem ruszył najpierw na Bolka świdnickiego. W kwietniu 1345 oblężono Świdnicę tak ściśle, że dostęp był niemożebny; ale gród był dobrze zaopatrzony przez króla polskiego, załoga zaś taki dzielny stawiła opór, że król Jan sam ofiarował pokój. Książę zawarł pokój osobno, tj. nie czekając na koniec wojny i nie oglądając się na swych sprzymierzeńców, ani na króla polskiego. Król Jan uznał jego niepodległość. Ponieważ Bolko świdnicki nie złożył hołdu królowi polskiemu, a czeski król już też hołdu od niego nie wymagał, mógł się pysznić, że jest samodzielnym monarchą, równym w zasadzie wszystkim królom Europy, tylko że na małem księstewku. Załatwiwszy się z Bolkiem, stanął król Jan osobiście na czele wyprawy i zmusił wojsko polskie do odwrotu, postępując za niem trop w trop aż pod Kraków; rozpoczął nawet oblężenie stolicy. Przystał jednak na rozejm, gdy nadeszły posiłki węgierskie. Próbował potem Kazimierz wszcząć na nowo wojnę na Ślązku i zdołał namówić do tego niestałego księcia świdnickiego, który otrzymał tymczasem i jaworzyńskie księstwo (po śmierci Henryka w r. 1346). Polskie wojsko wkroczyło powtórnie na Ślązk; przez półtora roku trwała ruchawka, podjazdowa wojenka, prowadzona z obydwóch stron niedbale i leniwie. Do wojny na większe rozmiary nie miała ochoty ani jedna, ani druga strona.

Zmieniła się polityka; zaniosło się nietylko na pokój, ale nawet na sojusz.

Dyplomacya jest jak chorągiewka i w r. 1348 stanął z Luksemburczykami nowy sojusz. Tymczasem bowiem z kolei zaczęła się chwiać przyjaźń węgierska, o sprawy ruskie, a Karol IV. luksemburski, już nie tylko król czeski, ale i niemiecki i cesarz, potrzebował przyjaźni polskiej. Sam poprosił o pokój. W Namysłowie na Ślązku zjechali się obaj królowie i książę Bolko. Kazimierz obiecał pozostawić Ślązk w spokoju, a Karol przyrzekł za to dostarczyć posiłków do odzyskania polskich ziem zagrabionych przez Brandeburgię i Zakon, a więc t. z. Nowej marchii i Pomorza. Nie myślał jednak Kazimierz o wojnie z Zakonem; chodziło mu tylko o zerwanie zupełne sojuszu Luksemburgów z Zakonem. Pokoju zaś potrzebował, bo się gotował do nowej wyprawy na Ruś, dalej w głąb Rusi, na Wołyń.

Księstwa „niepodległego“ Bolka przeszły wnet pod czeską koronę, ale nie wojną. Dziedziczką księcia była nieletnia jego siostrzenica Anna; z nią zaręczył Karol swego syna, dopiero co narodzonego w r 1351. Gdy ten „pan młody“ nie doczekał ani jednego roku wieku swego i umarł w pieluchach, wymykało się królowi czeskiemu to ostatnie znaczniejsze i dobrze urządzone księstwo na Ślązku. Jak na księstwo dzielnicowe, powstałe z podziałów dzielnicowego księstwa, było panowanie Bolka dosyć rozległe: od Strzygłowa aż do gór Olbrzymich czyli Karkonoszów na czeskiej granicy i od Bolesławia aż do ostatnich stoków gór zwanych Sowiemi. Inni książęta nie wchodzili już całkiem w rachubę.

Co to byli za książęta, najlepiej poznać na przykładzie. Książę lignicki zastawił w r. 1339 dwa miasta swoje: Lignicę i Hajnów, czterem mieszczanom wrocławskim. Ci nie mając czasu na sprawowanie tam rządów, to znaczy na pilnowanie ceł, czynszów i opłat targowych, puścili wszystko w dzierżawę dwom szlachcicom okolicznym. Wynikły z tego procesy i doszło wreszcie do tego, że książę musiał stawać przed sądem, złożonym z pięciu szlachty i pięciu mieszczan lignickich! Syn jego, Ludwik, miał przez dłuższy czas jednę tylko mieścinę, Bukowę, którą zdołał jakoś szczęśliwie wykupić z zastawu i tam sobie urządził książęcy dwór. Średni mieszczanin wrocławski lub krakowski mógł każdej chwili kupić ta-

kiego księcia. Wśród takich był Bolko świdnicki wielką powagą i jakby mocarzem.

W lutym r. 1353 owdowiał król Karol i natychmiast, zaraz po pogrzebie, oświadczył się o rękę Anny świdnickiej. W kwartał potem odbył się ślub z trzynastoletnią księżniczką, koronowaną w lipcu tegoż roku w Pradze na czeską królowę. Król polski wobec tej wojny, stoczonej na ślubnym kobiercu, był bezbronny i musiał jeszcze na wesele gratulować. A książę Bolko, niepodległy i teść cesarza, miał szalone szczęście. Powiększał swe posiadłości na różne sposoby. Wkrótce należało do niego niemal pół Ślązka; co więcej, kupił Dolne Łużyce i przez to podwoił swe panowanie. Król czeski nie przeszkadzał temu, ale oczywiście pomagał. Gdy w r. 1368 Bolko umarł, przeszła reszta Ślązka do korony czeskiej.

Nie ustał też Karol w staraniach o przyłączenie Ślązka do metropolii prazkiej. Król polski trzymał na dworze papieskim osobnego ajenta, który tam pilnował tej rzeczy. Ażeby zaś utwierdzić polskie stronnictwo w kapitule wrocławskiej, zjechał w r. 1351 do Wrocławia, wziąwszy z sobą arcybiskupa gnieźnieńskiego. Wtenczas wybrano kanclerza polskiego, Jana Starzyka, dziekanem katedralnym wrocławskim. Ten pojechał sam do Avinionu, gdzie wówczas rezydowali papieże. Miał polecenie, żeby się w najgorszym razie wystarał koniecznie przynajmniej o oderwanie całego Górnego Ślązka od dyecezyi wrocławskiej. Oświęcim, Zator, Bytom, Siewierz i Pszczyna należały i tak do krakowskiej dyecezyi, boć to część ziemi krakowskiej, darowana przez Kazimierza Sprawiedliwego Mieszkowi raciborskiemu; chodziło więc tylko o ziemię raciborską i cieszyńską, w której germanizacya nie poczyniła jeszcze większego spustoszenia. Stolica apostolska nie kwapiła się ze spełnieniem życzeń króla czeskiego. Ani Klemens VI., chociaż zresztą życzliwy luksemburskiej dynastyi, ani Innocenty VI. nie przystali na to, żeby wrocławskie biskupstwo wcielić do metropolii praskiej. U późniejszego zaś papieża, Urbana V., zaprzestał już Karol starań w tej sprawie, bo chorągiewka dyplomacyi znowu się obróciła, Kazimierz stał w polityce przeciw Luksemburczykom i zaczynał się zmawiać na nich z królem węgierskim. Przyrzekł Karol w r. 1360, że nie będzie już odrywał Wrocławia od Gniezna, byle król polski nie zawierał przeciw niemu sojuszów. Było tegoż właśnie roku poselstwo polskie w Avinionie. Przyrzekał Karol, bo już wiadome

było, że i Urban V. nie zgodzi się na te plany. Król polski wyprawia w następnym roku jeszcze wtóre poselstwo do papieża; czuł się widocznie zupełnie bezpiecznym o biskupstwo wrocławskie, skoro w dyplomacyi robił swoje śmiało i nie zawahał się narazić jeszcze raz nieprzyjaźni Luksemburgów.

LENNO MAZOWIECKIE.

Jeden z książąt ślązkich miał pozyskać panowanie na Mazowszu. Gdy mianowicie Bolesław III. płocki zginął w r. 1351 na ruskiej wyprawie, a nie pozostawił męskiego potomstwa, nadał król Karol spadek po nim, jako zwierzchnik płockiego księstwa, mężowi siostry Bolesławowej, księciu żegańskiemu Henrykowi V. Żelaznemu. Kazimierz czuł się na siłach, żeby wystąpić przeciw temu, i sami książęta mazowieccy oświadczyli się za zniesieniem lennego stosunku do Czech. Było ich dwóch, Kazimierz i Ziemiowit III., Trojdenowicze, rodzeni bracia Bolesława-Jerzego halickiego, a stryjeczni księcia płockiego i dlatego kandydaci do dziedzictwa po nim, gdyby unieważniono rozporządzenie czeskiego króla, przenoszące prawo dziedzictwa także na powinowatych po kądzieli. Wyzyskał król polski to położenie i doprowadził do uroczystego oświadczenia, że lenny stosunek do Czech nie obowiązuje księstwa płockiego, bo książęta płoccy nigdy się nań nie zgadzali, lecz tylko przemocą, gwałtem wojennym, byli do tego zmuszeni. (Rzeczywiście, król Jan zmusił był przemocą wojenną w r. 1329 Wańkę płockiego do hołdu, o to, że książę ten dostarczył posiłków królowi Władysławowi przeciw Krzyżakom, których sprzymierzeńcem był król czeski). Oświadczono, że nad mazowieckiemi krainami tylko polski król zwierzchnictwo mieć może, a tym jest teraz wobec wszystkich tylko król Kazimierz, nawet wobec Luksemburczyków, skoro się już zrzekli tytułu króla polskiego. Zaczem uznano księstwo płockie lennem Kazimierza Wielkiego. Z dwóch braci mazowieckich młodszy Kazimierz umarł wkrótce potem w roku 1355, poczem na jedynego tej linii przedstawiciela, Ziemowita III., przeszło całe już Mazowsze, a zatem 5 dotychczasowych księstw podziałowych: czerskie, rawskie, sochaczewskie, wiskie i płockie. Po śmierci Ziemowita III. nastąpił podział na nowo; potomkowie jego panowali na Mazowszu aż do r. 1529, jako lennicy korony polskiej.

Karol IV. zrzekł się wszelkich pretensyj do zwierzchnictwa nad

Płockiem, gdy w r. 1353 żenił się z Anną świdnicką; nawzajem zrzekł się wtenczas król polski praw dziedzicznych po księciu Bolku, które i tak nie wiele były warte. Nastąpiło wzajemne zrzeczenie się tytułów prawnych, nie mogących już mieć praktycznego znaczenia. Tylko ubogi książę żegański wzdychał do pięknego i dobrze zagospodarowanego Płocka, którego nawet nie oglądał. Ażeby raz na zawsze i już na całą przyszłość załatwić wszechstronnie sprawę mazowiecką, żeby tu, w jakichkolwiek zmienionych okolicznościach przyszłości, nie wbił się jaki Niemiec lub niemiecki usłużnik klinem pomiędzy Zakon a Polskę, pojął Kazimierz Wielki, wstępując w r. 1363 w ponowne związki małżeńskie, za żonę córkę żegańskiego księcia, Jadwigę. Sam stawał się przez to jego spadkobiercą.

Z dawnych dzielnic książęcych pozostało na Kujawach jeszcze jedno księstwo: gniewkowskie, którem władał praprawnuk Konrada Mazowieckiego, Władysław Biały. Ten, pragnąc się poświęcić stanowi duchownemu, a żadnych bliższych krewnych nie mając, sprzedał swe księstwo w r. 1364 królowi Kazimierzowi.

Następnego roku, 1365, odzyskał Kazimierz W. część zagrabionej przez Brandeburczyków Nowej marchii, a mianowicie złożyli hołd koronie polskiej panowie von Osten, władający grodami Drezdenkiem i Santokiem, które im nadał w r. 1317 margrabia Waldemar.

WOJNA Z LITWĄ O RUŚ.

Głównem dziejowem dziełem Kazimierza Wielkiego było łączenie Rusi z państwem polskiem; odzyskanie Grodów Czerwieńskich było zaledwie początkiem tej pracy, w której nigdy nie ustawał król prawdziwie mądry, wielki gospodarz i wielki polityk.

W tym samym jednak kierunku dążył też król węgierski. Gdy po śmierci hana Uzbeka panowanie tatarskie uległo rozprzężeniu, wyprawił się Ludwik w r. 1341 na wschód, za Dniestr i zajął znaczny kawał ziemi niemal pustej, którą zamierzał przyłączyć do Węgier: było to południowe Podole i część północnej Mołdawii. Ale był do Rusi jeszcze współzawodnik trzeci: Litwa. Wielki książę Gedymin rozpościerał swe panowanie coraz dalej na wschód i południe. Syn jego Lubart, ożeniony z Buszą, córką ostatniego księcia włodzimierskiego, Andrzeja, miał pod swą władzą Włodzimierz,

Bełz i Chełm jeszcze od r. 1324; po śmierci Uzbeka zabrał cały Wołyń. Równocześnie zmarł Gedymin, także w 1341 r. Nastąpił po nim syn jego Jawnuta, strącony niebawem z tronu przez starszych braci: Olgierda i Kiejstuta (1345). Obydwaj byli równymi sobie Wielkimi książętami, a rządzili wspólnie we wzajemnem porozumieniu, podzieliwszy między siebie prace: Kiejstut pilnował Krzyżaków a Olgierd Rusi. Olgierd postanowił zdobyć Ruś całą i głosił jawnie, że wszystko, co ruskie, ma być podbite przez litewską dynastyę, nie wyłączając nawet Rusi Zaleskiej, Moskwy i Suzdala; jakoż i tam się wyprawiał. Kiejstutowi nie darzyło się w walce z Krzyżakami; w r. 1349 poniosła Litwa ciężką klęskę nad rzeką Strawą, wpadającą do Wilii z lewego brzegu. Tę chwilę uważał król polski za sposobną, żeby wyprzeć Lubarta z Wołynia; zdobył Włodzimerz i cały Wołyń aż po górny bieg rzeki Styru, z wyjątkiem grodu Łucka, który pozostał w litewskiem ręku. Tryumf jednak był krótki. Gdy Litwa skończyła wojnę z Krzyżakami, nastąpił straszny odwet. Olgierd i Lubart nietylko odzyskali straty, ale posunęli się dalej, spalili Lwów, najechali graniczne ziemie polskie i uprowadzili mnóstwo jeńca. Kazimierz zaś nie dowierzał, żeby własnemi siłami mógł się zmierzyć skutecznie z Litwą. Za słabą była Polska nietylko do walki z Zakonem, ale nawet z Litwą. Brak siły orężnej miała wynagrodzić polityka.

Jak w r. 1340, podobnież i teraz wchodzi Kazimierz w spółkę z Ludwikiem węgierskim. Król węgierski miał również dalsze jeszcze zamiary co do Rusi. W r. 1347 wystarał się u papieża o dokument zatwierdzający mu własność wszystkich ziem, jakie tylko zdąży zdobyć na poganach i schyzmatykach. Ludwik gotów był do spółki, ale pod warunkiem, że Polska uzna prawa korony węgierskiej do Rusi Czerwonej. W r. 1350 ułożono w Budzie dokument, mocą którego Ludwik, jako pan właściwy Czerwonej Rusi, oddaje ją Kazimierzowi w dożywocie. Wszak sam miał być jego następcą! Gdyby jednak Kazimierz miał syna, wróci Ruś Czerwona pod panowanie andegaweńskie, za zwrotem kosztów w kwocie stutysięcy florenów. To prawo wykupna przysłużać ma królowi Ludwikowi, lub jego bratu Stefanowi. Przystał na te warunki Kazimierz Wielki, byle tylko mieć wojsko teraz, zaraz, byle teraz posiadać Ruś Czerwoną i posiąść jeszcze więcej. Co miało być w przyszłości, o tem rozstrzygnie i tak dopiero przyszła polityka,

a Kazimierz wiedział z własnego doświadczenia, że można wojować z tym, z którym się przed chwilą jeszcze było w sojuszu. Niech tylko Polska ma skarb pełny i wojsko sprawne w przyszłości. Do tego zaś trzeba obecnie koniecznie Rusi jak najwięcej! Jak gorączkowo król pragnął tej wojny o Ruś, jak gotów był dużo włożyć w tę sprawę, najlepszy dowód w tem, że mając skarb niedość zaopatrzony, zastawił za ośm tysięcy kop groszy prazkich ziemię Dobrzyńską — Krzyżakom! byle tylko mieć pieniądze na tę wyprawę.

Dwie wyprawy polsko-węgierskie przeciw Gedyminowicom nie na wiele się zdały. Na pierwszej z nich, w r. 1351, którą dowodził Ludwik (Kazimierz zaniemógł obłożnie), zajęto z razu Włodzimierz, a nawet pojmano Lubarta. Natenczas zgłosił się o pokój nie Olgierd, lecz Kiejstut, pod którego władzą Ruś niebyła, i jako Wielki książę litewski, zawarł pokój obłudny, obiecując, że chrzest przyjmie, że sam osobiście pojedzie do Budy, stolicy Węgier i tam się ochrzci w rzymskim kościele. Zawierał sojusz, przyrzekając Ludwikowi posiłki na wszelkie wojny, w zamian za co miał mu Ludwik pomagać przeciw Krzyżakom i Tatarom, tudzież wyjednać u papieża koronę królewską. Pokój zawarto, Lubarta puszczono na wolność i wybrano się z powrotem, wioząc ze sobą Kiejstuta na chrzest do Budy. W drodze Kiejstut zbiegł; wszystko się rozwiało i trzeba było na następny rok nową przygotować wyprawę. Wziął już w niej udział także Kazimierz, lecz zupełnie się nie powiodła. Litwa zawarła sojusz z Tatarami. Oblężenie Bełza nie powiodło się, król Ludwik odniósł ranę w boju. Natenczas zawarto dwuletni rozejm, tak ułożony, żeby każda strona zachowała to, co posiadała przed wojną. Lwów i Halicz pozostawał przy Polsce, a Wołyń przy Litwie. Nadspodziewanie trwał ten rozejm, zawarty tylko na dwa lata, przez lat czternaście. W czasie tym wyprawiał się Kazimierz w r. 1359 na Wołoszczyznę, ale i ta wyprawa nie powiodła się.

Dopiero w r. 1366 wydał król znowu wojnę Lubartowi, a szczęśliwszy tym razem zdobył Włodzimierz i zachodnią część Wołynia przyłączył do Polski. Panujący zaś od kilku lat na Podolu litewscy książęta Koryatowicze, uznali Podole lennem korony polskiej. Odtąd droga na wschód była już wolna i bezpieczna.

Rozszerzała też i Litwa dalej swe zabory. Pokonawszy Tatarów w wielkiej bitwie nad Sinemi Wodami, dopływem Bohu z lewego brzegu, przyłączył Olgierd w r. 1362 do Litwy południową Ruś, tj. Podole i Ukrainę. Kijów, starodawna Rusi stolica, należał odtąd do litewskiego państwa. Aż po Dniepr była Ruś wolną od Tatarów. Tylko do Moskwy posyłał han ciągle swoją basmę, tylko na Rusi Zaleskiej opłacano się jeszcze od ogniska tatarskim baskakom.

Tak współzawodnicząc z Węgrami i Litwą zapewnił Kazimierz Wielki swemu państwu udział w handlu ze wschodem przez ruskie nabytki. Groźne było współzawodnictwo Węgier i według wszelkich obliczeń skończyłoby się zupełnem wyparciem Polski, jako słabszej. Ocalił tu interesy polskie mądry pomysł zawarcia spółki z Węgrami. Niemniej groźną, a może jeszcze groźniejszą była rywalizacya litewska. Niezadługo poczęto się zastanawiać, czyby i tego wroga nie można pozyskać również zawarciem spółki? Nowy to zupełnie pomysł w polityce, nieznany dyplomacyi zachodu; pomysł zaiste wiekopomny, godny największej chwały, skoro godził przeciwieństwa a nieprzyjaciół wiązał sojuszem wspólnych interesów. Zrazu była to tylko prosta spółka; ale wkrótce miała z niej wyłonić się wielka, wspaniała idea cywilizacyjna, godna chrześcijaństwa, najwspanialszy wykwit cywilizacyi: unia.

KONGRES KRAKOWSKI I PODRÓŻ DO MALBORGA.

Polityka Kazimierza Wielkiego polegała na zręcznem utrzymywaniu pokoju, żeby unikać wojny, o ile się tylko da. W r. 1362 zawisła nad nim groźba, że będzie musiał wojować i to niemając w wojnie żadnego interesu. Zanosiło się bowiem na wojnę pomiędzy Andegaweńczykami a Luksemburczykami, podczas gdy król polski z obiema dynastyami był właśnie w sojuszu. Dwa lata przedtem ustąpił Karol Kazimierzowi w sprawie dyecezyi wrocławskiej pod warunkiem, że nie będzie wchodził w żadne przymierza przeciwko niemu. Tego zaś roku 1362, wybierał się właśnie Olgierd na zajęcie południowej Rusi. Na niczem nie zależało tak królowi polskiemu, jak na Rusi i każda litewska wyprawa w te strony była dla niego klęską polityczną. Przeszkodzić nowym zaborom litewskim można było tylko wspólnie z Węgrami,

ale Ludwik musiał tę sprawę zdać na losy, mając przed sobą wojnę z Karolem. Nie można było dopuścić do klęski Węgier, bo w takim razie przepadłaby Ruś dla Polski! Ludwik miał prawo zażądać posiłków, Karol miał prawo zażądać neutralności. Kazimierz znalazł się między młotem a kowadłem. W razie tej wojny czekały go jak największe trudności polityczne. A wojna ta wisiała na włosku; już Ludwik zawarł przymierze z arcyksiążętami austryackimi, już się zbroił. Olgierd zajął tymczasem Kijowszczyznę i południowe Podole; jeżeli Węgry będą zajęte gdzieindziej, czy się nie rzuci na Polskę, czy nie odbierze jej Wołynia, a może i Lwowa, on, który głosił, że cała Ruś musi do niego należeć?

Wytęża więc Kazimierz wszystkie siły, używa wszelkich środków swej mistrzowskiej dyplomacyi, żeby do tej wojny nie dopuścić. Doprowadził do tego, że zgodzono się na załatwienie sprawy przez sąd polubowny, wybierając sędziami jego i Bolka świdnickiego. Tymczasem zaś załagodził Kazimierz wpływami swemi na obydwóch ościennych dworach cały zatarg i dokazał tego, że wojnę zażegnał. Sam zbliżył się podczas tych układów jeszcze bardziej do Luksemburczyków, wydając w r. 1363 za owdowiałego znowu cesarza Karola wnuczkę swą, Elżbietę, córkę Bogusława pomorskiego. Koronacya jej na królowę czeską odbyła się w Pradze dnia 18. czerwca 1363. Gdy nie groziło już żadne niebezpieczeństwo, wydali obydwaj sędziowie polubowni dokument w Krakowie dnia 12. grudnia 1363 r., w którym po prostu polecają poważnionym królom, żeby się pogodzili. Na zupełnej zgodzie zależało królowi polskiemu niezmiernie. Opierał na niej widocznie jakieś polityczne plany, do których potrzebna mu była przyjaźń i węgierska i czeska. Nic jednak bliższego o nich nie wiemy, bo całe ostatnie dziesięciolecie jego rządów jest niestety bardzo mało znane. Brak nam też bliższych wiadomości o wielkim kongresie monarchów, który się odbył w Krakowie z końcem września 1364 r.

Był to jeden z najwspanialszych zjazdów monarszych, o jakich wspomina historya. Było na nim pięciu królów i dziesięciu książąt panujących: król polski, gospodarz zjazdu i goście jego: Karol IV. król czeski i cesarz niemiecki; syn jego Wacław; margrabia morawski Jan — Luksemburczykowie; książęta ślązcy

Bolko świdnicki i Władysław Opolski, który później dużo miał znaczyć w Polsce; król węgierski Ludwik; król duński Waldemar; książę mazowiecki Ziemowit; trzech książąt austryackich: Rudolf, Alfred i Leopold — Habsburgowie; książę dzielnicowy bawarski Otto z rodu Wittelsbachów; książę Bogusław V., zięć króla polskiego, a teść cesarski; wreszcie gość z bardzo dalekiej krainy, Piotr, król Cypryjski z rodu Lusinjanów. Ten ostatni zagrożony był przez Turków, którzy rozszerzając coraz bardziej swe panowanie na półwyspie bałkańskim, w Azyi Mniejszej i na wyspach egejskiego morza, dążyli też do zaboru jego wyspy Cypru, na której królował. Ażeby uzyskać pomoc przeciw Turkowi, objeżdżał król Piotr dwory europejskie od października 1362 r. Najpierw był we Włoszech, w Wenecyi, najpotężniejszem wówczas morskiem państwie, skąd podążył do Francyi do Avinionu, uprosić u papieża krucyatę, potem do Anglii, skąd znowu powrócił do Francyi i przez Kolonię, Erfurt i Miśnię pojechał do cesarza, do Pragi, a stąd wraz z Karolem wybrał się z początkiem września 1364 do Krakowa, chcąc skorzystać z tak licznego zjazdu monarchów.

Na kongresie tym zatwierdzono ponownie zgodę Luksemburczyków z Andegaweńczykami i Habsburgami, ale to było formalnością nie wymagającą osobistego zjechania się, a cóż dopiero zapraszania księcia pomorskiego, króla duńskiego i księcia z bawarskiego rodu, panującego także w Brandeburgii? Kronikarz współczesny, piszący w kilkanaście lat później, Janko z Czarnkowa, opowiada, że zebrani książęta, „przyrzekali sobie wzajemną przyjaźń i poręczali ją“. Być może, że król polski, pogodziwszy Karola z Ludwikiem, chciał podobnież pogodzić cesarza z Wittelsbachami, poróżnionych o brandeburskie sprawy. Z obecności tych książąt wnosić należy, że chodziło Kazimierzowi o sprawy północne. Z Pomorskimi książętami był w sojuszu, Brandeburgię chciał widzieć w pokoju, a więc chyba chodziło o Krzyżaków? Mamy też z tego samego roku 1364 ciekawą prośbę Kazimierza do papieża: prosił, żeby go papież zwolnił od przysiąg danych chrześcijańskim i pogańskim sąsiadom na traktaty, któremi poodstępował im ziemie! Chrześcijanom odstąpił był Ślązka i Pomorza. Przeciw Luksemburczykom jednak nie mógł być zwrócony kongres krakowski, skoro oni sami na nim byli, a więc należy się domyślać,

że król polski chciał w osobistem zetknięciu się ze wszystkimi monarchami przekonać się, czy mógłby przedsięwziąć coś przeciw Zakonowi? Pragnął sam przekonać się o politycznem usposobieniu tych wszystkich, od których udziału, lub pomocy, nieprzyjaźni lub neutralności zależałby wynik wojny z Zakonem.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa kongres ten przekonał tylko jeszcze mocniej króla, że czas orężnej rozprawy z Krzyżakami jeszcze nie nadszedł. Gdyby był mógł liczyć na współdziałanie, sama pora była do zaczepienia Zakonu stosowną i dobrze obmyśloną. Krzyżacy wiedli właśnie spory ze wszystkimi biskupami w swem państwie, nie wyłączając samego arcybiskupa ryskiego. W r. 1352 zagrabili Krzyżacy miasto Rygę, za co papież Innocenty IV. rzucił na nich klątwę, w której pozostawali przez lat 30, nie myśląc o wydaniu miasta. Biskupi czynili starania, żeby utworzyć w kraju siłę zbrojną gotową na swe rozkazy, lecz to się nie udało; szukali tedy opieki za granicą, wśród nieprzyjaciół Zakonu: w Danii, w Meklemburgu i na tylnem Pomorzu. Arcybiskup Fromhold Fischhausen prosił osobiście o opiekę papieża Innocentego VI. i cesarza Karola IV.; wszak był książęciem Rzeszy niemieckiej. Zakon przywiązywał widać znaczenie do tej podróży arcybiskupa i bał się, że Fromhold znajdzie obrońców, skoro sami przystąpili w r. 1366 do układów. Pierwsza konferencya nie doprowadziła do niczego, a wywołała tylko jeszcze większe rozgoryczenie. Równocześnie wydano w cesarskiej kancelaryi w Pradze dokument datowany dnia 23 kwietnia 1366, mocą którego Karol IV. wyznacza arcybiskupstwu ryskiemu protektorów w osobach królów: szwedzkiego, duńskiego, księcia meklemburskiego, Bogusława V. pomorskiego i króla polskiego, upoważniając każdego z tych monarchów do wojny z Zakonem w obronie uciemiężonego arcybiskupa. Widocznie Kazimierz Wielki przystał poprzednio na przyjęcie tego „protektorstwa“, które jednak nie mogło mieć ani dla niego, ani dla biskupów pruskich i inflanckich żadnego praktycznego znaczenia, skoro król polski sam jeden nie mógł się narażać na nieprzyjaźń Zakonu. Krzyżacy zwołali jednak drugą konferencyę ugodową do Gdańska. Przybyli na nią nietylko wszyscy biskupi z pod panowania Zakonu: chełmiński, warmiński, pomezański, z metropolitą swym arcybiskupem ryskim, ale też przedstawiciele szlachty i mieszczaństwa ich księstw biskupich. Każdy bowiem

z tych biskupów był zarazem księciem świeckim pod zwierzchnictwem lennem Zakonu; były to małe państewka kościelne. Zakon dążył do odjęcia biskupom świeckiego panowania i w tem tkwiła istota wszystkich tych sporów. Tym razem Zakon ustąpił i 7 maja spisano w Gdańsku układ, którego Krzyżacy nie myśleli jednak dotrzymać. Dla Kazimierza W. cała ta sprawa nie mogła już mieć żadnego znaczenia; przeciwnie, zależało mu teraz na tem, żeby nawet nie wzbudzać u Zakonu żadnych podejrzeń. Był właśnie zajęty wojną z Litwą, wojną, która się skończyła pomyślnie dla Polski. Z końcem sierpnia był we Włodzimierzu, przyłączonym już do polskiego państwa. Nie wraca stąd do Krakowa, ale zaraz, niespodzianie jedzie do Prus.

Wczesną jesienią 1366 roku, we wrześniu lub na początku października, wybrał się Kazimierz Wielki w podróż do Krzyżaków. Zabawił trzy dni w ich stolicy, w Malborgu, przyjmowany z wszelkimi honorami należnymi królewskiemu majestatowi. W hucznem i wspaniałem przyjęciu, w powitaniach i biesiadach nie brały jednak udziału nigdzie w drodze, ani w Malborgu, osoby duchowne; żaden biskup, ani nawet prałat nie był dopuszczony do króla polskiego. Opisujący tę podróż szczegółowo herold krzyżacki, Wigand, opowiada, że podczas uczty powiedział król polski: „Ledwie nie padłem ofiarą zdrady i znam tych zdrajców; miałem wojować z wami, bo mówili, że wam niedostaje zapasów wojennych“. Wątpić należy, żeby król coś podobnego powiedział; za dobrym był politykiem do takich niepolitycznych żartów. Jak to zwykle bywa z t. z. „historycznemi“ rozmowami, wymyśliła je zapewne współczesna opinia publiczna. Współcześni byli tego zdania, że król polski chciał wszcząć wojnę z Zakonem, ale musiał od tego zamiaru odstąpić. Mieli słuszność. Podróż do Malborga wygląda na wizytę z przeprosinami, na publiczne oświadczenie, że król polski pragnie tylko pokoju. Tak tedy na nic się nie zdał kongres krakowski; wynikła tylko z niego jazda do Malborga, nie sprawiająca chyba królowi przyjemności.

Ruchliwa i stosująca się ciągle do okoliczności polityka królewska zaczęła się w roku 1369 zwracać znowu przeciw dynastyi luksemburskiej. Rajcy wrocławscy pisali strwożeni do Karola IV., że kapituła knuje jakieś spiski z królem polskim; przeważało w kapitule wrocławskiej stronnictwo polskie. Zimą bawił Kazimierz

Wielki w Budzie i są ślady, że zanosiło się na sojusz z Ludwikiem węgierskim przeciw Karolowi; do sojuszu przystępował Albrecht bawarski. Sprawa ta, niejasna zresztą, nie dojrzała, a w kilka miesięcy potem zachorował król polski śmiertelnie, skutkiem przygody na łowach i zmarł dnia 5 listopada 1370. Pochowany jest po prawej stronie wielkiego ołtarza katedry na Wawelu, której budowę przez ojca rozpoczętą dokończył.

ORGANIZACYA SPOŁECZNA. RYCERSTWO.

Zasłużyłby Kazimierz na przydomek Wielkiego w zupełności już za to samo, że przez lat 37 ustrzegł Polskę od niebezpiecznych wojen, które mogły narazić jej byt, a zajęciem Rusi Czerwonej i Wołynia zapewnił krajowi dobrobyt. Wziął po ojcu państwo zagrożone zewsząd, a pozostawił zagospodarowane i pewne swego, z potężnym sojuszem węgierskim. Dzięki jego roztropnej polityce wyminęła Polska szczęśliwie grożące jej niebezpieczeństwa, a w pokojowym rozwoju przygotowywała się do tego, żeby się sama stać mogła wrogom groźną. Ale to dopiero połowa jego zasług. W polityce wewnętrznej okazuje się dopiero wielkość jego umysłu w całej jasności. On ujął w swe ręce ster społeczeństwa, on władzą swą dopomógł do ziszczenia zamiarów tym wszystkim, którzy mieli na oku dobro publiczne. Każda dobra myśl znajdywała w nim opiekuna i dzięki jego opiece dokonała się za niego organizacya społeczna i państwowa w Polsce.

Przedewszystkiem chodziło o obronność kraju. Dawne urządzenia wojskowe przestarzałe już były i nie dopisywały. Za króla Władysława rycerstwo sprawowało się dzielnie, ale nim się zebrało, mijały tygodnie, czasem miesiące; król tak wojowniczy ograniczać się musiał po większej części do ścigania nieprzyjaciela powracającego już do domu, kiedy kraj już był doszczętnie zniszczony. Miał żołnierza za mało i musiał na niego za długo czekać.

Za Kazimierza Wielkiego postanowiono, że każdy, kto ma własną ziemię, musi być żołnierzem, bez względu na to, czy ją posiada z nadania książęcego, czy też nadania takiego mu brak i posiadłość swą z samego tylko prawa rodowego wywodzi. Stanęła zasada, że kto chce ziemię posiadać, ten jej też sam bronić musi. Zwiększyła się przez to ilość żołnierza, bo ciężar służby wojskowej spadł na wszystkich tych właścicieli, którzy dotychczas nie byli

do niej zobowiązani, nie wziąwszy nigdy żadnego nadania od księcia. Zniknęła też przez to różnica pomiędzy szlachtą rycerską a nie rycerską; odtąd każdy szlachcic na ziemi osiadły był zarazem rycerzem; choćby nie chciał, być nim musiał. Wyrażenie „szlachcic“ znaczyło dotychczas tylko tyle, co „rodowiec“; odtąd znaczyło zarazem to samo, co „żołnierz“, a „prawo żołnierskie“ znaczyło zarazem to samo, co „szlacheckie“, gdyż obejmowało już wszystkich rodowców. Skoro zaś każdy żołnierz polski był właścicielem ziemskim, zwali się też ziemianami. I tak utarły się też na oznaczenie tej warstwy społecznej trzy wyrażenia: rycerstwo, ziemianie, szlachta. Członkowie tej warstwy byli bowiem wszyscy ziemianami, a w olbrzymiej większości zarazem potomkami dawnych polskich rodów, czyli, jak mawiać poczęto, „urodzonymi“.

Drobna tylko część rycerstwa nie była „szlachetnego“ rodu, a mianowicie kmiecy właściciele ziemi i sołtysowie. Wyraz „kmieć“ zmieniał znaczenie w ciągu historyi polskiego języka. Za Kazimierza W. ustaliło się znaczenie nowe, a mianowicie nazywano kmieciami dzierżawców ziemskich, a więc tych gospodarzy, od których pochodzi lud polski. Jeżeli taki dzierżawca zbogacił się i kupił sobie grunta na własność, stawał się ziemianinem; musiał chodzić na wojnę, a więc zostawał rycerzem, chociaż nie był szlachcicem. Było takich wielu i nazywani są w prawach i w aktach wyraźnie „żołnierzami z kmieci“ (po łacinie: *miles e cmethone)*. Obok nich są też inni jeszcze nieszlachcice, „żołnierze z sołtysów“ *(miles e sculteto)*.

Król jest zwierzchnikiem wojska i jedynym szafarzem krwi tych zastępów. Wszelka szkoda wyrządzona żołnierzowi jest zarazem szkodą króla, uszczerbkiem siły wojennej państwa i dlatego trzeba ją było wynagrodzić nietylko skrzywdzonemu lub jego rodzinie, ale też państwu. Tem się tłumaczy, że za zabicie lub zranienie żołnierza cięższe były kary, niż za kmiecia nie należącego do organizacyi wojennej. I wśród samych żołnierzy nie jednako wszystkich szacowano. Była w prawie ówczesnem zasada, że za każde przewinienie ponosi się karę na majątku, tj. płaci się grzywny karne. Za zabicie „żołnierza z kmiecia“ płaciło się karę 10 grzywien. Sołtysi od samego początku obowiązani byli do służby wojskowej, byli żołnierzami, choć nie rodowcami, nie szlachcicami. Sołtystwo było urzędem dziedzicznym; ale podczas

gdy gruntami sołtysa dzielili się wszyscy jego synowie, sprawowanie urzędu przejść mogło tylko na jednego z nich; ten też tylko był sołtysem i on też tylko żołnierzem, a bracia jego kmieciami. Teraz wszyscy potomkowie sołtysów zostawali żołnierzami, boć ziemię posiadali, a przez to weszli jakoby pośrednio do szlachty. Głowa „żołnierza ze sołtysa", szacowana była na 15 grzywien. Potem zatarła się pamięć pochodzenia i potomek sołtysa lub kmiecia, był tak samo szlachcicem, jak inni. Trzeci stopień szlachectwa, to ci, którzy mieli ziemię z nadań książęcych, lub dziedzictwo swe rodowe na nadaniowe zamienili i dawno już przyjęli byli obowiązki wojskowe. Znaczna ich część miała na to „szpargały" tj. dokument królewski; zwano takich z łacińska *scartabelli*, a za ich głowę trzeba było zapłacić podwójnie, t. j. grzywien 30. Do tej warstwy przeszli też potomkowie włodyczego rycerstwa, bo ci nie mogli nawet mieć ziemi inaczej, jak tylko z królewskiego nadania. Wreszcie potomkowie dawnych uczestników wypraw pierwszych Piastów, już prawie wszyscy wielmożowie, a żołnierze pełni sławy i tradycyi wojennej, rosnący w dostojeństwa i zaszczyty z pokolenia w pokolenie, szacowali swą własną głowę na grzywien 60.

Ta nierówność szacunku życia ludzkiego nie wynikała bynajmniej z dzielenia ludzi na zacniejszych i podlejszych z urodzenia; nie trzeba tego wcale uważać za dowód jakiejś pogardy dla „żołnierza z kmiecia", że się jego głowę szacowało sześć razy niżej od głowy wielmoża. Nie rozumie średnich wieków, ktoby posądzał ówczesnych ludzi o jakiekolwiek przesądy stanowe! Jeszcze nie było wówczas tego dopustu bożego nad rozumami ludzkimi, a przynajmniej nie było go z pewnością w naszej Polsce. Jeszcze się nikomu nie przyśniło, że kmieć z innej gliny ulepiony, niż pan wielmożny.

Za Kazimierza Wielkiego szacowało się tych żołnierzy rozmaicie dlatego, że rozmaitą była wartość ich służby wojskowej. Nie na osobie, ale na ziemi ciążył ten obowiązek. Gdy się szlachcic pozbył ziemi, wolnym był od wojska; a stawał się żołnierzem kupiec, szewc, rzeźnik, czynszownik, potomek narocznika, jeżeliby nabył posiadłość. Nie od osoby to zależało; przeciwnie, sama osoba była prawu obojętna; to zależało od posiadłości. Nie jednakowo też ponoszono ciężar wojskowy, ale rozmaicie, w miarę

posiadłości. Jeden brał konia i łuk i tak ruszał na wojnę; drugi musiał wyjechać z całą zbroją, trzeci musiał jeszcze drugiego żołnierza dostawić, a czwarty uzbroić pięciu, dziesięciu, dwudziestu, wyszukać ochotników i swoim kosztem na wojnie ich żywić! Czem więcej kto miał ziemi, tem więcej musiał się przyczyniać do jej obrony, jak tego słuszność wymagała. Nie za osobę płacono grzywnę, ale za zmniejszenie siły zbrojnej. Rzecz prosta, że wielmoża wart był dla wojska królewskiego sześć razy więcej, niż uboższy kmieć. Przyjęto, że taki dostarcza królowi ze swych posiadłości średnio sześciu żołnierzy i dlatego płaciło się poszóstnie za jego głowę.

W ustawach Kazimierza Wielkiego nie tylko niema nigdzie śladów wzgardy dla świeżo w żołnierzy zamienionych rodowców lub nawet kmieci, ale przeciwnie, są przepisy, mające ułatwić zlanie się ich z dawną żołnierską szlachtą, są przymusowe środki, żeby jak najprędzej zatrzeć różnice prawnych i społecznych urządzeń pomiędzy nimi. Część ziemian pozostała w tyle poza innymi przez to, że się trzymała starych urządzeń rodowych. Te postanowił król osłabić i wydano w tym celu kilka przepisów. Przeciw podziałowi spadku pomiędzy rodzeństwo wolno było występować tylko w ciągu trzech lat i trzech miesięcy od dokonania podziału; po tym czasie ważnym już był wieczyście i żaden „stryjec“ nic już nie mógł poradzić. Jeżeli ktoś sprzedał swą posiadłość bez zezwolenia stryjców, była taka sprzedaż nieważna i rodowcy mieli aż do Kazimierza W. prawo odkupić ją kiedykolwiek; mamy wiadomości o unieważnianiu takiej sprzedaży nawet w następnem pokoleniu. W r. 1347 ograniczono to prawo odkupu też do trzech lat i trzech miesięcy, poczem stryjcowie tracili swe prawo bliższości. Rodowe prawo osłabiane było bardzo przez przyznanie córkom dziedzictwa ziemi w braku męskich potomków; w tym wypadku ograniczono rodowe dziedziczenie tylko do braci stryjecznych, którzy musieli jednak spłacić dziedziczki w krótkim bardzo na owe czasy terminie jednego roku, inaczej posiadłość stawała się nieodwołalnie własnością owych córek, a przez ich małżeństwa przechodziła w inne rody. Znaczne też ograniczenie prawa rodowego zawierał przepis, że wszelka darowizna jest bezwzględnie ważną, jeżeli umarł dawca lub obdarowany; chociażby nawet nie było na to dokumentu, stryjcowie nie mogli zaczepiać darowizny,

która bez przeszkód przechodziła na spadkobierców obdarowanego. Przepis ten nadał raz na zawsze ważność w obec prawa polskiego testamentom ustnie robionym. Wystarczyło więc w dzień śmierci darowiznę zrobić, a stryjcowie i nawet najbliższi krewni tracili wszelkie prawa. W r. 1368 posunęło się nowe ustawodawstwo jeszcze dalej. Wolno było córce dać ziemię, nawet, jeżeli się miało synów, a mianowicie posag w gruntach, byle tylko oświadczyć to przy królu. Król ustawicznie podróżował po kraju, kto więc koniecznie chciał ziemią córkę wyposażyć, czekał tylko, aż król w jego okolice zjedzie. Bądźcobądź, zastrzeżenie królewskiej obecności było jeszcze utrudnieniem; zapewne król był za tem, a społeczeństwo jeszcze się wahało.

Skoro służba wojskowa ciążyła na ziemi, nastało pewne przeciwieństwo pomiędzy interesem państwa a Kościoła. Kościół posiadał dobra, a księża nie tylko że sami na wojnę oczywiście iść nie mogli, ale zasłaniali się prawem kanonicznem, które ich zwalniało od wszelkich ciężarów państwowych. Każda nowa darowizna na rzecz Kościoła uszczuplała obecnie wojsko królewskie. Postanowiono tedy w r. 1368, że z dóbr otrzymanych nie od króla muszą duchowni spełniać powinność wojenną, tj. wyszukać na swój koszt ochotników. Dawniejsze nadania książęce pominięto już milczeniem; przy nowych stanowiłby już król warunki, jakieby mu się zdawały stosowne. Przymusu trzeba było tylko do nadań prywatnych, a ustanowiono przymus żelazny, postanawiając, że inaczej duchowni muszą odstąpić dobra krewnym poprzedniego właściciela. Ziemia, która raz była na prawie żołnierskiem, musiała już na zawsze na niem pozostać, w czyjemkolwiek byłaby ręku. Samo duchowieństwo uznało potrzebę takiego przepisu. Arcybiskup gnieźnieński zgodził się na to.

Interes państwowy wymagał kontroli, czy posiadłość jest na prawie żołnierskiem, ażeby nikt nie usuwał się od wojskowej powinności. Tę kontrolę wykonywała szlachta sama i wykonywać musiała przez to, że każdy musiał należeć do pewnego stanu, jeżeli chciał mieć nad sobą opiekę prawną! Ktoby nie chciał być żołnierzem, musiałby wystarać się o prawo miejskie, albo przejść do czynszowego włościaństwa; inaczej nie miałby nawet sądu, przed którym mógłby się uskarżyć w razie pokrzywdzenia. Przejść na prawo miejskie nie było rzeczą łatwą; o to trzeba było

mieszczan prosić; a kto niebył kupcem lub rzemieślnikiem, zginąłby w mieście i nie miałby tam co robić. Kmiecej zaś własności ziemskiej bez służby wojskowej także już nie było. Wobec tego wycofanie się ze szlacheckich szeregów było niemożebne bez pozbycia się własności. Tem się tłumaczy, że wśród szlachty wyrobiło się szybko poczucie stanowe, solidarność i duma; stan ten stał się bowiem zwartszym od innych. Naodwrót, nietrudno było z miasta przejść na wiejskie gospodarstwo, nietrudno było zbogaconemu czynszowemu włościaninowi nabyć własność ziemską, o ile zdarzała się sposobność kupna; było to dozwolone i nikt zakazywać tego jeszcze nie myślał. Działo się to już przedtem i to często. Za Kazimierza Wielkiego nie należał wcale do rzadkości właściciel ziemski, nie pochodzący wcale ze szlachty, z rodowców, a pragnący wejść w jej szeregi przez ziemię i służbę wojskową. Zdarzało się często przy rozprawach sądowych, o łajanie, pobicie zabójstwo, przy sprawach spadkowych, że jedna strona zarzuciła drugiej brak szlacheckiego pochodzenia, gdy chodziło np. o wysokość grzywny lub o prawo stryjców. Nietylko tedy nie trzeba było kontroli nad tem, żeby szlachty nie ubywało, ale przeciwnie, trzeba było obmyśleć kontrolę nad ciągłymi nowymi przybytkami do tego stanu. Nikt nie potrzebował udowadniać, że nie jest szlachcicem, lecz przeciwnie, niejeden musiał bronić swego szlachectwa i prawem opisano, jak się ma szlachecki wywód przeprowadzić wobec sądu. Trzeba było wykazać się, czy się jest żołnierzem z żołnierzy, czy na starej sławie, czy na świeższym „szpargale“ (sześcioma świadkami, po dwóch z trzech rodów) inaczej był uważany za „żołnierza z kmiecia“ i wart był tylko 10 grzywien. Przez tę potrzebę wywodu szlachectwa rosło zaś szlachectwo w poważanie i znaczenie.

Każdy żołnierz musiał w grodzie i obozie stać pod pewną chorągwią. Wymagał tego prosty porządek, bo z żołnierzy luzem chodzących nie da się zrobić wojska. Ustawa z r. 1346 zawarowała, że ktoby tego nie zrobił, ten będzie schwytany i odstawiony królowi do ukarania, a konie jego przypadną podkomorzemu. Stawali więc razem stryjcowie pod rodową chorągwią, mieli nawet swój osobny okrzyk wojenny, hasło rodowe, t. z. zawołanie i osobne swoje znaki, czyli herby. Kto był bez krewniaków w swej kasztelanii, musiał się zawczasu wprosić do jakiej chorągwi. Otóż

mieszczanin lub kmieć, gdy nabył grunt na prawie żołnierskiem, chorągwi swej nie mając, zawsze był w tem przykrem położeniu, że się musiał wpraszać pod cudzą. Po tem zawsze go było znać, przez to on różnił się od tamtych na swą niekorzyść i przez całą wojnę był, jak na sztychu. To też przyczyniało się do wzbijania w dumę szlacheckiego stanu i sprawiało, że kto był świeżym „rycerzem“, robił, co tylko się dało, żeby zatrzeć ślady swego nieszlacheckiego pochodzenia. Były to ostatnie skutki pierwotnej organizacyi rodowej społeczeństwa.

KMIECIE.

Obok rycerstwa siedział na roli stan kmiecy, gospodarujący na dzierżawach. Przypomnijmy sobie, jak właściciele dóbr ziemskich, tak duchowni, jakoteż świeccy, dążyli już dawno do zagospodarowania swych posiadłości i w tym celu zakładali wsie, zwabiając osadników z pośród ludności bezrolnej, z uwolnionych narocznikow i łazęgów, a nieraz i z pośród zubożałych „rodowców“. Wieś w ten sposób założona pozostawała pod zwierzchnictwem właściciela gruntu, i on był władzą, urzędem, dla swych włościan. Oni brali od niego grunta w wieczystą dziedziczną dzierżawę. Dzierżawne było rozmaite, stosownie do umowy: czynsz, daniny ze zbiorów, robocizna kilku dni w roku, podczas sianożęcia i żniw. Jeżeli właściciel sam się zajął założeniem wsi, sam był swoim przedsiębiorcą werbującym przybyszów, natenczas nie było pomiędzy nim a wieśniakiem żadnej pośredniej władzy. Jeżeli jednak sam się tem nie zajął, a użył pośrednictwa przedsiębiorcy emigracyjnego, natenczas pomiędzy panem a ludnością wsi stawał ów przedsiębiorca, jako sołtys i ten sołtys był we wsi władzą i urzędem, a właściciel miał tylko prawo do dzierżawnego. Jeżeli wieś założoną była na prawie niemieckiem, tj. na wzór wsi osadniczych niemieckich, natenczas ludność jej rządziła się sama w swoich sprawach, jak to już opisane było, czyli: miała samorząd. Jeżeli zaś była wieś osadzona na prawie polskiem, rządy jej sprawował sam właściciel, tak samo, jak starostowie niegdyś w osadach rodowych, a ten stosunek zowie się w nauce patrymonialnym.

Za Kazimierza Wielkiego społeczeństwo było w olbrzymiej większości za samorządem. Znikają po wsiach urządzenia patry-

monialne, a mnożą się z roku na rok wsie samorządowe, czyli, jak wówczas mawiano, na prawie niemieckiem. Właściciele sami bowiem, z własnego popędu, przenosili swe wsie z prawa polskiego na niemieckie, ustanawiali sołtysów i kazali wybierać ławników. Mnóstwo wsi czysto polskich, w których ani jednego nie było Niemca, wsi nie nowo założonych, lecz nawet starszych od niemieckiego osadnictwa, dawnych osad niewolnych, zamieniało się na wsie na prawie niemieckiem.

W ten sposób powstała nowa warstwa społeczna, a mianowicie polski lud wiejski. Składał się on z najrozmaitszych żywiołów i gdyby u polskiego włościanina zbadać genealogię tj. pochodzenie po przodkach, okazałoby się, że w jednej i tej samej nieraz wsi prapradziad jednego był Polakiem, drugiego Niemcem, trzeciego Czechem, Węgrem, Rusinem, Prusakiem, a tu i ówdzie nawet Tatarem. Jeden pochodził od polskich rodowców, drugi od niewolnych, trzeci od „gościa“ zagranicznego. We wsiach starych więcej było jednolitości, ale w nowszych osadach rozmaitość wielka, bo brano ludzi do gospodarstwa, skąd tylko się zgłosili, a każdy był rad, że się trafia dzierżawca kawałka gruntu. Z tej mięszaniny rozmaitych żywiołów wytworzył się lud polski, a polski na wskróś przez to, że Kościół przejęty był w Polsce narodowym duchem, właściciel wsi nietylko był Polakiem, ale krwią własną kraju broniąc, wzniósł się do poczucia miłości Ojczyzny, a wreszcie wśród samegoż tego ludu stali pod względem cywilizacyjnym najwyżej ci, którzy czy to z Polaków się wywodzili, czy też z rodzin od dawna już w Polsce osiadłych. Wieś, w której żywioł polski przeważał, stała pod każdym względem wyżej od wsi świeżo założonej z obieżyświatów, stawała się dla nich wzorem. Osobno stały przez pewien czas wsie czysto niemieckie, osady emigracyjne szwabskie, frankońskie, turyńskie, bawarskie. Ale czas ten trwał krótko, bo nowe związki rodzinne, dokonywane w Polsce, polszczyły te wsie szybciej, niż miasta, których mieszkańcy przez ciągłe kupieckie podróże utrzymywali stałe związki z Niemcami.

Cały ten lud był zupełnie wolny. Odkąd się rozprzęgł dawny stosunek narocznikow do kasztelanij, odkąd państwo nie potrzebowało już niewolników do swej organizacyi wojskowej, zniknęła też niewola. Za Kazimierza Wielkiego nie

było w Polsce niewolnego ludu; nie słychać też zgoła o kupnie niewolników przez osoby prywatne. Widocznie udało się Kościołowi przejąć społeczeństwo chrześcijańskim poglądem na świat, niedopuszczającym niewoli. Włościanie osiedleni w dobrach szlacheckich byli tych gruntów dzierżawcami i niczem innem. O żadnem poddaństwie ludu niema mowy w tym czasie!

Włościanin, będący wolnym dzierżawcą, mógł zmieniać dzierżawę, przenieść się w inne strony, lub całkiem zawód rolniczy porzucić, gdy mu się tak spodobało. Prawo nie robiło pod tym względem żadnych innych ograniczeń, prócz tych, których wymagała słuszność i prosty rozsądek. I dzisiaj przepisuje prawo i przepisywać oczywiście musi, żeby dzierżawca odchodząc zostawił po sobie gospodarstwo w porządku; inaczej niktby gruntu nie puścił w dzierżawę! Ażeby tę sprawę ułożyć, wydano w r. 1347 prawo na wiecu w Piotrkowie, że wolno każdej chwili opuścić grunt, jeżeli dzierżawca zapłaci trzy grzywny i umówiony czynsz roczny; te trzy grzywny stanowią wynagrodzenie szkody, jaką ponosił właściciel przez opuszczenie roli, nim sobie nowego kmiecia wyszuka. Zdarzało się, że dzierżawca trzech grzywien nie mając lub płacić nie chcąc, zbiegł bez oznajmienia, uciekł po prostu. Taki dzierżawca krzywdził właściciela w sposób dotkliwy. Postanowiono tedy na takich gospodarzy, że póki się z właścicielem gruntu nie ugodzą, nie mogą nigdzieindziej zawierać żadnej ważnej umowy i wyznaczono rok cały terminu do tego. Jeżeli właściciel wiedział, gdzie zbieg przebywa, mógł na nim w ciągu całego roku dochodzić swych praw i żądać albo 3 grzywien, albo powrotu na grunt; jeżeli zaniechał uczynić tego w ciągu roku, uważano sprawę za przedawnioną i właściciel tracił prawo do wynagrodzenia. Rok ten liczył się jednak dopiero od czasu, w którym właściciel dowiedział się o miejscu pobytu swego dzierżawcy. Ustawa ta miała na celu przeszkodzić nieuczciwym dzierżawcom, żeby się nie przenosili z gruntu na grunt, nie czyniąc nigdzie zadość swym obowiązkom. We wsiach na prawie niemieckiem powinien był odchodzący obrobić rolę, obsiać oziminą i jarzyną, lub też dać na swe miejsce nowego dzierżawcę. Skoro obsiał, nie chciało mu się odchodzić; jeżeli się odejść namyślił, ponosił

z pewnością nie mniejszą stratę od 3 grzywien przepisanych prawem polskiem; zboże miało bowiem wartość stosunkowo znacznie większą, niż za naszych czasów. W r. 1368 uchwalono na małopolskim wiecu w Krakowie, że porzucający grunt ma pozostawić połowę zasiewów; druga połowa była jego własnością, mógł ją tedy sprzedać, a sprzedawał zapewne samemu właścicielowi. Poprzestano więc ostatecznie na wymaganiach mniejszych od prawa niemieckiego. Ale za to na szkodników uciekających z gruntu bez ułożenia się z właścicielem, nałożono karę podwójną, bo aż sześć grzywien.

Każdy miał prawo opuścić grunt natychmiast bez jakiegokolwiek wynagrodzenia dla właściciela, całkiem się o niego nie troszcząc, jeżeliby właściciel skrzywdził na honorze jego żonę lub córkę, jeżeliby z winy właściciela wieś cała znalazła się rok pod klątwą, tudzież, jeżeliby podpadli egzekucyi sądowej. Tak postanowiono w r. 1346. Ale już następnego roku dodano jeszcze poprawkę, że za zobowiązania pieniężne lub jakiekolwiek wogóle właściciela, nie wolno przeprowadzać egzekucyi sądowej na gruntach, które są wprawdzie jego własnością, lecz wypuszczone są w dzierżawę.

Wszystkie te prawa świadczą wymownie, że nikt nietylko nie był do gleby przypisany, że wolno było przenosić się z miejsca na miejsce, że tedy kmiecie byli ludźmi wolnymi, ale stwierdzają nadto, że stosunki prawne szlachty do ludu były oparte na słuszności i uczciwości. Dorobek włościański był nietykalny; właściciel mógł być obdłużony, mógł popaść w egzekucyę, a dzierżawcę nic to nie obchodziło i nie był obowiązany dać ani grosza ponad swój czynsz zwyczajny. Dbało też prawo i o moralne interesy tej warstwy. Gdyby wieś z winy szlachcica pozbawioną była nabożeństw, musiał to właściciel naprawić w ciągu roku, inaczej cała wieś mogła mu opustoszeć, bo wszyscy mieli prawo wynieść się, nie dając żadnego odszkodowania. Dbało też prawo o godność osobistą, o honor włościanina, mszcząc wszelkie targnięcie sie na jego domowe ognisko dozwoleniem opuszczenia roli, najcięższą karą, jaka tylko mogła spaść na właściciela, bo podkopaniem jego dobrobytu.

W niektórych okolicach Małopolski zaczęli właściciele zabierać dla siebie spadek po swych kmieciach zmarłych bezpotomnie.

W r. 1346 wychodzi zaraz prawo usuwające to nadużycie[1], bo przekazujące spuściznę krewnym, którzy mieli za to sprawić kielich do kościoła parafialnego za półtorej grzywny.

Ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego broniło starannie ludu wiejskiego przeciw wszelkim nadużyciom. Gdy szlachta ruszała na wojnę, nie wolno jej było odbywać stacyj, tj. popasów, wypoczynków we wsi, ale w polu za wsią; nie wolno było brać koni, bydła, trzody; należała się im tylko żywność dla nich i pasza dla koni, i to, powiada ustawa wyraźnie, umiarkowana pasza i żywność o tyle, o ile bez niej nie możnaby pochodu odbywać.

Głowę zabitego kmiecia oszacowało prawo na dziesięć grzywien, z czego sześć przypadało krewnym nieboszczyka, a cztery grzywny wynagrodzenia za ubytek siły gospodarskiej kasztelanii w dobrach królewskich, biskupowi czy opatowi w kościelnych, właścicielowi wsi w dobrach szlacheckich.

Takie były stosunki dwóch warstw rolniczych w Polsce: szlacheckiej i włościańskiej. Pomiędzy jedną a drugą byli sołtysi, lecz ci nie wytworzyli osobnej warstwy pośredniej. Sołtysom dobrze się wiodło, mieli pieniądze, chodzili ze szlachtą na wojnę i chcieli być szlachtą we wszystkiem. Często sołtystwo sprzedawali, a kupowali sobie majętność w innej okolicy i potomkowie ich już do szlacheckiego należeli stanu. Szli też zbogaceni sołtysi do miast, żeby tam jeszcze lepsze robić interesy. Handel sołtystwami kwitnie już za Kazimierza Wielkiego, a później miał przybrać jeszcze większe rozmiary. Szlachta bardzo chętnie kupowała sołtystwa, bo to był doskonały interes, wart nieraz więcej od całej wsi, a przytem dawał szlachcicowi władzę nad włościaństwem, bo robił go sędzią nad nimi. Zdarzało się, że kupił sołtystwo inny szlachcic, ze sąsiedztwa i było we wsi dwóch szlachciców: jeden do sądów, a drugi do czynszów. Było to wielką niedogodnością i wiodło do kłótni. Zastrzeżono przeto w r. 1346, że żaden szlachcic nie może kupić sobie sołtystwa w cudzej wsi bez zezwolenia jej właściciela. Jeżeli sołtysem został szlachcic, trzymać się musiał w swem urzędowaniu przepisów tych samych, jak dawniejszy sołtys, bo nie dla tego miał władzę, że był szlachcicem, lecz tylko dla tego, że był sołtysem. W razie nadużycia szedł kmieć na skargę wyżej, nawet do samego króla, a czy sołtys był szlachcicem, czy nie, to było wobec prawa zupełnie wszystko jedno. Obie te warstwy społeczne,

szlachta i włościaństwo, tworzyły pod względem zarobkowym jeden stan: rolniczy i przez to samo wspólne im było wszystko, co tyczyło ziemi, wspólnych wiele interesów. Mają też wspólne prawodawstwo, które ziemskiem prawem nazwano. Za Kazimierza Wielkiego powstawać poczęła ta wspólność; coraz częściej widzimy to w ustawach, że gdy o szlachcicu mowa, zaraz mówi się także o ludzie wiejskim. Prawodawstwo królewskie mięsza się nawet w stosunki prawne wsi na prawie niemieckiem założonych, co zdarzało się potem coraz częściej, aż cały lud polski poddano prawu ziemskiemu, określającemu prawa i obowiązki warstw obydwóch i wzajemny ich stosunek, który niestety potem się pogorszył.

Prawo ziemskie spisane w statuty za Kazimierza Wielkiego, jest ostatecznym wynikiem owej pokolenia całe trwającej walki o prawo, rozpoczętej jeszcze za Bolesława Śmiałego. Społeczeństwo określiło wreszcie dokładnie stosunek swój do państwa: państwo ma być takiem, jakiego sobie społeczeństwo życzy. A wśród społeczeństwa przypaść musiał wpływ na sprawy publiczne przedewszystkiem tym, którzy królowi Władysławowi Niezłomnemu pomogli złe czasy przetrzymać i państwo polskie utrzymać: ziemianom.

Skończyła się walka o prawo, a zaczyna się walka o kierownicze w państwie stanowisko; walka o ster i o pierwsze miejsce. Lud w tem udziału nie brał; toteż potem prawo ziemskie przybiera coraz bardziej cechę szlacheckiej wyłączności. Za Kazimierza Wielkiego jednakże strzegło prawo ziemskie interesów włościańskich niemniej, jak szlacheckich i gdyby tak było pozostało, zaiste, naród polski byłby się wyrobił na przykład narodom europejskim.

Źródłem prawa publicznego była pierwotnie tylko wola monarchy, który mógł dobierać sobie doradców, ale nie miał obowiązku liczyć się ze zdaniem poddanych. Stosunki się zmieniały i okoliczności same zmuszały książąt do liczenia się z wolą społeczeństwa, zwłaszcza w okresie dzielnicowym. Ustawa jednak wychodziła w teoryi tylko od książąt; zachowywano jeszcze długo pozory absolutyzmu, choć go w rzeczywistości dawno już nie było. Aż do roku 1306 były ogólne, całego państwa tyczące wiece, przeważnie zjazdami książęcymi, na których dostojnikom przysługiwał głos doradczy, o ile książęta na to zezwolili. W r. 1306 zamienia się wiec na zjazd ustawodawczy, odbywany przez dostojników, jako przedstawicieli społeczeństwa i państwa wobec mo-

narchy. Mają oni już głos stanowczy. Król Władysław jest państwa naczelnikiem, społeczeństwa przodownikiem, lecz nie panem nieograniczonym, mającym prawo narzucić mu swą wolę. Jest raczej wykonawcą woli społeczeństwa ziemiańskiego, niż jego władcą. Do wszystkich swych przedsięwzięć potrzebuje poparcia społeczeństwa, potrzebuje swego stronnictwa, jakbyśmy dziś powiedzieli. I Kazimierz Wielki poprzestaje najzupełniej na tem. Wszystkie jego statuty powołują się na wolę warstwy ziemiańskiej, wielmożów i szlachty. Stał ten król wysoko ponad społeczeństwem nie przez swą władzę, ale przez niepospolity rozum, przez to, że był naprawdę wielkim społeczeństwa przodownikiem i w kierunku wytkniętym przez Kościół i ziemian jeszcze za jego ojca, szedł sam dalej od innych, patrząc w przyszłość, a dokładając wszelkich starań, żeby zorganizować nowe żywioły, uporządkować nowe stosunki i utworzyć z nich podstawę dla nowego państwa polskiego.

MIESZCZAŃSTWO.

Była w Polsce jedna warstwa, która do wytworzenia nowego państwa nic a nic się nie przyczyniła; przeciwnie, przeszkadzała nieraz dziełu podjętemu przez duchowieństwo, rycerzy i kmieci. Tą warstwą było mieszczaństwo niemieckie, które nie życzyło sobie wcale odnawiania piastowskiego państwa, a nawet sprzeciwiało mu się czynnie, popierając natomiast pomysł przyłączenia Polski do dynastycznego państwa Luksemburczyków. Stały przeciw sobie wrogo dwie idee państwowe: państwa dynastycznego i narodowego. Bunty miejskie stłumił król Władysław z pomocą ziemiaństwa, a że ziemiaństwo było u nas czysto polskie, (z wyjątkiem Ślązka, który wpływu na opinię publiczną u nas już nie wywierał), a mieszczaństwo niemieckie, wytworzyły się więc przeciwieństwa narodowe. Mieszczaństwo stawało przez pewien czas z całą świadomością przeciwko polskości. Pokonane raz i drugi przycichnęło, dało za wygraną. Nie marzyło już o tem, żeby w Polsce niemczyzna stała się wybitnym czynnikiem politycznym, wywierającym wpływ na sprawy państwowe; poprzestali na pilnowaniu swych ekonomicznych interesów. Interes miejski wymagał przedewszystkiem, żeby państwo było jak największe, a jak najmniej prowadziło wojen. Polityka Kazimierza Wielkiego dogadzała im najzupełniej; zajęcie Rusi Czerwonej i Wołynia, sojusze z ościennymi

monarchami, a przytem widoki połączenia Polski z Węgrami pod jednem berłem, rokowały mieszczaństwu jak najlepszą przyszłość. Spostrzegli, że byle się wstrzymywali od robienia niemieckiej polityki, będzie im w Polsce bardzo dobrze. Pogodzili się też najzupełniej z państwem Kazimierza Wielkiego.

Król patrzał jednak w przyszłość. Przeważający za jego panowania pokój był tylko środkiem do celu, którym miały być w przyszłości wielkie wojny z Krzyżakami o Pomorze, z Luksemburczykami o Ślązk, z Litwą o Ruś. Wojny te wymagałyby wysiłku nie mniejszego, niż za Łokietka walka o monarchię Piastowską. Pomyślny ich wynik byłby zapewne wielkiem szczęściem także dla mieszczaństwa, ale wynik wojny jest zawsze wątpliwy. Mieszczaństwo zaś zawsze mogło mieć inny sposób powiększenia swego dobrobytu, przez przyłączenie Polski do panowania obcej dynastyi, przez wciągnięcie jej w koło interesów Rzeszy niemieckiej. Walka o Ślązk nie przedstawiała dla mieszczaństwa niemieckiego w Polsce najmniejszego interesu. Ślązk bowiem bez handlu z Polską i tak żadną miarą obejść się nie mógł. Droga handlowa na Pomorze była o wiele bardziej ziemiańskim interesem, niż mieszczańskim. Jedynie tylko w walce o Ruś było mieszczaństwo zainteresowane na równi z ludnością rolniczą. Z trzech więc wielkich spraw przyszłości w dwóch nie można było liczyć na współdziałanie mieszczaństwa, a nawet należało się obawiać przeszkód z ich strony. Toteż należało zawczasu dbać o to, żeby te miasta nie urosły już nigdy do politycznej potęgi w państwie, żeby nie wybujały zanadto, a przedewszystkiem, żeby nie wyrobiło się pomiędzy niemi takie porozumienie i jedność, któreby polityce narodowej przeciwstawić mogły w pewnych razach niemiecką politykę w kraju.

Kazimierz Wielki przedewszystkiem dbał o to, żeby żadne miasto nie zyskało wybitnego przewodniego stanowiska wśród innych. Przez otwarcie dróg handlu ze Wschodem wzmagał się się najbardziej Kraków; stojący już przedtem na czele miast, zyskiwał obecnie coraz większą przewagę, rósł szybko w dostatki i zamieniał się na wielkie miasto. Nie był wcale pożądany Kazimierzowi wzrost potęgi tego miasta, które było największym przeciwnikiem jego rodu! Zbiegła się tu zewsząd ludność, nie mogąca się już pomieścić w obrębie murów i powstawały przedmieścia; król jednak nie kwapił się wcale z wcieleniem ich do miasta.

Powstawały z tego nieporządki, gdyż niewiadomo było, czyjej władzypodlega ta ludność, zamieszkała o sto kroków od krakowskich murów, miejska i znajdująca zarobek dzięki sąsiedztwu Krakowa. Porządek wymagał, żeby rozszerzyć mury Krakowa i te przedmieścia do miasta wcielić. Król jednak wynalazł sposób, żeby porządkowi stało się zadość, a Kraków żeby nietylko z tego korzyści nie miał, ale nawet szkodę. Ustanowił z tych przedmieść samodzielne miasta i tak powstały tuż obok niemieckiego Krakowa dwa nowe: Kazimierz i Kleparz, złożone już w znacznej większości z ludności polskiej! Miasta te, powołane do oczywistej konkurencyi z Krakowem, stały się najlepszą rękojmią wierności starego miasta. Zależało to bowiem od skinienia królewskiego, żeby dawnemu niemieckiemu miastu odjąć jakie prawo handlowe, a przenieść je na Kazimierz lub Kleparz.

Średnie wieki nie znały wolności handlowej. Kupiec miał przepisaną drogę, którędy i jak daleko wolno mu było wozić towary; po drodze musiał wstępować do wyznaczonych na to miast i przez przepisany czas towar swój tam wysprzedawać, a dopiero z resztą wolno mu było dalej jechać, lub też wracać do domu, stosownie do przepisu, który zależał najzupełniej od króla. O ile bowiem każde miasto w obrębie swych murów miało samorząd, o tyle wzajemne ich stosunki między sobą zależały w Polsce w zupełności od króla. Za granicą były wielkie związki miast, np. Hanza, która nawet wojny prowadziła na własną rękę. U nas z początkiem XIV. wieku bywały związki miast w Wielkopolsce przeciw rozbojom na gościńcach, ale poza to nigdy jedność miast się nie nawiązała i nie dozwalano im żadnych związków.

Dążeniem każdego miasta było, żeby pozyskać t. z. prawo składu, t. j. żeby przejeżdżający kupcy musieli składać w niem swe towary i wystawiać na sprzedaż. Na tem bogacili się mieszczanie najbardziej. Urządzanie „składów“, jak wogóle krępowanie ruchu handlowego przepisami, miało na celu, żeby zarobek rozdzielić na różne miejsca, żeby się jedno miasto nie bogaciło kosztem drugiego, lecz żeby każde miało swoje źródła dochodu. Kraków był tak szczęśliwie położony wobec handlu ze Wschodem, że inne miasta nie miałyby przy nim żadnego znaczenia. Ale zajął się niemi król i korzystał zkażdej sposobności, żeby Krakowowi przysporzyć konkurencyi. Już król Władysław rozpoczął był tę politykę, popierając Nowy Sącz wbrew interesom

Krakowa. Kazimierz Wielki odjął Krakowowi prawo składu na miedź i żelazo, i nadał je Bochni. Również popierał król Skawinę i Wieliczkę, które zabierały Krakowowi część dochodów. Zręcznem rozdzielaniem prawa składu zapewniał król każdemu miastu dobrobyt, ale też żadnemu z nich nie dał urość w zbytnią potęgę. Czasem drobna na pozór zmiana przepisów stanowiła o powodzeniu miasta. Tak n. p. prosiło miasto Kraków króla, żeby podczas jarmarku obcy sukiennicy sprzedawali tylko własnego wyrobu sukna, i to osobom z poza Krakowa nie mniej jak 6 postawów naraz; chodziło im o to, żeby pośrednictwo w handlu suknami i drobną sprzedaż utrzymać w swem ręku. Król przystał na to, ale wyjmując od tego postanowienia szlachtę i kmieci, t. j. tych, którzy właśnie kupowali sukno w mniejszych ilościach, na swe własne potrzeby. Ci mogli się zaopatrzyć podczas jarmarku tanio wprost z pierwszej ręki, u obcego kupca. Albo n. p. taki wypadek. Włościanie przywożący swe płody na targ do miasta z odległości pięciu mil, nie opłacali cła. Nagle kazano im cło płacić, a przez to włościanin nie dojeżdżał już do Krakowa, ale stawał na Kazimierzu lub Kleparzu i tam się targi przeniosły. Podrożały też rozmaite artykuły żywności, podczas gdy na przedmieściach pozostały niezmienione. Zniósł też król t. z. wolny targ na mięso, przez co również tracił Kraków, a zyskiwały Kleparz i Kazimierz. Podobnież wszystkie inne miasta trzymał w swem ręku zręcznym szafunkiem łaski i niełaski. Na przykładzie Krakowa pouczyły się wszystkie, że odtąd tylko uległością coś zyskać mogą. Wola królewska mogła każdej chwili przeciw niesfornemu miastu wysunąć sąsiednią wieś, i dać jej prawo miejskie i na nią skierować ruch handlowy.

Życzył król Kazimierz mieszczaństwu jak największych dostatków, ale nie chciał, żeby się te dostatki gromadziły tylko na jednem miejscu; toteż pozakładał w różnych częściach Polski cały szereg miast nowych. Stosunki zaś handlowe tych miast starał się tak urządzić, żeby one na wyścigi starały się o łaskę królewską i przesadzały się w wierności królowi i tym, którzy stali najbliżej jego osoby, dostojnikom i wielmożom polskim. Ekonomiczna zależność miast od dworu królewskiego wytępiła też doszczętnie zachcianki robienia niemieckiej polityki w Polsce.

Wszystkie osady założone na prawie niemieckiem miały swoje odrębne sądownictwo, urządzone przeważnie na wzór Magdeburga;

zwano też to prawo zazwyczaj magdeburskiem. Ilekroć sędziowie miejscowi mieli wątpliwości, lub gdy zachodziła potrzeba odwołania się, czyli apellacyi, zwracano się po wyrok do Magdeburga. Kazimierz Wielki postanowił przeciąć tę sądową zależność swych miast od zagranicy i ustanowił w Polsce sądy wyższe magdeburskiego prawa, oddzielny w każdej dzielnicy i najwyższy sąd apellacyjny na zamku w Krakowie. Pierwszą więc instancyą był sołtys, drugą zamiast Magdeburga sąd wyższy dzielnicowy, trzecią i ostatnią, już bez apellacyi, sąd na zamku krakowskim. Ponieważ mnóstwo wsi przeniesiono w tych czasach z prawa polskiego na niemieckie, dotyczyła ta reforma znacznej części włościaństwa polskiego. Włościańskie bowiem sprawy toczyły się najpierw przed wiejskim sołtysem i one to, a nie tylko sprawy miejskie, miały się w toku instancyj dostawać przed te nowe sądy publiczne, urzędujące z ramienia króla. Było to w roku 1365 uchwalone na ogólnym wiecu ustawodawczym całego państwa. System ten nie utrzymał się jednak w przyszłości, ponieważ szlachta skupywała coraz więcej sołtystw, a szlachcic nie mógł tym sądom podlegać, lecz tylko sądownictwu ziemskiemu. I apelacya od jego wyroku szła też później inną drogą, do osobnych sądów w tym celu urządzonych. Zasadą bowiem było, że każdy stan ma mieć swoje własne sądownictwo.

NOWA ADMINISTRACYA.

Rozwinęła się za Kazimierza W. nowa administracya. Gdy za króla Władysława łączyły się dzielnice w nowe państwo polskie, nie znosił król wcale urzędów, powstałych pod osobnymi książętami. Pozostali nadal wojewodowie, miecznicy, cześnicy, i t. p. łęczyccy, sieradzcy, sandomierscy i t. d., pozostali nadal wszyscy nowo powstali kasztelanowie. Ale do nowej administracyi weszli tylko wojewodowie i kasztelanowie, reszta zaś urzędów pozostała tylko honorowymi tytułami, bez żadnej władzy. Ponieważ w każdej z połączonych dzielnic był tylko jeden wojewoda, a on był ze wszystkich dostojników najwyższym, zaczęto dawne ziemie, księstwa dzielnicowe, zwać później województwami i to się już utrzymało na zawsze. Wojewoda został teraz naczelnikiem szlachty w swej ziemi, przedstawicielem ziemiańskich interesów przy królu. Miał nieznaczną władzę sądowniczą, poza tem nie wiele na prawdę

znaczył, a przywódzcą wojennym być przestał. Dużo dostojeństwa, a mało władzy. Później dopiero, gdy szlachta zagarnęła rządy państwa w zupełności, wzmogła się też wielce władza wojewodzińska. Kasztelanie nadawały się doskonale do tego, żeby z nich utworzyć okręgi administracyjne i tak się też stało, ale urzędnikami administracyjnymi nie kasztelanowie zostali, lecz starostowie. Pozostawiono ten urząd z czasów czeskich, pozostawiając mu przeprowadzanie w swym okręgu w powiecie, wszelkich rozkazów królewskich, tudzież sądownictwo kryminalne, czyli w sprawach gardłowych, jak wówczas mawiano, gdyż karano za nie na gardle. Starostowie ci, rodowici Polacy, dobro kraju mający na oku, przed narodowym królem odpowiedzialni, nie popełniali nadużyć, nie tamowali rozwoju społecznego, przestrzegając tylko, żeby ludność ich powiatu nie gwałciła ustaw. Zadaniem ich było stać na straży praw. Na opornych mieli siłę zbrojną, pachołków swoich i więzienie. Starosta przedstawiał w swym powiecie majestat królewskiej osoby. Ustawa z roku 1347 orzeka wyraźnie, że dobycie miecza wobec starosty ma być karane zupełnie tak samo, jak gdyby się to stało wobec samego króla. Nad starostami byli dwaj generalni starostowie, zwani też krótko generałami: wielkopolski w Poznaniu i małopolski w Krakowie; ci byli niejako namiestnikami królewskimi i dowódzcami wojska. Obok nich ustanowił król Kazimierz jeszcze trzy wielkie urzędy na całe państwo. Marszałek był naczelnikiem królewskiego dworu i obejmował władzę najwyższą wszędzie, gdziekolwiek król bawił, pilnując porządku i bezpieczeństwa. Kanclerz był naczelnikiem królewskiej kancelaryi, przez jego ręce przechodziły wszystkie dokumenty, on przechowywał pieczęć królewską, do niego należały przedewszystkiem stosunki z innemi państwami, a więc polityka zewnętrzna, zagraniczna. Podskarbi był zarządcą skarbu królewskiego, a więc dóbr królewskich i podatków. Dobra królewskie, królewszczyznami zwane, były zagospodarowane wzorowo, a zarządzali niemi podwładni podskarbiemu wielkorządcy, prokuratorowie i włodarze. Ci wszyscy byli urzędnikami królewskimi, podczas gdy wojewodowie i kasztelanowie byli przedstawicielami szlachty, urzędnikami ziemskimi, podobnie, jak wójtowie byli urzędnikami miejskimi.

Ustawodawcza czynność Kazimierza Wielkiego trwała przez całe panowanie tego króla, a zbadaną należycie do tej chwili nie

jest; na tyle jednak już ją znamy, żeby módz poznać, że czynność ta była ogromna, obejmowała i przenikała wszystkich i wszystko. Część tego ustawodawstwa, tycząca się prawa ziemskiego, uchwalana i ogłaszana na kilku wiecach, odbywanych kolejno w Piotrkowie, Wiślicy i w Krakowie, zowie się zazwyczaj ustawodawstwem wiślickiem, dlatego, że pierwszy z tych wieców odbył się w r. 1346 w Wiślicy. To ustawodawstwo „wiślickie“ stanowi jednak tylko część prawodawczej pracy wielkiego króla.

PAŃSTWO STANOWE.

Państwo średniowieczne składało się ze „stanów“, z których każdy miał swoją autonomię. W rozmaitych państwach rozmaita była ilość tych politycznych stanów, mających prawo samorządu. Państwo Kazimierza Wielkiego składało się z trzech stanów: z duchowieństwa, ziemiaństwa (szlachty i kmieci) i mieszczaństwa. Duchowieństwo miało swoje prawo kanoniczne, prawodawcą był dwór papieski, a w Polsce synody; wykonawcami prawa biskupi. Nie różnił się w tej mierze Kościół polski niczem od urządzeń kościelnych w innych krajach europejskich. Ziemiaństwa prawodawcą były wiece odprawiane przy królu, ustawą prawo ziemskie, wykonawcami prawa wojewodowie i kasztelanowie. Organizacya tego stanu była inną w Polsce, niż na Zachodzie, a to z dwóch względów. U nas obejmował ten stan nietylko szlachtę, ale też lud rolniczy, podczas gdy za granicą lud nie korzystał wcale z opieki prawnej publicznej, zdany w każdej wsi z osobna na łaskę i niełaskę właściciela; o ile zaś sam ziemię posiadał, nie tworzył całkiem osobnego stanu, ani też doszlacheckiego przyłączony nie był. Włościanin nie należał za granicą wcale do organizacyi państwowej. Trzeci stan w Polsce rządził się osobnem prawem „magdeburskiem“, miał swe sądownictwo, ale własnej władzy prawodawczej nie miał. Za granicą kwitnęły związki miast, były wspólne miast zjazdy i sejmy, wspólne władze nad miastami; u nas każde miasto z osobna podlegało królowi, nie mając z innemi miastami stosunków żadnych poza prawem prywatnem, poza handlem. Mieszczaństwo nasze nie wyrobiło się też na stan polityczny tak, jak na Zachodzie; stanęło w pół drogi. A nie można było dopuścić go do zupełnego politycznego rozwoju, skoro nie było polskiem. Kazimierz Wielki ze zupełną świadomością rzeczy popierał też zie-

miaństwo bardziej niż miasta, a szczególniej kmieci, boć z nich spodziewał się dla przyszłości tych zastępów, które miały naporem rodzimego żywiołu na miejskie zawody, przyczynić się do polszczenia miast.

Ponad stanami stał król ze swymi urzędnikami. Każdy stan uważał go za swego zwierzchnika i naczelnika; duchowni oczywiście tylko o tyle, o ile na to zezwalało najwyższe zwierzchnictwo papieża. Każde prawo, czy to kanoniczne, czy ziemskie, czy magdeburskie, musiało być przez króla uznane, żeby mieć znaczenie w państwie. Króla rzeczą było dopilnować, żeby te trzy prawa nie stały sobie wzajemnie na przeszkodzie, a gdzieby jedno ścierało się z drugiem, on miał rozstrzygać. W sporze jednego stanu z drugim odnoszono się zawsze do króla, jako najwyższego rozjemcy. Tak np. krzyżowało się prawo ziemskie z magdeburskiem przez to, że szlachta przebywała w miastach, a nawet kupowała tam domy, mieszczanie zaś nabywali dobra ziemskie. Jeżeli szlachcic dopuścił się w mieście przestępstwa, kto go miał sądzić, ziemski sąd, czy miejski? Rozstrzygnął król, że sprawa należy do sądów ziemskich, ale miasto ma prawo szlachcica „wyświecić“, tj. wypędzić z miasta i zakazać mu powrotu, jeżeli się stanie niebezpiecznym dla porządku publicznego. Z domu kupionego w mieście nie opłaca szlachcic miejskich podatków, a mieszczanin nie opłaca podatków ziemskich od gruntów odległych od miasta nie więcej, niż dwie mile. Dopiero gdyby posiadłość jego oddalona była od miasta poza dwie mile, musi z niej płacić podatek ziemski, a więc dostarczyć też żołnierza na wojnę, lub samemu wyruszyć. Nie stawał się jednak jeszcze przez to szlachcicem, pókiby się nie zrzekł prawa miejskiego. Nie można było bowiem należeć do dwóch stanów! Mógł szlachcic lub ksiądz posiadać w mieście domy, a nie stawał się przez to mieszczaninem, tak samo, jak ten nim być nie przestawał, chociażby kilka wsi nabył. Zazwyczaj też przechodzący na rolę zbogacony mieszczanin zrzekał się prawa miejskiego. Zachowanie tedy porządku między stanami należało do króla i jego urzędników; o porządek zaś w swem własnem łonie każdy stan sam się starał, a władza królewska występowała dopiero wówczas, gdy władze stanowe nie mogły podołać zadaniu.

Będąc wszystkich stanów zwierzchnikiem, określał król wza-

jemny ich stosunek do siebie, a zawiadował bezpośrednio tem wszystkiem, co dotyczyło ogółu, co nie było sprawą jednego stanu, lecz całego państwa. Należą więc do niego bez żadnego ograniczenia: polityka zewnętrzna i obrona państwa. Zawierał i zmieniał Kazimierz Wielki sojusze według własnego uznania, i żaden stan nie miał prawa do udziału w tych sprawach. Zależało to zupełnie od woli królewskiej, jakimi się otoczy doradcami; mógł sobie ich dobierać z duchowieństwa, ze szlachty, z mieszczaństwa; mógł się kierować zdaniem czyjemkolwiek lub niczyjem; to wszystko pozostawione królewskiej woli, nie należało jeszcze do żadnego prawa.

Również panem samowładnym był król na wojnie i wogóle w sprawach wojskowych. To tylko stanęło za Kazimierza Wiekiego ograniczenie, że na wyprawie zagranicznej utrzymanie wojska odbywa się kosztem skarbu królewskiego, t. j. na koszt państwa. Od woli królewskiej zależało, kiedy, z kim i gdzie wojować, którędy ruszać, gdzie się zatrzymać. Od niego też zależało, jakie przedsiębrać środki, żeby kraj uczynić obronnym. Budowa grodów do niego należy. Kazimierz Wielki wystawił kilkadziesiąt nowych grodów murowanych; powstało nawet z tego słuszne zupełnie przysłowie o nim, że „zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną".

Cel pracy całego życia wyrażony jest jasno we wstępie do statutu wiślickiego „ażeby był jeden król, jedno prawo i jedna moneta". Zastał Kazimierz dwóch królów polskich, bo obok niego używał tytułu króla polskiego także Jan Luksemburski; zapobiegł już takim wypadkom na przyszłość, a społeczeństwo tak przejęte było poczuciem wspólności państwowej, że o ponownem rozbiciu państwa nie było już mowy. Zastał Kazimierz rozmaite prawa w różnych dzielnicach; tylko kanoniczne wszędzie było jednakie, ale ziemskie i magdeburskie różniły się w niejednej rzeczy w Wielkopolsce i w Małopolsce; szczególniej postępowanie sądowe, sposób prowadzenia procesu, różnił się bardzo na południu, a na północy państwa. Dwadzieścia dwa lat poświęcił król temu, żeby wszędzie było jedno prawo; osięgnął swój cel co do magdeburskiego w r. 1365, co do ziemskiego w r. 1368. Moneta krążyła w Polsce najrozmaitsza i rzeczywiście dopiero Kazimierz Wielki zaprowadził w tej rzeczy jednostajność. A ostatecznym celem wszystkiego tego było, żeby całe społeczeństwo sprządz w jeden wielki związek,

w świadomy siebie naród, któryby nigdy już nie rozprzęgał więzów jednolitej organizacyi państwowej.

W sprawie tej wspierali króla uczeni mężowie, a zwłaszcza dwóch duchownych: Jarosław Bogorya Skotnicki, arcybiskup gnieźnieński i siostrzeniec jego i następca Janusz Strzelecki, zwany Suchywilk. Ze świeckich najwybitniejszymi w kole królewskich doradców byli: z początku Spytek Melsztyński, kasztelan krakowski, dawny powiernik króla Władysława, a później Jan Rzeszowski. Nie było w radzie królewskiej nikogo, ktoby się nauką wyższą nie odznaczał, bo też sam król ją posiadał. Tem się tłómaczy, że rządy Kazimierza Wielkiego nie tylko teraźniejszości czyniły zadość, ale też stały się drogowskazem na przyszłość. Sprawowali je bowiem najrozumniejsi.

UNIWERSYTET.

Światło wyższej nauki dochodziło do Polski z Zachodu, z Francyi i z Włoch. Tam były źródła wiedzy, zakłady poświęcone naukom, zwane uniwersytetami. W środkowej Europie długo nie było żadnego. Skotnicki kształcił się w Bolonii we Włoszech, tam też do Padwy posłał Rzeszowski swego syna. Nie brakło w Polsce ludzi z uniwersyteckiem wykształceniem, ale trzeba było po nie jeździć do dalekich krajów. A do wyższych stanowisk w państwie trzeba było koniecznie takich ludzi, zwłaszcza, że na uporządkowaniu prawa krajowego królowi tyle zależało. Potrzebowało nowe polskie państwo, dążące do tego, żeby coś znaczyć w Europie, mężów uczonych, a zwłaszcza prawników. Dopiero w roku 1347 powstał uniwersytet w Pradze, założony przez Karola IV., pierwszy w Europie środkowej; było naszym już znacznie bliżej, ale król nie spoczął, aż miał w swem państwie uniwersytet własny. Trzeba było do tego papieskiego zezwolenia.

Otrzymał je z wiosną 1363 posłujący w tej sprawie do Avinionu Jan Rzeszowski. Przystąpiono zaraz do dzieła. Już dnia 12 maja 1364 wydaje król i miasto Kraków dyplomy dla powstać mającej „Szkoły Głównej“ królestwa polskiego, która nie mogła przeto być gdzieindziej, jak w stolicy państwa. Profesorowie i studenci pochodziliby z rozmaitych stanów i do tego z rozmaitych narodów; gdyby każdy z nich innemu podlegał prawu, nie byłoby żadnego porządku. Utworzono więc z członków uniwersytetu osobny stan,

z zupełnym samorządem. Miasto Kraków z największą ochotą wydało dokument poręczający wszelkie swobody uniwersytetowi. Obydwa dokumenty posłano papieżowi, który już zapytywał arcybiskupa gnieźnieńskiego o bliższe wiadomości. Dnia 1 września 1364 r. zatwierdził papież Urban V. fundacyę uniwersytetu, ale na razie jeszcze bez wydziału teologicznego. Z końcem września odbywał się właśnie ów kongres monarchów w Krakowie i posłużył za sposobność do zjednania przychylności nowemu uniwersytetowi wśród ościennych władców, bo z ich krajów miała młodzież napływać do Krakowa. Ustanowił król trzy katedry prawa kanonicznego, pięć prawa rzymskiego, dwie lekarskie i jednę t. z. nauk wyzwolonych, t j. dla wstępnego ogólnego wykształcenia. Płace profesorów były nierówne, od dziesięciu do czterdziestu grzywien rocznie, razem grzywien 340, a wypłacać je miano z dochodów żup wielickich. Na początek urządzono wydział „nauk wyzwolonych“, jako przygotowawczy, bo dopiero po egzaminie z tego wydziału niższego wolno się było zapisać na medycynę lub prawo. Nie można tedy było zaczynać wykładów na tych dwóch wydziałach, póki profesor „nauk wyzwolonych“, któremu oddano szkołę przy kościele N. Maryi Panny, nie przygotuje zastępu pierwszych uczniów. Dopiero w r. 1366 mógł uniwersytet otworzyć Wydział prawniczy i to nie zupełny; zaczęto od prawa kanonicznego. Tymczasem zaś rozmyślił się król i postanowił uniwersytet urządzić inaczej, a mianowicie, żeby profesorowie mieszkali razem w t. z. kolegium i tam zarazem wykładali, a uczniowie też razem w t. z. bursach. W Krakowie nie znaleziono stosownego miejsca pod budowę gmachów, czy może miasto nie chciało ponieść potrzebnych na to ofiar, czy też, że król chciał uświetnić nowe miasto przez siebie założone i od swego imienia nazwane, dość, że pod koniec życia postanowił król przenieść uniwersytet z Krakowa na Kazimierz i tam w miejscu zwanem „na bawole“ [1]) zaczął stawiać kolegium. Ledwie zdążono zbudować fundamenty, skończył król żywot, a po nim zabrakło opiekuna rozpoczętemu dziełu. Uniwersytet był wprawdzie w Krakowie, ale to był ledwie mały uniwersytetu ułamek, szkoła przygotowawcza i trochę prawa kanonicznego. Dalej

[1]) Od gospody „pod bawołem“, która należała do cechu papierników, a którzy mieli bawołu za godło.

nie rozwijało się dzieło; nie opiekował się niem całkiem król Ludwik węgierski, aż dopiero w zmienionych zupełnie stosunkach odnowiono i uzupełniono fundacyę Kazimierza W. w lat 30 po jego śmierci, w r. 1400. Pierwsza zasługa jemu jednak należy; jego to pomysł i jego pierwsze trudy około szkoły, która w następnym wieku tyle Polsce miała przysporzyć sławy, a stała się niespożytą warownią kultury polskiej w czasach najboleśniejszych i najcięższych. Światło rozniecone na polskiej ziemi przez Kazimierza W. jaśnieje do dziś dnia.

Król Kazimierz Wielki zamieniał Polskę z drewnianej na murowaną, bogacił ją, organizował, wzmacniał wszechstronnie jej siły. Był „królem chłopów". Kmieci, którzy mieli własną ziemię, tych wszystkich doliczył do rycerstwa, skutkiem czego przeszli do szlachty, a którzy na dzierżawach byli, ci otoczeni troskliwą opieką prawną, w takich byli dostatkach, że za spadek po krewnym mogli kupować kielichy do kościołów. Ten sam „król chłopów" pamiętał też o oświacie, chciał podnieść naród cały do wyższego poziomu cywilizacyjnego, jakby wiedziony przeczuciem, że póty się Polska będzie rozwijać, póki w niej oświata stać będzie wysoko i ostatnie lata swego życia poświęca urządzeniu uniwersytetu.

MAŁŻEŃSTWA KAZIMIERZA W.

Monarcha, który tyle szczęścia zapewnił poddanym, sam osobiście w prywatnem życiu szczęśliwy nie był. Mając lat 15. poślubił również 15 letnią Aldonę Gedyminównę, wesołą, zamiłowaną w łowach. Z Aldoną nie miał syna, a w powtórnem małżeństwie z Adelajdą heską całkiem nie miał dzieci. Król zawarł był traktaty zapewniające Ludwikowi węgierskiemu następstwo po sobie, ale wolałby, żeby się bez tego obeszło i pragnął koniecznie mieć syna. Chciał przeto rozwieść się z bezpłodną małżonką i nowe zawrzeć śluby. Starał się o dyspenzę i otrzymał dokument papieski z dyspenzą, jak się potem okazało, wydany bez wiedzy papieża! Sprawa ta nie jest jeszcze dostatecznie wyjaśnioną; bądźcobądź padł król ofiarą podejścia i fałszerstwa, którego się dopuszczono, żeby sobie pozyskać jego łaski. W r. 1356, bawiąc w maju w Pradze, poznał tam król piękną mieszczkę, Krystynę, wdowę po rajcy Mikłuszu Rokiczańskim. Następnego roku odesłał Adelajdę do Hessyi, zajął ziemie w Sandomierskiem

wyznaczone na jej oprawę, a sprowadził z Pragi Krystynę i wziął z nią ślub, którego udzielił opat tyniecki, Jan. Koronowaną nie była. Ludwik węgierski oświadczył, że gdyby z tego małżeństwa był syn, nie będzie go uważał za dziedzica polskiego tronu, ale sam obstawać będzie przy swych prawach do następstwa. Niedługo porzuca król Krystynę i dnia 25. lutego 1363 żeni się z Jadwigą Żegańską. Ślubu udzielił we Wschowie biskup poznański, na jakiej znowu zasadzie, niewiadomo. Czy duchowieństwo polskie samo może unieważniło ślub z Krystyną, a do małżeństwa z Jadwigą użyto poprzedniej podrobionej dyspenzy, czy też nową ukuto do tego intrygę, to pozostanie na zawsze tajemnicą. Sam król sprzyjał zapewne obmyśleniu pozorów, któreby nowe małżeństwo uczyniły prawnem w oczach świata. Ludwik węgierski wydał też w r. 1364. dokument, w którym zrzeka się następstwa tronu, jeżeliby król miał syna z małżeństwa zawartego z księżniczką z jakiego domu panującego. Księżniczka Jadwiga była koronowana, powiła królowi trzy córki, ale syna nie było. Krystyna Rokiczańska pozostała też w Polsce. Królowa Adelajda zaczęła dochodzić swej krzywdy i okazało się, że papież dyspenzy nie dawał. Rozpoczęło się w tej sprawie śledztwo w r. 1365, które skończyło się po trzech latach pomyślnie dla Jadwigi. Papież Urban V. ogłosił dnia 26. maja 1368, że król polski rzeczywiście dyspenzę otrzymał i zaprzeczył pogłoskom, jakoby poprzednia była podrobiona. Zachodziło więc widocznie jakieś nieporozumienie i szczególniejszy, a nieznany nam dzisiaj, zbieg okoliczności. Dzieci Jadwigi uznał Urban V. za prawe. Nieszczęśliwa Adelajda przeżyła o rok króla Kazimierza.

Mając lat 60 był Kazimierz Wielki w r. 1370 krzepki i zdrów zupełnie, gdy uległ przygodzie. Dnia 9. września polując w Przedborzu, w województwie sieradzkiem, spadł z konia i złamał nogę. Opatrzono ranę i zdawało się, że nie będzie niebezpieczeństwa. Lekarz nadworny, Henryk z Kolonii, bawił podtenczas w Sandomierzu; król mając tam jechać, nie kazał nawet po niego posyłać, ale sam wybrał się do Sandomierza; widocznie nie przywiązywał większego znaczenia do tego wypadku. Lekarz Henryk ostrzegał jednakże i wydał polecenia stosowne; król całkiem się ich nie trzymał, odbywał wycieczki w okolicę, ucztował i zabawiał się. Na jednej z takich wycieczek nagle zaniemógł i musiał ośm dni

przeleżeć w klasztorze koprzywnickim. Dźwignął się i ruszył do Osieka; tu znowu mu się pogorszyło, ale nie zważając na to ruszył do Krakowa. Zatrzymawszy się jeszcze w drodze w Nowem mieście Korczynie, dojechał do stolicy dnia 30. października. Nazajutrz tracił już chwilowo przytomność, dnia 3. listopada ułożył testament a o wschodzie słońca dnia 5. listopada 1370 r. zakończył smutne dla siebie, a dla Polski tak pożyteczne życie. Przed samą śmiercią wyznaczył pieniądze na nowe obwarowanie grodu włodzimirskiego; tak do ostatniego tchu „murował“ gmach państwa polskiego wielki król-gospodarz.

TESTAMENT KAZIMIERZA W.

Ludwik węgierski miał tedy zostać następcą; ale ostatnia wola Kazimierza Wielkiego ograniczała znacznie jego panowanie. Wnuk królewski po kądzieli, książę szczeciński Kazimierz, syn Bogusława V. i Anny, najstarszej córki Kazimierza Wielkiego, zrodzonej z Aldony, brat Elżbiety królowej czeskiej i cesarzowej, żony Karola IV., otrzymał niespodzianie wielkie wyposażenie. Testament królewski wyznaczał mu Kujawy, Łęczyckie i Sieradzkie, jako lenno korony polskiej; trzy ziemie położone w samym środku Polski! W ten sposób powstałoby znaczne państwo, rozdzielone na dwie części Pomorzem gdańskiem, pozostającem w ręku Krzyżaków. Książęta szczecińscy dążyliby oczywiście do połączenia swych posiadłości, a zatem prowadziliby politykę dążącą do odzyskania Gdańska i dolnego biegu Wisły. Posiadłości Kazimierza Szczecińskiego graniczyły z wszystkiemi temi ziemiami, na których zależało Kazimierzowi Wielkiemu ze względu na nieukończoną jeszcze walkę z niemieckim naporem. Księstwo szczecińskie graniczyło nietylko z Zakonem krzyżackim, ale też od południa z Brandeburgią i na polskiej ziemi utworzoną Nową Marchią, a od północnego wschodu z niepodległem biskupstwem kamińskiem nad Bałtykiem, które to biskupstwo pragnął Kazimierz Wielki wcielić do metropolii gnieźnieńskiej i rozpoczął nawet pomyślne o to starania na dworze papieskim. Kujawy graniczyły od północy z biskupstwem chełmińskiem, które ryskiej podlegało metropolii, a będąc na polskiej ziemi, powinno też było należeć do prowincyi kościelnej polskiej. Sieradzkie zaś graniczyło ze Ślązkiem, z wrocławską dyecezyą. Państwo Kazimierza Szczecińskiego graniczyć więc miało ze wszyst-

kiemi temi ziemiami, których odzyskanie i połączenie z Polską miało się stać zadaniem polskiej polityki. Była to wskazówka, jak mają działać książęta szczecińscy, na nowo dla polskiego narodu odzyskani. Rzecz bowiem prosta, że książę, mający trzy polskie prowincye, musiałby się poczuć polskim książęciem i prowadzić narodową politykę, jeżeli się chciał przy polskich lennach utrzymać. Testament Kazimierza Wielkiego przyłączał do polskiej polityki i łączył z polską koroną Pomorze odrzańskie, dawną zdobycz Bolesława Krzywoustego i wskazywał wielkie pole do pracy w kierunku zachodnim. Wschodnich praw miała pilnować Małopolska, najbardziej bezpośrednio w nich interesowana. Przyszłość najbliższą wyobrażał sobie wielki król tak, że naród polski podzieli się na dwa polityczne odłamy; ażeby z przesilenia, które przechodził, wyjść nietylko obronną ręką, ale z chwałą, wzmocniony i żeby nie uronić niczego ze swego dziejowego obszaru, będzie okolona posiadłościami księcia szczecińskiego Wielkopolska przeć ku Bałtykowi, a Małopolska ku Dnieprowi i morzu Czarnemu.

Układ z Ludwikiem węgierskim z r. 1355 zastrzegał, że po nim mogą dziedziczyć koronę polską tylko jego synowie, a nie córki. Ludwik zaś miał trzy córki ale nie miał syna. W r. 1370 należało według wszelkiego ludzkiego obliczenia przewidywać, że po najdłuższem życiu Ludwika tron polski nie będzie mieć dziedzica, że będzie trzeba obmyśleć następstwo po nim. A któż byłby stósowniejszy na następcę, jak nie książę pomorski, kujawski, sieradzki i łęczycki, powołany testamentem Kazimierza Wielkiego na spadkobiercę jego polityki, gdy nie mógł być powołany na bezpośredniego następcę tronu? Po Kazimierzu Wielkim ma nastąpić Ludwik węgierski, ale potem nowa dynastya: pomorska, któraby zapewniła Polsce nietylko ujście Wisły, ale nawet Odry. Panowanie Ludwika węgierskiego miało być tylko niedługim ustępem między rządami dwóch dynastyj: piastowskiej i pomorskiej.

Takiego testamentu nie układa się na prędce. Rzecz cała była oczywiście dawniej obmyślana i nie była niespodzianką dla poufnego grona królewskich doradców, zwłaszcza dla kanclerza Janusza Suchywilka Strzeleckiego. Wykonaniu testamentu w tej formie sprzeciwił się jednak król Ludwik i nadał Kazimierzowi Szczecińskiemu inne lenna, a mianowicie ziemię Dobrzyńską (wykupioną od Krzyżaków) i północny skrawek Kujaw i Wielkopolski:

ziemię bydgoską i wałecką z grodami Bydgoszczem i Wałczem. Lenna te, mniejsze bez porównania od zapisu Kazimierza W., wciskały się wąskim pasem pomiędzy państwo polskie a krzyżackie. Nie wiele dodawały siły księciu szczecińskiemu i nie mogły mieć żadnego politycznego znaczenia. Niesposób jednak było wszczynać wojnę i posunąć się do buntu przeciw Ludwikowi.

ZAKOŃCZENIE.

Przebiegliśmy, licząc od czasów świętych Cyryla i Metodego, pięćset lat dziejów Polskich, historyę piętnastu pokoleń naszych praojców. Z mroku pogańskiej przeszłości wyprowadziło nas na widownię świata chrześcijaństwo. Kościołowi katolickiemu mamy do zawdzięczenia pierwszą naszą cywilizacyę i ściślejszą styczność z Zachodem. Dzięki katolicyzmowi i zachodniej cywilizacyi, dzięki roztropności pierwszych wielkich Piastów zorganizowało się państwo Polskie, położyło tamę pchającemu się na wschód żywiołowi niemieckiemu i ochroniło nas od losu, jaki dostał się w udziele braciom naszym z nad Łaby, Odry i z Pomorza.

Z dwuwiekowego politycznego upadku dźwigają nas dłonie znowu wielkich Piastów i kładą podwaliny przyszłej świetności i potęgi królestwa polskiego, dzięki silnemu, ogólnemu poparciu społeczeństwa, które w dwuwiekowej niedoli ducha narodowego nigdy nie traciło. Tym wielkim Piastom i tym naszym praprapradziadom z owych wieków zawdzięczamy i naszą wiarę i naszą narodowość. Cześć im za to.

Prawo [illegible]

Monarcha – pomiędzy a [illegible] podstawą
[illegible] prawa [illegible] jednostka [illegible]
[illegible] (administracyjnych)

Komes patrimonium (majątek)
grodowy
kanclerz (kancelaria
grodowa)

sędzia

[illegible] (prawem) [illegible] dzieci
[illegible] i ich majątek w razie nieletności

Skarbnik, podskarbi,
podstoli, krajczy,

Urzędy centralne:

grody książęce, (siedziby biskupów i możnych pan-
[illegible] tej grodami
ustrój grodu, (opole [illegible] jednostka administra-
gestorii, [illegible] (kasztelanie) [illegible].
(Kasztelania obejmuje ziemię czyli [illegible]
księcia pod
względem [illegible] jego.
Ustrój ekonomiczny i kulturalna działalność.

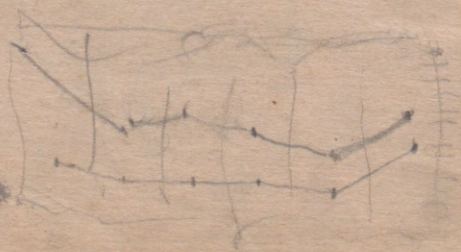
1. V. 917.

[illegible] zaczyna się [illegible]
epoka, zwolnia konsolidacja z wszystkich
państw zaborczych. Polaków w państwo [illegible]
silne i wielkie — otacza tem korzeń się
na Unię Lubelską.

2

Z wyjątkiem Fryderyka wsz. naszedł pierwszy
monarcha, z którym wiarołomstwo miało głos
wyrzekający wyrzuty decydujący na zniszczenie
Francji (Napoleon) — klęska i stan wojenny
(monarchowie) wyrzekają wolność ogarniania
wiedzy królewskiej — każdej klęski towarzyszy
wzrost wyzysku — za kilkadziesiąt lat
mamy monarchów przyjaciół
gania się z tronem.

Już do Kaz. Jagiellończyka, gramoje ob-
garchia (mówi Machiavelli, gdzie
wrogiem świecy nadają kierunek polityce
zewnętrznej — monarcha ma jeszcze
władzę absolutną, ale on już dzieli
z innymi przywilejami, wyzbywając
się na rzecz pozostałych stanów (szlachty),



60 -
1 Ро / 26552





2 N 32/2